



JOSHILYN JACKSON

OSZUKAĆ PRZEZNACZENIE

Fascynująca lektura,
narracja pobudzająca zmysły
jak teksańskie chili.

Library Journal



Rose Grandee to idealna teksańska żona. Pragnie być inna niż jej matka, która ją kiedyś porzuciła bez najmniejszych skrupułów, dlatego też zaciska zęby i z godnością damy znosi maltretowanie ze strony męża, ukrywając rozliczne sińce pod słodkimi, pastelowymi sweterkami.

Rose jednak nie zawsze była tak uległa. Gdzieś zagrzebana w jej wnętrzu drzemie niezależna i zadziorna, łamiąca męskie serca dziewczyna z Alabamy, wyjątkowo biegle władająca bronią palną. Budzi się do życia, gdy wróżba z kart tarota wieszczy zgubę przykładowej Ro Grandee: przystojny mąż pozbawi ją życia, o ile ona nie zabije go pierwsza.

Zdana jedynie na własną inteligencję, przedpotopowego kolta dziadunia oraz swojego psa, Grubą Gretel, Rose ucieka z domu przed mężczyzną, który nigdy nie pozwoliłby jej odejść, z zamiarem odnalezienia matki.

W trakcie tej podróży odkrywa prawdę o sobie i swojej rodzinie, doświadczając wiele bólu, ale i zabawnych przygód.

„Mocna powieść. Wzbudza grozę i fascynuje zarazem”.

Washington Post

„Błyskotliwa narracja i charyzmatyczne postaci gwarantują czytelnikowi chwile doskonałej rozrywki, a opisy przemocy domowej – chwytające za gardło momenty grozy”.

Kirkus Review

„Powieść gwarantuje doskonałą rozrywkę, pomimo budzącego grozę tematu. Świetnie nakreślone postaci emocjonalnie złożonych kobiet”.

New York Journal of Books



© GILBERT KING

JOSHILYN JACKSON jest autorką powieści *Bogowie Alabamy*, *Gdzie diabeł mówi dobranoc* i *Widmo*, które okazały się najbardziej poczytnymi tytułami stowarzyszenia księgarzy Book Sense. *Oszukać przeznaczenie* już w pierwszym tygodniu sprzedaży trafiło na listę bestsellerów „New York Timesa”. Książki Jackson są poruszające, pełne tajemnic i spostrzeżeń na temat ludzkiej natury.

**Książki dostępne w księgarniach,
na www.gjksiazki.pl
i w sprzedaży wysyłkowej:
tel. 22 360 37 77**



cena 31,90 zł

Joshilyn Jackson

Oszukać przeznaczenie

Przełożyła
Katarzyna Kasterka



CZEŚĆ PIERWSZA

MARIAŻ MIECZY

Amarillo, Teksas, 1997

Rozdział 1

To od wróżbiarki, dziwnym trafem spotkanej na lotnisku, usłyszałam, że muszę zabić męża. Była pierwszą osobą, która na głos wypowiedziała tę myśl, ale w gruncie rzeczy wyartykułowała oczywistą prawdę, której usilnie nie dopuszczałam do siebie od bardzo długiego czasu. Oznajmiła, że „albo on, albo ja”, i jej słowa najpierw zabrzmiały niczym alarmistyczne, przesywające do szpiku kości bicie dzwonów, a potem przez parę kolejnych dni gruzłowatym węzłem pętały mi trzewia, przyprowadzając o nieustanne mdłości. Nie miałam żadnego powodu ufać tej kobiecie i, szczerze powiedziawszy, szybciej wzięłabym sobie do serca przepowiednie wyciągnięte z chińskiego ciasteczka niż te wycytane z kart tarota. Jednak żyłam dość długo u boku Thoma Grandeeego, żeby dostrzec prawdę - bez względu na to, w jakiej postaci mi się objawiła.

W rezultacie w czwartkowy poranek chwyciłam stary rewolwer swojego dziadunia i zacząłam się na męża w pobliżu wąwozu Wildcat Bluff, gdzie codziennie pokonywał solidną porcję kilometrów. Tak się szczęśliwie składało, że okoliczne ścieżki były oddalone od miejsc piknikowych, więc nie przyciągały wielu amatorów pieszych wędrówek. No i Thom lubił biegać wcześniej rano, bo wówczas mógł mieć niemal stuprocentową pewność, że trasy będą należeć tylko do niego.

Dzisiejszego dnia postanowiłam sekretnie dotrzymać mu towarzystwa.

Wstałam niespełna dwie godziny wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca, ponieważ postanowiłam upiec prawdziwe biskwity. Wsiekałam kawałki tłuszczu do mąki, aż stała się gładka niczym sproszkowany aksamit, potem szybko zagniotłam ciasto i szklanką do soku wykroiłam zgrabne krążki. Usmażyłam boczek, a na pozostały tłuszcz wybiłam dwa jajka. Do kaszy kukurydzianej wysypałam mnóstwo

żółtego sera, po czym położyłam grube kawałki szybko topniejącego masła na wszystkim, co mogło je w siebie wchłonąć. W rezultacie na talerzu, który miał stanąć przed Thomem, tylko w samym tłuszczu pływało ponad tysiąc kalorii.

Często przyrządzałam mu tak diabolicznie rozpustne śniadania po małżeńskich wojnach, więc wcale nie przyszło mi do głowy, że właśnie szykuję ostatni posiłek skazańca. W moich wyobrażeniach była to raczej absurdalna forma przeprosin. Jakbym mówiła: Skarbie, obawiam się, że wkrótce podziurawię cię kulami, ale tymczasem popatrz, jak grzeszne jajka dla ciebie przyrządziłam. Minionej nocy uprawiałam z nim seks - równie rozpustny i hojnie okraszony wszystkimi atrakcjami, które lubił najbardziej.

Godzinę przed owymi igraszkami mąż chwycił mnie wielką dłonią za głowę i przycisnął mój policzek do zimnego tynku. Przyszpilona do ściany, wymachiwałam bezradnie rękami, podczas gdy Thom wyprowadził cztery szybkie sierpowe, które wylądowały w okolicach moich nerek. Potem od razu mnie puścił, a gdy zsunęłam się bezwładnie po ścianie na podłogę, powiedział z wyrzutem w głosie:

- Chryste, Ro, dlaczego mnie do tego zmuszasz?

Nie odezwałam się ani słowem. Thom doskonale znał odpowiedź. Oboje doskonale ją znaliśmy. Na pierwszy rzut oka byłam idealną, potulną żoną, ale tak naprawdę przypominałam lalkę matryoszkę, bo gdzieś zagrzebana głęboko w moim wnętrzu tkwiła inna, zła dziewczyna. I to ją trzeba było karać, to ona zasługiwała na katowanie. Ubiegłej nocy, kiedy leżałam zwinięta na podłodze u stóp Thoma, zastanawiałam się, jak to możliwe, że tak potężny facet nie jest w stanie uderzyć na tyle silnie, aby się przebić do tej dziewczyny i to ją dosięgnąć jednym z morderczych ciosów.

Dwa dni wcześniej, we wtorkowy poranek, odwiozłam swoją wiekową sąsiadkę, panią Fancy, na lotnisko. W minionym tygodniu wpadła do mnie z gorącym chlebkiem kukurydziano-serowym na talerzu i poprosiła o tę przysługę. Miała skromne dochody i opłata postojowa na parkingu lotniskowym za cztery pełne dni byłaby dla niej poważnym

wydatkiem, dlatego od razu się zgodziłam, udając, że z największą ochotą będę przez godzinę walczyć z tłokiem na autostradzie. Ostatecznie ta kobieta była dla mnie tak dobra i życzliwa, że byłam jej winna znacznie więcej niż podrzucenie na lotnisko.

- Weźmiemy moją hondę. - Brązowe, wiewiórcze oczy pani Fancy rozbłysły w wyrazie wdzięczności. - Dzięki tobie nie będę musiała płacić za parkowanie, Ro. Pozwól, że przynajmniej oszczędzę ci kosztów paliwa.

Ponieważ mój przedpotopowy buick palił dwadzieścia litrów na setkę, ochoczo wsiadłam do jej hondy civic. I zapewne na tym by się zakończyła cała historia, gdybym nie pomogła pani Fancy wnieść bagażu do hali odlotów. Wróżbiarka stała obok małej lotniskowej kafejki, jakby na mnie czekała - była pewna, że się tam pojawię.

Wystarczył jeden rzut oka i już wiedziała, kim jestem. Przejrzała mnie na wylot niczym figurkę z przezroczystego szkła. Rozłożyła karty tarota, a jej przepowiednia... nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ta kobieta przeprowadziła wiwisekcję mojego życia. Powiedziała, że albo Tom, albo ja i, Boże dopomóż, uwierzyłam jej bez zastrzeżeń. W drodze powrotnej do domu trzęsłam się tak bardzo, że musiałam zjechać z drogi. Zatrzymałam się w najbliższej zatoczce i próbowałam pobudzić płuca do systematycznej pracy. Mimowolnie zaciskałam dłonie na kierownicy - tak kurczowo, że aż mi zbieły palce. Ale jednocześnie, gdy się w nie tępo wpatrywałam, odezwał się we mnie zimny i stanowczy głos: Na trzy dni dostałaś do dyspozycji samochód zapewniający niemal całkowitą anonimowość. To może się okazać nieocenione.

W rezultacie, zamiast odprowadzić hondę pani Fancy do garażu, zaparkowałam kilka przecznic dalej, przy ruchliwej ulicy. W głowie mi tykały godziny do powrotu sąsiadki, niczym wsteczne odliczanie do startu wahadłowca. Miałam ją odebrać nazajutrz, w piątek, a więc ten parny czwartkowy poranek był moją ostatnią szansą. Przyrządzałam dla Thoma jego ostatnie w życiu, sownicie okraszone masłem śniadanie, a kuchnia zdawała mi się równie sztuczna jak hollywoodzki plan zdjęciowy: słoneczniki na tapecie wyginały się wdzięcznie i radośnie;

stare, ciepłe w barwie linoleum lśniło pociągnięte świeżą warstwą Mop & Glo. Ja natomiast krzątałam się w podskokach, polerując blaty i szorując garnki na podobieństwo kreskówkowej postaci wrysowanej w tło kuchni zalanej słonecznym światłem.

- Próbujesz mnie zamordować, kobieto? - spytał Thom, gdy postawiłam przed nim talerz.

Mimowolnie rozdziawiłam usta, ale on jedynie uśmiechnął się do mnie promiennie, po czym zaczął żuć boczek, mrużąc z lubością oczy

- Czuję, jak sztywnieją mi tętnice, ale moje kubki smakowe mają to gdzieś.

Szybko zacisnęłam szczęki, w ostatniej chwili ratując się przed zaślinieniem, a tymczasem Thom rozbełtał półpłynne żółtko kawałkiem biskwitu, po czym oświadczył:

- Jeszcze trochę, a utuczysz mnie jak to swoje przekłete grube psisko.

Gretel uderzyła ogonem o posadzkę na dźwięk słowa „psisko” lub może „grube”, bo doskonale wiedziała, że oba odnoszą się właśnie do niej. Była musztardowym w kolorze, lekko skundlonym bloodhoundem, przy czym Thom utrzymywał, że jednym z jej przodków musiał być kawał dywanowej wykładziny, ze względu na ilość czasu, jaką z niekłamaną rozkoszą moja psina spędzała rozłożona na podłodze. Wsłuchiłam się w odgłos ogona bijącego o linoleum i pomyślałam: A więc wkrótce zabiję człowieka. Wmawiam sobie, że się do tego nie posunę, ale wiem, że w istocie nie spocznę, póki nie znajdę się na miejscu zasadzki i tego nie zrobię.

Thom wyszedł wcześniej niż zwykle. Przed joggingiem miał zawieźć Gretel na szczepienie, a potem wpaść do flagowego sklepu swojego tatusia i schować w sejfie zabytkowego winchestera. Musiał praktycznie wlec za sobą nieszczęsną psinę, która dobrze wiedziała, że jazda autem sam na sam z Thomem oznacza wizytę u weterynarza. Pół minuty po tym, jak zamknęły się za nimi drzwi, zanurkowałam do szafki pod zlewem i wygrzebałam czterdziestkępiątkę dziadunia spod sterty szmat, leżącej za środkami czystości. W domu mieliśmy

jeszcze inną czterdziestkępiątkę oraz trzydziestkęósemkę, one jednak były zarejestrowane. Tymczasem nawet Thom nie wiedział, że trzymam w ukryciu kolta dziadunia. Był tak stary, że zniknął z wszelkich oficjalnych rejestrów na długo przedtem, zanim ukradłam go ojcu z pudełka po butach, trzymanego na dnie szafy, po czym wiozłam ze sobą przez pół Ameryki. To rewolwer z rodzaju tych, które gliniarze o pewnej mentalności chętnie mieliby pod ręką. Nazywają taką broń „podkładką”, ponieważ mogą ją podrzucić przy ciele zabitego zbira, a potem utrzymywać, że to zastrzelony pierwszy wykonał wrogi ruch.

Rewolwer był bardzo zdezelowany, więc na podróż odłączyłam lufę od reszty. Póki nie zmontowałam kolta z powrotem, miałam przed sobą tylko dwa nic nieznaczące, martwe kawałki metalu. Wrzuciłam oba do płóciennej torby na zakupy, po czym pobiegałam do sypialni i z sejfu na broń wyciągnęłam garść nabojów. Przy okazji przebrałam się też w ciemne, bardzo luźne dżinsy i za duży T-shirt, a następnie upchnęłam długie włosy pod baseballówkę. Ponieważ jestem niska i drobna, w tych ciuchach wyglądałam na nastoletniego dzieciaka. Zapewne nikt z sąsiadów widząc, jak zasuwam biegiem po ulicy mniej więcej w czasie przyjazdu szkolnego autobusu, nie pomyślałby, że właśnie patrzy na śliczną, uroczo kobiecą Ro Grandee.

Szybko dopadłam do samochodu pani Fancy i wskoczyłam do środka. Wetknęłam torbę z bronią pod siedzenie, odpaliłam silnik i ruszyłam w stronę Wildcat Bluff. Na równinie, którą zostawiałam za plecami, zabudowa Amarillo sterczała w górę niczym ohydnie zdeformowany kciuk, więc się ucieszyłam, gdy tak nieliczne tutaj wzgórza zaczęły przesłaniać miasto w okolicach wąwozu. Wjechałam w zatoczkę wcinającą się w las - dobre dwa kilometry za ulubionym miejscem parkingowym Thoma.

Wziąwszy pod uwagę to, co miał tego ranka załatwić, wyprzedzałam go co najmniej o pół godziny, ale i tak pędziłam leśnym duktem co tchu w piersiach, jakby mój mąż gonił za mną w ataku szału. Torba objęła mi się o nogi, pobrząkiwały wrzucone luzem naboje. Po chwili

jednak się opanowałam i zwolniłam do truchtu. Oddychałam głęboko i za każdym ostrym zakrętem skanowałam wzrokiem zarośla w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na zasadzkę. „Raz, dwa, moja mała, ręka pewna jak skała” - mawiał tato, kiedy uczył mnie strzelać. Byłam wtedy takim szkrabem, że musieliśmy ćwiczyć na dwudziestcedwójce, bo odrzut trzydziestkiósemki zwałiłby mnie z nóg.

Za ostrym zakrętem, gdzieś w połowie trasy biegowej Thoma, dojrzałam mroczny spad pod gęstwiną woskowatego bluszczu. Przystanąłam, zerknęłam w dół. Miałam przed sobą długi rów biegnący prostopadle do ścieżki, jakiś metr za pierwszą linią drzew.

Doskonale.

Weszłam w las, przeciskając się pomiędzy wścibskimi pędami kapryfolium. Schylona nisko, żeby przejść pod gałęziami, wsuwałam nogi pomiędzy wysokie pióropusze paproci - starannie, zdecydowanie, jakbym wsuwała stopy w obcisłe sandały. Obejrzałam się przez ramię i uważnie zlustrowałam drogę, którą właśnie przebyłam: nie dostrzegłam ani jednego uszkodzonego liścia, ani jednej ułamanej gałązki. Nawet Davy Crockett nie nabralby najmniejszych podejrzeń; najwyżej uznałby, że przemknęło tędy zwierzę nie większe od zająca. Niekiedy dobrze być tak drobną istotą.

Ale tylko niekiedy. Wciąż przyproważyły mnie o katusze cztery sińce biegnące po lewej stronie kręgosłupa w idealnie równym rządku. Fioletowoczarny wykwit w środku każdego z nich był wielkości pięści Thoma Grandeeego, za to zielonożółte, otaczające je aureole miały różne kształty i rozmiary - jakby ktoś uwiecznił na mojej skórze kolorowe rozbłyski wielobarwnych fajerwerków. Poczułam w plecach ostry ból, gdy przykucnęłam, żeby sprawdzić, czy soczysta mgiełka zieleni nie przesłania widoku na trasę.

Z rowu widziałam wyraźnie ścieżkę. Bez trudu zauważę zbliżającego się Thoma, kiedy dotrze do szczytu niewielkiego wzniesienia, a wschodzące słońce zaświeci mu prosto w twarz. Poczekam do chwili, aż zobaczę białka jego oczu i dopiero wtedy oddam strzały. Albo jeszcze lepiej: poczekam, aż przebiegnie obok, aż przesunie się przede

mną jego rzymski profil - wąskie czoło przechodzące płynnie w długi, prosty nos, szerokie usta zaciśnięte w kreskę z powodu wysiłku. Jasne włosy Thoma będą ciemniejsze, bo mokre od potu. Znałam każdy centymetr twarzy swojego męża i każdy z nich kochałam. Niemniej strategiczna pozycja na zakręcie oznaczała, że będę go dobrze widzieć także po tym, jak mnie wyminie. Jego tak znajome rysy mogły sprawić, że zadrżałaby mi ręka, ale bez większego problemu wpakuję dwie kule w jakiś anonimowy tył głowy.

Gdy znalazłam się w rowie, kątem oka pochwyciłam ruch. Po przeciwnej stronie, na wystającym korzeniu przycupnęła długonoga pójdzka i przekręciła lebek idealnie pod kątem stu osiemdziesięciu stopni, żeby na mnie popatrzeć. Jej dropiate upierzenie świetnie się wtapiało w migotliwe cienie, więc sowa była zupełnie niewidoczna, dopóki się nie poruszyła. Przyglądała mi się bez niepokoju, całkowicie pewna, że nie na nią poluję. Niemniej w spojrzeniu okrągłych, złocistych oczu dostrzegałam wyraz lekkiego oburzenia, wywołanego obecnością intruza na jej terytorium.

- Jak ci się nie podobam, to znikaj. Mam tu coś ważnego do załatwienia - oświadczyłam głosem, który z trudem sama rozpoznałam. Wypowiedziałam bowiem te słowa akcentem żywcem przeniesionym z Alabamy, połykając wiele spółgłosek, przeciągając śpiewnie samogłoski.

Gdyby pójdzka miała ramiona, z pewnością by nimi wzruszyła. Była jedynie świadkiem, nie sędzią. Przyklękłam w mojej części rowu, ona pozostała na swojej połowie.

- Wielki Boże - szepnęłam - zaczynam gadać z sowami. A więc zapewne jestem dość szalona, żeby zastrzelić męża.

Tym razem we własnym głosie usłyszałam nosowe teksańskie zgłoski. Sześć lat w Amarillo wystarczyło do przyswojenia sobie obcych naleciałości.

Sowa nastroszyła pióra obruszona, że zakłócam ciszę poranka. I miała rację - w zaistniałych okolicznościach nie powinnam wydawać z siebie żadnych dźwięków.

Z dużej torby po omacku wygrzebałam broń i sześć naboju. Pięć zaciśnęłam w dłoni, a ostatni włożyłam do pustej komory. Gdy wszedł na miejsce, usłyszałam szcęk metalu trącego o metal. A potem sterczałam w miejscu tylko z jednym załadowanym pociskiem, jakbym nie była zdolna do podjęcia ostatecznej decyzji.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - wyszeptalam. Najczystszy akcentem z Alabamy. Teraz w ogóle nie brzmiałam jak Ro Grandee, żona Thoma Grandeeego, której chłodna wymowa ani przez moment nie przywołała na myśl gładkiego, topniejącego masła. Teraz mówiłam jak Rose Mae Lolley, dziewczyna, którą pogrzebałam bardzo dawno temu, kiedy miałam osiem lat - w tym samym dniu, w którym zniknęła moja matka. Zostawiła różaniec, zabrała natomiast płócienny czólenka w kwiatki, których praktycznie nie nosiła, bo miały noski wypchane banknotami.

Thom jednak wiedział, że drzemie we mnie Rose Mae. Zauważył to już tej nocy, kiedy się poznaliśmy. Niekiedy nawet się zastanawiałam, czy tak naprawdę kochał mnie, czy raczej tę ukrytą w moim wnętrzu dziewczynę.

Siedem lat temu, pewnej wiosennej nocy, wszedł do restauracji, w której pracowała Rose Mae Lolley. Nosiła wówczas maskę - ciepły, serdeczny uśmiech dziewczyny, za której wizerunkiem się kryła dzień w dzień niemal od dwóch lat, od chwili, gdy zdecydowała, że już ma dość zbierania cięgów w zastępstwie zbiegłej matki, i dała nogę z domu tatusia. Ruszyła na zachód wzdłuż wybrzeża i co kilka miesięcy zmieniała jedno małe miasteczko, oferujące marną pracę i beznadziejnego faceta, na inne mniej więcej identyczne.

Jeszcze do owej chwili nie znalazła miejscowości, pracy czy mężczyzny, dających takie poczucie bezpieczeństwa, żeby się odważyła na pozbycie maski. We wspomianej restauracji, dzięki fałszywemu urokowi dostawała wysokie napiwki, mieszkała natomiast w tanim lokum, gdzie mogła do woli korzystać z kuchni, za to nie mogła liczyć na choćby odrobinę prywatności. Kim, od której wynajmowała pokój, twierdziła, że jest lesbijką, ale tak

na oko już dawno temu porzuciła kobiety na rzecz taniego rumu. Kim wpadała do pokoju Rose o najprzeróżniejszych godzinach i na przykład pytała, gdzie teraz stoi sól, lub czy nie było dla niej jakichś wiadomości. Nigdy nie pukała i nie przepraszała, nawet wtedy, jak pewnego dnia wparowała do środka, gdy Rose właśnie wyszła spod prysznica i nie miała na sobie nic oprócz białego, pół-przezroczystego stanika.

- Chyba nie ćpasz w moim domu? - zapytała wówczas.

- Oczywiście, że nie - odparła Rose tonem doskonale wychowanej panny.

Chwyciła ręcznik, starając się jednocześnie nie patrzeć w stronę łóżka, na którym - obok restauracyjnego uniformu - leżała para dużych pluszowych kostek do gry w kolorze soczystej czerwieni. Należały do Kim, Rose zwinęła je z szafy w holu. Zamierzała zabrać kostki do pracy i potajemnie zawiesić na lusterku w samochodzie jednego z kucharzy, który sam wyglądał jak para puchatych kości do gry, marzących o ucieczce do Las Vegas, a na dodatek wciąż obmacywał Rose Mae po tyłku, za co należała mu się nauczka.

Kim nie zauważyła kostek. Nie zwróciła też uwagi na stopień zaniedbania Rose, mimo że ta niemal naga przedstawiała sobą wyjątkowy widok: wąska talia, jędrne, krągłe biodra, skóra jak krew z mlekiem. Tymczasem Kim odwróciła się ciężko i chwiejnym, pijackim krokiem wyczłapała za drzwi.

Też mi lesbijka, pomyślała lekceważąco Rose i zakryła ręcznikiem pluszowe kostki na wypadek, gdyby Kim spojrzała za siebie.

- Ja w ogóle nie ćпам - wykrzyknęła jeszcze, a Kim wydała z siebie pomruk, który równie dobrze mógł wyrażać zadowolenie jak i rozczarowanie.

Nigdzie nie czując się bezpiecznie, Rose nieustannie chowała się za skorupą uśmiechu, ale w niektóre dni miała wrażenie, że to jedynie werniks równie cienki jak bawełna jej różowego kelnerskiego uniformu stylizowanego na lata pięćdziesiąte - z białym okrągłym kołnierzykiem i równie białym miniaturowym fartuszkiem. Był dopasowany,

sięgał zaledwie do pół uda i owej nocy, gdy do restauracji przyszedł Thom Grandee, jego ówczesnej dziewczynie ów mundurek zdecydowanie nie przypadł do gustu.

Wywieszka przy drzwiach głosiła „Proszę się rozgościć”, co Thom niniejszym uczynił, zajmując jedną z łóż. Jego panna usiadła obok, a para, która z nimi przyszła - zajęła kanapę naprzeciwko. O tej porze Rose była jedyną kelnerką w lokalu. Patrząc na tę czwórkę, od razu wiedziała, że przyjechali tu z kampusu A&M w Kingsville. Faceci bez wątpienia należeli do którejs ze sportowych drużyn akademickich i przyprowadzili tu swoje dziewczyny na wczesne śniadanie po imprezie z okazji wygranej.

Bo bez wątpienia pokonali przeciwnika. Gdy tylko Rose Mae poszła z dzbankiem kawy i oprawionymi w plastik kartami dań, od razu wyczuła bijący od facetów zapach zwycięstwa - tę szczególną mieszankę feromonów, piwa i świeżego potu.

Obaj byli przystojni, ale to Thom natychmiast wpadł jej w oko. Miał prawie metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i muskularną budowę futbolisty. Spodobał jej się także jego rzymski nos oraz sposób, w jaki na nią patrzył, gdy podchodziła, lekko kołysząc biodrami. Dla pozostałych była jakimś różowym kształtem dostarczającym menu. Thom przyglądał się jej z uwagą.

Jego dziewczyna miała włosy upięte na czubku głowy w koński ogon, który rozwarstwiał się już w splątane pasma na ładnej szyi, oraz imponującą grzywkę, płaską po bokach, za to spadającą kaskadą drobnych loków na czoło. Niestety, o tej porze lakier zaczął zawodzić i puchata grzywka wyraźnie oklapła.

Gdy Thom zbyt długo patrzył Rose w oczy, a potem - co było do przewidzenia - ukradkiem przesunął wzrokiem po zgrabnej figurze, jego dziewczyna wyraźnie się zjeżyła. Wyglądała bardzo młodo, nawet w oczach Rose Mae, choć sama miała wówczas zaledwie dwadzieścia jeden lat. Bez wątpienia posługiwała się lipnym dowodem tożsamości, na którym umieściła podrasowane, seksowne zdjęcie. Teraz zmrużyła jadowicie oczy, dając Rose niedwuznacznie do zrozumienia, że nie

przywykła, by kelnerka o spierzchniętych wargach i bladej cerze zaprzętała uwagę jej faceta. Zapewne uchodziła za najładniejszą dziewczynę w swojej szkole, Rose jednak nie miała cienia wątpliwości, że była to mała szkoła.

- Dzień dobry! - przywołała na usta najpromienniejszy uśmiech, na jaki mogła się zdobyć o trzeciej nad ranem, po czym rozdała karty dań. - Witamy w Duff s. Mam na imię Rose i będę państwa dzisiaj obsługiwać.

Wszyscy odwrócili stojące przed nimi kubki i Rose się nachyliła, żeby nalać kawę. Zaczęła od ciemnowłosego chłopaka, potem napelniła kubek jego dziewczyny.

- Dzień dobry - odparł Thom.

On jedyny się do niej odezwał. Zwróciła się w jego stronę. A potem, ponieważ znów patrzył jej w oczy - nie spoglądał na cycki czy na swoją dziewczynę, ale patrzył na Rose jak na człowieka - sama nie wiedząc kiedy, zapytała:

- No więc, na jakiej grasz pozycji?

- Outfieldera. Czasami na trzeciej bazie.

Pokręciła głową.

- Zapytałam, na jakiej pozycji grasz na poważnie. Nie pytałam, co robisz wiosną, żeby utrzymać kondycję.

Uśmiechnął się szeroko i kiwnął z aprobatą głową, jakby teraz oprócz urody docenił także jej inteligencję i poczucie humoru.

- W obronie. Strong-side safety.

- A! Szybkonogi chłopak - rzuciła lekko i zaczęła nalewać kawę jego dziewczynie.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?! - Pannica potrząsnęła w oburzeniu grzywką.

Rose zatrzymała się w pół gestu, jej uśmiech gwałtownie przysnął.

- Słucham?

- Czy zamawiałam kawę?

- Przepraszam, ale odwróciłaś kubek.

- Owszem. Bo chcę gorące kakao.
- Oczywiście - odparła Rose. - Przyrządzę w czasie, gdy będziecie państwo przeglądać menu.
- To już w restauracjach nie pytają teraz: Co mogę podać? - zwróciła się Grzywka do swojej przyjaciółki siedzącej po drugiej stronie stołu. - Czego sobie państwo życzyście? Czy macie ochotę na napoje orzeźwiające? Zawsze myślałam, że takich wyrażen uczą podczas pierwszego dnia szkolenia kelnerek.

Rose się zacerwieniła, boleśnie świadoma, że rumieńce są bardzo widoczne na jej białej skórze. Spuściła powieki, żeby nikt nie zauważył błysków wściekłości w jej oczach. Musiała usztywnić rękę, w której trzymała dzbanek, bo inaczej by się nie powstrzymała i wylała gorącą kawę na wyfiokowaną grzywkę. Niemal wyczuwała zapach popiołu, jaki wydzieliłyby wówczas spryskane lakierem włosy dziewczyny, praktycznie słyszała wrzaski, jakie pannica zaczęłaby z siebie wydawać, gdyby wrzący płyn poparzył jej głowę i tę gładką, zarozumiałą buźkę. Podczas gdy ona by się darła, Rose oznajmiłaby ze stoickim spokojem: Jeżeli w restauracji ktoś odwraca kubek, to oznacza, że prosi o kawę.

A potem zadzwoniłaby po karetkę.

Jednak powiedziała tylko „przepraszam”. Głos jej drżał z wysiłku, jaki musiała włożyć w usztywnienie dłoni. Chwyliła kubek z odrobinną czarnego płynu na dnie, odwróciła się na pięcie i zmusiła do odejścia od stolika.

W Duff s panowała cisza. Rose słyszała wyraźnie odgłos własnych kroków. Siedziało tu tradycyjnie paru wiekowych pijaczków niańczących kawę przy barze - dziadków o zażółconej cerze, bo obaj do spółki mieli najwyżej pół funkcjonującej wątroby. Oni nigdy słownie nie zamawiali kawy, po prostu odwracali kubki i czekali, aż zostaną obsłużeni. Z tyłu, w jednej z łóż, migdałiła się jakaś parka, szepcząc sobie dusery do ucha. Nikt nie włączył szafy grającej. Grzywka powiedziała coś do swojej przyjaciółki i zachichotała. Rose podchwyciła tylko jedno słowo: Casper.

Rumieniec tymczasem przewędrował na tyły jej nóg. Przyjaciółka dziewczyny zaniósła się piskliwym śmiechem, przywodzącym Rose na myśl kwik wrednego prosiaka.

Kiedy znalazła się wreszcie za barem, rozerwała saszetkę kakao z minipiankami i wsypała zawartość do czystego kubka. Ta dziewczyna, Grzywka, miała na sobie letnią zieloną sukienkę, zupełnie nową, a na ramionach biały sweter lekki jak mgielka. Sweter uroczy, z rodzaju tych, które kochająca matka kupuje córce wraz z nową pościelą i małą lodówką do pokoju w akademiku. Rose była gotowa postawić swoje tygodniowe napiwki na to, że wspomniana matka trzyma panieński pokój córeczki w nienaruszonym stanie, by był gotowy na jej odwiedzinę podczas ogólnonarodowych świąt i szkolnych ferii.

Natomiast Rose - dużo ładniejsza, inteligentniejsza i miłsza od tej pannicy - dryfowała z miasta do miasta pozbawiona matczynej miłości. Mieszkała sama w tanim pokoiku bez zamka w drzwiach. Nawet cholerny kot Kim, który wabił się Boo, bez trudu otwierał jej drzwi. Stawał na oparciu sofy i walił w klamkę pokrytą parchami łapą. On w ogóle był cały sparszywiały. Kim twierdziła, że to alergia na pchły, ale nigdy nie zaprowadziła kota do weterynarza. Tak czy inaczej, zwierzak się wkraadał do pokoju w nocy, po czym - wilgotny i nieszczęsny - wsuwał się pod koc i wciskał w bok śpiącej Rose, która miała uczulenie na koty, ale na sucho łykała parę tabletek benadrylu, po czym pozwalała, by Boo się do niej tulił - tak bardzo była wówczas zdesperowana.

Zachowywała się niczym ścigana uciekinierka, ale w istocie jej ojciec był zbyt zajęty dorywczą pracą na budowach i pełnoetatowym pićciem, żeby ruszyć na poszukiwania córki. Nikogo innego też nie interesował jej los. Rose Mae często sobie roiła, że oto nagle wpada do jej pokoiku od wieków niewidziana matka i wykrzykuje przez łyżę: Wybacz! Tym razem zabiorę cię ze sobą! Lub niespodziewanie zjawia się jej licealna miłość, Jim Beverly, przegania parchatego kota, po czym oznajmia: A więc tutaj się skryłaś! Dzięki Bogu, że wreszcie cię odnalazłem! Jednak jak do tej pory żadne z nich nie przybyło z odsieczą. Nędzny pokój, pokryty strupami kot, tania restauracja i irytująca

maska tryskającej szczęściem dziewczyny - tak wyglądało jej codzienne życie.

To ja powinnam siedzieć w tej łoży, pomyślała Rose, być dziewczyną z college'u, taką jak Grzywka: rozrywana towarzysko, zapraszana na randki przez przystojne gwiazdy akademickiego sportu. Przez pół minuty, przekomarzając się na temat futbolu, nie kryła się za maską - była autentycznie radosna i seksownie błyskotliwa. Przez tę krótką chwilę Rose znowu była sobą i poczuła się tak, jakby wróciła do odnowionego i czystego, ale bezsprzecznie własnego domu.

Grzywka powinna jej podarować te pół minuty, ponieważ miała dla siebie całą noc. Do diabła, miała przed sobą cały rok i jeszcze wiele następnych lat bajkowego życia. Rose wlała do kubka wrzącą wodę i wbiła wzrok w pienneście rozpuszczające się kakao. Ona miała tylko nieprzeciętną urodę, łyżeczkę w dłoni i prawo do mieszania napoju na życzenie wrednych suk, by nabrał aksamitnej gładkości. Na tę myśl Rose poczuła ostrą gorycz wzbierającą w gardle i do ust gwałtownie napłynęła jej ślina.

Nie mogła się powstrzymać. Jej życie było tak puste i nędzne, a Grzywka zrujnowała nawet te drobne trzydzieści sekund niczym niezamąconej radości. Rose przykucnęła. Zniknęła za kontuarem. Ściągnęła usta niczym do pocałunku i powoli wypuściła strugę śliny wprost do kubka z kakao. Szybko wmieszała plwocinę do napoju, po czym uśmiechnęła się zjadliwie od ucha do ucha.

Ledwo podniosła wzrok, ujrzała Thoma Grandeeego zagląającego za bar. Zamarła, teraz bardziej obnażona niż wtedy, kiedy Kim wparowała do jej pokoju. Zrzuciła z siebie fałszywą powłokę i on ją na tym przyłapał. Zza maski Ro, radosnej kelnerki, wyjrzała Rose Mae Lolly i ten facet ją zobaczył.

Chociaż nic nie dał po sobie poznać. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

Wstała z wolna, z kubkiem w dłoni, i zmusiła się do zawodowego, słodkiego uśmiechu.

- Przyszedłem po drobne. - Jego uśmiech był otwarty i szczerzy.

Popatrzyła głupawo na dolarówkę, którą trzymał w palcach, niepewna sytuacji, w jakiej się znalazła. Może wpakował głowę za bar dopiero w chwili, gdy podnosiła wzrok?

- Na szafę grającą - dorzucił.

- Przyjmuje banknoty dolarowe - odparła Rose drewnianym głosem. - Normalnie jeden kawałek kosztuje ćwiartkę, ale za całego dolara można wybrać aż pięć utworów.

- Super. - Cofnął dłoń z banknotem.

- Dolewka? - odezwał się niespodziewanie jeden z pijaczków.

A więc Bóg pobłogosławił go jednak darem mowy. Czerwony winyl barowego stołka zaskrzypiał ostro, gdy pijak poruszył się gwałtownie, sam chyba zdziwiony dźwiękiem własnego głosu.

- Chętnie zaniosę kakao do stolika - zaproponował Thom.

Teraz już nie był w stanie zachować powagi. Uniósł zawadiacko brew, a w jego niebieskich, do tej pory obojętnych oczach, pojawiły się chochliki - równie złośliwe jak u Rose Mae.

A więc jednak ją przejrzał.

- Zaparzę dla niej nowe - bąknęła, rumieniąc się gwałtownie.

Ale on już chwycił kubek.

- Jestem Thom Grandee - rzucił.

- Ro - odparła i pozwoliła mu zabrać kakao.

- Zauważyłem - powiedział i przez jedną krótką, osłabiającą chwilę sądziła, że mówi o plwocinie, ale on zaraz wskazał na złotą plakietkę z imieniem, przypiętą tuż nad lewą piersią. - Rose Mae - odczytał powoli. - Wyluzuj i dolej temu gościowi kawy. Ja zaniosę kakao do stolika.

Nalała pijakowi kawy, spod rzęs obserwując Thoma Grandeeego, który dołączył już do znajomych i podał kubek Grzywce.

Drugi pijaczek wskazał palcem na pączki leżące w oszklonej gablocie. Rose podała mu ciastko, a następnie chwyciła bloczek zamówień. Najpierw zamierzała sprawdzić, co słychać u parki z tylnej łoży, a potem przyjąć zamówienie Thoma, który ze spokojem patrzył, jak Grzywka małymi łykami sączy jej ślinę.

Kiedy podeszła do stolika, towarzystwo było ogólnie rozbawione, a Thom zaczął wrywać kubek z rąk dziewczyny.

- Nie chodziłaś do przedszkola? Nie nauczyłaś się dzielić tym, co dobre, z innymi? - rzucił zaczepnie do Grzywki i, patrząc Rose prosto w oczy, przyssał się do kakao.

Wypijał jej ślinę szybko, zachłannie, chociaż napój był wciąż tak gorący, że musiał parzyć podniebienie. A mimo to Thom wysuszył kubek do ostatniej kropli, przez cały czas nie spuszczał wzroku z Rose.

- Rety, ale z ciebie prosię! - wykrzyknęła Grzywka, zaśmiewając się zaczepnie. - Teraz musisz zamówić dla mnie następane.

- Co mam podać do jedzenia? - wtrąciła czujnie Rose.

Wszyscy zamówili zestawy śniadaniowe, na koniec zaś Thom Grandee dorzucił:

- No i Caroline chciałaby jeszcze jedno kakao. - Uśmiechnął się szeroko do Rose. - Przyrządzone dokładnie tak samo jak poprzednie.

I wówczas ona też go przejrzała. Należał do tego typu mężczyzn, który był jej z góry pisany - poczynając od ojca, a na wszystkich innych kończąc. Rose i Thom Grandee odnaleźli się jak w korcu maku w chwili, gdy on wetknął głowę za bar i zobaczył, kto tak naprawdę się kryje za maską poprawnie radosnej kelnerki. Ten obraz przypadł mu do serca i w owej chwili Thom zaczął jej pożądać z całym dobrodziejstwem inwentarza. Wiedziała więc, że on tutaj wróci. Uśmiechnęła się i, kołysząc biodrami, odeszła zrealizować zamówienie.

Rose też była najładniejszą dziewczyną w szkole. Co prawda nie zdała matury, ale za to cholernie dobrze rozumiała, jak funkcjonują fałszyki. Dlatego jedno nie ulegało dla niej wątpliwości: Thom przygna do tej restauracji w nadziei, że zdoła się posunąć w górę tych rumieńców na jej łydkach, przynajmniej na tyle, na ile ona mu pozwoli. Jutro, najdalej pojutrze, Rose zobaczy go przez szybę, idącego pewnym siebie, sprężystym krokiem sportsmena. I wówczas będzie musiała wyprzedzić go w tej grze, wabić, by zawsze chciał ku niej podążać zniecierpliwiony, niekiedy nawet wkurzony do granic możliwości. Musi

się znajdować w zasięgu jego wzroku, ale pozostać nieosiągalna. Jeżeli przetrzyma go dość długo po drugiej stronie szyby, będzie zawsze podążał w jej stronę.

Tak jak teraz.

Wyraźnie słyszałam, że nadbiega ścieżką. Słyszałam odgłos jego stóp uderzających o ziemię.

Moje usta poruszyły się bezgłośnie, ale i tak rozpoznałam natychmiast słowa, w jakie się układały: „Zdrowaś Mario, łaski pełna. Pan z Tobą”. Oto pierwsza z tysiąca modlitw różańcowych, które będę musiała odmówić, by się oczyścić z grzechu po zabójstwie Thoma.

Czułam, jak ziemia wibruje w rytm miarowego biegu. Wsunęłam lufę w dobrze naoliwione leże. Kiedy usłyszałam charakterystyczny trzask, moje usta znowu zaczęły się poruszać: Błogosławiona Tyś między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

Ujrzałam czubek głowy Thoma, wynurzający się ponad szczyt łagodnego wzniesienia. Odwiodłam kurek i czekałam, aż zimny metal broni ułoży się odpowiednio do mojej dłoni, nabierze życia. Kolt, złożony w całość, był przedmiotem po wielekroć potężniejszym od prostej sumy jego elementów grzechoczących wcześniej na dnie mojej torby. Przywiozłam go z sobą z Alabamy, był kradzionym trofeum prosto z czasów dzieciństwa. Należał do Rose Mae Lolly, nie do mnie. To Rose Mae trzymała ten rewolwer tysiące razy i zawsze miała wrażenie, że włącza się on w jej krwiobieg. Bez wyjątku podporządkowywał się jej woli - równie bezbłędnie jak palce dłoni.

Jednak nie dzisiaj. Dzisiaj kolt dziadunia był niczym martwy ptak w moich rękach. Nie wyczuwałam w nim tego charakterystycznego pulsowania tętna.

Doleciał do mnie poprzedzający biegnącego pęd powietrza, a wraz z nim zapach Thoma. Przesunęłam wzrokiem wzdłuż lufy i spostrzegłam, że jej koniec drży niepewnie. A więc znów byłam Ro Grandee, posiniaczoną, ale prawomyślną żoną, a trzęsące się dłonie próbowały ocalić przede mną mojego męża. Chciałam je uspokoić, oddychając tak głęboko, że aż wciągnęłam powietrze do brzucha, połykając

jednocześnie kolejne bezgłośnie słowa: Módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej.

Tuż po „amen” pomyślałam: Odłóż broń. W dzisiejszych czasach nawet katolicy się rozwodzą. Ale w gruncie rzeczy wiedziałam, że gdybym odeszła lub choćby postawiła nogę w kancelarii adwokackiej, Thom by mnie zabił. Usłyszałam o tym od wróżbiarki na lotnisku i prawdziwość tych słów wstrząsnęła mną do szpiku moich marnie pozrastanych kości. Boże dopomóż, ale nawet w tym momencie niezachwianie wierzyłam w tarotową przepowiednię.

Thom Grandee osobiście wielokrotnie powtarzał, że mnie wykończy. Mówił o tym przy stole podczas śniadania. I gdy zaciskał duże dłonie na mojej szyi, żeby mnie nagiąć do swojej woli, po czym łaskawie połuźniał uścisk na tyle, bym mogła zaczerpnąć życiodajną smużkę powietrza. Lub kiedy uprawiał ze mną seks z gwałtownością barbarzyńcy, a ja łkałam z rozkoszy. „Nigdy mnie nie opuścisz, Ro. Szybciej bym cię zamordował, niż pozwolił ci odejść”. Tak więc już od dawna wiedziałam, że nie mogłabym, tak ot, spakować się i wynieść lub rozpocząć pertraktacji z adwokatem.

Chodzi o to, że według wróżbiarki, Thom mnie zamorduje również wtedy, gdy z nim zostanę. Wcześniej nie dopuszczałam do siebie tej myśli, ale jak już została wypowiedziana, dźwięczała gdzieś w tyle mojej głowy nieustannym echem, niepodważalna niczym ewangelia. Pewnego dnia, i to wkrótce, doprowadzę męża do takiego stanu wrzenia, że nie będzie już odwrotu. W wyprowadzane ciosy włoży całą siłę swojego potężnego ciała, zatłucze mnie na śmierć, a dopiero potem się opamięta i będzie żałował swojego postępuku. Zastrzelenie go teraz było prewencyjną samoobroną. Mimo to moje słabe dłonie drżały jak osika, palce zeszytywniały, niezdolne do naciśnięcia na spust, a usta się układały w słowa kolejnej bezgłośniejszej modlitwy do Maryi.

Głowa Thoma wychylała się ponad szczyt pagórka niczym tarcza wschodzącego słońca. Dwa rytmiczne uderzenia o ziemię biegnących stóp i ujrzałam jego ramiona. Dwa kolejne - i przed oczami miałam płaski, muskularny brzuch, i wówczas zdałam sobie sprawę, że coś nie

jest w porządku. Thom był wyjątkowo wysportowany, więc skąd ten odgłos dychawicznego sapania? Czy to ja oddychałam z tak wielkim wysiłkiem? Wywoływałam chrapliwe echo towarzyszące jego krokom?

Nie miałam jednak czasu na dalsze rozważania. I nie mogłam pozwolić, żeby mnie rozpraszały jakiegokolwiek dźwięki. Wzięłam Thoma na muszkę; lufa wciąż drżała w moich rękach, a obraz się rozmywał przed oczami. Niewykluczone, że za sprawą łez. Wydawało mi się, że Thom ciągnie za sobą cienką czerwoną smużkę, coś na kształt pojedynczej, smętnej serpentyny. Ale teraz nie koncentrowałam wzroku na Thomie, skupiałam się jedynie na broni. Kiedy byłam jeszcze bardzo mała, zanim po raz pierwszy wystrzeliłam z dziecinnego karkowca, tato pokazał mi ten rewolwer rozłożony na dwie części, całkowicie niegroźny. Pozwolił mi spojrzeć w głąb lufy, a nawet wetknąć w nią palec.

- Rose Mae, musisz poznać tylko jedną zasadę - powiedział wówczas. - Dotyczy ona bezpieczeństwa i zamierzam ci ją powtarzać, ilekroć będziesz strzelać, bo chcę, żeby dobrze zapadła ci w pamięć. Widzisz ten czarny otwór? Pamiętaj, że nigdy, przenigdy i pod żadnym pozorem nie wolno ci go kierować w stronę tego, czego nie zamierzasz rozpirzyć w drobny mak.

Wypowiedział te słowa bez cienia ironii, gdy oboje wpatrywaliśmy się w wylot lufy łypiącej na mnie czarnym, przepastnym okiem.

Teraz mierzyłam prosto w pierś Thoma, dokładnie w to miejsce, do którego często przykładam ucho i słuchałam bicia potężnego serca swojego męża. Dzieliło mnie od niego zaledwie parę metrów. Byłam odrętwiała, na wpół oślepiąca przez łzy i już wiedziałam, że nie zdolam go skrzywdzić. Spójrzmy prawdzie w oczy - byłam na tyle bezwolna, żeby się poddać walkowerem, pogodzić z faktem, że w końcu Thom pozbawi mnie życia. Zacisnęłam powieki i już nie miałam pojęcia, gdzie celuję - w powietrze, sowę, czy męża.

Oczyma wyobraźni oglądałam własną śmierć, widziałam, jak spokojnie się na nią godzę. Patrzyłam na dłonie zaciskające się na moim gardle - zbyt mocno i zbyt długo. Nagle jednak zdałam sobie sprawę, że nie było w tej wizji twarzy Thoma i w tej samej chwili odrętwienie

minęło, odzyskałam władzę nad palcami, mogłam ze spokojem pociągnąć za cyngiel.

Co też uczyniłam.

Byłam pewna, że nie minęło nawet pół minuty od chwili, gdy wycelowałam, zamknęłam oczy, obejrzałam własną śmierć i odprężyłam się na tyle, by wystrzelić. Ledwo nacisnęłam na spust, spod moich zaciśniętych powiek wypłynęły palące łzy. Nagle broń pobudzona do życia wypaliła po raz kolejny, wypłuła pociski szybciej, niż dobiegł mnie huk wystrzału przesywającego powietrze. Wciąż miałam zamknięte oczy, łzy kapały mi z brody na T-shirt, gdy usłyszałam straszny, przesywający skowyt - nieludzki, wyrażający pełne cierpienia oszołomienie.

Natychmiast ogarnął mnie wielki spokój, a broń zaciężyła w rękach tak bardzo, że bezwolnie opadły w dół i teraz wylot lufy celował w ziemię.

Uniosłam powieki, ale przez chwilę zupełnie nie pojmowałam, co właściwie mam przed oczami. Thom stał jak wryty z rozdziawionymi ustami, wciąż ciągnąc za sobą cienką, czerwoną serpentynę. Był niedraśnięty, a mimo to skowyt przybierał na sile. W końcu mój mąż wrzasnął:

- Nie strzelać! Nie strzelać!

A ja w tym momencie uświadomiłam sobie, że czerwona serpentina była starą smyczą, i zobaczyłam za Thomem jasnobrażowy kształt majaczący na ziemi na samym szczycie wzgórza. Nie zabiłam męża. Tragicznie spudłowałam i w zamian trafiłam swojego psa.

To wycie było wyciem Grubej Gretel. Niechcący ustrzeliłam swoją ukochaną sukę. Czas się zaciął, po czym zwolnił tak gwałtownie, że kolejne sekundy ułożyły się w sekwencję zatrzymanych w kadrze obrazów. Na pierwszym - Gretel, wierzgająca spazmatycznie łapami. A więc Thom zabrał ją ze sobą i to ona wcześniej sapała ciężko, wywołując efekt dychawicznego echa. A teraz wyła z bólu - i ledwo to sobie uświadomiłam, ogarnęła mnie tak straszna wściekłość, że natychmiast przestałam płakać.

Thom miał zostawić ją u weterynarza, jednak zaczekał, póki nie zostanie zaszczepiona, a potem przywiózł do tego wąwozu i zmusił do

biegania. W kółko powtarzał, że powinnam codziennie dobrze przeganiać Gretel i w ten sposób wreszcie ją odchudzić, ja natomiast zawsze odpowiadałam, że ma zostawić moją psinę w spokoju. Wzięłam Gret wkrótce po naszym ślubie, więc od pięciu lat wiodła u mojego boku bezgrzeszne życie istoty niewinnej. Nieczęsto płakałam, ale gdy już mi się to zdarzyło, ona krążyła wokół mnie zaniepokojona, pomrukiwała cicho i warowała przy mnie czujnie, dopóki łzy nie przestawały płynąć. Zasłużyła sobie na prawo do wylegiwania się na dywanie oraz obrastania tłuszczem wedle własnego gustu i woli.

Następny kadr - wszystkie żywe istoty nagle wykonały jakiś ruch. Sowa w panice wystrzeliła w górę, niczym flara znakująca moją kryjówkę. Gretel zadrgała i ponownie zawyla. Thom odskoczył, przestraszony gwałtownym trzepotem skrzydeł sowy, po czym wrzasnął:

- Nie strzelaj, pieprzony kretynie! Tutaj są ludzie!

Bezwiednie rozdziawiłam usta i z cichym sykiem wypuściłam z płuc wstrzymywane do tej pory powietrze.

Thom nie mógł usłyszeć odgłosu tego wydechu, niemniej energicznie ruszył w moją stronę. Wycie Gretel ucichło, a potem przeszło w ogłuszający skowyt istoty, która doświadcza nie tylko bólu, ale i poczucia zdrady. Ten dźwięk był tak przeciągły, jakby moja psina już nigdy więcej nie miała zaczerpnąć oddechu. Ja tymczasem znieruchomiałam w rowie.

Thom dopadł do zakrętu w dwóch długich susach, które niemal całkiem zniwelowały dzielący nas dystans. Nadchodził, by wyciągnąć mnie z kryjówki i zamordować na miejscu, gołymi rękami. Teraz, natomiast. Na kolejnym zatrzymanym w kadrze ujęciu jestem bezużyteczna i sparaliżowana strachem. Na następnym - pojawia się niespodziewanie Rose Mae. I teraz, po latach, znowu stanowimy jedność - matrioszka zniknęła, ponownie się stopiłyśmy w niepodzielną całość. Oto ja, Rose, a naprzeciwko Thom, jak zwykle szarżujący agresywnie, tyle że tym razem naprawdę gotowy mnie zabić. W tle zaś Gretel, ciężko ranna, dogorywająca na piasku, wymagająca pomocy, której nie mogłam jej udzielić, bo stał mi na przeszkodzie rozjuszony facet. Moje

ręce, niewzruszone jak skała, uniosły broń. Przymknęłam oko i wycelowałam w głowę Thoma, po czym nacisnęłam na spust. Dwukrotnie. Niestety, nie miałam dość czasu, by się dobrze złożyć do strzału, więc pociski świsnęły mu koło lewego ucha. Przeleciały jednak tak blisko, że musiał poczuć ich żar, gdy przecinały powietrze.

Zatrzymał się gwałtownie. Nagle do niego dotarło, że strzały nie padły przypadkowo. To nie były zbłąkane kule. Ktoś z rozmysłem walił do niego. Co oznaczało, że idąc w stronę, w którą szedł, sam się wystawiał na cel. Ledwo to sobie uświadomił, rzucił się w bok, a gdy do niego ponownie mierzyłam, jego ciało, wygięte w kabłąk, zniknęło w gęstwinie drzew po lewej stronie ścieżki.

Pies przestał skowyczeć. Nasłuchiwałam gorączkowo, przerażona, że Gretel wyzionęła ducha, aż w końcu pochwyciłam odgłos jej nierównego oddechu. Gdzieś w moich trzewiach zaczął wzbierać krzyk - pęczniał i natrętnie wdzierał się do gardła. Obróciłam kolta w rękę i płaską stroną uderzyłam się w głowę tak mocno, że niemal się ogłuszyłam i szczęśliwie nie miałam dość siły do dalszych tego typu wyczynów.

Dwie kule minęły Thoma o włos. Dwie utkwily w ciele mojego psa. A więc dwie jeszcze zostały w bębunku. Przykucnęłam głębiej i wysunęłam lufę tuż ponad krawędź rowu. Znów nasłuchiwałam, tym razem ukradkowych kroków Thoma, próbującego mnie zejść z jednej bądź drugiej strony. Był sprytny. Obmyśliłby starannie, jak niepostrzeżenie dotrzeć do miejsca, z którego poderwała się sowa. Ale kiedy spojrzy w dół rowu i zobaczy, że strzelcem jest jego Ro, to może - zaskoczony tym widokiem - zawaha się przez ułamek chwili, a ja zdołam wykorzystać to okienko w czasie i dopełnię krwawego dzieła. Z tak bliskiej odległości w żadnym razie nie spudłuję. I będę musiała go zabić, jeżeli chcę pożyć na tyle długo, by przyjść z pomocą mojej psinie.

Gretel zajęczała przejmująco. Słyszałam, jak przebiera łapami po piasku. Wysunęłam czubek głowy poza nasyp rowu, powoli, niczym aligator, i wtedy zobaczyłam Thoma. Powrócił na ścieżkę i pochylał się

nad ranną psiną. Moje ręce przestały drżeć. Oczu nie zasnuwała łza-wa mgła. Uniosłam rewolwer dziadunia i wycelowałam. Palec stęzał na spuście. W kolcie pozostały jeszcze dwa naboje i oczyma duszy już widziałam, jak bezbłędnie uderzają w cel - jeden trafia w kręgosłup schylającego się Thoma, drugi prosto w głowę.

A wtedy on chwycił w ramiona Gretel. Moje usta mimowolnie się ułożyły w pełne zdumienia „O” i aż zaparło mi dech w piersi. Thom nie skradał się przez chaszczce, żeby wytropić strzelca. Nie zmykał z podwiniętym ogonem, co sił w nogach, byle znaleźć się jak najdalej od strefy zagrożenia. Ryzykował życie, żeby ratować moją psinę. Skóra zadrgała na jego plecach, jakby opadły go muchy - musiał szóstym zmysłem wyczuć, że wciąż jest na celowniku.

Uniósł w ramionach mojego trzydziestokilogramowego psa bez wysiłku, niczym piórko, dzięki napędzającej go adrenalinie i niezliczonym godzinom poświęconym na dźwiganie sztangi oraz jogging. A potem zawrócił i ruszył w dół ścieżki, powoli, bo na szybkie tempo nie pozwalało mu obciążenie w postaci mojej skowyczącej suki. Truchtał zakosami, nie chciał być łatwym celem, chociaż tak naprawdę można by go teraz z łatwością ustrzelić jak kaczkę, ponieważ Gretel nie tylko go spowalniała, ale również zaburzała jego równowagę. Zdołałabym go trafić bez najmniejszego problemu. Wodziłam nawet za nim lufą, ale zsunęłam palec ze spustu. Roztkliwiła mnie odwaga i wielkoduszość Thoma. Nadstawiał karku dla psa i chociaż niespecjalnie widział sens trzymania Gretel w domu, ratował ją, bo była moja i Thom wiedział, że bardzo ją kocham. Odbiegał zygakiem, najszybciej jak mógł, cały czas przeczuwając, że znajduje się na muszce.

To był najbardziej romantyczny gest, jaki widziałam w życiu.

Nagle uświadomiłam sobie, że już dawno przestałam odmawiać zdrowaśki. Teraz po mojej głowie kołatał się wierszyk z bajki braci Grimm, którą czytała mi mama, kiedy byłam jeszcze zbyt mała, żeby strzelać z czegokolwiek innego niż dziecinny pistolecik-wiatrówka. „O, Śnieżko biała, o Różyczko czerwona, będziecie gnębić kochanka, aż skona?” Tak mówił książę zaklęty w niedźwiedzia. Zasnął przy

kominku Śnieżki, która ze swoją siostrą Różyczką najpierw go obila, a potem kopniakami turlała po podłodze. On zaś powtarzał te rymy w nadziei, że zdoła oblaskawić krewkie dziecko.

Dziecięcy wierszyk nie dawał mi spokoju, dźwięczał w rytm podrygiwania głowy Thoma, który zbiegał w dół serpentyną, co prawda niezdarnie, ale cały i zdrowy.

Nie nacisnęłam na spust. Zaledwie tego ranka odwróciłam ku mojemu mężowi twarz, żeby mógł mnie pocałować. Zaledwie tego ranka zerwałam się bladym świtem, żeby przygotować mu śniadanie. A potem przyjechałam tutaj, ponieważ postanowiłam pozbawić życia to ciało, które niedawno nakarmiłam, i pozostawić w lesie na pastwę mrówek. Jasnowłosa głowa Thoma skryła się za szczytem wzniesienia. Zniknął z mojego pola widzenia. Już go nie było. Szybko rozłożyłam broń na dwie części, które z powrotem wrzuciłam do torby.

Pochyliłam się nisko i przywarłam twarzą do leśnego poszycia. Czułam, jak wbijają się w nią korzenie. Nie wiedząc kiedy, znowu zaczęłam płakać. Płakałam z powodu Gretel i mojej bezwolnej, podszytej tchórzostwem miłości. Wypłakiwałam z siebie duszę, aż w końcu cała rozplynęłam się we łzach, po czym leżałam w rowie niczym zużyty gałgan.

A jednocześnie jakaś racjonalna częśćka mojego umysłu zaczęła rozważać, gdzie teraz może się podziewać Thom. Miałam wrażenie, że tkwię tu i płaczę od wielu godzin, a tymczasem, kiedy spojrzałam na zegarek, okazało się, że nie minęło nawet dziesięć minut od ostatniego wystrzału. Mniej więcej trzy kilometry stąd znajdowała się stacja Shella, tam z pewnością był automat telefoniczny. Chciałam zadzwonić do Thoma, zapytać, co z Gretel, dokąd ją zabiera, czy moja psina wciąż oddycha, ale nie wiedziałam, dokąd miałabym dzwonić. Ojciec Thoma, straszne skąpiradło, jeszcze nie dołączył do reszty ludzkości i nie wymienił pagera syna na telefon komórkowy.

Thom zapewne zawiezie Gretel do weterynarza, ale dokąd pojedzie potem? Do domu? Na policję? Nagle zeszytywniałam, bo dotarło do mnie, że wcale nie muszę poszukiwać Thoma. To on zacznie

poszukiwać mnie. Już wkrótce. Bo co ostatecznie robią faceci, do których ktoś strzelał? Dzwonią do swoich żon, i to najszybciej jak mogą.

Ściskając kurczowo torbę, wytarabaniłam się z rowu. Thom nie może mieć najmniejszych wątpliwości, gdzie jego żonka spędziła poranek. W każdym razie nie dzisiaj. Kiedy zadzwoni, Ro Grandee musi być w domu - wystrojona w żółtą sukienkę i baleriny ostrożnie zmywać zaschnięte żółtko ze śniadaniowych talerzy Thoma.

Poderwałam się i co sił w nogach popędziłam w stronę samochodu.

Rozdział 2

Wszystkiemu była winna ta wróżbiarka z lotniska. Próbowалаm zabić Thoma Grandeeego, ponieważ powiedziała, że albo ja, albo on. Namawiała, żebym poświęciła jego, nie siebie. Nie mam pojęcia, jak długo się kręciła po ulicach Amarillo; spotkałam ją, kiedy już wyjeżdżała. Gdyby pani Fancy nie poprosiła o podrzucenie na lotnisko, nigdy bym się nie dowiedziała o istnieniu tej wróżbiarki kipiącej złowieszczymi przepowiedniami. Wyprawa na lotnisko była niczym ów hufnal, który odpadł od podkowy konia, przez co zwierzę okulało, a wódz przegrał bitwę. Gdybym nie wyświadczyła przysługi pani Fancy, nie urządziłabym w lesie zasadzki na własnego męża.

Pani Fancy była moją najbliższą sąsiadką produkującą wspaniałe wypieki, przez które zwiększyłam gabaryty o cały rozmiar od chwili, gdy wraz z Thomem wprowadziliśmy się do obecnego domu. Owego pamiętnego dnia przyszła z koszykiem pełnym muffinek, po czym złapała mnie za ramię i oświadczyła; „Jak miło, że młodzi ludzie znowu się pojawili w naszej okolicy!”. Thom pozbył się jej w ekspresowym tempie, a gdy oparłam się o zamknięte za starszą panią drzwi i wybuchnęłam śmiechem, udawał, że na glucho zabija je gwoździami.

To nie powstrzymało jednak pani Fancy od truchtania przez dzielący nas wąski pas trawnika i dostarczania mi przepysznych wypieków oraz okazji do niezobowiązujących pogawędek. Ona też powiedziała, jak powinnam dokarmiać swoją cherlawą forsycję, tak że następnego roku olśniewała bogactwem kwiatów. Staruszka od razu też zrozumiała, że nie powinna wpadać z wizytą, kiedy Thom jest w domu. A kiedy po raz pierwszy zobaczyła mnie z ręką na temblaku, zapytała z troską, co się stało, ale tylko wtedy, ten jeden jedyny raz. Bez mrugnięcia okiem przyjęła moje wyjaśnienie, że potknęłam się w ciemnościach, przymknęła jedynie oczy i wydała z siebie kilka pełnych współczucia

cmoknięć. Zaraz też upiekła babeczki czekoladowe z miękkim, lekko kleistym środkiem - moje ulubione, jak już zdążyła się zorientować. I nigdy więcej nie zadawała żadnych niewygodnych pytań. W rezultacie przed upływem roku rozsmakowałam się w jej słodkościach i niekrępującej przyjaźni. Wkrótce złapałam się na tym, że przemierzam wąski pas trawnika równie często jak ona, targając ze sobą dzbanek lemoniady własnej roboty lub aromatyzowanej kawy. Innymi słowy, zażyłość z panią Fancy była moją drobną tajemnicą.

Minionego tygodnia stanęła na mojej werandzie z talerzem nakrytym ściereczką w zasuszonych dłoni i poprosiła o podwieszenie na lotnisko, wybierała się bowiem w odwiedziny do jednej z córek. Chciała zobaczyć nowo narodzonego wnuka. „Moje ostatnie wnuczę”, tak go nazwała. Uśmiechnęła się przy tym do mnie promiennie, a skóra wokół jej oczu przypominała wiekowy pergamin - była pełna drobnych zagniotek, jakby ją ze sto razy wykorzystano do robienia origami.

- Z największą przyjemnością panią odwiozę - oznajmiłam, a ona odgarnęła kosmyk włosów z moich oczu i poszła do siebie, zostawiając mnie z pięcioma tysiącami kalorii na talerzu i perspektywą tak przeładowanego wtorku, że powinnam chyba wynająć dziewczynę z sąsiedztwa, by w razie czego ktoś mógł się za mnie wysuszać.

Plan przedstawiał się następująco: z samego rana pójde pobięgać, potem wpakuję panią Fancy w samochód, pognam na lotnisko jak piekielne widmo na kokainowym haju. Lekko tylko zwalniając, wyrzucę sąsiadkę i jej bagaże przed terminalem, następnie w tempie olimpijskiego sprintu zrobię zakupy w spożywczym, nastawię obiad w wolnowarze, wskoczę pod prysznic i udam się do pracy na swoją popołudniową zmianę do flagowego sklepu ojca Thoma, gdzie obsługiwałam kasę, podczas gdy Joe Grandee zasiadał na stołku w pobliżu drzwi do swojego biura i bez żenady wypalał wzrokiem piętno na moich udach.

Nie dalej jak w minionym tygodniu oznajmił:

- Nie zaszkodziłoby interesom, gdybyś rozpięła bluzkę o jeden guzik więcej, złotko.

I zupełnie nie krępował go fakt, że mój mąż rozmawia przez telefon zaledwie półtora metra dalej.

Nawet gdy Thom był tuż obok, Joe nie przestawał patrzeć na mnie takim wzrokiem, jakbym była kawalkiem gorącego chlebka kukurydzianego, wysmarowanego masłem i ociekającego miodem. Parę dni temu szturchnął Thoma w bok i oświadczył:

- Zalozę się, że gdyby wyszła zza kasy, to ze swoją wiedzą na temat broni i w tej obcislej, niebieskiej spódnicy, przebiłaby zyskami ze sprzedaży mojego najlepszego pracownika.

Thomowi zagrały mięśnie zuchwy, ale Joe tego nie zauważył, ponieważ był zbyt zajęty lubieżnym lustrowaniem mojej figury. Kiedy w końcu odszedł na zaplecze po colę, uśmiechnęłam się do męża i rzuciłam żartobliwie:

- Kształtna dupcia zawsze przebije dupka.

Łudziłam się, że tą uwagą rozładuję atmosferę, ale Thom jeszcze bardziej się najeżył i burknął zrzędlawie:

- Trzymaj język na wodzy.

Gdy chodziło o jego papcia, zawodziło go poczucie humoru.

We wtorek rano zakończyłam poranną przebieżkę u drzwi domu pani Fancy, po czym spocona i zziębiona niczym zgonione zwierzę nacisnęłam na dzwonek. Moja sąsiadka była już gotowa do podróży, a tuż za progiem czekały trzy olbrzymie walizy. Wzięłam po jednej w każdą rękę i zaczęłam tachać w stronę samochodu, podczas gdy pani Fancy chwyciła ostatnią. Upchnęłam swoje dwie sztuki w bagażniku hondy, natomiast staruszka położyła trzecią na podjeździe i otworzyła, żeby mi pokazać zawartość.

To, co zobaczyłam, po prostu mnie wcięło. Miałam przed oczami miriady pluszowych zabawek, kocyków w króliczki, śpioszków na zartzaski, wiązanych na troczki błękitnych i żółtych ubranek, które przywodziły na myśl pastelowe pudełeczka na dziecięcy lunch.

Ogarnęło mnie niezwykle roztkliwienie. Pani Fancy była wdową, żyła ze skromnej renty, a nakupowała całą walizę prezentów dla wnuczka, chociaż było jej dziewiątym z kolei. Na dodatek będzie musiała

sporo zapłacić za nadbagaż. Najprawdopodobniej kosztowałyby ją mniej, gdyby wysłała te podarki FedEksem, ale rozumiałam, o co jej chodziło. Chciała być przy tym, kiedy jej córka otworzy walizkę, chciała widzieć w owej chwili jej twarz. Schyliłam się i wzięłam w rękę miękką pluszową żyrafę, żeby pani Fancy nie dostrzegła w moich oczach łez. Na szczęście szybko zdołałam zapanować nad emocjami, pomogłam wpakować prezenty do walizki i wepchnęłam ją do bagażnika.

Oglądanie tych darów pochłonęło sporo czasu, którego praktycznie nie miałam. Na zatłoczonych ulicach odstawiałam więc dziki slalom między samochodami, co w wykonaniu innych kierowców zawsze doprowadzało mnie do szału. Siedząca obok pani Fancy była jednak zbyt podekscytowana, by zauważyć, że jej słodka przyjaciółka prowadzi niczym diabeł wcielony. Kiedy w końcu wjechałyśmy na autostradę, uśmiechnęła się do mnie promiennie i wówczas zauważyłam, że ma zęby umazane jaskraworóżową szminką.

- Janine jest mężatką zaledwie od roku - oznajmiła, odwracając twarz w stronę szyby. Ale tak naprawdę nie patrzyła na drogę, tylko skupiała wzrok na horyzoncie, jakby już znajdowała się w powietrzu. - Ma czterdzieści dwa lata. Najmłodsze z moich maleństw jest już po czterdziestce, wyobrazasz to sobie? - Skinęłam głową i wśliznęłam się pomiędzy dwie olbrzymie ciężarówki niczym jedna z tych wariackich rybek remora, które przez całe życie przemykają od jednego rekina do drugiego. - Nigdy nie sądziłam, że Janine będzie kiedykolwiek miała dzieci.

Pani Fancy wypowiedziała ostatnią kwestię mocno podniesionym głosem, żeby się przebić przez wściekle trąbienie kierowcy ciężarówki, któremu zajęchałam drogę, ale nie siłą głosu, tylko coś w jego tonie sprawiło, że czujnie zastrzygłam uszami. Miałam wrażenie, że wychytuję nutę przebiegłości, a przebiegłość nie leżała w naturze pani Fancy.

- Dawno, dawno temu Janine wyszła za mąż za wyjątkowo podłego człowieka. Z tego powodu nawet nie skończyła liceum. Kiedy w końcu się od niego uwolniła, nie chciała w ogóle słyszeć o mężczyznach

i całkowicie się poświęciła pracy zawodowej. Nigdy więc nie myślałam, że dożyję takiej chwili.

Pani Fancy zaczęła grzebać w swojej przepastnej torebce, starając się przybrać niewinny wyraz twarzy, jednak nadal otaczała ją aura przemyślanej chytryści.

- O, nie. Dość - zaprotestowałam, ale mnie zignorowała; być może sądziła, że to uwaga pod adresem faceta w czerwonym nissanie, który usiłował się wepchnąć na mój pas ruchu, bo jakby nigdy nic ciągnęła wątek.

- Na szczęście Janine w końcu się zebrała na odwagę i odeszła od tego podłego człowieka, po czym założyła własną firmę. Nazwała ją „Wiosenne Porządki” i wkrótce musiała zatrudniać kogoś do sprzątnia u siebie. Tak bardzo była zajęta organizowaniem porządku w cudzych domach, że jej własny nieomal zawłaszczyły robaki. Doszłam do wniosku, że zrezygnowała z osobistego szczęścia. Wydawało mi się, że już nie zważa na tykanie biologicznego zegara, a na dodatek mocno utkwiał mi w pamięci artykuł z „Newsweeka”, w którym napisano, że kobieta w jej wieku ma statystycznie większe szanse na śmierć z ręki terrorysty niż na zamążpójście.

Aż tu nagle, zeszłego roku, ilekroć rozmawiałam z nią przez telefon, słyszałam imię Charles. Charles to, Charles tamto, Charles powiedział, Charles zrobił. Puszczalam to mimo uszu, bo ten Charles coraz bardziej mi się podobał, a nie chciałam spłoszyć córki. Z jej opowieści wynikało, że to taki mężczyzna, który przed kobietą otwiera drzwi, rozumiesz, co mam na myśli? Taki, co ci pomoże włożyć płaszcz. No i proszę, teraz moja Janine jest szczęśliwą mężatką, wiecie spokojne, spełnione życie i na dodatek ma słodkiego dzidziusia. Czegóż więcej mogłabym chcieć dla swoich dzieci?

Pani Fancy wciąż gmerała w torbie, pilnie unikając mojego wzroku. Dobrze wiedziała, że jej opowieść była podszyta ściśle określonym podtekstem, który rozbudzał jak najgorsze instynkty w sercu Rose Mae.

- O Boże, chyba nie zapomniałam biletu. Czy widziałaś, żebym go zabierała?

Zerknęłam w dół i natychmiast ujrzałam ten cholerny bilet. Pani Fancy uporczywie grzebała wokół niego, chociaż był jednym z trzech największych przedmiotów, znajdujących się w jej wypchanej torebce. Ze złością chwyciłam kartonik i rzuciłam staruszcze na kolana. Do diabła, w każdy wtorek targałam jej wielki śmietnik przez cały podjazd aż na skraj krawężnika. Karmiłam kota, kiedy wyjeżdżała z miasta. A ona w zamian opowiadała mi o kółku miłośniczek szydełkowania oraz o parafialnym klubie czytelniczym i jednocześnie bardzo się pilnowała, żeby nigdy nie pytać, dlaczego przez całe lato noszę bluzki z długimi rękawami. Teraz zaś łamała naszą niepisaną umowę. Miałam wrażenie, że coś ważnego burzyła.

- Dziękuję, skarbie - powiedziała z ciepłym uśmiechem, ponownie ukazując zęby pomazane szminką.

Spojrzałam na jej kruche ramiona, miękkie, obwisły brzuch i chociaż byłam wściekła, wiedziałam, że muszę pomóc przyjaciółce. Nie ma mowy, żeby pani Fancy samodzielnie poradziła sobie z tymi trzema walizkami, nawet w obrębie tak niedużego lotniska jak Amarillo.

Jednocześnie byłam boleśnie świadoma, że oto rozpada się mój misterny plan działania, że czas mnie prześcignął i nie zdołam go już dogonić, co tylko jeszcze bardziej mnie rozjuszyło. Włączyłam migacz, nerwowo zmieniłam kilka pasów ruchu i w końcu wjechałam na lotniskowy parking.

- Odprowadzę panią do samolotu - rzuciłam ze złością.

- O, nie, nie skarbie. Po prostu mnie tu wysadź.

- Ależ z wielką chęcią wejdę z panią do środka. Naprawdę. Lubię lotniska - palnęłam jak ostatnia kretynka. Bo ostatecznie czy ktoś przy zdrowych zmysłach może być miłośnikiem lotnisk?

Tymczasem pani Fancy pokraśniała z zachwytu i oznajmiła:

- Ja też je uwielbiam! Jakże miło popatrzeć na podeksytowanych ludzi, zmierzających w najprzeróżniejsze strony świata.

Zaparkowałam i rozładowałam bagażnik w milczeniu, podczas gdy pani Fancy nucila coś pod nosem i ciekawie rozglądała się dookoła, zupełnie nieświadoma, że aż paruję ze złości. Chwyciłam bagażowy

wózek i wpakowałam na niego walizy. Ledwo się znalazłyśmy na terenie terminala, oczy pani Fancy zrobiły się okrągłe jak u sowy - zaczęła mrugać gwałtownie i rozglądać się dokoła, po czym znowu się zabrała do poszukiwania biletu.

- Musi pani stanąć w tej kolejce - wtrąciłam zniecierpliwionym głosem.

W myślach właśnie zrezygnowałam z zakupów. Czułam też, że powoli ucieka mi przygotowanie obiadu oraz prysznic. Ciekawe, czy Joe nadal będzie uważał, że mogę przebić jego najlepszego sprzedawcę, gdy się zjawię w salonie śmierdząca od potu. Z drugiej strony, może dzięki temu uda mi się dzisiaj wywinąć od tej cholernej roboty.

- Proszę iść za mną.

Ustawiłam panią Fancy w odpowiedniej kolejce, ale nagle się okazało, że ona nie może znaleźć żadnego dokumentu potwierdzającego tożsamość. Postanowiłam więc zostać i dopilnować, żeby szczęśliwie przeszła przez odprawę. Spod wielkiego opakowania chusteczek jednorazowych i niezliczonych listków bezcukrowej gumy do żucia wygrzebałam legitymację.

Pani Fancy chwyciła ją w roztargnieniu, wodząc oczami wokół, aż nagle szturchnęła mnie łokciem i wyszeptwała:

- Popatrz, to ja! Ja w wieku trzydziestu lat! - Skinęła głową w stronę szczupłej brunetki, stojącej dwie kolejki dalej.

Spojrzałam na ciemnowłosą kobietę, po czym, kompletnie skołowana, przeniosłam wzrok z powrotem na panią Fancy.

- To taka zabawa, głuptasie - usłyszałam. - Wraz z panem Fancy zawsze umilaliśmy sobie nią czas na lotniskach. Odnajdowaliśmy nas samych za dwadzieścia czy trzydzieści lat, patrzyliśmy, jak prawdopodobnie będziemy wyglądać, a niekiedy nawet podsłuchialiśmy rozmowy naszych wybrańców, bo chcieliśmy wiedzieć, czy się udajemy w jakieś interesujące miejsce. Pan Fancy - a! - on to lubił się ze mną droczyć! Wynajdował stare, okropnie klójące się pary i mówił: „Oto my za pięćdziesiąt lat!”. Albo wyszukiwał najładniejszą dziewczynę i oświadczał: „Ta wygląda prawie tak jak ty, tyle że nie jest aż tak

urocza". Ostatnimi czasy rzadko podróżuję, ale gdy już mi się to zdarza, próbuję odnaleźć samą siebie z czasów, kiedy byłam młodą matką lub świeżo poślubioną żoną. No bo nie mam już szans na spotkanie kogoś starszego ode mnie, o ile nie wraca do domu w trumnie!

Parsknęła śmiechem, ale ja się poczułam bardzo nieswojo i rzuciłam szybko:

- Ma pani w sobie jeszcze mnóstwo życia, pani Fancy.

Zbyła moją uwagę machnięciem dłoni.

- Jedyną istotą starszą ode mnie na tym lotnisku jest nasz Stwórca. Ale powiadam ci, wyglądałam bardzo podobnie do tej kobiety, kiedy miałam trzydzieści lat.

Raz jeszcze skinęła głową w stronę brunetki - długonogiej istoty z niezłym biustem, stojącej w kuscielskiej pozie. Upudrowane policzki pani Fancy były bardzo obwisłe. Staruszka miała na sobie wysokie w talii spodnie z poliestru i workowatą, mocno kwiecistą bluzkę, mimo to dostrzegałam wyraźnie ruiny jędrnej, kształtnej sylwetki, a pod nimi zarys delikatnych kości.

Zmierzyłam taksującym spojrzeniem brunetkę, po czym zauważyłam:

- Rety, pani w wieku trzydziestu lat to doprawdy...

Urwałam. Nie mogłam się zdobyć, by nazwać kogoś, kto tak silnie wydzielał zapach talku, prawdziwą seksbombą, ostatecznie więc zakończyłam:

- ... dziewczyna jak z obrazka.

- Przyznaję, niejeden mężczyzna oglądał się za mną na ulicy - odparła rzeczowym tonem, a jednocześnie posłała mi szczególnie spojrzenie spod spuszczonej rzęs, jakby dobrze wiedziała, że po głowie chodziło mi określenie „seksbomba”. Po chwili zaś zaczęła się obracać powoli, aż w końcu coś przykuło jej uwagę.

- Chyba znalazłam ciebie z lat dzieciństwa.

Wskazała głową w stronę poidelka, gdzie stała czarnowłosa dziewczynka ze swoimi rodzicami. Wyglądała najwyżej na dziesięć lat i była ubrana w sztywną, falbaniastą sukienkę, co oznaczało, że w miejscu

przeznaczenia czekał ktoś, na kim należało wyrzucić jak najlepsze wrażenie. Ojciec sprawiał wrażenie wyluzowanego - w niedbalej pozycji i mokasynach na nogach doglądał bagaży; natomiast matka była w pełnym rynsztunku bojowym - każdy skrawek jej twarzy pokrywał makijaż, a wylakierowane włosy układały się w błyszczący, wysoki hełm. A więc zapewne leciała w odwiedziny do teściów. Raz po raz nerwowym gestem przyglądała jeden z warkoczyków córki, odniosłam jednak wrażenie, że to bardziej gest czułości niż korekta wyglądu.

Pospiesznie odwróciłam wzrok. Zanim przybędą na miejsce, fryzura matki całkiem oklapnie, a sukienka dziewczynki będzie wymięta i najprawdopodobniej pełna plam od soku.

Zwróciłam się w stronę pani Fancy:

- Uhm, to mogłabym być ja - rzuciłam sucho, wciąż zbyt zirytowana, żeby z humorem wciągnąć się w jej grę. Poza tym tak naprawdę moja przyjaciółka głęboko się myliła. W wieku tej dziewczynki nosiłam używane ciuchy z kościelnych darów i ściągałam włosy w skołtuniony koński ogon. Całe dni spędzałam z książką w rękę - na drzewie lub w jakimś schowku - uciekając od prac domowych, od których moja matka tak gładko się wymigała, dając swego czasu nogę.

- Poszukajmy ciebie w bardziej statecznym wieku - zarządziła tymczasem pani Fancy. - Powiedzmy... za dwadzieścia lat.

Uniosła się ostrożnie na czubki palców i rozglądała ciekawie, rozentuzjasmowana zabawą, jakby nie była wiele starsza od dziewczynki w falbaniastej sukience.

Nie mogła jednak znaleźć mojego starszego odpowiednika, ja natomiast nawet nie próbowałam szukać, po prostu tkwiłam u boku starszki, podczas gdy kolejka powoli się przesuwiała do punktu przeznaczenia. Właśnie do odprawy został wezwany stojący tuż przed nami mężczyzna, gdy się zorientowałam, że pani Fancy także już się nie rozgląda, za to patrzy wprost na mnie podejrzanym miękkim wzrokiem. W jej spojrzeniu było tyle litości, że jeszcze zanim otworzyła usta, wprost kipiałam z wściekłości.

- Może istnieje całkiem racjonalny powód, dla którego nie możemy odnaleźć ciebie w późniejszym wieku - powiedziała.

- Już w samochodzie mówiłam, żeby pani tego nie robiła - odparowałam, ale jej wpatrzona we mnie oczy wciąż przypominały płynną czekoladę. Zamrugalam gwałtownie i wyszeptałam wojowniczo: - Proszę się nie zapędzać. Nie poruszać tego tematu. Bo wszystko pani zburzy. A ja bym tego nie zniosła. Jest pani przecież moją jedyną przyjaciółką.

Wtedy wyciągnęła rękę i przyłożyła do mojego policzka. Głębokie żłobienia dłoni zdradzały jej wiek.

- W takim razie powiem tylko jedno - odparła - modłę się o lepsze życie dla ciebie, tak jak się modliłam o lepsze życie dla Janine.

W tej samej chwili stewardesa zawołała: „Następny”, nie musiałam więc decydować, czy mam oderwać od policzka tę kruchą rękę tak ostrym szarpnięciem, że cienkie, ptasie kości nadgarstka przełamią się na pół, czy raczej złożyć głowę na ramieniu staruszki i rozbeczeć się jak małe dziecko. W zamian się pochylałam i dzwignęłam w górę walizy, praktycznie je rzucając jedna po drugiej na wagę. Dziewczyna zza kontuaru odprawiła bagaż, który powoli odjechał taśmociągami.

- Wracam o jedenastej w piątek - oznajmiła pani Fancy.

- Doskonale.

Trzy dni. A więc miałam trzy dni, by wyrzucić z pamięci tę rozmowę. W rezultacie, gdy następnym razem pani Fancy zjawi się mojej kuchni, ja usłużnie pomogę jej zgromadzić odpowiednią liczbę puszek z jedzeniem dla kościelnego banku żywności dla ubogich, i będę znowu Ro Grandee z promiennym uśmiechem przyklejonym do twarzy, w kwiecistej spódnicy, wirującej wokół kolan.

- Doskonale - powtórzyłam.

Już zaczęłam odchodzić, gdy pani Fancy się odezwała podekscytowanym tonem:

- Czekaj, Ro! A jednak cię znalazłam! Ta twarz to wypisz wymaluj ty za dwadzieścia lat, choć z pewnością za żadne skarby nie włożyłabyś na siebie podobnych ubrań.

Byłam już gotowa na powrót do swojego życia, ponowne wejście w utarte koleiny mojej egzystencji, ale kiedy usłyszałam słowa staruszki, nie zdołałam się powstrzymać - spojrzałam we wskazaną stronę.

I wówczas zobaczyłam tę wróżbiarkę, która wyglądała dokładnie jak ja.

Ja, dwadzieścia lat później, pani Fancy miała rację. Wróżbiarka stała po przeciwnej stronie niewielkiego lotniska, obok stoiska z kawą - drobna istota po czterdziestce o długich, ciemnych włosach. W pierwszej chwili pomyślałam, że czeka mnie bezdomność, ponieważ kobieta miała na sobie mnóstwo warstw ubrań, jakby się owinęła we wszystkie ciuchy, które posiadała. Każda warstwa była jednak czysta i doprasowana. Długa czerwona spódnica w tureckie wzory została przewiązana na boku, i w tym miejscu wychylała się spod niej druga spódnica w ciepłej, żółtej barwie. Wróżbiarka nosiła prostą, fioletową bluzkę, ale na niej co najmniej trzy szale: błękitny, przepasujący talię, oraz dwa zielone w różnych tonacjach, omotane wokół ramion. U jej stóp stała walizka oraz duża tekstylna torba z bambusowymi rączkami, w jakiej inne kobiety mogłyby przechowywać wełnę, szydełka i druty. Wróżbiarka trzymała w dłoniach talię wyjątkowo dużych kart, które cały czas tasowała, jakby się szykowała do przedstawienia kuglarskiej sztuczki.

Musiała poczuć na sobie mój wzrok, bo jej dłonie nagle zamarły w bezruchu. Po czym spojrzała prosto w moją stronę. Miała zdumiewająco czarne oczy, magiczne, przepastnie mroczne. Zupełnie inne od moich lawendowoniebieskich, odziedziczonych po ojcu. Ich spojrzenie mnie ogłuszyło, wyssało powietrze z płuc.

Kiedy kobieta zauważyła, że wpatruję się w nią niczym zahipnotyzowana, ze zdumienia wypuściła z rąk talię, która kaskadą sfrunęła na ziemię.

Pani Fancy stała odwrócona do mnie plecami, bo właśnie przechodziła odprawę. Rzuciłam więc tylko zdawkowe „do widzenia” i ruszyłam ku wróżbiarce. Moje nogi zmierzały w jej stronę, niczym posłuszne psy, przyzywane przez pana. Tymczasem kobieta przykucnęła i szybko zaczęła zbierać karty.

Znajdowałam się na tyle blisko, by zauważyć, że jej dłoń zawisła nad jedną z nich. Większość talii upadła koszulkami do góry, tylko ta karta się odwróciła i leżała dokładnie pomiędzy stopami wróżbiarki, która przenosiła wzrok to na mnie, to na obrazek widniejący na kartoniku. W końcu go podniosła i wetknęła w środek talii. Jej ruchy były teraz powolniejsze, bardziej wystudiowane. Sprawiała takie wrażenie, jak gdyby się pogodziła z dziwnym wyrokiem losu i z rezygnacją czekała, aż do niej dołączyć.

Ja także mimowolnie zwolniłam. Sunęłam przed siebie w żółtym tempie, jakby otaczające mnie powietrze nabrało nagle konsystencji płynnego miodu. Ten powolny ruch wydawał mi się dobrze znany, a jednocześnie obcy. Nagle zdałam sobie sprawę, że idę „dryfowym krokiem”, który doprowadziłam do perfekcji jeszcze w ogólniaku, dawno temu w Alabamie, gdzie byłam Rose Mae Lolley, najładniejszą dziewczyną liceum w Fruiton.

Rose Mae nazywała ten sposób chodzenia „podwodnym spacerem”; w jej wyobrażeniu było to lustrzane odbicie tego, co robił Jezus. Znajdowała się w pozycji odwróconej, głową w dół, jej stopy dotykały powierzchni wody od spodu, ponad nią znajdował się cały wielki świat, a pod nią granatowa głębia - chłodna, przechodząca w mroczną ciemność.

Ale teraz nie byłam już tamtą dziewczyną. Byłam Ro Grande. Mężatką. Kasjerką w salonie z bronią, należącym do moich teściów. Teksanką. Problem w tym, że ów powolny, posuwisty krok znowu przywołał do życia dawną Rose Mae. Zanim ją pogrzebałam, chłopcy zawsze wodzili oczami po jej figurze, dziewczyny zaś baczenie obserwowały twarz. Rose szybko odkryła, że ten powolny, „podwodny” chód nuży ludzki wzrok. Każdy odwracał się w jej stronę, kiedy wchodziła do klasy czy stołówki, ale jeżeli utrzymywała ten monotony krok, przypominający kontynentalny dryf, ludzie popadali w dekoncentrację. Dziesięć minut po tym, jak przybyła do miejsca przeznaczenia, mogła się ze spokojem brać do kradzieży.

Nie kradła dla zysku, czy z chęci posiadania. Chodziło o umieszczenie przedmiotów w miejscach najbardziej dla nich odpowiednich. Rose już wówczas miała doskonale oko, wiedziała, co gdzie powinno się znaleźć.

To ona podwinęła Danie Ostrike egzemplarz powieści *Forever* i zabrała do lodziarni Baskin-Robbins, a potem jednym zwinnym ruchem dłoni umieściła w torebce Esther Jenkins. Esther przewodziła niewielkiej grupie dziewczyn z Kościoła Zielonoświątkowców. Wszystkie one pobierały nauki w domu, a przez galerię handlową Fruiton maszerowały w zwartym szyku, umundurowane w granatowe swetry i białe tenisówki. Końcówki ich włosów były rozdwojone i cienkie, bo nieobcinane od urodzenia. Te pannice tworzyły szpicę ignorancji i cnoty, która przebijała się przez tłum dzieciaków z baptystycznych domów - pozbawioną wszelkich wad formację, o ile nie liczyć faktu, że każda z nich była uzależniona od aspiryny o pomarańczowym smaku, ponieważ ta masa nigdy nieobcinanych włosów przyprawiała je o chroniczny ból głowy.

Esther miała ładną twarz i lekko szpiczasty nos. Po mojej akcji dwa razy widziałam ją na ulicy i za każdym razem ten nos trzymała w podzuczonej przeze mnie książce. Wokół niej tłoczyło się stado bezradziejnie ubranych przyjaciółek, wsłuchanych w przywódczynię odczytującą szeptem co pikantniejsze kawałki. Zapewne wcześniej nie miały zbyt dobrego pojęcia o tym, co gdzie się wkłada, ale na ich szczęście Dona pozaginała rogi stron, na których się znajdowały opisy ostrego seksu.

Rose poświęciła również cały jeden tydzień na dokładne przejrzanie portfeli wszystkich zawodników drużyny futbolowej i powyjmowała z nich kondomy noszone tam w błogiej nadziei na szybki numer. Potem za jednym zamachem umieściła je wszystkie w pudełku na lunch Myli Richards. Asortyment był imponujący - gładkie i żeberkowane, lateksowe i z jagnięcych jelit, nawet jeden optymistyczny Trojan Magnum XL podprowadzony mięśniakowi, którego dziewczyna wyznała kiedyś w rozmowie na zupełnie inny temat, że facet w żadnym razie nie potrzebuje takiego sprzętu.

- Ma małego jak te okrągłe lizaczki z sokiem w środku - oświadczyła rozczulonym głosem. - Nazywam go Tycią Żółwikową Główką, ale teraz już nie na głos, bo się wścieka.

Myla znalazła w pudełku na lunch cały ten asortyment, równie zróżnicowany i obfity ilościowo jak faceci, z którymi chodziła do starego fortu na tyłach swojego domu. Zrobiła wielkie halo z tego znalezi-ska i próbowała dociec, kto wsadził kondomy do jej lunchu. Potem zaś teatralnie wyrzuciła je wszystkie do kosza na śmieci wraz ze skórką od chleba i pustym kartonem po soku. A powinna była trzymać gębę na kłódkę i zrobić z tych gumek dobry użytek, bo jeszcze przed zakończeniem roku musiała odejść ze szkoły z powodu ciąży.

Ro Grandee nie miała najmniejszego powodu, by kontynuować proceder „kradzieży dla przemieszczenia”. Porzuciłam też zwyczaj chodzenia powolnym, sennym krokiem, ale gdy teraz szłam ku wróżbiarce, mimowolnie do niego wróciłam. Im bliżej się znajdowałam, tym wyraźniej widziałam, czym się różniły Nitki siwizny widniały w jej długich włosach, a ich barwa była czekoladowobrązowa, nie zaś kruczoczarna jak w moim wypadku. Miałyśmy równie kształtne figury i drobny kościec, tyle że jej biust osiągnął bardziej imponujące rozmiary. Skóra wróżbiarki była oliwkowa w odcieniu, moja natomiast kredowobiała. Za to obie miałyśmy lekko zadarte nosy i wygięte w łuk, pulchne wargi. W istocie wyglądałyśmy bardzo podobnie i jeszcze zanim ta kobieta otworzyła usta, poważnie podejrzewałam, że się znamy i łączy nas coś ważnego.

Kiedy do niej doszłam, wskazała na stolik należący do stoiska z kawą. Zauważyłam, że nie nosi żadnych pierścionków, bransoletek, a nawet zegarka, jakby nadmiar ubrań czynił wszelką biżuterię zbędną. Pod szalami majaczyły jednak koraliki. Koraliki różańca.

Skinęłam głową, a ona przepłynęła obok mnie, czując się tak swobodnie w swoim ciele, jak ja się nigdy nie czułam. Nagle dotarło do mnie, że obracam się ku tej kobiecie, niczym niesiona siłą odśrodkową jej ruchów. Ruszyłam za nią, ale tak powoli, że zdążyła się dobrze usadowić, zanim wśliznęłam się na krzesło stojące po drugiej stronie stolika.

- Jeżeli masz ochotę na kawę, musisz ją zamówić przy ladzie - powiedziała.

Jej głos był ciemny, lekko chropawy, jakby miała chrypkę lub była nałogową palaczką. Nie dochodził jednak od niej odór tytoniowego dymu, ale aromatyczny zapach imbiru i skórki pomarańczowej.

- Nie chce mi się pić - odparłam.

Zacisnęła usta, wyraźnie zirytowana.

- Nie wiem, czy możemy siedzieć tutaj bez kawy

Wzruszyłam ramionami, zrobiłam to jednak w bardzo zwolnionym tempie.

- Co to za karty? - zapytałam.

- Do tarota.

Nigdy nie widziałam takich kart, ale oczywiście wiedziałam, do czego służą. Kobieta rozłożyła je wachlarzowato na stole, kolorami do dołu. Miały miękkie rogi, wyglądały na często używane.

- Jedna upadła figurą do góry - zauważyłam.

Kobieta potaknęła.

- Właśnie dlatego tutaj siedzimy.

- Co to była za karta?

Przekrzywiła głowę, jakby się zastanawiała nad moim pytaniem, po czym odparła:

- Gdybyś usłyszała: trójka buław lub dziewiątka pucharów, czy cokolwiek by ci to powiedziało?

Zaprzeczyłam, a ona znowu się zamyśliła. W końcu wydała werdykt:

- Nie musisz tego wiedzieć. Przesłanie tej karty było przeznaczone tylko dla mnie. Chcesz, żebym odczytała przesłanie dla ciebie?

- Chyba tak.

- U siebie w domu biorę pięćdziesiąt dolarów za wróżbę z pełnej talii.

Wypowiadała słowa w podręcznikowy sposób, ale gdzieś pod tą artykulacją jak z telewizyjnych wiadomości czaił się dawny akcent, wyokrąglaający samogłoski.

- A gdzie jest ten dom?

Wzruszyła ramionami.

- Sama chciałabym wiedzieć. Przez całe życie zadaję sobie to pytanie, ale jeszcze nie znalazłam odpowiedzi.

Ledwo się powstrzymałam od teatralnego wzniesienia oczu. Położyłam dłonie płasko na stole i natychmiast zauważyłam zmianę w swoich ruchach. Przyspieszyły. Gniew mnie napędzał. Musiałam ponownie zwolnić. Wyobraziłam sobie, że jestem pięćdziesiąt sążni pod ziemią, rozsunęłam palce w kształt wachlarza, tak jak ona wcześniej karty. Inni podróżni mijali nas w pośpiechu. Wróżbiarka przenosiła na nich wzrok, uwalniając mnie na ułamki sekund od swojego spojrzenia. I nagle zrozumiałam, czemu wróciłam do dawnego spowolnienia. Musiałam coś ukraść. Ta kobieta miała przy sobie jakiś przedmiot - choć zupełnie nie wiedziałam, co to było - który powinien zmienić właściciela. Należać do mnie.

- Nie mam pięćdziesięciu dolarów - wykrztusiłam.

Jej odpowiedź była natychmiastowa, jakby od dłuższego obracała ją na języku.

- Za trzydzieści wróżę z połowy talii.

- Nie mam trzydziestu - odparowałam.

- Dlaczego nie masz trzydziestu dolarów? - spytała po krótkiej chwili zaskoczenia. - Każdy powinien mieć przy sobie taką sumę. Jesteś bezrobotna?

Zastanawiałam się, czy nie oznajmić, że jestem przy mężu. Lub że pracuję na pół etatu w sklepie teścia, pod rządami jego twardej ręki, w dusznej atmosferze ludzkiego natłoku, ponieważ przez większość dnia przebywał tam także mój mąż. Rozważałam, czy nie odpowiedzieć: Sama zadaję sobie to pytanie - żeby jej odplacić za to żalosne stwierdzenie a la zen dla ubogich, kiedy zapytałam, gdzie jest jej dom. W końcu jednak odparłam:

- Robię za ładną.

- Zawodowo? - spytała sucho.

Skinęłam głową, a wówczas zlustrowała mnie od stóp do głów.

- Cóż, zapewne jesteś dobra w tym fachu. Można by jednak sądzić, że to lepiej płatne zajęcie.

- Owszem, można by tak sądzić.

Uważnie wsłuchiwałam się w jej akcent. Z pewnością nie podrapała go w Teksasie.

- Nie pochodzisz z tych stron.

- To fakt - przyznała.

Odwróciła wzrok, a wówczas zerknęłam do wnętrza jej dużej, otwartej torby, stojącej przy nodze stolika. Zauważyłam portfel, kompas, kartonową okładkę biletu, puszkę WD-40, stertę długopisów i miętówek, butelkę wody mineralnej oraz książkę w plastikowej obwolutie. Pomyślałam: wezmę bilet, ale moje ciało, które teraz znowu nabrało powolności Rose Mae Lolley, zaczęło działać według własnych reguł. Moje ręce wśliznęły się na kolana i leżały nieruchomo, skrępowane jakąś niezależną ode mnie wolą.

- Dlaczego tutaj przyjechałaś? - spytałam.

- Z pewnością nie z tego powodu - wskazała na rozłożone wachlarzowato karty. - Wczoraj zwiedzałam Ranczo Cadillaców. Byłaś tam kiedyś?

Zaprzeczyłam.

- Powinnaś pojechać. Ludzie przemierzają cały świat w pogoni za najbardziej niezwykłymi miejscami na ziemi, a ty masz jedno z nich pod nosem i nigdy go nie widziałaś?

- W takim razie obejrzę.

Spojrzała na mnie z podejrzliwym niedowierzaniem.

- Kiedy?

- Jutro - odparłam.

Prychnęła pogardliwie, po czym oświadczyła:

- Nie istnieje coś takiego.

Znowu musiałam się bardzo postarać, żeby nie przywrócić oczami.

W tej samej chwili rozległ się głos faceta obsługującego stoisko z kawą.

- Ten stolik jest przeznaczony wyłącznie dla naszych klientów.

Wróżbiarka odwróciła się w jego stronę, a wówczas moja ręka śmignęła w dół. Miałam nadzieję, że to będzie portfel. W portfelu znalazłabym prawo jazdy, a więc i adres. Wyciągnęłam jednak książkę, którą szybko wsunęłam na kolana zasłonięte stolikiem.

- W takim razie proszę podać nam kawę - zadysponowała wróżbiarka.

- Nie wolno mi wychodzić zza lady - odparł jęklawie.

Zaczęłam się wpatrywać w niego przeciągle, a kiedy podchwycił mój wzrok, uśmiechnęłam się słodko i zrobiłam maślane oczy

- Bardzo proszę?

- No, dobrze - zgodził się bez ociągania.

Wróżbiarka spojrzała na mnie spod zwężonych powiek.

- O co chodzi? - burknęłam.

- Ty naprawdę jesteś nieoceniona w swoim fachu - powiedziała.

- Gdy byłam jeszcze dwudziestolatką, mężczyźni często się za mną oglądali. Pamiętam, w jaki sposób na mnie wtedy patrzyli. Ich twarze się rozjaśniały, a jednocześnie pojawiał się na nich wyraz wygłodnienia. W takich chwilach zawsze się czułam jak nagie drzewko bożonarodzeniowe, na którym mężczyźni chcieli zawiesić swoje oczekiwania i pragnienia. Młodzi chłopcy, romantycy, nazywają to miłością od pierwszego wejrzenia, ja jednak dobrze wiedziałam, że porusza ich jedynie uroda. Kiedy mężczyźni widzą piękną kobietę, zaczynają ją obwieszać swoimi nadziejami, fantazjami, potrzebami, aż w końcu staje się tak przeciążona, że nie może się ruszyć.

Zamilkła, bo się pojawił koleś z kawą, po czym podniosła torbę i zapłaciła za nas obie. Nie protestowałam, w duchu natomiast się cieszyłam, że jednak nie podprowadziłam jej portfela. Brak biletu również szybko by zauważyła, natomiast po książkę sięgnie dopiero wtedy, gdy rozsiądzie się w samolocie zmierzającym w stronę jej sekretnego domu.

Facet od kawy się zmył, a wówczas znów przeniosła na mnie wzrok i rzuciła zniecierpliwionym tonem:

- Dziesięć dolarów. Za trzykartową wróżbę. Podarowałabym ci zapłatę, ale wówczas karty nie wyjawilyby prawdy. Nie ma nic za darmo.

- Aha, czytałam o tym w bajkach. Trzeba posmarować dłoń wróżki srebrem. Inaczej magia nie zadziała.

Słowo „magia” nasączałam zjadliwym sarkazmem.

- Jeżeli chcesz, możesz nazywać to magią. - Wzruszyła ramionami. - Ja nazwałabym to pewnym rodzajem energii, ale wolna wola.

- Wielkie dzięki - odparłam jeszcze bardziej sarkastycznym tonem. - Wciąż chodzisz na mszę? - Wskazałam na koraliki różańca wychylające się spod szala.

Parsknęła śmiechem.

- Wielkie nieba, skądże! - Sięgnęła ręką do koralików, a ja wówczas spostrzegłam, że jej wskazujący palec jest na czubku poplamiony srebrną, metaliczną farbą. Polyskiwała migotliwie, przywodząc na myśl gwiazdny pył. - Madonna też nosi takie różańce. Sądzisz, że ona chodzi na mszę?

- Madonnę wychowano w katolickiej wierze - zauważyłam.

- Ale teraz już nie jest katoliczką. Wykorzystuje jedynie wiarę, by eksploatować katolicki archetyp dziewicy i ladacznicy.

Palnęła tekst o Madonnie i archetypie tonem nieznoszącym sprzeciwu, jakby dogłębnie omówiła tę kwestię ze swoimi poowijanymi w szale przyjaciółkami podczas jakiegoś sabatu, gdzie sęczyły wino, upajały się mistycyzmem i wydawały jednoznaczne sądy na każdy temat.

- Nikt nie przestaje być katolikiem - zaprotestowałam. - Człowiek się nim rodzi. Jest nim przez całe życie. Ja jestem katoliczką, chociaż na mszy byłam może ze dwa razy w ciągu ostatnich trzech lat.

- Gdybyś nadal była katoliczką, chodziłabyś do kościoła w każdą niedzielę i święto - odparła w taki sposób, jakby oznajmiała banalną oczywistość. A jednocześnie w jej tonie wychwyciłam nutę wyzwania.

- Rodzina mojego męża... oni nie są... msze ich przygnębiają. Ja jednak jestem katoliczką. Bo to coś więcej niż zwykłe odprawianie rytuału. Nie mogę nagle nią nie być.

Odwróciła wzrok. W ten prosty, ale jakże wymowny sposób, odrzuciła moje słowa. Panujące między nami napięcie wygasło, niczym mgła unosząca się znad uroczyska.

- Każdy może przestać być tym, kim jest, w dowolnym momencie życia. Musi tylko się na to zdecydować.

- Kto jak kto, ale ty wiesz o tym najlepiej - rzuciłam z taką furią w głosie, że facet od kawy znowu spojrzął w naszą stronę.

Wciąż trzymałam w drżących rękach książkę. Wsunęłam ją szybko między nogi i zacisnęłam kolana, a potem się nachyliłam i sięgnęłam po swoją torbę na zakupy. Pogrzebałam w niej dłuższą chwilę, aż w końcu na samym dnie znalazłam starą dziesięciocentówkę. Była zaśniedziała i pokryta brudem. Położyłam ją na stole, reszką do góry

- Srebro - oznajmiłam. - By nim posmarować twoją przekłętą dłoń.

Kobieta wpatrywała się we mnie beznamiętnym, obcym wzrokiem, aż włosy zjeżyły mi się na karku - tak samo jak wówczas, gdy w ogródku spotykałam się oko w oko z zielonymi jaszczurkami o zniechęconym spojrzeniu. Zawsze mnie uderzała ich odmienność gatunkowa. W odróżnieniu ode mnie nie były ssakami, w niczym mnie nie przypominały. Teraz od wróżbiarki biła również aura inności, wywołująca gęsią skórkę.

Zaciskając usta, podniosła dziesięciocentówkę.

- To nie wyrównuje rachunku między nami - zakomunikowała.

Ja także zacisnęłam wargi.

- Rzeczywiście - syknęłam i stuknęłam palcem w karty. Od początku podejrzewałam, że łączy nas więź, ale teraz byłam już tego całkiem pewna. - To nie wyrównuje naszych rachunków. I zupełnie sobie nie wyobrażam, by jakiegokolwiek działania z twojej strony mogły to zmienić.

Gwałtownie spuściła oczy. To był z mojej strony celny strzał. Wbiła wzrok w leżący na dłoni pieniążek tak intensywnie, że nie mogłam zrozumieć, jakim cudem się nie stopił.

- Pewnego razu wróżyłam Wayneowi Newtonowi - rzuciła ni stąd, ni zowąd.

- Nie mam pojęcia, kto to taki.

- Pokonał szmat drogi, żeby do mnie dotrzeć. Naciągnął głęboko na oczy zmięty kapelusz, nie wyjawiał swojego nazwiska, ale i tak

wiedziałam, kto zacz. A właściwie podejrzewałam. Pierwsze dwie karty potwierdziły, że mam rację. Wayne Newton przyjechał z drugiego końca miasta, gdzie odbywał się jego show, abym mu powróżyła. I zapłacił gotówką.

Zapadła cisza i zaczęła się niepokojąco przedłużać, więc w końcu spytałam:

- A on jest katolikiem?

Wówczas wybuchnęła prawdziwie szczerym śmiechem. Odchyliła głowę do tyłu i wydała z siebie głośny, przeciągły dźwięk, powszechnie przyciągający uwagę. A potem zsunęła dziesięciocentówkę ze stołu, tak że wpadła do jej otwartej torby.

- No, dobrze. - Wyciągnęła talię w moją stronę. - Potasuj.

Wzięłam od niej karty. Były podniszczone, lekko tłustawe od dotyku niezliczonej liczby dłoni. Pomyślałam o ludziach, którzy je obracali w palcach - ludziach podobnych do tej wróżbiarki, poowijanych w szale, pobrzękujących uzdrawiającymi kryształami - i miałam szczerą ochotę pobiec do łazienki, żeby porządnie wyszorować ręce.

Gdy zaczęłam tasować karty, usłyszałam:

- A teraz zadaj pytanie.

- Jakie? - Moje palce znieruchomiały.

- To, które, jak widzę, od dawna cię nurtuje. Powtarzaj je, a kiedy poczujesz, że karty znalazły odpowiedź, zakończ tasowanie.

Pomyślałam o tym, co mnie gnębiło przez lata.

- Dlaczego postanowiłaś... - zaczęłam, ale mnie uciszyła, unosząc dłoń niczym swoisty znak stopu.

- Masz pytać karty, nie mnie. Ja nie muszę znać twojego pytania.

- A czy nie chcesz go poznać?

Obok nas przepływali ludzie, którzy pragnęli jak najszybciej dostać się do domu, lub od niego uciec. Minęła dobra minuta, nim wróżbiarka odpowiedziała:

- Nie. Nie chcę.

Tasowałam więc dalej, ale tym razem skoncentrowałam się na zupełnie innym pytaniu. Nie ubrałam go w słowa, ułożyło się raczej

w serię następujących po sobie obrazów. Zobaczyłam mężczyzn - tych, których w życiu sama wybierałam, i tych danych mi od losu. Ujrzałam ojca, a obok niego Jima Beverly'ego, swoją pierwszą miłość. We wspomnieniach zawsze objawiali mi się w tandemie, jakby byli dwiema stronami tej samej, wytartej monety.

Potem stanął mi przed oczami łańcuszek facetów, których Rose Mae pozostawiała za sobą w drodze od Alabamy po Teksas. Większość z nich dzieliła cechy wspólne z moim tatuśkiem - ostro pili i mieli twarde pięści, a przy tym zbyt mało uroku, żeby mnie przy sobie zatrzymać. Wymieniałam ich więc bez skrupułów i bez żalu, aż spotkałam swojego męża - konglomerat osobistego czaru i niepohamowanego gniewu. Uśmiechał się równie często jak Jim Beverly i rwał do bicia równie ochoczo jak mój ojciec. Tak więc za tę samą cenę otrzymałam dwa w jednym.

Ostatnim obrazem był wielki znak zapytania. Kompletnie oszołomienie - dlaczego właśnie tacy mężczyźni? Ogarnął mnie też strach; pani Fancy nie mogła znaleźć mojego starszego wcielenia, ponieważ uważała, że już długo nie pożyję. I niewykluczone, że miała rację.

Nie poczułam żadnych fluidów płynących z kart, ale doszłam do wniosku, że idiotyzmem jest czekanie na jakiś mistyczny znak, przebrałam więc tasowanie i wręczyłam talię wróżbiarce.

- Pierwsza karta odnosi się do twojej przeszłości - oznajmiła beznamiętnym tonem. Obróciła kartonik i zobaczyłam, jak jej oczy rozwierają się szeroko.

Na karcie widniała wysoka, smukła wieża sięgająca nieba, które z jednej strony było błękitne, z drugiej zaś zasnuwane czarnymi chmurami sadzy. Czubek wieży przecinała na pół zygzakowata błyskawica o ostrym końcu, trójkątnym niczym grot strzały. Z wnętrza, przez frontową bramę, wybiegali w panice ludzie, wysokie płomienie lizały ściany. Natomiast w oknie na najwyższym piętrze, pozostawiona w wieży na pastwę ognia, stała dziewczyna i patrzyła na mnie z niezwykłym spokojem, jakby nie widziała wysokich płomieni i umykających ludzi.

- Rapunzela - zawyrokowałam, postukując w wizerunek dziewczyny palcem. - Ta to musiała używać mnóstwa produktów do pielęgnacji włosów. Mam tylko nadzieję, że nie były łatwopalne.

- Nonszalancja jest tu zdecydowanie nie na miejscu - zachnęła się wróżbiarka. - Ta karta należy do Wielkich Arkanów. I jest chyba najbardziej przerażająca z całej talii. - Przeniosła na mnie wzrok i w jej oczach ujrzałam wreszcie przeblask ludzkich uczuć. Może to była serdeczność, może prośba o wybaczenie. A może tylko dziwna gra światła. - Podejrzewam, że w twoim wypadku oznacza utratę bliskiej osoby

- Któż z nas tego nie doświadczył - odparłam filozoficznie.

- Ta strata wciąż cię prześladowuje - powiedziała, a do mnie dotarło, co tak naprawdę kryje się za jej spojrzeniem.

Litość.

Udało mi się zachować niewzruszony wyraz twarzy, ale w środku natychmiast się zjeżyłam.

- Straciłam chłopaka, swoją pierwszą miłość. Zapewne o niego chodzi.

Wyraz litości się pogłębił.

- Nie. Tutaj w grę wchodzi wielka strata, która znacząco zaważyła na twoim życiu.

- Taka właśnie była strata Jima - odparłam, rozciągając wargi w nadziei, że będzie to przypominało uśmiech. - Olbrzymia. Zniknął, gdy chodziliśmy do maturalnej klasy. Zamierzaliśmy się pobrać tuż po ukończeniu liceum. Był dla mnie tak dobry jak nikt nigdy w życiu. Kochał mnie. Aż tu nagle pewnego dnia - trach! - zniknął. Ludzie twierdzili, że uciekł z domu. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Poczulałam się kompletnie zagubiona. Do tamtej pory byłam dobrą uczennicą, miałam przed sobą świetlaną przyszłość. Gdy go straciłam, kompletnie się załamalam. Nawet nie próbowałam zawracać sobie głowy egzaminami maturalnymi. To z powodu tego chłopaka jestem tu, gdzie jestem.

- W takim razie to rzeczywiście poważna strata - powiedziała sucho. - Może więc chodzi o niego. Chociaż wątpię.

- Jim Beverly - wyartykułowałam dobitnie. Każda sylaba była niczym gwałtownie wyprowadzony cios. - To największa strata w moim życiu. A nie...

- W porządku - przerwała mi w pół zdania. - Następna karta opisuje twoją terażniejszość.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, na co właściwie patrzę. Na brzegu jeziora stała szczupła kobieta z przepaską na oczach. Słońce właśnie zachodziło, więc woda za jej plecami przybrała krwistoczerwoną barwę. Nad tafelę wychylały się jakieś pokręcone, omszałe kształty. Może pnie drzew, a może krokodyle. W rękach kobieta trzymała miecze, skrzyżowane na wysokości piersi, układające się w dużą literę X.

Wróżbiarka w zamyśleniu przyłożyła do ust palec powalany srebrną farbą.

- Utrata tego Jima nie była jednak tak strasznie dojmująca, skoro poślubiłaś kogoś innego.

- Skąd wiesz?

Po kręgosłupie przebiegły mi ciarki. Niewykluczone, że zauważyła obrączkę. Problem w tym, że praktycznie przez cały czas trzymałam dłonie na kolanach i zaciskałam palce na książce.

- Śledziłaś mnie?

Wsunęła rękę pod mały, okrągły stół i szturchnęła mnie pięścią w żebra, tuż pod lewą piersią. Gwałtownie wciągnęłam w płuca powietrze, nie mogłam się powstrzymać, bo wcelowała dokładnie w środek świeżego siniaka.

- Wyszłaś za mąż - oświadczyła kategorycznie, jakby wyraz bólu, który przemknął po mojej twarzy, w pełni potwierdzał te słowa. Jej ręka zawisa kilka centymetrów nad książką. Wstrzymałam oddech i tkwiłam w bezruchu, dopóki się nie odchyliła z powrotem do tyłu.

- To dwójka mieczy. Ta karta aż ocieka przemocą. Szczególnego faceta sobie wybrałaś. - Położyła dłoń z powrotem na talii. - Chcesz poznać swoją przyszłość?

- Czemu nie? - Wciąż starałam się zachować nonszalancki ton głosu, ale fakt, że trafiła w najświeższy siniac w gruncie rzeczy bardzo

mnie zdeprymował. Tak naprawdę wcale nie chciałam wiedzieć, co mnie czeka, nie chciałam poznać powodów, dla których pani Fancy nie mogła wyobrazić sobie mojej przyszłości.

W pierwszym odruchu pomyślałam, że karta leży do góry nogami. Ale za moment dotarło do mnie, że tak została przedstawiona centralna figura. Z pergoli obrośniętej winoroślą za jedną nogę zwiisał mężczyzna, a na głowie miał hełm, który był w istocie łbem wilka z rozwartą paszczą. Wisielec trzymał ręce złożone jak do modlitwy, ale po chwili zauważyłam, że są one splątane cienkimi, ciernistymi pnączami. Wilcza paszcza szczyrzyła zęby, jednak poniżej, na twarzy mężczyzny rysował się wyraz błęgiego spokoju.

Poczułam, że mimowolnie marszczę brwi.

- Widziałam już tę kartę - powiedziałam. - W jakimś telewizyjnym show, gdzie pewna staruszka rozwiązywała zagadki kryminalne. Utrzymywała, że to karta śmierci.

Podniosłam oczy. Brwi wróżbiarki także były teraz ściągnięte.

- Większość tarocistów ci powie, że ta karta nie ma nic wspólnego ze śmiercią. Zapowiada natomiast zasadniczą zmianę.

- Utrata życia to z pewnością poważna zmiana.

Brwi wróżbiarki coraz bardziej się zjeżdżały ku sobie, jakby przez dłuższy czas wymieniały korespondencję, aż wreszcie postanowiły się spotkać.

- Niektórzy tarociści powiedzieliby, że powinnaś jedynie skorygować swoje priorytety. Lub przełamać jakiś schemat w swoim zachowaniu. Ewentualnie złożyć ofiarę.

- A więc według twoich głupich kart powinnam zarznąć kozę?

- Dosłowna do bólu i nonszalancka, tylko na to cię stać? - rzuciła ostro. - Mówię ci, co mogłabyś usłyszeć od innych tarocistów. Wszyscy powiedzieliby, że ta karta nie przepowiada śmierci. Pętla jest na nodze mężczyzny, nie na szyi.

- Tak czy owak, z pewnością nie jest mu wygodnie.

Uciszyła mnie ruchem dłoni i podjęła żarliwym szeptem:

- Większość tarocistów zinterpretowałaby tę kartę jako zwiastuna poważnej zmiany, ja jednak mam przed sobą dziewczynę, której

przeszłość określa Wieża. Patrzę na kobietę, której małżeństwo jest mariażem mieczy. Te karty biją na alarm. Mówią: natychmiastowa zmiana lub śmierć. Radzę ci, żebyś od razu odmieniła swoje życie, a jeżeli nie jesteś do tego zdolna, jedź na Ranczo Cadillaców jeszcze dzisiaj, bo nie będzie już dla ciebie żadnego jutra.

Nagle spostrzegłam, że impulsywnie pochylałam się w stronę kobiety, a ręce z całej siły zaciskam na skradzionej książce. Wróżbiarka tymczasem ciągnęła wątek:

- Niekiedy, moja ty Profesjonalnie Piękna Pani, ornamenty, które mężczyźni na tobie zawieszają, stają się tak ciężkie, że mogą cię zmiażdżyć, i ja - w tej konfiguracji kart - widzę właśnie śmierć. Śmierć twoją lub twojego męża. - Przeniosła na mnie wzrok. Jej czarne oczy zdawały się płonąć i w tej chwili wyglądała jak prorokini. - Wybór jest prosty - albo ty, albo twój mąż. Niech to on zginie. Ty pozostań przy życiu. Ja w każdym razie dokonałabym właśnie takiego wyboru. Skoro ta karta oznacza śmierć, niech to będzie on, nie ty. - Odchyliła się ode mnie i wycedziła nieco głośniejszy: - Póki nie podejmiesz decyzji, nie mam nic więcej do dodania.

Zgarnęła karty i od niechcenia wrzuciła je do torby. Potem uniosła do ust filiżankę, dopiła zimną kawę. Wstała, ja natomiast wciąż siedziałam w milczeniu. W ostatecznym rozrachunku okazało się, że ona jednak miała mi coś jeszcze do powiedzenia. A ściśle rzecz biorąc dwa słowa:

- Bardzo proszę.

Jasne, nie podziękowałam za wróżbę, ale w tonie tej kobiety wcale nie było sarkazmu. Wypowiedziała swoją kwestię tak, jakby otwierała przede mną drzwi domu i zapraszała do środka.

- Dlaczego przyjechałaś do Amarillo? - spytałam. - Bo przecież nie po to, żeby zobaczyć Ranczo Cadillaców.

Chwyciła torbę i wsunęła bambusowe rączki na ramię.

- To jedynie przystanek na mojej drodze - odparła.

Pokręciłam głową. Nasze spotkanie nie mogło być przypadkowe.

- Przyjechałaś, żeby się ze mną zobaczyć?

- Każde zdarzenie w naszym życiu to zaledwie krótki antrak -
oznajmiła i chwyciła walizkę.

Zaczęła odchodzić, a ja nie byłam w stanie się ruszyć, jakby mo-
je ciało puściło korzenie, które ściśle oplotły nogi krzesła. Wróżbiarka
jednak raz jeszcze się odwróciła i oznajmiła z irytacją w głosie:

- To był facet, który śpiewał *Danke Schoen*. Mr Vegas. Gdybyś go
zobaczyła, wiedziałabyś, że to on.

Po czym przeszła przez bramkę z wykrywaczem metalu.

Ja natomiast wciąż siedziałam niczym przymurowana i, drżąc na
całym ciele, odprowadzałam wzrokiem wróżbiarkę odchodzącą kory-
tarzem.

Kiedy na dobre zniknęła mi z oczu, odsunęłam krzesło i uważnie
obejrzałam książkę trzymaną między kolanami. Moje ręce wiedzia-
ły, co robią. Okazały się błyskotliwsze od mózgu, który dopiero teraz
zarejestrował znaczenie foliowej obwoluty: to była książka z biblioteki.
Spodziewałam się, że zobaczę jakiś samopomocowy podręcz-
nik w duchu New Age, ewentualnie coś autorstwa Roberta Penna Wa-
renna lub Flannery O'Connor. Tymczasem miałam w ręku *Oczy smoka*
Stephena Kinga. Ta kobieta zawsze czytała wszystko, co wpadło jej
w ręce.

Otworzyłam książkę i ujrzałam tekturową kieszeń. Naturalnie,
w środku nie było karty bibliotecznej, która by mi powiedziała, jakie
nazwisko nosi obecnie wróżbiarka. Ale za to ujrzałam czarny stempel
głoszący: Własność Zachodniej Filii Biblioteki Publicznej w Berkeley.

Te słowa wydały mi się doniosłe i znaczące - jakby wykuto je
w kamieniu, a książka leżąca na moich kolanach nagle stała się bardzo
ciężka - niczym granitowa płyta.

Z niedowierzaniem powiodłam palcem po nazwie miasta. Berkeley.

Nie widziałam matki od dwudziestu lat. Aż tu nagle, zaledwie
pół godziny temu, okazało się, że ona żyje, jest wróżbiarka i miesz-
ka w Kalifornii, gdzie w najlepsze wypożycza sobie książki z biblioteki
publicznej. Porzuciła własne dziecko, a teraz powróciła, by poka-
zać mi kartę wisielca i oznajmić, że powinnam zdobyć się na ofiarę. Co

ta kobieta mogła wiedzieć o ofiarach? Ostatecznie to ja byłam czymś w rodzaju całopalnego baranka, którego ona złożyła na ołtarzu swojej wolności.

Teraz jednak powiedziała: Pozostań przy życiu.

Powiedziała: Niech to on zginie.

Moja matka pojawiła się po tak wielu latach, by mi oznajmić, że jeżeli chcę nadal przebywać wśród żywych, muszę zabić Thoma Grandeeego.

Rozdział 3

Próbowałam go zamordować, żeby ratować siebie, ale poniosłam sromotną klęskę. I co teraz? To pytanie natrętnie dźwięczało mi w głowie, gdy przez las gnałam do samochodu pani Fancy. Zanim się obejrzałam, jechałam w zawrotnym tempie międzystanową czterdziestką na wschód, w stronę domu, i modliłam się tak żarliwie jak jeszcze nigdy przedtem w swoim życiu. Przyzywałam wszelkich świętych, którzy w moich wyobrażeniach mogliby mi pomóc. Przywoływałam ich na głos, domagając się interwencji w panicznej desperacji, która się pojawia tylko wtedy, gdy znika już wszelka nadzieja.

Pierwszy odpowiedział na wezwanie Franciszek, patron samochodów i wszelkich urządzeń mechanicznych. Nagle znalazł się w moim aucie na tylnym siedzeniu: słyszałam jego spokojny oddech tuż za swoimi plecami. Następnie miejsce u boku Franciszka zajął Michał. Przybył, żeby odwrócić spojrzenia policjantów od mojego samochodu. Sprawić, by pistolety radarów zaciążyły im w rękach. Odesłać stróżów prawa do najbliższej kafeterii z pączkami. Innymi słowy - zabrać z mojej drogi.

Powinno mnie ogarnąć niewyobrażalne zdumienie. Do diabła, powinnam sikać w majtki z wrażenia. Przez całe życie wzywałam świętych, ale nigdy wcześniej żaden z nich mi się nie objawił. Musiałam też mimowolnie poprosić o wsparcie Maryję, ponieważ ona także znalazła się nagle w moim aucie, wciśnięta pomiędzy Franciszka i Michała.

- Wybacz - szepnęłam do niej. Bo jeżeli potrzebowałam teraz jakiegoś dodatkowego świętego, to przede wszystkim Rocha, patrona psów, a jednocześnie obrońcy od wszelkiej zarazy. Potrzebowałam go ze względu na Gretel oraz Rose Mae Lolley, dokładnie w takiej kolejności. Ledwo pomyślałam jego imię, zanim jeszcze go wezwałam,

Roch już się pojawił na fotelu pasażera - siedział z nogami skrzyżowanymi w kostkach, zaledwie na wyciągnięcie ręki.

Jechałam tak szybko, że choć na zewnątrz wiała tylko lekka bryza, miałam wrażenie, że szaleje huragan. Pot lał się ze mnie strumieniami, klepał włosy ponownie wetknięte pod baseballówkę. Już chciałam ją zdjąć, gdy nagle moja ręka zatoczyła łuk w przeciwną stronę, a palec nacisnął na przełącznik klimatyzacji.

I wówczas po raz pierwszy przeszył mnie lodowaty dreszcz. Moje ciało instynktownie wyczuło niebezpieczeństwo, zanim jeszcze się włączyło logiczne myślenie. Całe szczęście, że nie zdjęłam baseballówki, bo teraz bezwzględnie musiałam kryć twarz pod daszkiem, a włosy pod czapką.

Przecież jechałam tą samą drogą, którą podążał Thom. Ledwo o tym pomyślałam, serce podjechało mi do gardła, a każde jego uderzenie gwałtownie mnie dławilo. Lada moment mogę dogonić męża. Po tej przygodzie był z pewnością kompletnie wyprowadzony z równowagi, więc gdyby zobaczył, że mknę w cudzym aucie, zepchnąłby je z drogi, wyciągnął mnie ze środka i poddał intensywnemu przesłuchaniu. A potem znalazłby w torbie rewolwer dziadunia i natychmiast by odgadł, gdzie spędziłam poranek. Nie spoglądałam w czarne oko lufy od czasu wczesnego dzieciństwa, kiedy to pokazał mi je ojciec. „Nigdy, przenigdy i pod żadnym pozorem nie wolno ci go kierować w stronę tego, czego nie zamierzasz rozpirzyć w drobny mak”. Jeżeli Thom by mnie teraz przyłapał, z pewnością znowu musiałabym spojrzeć w to czarne ślepię.

Zdjęłam nogę z gazu, samochód zwolnił. Ale niemal natychmiast znowu docisnęłam pedał. Niewyklucone, że już przegoniłam Thoma. Wówczas mogłabym przemknąć niepostrzeżenie w nierzucającym się w oczy samochodzie pani Fancy, podczas gdy Thom doglądałby Gretel, która - w co niezachwianie wierzyłam - nie postradała do tej pory życia.

Święty Roch potwierdził moje nadzieje kiwnięciem głowy, co znacznie pokrzepiło mnie na duchu.

Tak czy inaczej, niewykluczone, że wymięłam Thoma, ale też równie dobrze on mógł być teraz dwa samochody przede mną. Kręciłam głową na wszystkie strony, rozglądając się za jego bronco. W rezultacie nie utrzymałam się w pasie i zjechałam tak bardzo na prawo, że wylądowałam na nieutwardzonym poboczu. Chwilę mocowałam się z kierownicą, na szczęście zdołałam wjechać z powrotem na drogę. I zaraz też, dzięki łaskawości niebios, ujrzałam zjazd z autostrady. Dwie minuty później skręcałam w stronę stacji benzynowej.

Zaparkowałam na tyłach budynku przy wejściu do toalet. Motor hondy pracował na jałowym biegu, ja natomiast próbowałam uspokoić oddech, pozbyć się tej dławiącej guli z gardła. Każda cząstka mojego ciała domagała się, bym natychmiast stąd umykała, jak najszybciej i jak najdalej. Tylko dokąd?

Trzy rzeczy wydawały się oczywiste. Muszę dotrzeć do domu. Thom jest gdzieś teraz na drodze i nie mogę się na niego natknąć. Nikt inny też nie może zobaczyć, że się wypuściłam poza własną ulicę. Tak przedstawiały się twarde fakty i układały w skomplikowane konfiguracje matematycznych równań. Nie mogłam jechać w stronę miasta, nie mogłam tkwić tutaj w bezruchu. Może powinnam ruszyć przed siebie w nadziei, że święci w hondzie wskażą mi bezpieczną ścieżkę? Gdyby to Rose Mae miała podjąć decyzję, popędzilibyśmy na wschód, zostawiając za sobą kolejne stany, aż dotarlibyśmy do Alabamy pełnej wzgórz, wśród których można znaleźć tysiące kryjówek. Bo płaskie równiny Teksasu nie oferowały żadnego bezpiecznego schronienia.

Znowu zaczęłam się modlić. Tym razem do Rity z Cascii, patronki beznadziejnych małżeństw i wszelkich spraw niemożliwych. Od razu odpowiedziała na moje wezwanie i usiadła skulona na kolanach Michała, wykręcając pod niewygodnym kątem głowę, żeby się zmieścić w ciasnej przestrzeni małego auta. Wciąż nie miałam pojęcia, dokąd powinnam jechać, mimo to stanęła mi przed oczami scena dojazdu do jakiegoś bliżej nieokreślonego miejsca przeznaczenia. Siedzący za moimi plecami święci - zwiewni niczym mgła - opuszczą wraz ze mną

samochód, jakby honda była dziwnym wozem cyrkowym skonstruowanym specjalnie dla katolików.

Ledwo to sobie wyobraziłam, zaczęłam chichotać. Odgłos własnego śmiechu nie na żarty mnie przeraził - był niebezpiecznie histeryczny i wysoki w rejestrze. Gdy próbowałam się opanować, dostałam czkawki, a piktogram na drzwiach toalety, przedstawiający kobietą sylwetkę, zaczął mi się dziwnie rozmywać przed oczami, tracić kontury, wyginać na wszystkie strony. Nagle zdałam sobie sprawę, że samochód porusza się powoli do przodu, więc szybko nadepnęłam na hamulec, żeby uniknąć zderzenia ze ścianą stacji Shella. Pomyślałam: Nie powinno się tracić przytomności, jeżeli samochód jest na chodzie.

W specjalnym uchwycie po stronie pasażera ujrzałam butelkę z colą i pilnie skoncentrowałam na niej wzrok, aż świat dokoła stał się zamazany, jakby go sfilmowano przez gazę. Zamiast puszek kupowałam te małe butelki coli i pozwalałam sobie na wypicie jednej dziennie, ale nie więcej - Thomowi, eksportsmenowi, zależało, by jego żona miała jędrne ciało. Chwyciłam tę butelkę dziś rano w drodze do drzwi, myśląc o tym, że bardziej wyczuję, niż usłyszę syk gazu po jej otworzeniu. Zamierzałam ją opróżnić jednym długim haustem, gdy już dokonam swojego krwawego czynu, bo to ostatecznie szampan dziewczyn z nizin społecznych. Teraz ta butelka tkwiła w najlepszym uchwycie, niczym pamiątka z mojego prawdziwego życia. Chwyciłam ją w rękę. Wciąż była zimna.

Przyłożyłam chłodne szkło najpierw do jednego, potem do drugiego oka w nadziei, że to wyostrzy mój wzrok. Ale tak naprawdę za tym gestem kryło się znacznie więcej. Kierował mną ten sam impuls, który odwiódł moją rękę od zdjęcia czapki. Usłyszałam cichy głos - głos Rose Mae, która próbowała ratować mi tyłek, podczas gdy Ro Grandee, pełna poświęcenia ofiara przemocy domowej, siedziała zwinięta w kłębek i pogrążała się w coraz głębsze odmęty paniki. Rose wiedziała, że muszę przytknąć zimną butelkę do oczu, żeby zniknęło zaczerwienienie i obrzęk. Bo kiedy znowu ujrzę Thoma Grandeeego, on za nic nie może zobaczyć, że płakałam.

Thom przecież żył w przeświadczeniu, że w tej chwili tkwię w domu i, podśpiewując radośnie, wybielam jego bokserki lub wiruję tańecznie z odkurzaczem po salonie. Jak go zobaczę, nie mogę zapytać o stan Gretel, a nawet o to, czy jeszcze żyje, w co wciąż uparcie wierzyłam.

Święty Roch znowu skinął uspokajająco głową.

W każdym razie w obecności Thoma muszę się zachowywać jak gdyby nigdy nic i czekać do czasu, aż on sam wyjawí, co go spotkało w lesie. Muszę wysłuchać opowieści o tym wszystkim, co próbowałam mu zrobić, tak jakbym nie miała o niczym pojęcia.

Rozwarłam oczy, ćwicząc wyraz zdumienia.

- Wielkie nieba, Thom! Jesteś pewien, że nic ci się nie stało? A co z Gretel? - powiedziałam głośno.

Fatalnie, same fałszywe nuty. Spróbowałam rozdziawić szeroko usta.

- Coś podobnego! Wprost nie do wiary! Ktoś do ciebie STRZELAŁ?

Jeszcze gorzej.

- Mam kompletnie przerąbane - jęknęłam i to było pierwsze zdanie, które zabrzmiało całkiem szczerze.

Przycisnęłam butelkę do oka. Na zamkniętej powiece poczułam przyjemny chłód szklistej gładzi. Moi święci kręcili się niespokojnie na tylnym siedzeniu. Chcieli, żebym wreszcie zaczęła działać, jednak nie podsuwali żadnych konstruktywnych sugestii. Choć logicznie rzecz biorąc, niby czemu mieliby mi pomagać? Ostatecznie jakże nędznym trzeba być katolikiem, żeby strzelać do męża z powodu tarotowej wróżby?

W tym samym momencie się zreflektowałam. W istocie zasadniczej roli wcale nie odegrała talia tarota, ale tylko jedna z kart. Ta ostatnia.

A przecież wróżbiarka odkryła aż trzy. Reprezentowały moją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Osobistą stratę, mariaż mieczy, ultimatum. Tymczasem ja przez minione trzy dni napędzałam się przesłaniem tylko ostatniej z nich. Nie myślałam o pozostałych. Kiedy matka,

która zniknęła przed dwudziestu laty, objawia się na lotnisku przy rutynowej odprawie, człowiek może postradać rozum. A gdy na dodatek owa matka spuszcza bombę w rodzaju „Musisz zabić męża”, reszta rozmowy ginie we mgle. A przecież wcale nie zaczęłyśmy naszej rozmowy od śmierci. Nie zaczęłyśmy nawet od mojego małżeństwa, ale od straty. Wróżbiarka próbowała mnie przekonać, że wszystko się zaczęło walić, gdy to ona zniknęła z mojego życia, ale ostatecznie odkryta karta nie była czwórką MATEK.

Na karcie widniała płonąca wieża, co mogło oznaczać wiele różnych rzeczy. Powiedziałam, że zapewne chodzi o zniknięcie Jima Beverly'ego przede wszystkim dlatego, że chciałam ją zranić. Ona sugerowała coś zupełnie innego, ale kryła swoje przesłanie za aluzyjnymi gestami i niejasnymi wypowiedziami. Praktycznie każde jej słowo po-brzmiewało tajemniczym podtekstem. Każda chwila milczenia zdawała się kryć jakiś sekret. Przywołałam z pamięci obraz wróżbiarki - zobaczyłam, jak postukuje w wargę palcem o srebrnym koniuszku. To jednak nie był żaden gwiazdny pył, ale metaliczna farba. Gdy tylko to sobie przypominałam, od razu zrozumiałam, gdzie powinnam jechać. Chociaż ręce wciąż mi się trzęsły, wzrok miałam już jasny. Wrzuciłam wsteczny bieg i wróciłam na autostradę.

Tym razem skierowałam się na zachód. Patrzyłam na drogę tylko jednym okiem, i tylko jedną ręką trzymałam kierownicę. W drugiej miałam butelkę coli, którą przyciskałam do twarzy, licząc na zbawienne działanie jej chłodu. Co rusz zerkałam we wsteczne lusterko, w którym ponownie Amarillo stawało się coraz mniejszą plamą. Gdybym była żoną Lota, do tej pory już wiele razy zmieniłabym się w słup soli. W końcu więc wykrzesalam z siebie resztki samodyscypliny i skończyłam z tymi ukradkowymi spojrzeciami wstecz.

Teraz przede wszystkim musiałam bacznie patrzeć przed siebie i lustrować jadące w przeciwną stronę auta, pilnować, czy aby nie nadjeżdża bronco Thoma. Ale szczęśliwie po drodze minęłam się jedynie z volkswagenem garbusem w jaskrawym kolorze. Dawno temu w Kingsville, gdy chodziłam z Thomem, a nie byliśmy jeszcze

małżeństwem, na widok takiego barwnego garbusa uderzałam go lekko pięścią w ramię. To była taka nasza mała gra. Od tamtego czasu przeszliśmy do bardziej brutalnych zabaw.

Kiedy międzystanowa czterdziestka połączyła się z pozostałościami po słynnej Route 66, wiedziałam, że jestem już blisko celu. Zwolniłam i zaczęłam wodzić wzrokiem po horyzoncie. Przez te wszystkie lata kilkakrotnie wraz z Thomem przejeżdżaliśmy opodal Rancza Cadillaców, ale uważaliśmy, że te wszystkie graffiti wymalowane na autach są dobre dla nastolatków lub turystów. Więc nigdy się nie zatrzymaliśmy.

Teren był tutaj tak płaski, że już z dużej odległości ujrzałam sylwety samochodów sterczących z ziemi. Dziesięć cadillaców - pokrytych graffiti, zakopanych tyłami na polu pszenicy - odbijało promienie słońca i z wolna rdzewiało w suchym, teksańskim powietrzu. Zjechałam z drogi na pobocze i po chwili zrównałam się z cadillacami.

Wyłączyłam silnik i wówczas usłyszałam jedynie poświst wiatru oraz bicie własnego serca. Waliło tak mocno, że tętno pulsowało mi w uszach i koniuszkach palców. Napierało niemilosiernie na żebra. Wyobraziłam sobie, jak te płaskie, wygięte kości pokrywają się siateczką pęknięć, będących lustrzanym odbiciem tych, które zawdzięczałam Thomowi. Moje serce zdawało się jedynym organem zdolnym do jakiegoś działania. Powieki miałam ciężkie i nieruchome, a nogi jak z waty - zupełnie bezużyteczne.

- Co się ze mną dzieje? - spytałam świętego Rocha, ale on tylko wzruszył ramionami. Natomiast Rose Mae miała od razu gotową odpowiedź: Jesteś w szoku, kretynko. Musisz szybko zjeść coś słodkiego.

Otworzyłam colę i za jednym zamachem wypiłam połowę butelki. Zazwyczaj miałam przy sobie czekoladowego batona, ale dzisiaj zostawiłam torebkę w domu. Jakoś wydawało mi się nie na miejscu zabieranie szminki i dokumentów na wyprawę, której jedynym celem było uśmiercenie męża. W efekcie dysponowałam jedynie dwoma częściami rewolweru dziadunia, wrzuconymi do płóciennej torby na zakupy, oraz książką Stephena Kinga, która leżała na siedzeniu pasażera.

Nagle mnie oświeciło i zerknęłam do samochodowego schowka. Okazało się, że pani Fancy trzymała tam parę małych opakowań roźdzynków. Rozerwałam pakiecik i zaczęłam jeść rodzynki jedną po drugiej - powoli, systematycznie - chwytając je między dwa palce niczym trzyletni maluch. Były bez smaku, ale przelykałam je posłusznie jak lekarstwo. Kiedy pochłonęłam już wszystkie, otworzyłam drzwi i wysiadłam. W twarz uderzył mnie wiatr - o wiele silniejszy, niż mi się wydawało, gdy byłam w aucie. No ale na tej równinie nic nie mogło wyhamować jego pędu.

Naciągnęłam głębiej czapkę, żeby jej nie porwał gwałtowny podmuch. Ruszyłam przez pole, a za mną gęsiego podążyli moi święci. Nie słyszałam ich kroków, za to wiatr mieszał się z ich oddechami, uderzał mnie w szyję, dość silny, by napędzać okręty, ale ciepły i pachnący słodko trawą, niczym oddech krowy.

W tej chwili w pobliżu nie było żywej duszy, ani jednego turysty w zasięgu wzroku. Tylko ja i samochody. Stałam pomiędzy dwoma z nich, szukając schronienia przed wiatrem. Najbliższy cadillac wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozpaść. Odniosłam wrażenie, że tylne drzwi trzymają się karoserii tylko dzięki wielowarstwowej sieci zawijasów wymalowanych sprayem. Graffiti zachodziły na siebie - litery, obrazki, kolory, nakładane po stokroć jedno na drugie, zasłaniały wcześniejsze przesłania. Nagle złapałam się na tym, że wciąż trzymam butelkę w rękę, powoli więc zaczęłam sączyć resztkę coli, przyglądając się znad szklanej szyjki najbliższemu cadillacowi.

Wróżbiarka powiedziała, że powinnam tu przyjechać. Praktycznie na to nalegała. Chciała, żebym się zjawiła tutaj jak najszybciej, najlepiej tuż po naszym spotkaniu, i teraz zrozumiałam dlaczego. Gdzieś na jednym z tych samochodów zostawiła dla mnie wiadomość. Może nie była pewna, czy rzeczywiście ma to sens, więc jedynie rzuciła zawołowaną sugestię i resztę pozostawiła ślepemu losowi. Zdaje się, że w ogóle najchętniej zdawała się w życiu na ślepy los.

Bez trudu wyobraziłam ją sobie z puszką farby w rękę na tym polu, gdzie wiatr wiejący wśród pszenicy wydymał jej szale i wielowarstwowe

spódnice, podczas gdy ona pokrywała dawniej zapisane słowa srebrem. Farba barwiła czubek jej palca, natomiast bok samochodu wydawał się czystą kartą, na której mogła pozostawić swoje przesłanie. To ostatecznie był najbezpieczniejszy sposób poinformowania mnie, jak można ją znaleźć.

Na koniec naszego spotkania powiedziała: Proszę bardzo. Nie była to odpowiedź na podziękowanie, którego ode mnie nie usłyszała, ale zaproszenie - tyle że puste, bo do bliżej nieokreślonego miejsca. Trzy dni temu, na lotnisku, skoncentrowałam się na podprowadzeniu książki w nadziei, że znajdę tam jakąś ważną informację; tymczasem moja matka pozostawiła ją już wcześniej na tym polu. Teraz to stało się dla mnie oczywiste, ale teraz też najbardziej potrzebowałam tej informacji.

Thoma zapewne zżerał niewyobrażalny gniew, rozsadzający go do monstrualnych rozmiarów, wypełniających całą przestrzeń dzielącą mnie od domu. Słońce weszło już wysoko, nastał jasny, pogodny poranek i z każdą mijającą minutą coraz bardziej nabierałam przekonania, że mąż mnie dopadnie i dowie się, co zrobiłam.

W gruncie rzeczy nie miałam pojęcia, co w ogóle matka mogła do mnie napisać. Proszbę o przebaczenie? Winna mi była co najmniej tyśiąc przeprosin. Ale wiedziałam, co chciałabym przeczytać. A mianowicie, że pozostawienie mnie na pastwę losu było wielką, krwawiącą w jej wnętrzu raną, która przez te dwadzieścia lat nieustannie się jątrzyła. Podejrzewałam jednak, że w istocie znajdę jakąś New Age'ową bzdurę, mówiącą coś o układzie gwiazd i planet. Jednocześnie nie miałam żadnych wątpliwości, że zostawiła dla mnie szkicową mapę czy wręcz dokładny adres. Ostatecznie usłyszałam od niej zaproszenie. Zaoferowała mi gościnę - miejsce, gdzie będę mogła się ukryć, jeżeli nawalę i - w odróżnieniu od niej - nie zdołam w taki czy inny sposób uwolnić się od męża.

Jeżeli okaże się do niej niepodobna.

Przeszłam na koniec rzędu cadillaców i zaczęłam wodzić wzrokiem po napisach na samochodach, poszukując tylko tych najnowszych

i wypisanych srebrną farbą. Już na pierwszym aucie ujrzałam ich całym sporo. „Neal + Wanda = wieczna miłość”. „Tre to męska dziwka”. „Cowabunga!” Okazało się, że metaliczna farba jest bardzo popularna.

Na drugim samochodzie znalazłam zapewnienie, że geje miłują pokój, co potwierdzały srebrne serduszka i pacyfy, okalające napis. Obok widniała - także srebrna - zabawa w kółko i krzyżyk. Gdy przeszłam do kolejnego cadillaca, moi święci powlekli się za mną z ponurymi minami, nie służąc żadną pomocną wskazówką. Tam także znalazłam ślady srebrnej farby. „Karen uwielbia zielistki” - wyczytałam. A nieopodal: „Był tutaj wujcio Kulty!”.

Na boku czwartego samochodu zobaczyłam kwiat róży*, problem w tym, że nie zgadzał się kolor: sam pąk był czerwony, a lodyga zielona, upstrzona brązowymi plamkami wyobrażającymi kolce. Jednak róża to zawsze róża, więc na jej widok serce podskoczyło mi do gardła. Szybko przebiegłam sąsiadujące z nią słowa, nie bacząc na ich barwę. Po prawej ktoś wypisał: „Sex, Drugs, Rock-n-Roll! Anna”, grubą niebieską krechą, a po drugiej stronie widniało jedynie „Niosę ze sobą krew” w bordowym kolorze. Przebiegłam wzrokiem po innych cadillacach i na jednym z nich zobaczyłam czerwono-zielonego tulipana wymalowanego tą samą pewną ręką, która stworzyła różę. Przeszłam dalej i - jakżeby inaczej - na następnym aucie zobaczyłam czerwoną stokrotkę. A więc róża nie była dla mnie. Należała do wytworów jakiegoś jadącego na LSD dziecięcia-kwiatu, traktującego swoje powołanie zbyt dosłownie.

Wróciłam do czwartego cadillaca. Jedyne srebrny napis znajdował się pod różą i głosił: „Superimpieza tylko w RODEO!”. To z pewnością kolejne przesłanie gejų miłujących pokój, bo RODEO! to najbardziej osławiony w Amarillo bar dla transwestytów. Dojrzałam też przebliski jakiejś starszej srebrnej farby, jednak wszystkie nowe przesłania były w odblaskowych, podstawowych barwach.

Przeszłam do kolejnego auta, i do następnego. Odkryłam srebrną propozycję małżeńską - „Wyjdź za mnie, Lio!” - a także wyobrażenia

* róża to po angielsku „rose” - tak jak imię bohaterki (przyp. tłum.)

cyków, nut oraz galopujących koni przypominających prehistoryczne malowidła naskalne. I żadnej wiadomości przeznaczonej specjalnie dla mnie.

Dotarłam do ostatniego cadillaca, na którym nie było ani śladu srebrnej farby. Pewnie dlatego przeszukałam całą jego powierzchnię z wyjątkową starannością. I nic.

Sfrustrowana trzasnęłam dłonią w karoserię auta. Najmocniej jak umiałam. I natychmiast poczułam piekący ból. Zasysając powietrze przez zęby, przytknęłam rękę do rozgrzanego słońcem metalu. Gdzieś tutaj musiała być dla mnie jakaś informacja. Po prostu ją przeoczyłam.

Albo się spóźniłam. Od spotkania na lotnisku upłynęły trzy dni. Matka nalegała, żebym tu przyjechała jak najszybciej; wiedziała bowiem, że jej wiadomość wcześniej czy później zostanie pokryta innymi napisami.

Przeszłam raz jeszcze wzdłuż rzędu cadillaców i ponownie zaczęłam od pierwszego samochodu. Teraz przyglądałam się baczniej wszystkim graffiti, próbując wytropić metaliczną farbę pod nowszymi przesłaniami. Przy trzecim samochodzie coś jasnego i błyszczącego przykuło mój wzrok, ale okazało się, że to zwodnicza biel, nie srebro.

Kolejne auto było tym z różą. Kwiat został wymalowany równo w pionie, artysta całkiem zignorował pochylenie karoserii. Łodyga kończyła się tam, gdzie samochód ginął w ziemi, po czym wystrzelała do samej góry tak, że niektóre płatki sięgały przeciwległej krawędzi.

Wszystkie trzy kwiaty - róża, tulipan, stokrotka - musiały być przez dłuższy czas wystawione na działanie słońca i wiatru, bo farba wyglądała nieświeżo. A więc wróżbiarka najprawdopodobniej zobaczyła różę, wiedziała, że ten właśnie kwiat przyciągnie mój wzrok. Słowa „Sex, Drugs, Rock-n-Roll! Anna”, były nowe, wypisane grubą kreską, jakby wspomniana Anna podwójnie wysprejowała każdą literę. Przynisnęłam bliżej twarz i wówczas dostrzegłam, że pod niebieską farbą majaczy jakiś srebrny napis. Matka wykorzystała różę jako zrozumiały dla mnie znak, ale potem pojawiła się dziewczyna o imieniu Anna i używając niebieskiego spreju, obwieściła światu swoje

niezdrowe priorytety życiowe, zamazując przy tym wiadomość przeznaczoną dla mnie.

Cofnęłam się o krok i zaczęłam wpatrywać w okolice róży, aż w końcu znalazłam miejsce, w którym rozpoczynał się srebrzysty napis - dokładnie pod „e” w słowie „Sex”. Litery były nieduże i układały się w dwie linijki, przykryte przesłaniem Anny. Zdołałam odcyfrować wielkie „N”, za nim „p”, „d”, a następnie chyba „ę” tkwiące pośrodku „D” ze słowa „Drugs”. Potem być może kolejne „d” albo „b”, „k”, „h” lub „l”. Niewykluczone, że nawet wyjątkowo nisko przekreślone „t” - farba w spreju nie pozwalała na staranną kaligrafię. Anna wypisała swoje filozoficzne przesłanie śmiałą ręką, pokrywając drobne słowa wróżbiarki na chybił trafił, zdołałam jednak odcyfrować jeszcze dwa „c”, „h”, najprawdopodobniej „l” i bez wątpienia „m”, tuż przed przecinkiem.

Druga linijka była wyraźniejsza. Gdzieś na początku „dl”, a potem „ę” i trzyliterowe fragmenty dłuższych słów „świ” oraz „Cec”. Całość kończyło „ii” oraz rozmazany wykrzyknik. Odsunęłam się jeszcze na krok, próbując ocenić odległość liter od siebie. Wiatr znowu zaatakował z całą siłą, aż musiałam wolną ręką przytrzymać baseballówkę.

„N p d ę c ch l m,” - dotykające obrazka róży.

Pod spodem zaś - „dl ę świ Cec ii!”

- Chcę kupić samogłoskę - mruknęłam, patrząc na napis zmrużonymi oczami. W tej chwili przepelniała mnie dzika nienawiść do drugów, rock and rolla i seksu, a przede wszystkim do Anny. Nie mogła swojego przesłania wymalować na kółku i krzyżyku?

Te litery, które zdołałam odcyfrować, w żaden sposób nie składały się na słowo „Berkeley”. Jednak niewykluczone, że matka mieszkała na przedmieściach lub w jakiejś małej, leżącej nieopodal mieścinie. Nie znałam Kalifornii na tyle, by się pokusić o inteligentne zgadywaniki. Przystępując z nogi na nogę, usiłowałam sobie przypomnieć nazwy różnych kalifornijskich miast. Wpatrywałam się w ułomne wyrazy, i wpatrywałam, aż nagle, ni stąd, ni zowąd, pierwsza linijka przesłania stała się dla mnie zupełnie jasna.

„Naprawdę cię kochałam”. Następnie przecinek i moje imię w formie obrazkowej - kwiatu róży. Zaczęłam kręcić głową w wyrazie pełnej niezgody i w tej samej chwili odgadłam resztę brakujących liter tak, że zdołałam odczytać całą wiadomość.

„Naprawdę cię kochałam, Rose. Módl się do świętej Cecylii!”

Nie. To niedorzeczne. Módl się do świętej Cecylii?! Jeżeli matka chciała, bym się do kogoś modliła, to czemu nie do Moniki, która sama była ofiarą domowej przemocy, lub do jakiegoś twardogłowego doktrynera w rodzaju świętego Pawła? Tym bardziej że święty Paweł i moja matka mieli ze sobą wiele wspólnego - oboje wiedzieli, jak gładko wykonać wolę w życiu. Natomiast Cecylia była patronką muzyki i zupełnie nie rozumiałam, w jaki sposób modły do tej pobożnej sopranistki mogłyby zwiększyć moje poczucie bezpieczeństwa. Pochyliłam się nad karoserią, żeby sprawdzić, czy pod brawurowym przesłaniem Anny nie kryją się jeszcze jakieś inne wyrazy wymalowane srebrną farbą. Ale nic nie dostrzegłam, zaczęłam więc przeglądać resztę samochodu w nadziei, że dojrzę metaliczny pobłysk pod innymi świeżymi napisami. Padłam nawet na kolana i przejrzałam podwozie, a potem zlustrowałam inne auta, zaglądając do wnętrza tych, które już nie miały drzwi.

Nie znalazłem jednak żadnej innej wiadomości do mnie.

Wróciłam więc do cadillaca, na którym widniała róża, i ponownie wpatrzyłam się w srebrną farbę. Próbowałam z odcyfrowanych liter ułożyć inne słowa - jednak na próżno, bo gdy już raz domniemane przesłanie utkwilo mi w głowie - Naprawdę cię kochałam, Rose, módl się do świętej Cecylii! - nie mogłam wymyślić niczego innego.

Moje ciało ustawiło się bokiem, a ramiona ułożyły w idealnej pozycji palkarza, której się nauczyłam w Małej Lidze. Grałam w baseball jedynie od piątego do ósmego roku życia - później nie miał mnie już kto wozić na treningi - ale mięśnie wciąż pamiętały, co robić. Złapałam za szyjkę małej butelki, jakby była kijem baseballowym, po czym rąbnęłam nią w bok samochodu. Trafiłam w obrazek róży - a dokładnie w to miejsce, gdzie płatki kwiatu stykały się z krawędzią karoserii.

Uderzenie było tak silne, że grube szkło roztrzaskało się na kilka kawałków, a ja zostałam z poszarpaną szyjką butelki w dłoni.

Przypominała śmiertcioną broń, w jaką można by się zaopatrzyć w więzieniu - ostrą, wygiętą, podstępą. Szybko ją odrzuciłam - zadzwoniła głucho, spadając na inne rozbite resztki. Spojrzałam wojowniczo na zielone szkło pobłyskujące w trawie.

- Och, wybacz - rzuciłam zjadliwym tonem. - Ale naprawdę cię kochałam, butelko po coli.

To matka mnie nakłoniła do przyjazdu na Ranczo. To ona powiedziała, że jeżeli chcę pozostać przy życiu, muszę zabić Thoma Grandeeego, więc w istocie przez nią postrzeliłam swojego psa. Święty Roch chciał w tym momencie coś wtrącić, ale rzuciłam ostro:

- Trzymaj głębę na kłódkę!

W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, co się dzieje z Gretel. Żaden z tych wlokących się za mną świętych nic o niej nie wiedział, ponieważ tak naprawdę wszyscy należeli do świata mojej matki, czyż nie? To z jej powodu snuli się za mną niczym dym. Bo to ona zawsze ich przyzywała. A święci zawsze odpowiadali na jej wezwania w sposób, w jaki - aż do dzisiaj - nie odpowiadali na moje.

Wiatr, który w istocie był ich oddechem, pachniał słodko niczym obietnica lata. Dawno temu, w dzień podobny do dzisiejszego, matka przyklękła u boku Rose Mae i objęła ją ramieniem. Rose miała włosy ściągnięte w warkoczyki i była ubrana w szorty czerwone niczym maki. W przedszkolu odbywały się zawody sportowe. Dziewczynki już się ustawiały na linii startu - wszystkie wyższe od Rose, stawiające większe kroki.

Matka się modliła wprost do ucha córki; przywoływała na pomoc świętego Sebastiana, patrona lekkoatletów. Nie pamiętam, jak dokładnie brzmiały słowa modlitwy, został mi w pamięci tylko niski szept, raz po raz odwołujący się do świętego, aż w końcu zmaterializował się on przed oczami małej Rose. Stał u jej boku, spoglądał na nią z góry, przeszyty tysiącem strzał, które sterczały z jego ciała na podobieństwo ociekających krwią kolców jeżozwierza. Oczy świętego zdawały

się płonąć żarliwością. Jedna strzała przeszła jego policzek na wy-lot, więc kiedy się uśmiechnął, Rose Mae ujrzała drewniany promień, przebiegający przez całą szerokość ust niczym końskie wędzidło, oraz zęby umazane krwią.

Wszystkie zawodniczki były już gotowe do biegu. Rose wyrwała się z objęć matki i truchtem dołączyła do koleżanek. Chciała uciec od Sebastiana.

Nie rozległ się strzał z pistoletu; w zamian pani Peirson, nauczycielka WF-u, zaczęła odliczanie. Trzy, dwa, jeden, start! Rose ostro ruszyła do przodu, choć nie miała szans na zwycięstwo. Była najniższa w całej klasie. Ale Sebastian biegł tuż za nią. Kątem oka widziała, jak podrygują strzały wbite w jego ciało. Wydawał się jej wielkim, krwawym stworem najeżonym kolcami.

Adrenalina buzowała w żyłach Rose Mae. Dziewczynka pochyliła głowę i pognąła przed siebie co tchu w piersiach. Widziała, że Sebastian niemal dotrzymuje jej kroku, chociaż pędziła jak wiatr. Przekroczyła linię mety stumetrowego sprintu, a potem mknęła dalej, minęła budkę, gdzie sprzedawano colę i lody na patyku, zupełnie nie zważając na rozlegające się krzyki:

- Stój, Rose Mae. Stój! Zatrzymaj się, głuptasie!

Tłum siedzący za szerokimi płótkami powstał z miejsc i zablokował jej drogę.

Rose poczuła na sobie czyjeś ręce, które uniosły ją wysoko w górę. Niewiele brakowało, a wrzasnęłyby z przerażenia. Na szczęście to była tylko matka, która do niej dopadła. Sebastian zniknął, jednak wcześniej rzeczywiście dokonał cudu. Rose Mae zajęła drugie miejsce.

Matka wzywała świętych, jak zgubiła klucze, jak byliśmy gdzieś spóźnione, głodne, smutne, zmęczone lub uszczęśliwione. Ci święci, do których się dzisiaj odwołałam, byli w istocie jej świętymi. Ranczo Cadillaców to jej pomysł. I to przez nią strzelałam do męża, w rezultacie zaś wpakowałam kule we własnego psa. Postępowałam według jej wskazówek - z tępym posłuszeństwem jak owa pięciolatka, która otrzymała czerwoną szarfę, ponieważ matka przywołała na pomoc

świętego naszpikowanego tysiącem strzał, bardziej przerażającego niż sam diabeł.

Za moimi plecami święci - jeden po drugim - znikali niczym pękające bańki mydlane. Przez chwilę tworzyli mgiełkę w powietrzu, po czym rozplynęli się w nicłość. Ściągnęłam z głowy baseballówkę. Bardzo mi przeszkadzała w tym upale, a ostatecznie Ranczo Cadillaców było jedynym miejscem w Teksasie, gdzie mi nie groziło natknięcie się na męża. Wiatr poderwał do góry i zmierzwił moje spocone włosy. Wypuściłam czapkę z rąk; natychmiast porwał ją ostry podmuch i rzucił na pole. Kosmyk włosów spadł mi na twarz i poczułam zapach prochu. Uniosłam ręce do nosa - znowu kordyt oraz owocowa słodycz, która przylepiła się do moich palców.

Po raz pierwszy od chwili, gdy wstałam z łóżka i przyrządziłam Thomowi okraszone masłem śniadanie, poczułam się swobodnie we własnym ciele. Skręciłam włosy w dłoni, uniosłam na wysokość karku i ze złością wbiłam wzrok w wiadomość od wróżbiarki. Nie mogłam się nadziwić, że pod moim pełnym złości spojrzeniem warstwy farby się nie wybrzuszą, nie odpadają, nie nikną. Te słowa należało wypalić żywym ogniem. Były znieważające pod wieloma względami, z których nie najblaszym był fakt użycia czasu przeszłego. Naprawdę cię KOCHAŁAM.

- Niezły tupet - mruknęłam i wykręciłam się tyłem do Cadillaców. Już się na nie napatrzyłam. Ruszyłam w stronę samochodu pani Fancy, a każdy mój krok był gniewnym ciosem zadawanym ziemi.

Wróżbiarka powiedziała, że Thom Grandee mnie zabije, jeżeli nie dopadnę go pierwsza. Nawaliłam na całej linii, mimo to świat nadal się kręcił, a Thom i ja wciąż pozostawaliśmy wśród żywych, ponieważ tarotowa przepowiednia wcale nie dotyczyła mnie, ale mojej matki.

Dotarłam do asfaltu. Zatupałam gwałtownie, żeby strząsnąć ziemię z butów i dlatego, że tupanie sprawiało mi przyjemność.

Pierwsza karta mówiła o stracie. To wróżbiarka coś utraciła. Dokładnie mówiąc - mnie. To jej małżeństwo było mariażem mieczy i nikt nie wiedział tego lepiej niż dziecko, które przez osiem lat dorastało

wewnątrz tego stadła. Wisielec odnosił się do mojej matki - musiała dokonać wyboru i wybrała siebie.

Istniało doskonale określenie na to, jak potraktowała córkę. Poznałam je, oglądając z Thomem stare czarno-białe filmy wojenne, które wypożyczaliśmy na weekendowe wieczory. Dopuszczalne straty uboczne; tak określano tych nieszczęśników, których generałowie już z góry skazywali na unicestwienie. Matka ustawiła mnie na swojej dawnej pozycji, gdy postanowiła sama się ratować, a ja potulnie tkwiłam na wyznaczonym posterunku, więc nic dziwnego, że obie pomyliłyśmy adresata karcianej przepowiedni.

Wsiadłam do samochodu pani Fancy i tak mocno trzasnęłam drzwiami, że aż zadrgała cała karoseria. Najgorsze było to, że teraz, gdy pomimo wszystkich warstw szali odkryłam, kim jest tajemnicza wróżbiarka, nie miałam sposobności jej powiedzieć, co naprawdę myślę. Książka Stephena Kinga wyjawiała mi tylko nazwę miasta, lecz - o ile nie zamierzałam wynająć samolotu i przy jego użyciu wypisać wiadomość na niebie nad Berkeley - pozostawałam bezsilna.

Co w takiej sytuacji mogłabym zrobić?

Mogłabym pojechać do domu. Poczułam, jak moje usta układają się w idealne „O”, a oczy rozwierają się na całą szerokość.

- Ktoś do ciebie strzelał?!

Zabrzmiało o wiele lepiej niż wcześniej.

- Ktoś do ciebie STRZELAŁ?!

A jednak byłam w stanie odegrać szczere zdumienie. Mogłam więc wrócić i sprawdzić, czy moja psina wciąż żyje. Jeżeli tylko Gretel nadal oddychała, zdołam zasnąć jak niemowlę u boku męża w naszym szerokim, miękkim łóżku.

W czarno-białym filmie, który wraz z Thomem oglądałam niecałe dwa tygodnie temu, widziałam, jak jakiegoś Francuza skazano na gilotynę. Facet uniósł do góry arystokratyczny, spiczasty nos, po czym ze spokojem i godnością udał się na szafot. Przed ścięciem oznajmił jeszcze: W moich żyłach płynie krew królów.

Pieprzyć to. W żyłach Rose Mae Lolley płynęła krew beznadziejnych dupków. Moja matka po raz kolejny to udowodniła. Nie zamierzała mnie ocalić. Mogła zabrać swoje puste „Bardzo proszę” ze stołu i wsadzić sobie głęboko w tyłek. Teraz chętniej udałabym się do piekła niż do Kalifornii. Zresztą tak naprawdę wcale nie potrzebowałem tej kobiety. Patrząc na nią, zapomniałam, że potrafię się obchodzić z Thomem Grandeem. Gdybym tego nie umiała, już dawno temu byłabym martwa.

Ruszyłam w stronę domu.

Napędzana gniewem z całej siły nadepnęłam na pedał gazu. Przekroczyłam limit prędkości o dobre trzydzieści kilometrów na godzinę. Musiałam natychmiast zwolnić. Zatrzymanie przez drogówkę to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, gdy nie miałam przy sobie prawa jazdy, za to w torbie wiozłam niezarejestrowaną broń. Poza tym gnałam na złamanie karku tylko dlatego, że rozsadzała mnie wściekłość na wróżbiarkę. Thoma z pewnością nie było już na mojej drodze. Najprawdopodobniej siedział w tej chwili u weterynarza, gdzie pojechał, by - błagam, Boże, błagam - ocalić życie Gretel. Albo składał doniesienie na policji.

To, że znalazłam się w tak niebezpiecznej sytuacji - zasuwałam autostradą z kosmiczną prędkością - było wyłączną winą wróżbiarki. Bo tak naprawdę powinnam teraz tkwić w domu i rozładowywać zmywarkę lub ćwiczyć miny wyrażające najwyższe zdumienie. Tymczasem zmarnowałam godzinę na snucie się po polu pszenicy w poszukiwaniu bezsensownego wyznania miłości, na które nie mogłam odpowiedzieć, bo autorka nie raczyła zostawić adresu kontaktowego.

- Jeszcze tam wrócę - oznajmiłam nie wiadomo komu, bo na szczęście w samochodzie nie było już żadnych pasażerów. - Jakoś sobie poradzę, udobrucham Thoma, a w najbliższym czasie zapakuję do samochodu kurczaka z rożna, sałatkę owocową, panią Fancy i Gretel, po czym ponownie przyjadę na Ranczo Cadillaców i pokryję własnym graffiti „Sex, Drugs, Rock-n-Roll! Anna” oraz srebrzyste resztki wiadomości od wróżbiarki.

Muszę pamiętać, żeby zabrać czerwoną farbę i odświeżyć obrazki, wykonane ręką hippisowskiego dziecka-kwiatu. Obok róży napiszę „Jim” a w miejsce kropki nad „i” wymaluję małe serduszek. Dużo większe umieszczę obok jego imienia - ostrym końcem w górę, okrągłymi wypukłościami w dół tak, że będzie przypominać zgrabną dziewczęcą pupę. Jim, serce do góry nogami, Rose - takie logo zdobyło w liceum wszystkie zeszyty Rose Mae. Wiedziałam, że dobrze się poczuje, jak wypiszę je raz jeszcze.

A jeżeli przypadkiem na Ranczo ponownie przyjedzie wróżbiarka, zobaczy, że nie zostawiłam dla niej żadnej informacji, przekona się, że nie cierpiałam po jej utracie. Nic nie znajdzie poza logo z imieniem Jima, które bez wątpienia stanie jej ością w gardle.

Bo za Jimem Beverlym tęskniłam najbardziej. Rzuciłam to matce w twarz na lotnisku - przede wszystkim, by ją urazić. Ale teraz uznałam, że tak jest naprawdę. Rose Mae i Jim Beverly zdawali się do siebie przyspawani od trzeciej klasy podstawówki aż do końca liceum, a więc dłużej, niż Rose spędziła u boku matki.

W podstawówce, kiedy już wszyscy chłopcy z klasy zostali wybrani do drużyny piłkarskiej, Jim zawsze, bez wyjątku, wybierał ją jako pierwszą spośród dziewczynek. W gimnazjum Rose Mae była objęta programem darmowego dożywiania, natomiast Jimowi mama zawsze pakowała lunch do szkoły. Jim dzielił się z Rose świeżymi owocami, ona oddawała mu połowę zakalcowatego ciasta. W liceum pisała za niego raporty na socjologię, w zamian on robił za nią sekcje na biologii. W dziesiątej klasie stracili razem dziewictwo. Jim był też pierwszym chłopcem, jakiego Rose widziała nago, ale to nastąpiło znacznie wcześniej, kiedy mieli zaledwie po dziewięć lat.

Umówili się w lasku, za budynkiem szkoły. Jim się odwrócił i szybko spuścił szorty oraz majtki. T-shirt wisiał tak nisko, że widoczna była jedynie dolna część pupy - dwa beżowe kwadraty rozdzielone kreską pośrodku, małe i płaskie niczym tosty, które Rose jadła na śniadanie.

- Teraz ty - powiedział.

Wówczas to ona odwróciła się do niego plecami. Była tak chuda, iż wydawało się, że praktycznie nie ma pupy. Sięgnęła pod sukienkę - ostrożnie, by nie unieść brzegu - i ściągnęła bawełniane figi. Szybko uniosła i opuściła spódniczkę, a potem błyskawicznym ruchem podciągnęła majtki. Działo się to w lecie, gdy lasy Alabamy były tak soczyście zielone, że nawet światło słońca, przefiltrowane przez niezliczone liście, zdawało się nabierać pistacjowej barwy.

- Pokażemy sobie teraz z przodu? - spytał Jim.

Rose wzruszyła ramionami i przez dobre pół minuty, a może nawet dłużej, spoglądali na siebie w milczeniu.

- Ty pierwszy - powiedziała w końcu.

- Ja pierwszy pokazałem ci tyłek.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Tyłki są takie same u dziewczyn i chłopaków. Ty pierwszy

Teraz to on zareagował wzruszeniem ramion, po czym znowu ściągnął szorty i tym razem uniósł odrobinę koszulkę. Ze zdenerwowania ścisnął mocno uda, przez co jądra zostały wypchnięte do przodu i wyglądały jak odwrócony do góry nogami bratek. Błady, gładki penis przypominał niewielki pączek wyrastający ze środka kwiatka.

- Jest całkiem ładny - oznajmiła ze zdumieniem Rose.

- Teraz ty - zarządził Jim.

Rose kopała czubkiem buta ziemię, nie patrząc Jimowi w oczy.

- Teraz ty - powtórzył nagłym tonem, bo nagle zyskała nad nim przewagę; symetria uległa zachwianiu.

- Rose Mae!

Rose tymczasem nie wiedziała, co robić, bo jednego była pewna - i tak nie zdoła przywrócić równowagi. W najlepszym wypadku Jim zobaczy pulchny, gładki wzgórek; wszystko, co interesujące, znajdowało się w środku.

- Chcę, żeby było sprawiedliwie - powiedziała.

Chłopak skinął głową, wyraźnie skołowany.

Nie zdjęła majtek, za to zaczęła unosić do góry sukienkę, mnąc brzeg w zaciśniętych palcach. Zadarła ją tak bardzo, że wyraźnie

widziała swój brzuch i żebra. Całe jej ciało, od linii majtek, aż po miejsce, gdzie pewnego dnia miały wyrosnąć jej piersi, było pokryte ciemnymi sińcami - świeżymi, bo od zniknięcia matki nie minął nawet rok i ojciec dopiero się rozkręcał.

Jim wybałuszył oczy, które gwałtownie pociemniały z powodu rozszerzonych źrenic: czerń niemal w całości pochłonęła błękit, zredukowała go do cienkiej obwódki.

- Mogę dotknąć?

Rose tylko wzruszyła ramionami, toteż Jim dał krok do przodu, położył brudną, opaloną rękę na brzuchu dziewczynki i delikatnie przesunął palcami wzdłuż czarno-fioletowych sińców, kończących się tuż przy sutku. A potem gwałtownie zabrał dłoń, jakby obite ciało parzyło.

- Jesteśmy kwita - oświadczyła Rose i puściła brzeg sukienki, który opadł jej do kolan. Jim w żaden sposób nie potwierdził jej słów. Nie musiał. Dla niego również było oczywiste, że wyrównali rachunek.

Obiecał za to spontanicznie:

- Nikomu nie powiem.

A Rose z uroczystą powagą skinęła głową.

I rzeczywiście nigdy nie puścił pary z gęby. Podobnie jak ona.

- To utrata Jima była dla mnie najboleśniejším ciosem - rzuciłam pod adresem wróżbiarki, której w tej chwili serdecznie nienawidziłam za to, że nie siedziała obok i nie mogła usłyszeć moich słów.

Zjechałam z międzystanowej czterdziestki i znajdowałam się już na ulicach Amarillo, zaledwie trzy minuty drogi od swojego domu. Nie powinnam pozbywać się czapki. Teraz każdy mógł mnie łatwo rozpoznać. Na twarz wystąpiły mi ciemne rumieńce, w dole brzucha poczułam dobrze znany skurcz, jakby się zwiżyła gruba sprężyna. W pierwszej chwili nie zorientowałam się w sytuacji z powodu dławiącego mnie gniewu, ale powoli zdołałam dotrzeć do źródła mojego pobudzenia. Pojawiło się w chwili, gdy powróciłam myślami do Jima Beverly'ego i jego kanciastych pośladków brązowych niczym tost.

Ten tyłek prawie wcale nie zmienił się z wiekiem i na zawsze pozostał najwęższą częścią ciała Jima. Kiedy poszliśmy do liceum, nawet

jego muskularne uda były szersze. Powyżej jędrnego, niewielkiego tyłka, doskonale zarysowane mięśnie pleców rozszerzały się stopniowo i przechodziły w imponujące bary. Na to wspomnienie sprężyna w moim brzuchu zwinęła się jeszcze ciaśniej.

- Co ci, do cholery, odbiło? - zapytałam głośno. Pierwsze godziny poranka spędziłam na strzelaniu do męża, a tymczasem moje ciało szykowało się na seks. Czy to nie paranoja? Ale po chwili zrozumiałam paradoks. Ciało było mądre; wiedziało, jak najskuteczniej oblaskawić Thoma.

Skręciłam w swoją ulicę i skierowałam się w stronę naszego przysadzistego ranczerskiego w stylu domu, stojącego pośrodku kwartału. Kiedy zbliżyłam się do posesji pani Fancy, zobaczyłam niebieskiego forda bronco z charakterystycznym białym pasem, zaparkowanego w połowie naszego podjazdu. Samochód Thoma. Co gorsza, tuż za fordem stała wielka, czarna, błyszcząca półciężarówka, która wyglądała jak wykonana na prywatne zamówienie samego szatana. Należała do rodziców mojego męża.

Klan Grandeech stawił się na wezwanie. Thom mnie pokonał - dotarł do domu pierwszy.

Rozdział 4

Samochód pani Fancy nieubłaganie toczył się przed siebie. Ja zaś bezradnie siedziałam w środku i przemieszczałam się wzdłuż ulicy w zwolnionym tempie niczym na jakiejś upiornej paradzie. Zbliżałam się już do podjazdu pani Fancy, następny podjazd prowadził do mojego domu. Wyraźnie widziałam forda bronco i ostre zarysy czarnej półciężarówki. Nasz bungalow również rzucał się w oczy, o wiele jaśniejszy i jakby bardziej realny od reszty zabudowań w sąsiedztwie. Został wzniesiony w latach pięćdziesiątych i chociaż - jak to bungalowy - był parterowy, zdawał się złowieszczo górować nad okolicą.

Poprzedni właściciel zrujnował piękną ceglana elewację, pokrywając ją warstwą pastelowej farby. Przywodziła na myśl pastę do zębów - matową, w odcieniu akwamaryny, lodowato miętową w smaku. Teraz ten kolor kłuł mnie w oczy tak bardzo, że aż zaczęły łzawić. Odwróciłam szybko głowę i mój wzrok trafił na dom pani Fancy. Nie wiedzieć kiedy kierownica skręciła w ślad za moim spojrzeniem i samochód wspiął się na biegnący w górę podjazd.

Sięgnęłam po garażowego pilota, po czym gładko wtoczyłam się do wnętrza, nie czekając, aż drzwi całkiem się otworzą. A gdy tylko tył hondy znalazł się w garażu, natychmiast z powrotem nacisnęłam guzik na pilocie. Minął mniej więcej rok, zanim drzwi się opuściły, ale w końcu dotknęły posadzki, całkowicie odcinając dopływ słonecznego światła.

Wsluchiwałam się w dźwięki, wydawane przez stygnący silnik samochodu i wpatrywałam w cyfrowy zegar na desce rozdzielczej - 10:37. Zapewne w tej chwili Thom obradował z rodzicami pośrodku salonu, gdzie było wielkie, panoramiczne okno wychodzące na ulicę. Jeżeli ktoś z klanu chwilę wcześniej przez nie spoglądał, nie będą musiała długo czekać na reakcję. Ale nawet gdyby nikt nie zerkał

spomiędzy zasłon, uwagę mojego męża mógł zwrócić odgłos otwierania sąsiedzkiego garażu, bo Thom dobrze wiedział, że pani Fancy wyjechała z miasta. W moich uszach dźwięki wydawane przez te cholerne garażowe drzwi przypominały ryki rannego niedźwiedzia, który zamierzał obwieścić swą niedolę wszystkim pobratymcom zamieszkującym Alaskę.

Na wyświetlaczu zegara przeskoczyła cyfra; wskazywał teraz 10:38.

Nie słyszałam tupotu stóp Thoma - ciężkich, gniewnych kroków obniżających położenie podjazdu pani Fancy w stosunku do poziomu morza. Nie słyszałam, żeby wykrzykiwał moje imię z morderczą nutą w głosie. W schludnym, mrocznym garażu panowała cisza. Mimo to czekałam w bezruchu, nie wysiadałam z samochodu. Jeśli ktoś z klanu zauważył, że prowadzę hondę pani Fancy, najbezpieczniejsze było miejsce za kierownicą: w razie czego nacisnę pedał gazu i zacznę zwiawać najszybciej, jak się da. Bo nie zdołałabym wyjaśnić, dlaczego mam przy sobie rewolwer dziadunia, i gdzie byłam w czasie, gdy strzelano do pierworodnego rodziny Grandeech.

Upłynęła kolejna minuta. Thom się nie zjawił. Nie dobiegały mnie też żadne odgłosy, mogące zwiastować katastrofę. Nie słyszałam dudniącego głosu Joego Grandeeego, ani ostrych piskliwych tonów Charlotte, jego żony. Wróg nie nadciąga, pomyślałam i w tej samej chwili oblał mnie lodowaty pot - wyprysnął gwałtownie na powierzchnię skóry niczym zbyt długo wstrzymywany oddech.

Ruszyłam do działania. Wyszarpnęłam ze stacyjki klucze pani Fancy, chwyciłam książkę i torbę z częściami kolta, po czym niemal to wszystko upuściłam, gdy nerwowo wysiadałam z samochodu. Przycisnęłam tłumok do piersi i z trudem złapałam równowagę. Teraz liczyła się każda minuta, bo każda z nich to kolejne sześćdziesiąt sekund nieobecności, z których będę musiała się wytłumaczyć.

Co, do diabła, Thom w ogóle robił w domu? I co robili tam jego rodzice? Wcześniej dałabym sobie głowę uciąć, że siedzi u weterynarza, o ile Gretel... Nie, nie mogłam się zdobyć na dokończenie tej myśli.

Wewnętrzne drzwi w garażu prowadziły do brzoskwiniowej w kolorze kuchni pani Fancy. Weszłam tam i rzuciłam swoje rzeczy na jeden z blatów. Thom został dziś potraktowany jak tarcza strzelnicza, czy - na Boga jedyne - w związku z tym nie powinien podjąć jakichś działań? Tymczasem on zaszył się w domu wraz z Joem i Charlotte, zastanawiając się zapewne przy okazji, gdzie, do cholery, podziewa się jego Ro, tym bardziej że samochód, którym jeździłam - wiekowy buick w kolorze psiej kupy, szeroki jak rzeczna barka - stał w naszym garażu. Ów krążownik szos należał swego czasu do Charlotte, która mi go podarowała na zasadzie „naści niebożę”. Joe utrzymywał, że był to wysoce wielkoduszny gest, bo dostaliśmy buicka za darmo. Wziąwszy jednak pod uwagę ilość paliwa, jaką pożerał ten gruchot, oraz liczbę grubiańskich nalepek odnoszących się do Piątej Poprawki, którymi Joe pooklejał tylny zderzak, Charlotte postąpiłaby o wiele bardziej wielkodusznie, gdyby mi powiedziała, że chodzenie wszędzie na piechotę korzystnie wpłynie na kształt mojego tyłka.

Żółty kot pani Fancy, Phil, wpadł do kuchni, zadarł łeb i zaczął głośno miauczeć. Zamrugałam głupawo. Z tego wszystkiego zapomniałam go nakarmić dzisiejszego rana. Prychnął na mnie kilka razy krótko, gwałtownie, jakby jego brzuch był bombą, którą trzeba rozbroić - natychmiast, najlepiej korzystając z torby z karmą.

Thom powinien teraz siedzieć na posterunku policji. Z pewnością tam dzwonił. Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Stało się to dla mnie oczywiste, jak ujrzałam wyraz jego twarzy w chwili, gdy zdał sobie sprawę, że strzały nie padły przypadkowo.

Poza tym co najmniej raz trafiłam Gretel. Czy weterynarze nie mieli obowiązku powiadamiać policji o ranach postrzałowych? A może dotyczyło to jedynie lekarzy leczących ludzi? Oni z pewnością musieli zgłaszać takie przypadki, wielokrotnie o tym słyszałam podczas swoich częstych wizyt na oddziale ratunkowym. Do diabła, personel medyczny, który mnie opatrywał, za każdym razem chciał ściągać gliniarzy, chociaż w grę wchodziły jedynie sińce i pęknięcia kości, a nie postrzały. Zjawiałam się na ratunkowym tak często, że gdybym teraz

przyjechała z infekcją zatok, dyżurna pielęgniarka już odruchowo by spytała, czy chciałabym wezwać policję.

W szczególności jedna z siostr za każdym razem nalegała, żebym „powiadomiła odnośne władze”. Była chuda i blada, a jej oddech zawsze pachniał jogurtem, jakby sama ulegała powolnej fermentacji. Ostatnio położyła rękę, różową i miękką niczym łapka myszy, na moim nadgarstku - tym, który nie był złamany - i powiedziała:

- Nie musi pani tego znosić.

Ja tymczasem czułam, jak moje ciało próbuje się niemal oderwać od kości, byle tylko się wysliznąć spod jej dotyku.

- Spadłam ze schodów - oznajmiłam nieznośnie znudzonym tonem, patrząc na pielęgniarkę niewidzącym wzrokiem.

- Poprzednio utrzymywała pani, że mieszka w parterowym bungalowu - odparła.

Niewiele brakowało, a w tym momencie spojrzalabym jej w oczy - tak bardzo byłam zdumiona, że zapamiętała ów szczegół. Zdołałam jednak się opanować. Od czasu ślubu z Thomem zjawiałam się na tym oddziale dość regularnie. W wyjątkowo burzliwym, trzecim roku naszego małżeństwa wylądowałam w szpitalu aż pięć razy. Teraz już byłam zaprawioną w bojach weteranką; wpatrywałam się beznamiętnie w ścianę ponad lewym ramieniem wścibskiej pielęgniarki, traktowałam ją jak powietrze.

- Spadłam ze schodów w domu znajomych - oświadczyłam równie znudzonym tonem, wyszarpując rękę spod jej dłoni. Chyba już wolałabym towarzystwo gliniarzy. Oni przynajmniej się nie wzruszają i nie próbują nikomu matkować.

Phil znowu zamiauczał rozdzierająco, wijąc się wokół moich kostek niczym futrzany wąż.

- Pamiętam o tobie - zapewniłam, zawieszając wzrok na torbie z częściami kolta.

Musiałam znaleźć skrytkę na rewolwer dziadunia, i to cholernie dobrą. Nie mogłam wnieść go do domu - nie w obecnej sytuacji, gdy był tam Thom i Bóg jeden wie ilu jeszcze innych Grandeech. Idealne

miejsce to takie, do którego pani Fancy nigdy nie zaglądała, a jednocześnie łatwo dostępne, żebym zdołała niepostrzeżenie zabrać stamtąd broń.

- Szafa w pokoju gościnnym.

Nie zdawałam sobie sprawy, że powiedziałam to na głos, póki Phil nie odpowiedział mi piskiem, który był zbyt przepełniony frustracją i złością, aby można go nazwać miauczeniem.

- Musisz chwilę poczekać - mruknęłam.

Chwyciłam torbę z koltem oraz książkę i weszłam do salonu. Phil wyprzedził mnie żwawymi susami i chwilę później oboje znaleźliśmy się w holu. Tłuste boki kota falowały w górę i w dół, jasno świadcząc o tym, że brak śniadania należał do nowych i wyjątkowo przykrych doświadczeń w jego życiu.

Rozkład domu pani Fancy był lustrzanym odbiciem naszego. Oprócz głównej sypialni, znajdowały się tu jeszcze dwie inne. Jedną z nich pani Fancy utrzymywała w pełnej gotowości bojowej na wypadek, gdyby ktoś przyjechał w odwiedziny; drugą moja wiekowa przyjaciółka zamieniła w szwalnię.

Weszłam do pokoju gościnnego. W pierwszym odruchu chciałam sznurnąć torbę pod łóżko, ale nagle uprzytomniłam sobie, że dom pani Fancy wprost lśni czystością. Aż strach pomyśleć, jaki rumor by usłyszała, gdy po powrocie przejechałaby odkurzaczem pod łóżkiem.

Przesunęłam drzwi szafy. Bingo! Na dnie stało mnóstwo starannie poukładanych pudeł na buty. Uklękłam i podniosłam wieczko z pudła leżącego w górnym rzędzie. Zobaczyłam parę zamszowych pantofli bez palców, które wyszły z mody przed dwoma dekadami. W kartonie obok znalazłam sandały z cienkich pasków na wysokim obcasie wyznaczonym sztucznymi kamieniami. Musiały należeć do młodszej wersji pani Fancy - tej, która wyglądała jak owa seksowna laska na lotnisku. Szybko doszłam do wniosku, że to mało prawdopodobne, by moja droga przyjaciółka w najbliższym czasie zabrała się do przeglądania tych pudeł. Opadłam na czworaki z zamiarem wyciągnięcia jakiegoś kartonu z samego dołu. Phil zaszedł mnie od tyłu i zaczął natarczywie

trykać głową w biodro. Nie mogłam go odepchnąć: jeżeli moja skóra zetknęłaby się z kocią sierścią, przez resztę dnia nie zdołałabym op nować kichania.

- Phil, ty mały dupku, daj mi minutę - fuknęłam.

Miałam przed sobą dziewięć szeregów pudeł, wysokich na cztery do pięciu kartonów, wypełniających całe dno szafy. Wybrałam pudło z najgłębszego kąta. Dopiero gdy zdjęłam wieczko, zdałam sobie sprawę, że gdyby znajdowała się tam para butów, inaczej leżałoby mi w dłoni.

W środku znalazłam srebrny dziecienny kubeczek, maleńkie różowe buciki ręcznej roboty, Album Malucha. Zobaczyłam też plastikowy woreczek strunowy, a w nim kosmyk ciemnych włosków, delikatnych jak jedwab, oraz złożony na czworo arkusz poźółkłego papieru.

Poszukiwałam sekretnego schowka na broń, a tymczasem odkryłam skrytkę pani Fancy Podniosłam się do klęczek i rozłożyłam poźółkły arkusz. Okazało się, że to akt urodzenia. W rubryce IMIĘ widniało Ivy. Zerknęłam na dół strony w poszukiwaniu daty Dokument wydano w 1972 roku, cztery lata po moich narodzinach. Ojcem Ivy był niejaki Harold James Wheeler, matką - Janine Fancy Wheeler, a więc córka mojej wiekowej sąsiadki. Ta sama, u której pani Fancy bawiła teraz z wizytą. Ta sama, która ponoć w minionym tygodniu urodziła swoje pierwsze dziecko.

Natknęłam się na pozostałości po smutnych czasach i babrałam w nieszczęściu i żalobie mojej serdecznej przyjaciółki, gwałcąc tym samym jej prywatność. Odłożyłam akt urodzenia do pudła, które wsunęłam tam, skąd je wyjęłam, a następnie zajrzałam do przeciwległego kąta szafy.

Wyciągnęłam dwa kartony z ostatniego szeregu. W pierwszym znalazłam czerwone wysmukłe czółenka, w drugim - płócienne espadryle. Wetknęłam jedno z czółenek do drugiego kartonu, ciasno owinęłam broń torbą, w której się znajdowała, po czym włożyłam ten tłumok do pudła z pojedynczym butem. Phil zdołał się wcisnąć pomiędzy mnie a szafę i wetknął łeb do kartonu z koltem. Odgoniłam go,

posługując się wieczkiem, zamknęłam starannie oba pudła i ustawiłam na swoim miejscu.

Książkę Stephena Kinga wetknęłam głęboko pod kartony, aż oparła się grzbietem o tył szafy. Wstałam i zasunęłam drzwi. Phil wyskoczył przede mną do holu, wpadł do kuchni i znowu zamiauczał rozdzierająco. Zaczęłam napełniać jego miskę karmą; gdybym tego nie robiła, musiałabym wrócić po rewolwer dziadunia i ukatrupić to nieznośne kocisko. Na tę myśl ręka zadrżała mi tak bardzo, że sprasowane kulki rozsypały się po podłodze. Na szczęście Phil natychmiast się z nimi rozprawił. Powróciłam myślami do Gretel. Zastanawiałam się, gdzie jest teraz moja psina. I czy w ogóle jeszcze jest.

Chociaż chciałam jak najszybciej się czegoś o niej dowiedzieć, nie mogłam od razu pognać do domu, ponieważ śmierdziałam strzelniczym prochem i lasem. Prawda natychmiast wyszłaby na jaw.

Wróciłam więc do pokoju gościnnego i wzięłam stamtąd frotową myjkę. Nie miałam czasu na prysznic, nie wspominając już o fakcie, że wilgotne włosy z innego powodu wzbudziłyby podejrzliwość Thoma, pozostało mi więc jedynie opłukać się szybko nad umywalką. Zmyłam pozostałości prochu z dłoni jabłkowym w zapachu mydłem, a potem przesunęłam myjką pod pachami i między nogami. Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, by stwierdzić, że wciąż wyglądam na zgrzaną, ale to akurat mogło zadziałać na moją korzyść. Wrzuciłam mokrą myjkę do kosza na brudną bieliznę, po czym podążyłam do kuchni.

Podobnie do mnie pani Fancy trzymała środki czystości w zasięgu ręki, w szafce pod zlewozmywakiem. Ostatecznie żadna z nas nie musiała się martwić, że dorwą się do nich małe dzieci. Otworzyłam drzwiczki i sięgnęłam po pierwszą lepszą butelkę z brzegu. Preparat do mebli o cytrynowym zapachu. Rozpyliłam go w powietrzu i weszłam w ową mgielkę, jakby to były perfumy. Potem chwyciłam clorox, nalałam kilka kropli bezpośrednio na dłonie i przejechałam rękami po włosach w nadziei, że ukryją zapach kordytu.

Już miałam odłożyć clorox na miejsce, ale nagle zmieniłam zdanie i zaczęłam wyjmować wszystkie środki czystości, ustawiając je jak

popadnie na blacie. Następnie z szafy w holu wytargałam odkurzacz i zaciągnęłam na środek salonu. Przygotowałam stosowną scenografię na wypadek, gdyby Thom chciał sprawdzić moją opowiadkę.

Nadszedł czas powrotu do domu. Moje serce zaczęło tłuc się szaleńczo, jakby walczyło o wyrwanie się na wolność. Przystanąłam, zaczerpnęłam kilka głębokich oddechów, co pomogło mi trochę się uspokoić. Przybrałam zwyczajowy, słodki wyraz twarzy i powolnym, stanowczym krokiem wyszłam na zewnątrz przez frontowe drzwi.

Nasz jasnyniebieski dom radośnie odbijał promienie słońca, które razily mnie ostro w oczy. Dach był w zasadzie płaski, tylko nad wejściem wznosił się stożkowy spad. Wyglądał dość groteskowo - niczym za mały o kilka rozmiarów kapelusz zawadiacko wciśnięty na front fasady. Patrząc na ów głupawy obrazek, nikt by nie przypuszczał, że za drzwiami tego domu może się czaić wilk. Tymczasem dzisiaj były tam co najmniej dwa groźne wilki.

Niemniej, chyba pierwszy raz od czasu, gdy wyszłam za mąż, ucieszyłam się, że przyszli do nas rodzice Thoma, a w szczególności jego ojciec. Joe często panoszył się w naszym domu jak we własnym. I w pewnym sensie ten dom rzeczywiście do niego należał; Grandee senior dał nam dziewięć tysięcy na wkład własny potrzebny do uzyskania kredytu. To był prezent, nie pożyczka, powtarzał Joe. Powtarzał głośno. I często. W obecności obcych. Do tej pory odebrał już to sobie w dwójnasób, czerpiąc z zasobów dumy własnej Thoma. Ja osobiście nie myślałam o tych pieniądzach jak o prezencie, ale o kolejnym sposobie utwierdzenia syna w przekonaniu, że ma dług wdzięczności wobec ojca. Tymczasem gdyby Joe płacił swojemu pierworodnemu tyle, ile powinien, za prowadzenie trzech salonów Grand Guns, stać by nas było na jakiś cholerny wkład i to na zakup domu w dzielnicy o zdecydowanie wyższym statusie niż Chez Crest.

Teraz jednak się cieszyłam, że Joe swoim wielkim ego wypełnia przestrzeń naszego domu. Co prawda będę się trochę dusić, ale za to Thom i ja pozostaniemy rozdzieleni w swoich narożnikach i dzięki temu nie dojdzie do zwania.

Otworzyłam drzwi i stanęłam w małym, kwadratowym pomieszczeniu o podłodze wyłożonej parkietem - w tym sionce, która miała ambicje dorosnąć do roli westybulu. Zza łuku prowadzącego do salonu dobiegała mnie perora Joego. Weszłam w środku przemowy, więc chyba nikt nie usłyszał cichego stukotu drzwi.

- ...małżeństwem od niemal pięciu lat. Na co ty czekasz? Myślałam, że jedyną dobrą stroną ślubu z cholerną papistką będzie duża gromadka wnuków. Twoja matka w samochodzie w kółko pytała, co by się stało, gdyby ci strzelcy nie spudłowali. Co byś zostawił po sobie na tym świecie?

Stojąc w niedoszłym westybulu wstrzymałam oddech w nadziei, że Thom uzna wreszcie za stosowne powiedzieć tatusiowi, by przestał wtykać nos w nie swoje sprawy i pilnował własnego tyłka. Dobiegło mnie jednak tylko dobrze znane milczenie, świadczące, że Thom posłusznie łyka te gówniane dyrdymały Joego. Bez wątplenia w najbliższym czasie dostanie od nich niestrawności.

- Twój siedzący tu brat już dwa razy wstrzelił się w dziesiątkę, chociaż pobrali się z Margie pół roku po was. Co z tobą nie tak, chłopcze?

Zdecydowałam, że nadszedł czas na moją kwestię.

- Biorę pigułki antykoncepcyjne - oznajmiłam najłagodniejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć, i natychmiast cztery pary oczu skierowały się w moją stronę.

- Zdecydowanie nie muszę wysłuchiwać podobnych szcze-gółów, moja pani - warknął Joe. - A w ogóle, gdzieś ty się, u diabła, podzie-wała?

Siedział wyprostowany i napęczniały złością w ulubionym fotelu Thoma, stojącym pośrodku pokoju. Joe przekroczył pięćdziesiątkę i wiek zaokrąglił jego niegdyś atletyczne kształty, wciąż jednak był muskularny i barczysty. Szeroko rozstawił nogi w kowbojskich butach i rzucił swoje pytanie takim tonem, jakbym miała obowiązek udzielić mu odpowiedzi. I przy tym patrzył na mnie władczo niczym Zaszany Król Bunga-Wunga, jak to określał mój ojciec. Zdołałam przywołać

na usta słodki uśmiech, ale jednocześnie poczułam, że niebezpiecznie zwężają mi się oczy.

Wszystkie postaci w pokoju zdawały się ciężać ku Joemu, tworzyły dla niego swoistą oprawę. Charlotte - o kręgosłupie prostym jak armatni wycior - przysiadła na krańcu sofy, w pobliżu męża, i skierowała spiczaste kolana w jego stronę. Charlotte zawsze sprawiała wrażenie spiętej, nawet w swojej własnej posiadłości, a teraz w moim domu była bardziej sztywna niż makieta wycięta z kartonu.

Larry, średni z synów Grandeech, stał po lewej stronie ojca, także nachylony w jego stronę. Miał szerokie czoło i rzymski nos, podobnie jak Tom, ale poniżej jego twarz sprawiała wrażenie błotnistego osuwiska z powodu całkowitego zaniku podbródka. Larry był księgowym i w rodzinnym interesie odpowiadał za rachunkowość. Joe musiał zwinąć go jak pozbawioną kręgosłupa szmatę, którą był w istocie, i cisnąć na śladowe tylne siedzenie w swojej wielkiej, czarnej półciązarówce.

- Co was tu wszystkich sprowadza w środku dnia? - zwróciłam się uprzejmie do Joego, ale wbrew własnej woli natychmiast powędrowałam spojrzeniem ku Thomowi, który siedział na przeciwległym krańcu sofy i był podejrzanie milczący. Za to jego oczy przypominały dwa naczynia pozostawione zbyt długo na gorącym piecu - poczerniały, niemal dymiące.

- Zdaje się, że pierwszy cię o coś pytałem - rzucił Joe Grandee surowym tonem, jakby to on był ciężko skrzywdzonym mężem, do którego niedawno strzelano. Wprost nie mogłam się nadziwić, że przesłuchując żonę syna, nie siedzi bez butów, w rozchełstanej koszuli i nie popija mleka prosto z kartonu.

Cała ta sytuacja była tym bardziej upokarzająca, że Joe naprawdę chciał poznać odpowiedź. Dla mnie natomiast liczyło się zupełnie inne pytanie, niewypowiedziane, które jednak - jak widziałam - tłukło się w tej chwili po głowie Thoma. Trzy słowa układające się w zgrabną pętlę.

Kim on jest. Kim on jest. Kim on jest.

- Byłam obok. - Wskazałam kciukiem w stronę domu pani Fancy. - A co was wszystkich do nas sprowadza? - powtórzyłam, po czym ściągnęłam brwi, jakbym nagle popadła w konsternację. - Czy Gretel jest w ogródku?

Kamienna twarz Thoma ani drgnęła na wzmiankę o mojej psinie. Równie niezmienny pozostał bieg jego myśli.

„Kim on jest” to refren tak dobrze mi znany, że bez pudła widziałam, kiedy się pojawiał w głowie męża. Thom zaczynał od „Kim on jest”, a gdy kończył - lądowałam w szpitalu. Obsesyjnie powracał do tej kwestii, mimo że nigdy nie było żadnego „onego”. Nigdy nie zdradziłam Thoma. Nigdy nawet nie próbowałam o tym myśleć.

- Obok? - Joe zapytał tak sceptycznym tonem, jakbym właśnie powiedziała, że poranek spędziłam w czeluściach piekła, gdzie popijałam słodką, mrożoną herbatkę z samym szatanem.

Skinęłam głowę, po czym w duchu gorąco przeprosiłam panią Fancy za kłamstwo, które właśnie zamierzałam wygłosić pod jej adresem.

- Doglądam kota naszej sąsiadki staruszki, która wyjechała z miasta. Jutro wraca, więc postanowiłam doprowadzić jej dom do porządku. Był wprost zarośnięty brudem.

Charlotte zacisnęła chude palce na spiczastych kolanach. Jakimś cudem zdołała posłać mi władcze spojrzenie, chociaż nadal siedziała.

- Powinnaś zostawić kartkę z wiadomością, gdzie jesteś - oznajmiła swoim cienkim, piskliwym głosem.

Charlotte cała była kanciasta. Nawet jej małe cycki kończyły się spiczasto, toteż nigdy nie mogłam zrozumieć, jakim cudem żaden z jej synów nie stracił oka podczas karmienia piersią.

- Ostatnio kupiłem dla mnie i Marge telefony komórkowe, Thom, i teraz mogę śledzić każdy jej krok. Zlokalizować w sekundę - odezwał się Larry.

Zagadka rozwiązana. Ewidentnie Larry nigdy nie był karmiony piersią.

Szybko zmrúżyłam powieki, żeby nie wywrócić teatralnie oczami. Śledzić każdy krok Margie? Dobre sobie! Larry siedział pod pantoflem żony przez tych kilka wolnych godzin, gdy nie tkwił pod twardym butem Joego. I zadawała się tą odrobiną wolności, do której mógł sięgnąć, wychylając się spod podeszwy.

Jednak wzmianka o telefonach w ogóle nie dotarła do Thoma, który nie raczył zaszczyścić swojego brata choćby mruknięciem.

Kim on jest.

- Nie spodziewałam się gości - oznajmiłam.

Pstryknęłam brudnym T-shirtem, przesunęłam rękami po starych dżinsach. Dowód rzeczowy A.

- Muszę straszyć swoim wyglądem.

Uniosłam skołtunione włosy znad karku i spojrzałam wymownie na Thoma. Dowód rzeczowy B. Miałam nadzieję, że Thom jasno pojmuje jego wymowę. Że jest w stanie czytać w moim umyśle równie wyraźnie jak ja w jego.

Sądziysz, że tak się ubiera i czesze dziewczyna, która idzie na spotkanie z kochankiem?

Jednocześnie nie mogłam się uwolnić od myśli, że jeżeli rzeczywiście zrobiłabym skok w bok, to właśnie w jak najbardziej niezobowiązującym stroju i fryzurze. Ściągnęłabym włosy w koński ogon, włożyła robocze spodnie i nie zwracała sobie głowy makijażem. Wyglądałabym tak, jakbym spędziła cały dzień w ogródku, a nie na plecach. Zaciśnęłam powieki; chciałam odgonić tę myśl, i nagle przed oczami ujrzałam twarz Jima Beverly'ego z chłopięcym uśmiechem, złamanym płaskim nosem i ruchliwymi brwiami, gdy żartował i ciągnął mnie za ramię, żebyśmy się położyła u jego boku.

- Tylko popatrz - odezwałam się ponownie cichym głosem. Teraz mówiłam do Thoma i tylko do Thoma. - Cała jestem w kurzu i pajęczynach.

Thom przejechał z wolną dłonią po twarzy, jakby ścierał z niej jakąś błonę, a potem zlustrował mnie baczny wzrokiem. Ja tymczasem paplałam dalej:

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co się działo pod łózkami. Dziwne, że spod tumanów tego kurzu nie wygrzebałam Jimmy'ego Hoffy. Muszę wziąć szybki prysznic.

Już miałam odejść, gdy Thom poderwał się na równe nogi. Serce podjechało mi do gardła. Ten facet był niewiarygodnie szybki. Wystarczyło kilka długich kroków, by pokonał dzielącą nas przestrzeń. Zaczęłam cofać się w popłochu, ale zatrzymała mnie ściana. Odruchowo zasłoniłam się rękami.

Thom szarżował w moją stronę. Oczy błyszczały mu nienaturalnie, ale patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem. Dostrzegał jedynie zarys mojej postaci, istotę, którą trzeba unicestwić, nie bacząc na fakt, że jego rodzice i pozbawiony jaj brat tłoczą się w naszym salonie. Przepełchnął się przez moje wzniesione ręce, a potem - zamiast się zamachnąć - mocno objął mnie ramionami. Mój nos rozplaszczył się na jego szerokiej piersi. Thom zanurzył twarz w moich włosach i wciągnął głęboko powietrze, jakby się delektował zapachem stokrotek, a nie potu i amoniaku.

Ja z kolei czułam jego zapach - dymny, goździkowy - i mimowolnie zamknęłam oczy. Objęłam go w pasie i nagle ogarnęło mnie wrażenie, że teraz jesteśmy już tylko my dwoje w tym pokoju.

- Oni do mnie strzelali, Ro - mruknął Thom w moje włosy

- Co takiego?! - Jakże się cieszyłam, że teraz nie może zobaczyć mojej twarzy. - Kto taki? Gdzie?!

- Na trasie biegowej. Oddali do mnie kilka strzałów.

- Wielki Boże!

Udawałam, że próbuję się wyrwać z jego uścisku i spojrzeć mu w oczy, ale mi na to nie pozwolił. Obróciłam twarz na bok i przywarłam uchem do jego piersi. Silne, gorączkowe uderzenia serca wydały mi się piękną muzyką i nagle poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Teraz zupełnie nie myślałam o tym, że to ja spowodowałam całe zamieszanie.

- Oni strzelali DO MNIE, Ro, Jakby naprawdę zamierzali mnie sprzątnąć.

- Kim byli ci „oni”? - Ochoczo podchwyciłam użytą przez Thoma liczbę mnogą.

- Nie mam pojęcia. - Przytulił mnie do siebie jeszcze silniej, wyciskając resztki powietrza z płuc. - Muszę ci coś powiedzieć, Ro. Z nią wszystko w porządku. Okej? Znaczący się w zasadzie nic jej nie będzie. Ale jedna z kul trafiła Gretel.

- Gretel?!

Wreszcie dotarliśmy do jedyne go tematu, który tak naprawdę mnie interesował. Problem w tym, że nie rozumiałam, co miało oznaczać owo „w zasadzie”. Tym razem zaczęłam naprawdę odrywać się od Thoma, chciałam zobaczyć wyraz jego twarzy, ale mnie nie puścił. A kiedy się odezwał, od razu wyczułam, że jest na granicy wybuchu, i zamarłam.

- Ro, tylko teraz nie próbuj prawić mi kazań i pouczać, że nie powinienem zmuszać twojego tłustego kundla do biegania.

- Oczywiście, skarbie. Ale czy mógłbyś mi tylko powiedzieć, co rozumiesz przez „w zasadzie nic jej nie będzie”?

Thom westchnął głęboko i wreszcie połuźnił swój władczy uścisk.

- Została trafiona tuż poniżej barku i weterynarz musiał odjąć jej łapę. Ale bardzo dobrze zniosła operację. Teraz śpi w lecznicy.

W tym momencie zadrżałam i ugięły się pode mną kolana. Dobrze więc, że Thom nadal trzymał mnie w objęciach.

- Odjąć łapę? - powtórzyłam. Te słowa były dla mnie równie niepojęte jak „w zasadzie nic jej nie będzie”.

- Wielkie mi co - z wyżyn swojego tronu wtrącił bezpardonowo Joe.

Oboje z Thomem drgnęliśmy gwałtownie; jednocześnie zdaliśmy sobie sprawę, że w naszym salonie stoi grupa tych najmniej sympatycznych Grandeech. Żałowałam, że nie ma tutaj Margie lub Petera, najmłodszego brata Thoma. Margie uczyła fizyki i chemii w gimnazjum, a taka praca sprawia, że kobieta nie toleruje nonsensów. Jakiegokolwiek przemowy Joego nie ruszały też Teflonowego Petera - pięknego Petera, który namiętnie jarał blanty i z naturalnym wdziękiem

zmieniał uczelnie, posady oraz łóżka rozmaitych atrakcyjnych pań. Ale wystarczyło, że Joe się odezwał, a Thom natychmiast zwrócił się w jego stronę; wciąż obejmował mnie ramieniem, jednak już nie byliśmy zwartą całością, przypominaliśmy rozciętą muszlę.

- Kiedy byłem młodym chłopakiem, miałem psa myśliwskiego, który stracił nogę - brylował w najlepsze Joe. - Wołałem na niego Trip*. Pojmujecie? Trip? Jak już się przyzwyczaił, w ogóle nie pamiętał, że kiedyś miał cztery łapy. Nie pamiętał też, że przedtem nazywał się Blue. Nie najmądrzejsze stworzenia z tych psów.

Larry i Charlotte pokiwali głowami, unisono i z powagą, jakby usłyszeły prawdę objawioną tak doniosłą, że należałoby ją wyryć na kamiennych tablicach i przekazać potomnym ze szczytu góry. Przykazanie jedenaste: Twój pies będzie zachwycony utratą łapy

Spojrzałam na Thoma, próbując ściągnąć na siebie jego uwagę.

- Co powiedzieli policjanci? - spytałam.

Prychnął lekceważąco, nie spuszczać wzroku z tatusia.

- Że to pewnie jakieś dzieciaki. Albo kłusownicy. Nie potraktowali sprawy zbyt poważnie.

Joe z niesmakiem potrząsnął głową.

- Cholerni gliniarze, banda gryzpiórków. Nigdy im się nie chce ruszyć tyłka.

Poczułam wielką ulgę i bardzo się starałam, żeby przypadkiem jej nie okazać. Tymczasem Thom wreszcie mnie puścił i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, niczym rozjuszony tygrys po klatce.

- Chcę pojechać do Gretel - rzuciłam w stronę jego pleców.

Obrócił się raptownie na pięcie.

- Do kurwy nędzy, Ro, mówiłem ci przecież, że nic jej nie będzie!

Zapadła martwa cisza.

- Przekleństwa są tu nie na miejscu - odezwał się w końcu Joe surowym tonem. Nikomu nie wolno używać słowa na „k” w obecności Charlotte. W każdym razie nie wtedy, gdy Joe znajdował się w pokoju.

* trip (ang.) - potykać się; potknięcie (przyp. tłum.)

W ten sposób Joe niby uchodził za wzór staroświeckiego dżentelmena, ale ja już dawno zdołałam go przejrzeć. Był to jeden z tysiąca sposobów pokazania światu - i swoim synom - że żona nie jest jego równorzędnym partnerem. Joe przesunął się na fotelu, jakby zamierzał się podnieść. W owej chwili w powietrzu aż trzaskało od elektryczności i chyba wszyscy to wyczuwaliśmy, włącznie z tęym Larrym.

Staralam się znaleźć jakieś odpowiednie słowa, które w zaistniałej sytuacji mogłaby wygłosić Ro, kobieta Thoma. Ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Zostałam zapędzona do narożnika i Rose Mae śmiało podnosiła głowę. A w tej chwili była w tym pokoju mniej więcej tak samo potrzebna jak nagły pożar czy plaga szarańczy

Chociaż wiele mnie to kosztowało, ruszyłam w stronę męża. Staralam się tak ustawić, żeby nie widział Joego. Thom był na granicy wybuchu i gdyby Rose przypadkiem go sprowokowała, w kilka sekund salon spłynąłby krwią. Bez wątpienia moją, chociaż jeżeli istniało coś takiego jak sprawiedliwość i miłosierdzie boże, powinna być to krew Joego.

Postąpiłam jeszcze krok ku Thomowi. Byłam taka drobna, a on tak bardzo rozdrażniony. Nie miałam więc pojęcia, czemu Rose jest przepełniona radosnym oczekiwaniem. I dlaczego kładzie dłoń na szerokiej piersi Thoma, a on drży pod jej dotykiem.

- Skarbie - powiedziałam. - Ogromnie się cieszę, że nic ci się nie stało. Teraz tylko to się liczy. Że jesteś cały i zdrowy

Nie najgorsze posunięcie. Thom znowu ruszył w swoją niespokojną wędrówkę po salonie. Tymczasem Charlotte zwróciła się w moją stronę i zmarszczyła mikroskopijny nos.

- To bardzo miło z twojej strony, że pomagasz przyjaciółce z sąsiedztwa, ale zanim pojedziesz sprawdzić, jak się miewa twój pies, powinnaś jednak wziąć prysznic - oświadczyła. - Czy zanim, hmm, w ogóle wyjdiesz z domu.

Brwi Thoma natychmiast zjechały się w grubą kreskę. Moje strzały i obecność ojca kompletnie wyprowadziły go z równowagi. Uszy mu płonęły, a czoło marszczyło się marsowo z byle powodu.

- Przynic to rzeczywiście dobry pomysł - odparłam z wolna, zastanawiając się jednocześnie, co w uwadze Charlotte mogło ponownie rozjrzeć mojego męża. I nagle mnie oświeciło. Słowa o PRZYJACIÓŁCE z sąsiedztwa. Ani Thom, ani ja nie mieliśmy przecież żadnych przyjaciół. Ja zaspokajałam wszystkie jego potrzeby Karmiłam go, uprawiałam z nim seks, prowadziłam rozmowy, dzieliłam więk-szość rozrywek i pozwalałam się traktować jak worek treningowy, co mu w zupełności wystarczało do szczęścia. Byliśmy niczym dwie połowy ściśle zamkniętej muszli. I tak powinno zostać już po wsze czasy. No bo gdybym przypadkiem miała przyjaciółkę, z pewnością nie uszłoby jej uwagi, że w środku upalnego lata noszę długie rękawy i apaszki. A w odróżnieniu od pani Fancy, kobiety mojego pokolenia nie zostały nauczone, by w podobnych sytuacjach dyskretnie odwracać wzrok.

Nie znaczy to, że wraz z Thomem byliśmy pustelnikami. Utrzymywaliśmy luźne znajomości z małżeństwami udzielającymi się w miejscowym kościele, ja należałam do Ligi Kobiet, uczestniczyłam w zbiórkach odzieży i żywności. Czasami umawiałam się na lunch z Margie, ale nie zdarzało się to często, ponieważ przy pracy w szkole i dwóch małych synkach w domu miała zawsze pełne ręce roboty. Thom jeździł na polowania z ojcem i braćmi oraz grał w softballowej drużynie w barwach Grand Guns. Do tego w co drugą niedzielę z trudem przelykaliśmy twardą pieczeń Charlotte podczas tradycyjnych rodzinnych obiadów. Thom jednak nie życzył sobie, żebym prowadziła towarzyskie pogawędki przez telefon czy wypuszczała się na babskie wieczory - do kina lub knajpki. Takie rozrywki natychmiast prowadziły nas z powrotem do dobrze znajomego refrenu: *Kim on jest*.

Wiedziałam, że stąпам po bardzo kruchym lodzie, więc gdy się odezwałam do Charlotte, pilnie ważyłam słowa:

- W najbliższym czasie będę musiała porozmawiać z synem pani Fancy - czy ktokolwiek to jest, kto strzyże jej trawnik. Bo chyba należałoby ją oddać do jakiegoś zakładu opieki. Jest dość miłą staruszką, ale to, co się dzieje w jej domu... cóż, wystarczy na mnie popatrzeć, żeby mieć pewne wyobrażenie o jego stanie.

Thom przestał się jeżyć, wciąż jednak gniewnie zwiijał dłonie w pięści. Musiał być bardzo sfrustrowany - znajdowałam się tak blisko, a pozostawałam dla niego nietykalna.

- Wobec tego skoczę wziąć ten prysznic - oznajmiłam.

Uznałam milczenie za zgodę na opuszczenie pokoju i szybkim krokiem przeszłam do naszej sypialni. Gretel żyła. Tylko to się liczyło. Teraz nie chciałam myśleć o jej łapie. Nie mogłam. Gretel żyła, więc nie zostałam sama na tym świecie. To najważniejsze. Weterynarz powiedział, że w zasadzie wszystko z nią będzie w porządku. W zasadzie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że Thom poszedł za mną, dopóki nie znalazłam się w łazience. Gdy się odwróciłam i go ujrzałam, aż podskoczyłam z przerażenia.

- Powiedziałem im, że zaraz wrócę.

Ruszył w moją stronę, zaczęłam się cofać, ale on był tak niewiarygodnie szybki. Przyszpilił mnie do ściany; poczułam strach i jednocześnie podniecenie, bo nie wiedziałam, czego w tej chwili ode mnie oczekiwał. Podniosłam wzrok, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Wówczas mnie pocałował - mocno, zachłannie - najpierw w usta, potem w szyję. Miał przy tym szeroko otwarte usta, jakby zamierzał mnie pożreć. Wielki, Zły Wilk. Zaciśnął ręce na moim ciele tak mocno, że aż zabolalo.

- Pachniesz cytrynami - zauważył.

- Jestem brudna.

- Nieważne.

- Twoi rodzice są zaledwie...

- Mam to gdzieś - przerwał mi w pół słowa.

- Ale twój tato...

Zamknął mi usta kolejnym pocałunkiem i wówczas poczułam, że jestem na niego gotowa. Potajemnie robiliśmy coś nieprzyzwoitego. To przypominało licealny seks - męskie ręce desperacko próbowały przebić się przez ubranie do mojego nagiego ciała, gdy tymczasem w pomieszczeniu po drugiej stronie holu roilo się od rodziców.

- Pospiesz się - szepnęłam.

Ściągnął mi dzinsy do kostek, a ja zgrabnym kopniakiem uwolniłam jedną stopę z nogawki. Potem spuścił swoje spodnie, uniósł mnie w górę i oparł plecami o chłodne kafle. Teraz oddzielała mnie od Thoma tylko cienka bawełna majtek, co też przypomniało mi o liceum. Zamknęłam oczy przed rażącymi promieniami słońca i ujrzałam Rose Mae Lolley oraz Jima Beverly'ego.

Zacisnęłam mocniej powieki. Oś świata się przemieściła, wokół panował mrok; po zakończonym meczu Rose Mae siedziała w samochodzie Jima, zaparkowanym przy Lipsmack Hill. Miała podciągniętą do góry bluzkę i rozpięty stanik. Spod opuszczonych rzęs zerknęłam przed siebie i w jasnym świetle słońca ujrzałam twarz Thoma z szeroko rozwartymi oczami i wykrzywionymi ustami. Z powrotem zamknęłam oczy. Jim wsunął rękę pomiędzy uda Rose Mae i pieścił ją przez dzinsy, a wówczas Thom powiedział:

- Byłem pewien, że już po mnie, Ro.
- Ale spudłowali. Spudłowali - mruknęłam.

W głowie natomiast słyszałam jak Jim Beverly szepcze coś do Rose Mae, której zwinne palce przebierały po guzikach rozporka jego lewisów. Przez dzins i bawełnę jej dłoń dotykała tego, czego Rose nie oglądała od czasu, gdy mieli po dziewięć lat. Twardy, gorący kształt w niczym nieprzypominający małego kwiatowego pączka, który widziała w dzieciństwie.

Thom wsunął rękę pomiędzy nasze ciała i rozdarł mi majtki. A potem wszedł we mnie ostro i dyszał ciężko w moje śmierzdzące cloroksem włosy.

- Rany, jakbym rznął Mr Cleana - powiedział, ale wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Znowu zacisnęłam powieki i natychmiast dobiegło mnie echo głosu sprzed dziesięciu lat. Usłyszałam Jima Beverly'ego, który mówił:

- Zabiję go. Zakatrupię twojego nic niewartego ojca, jeżeli jeszcze raz podniesie na ciebie rękę. - Jim wsunął dłoń pod pupę Rose Mae, przyciągnął ją do siebie. - Wśliznę się do was pewnej nocy i będę tak długo przyciskał poduszkę do jego gęby, aż przestanie oddychać.

- Palec Jima przejechał po szwie jej dżinsów. - Nikt się nie połapie. Ot, kolejny pijak, który udusił się przez przypadek, jak urwał mu się film. Takie historie przecież się zdarzają.

Każde pchnięcie Thoma dociskało mnie mocniej do ściany, przybliżając coraz bardziej do orgazmu. Tymczasem w innej czasoprze-strzeni, oddalonej o dziesięć lat, słowa Jima podziały na Rose jak ożywczy podmuch wiatru, przeniosły ją do nowego, wspaniałego świata. Ów świat był wówczas tak realny, że do dzisiaj słyszałam szept Jima w swoich uszach. - Zabiję go, zrobię to dla ciebie.

Otworzyłam oczy i ujrzałam twarz męża.

Daleko stąd, w samochodzie zaparkowanym przy Lipsmack Hill, ręka Jima wciąż pieściła Rose Mae między nogami. Jim nie wiedział, że Rose już nie ma. Wciąż tkwił w tamtej chwili, gdy jej ręka dociskała jego rozporek. Ja jednak powróciłam już do terażniejszości i do swojej łazienki. Zaśmiałam się, wygięłam ku Thomowi, czując nadchodzący orgazm. Czułam się wspaniale. Oboje się tak czuliśmy.

Mój radosny śmiech i wygięcie pleców sprawiło, że Thom też już doszedł. Przez moment oddychaliśmy równym rytmem - wciągaliśmy wielkie, oczyszczając hausty powietrza - a potem ramiona Thoma osłabły i wypuścił mnie z objęć. Osunęłam się z wolna po ścianie i wylądowałam gołą pupą na podłodze. Tom oparł się o umywalkę. Ja ściągnęłam brudny T-shirt. Miałam porwany stanik, miseczki opadały smętnie na zębra, a wokół jednej kostki owinęły się dżinsy.

Uśmiechnęłam się promiennie do Thoma, który wyszeptał:

- To kompletne szaleństwo.

Potrząsnął głową i zaczął się ubierać. Uszło z niego sporo napięcia, ale wciąż był groźny. Czułam się całkiem wypompowana, natomiast Rose Mae, moje rozbuchane alter ego, już się szykowało do kolejnej rundy.

Thom wsunął koszulę w spodnie i powiedział:

- Muszę iść. Weź ten prysznic.

Nie spieszyłam się. Położyłam odżywkę na włosy i pozwoliłam, by przez kolejne dziesięć minut gorąca woda smagała mi plecy. A kiedy

wyszłam już spod prysznic, powoli wcierałam mleczko nawilżające w każdy centymetr ciała, po czym zaczęłam suszyć swoje gęste, długie włosy.

Do tej pory już wiedziałam, co Rose Mae zamierza zrobić. Ale ja tego nie chciałam. Nie chciałam nawet o tym myśleć. Czulałam się wyciszona i spokojna po udanym seksie, nie miałam ochoty burzyć błogostanu. Nie miałam ochoty podejmować na nowo walki.

Susząc włosy, patrzyłam w lustro, z którego spoglądała na mnie Rose Mae Lolley. Dobrze wiedziała, że nadejdzie taki dzień, gdy Thom uderzy za mocno i w końcu mnie od niej uwolni. Zamknęłam oczy. Nie chciałam widzieć jej twarzy. Suszyłam teraz włosy na wycucie. Wiedziałam jednak, że ona wciąż jest obok i spogląda na mnie z pełną satysfakcją wyższością. Ostatecznie jedyne, co musiała zrobić, to cierpliwie poczekać.

Rozdział 5

Gretel wróciła do domu. W miejscu amputowanej łapy widniał stożkowaty kikut bandażu, ale brak nogi zdawał się ją bardziej zdumiewać niż stresować. Próbowwała położyć na niej łeb, po czym się zrywała i zaskoczona patrzyła na miejsce, gdzie powinna się znajdować łapa. Po pięciu sekundach wytężonej pracy umysłowej miała zazwyczaj dosyć; przekrzywiała głowę w szczególny sposób, który w moich oczach był psią wersją wzruszenia ramionami, i z powrotem układała się do drzemki.

Szybko opanowała leniwy trucht na trzech nogach i gdy zdecydowała się opuścić swój sypialny dywanik, sprawnie poruszała się po domu i po ogródku. Próbowalam uciszyć swoje poczucie winy modlitwami dziękczynnymi do Boga za drobne dary, którymi mnie obdarzył. Gretel przeżyła i chociaż przeze mnie straciła jedną łapę, wciąż była tą samą nierozgarniętą, słodką psiną.

Przez resztę tygodnia gotowałam pożywne, mięsne obiady, które Thom lubił najbardziej. Wieprzowina zapiekana z ziemniakami i jabłkami. Placek z indykiem. Nadziewane steki. Posiłki były dla mnie zbyt ciężkie, ale jeżeli jakkolwiek mężczyzna potrzebował sycącego, przynoszącego ukojenie jedzenia, był nim teraz Thom. Nieustannie chodził po domu gniewnym krokiem i marszczył czoło, przez co brwi sterczały mu wojowniczo jak para rogów.

Podczas gdy ja tkwiłam w łazience, suszyłam długie włosy, i próbowałam odciąć się od wszelkich myśli, ojciec Thoma musiał nawcisnąć mu do gardła mnóstwo ciężkostrawnych nonsensów. Szczególnie jeden kąsek leżał Thomowi na wątrobie. Próbował się z nim rozprawić na wszelkie możliwe sposoby, jednak bez powodzenia. Widziałam, jak rozsadza go od środka, jak rozdyma. Ostatecznie nieraz już coś podobnego przerabialiśmy.

Nie jestem pewna, czy Thom pojmował, że to z powodu ostatniej wizyty tatusia tak usilnie próbował sprowokować mnie do starcia, ja jednak cholernie dobrze to wiedziałam. Już za niejedną pękniętą kość powinnam wysłać liścik dziękczynny Joemu; te prezenty dostarczał mi Thom, ale wcześniej zostały zamówione i opłacone przez Joego. Gotowałam więc sycące posiłki, które wprawiały mojego męża w ociężałość, a sama snulałam się cicho po kątach domu, czekając, aż Thom przetrawi to, co go gnębi.

W środę spojrział na pieczeń rzymską, którą podałam na obiad, po czym wykrzywił usta, jakbym mu zaserwowała sushi z oposa. To była przepyszna pieczeń, zrobiona z grubo mielonej wieprzowiny, przyprawiona sownicie szalwią, tak jak robiła Charlotte, tyle że moje mięso nie było równie przesuszone, więc nie miało smaku rąbanki z mumii. Thom nawet nie podniósł widelca.

- Miałem nadzieję, że podasz dzisiaj kurczaka w sosie śmietanowym.

Opierał ręce o krawędź stołu i zaciskał dłonie w pięści. Wiedziałałam więc, że nadciąga burza. I że jest już blisko.

- Mam wszystko, co potrzebne, w lodówce - powiedziałam. - Jutro podam ci kurczaka.

- Ale ja chciałem zjeść go dzisiaj - odparł z tępym uporem.

Oto wojenny okrzyk każdego rozpuszczonego bachora, pomyślałam.

Ale nie powiedziałam tego głośno. Dobrze znałam tę grę. Do diabła, osobiście uczestniczyłam w ustalaniu jej reguł. Teraz jednak nie zamierzałam się przyłączać do zabawy. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Rose Mae tylko czekała na stosowny moment; dobrze wiedziałam, dokąd zamierzała mnie poprowadzić. I niewiele było trzeba, żeby wmkroczyła na wytyczoną przez nią ścieżkę.

Błysnęłam więc zębami w uśmiechu, rozpozodziłam czoło i powiedziałam łagodnym głosem:

- Może wobec tego pooglądasz telewizję, a ja w tym czasie przygotuję dla ciebie kurczaka w śmietanie. To nie zajmie więcej jak pół

godziny. A pieczeń wykorzystam do kanapek. Będziesz miał w najbliższych dniach pyszny lunch, o wiele lepszy niż kupne sandwicze z szynką i serem.

Ściągnął brwi, wyraźnie skołowany, a potem spojrzał na mnie tak, jakby nie wiedział, z kim zasiadł do stołu. Prawdę mówiąc, miałam ten sam problem.

- To idiotyczne - zauważył.

- Być może. Ale jeżeli ten kurczak miałby cię uszczęśliwić, to chętnie go ugotuję.

Teraz miał już tak zasmuconą minę, jakbym nagle go porzuciła.

- Thom - szepnęłam. - Ja naprawdę się staram.

To zabrzmiało niemal błagalnie, jednak tak bardzo nie chciałam, żeby przepowiednia wróżbiarki odnosiła się do nas. Układ kart mógł równie dobrze opisywać jej życie, dlatego postanowiłam zrobić wszystko, co się da, by udowodnić, że nie chodziło o mnie. Ale nie byłam w stanie dokonać tego sama jedna.

- Staram się najbardziej, jak umiem - dodałam.

Wbił wzrok w talerz i odetchnął głęboko. Widziałam, jak powoli rozszerza się jego pierś. Zawsze z przyjemnością patrzyłam na to muskularne, zwinne ciało. Uwielbiałam przykładac do niego ucho, słuchać bicia potężnego serca, a potem przesuwać się niżej do miejsca, gdzie gulgotało mu w brzuchu, kiedy trawił to, czym go nakarmiłam.

Kiedy w końcu się odezwał, mówił tak cicho, jakby wyjawiał ziemniaczanemu piure swój najtajniejszy sekret:

- Widzę, Ro.

Po czym zabrał się do jedzenia, więc i ja chwyciłam za sztucce. Parę chwil później oznajmił:

- To jest doskonałe.

W jego głosie pobrzmiwało zdumienie.

- Cieszę się - odparłam radośnie.

Nie rzuciłam w odpowiedzi: Co ty nie powiesz, Sherlocku. Odkrycie, że robię przepyszną pieczeń jest równie doniosłe, jak stwierdzenie, że woda jest mokra, a ty masz na imię Thom. I choć takie właśnie

słowa cisnęły mi się na usta, przełknęłam je wraz z kęsem sałaty i lykiem słodkiej herbaty. Mój mąż widział, z jakim trudem jedzenie przechodzi mi przez gardło. Niewiele brakowało, a nie dałabym rady się powstrzymać. W końcu powiedział:

- Ja też się postaram. - Patrzyłam na niego czujnym wzrokiem, więc dorzucił szybko: - Mówię poważnie, Ro.

Skinęłam głową, a potem unieśliśmy szklanki, spoglądając na siebie znad krawędzi, jakbyśmy z powagą pieczętowali nasz układ toa-
stem z mrożonej herbaty i chłodnej wody mineralnej.

Nazajutrz, po powrocie z pracy, zatrzymał się dłużej w naszej sionce. Siedziałam na kanapie i czekałam na dzwonek kuchennego minutnika, podczas gdy Thom przestępował ciężko z nogi na nogę, sapął pod nosem, ale się nie odzywał. Kiedy w końcu zjawił się w salonie, sprawiał takie wrażenie, jakby zostawił ojca, pracę, rachunki i swój wybuchowy temperament w naszym maleńkim przedpokoju.

Zjedliśmy obiad w doskonałych nastrojach, niczym para zakochanych nowożeńców, a potem obejrzeliśmy romantyczny film na DVD. Siedziałam wciśnięta pomiędzy Thoma a Gretel i byłam bardzo zadowolona z życia. Gdy nadszedł ranek, nabrałam przekonania, że rozpoczęliśmy nowy rozdział w naszym życiu.

Przyszło mi na myśl coś jeszcze: już kilka lat temu powinnam była zacząć się w krzakach i strzelić kilka razy nad jego głupią głową. To moje desperackie posunięcie wyszło nam obojgu na dobre. Thom cieszył się, że uszedł z życiem, natomiast gdy chodzi o mnie... bałam się tego, co planowała Rose na wypadek, gdyby mojemu mężowi odechciało się bawić w szczęśliwą rodzinę.

Teraz utrzymywałam dom w takiej lśniącej czystości, że nawet matka Thoma nie znalazłaby pyłku kurzu, choćby przeprowadzała inspekcję w białych rękawiczkach i z lupą w rękę. Niemal każdego ranka wybieraliśmy się z Thomem na przebieżkę, zbyt energiczną, żeby zabierać ze sobą Gretel, a wieczorami siadaliśmy razem na sofie i upajaliśmy się zapachem czystości, unoszącym się w naszym domu. Oglądaliśmy dużo futbolu akademickiego, a ja kibicowałam ulubionym drużynom

Thoma, nawet wtedy, gdy rywalizowały z Alabamą. Jeżeli akurat nie występowała żadna z lubianych przez nas drużyn, po kolacji oglądaliśmy stare filmy, przyniesione z wypożyczalni, albo graliśmy w remika.

Cztery dni w tygodniu siedziałam przy kasie w sklepie z bronią i ani razu nie wypomniałam Thomowi, że pracuje za minimalną stawkę, chociaż przychodziło mi to z coraz większym trudem.

Tydzień po naszym rozejmie do pracy nie przyszedł jeden ze sprzedawców i Joe poprosił, żebym przez parę godzin zajęła się klientami, dopóki nie zjawi się zastępstwo. Dorastałam w otoczeniu broni i wiedziałam dużo więcej o znajdującym się tutaj towarze niż zaginiony w akcji sprzedawca. Jedyne dobre chwile z moim ojcem to te, kiedy uczył mnie strzelać. Zasypywałam go pytaniami o celowniki lub prędkość wylotową pocisków, a potem naklaniałam do rozważań, kto produkuje lepsze czterdziestki - Kolt czy Smith & Wesson - i w ten sposób przyjemnie spędzaliśmy jakieś pół dnia. Gdyby Joe Grandee choć raz pomyślał o tym, co mam w głowie, a nie w biustonoszu, już lata temu powierzyłby mi dział sprzedaży.

Mniej więcej po pół godzinie do salonu wszedł klient - bez wątplenia dojna krowa. Facet dotknięty kryzysem wieku średniego, z lekko posiwiałą plerzą i w spiczastych kowbojkach za trzysta dolców. Potrzebował, jak to ujął, czegoś do drobnej obrony.

- Bez żadnych szpanerskich bajerów - dorzucił.

Czytaj: nic kosztownego.

- Oczywiście - odparłam słodkim głosem. - Mężczyzna pańskiego pokroju potrzebuje broni prostej i eleganckiej, jednak o odpowiedniej sile rażenia, a nie jakiejś kowbojskiej zabawki na pokaz.

Dziesięć minut później zaciskał palce na wspaniałym rewolwerze o krótkiej lufie, który kosztował ponad tysiąc dolarów.

- Doskonale leży w pańskiej dłoni - powiedziałam, zachłystując się wprost z podziwu. Pochyliłam się nad kontuarem, zafalowałam biustem i przygryzłam lekko dolną wargę.

W rezultacie facet kupił ów kosztowny rewolwer, a do tego zapas amunicji, sejf na broń, przybory do czyszczenia rewolweru i kilka

opakowań cynamonowej gumy sprzedawanej po paskarskich cenach, którą trzymaliśmy przy kasie. Opuścił sklep różnym krokiem, wypychając biodra do przodu, jakby mu nagle przybyło kilka centymetrów penisa, wcześniej zaś obiecał solennie, że wróci do salonu przed rozpoczęciem sezonu myśliwskiego i obejrzy oferowane przez nas sztucery

Nie zdawałam sobie sprawy, że Joe wyszedł ze swojego biura, stanął w drzwiach na zapleczu i przyglądał się końcówce tej zabawy. Kiedy nazajutrz przyszedłam do pracy, Janine, którą miałam zmienić przy kasie, nie ruszyła się ze stołka i tylko pokręciła przecząco głową. Pomyślałam, że pewnie źle odczytałam grafik i już miałam wyjść, gdy Joe powiedział:

- Derekowi wypadło coś nagłego, skarbie. Mogłabyś zająć jego miejsce, dopóki nie zjawi się ktoś na zastępstwo?

Gdy sześć godzin później kończyłam pracę, Janine wciąż siedziała przy kasie, a zastępstwo jeszcze nie zdążyło się pojawić. Od owego dnia co rusz któryś ze sprzedawców Joego potrzebował zwolnienia lekarskiego lub krótkiego urlopu. Nie trzeba było inteligencji astrofizyka, by stwierdzić, że Joe obcina im godziny, ponieważ ja jestem dużo lepsza. Co skądinąd nie przeszkadzało mu płacić mi nadal cztery dolce z drobnym hakiem za godzinę, czyli tyle, ile zarobiłabym w najbliższych delikatesach, gdzie moja praca ograniczałaby się do pytania: Czy życzy pan sobie do tego jakiś szczególny sos?

Mimo to nie próbowałam walczyć z naczelną maksymą Joego - Grand Guns to rodzinny interes, więc każdy tutaj buduje własną, lepszą przyszłość. Na swój prywatny użytek dodawałam w duchu: I pomaga Joemu kupić kolejnego wypasionego harleya-davidsona. Ostatecznie ten wypasiony harley-davidson będzie po części mój, gdy pewnego cudownego dnia Pan nie zechce już oglądać Joego na tym padole i wezwie go przed swoje oblicze. Czy też pośle w jakieś inne stosowne miejsce.

W domu siadywałam często Thomowi na kolanach i szybko zaciągałam go do łóżka. Kochałam się z nim energicznie i z entuzjazmem, okraszając nasz seks gimnastycznymi akrobacjami godnymi cheerlea-

derki. Czasami Rose próbowała szepnąć mi coś do ucha, ale uciszałam ją w pół zdania, i bardzo się pilnowałam, żeby nie myśleć o innym mężczyźnie, gdy znajdowałam się w objęciach Thoma Grandeeego. Odsuwałam od siebie wszelkie wspomnienia innych rąk, wodzących po moim ciele w dawno minionej przeszłości, i starałam się nie wracać do przyrzeczeń składanych w Alabamie w nocie tak gorącej, że zdawały się lepkie jak melasa.

Jednak gdy zapadałam w sen, to niekiedy pod powiekami widziałam Rose Mae, najwyżej czternastoletnią, snującą się po lesie za podstawówką w Fruiton, czekającą, aż Jim Beverly ześliznie się po gałęziach starego dębu, który rósł pod jego oknem, i do niej dołączy. A kiedy budziłam się z takiego snu, nie mogłam się powstrzymać od wspomnień tej nocy, gdy Rose Mae postanowiła się przekonać na własnej skórze, jaką to przyjemność jej ojciec czerpie z ciąglego picia.

Księżyc zbliżył się już do pełni i chociaż powoli zachodził, wciąż jasno oświetlał drogę. Było tak późno, że nawet drzewne rzekotki umilkły i zapadły w sen. Minęło wiele godzin od chwili, kiedy dzieci posiadające sensowne matki zostały nakarmione i odesłane do łóżka. Tymczasem Rose Mae czekała na polance, którą wraz z Jimem zanektowali, gdy mieli po dziewięć lat, i patrzyła, jak przyjaciel zmierza w jej stronę swoim sprężystym, zawadiackim krokiem.

- Hej, Rose-Pop - wyszeptał na powitanie, chociaż znajdowali się z dala od wszelkich wścibskich uszu. Pocałował ją w usta, a potem się zabrał do rozpalania ogniska. Swego czasu był w skautach, wiedział więc, jak sprawnie oczyścić miejsce na ognisko i obłożyć je kamieniami. Rose nazbierała chrustu, by mieli czym karmić płomień, a kiedy już wystrzeliły w górę, Jim i Rose usiedli obok siebie.

- Przyniosłeś coś? - spytała.

Z tylnej kieszeni spodni Jim wyciągnął płaską butelkę z bursztynowym płynem, połyskującym w blasku ogniska.

- Whiskey. Podprowadziłem Lance'owi. - Chodziło o jego starszego brata. - Mam nadzieję, że cię uszczęśliwi, bo jak Lance się połapie, to już jestem trupem.

Uśmiechał się tym swoim krzywym uśmieszkiem, a wydłużona górna warga odsoniła dziąsła.

- Lance nie może za bardzo podskakiwać. Jakby co, postraszyć, że opowiesz o jego sfałszowanym prawku.

Jim zerwał zabezpieczenia zakrętki, a potem siedział nieruchomo i wpatrywał się w alkohol. Do Rose dobiegły opary wydobywające się na zewnątrz - jakby ktoś zabutelkował jej ojca. Jim już miał lyknać whiskey, ale zatrzymał się w pół gestu. Podjął kolejną próbę. I znów się zatrzymał.

W końcu to Rose Mae wzięła pierwszy lyk. Owinęła palce wokół dłoni Jima i uniosła butelkę do warg. Przetestowała metodę ojca: pociągnęła, jakby picie było męczącym, ale koniecznym zadaniem do wykonania. Ledwie przełknęła, zaczęła się krztusić; wydawała z siebie takie dźwięki jak cyrkowa foka, którą raz widziała w telewizji. Powietrze wpadające do ust mieszało się z alkoholem, wzmacniając jego kwaskowaty smak. Rose zasłoniła ręką usta i zaczęła głęboko oddychać przez nos, żeby nie zwrócić taniej whiskey.

Jim patrzył na nią czujnie do chwili, aż oczy przestały jej łzawić, a oddech się uspokoił. Potem pociągnął solidnie z butelki i przed połknięciem alkoholu długo obracał go w ustach. Skrzywił się, ale pociągnął ponownie. Za każdą kolejną robił tę samą minę, jakby ostry smak nieustannie go zadziwiał. Praktycznie bez słowa podawali sobie na zmianę butelkę, dopóki jej nie opróżnili.

Gdy była już pusta, postawili ją przy ognisku.

- To zupełnie nic nie daje - uznała Rose, ale własny głos brzmiał tak dziwnie w jej uszach, że zaczęła chichotać.

Jim jej zawtórował, po czym zapytał:

- Co cię tak śmieszy?

Rose wstała. Grunt pod stopami zakolysał się i zaczął falować, jakby ich prywatna polanka niepostrzeżenie wypłynęła na pełne morze.

- A jednak wódka jakoś działa - mruknęła. - Podnieś się.

Tę noc Rose zapamiętała jako chaotyczną sekwencję rozmaitych obrazów. Biegała z Jimem po wąskich ścieżkach. Jim krzyczał, a Rose go uciszała. Objimali się o siebie i wpadali na drzewa. A potem szcepili

się razem, ćwicząc miłosne uściski, które jednak bardziej przypominały zapasy, bo było w nich więcej walki niż pocałunków.

W końcu Rose znalazła się na plecach i obejmowała mocno nogami leżącego na niej Jima. Próbowała odwrócić twarz, nie chciała czuć jego oddechu pachnącego whiskey, ale Jim przycisnął usta do jej ust i mocno docisnął ją biodrami do ziemi. Szarpnęła się, bliska paniki, a wówczas Jim przekręcił się na plecy, żeby Rose mogła znaleźć się na górze i swobodnie zaczerpnąć oddechu.

Po chwili jednak znowu ją przewrócił i niespodziewanie potoczyli się w dół niewielkiego zbocza. Wylądowali w jeżynowych chaszczach, które ich rozdzieliły i oplotły ciernistymi pędami. Pierwszy wyswobodził się Jim - pokluty, podrapany do krwi. Chwycił Rose za rękę, wyciągnął ją z krzaków i wtedy zobaczyła inną twarz Jimiego, sekretną, obnażoną przez whiskey. Uśmiechał się szeroko, białe duże zęby błyskały w mroku. Pomógł jej się uwolnić od kolczastych gałązek. Potem znowu przyciągnął Rose do siebie, tym razem delikatnie, ale białka jego oczu zdawały się twarde jak kamienie.

I to wówczas zbliżył usta do jej ucha i wyszeptał po raz pierwszy:

- Możemy iść do twojego ojca i z tym skończyć.

- Z czym skończyć? - zapytała, bo nikt nigdy nie mówił otwarcie o biciu, mimo że bez wątplenia wszyscy o nim wiedzieli. W Fruiton znajdowało się duże centrum handlowe, trzy ponadpodstawowe szkoły i tyle kościołów, że trudno by je zliczyć, ale pod względem mentalności mieszkańców było to wciąż małe zapyziałe miasteczko. Oczywiście więc, że prawie każdy wiedział o przemocy w ich domu, chociaż Rose umiała po mistrzowsku kryć ojca, a i on dobrze się kamuflował. Na przykład nigdy nie bił jej w twarz. Niemniej prawie wszyscy wiedzieli co i jak; kobiety miały językami po opłotkach, a nauczyciele i księża szeptali po kątach: W domu Lolleyów nie dzieje się najlepiej. Jednak o podobnych sprawach nie wypadało mówić głośno i otwarcie, a już na pewno nie w obecności ludzi, którzy mogliby sposobami administracyjnymi położyć temu kres. Nawet Jim i Rose Mae nie poruszali między sobą tego tematu. Tylko czasami, kiedy się obściskiwali, Jim szukał

stłuczonych miejsc i niemal z czcią kładł palce na jej siniakach. Ale nigdy o tym nie rozmawiali.

- Z czym skończyć? - powtórzyła. Chciała w końcu usłyszeć, jak Jim przełamuje tabu.

On odparł jednak:

- Na dobre zakończyć sprawę. Postarać się, żeby twój stary przestał wreszcie oddychać.

Zaśmiała się niepewnie.

Szeptał z twarzą tak zbliżoną do jej twarzy, że niemal stykali się nosami, a Rose łzawiły oczy od ostrego zapachu whiskey w jego oddechu.

- Takie pijusy często się duszą we śnie. Mogę go dla ciebie wykończyć. Czy chcesz tego, Rose-Pop? Chcesz, żebym załatwił go na amen?

Miał zimną, zaciętą twarz. Wyglądał na zdolnego do zbrodni, którą przedstawiał jak atrakcyjny towar na ladzie. Wystarczyło, żeby Rose skinęła głową. Ta świadomość ją oszołomiła. Cały wielki świat zatrząsał się w posadach, zawirował i wystrzelił w kosmos. Rose odepchnęła Jima, postąpiła naprzód kilka kroków, a potem upadła na kolana i dostała torsji.

Wymiotowała długo. W końcu zaczęła pełznąć w bok, aż znalazła się na czystej ziemi pod sosną tak żywiczną, że teraz czuła tylko jej zapach. Położyła się na brzuchu, przytknęła policzek do zimnego poszycia, zamknęła oczy i odpłynęła w ciemność.

Kilka godzin później znowu szła z Jimem przez las; słońce już wzeszło i niemiłosiernie raziło w oczy, było bolesną karą. Rose nie wiedziała, czy zastanie ojca przy życiu, gdy już dojdzie do domu. Nie odparła „tak” na propozycję Jima, ale nie powiedziała też „nie”. Myśląc o ewentualnej śmierci taty, miała przed oczami migawkę z jakiegoś oglądanego wcześniej filmu. Widziała siebie stojącą obok trumny w dopasowanej czarnej sukience. Obraz był nierealny, nie budził żadnych emocji.

Przed sobą na ścieżce ujrzała jakieś futerkowe zwierzę, zbyt zniechęconie jak na stworzenie pogrążone we śnie. Okazało się, że to kot leżący na boku, z wyciągniętymi łapkami skrzyżowanymi niczym

raciczki śpiącego jagnięcia. Miał głowę przekręconą o sto osiemdziesiąt stopni.

Rose stanęła jak wryta. W tej jednej szalonej chwili nabrała przekonania, że to sprawka Jima. Miał mocno podrapane ręce. Złapał tego kota, przetrącił mu kark, a potem zabił jej ojca, bo ona mu na to pozwoliła, i teraz strasznie ją to przeraziło.

Nagle dotarło do Rose, że ta sekretna twarz Jima, którą widziała w nocy, wyrażała pełną determinację człowieka zdolnego do mordu. I w tym samym momencie pomyślała, że nie chce wracać do domu. Jim był niczym pistolet o zbyt czułym spuście i sam fakt, że nie powiedziała „nie”, że się stanowczo nie sprzeciwiła, mógł wystarczyć, by wystrzelił. Kot faktycznie leżał martwy, to Jim z pewnością go ukatrupił. Ten stan martwoty był permanentny i straszny. Nieodwołalny. Nie chciała więc wracać do domu i zobaczyć, co jeszcze Jim dla niej zrobił.

I wtedy on powiedział:

- Nieszczęsne stworzenie. Myślisz, że dopadł go lis?

W jego tonie było tyle smutku, że te wymysły o zabijaniu wydały się nagle Rose zupełnie nonsensowne. W domu Beverleyów był biały, tłusty kot, który wabił się Moses. Często wskakiwał Jimowi na kolana i otrzymywał hojną porcję pieszczot, które prowokowały go do pełnego zachwytu mruczanda. Jak mogła pomyśleć, że Jim zamordował kota?

- Nie patrz, Rose-Pop - szepnął chłopak. Zamknęła oczy i pozwoliła, by przeprowadził ją obok nieżywego zwierzęcia. Chciała obejrzeć się za siebie, ale Jim objął ją ramieniem i do tego nie dopuścił. - Nieszczęsne stworzenie - powtórzył. - Odprowadzę cię do domu, a potem tu wrócę i je pochowam.

Spojrzała na własne dłonie i zauważyła, że są tak samo podrapane jak ręce Jima. Przypomniały jej się jeżynowe chaszczce. Rose ucierpiała nieco mniej, ponieważ miała bluzkę z długimi rękawami, zakrywającymi siniaki - świadectwo ojcowskich wyczynów. To jeżynowe kolce tak podrapały Jima, co oznaczało, że kiedy Rose dotrze do domu, ojciec obudzi się cały i zdrowy, chociaż skacowany nawet bardziej od niej, jednak gotowy rozpocząć nowy, paskudny dzień.

Jakiś dziki zwierz dopadł w lesie owego małego kotka, chwycił za kark, wytarosił, a w końcu rzucił na ścieżkę. To było smutne, ale nie miało nic wspólnego ani z nią, ani z Jimem.

Niemniej obie z Rose Mae dobrze wiedziałyśmy, że wydarzenia potoczyłyby się inaczej, gdyby tylko ona powiedziała tak. Jeżeli by wypła o jednego drinka więcej lub mniej, skinęła głową choćby najbardziej nieznacznie. Wystarczyłoby jedno „tak”, a nogi poniosłyby Jima do domu Lolleyów w czasie, gdy ona leżała zamroczone na sosnowych igłach.

Doszli do rozwidlenia dróg, gdzie każde z nich miało ruszyć w swoją stronę, i wówczas Rose oświadczyła:

- Już nigdy więcej tego nie powtórzymy.
- Nie powtórzymy - zgodził się natychmiast Jim.
- Nie lubię cię takiego, jakim stajesz się po whiskey. Nie mogłabym być z kimś podobnym.
- Ja też siebie takiego nie lubię. - Zabrzmiało to niesamowicie szczerze, więc wyciągnęła ręce, żeby go objąć, ale już się odwrócił i zaczął oddalać.

Niecały rok później zabrali koc na szczyt Lipsmack Hill i zostali kochankami naprawdę. I wtedy Jim ponowił swoją propozycję: zabije jej ojca, jeśli tylko Rose o to poprosi. Powtarzał to wielokrotnie szepcąc, wodząc wilgotnymi ustami po jej siniakach. Ale w jego słowach nie było już przekonania. Niekiedy miały nieść pocieszenie, innym razem były tylko przejawem młodzieńczego gniewu. Rose jednak nigdy nie zapomniała tego drugiego Jima - uwolnionego przez whiskey niczym dżin z butelki - zdolnego do morderstwa z zimną krwią, i ostatnio często właśnie o tamtym Jimie śniłam nocami. Budziłam się wówczas gwałtownie, ale wciąż czułam zapach lasu Alabamy w letnią noc.

Wtedy szybko wstawałam z łóżka, żeby napić się wody. Gdy szłam przez hol do kuchni, układałam menu na najbliższy obiad lub kompilowałam w myślach listę zakupów dopóty, dopóki nie opuściły mnie aromaty tego lasu z odległej przeszłości. Musiałam wypierać wspomnienia planami na tu i teraz.

Wysprzątany dom, udane transakcje w salonie z bronią, ulepszony przepis na pieczeń i na seks. Te rzeczy pozwalały mi się koncentrować na każdej minucie terażniejszości. Pilnie się też ćwiczyłam w unikaniu myśli o przyszłości, o wróżbiarkach i kartach tarota, a w szczególności o wisielcu ze związanymi rękami oraz o wilczym łbie szczerzącym kły. „Ta przepowiednia dotyczyła samej wróżbiarki”, szeptałam, kiedy wyobraźnia kazała mi widzieć siebie w dziewczynie pozostawionej w płonącej wieży. A jeżeli moje małżeństwo było mariażem mieczy, wobec tego wraz z Thomem zrobimy wszystko, by stać ramię przy ramieniu, z mieczami skierowanymi na zewnątrz, chroniąc się nawzajem przed zdradliwym atakiem obcego intruza.

Wszystko wokół rozkwitało, szykowało się na nadejście lata. Pewnego dnia wstawałam nieostrożnie z fotela i zdarłam skórę na łydce, zaczepiając o krawędź stolika. Bolało jak wszyscy diabli. Usiadłam z powrotem i zaczęłam pocierać bolące miejsce. Patrzyłam, jak skóra wokół zadrapania brzęknie i zaczyna ciemnieć. Jasna skóra łatwo się siniaczy, wiedziałam więc, że do jutra w tym miejscu pojawi się fioletowa plama. Odruchowo, z przyzwyczajenia zaczęłam sprawdzać, czy jakaś inna część ciała nie wymaga kompresu z lodu lub opatrunku. Mimo starannych poszukiwań zupełnie nic nie znalazłam. Cała byłam gładka i mlecznokremowa.

Od czasu ślubu z Thomem taki stan jeszcze nigdy nie trwał równie długo.

Rozdział 6

Późna wiosna była moją ulubioną porą roku. Ale teraz na obrzeżach suchego, pustynnego powietrza czaił się już upał, a więc powoli nadciągała aura, którą nazywałam „pogodą na lody”.

Nigdy nie byłam specjalistką od wypieków, chociaż dzięki pysznościom, które pani Fancy przynosiła w hurtowych ilościach do porannej kawy, Thom mnie za taką uważał. Niemniej, zawsze umiałam upiec całkiem niezły cytrynowy placek i uznałam, że będzie doskonały na panującą pogodę. Włożyłam blaszkę z lasagną do piekarnika, a potem zamiesiłam ciasto w malakserze. Właśnie je wałkowałam, gdy do kuchni wszedł Thom i usiadł na blacie po przeciwnej stronie.

Zanim zdążyłam się odezwać, zapytał:

- Dlaczego właściwie nie moglibyśmy mieć dziecka?

Położył tak wyraźny akcent na „nie moglibyśmy”, że z pewnością nie była to zwykła sugestia. Wyczuwałam w jego słowach szczere zdumienie, jakby nie potrafił pojąć, czemu w jednym z naszych pokoi na ma jeszcze na ścianach tapety w misiaczki i wysokich stosów paczek z pieluchami.

- Hej, co masz w dzinsach? - rzuciłam. Był to początek dobrze nam znanej wymiany zdań, którą w żartach chętnie się przierzucaliśmy.

Thom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cóż, pani Grandee, tam się znajduje mój piękny tyłek.

- No właśnie. A dlaczego wycierasz swoim pięknym tyłkiem mój kuchenny blat - ten sam, na którym będę szykować dla ciebie sałatkę?

Zeskoczył i skłonił się żartobliwie.

- Przebacz mojemu tyłkowi, o pani, i zechciej mi powiedzieć, dlaczego nie moglibyśmy mieć dzieci?

- Z wielu rozmaitych powodów - mruknęłam.

Pokiwał głową powoli, w zamyśleniu.

- Chodzi o katolicyzm.
- Między innymi.

Byłam zdziwiona, że akurat tę kwestię wysunął na pierwszy plan. Jeszcze w Kingsville, gdzie się zaręczyliśmy, moja wiara nie stanowiła dla Thoma żadnego problemu. No ale wówczas był w college'u i od jego sztywnej, protestanckiej rodziny dzieliła go cała przestrzeń Teksasu.

Charlotte, wychowana w przygranicznym miasteczku, wierzyła niezachwianie, że Teksas schodzi na psy z powodu Meksykanów, a przede wszystkim ich katolicyzmu odpowiedzialnego za nadmierne rozmnażanie. Joe należał do rasistów o bardziej pragmatycznym podejściu do życia, rozumiał więc, że gdyby nie było nielegalnych imigrantów, musiałby komuś zapłacić porządne pieniądze za pielęgnowanie ogrodu. Niemniej zgadzał się w pełni z poglądem, że katolicyzm nie jest religią, która przystoi białym, praworządym posiadaczom salonów z bronią. Tak więc i Thomowi zmieniła się nieco optyka, gdy zjechaliśmy do Amarillo, a jego ojciec zapytał mnie przez szerokość stołu „Jesteś PRAKTYKUJĄCA katoliczką?” takim tonem, jakby pytał, czy jestem praktykującym kanibalem.

- Przecież nie chodzisz na mszę ani do spowiedzi - zauważył Thom.

Tak naprawdę chodziłam od czasu do czasu, gdy tatuś zabierał Thoma do Houston albo do Atlanty na targi broni. Na początku małżeństwa spowiedź stanowiła między nami poważną kość niezgody, więc - podobnie jak kawa z panią Fancy - pozostała moim sekretem.

- Daj nam dziecko, nim pójdzie do pierwszej klasy... - zaczęłam.

- A będzie katolikiem już po wsze czasy - dokończył za mnie Thom.

- Kościół katolicki niańczył mnie na swym łonie do czasu, aż skończyłam osiem lat. Chodzę do waszej świątyni, bo tak jest prościej dla wszystkich, poza tym dla protestantów kadzidła, świece wotywnie i modły do świętych to coś pokrewnego czarnej magii. Niemniej, człowiek nie przestaje być katolikiem tylko dlatego, że nie uczęszcza na

katolickie msze. Mogę chodzić do waszego kościoła, Thom, ale to nigdy nie będzie moja wiara.

Przestałam zaginać brzegi ciasta w falbankę, odwróciłam się w stronę męża i od niechcienia wsparłam na blacie. Wygłaszałam swoje kwestie lekko i pogodnie, ale kiedy spojrzałam mu prosto w oczy, wiedział, że nie żartuję.

- Nie zamierzam rujnować sobie figury, a potem wyciskać z siebie trzy kilogramowego bobasa, by wychowywać nieochrzczone stworzenie, które po śmierci niechybnie trafi do piekła.

Thom kiwał głową, jednak nie potakująco, ale w głębokim zamyśleniu. On także prowadził tę rozmowę dość niefrasobliwym tonem, lecz był równie poważny jak ja.

- Ale przecież ty, Panno Katoliczko, jesteś na pigułce, gdzie więc wylądujesz?

- W czyścicu, by odpokutować za grzechy. A przynajmniej mam nadzieję, że zdołam się wcisnąć do czyścica. I że wcześniej uczciwie zarobię na każde cholerne tysiąclecie, które będę musiała tam spędzić.

Wyjęłam z lodówki nadzienie do placka i ubiłam widelcem, aby ponownie rozpulchnić jajeczną masę. Thom zaś siedział w milczeniu, dopóki nie wylałam nadzienia na placek.

- Czy ja muszę być katolikiem? - rzucił. - Czy tylko on?

W mojej głowie natychmiast zadźwięczało echo starego, ulubionego pytania Thoma: *Kim on jest?*. Pytania, które zawsze pociągało za sobą atak furii i grad ciosów. Poczulałam, że włosy jeżą mi się na karku, a ręce zaczynają działać w zwolnionym rytmie.

- Jaki on?

- Albo ona. Bo mogłaby się urodzić dziewczynka - odparł Thom i wtedy zrozumiałam, że miał na myśli dziecko. - Chociaż męczczyźni Grandeech zazwyczaj płodzą chłopców.

Natychmiast zalało mnie uczucie ulgi.

- Ciebie już dawno uznałam za skazanego na męki piekielne, skarbie. Jednak nie ma mowy, żebym wychowywała dziecko w prezbiteriańskiej wierze.

- Jakoś to przeżyję - zdecydował Thom. - To znaczy, ani trochę mi to nie przeszkadza.

Posłałam mu sceptyczne spojrzenie i zaczęłam wygrzebywać szpatułką resztki nadzienia z miski.

- Nie przechrzczę się - podjął Thom. - Ale jeżeli dzięki temu, że będę chodził z tobą w niedzielę na katolicką mszę, staniemy się lepszą rodziną, mogę tak robić. Ostatecznie nie jest to dla mnie jakoś szczególnie ważna sprawa.

- Ale jest ważna dla twojego ojca. - Raz jeszcze zerknęłam na niego przez ramię.

Na czole Thoma natychmiast się pojawiły dwie pionowe zmarszczki, a ja szybko skupiłam się na cieście. Jednak kiedy się odezwał, w jego głosie nie było złości.

- To nie będzie dziecko mojego ojca, Ro. Więc nie wiem, czemu miałby się wtrącać do tego, gdzie nasz syn czy córka wysłuchuje kazań.

Już miałam odparować, że Joe wtyka swój rzymski nos we wszystkie nasze sprawy, a Thom mu na to potulnie pozwala, ale ugryzłam się w język. W zamian powiedziałam:

- Wiara to nie jedyny powód, Thom.

- Wiem. Chodzi też o pieniądze.

Prawdę powiedziawszy, myślałam o agresji Thoma. Ale faktem jest, że połowa z jego napadów furii wynikała z kontaktów z Joem, który jednocześnie był tym, który płacił mojemu mężowi pensję. Doszłam więc do wniosku, że kwestia pieniędzy doprowadzi nas określną drogą do prawdziwego źródła problemu.

- W poniedziałek przeprowadzę z ojcem zasadniczą rozmowę - oznajmił Thom pełnym powagi głosem. - Nie możemy wychowywać dzieci w tej dzielnicy, trzeba by więc pomyśleć o przeprowadzce. No i gdy się pojawi dziecko, ty zostaniesz w domu, a to oznacza, że będziemy też pozbawieni twoich skromnych dochodów. Ojciec musi to zrozumieć.

Dlatego powiem mu prosto z mostu, ile powinienem zarabiać. Popłynęłam tu i ówdzie, poszedłam też do biblioteki, posprawdzałam

różne dane. Mam więc całkiem niezłe rozeznanie co do swojej rynkowej wartości, i jest ona o wiele wyższa niż moja obecna pensja. Sporządziłem nawet grafik, żeby mu pokazać, ile zarabiają w Teksasie faceci wykonujący moją pracę.

Umówiłem się z nim na formalne spotkanie. Wpisałem się do jego kalendarza, jakby zrobił każdy normalny pracownik. Kiedy zaczynałem u niego pracę, powiedział, że nie zamierza mi płacić górnej stawki, bo jestem jeszcze nieopierzonym dzieciakiem. Chciał, żebym udowodnił swoją wartość i za to go szanuję. Myślę, że nawet wyszło mi to na dobre, ponieważ teraz wiem, czym jest ciężka praca, i nie uważam, że wszystko należy mi się z góry, a takich rzeczy nie uczą człowieka w college'u. Ale mam już pięcioletni staż, no i ostatnio ojciec robi coraz mniej, a ja coraz więcej. Dorosłem do stanowiska menedżerskiego i menedżerskich zarobków.

- To nie mnie musisz o tym przekonać - powiedziałam, spoglądając Thomowi w oczy.

Uśmiechnął się, był nadal rozluźniony.

- Wybacz. Od kilku dni powtarzam w myślach argumenty, szykując się na rozmowę z ojcem.

- A jeżeli powie nie? - spytałam nieśmiało. - Jeżeli wyjedzie ze swoim „Chłopcze, budujesz własną, lepszą przyszłość, to wszystko kiedyś i tak będzie twoje”, co w rzeczywistości jest równoznaczne z odmową. Co wtedy?

- Wtedy poszukam innej pracy. Ćwiczyłem również, jak mu coś takiego powiedzieć.

Wydawał się niezwykle spokojny i ufny we własne siły. Niemalże mu uwierzyłam, więc ze zdziwieniem złapałam się na tym, że palcem powalany w mące nerwowo skubię wargę. Szybko opuściłam rękę.

- Zamierzasz postawić ojcu ultimatum?

- Nie nazwałbym tego w taki sposób - odparł, ale wzruszył nonszalancko ramionami z niezachwianą pewnością siebie, której zawsze mu brakowało w konfrontacji z tatusiem. Szczęka mi opadła, oczy rozwarły się ze zdumienia.

- Ty naprawdę zamierzasz to zrobić!

- Czas najwyższy - odparł tonem wyluzowanej gwiazdy sportu i znowu wzruszył ramionami. W tej samej chwili dotarło do mnie, że wgapiam się w niego jak zakochana nastolatka. - No więc, co na to wszystko powiesz, Ro?

Zamrugalam gwałtownie. Tak naprawdę nie poruszyliśmy najważniejszej kwestii. Brałam pigułki antykoncepcyjne, bo w moim mniemaniu były mniejszym grzechem niż ewentualne poczęcie. Nigdy bym nie dopuściła, żeby Thom mnie zapłodnił, ponieważ nie miałam najmniejszych wątpliwości, że niemal natychmiast wytlukłby mi dziecko z brzucha. W gruncie rzeczy byłoby to równoznaczne z zapisaniem się na aborcję i jednoczesnym podjęciem próby zajścia w ciążę przed wyznaczonym terminem zabiegu.

Ale nagle przypominałam też sobie, że mam na ciele tylko jednego jedyne siniaka - tego na łydce - jakże samotnego od czasu, gdy po zamachu w lesie staliśmy się z Thomem zupełnie inną parą. I przyszedł mi do głowy cytat z noweli, którą w dzieciństwie czytałam tysiące razy. „Zapewne byłaby dobrą kobietą, gdyby tylko co minutę ktoś do niej strzelał”.

To zdanie pochodziło z opowiadania Flannery O'Connor, tak jak ja katoliczki z Południa. Katoliczką z Południa była również moja matka, która zostawiła po sobie zbiór nowel O'Connor, a do tego sto innych książek, w których zaczytywałam się w dzieciństwie. My, katolicy, należeliśmy do rzadkich okazji na amerykańskim Południu, skąpanym w baptyzmie i obrzeżonym metodystami. Może O'Connor przekazywała mi ważną prawdę - jak papistka papistce.

Sześć tygodni to tak niewiele wobec tych wszystkich lat naszego małżeństwa. Z drugiej strony, oceniając nową jakość w naszym życiu, nie powinienam się kierować jedynie miarą czasu. Thom zwrócił mi prawo do praktykowania własnej religii. Ofiarował cenny dar. Prezbiterianie ułatwiali sobie życie - przechodzili bezpośrednio od zbiorowej spowiedzi do komunii, jakby rozgrzeszenie leżało na wyciągnięcie ręki i nie wymagało żadnego wysiłku czy poświęcenia. Nie mieli pojęcia, czym jest pokuta.

Teraz, kiedy odzyskałam religię, wiele miało szansę się zmienić. Jeżeli Rose Mae znowu zaciągnęłaby mnie w te szalone rejony, gdzie przywoływałam przemoc, jakby była cudownym kochankiem, może zamiast zwracać się ku Thomowi, mogłabym iść do kościoła. Kilka godzin na kolanach z różańcem w dłoniach powinno okiełznać nawet Rose Mae Lolley. Do diabła, gdyby było bardzo źle, może udałoby mi się nawet znaleźć jakąś zakonnicę. Wciąż czułam na dłoni bolesne razy, wymierzane linijką przez siostrę Agnes podczas zamierzchłych lekcji religii; ostatecznie nikt nie rozumiał koncepcji zbrodni i kary lepiej niż drobna, okrutna zakonnica.

Tak czy owak, teraz stał przede mną mój mąż, który oświadczył, że jest gotowy do bezpośredniej konfrontacji z ojcem - wygłoszenia Joemu kilku prawd, które z pewnością nie przypadną mu do gustu. Do tej pory nie znałam takiego Thoma, ale gorąco go kochałam. Rety, tylko Bóg jeden wiedział, jak szaleńczo kochałam w owej chwili tego nowego faceta.

- Dlaczego nie moglibyśmy mieć dziecka? - spytałam z identyczną emfazą, jakbym także nie mogła się nadziwić, że do tej pory się na to nie zdecydowaliśmy.

- No właśnie - rzucił i tym razem była to wyraźna sugestia.

- Nie mogę przerwać antykoncepcji w połowie, bo zaburzyłby mi się cykl. Ale kiedy skończę to opakowanie, nie rozpocznę następnego.

Skoczył w moją stronę, jednak tym razem wcale się nie bałam. Podniósł mnie w górę i okręcił dokoła. Moje dłonie obsypane mąką zostawiły białe ślady na jego niebieskiej koszuli. Thom przeniósł mnie na drugą stronę kuchni. Poczułam, że baleriny zsuwają mi się z nóg i usłyszałam, jak ze stukotem uderzają o ziemię.

Posadził mnie na tym samym blacie, z którego przegoniłam go wcześniej. A potem zamarliśmy w bezruchu, zamknięci w skorupie cichego szczęścia. Thom stał pomiędzy moimi nogami, a ja machałam bosymi stopami. Całowaliśmy się niewinnie, jak nastolatki w serialach z lat osiemdziesiątych. Wdychaliśmy nawzajem swój zapach, poważni, spokojni, zadowoleni z podjętych decyzji.

Ale Thom wciąż pozostawał Thomem, więc wkrótce pocałunki stały się namiętnie zachłanne, a jego dłoń powędrowała pod moją spódnicę.

- Kiedy dorobimy się dzieci - powiedział - nie będziemy już mogli kochać się w kuchni.

- Teraz też nie będziemy robić tego w kuchni, kolego - odparłam ze śmiechem. - Ten blat jest za wysoki, a za żadne skarby się nie położę na zimnym linoleum.

Uśmiechnął się tylko i znowu mnie całował. Zeskoczyłam z kontuaru i zaraz zaczęliśmy przemieszczać się tanecznym krokiem w stronę salonu, zdejmując po drodze ubrania. Dopełniliśmy aktu na jasnobieżowym dywanie i oboje czuliśmy się spełnieni.

Kiedy my się zabawialiśmy, lasagna przypaliła się na bokach. Ale po wszystkim byliśmy tak głodni, że prosto z blaszki wyjedliśmy środek, stojąc obok siebie nago w kuchni. Potem wstawiłam do pieca ciasto, które się upiekło w czasie, gdy braliśmy prysznic. Z ciasta także wyjedliśmy sam środek - bez żadnego szczególnego powodu, tylko dlatego, że mieliśmy na to ochotę.

Nazajutrz, gdy Thom poszedł do pracy, wyjęłam krążek z pigułkami. Do końca cyklu zostało ich siedem.

Wyjęłam jedną, położyłam na języku i popiłam swoim zwyczajowym porannym napojem: sokiem żurawinowo-winogronowym. Spojrzałam na puste miejsce w okrągłym pudełeczku i zaczęłam ważne odliczanie. Jeszcze tydzień, a rozpocznie się coś nowego i cudownego.

Próbowałam nie myśleć o tym, że jeszcze całkiem niedawno Rose Mae Lolley odliczała dni, godziny i minuty do śmierci Thoma. Od jakiegoś czasu milczała. Była aż nazbyt spokojna. Wciąż niewzruszenie czekała na swoją chwilę. Rose nie ufała temu nowemu Thomowi, który nie stawał z nią do walki. Ani przez chwilę nie wierzyła w jego przemianę.

Z pudełeczka zniknęło kolejnych pięć pigulek i nadszedł w końcu ten dzień, gdy Thom miał się stawić na formalną rozmowę z ojcem. Tego rana się nie kochaliśmy, chociaż on był gotowy, a ja chętna.

- Dzień decydującej rozgrywki - oznajmił, jakby nadal studiował w college'u, to był jeden z pierwszych dziewiętnastu poranków, kiedy uprawialiśmy seks, a Thom jeszcze nigdy mnie nie uderzył. Wtedy wciąż staraliśmy się nawzajem pokazać od jak najlepszej strony. Ale myślę, że nawet wówczas wiedziałam, że kiedyś nadejdzie taki dzień - po przegranym meczu, oblanym teście - gdy w końcu zdołam wywabić tego Thoma, który po raz pierwszy objawił mi się w restauracji. Tego, który zawarł sztafę z Rose Mae, by okrutnie się zabawić kosztem swojej ówczesnej dziewczyny

I rzeczywiście. Pewnego razu Thom nie przechwycił łatwego podania na treningu, a potem nie mógł sobie poradzić z rozpięciem mojego stanika. Zrobiłam to sama, spojrzałam mu w oczy i powiedziałam głosem ociekającym zjadliwą ironią:

- Zdaje się, że obchodzimy dzisiaj ogólnonarodowy dzień niezdarności.

I Thom trzasnął mnie z backhandu tak mocno, że poleciałam na drugi koniec jego małego, studenckiego pokoju.

Spojrzał na mnie wielkimi oczami, zaszokowany własną reakcją. Tymczasem Rose Mae, spuszczone ze smyczy, rozciągnęła zakrwawione usta w kpiącym uśmiechu.

- Tylko nie w twarz, kochanie. Co na to powiedzą sąsiedzi?

Jednak dzisiejszego ranka tamten Thom był daleko, a ja nie zamierzałam już kiedykolwiek go przywoływać. Mój obecny Thom ubrał się starannie: włożył białą, wykrochmaloną koszulę, płócienne spodnie, elegancki krawat i granatową, sportową marynarkę, po czym sprężył się, zawiadując krokiem wyszedł z domu.

Ja natomiast siedziałam jak na rozżarzonych węglach. Zadzwoiłam do pani Fancy i odwołałam poranną kawę, bo nie byłabym w stanie spokojnie znieść nawet jej niezobowiązującej obecności. O drugiej, dokładnie wtedy, gdy miała się zacząć rozmowa, z pudełka tamponów wyjęłam swój sekretny zapas świec wotywnych i jedną z nich zapaliłam na brzegu wanny. Modliłam się długo do świętego Józefa, prosząc o ojcowską sprawiedliwość. Czułam, że zostałam wysłuchana, chociaż

powietrze stało nieruchomo, nieporuszone tchnieniem świętego. Mimo to byłam zadowolona. Święci zjawiający się na wezwanie należeli do mojej matki, która mieszkała w Kalifornii, dokąd ja nigdy w życiu się nie udam. Zgasiłam świecę, a potem odmówiłam jeszcze różaniec, tak na wszelki wypadek.

Ale tylko jeden. Podejrzewałam, że dzisiejszego dnia Thom może wrócić do domu wcześniej niż zwykle, więc chciałam go powitać radośnie w drzwiach, a nie na kolanach. O 14:30 rozpyliłam lizol, by zamuflować siarkowy zapach zapałki ocieranej o draskę, a potem odłożyłam na swoje miejsce różaniec w nadziei, że już ostatni raz muszę go ukrywać.

Thom się nie zjawił. Pomyślałam, że przynajmniej do mnie zadzwoni, ale minęła czwarta, a on nie dał znaku życia.

Zaczęły mnie ogarniać nieprzyjemne mdłości, jakby w żołądku załęgło się coś podobnego do mchu. Przejechałam odkurzaczem po czystym dywanie, a potem przysła mi do głowy stara prawda - brak wiadomości jest dobrą wiadomością. Wmawiałam sobie, że kiedy Thom w końcu stanie w drzwiach, będzie pachniał zwycięstwem, przyniesie musujące wino i bukietik stokrotek. O piątej, z przyzwyczajenia, wyjęłam jedną z małych buteleczek z colą, chociaż Bóg mi świadkiem, że nie potrzebowałam kofeiny. Popijałam colę, gdy szykowałam zapiekankę z ziemniaków, marynowałam kotlety schabowe, a potem kroilał grzyby, paprykę i pomidory na sałatkę.

Kiedy nadszedł czas kolacji, a Thoma nadal nie było, wiedziałam już, że rozmowa z ojcem nie poszła najlepiej.

Wobec tego pewnie dobrze, że nie przyszedł od razu do domu. Miał czas ochłonąć. Może nawet zaczął snuć nowe plany lub poszukiwać innej pracy. Moim zdaniem odejście z Grand Guns byłoby pięćdziesiąt razy lepsze od podwyżki. Zjadłam kawałek suchego chleba i otworzyłam kolejną colę, żeby uspokoić żołądek. Zaczęłam się snuć po pokojach niczym niespokojne widmo nawiedzające własny dom. Gretel chodziła za mną krok w krok, przyciskała się do moich nóg, ilekroć przystawałam i miała brwi ściągnięte w wyrazie takiego zatroskania,

że w końcu odesłałam ją do ogródka, a potem zaciągnęłam zasłony na panoramicznym oknie.

Minęła już ósma, gdy wreszcie usłyszałam warkot bronco na podjeździe. Ruszyłam biegiem w stronę holu, ale po chwili się zatrzymałam i przysiadłam na brzegu sofy idealnie wyprostowana jak pensjonarka. Opierałam ciepłą cokolwiek na kolano i czekałam, aż Thom wejdzie do salonu i powie mi, czy butelka jest do połowy pełna czy do połowy pusta. Siedziałam w idealnym bezruchu i słuchałam pobrzękiwania kluczy objających się o drzwi.

Thom wszedł takim krokiem, jakby całe jego ciało składało się z samych sprężyn. Oczy błyszczały mu niezdrowo niczym w gorącej. Mimowolnie skurczyłam się w sobie i zapadłam w poduchy kanapy. A potem pomyślałam: Nie. Przecież obiecaliśmy sobie, że wszystko się zmieni. Bo te nieśmiałe deklaracje, które wymieniliśmy nad półmiskiem z pieczenią, miały wagę obietnicy. Przez minionych sześć tygodni traktowaliśmy je z taką samą powagą, jak ślubowanie złożone przed prezbiteriańskim pastorem Joego. Jednocześnie broniłam się przed myślą, że ta niekatolicka przysięga była nic niewarta w oczach Boga.

Thom stanął pośrodku salonu.

- Sprawa załatwiona - oświadczył.
- Doskonale - odparłam neutralnym tonem. - Cieszę się. Jesteś głodny? Kolacja może być na stole za jakieś pół godziny, może nawet szybciej.

- Doszliśmy do kompromisu.

„Kompromis” nie znajdował się na liście ulubionych słów Thoma, a teraz w jego ustach zabrzmiał jak coś wręcz odrażającego.

- To wspaniale - zaszczebiotałam, nienawidząc samej siebie za fałszywie radosne tony w swoim głosie. Znowu w obecności męża poczułam się niepewnie i gdybym się w porę nie zreflektowała, tak skwapliwie próbowałabym mu się przypodobać jak małpka kataryniarza zgromadzonej gawiedzi. A przecież nie działo się nic niepokojącego. Thom był co prawda spięty, ale rozmowa z ojcem to dla niego zawsze poważne wyzwanie.

- Podjąłeś się trudnego zadania i jestem z ciebie dumna - powiedziałam. Tym razem całkiem szczerze.

- Oto co ON zdecydował - odezwał się Thom po chwili, a mnie od razu zaniepokoił silny akcent na słowie „on”, jakby Thom nie miał nic do gadania w omawianej sprawie. - Powiedział, że kiedy zajdziesz w ciążę, podniesie mi pensję do połowy żądanej przeze mnie sumy, a gdy dziecko przyjdzie na świat, dostanę drugą połowę. To całkiem fair, prawda?

Thom wcale nie chciał poznać mojej opinii w tej sprawie - domagał się potwierdzenia.

- Jak najbardziej fair - przyznałam, chociaż byłam zupełnie innego zdania. Dla mnie wyglądało to tak, jakby Joe zażądał, że stanie z metronomem w naszej sypialni i wyznaczy rytm, zgodnie z którym będziemy płodzić jego wnuka. Thom naturalnie przejrzał moje myśli. Zerknął na mnie spod ściągniętych brwi i zacisnął usta tak mocno, że ułożyły się w pozbawioną warg, długą krechę. Żyły pulsowały mu w skroniach, dłonie zaciskały się w pięści i po raz pierwszy tego lata ogarnął mnie strach, który zaczął spływać zimnym potem po kręgosłupie. Natomiast Rose Mae poczuła podniecenie, wreszcie mogła wkroczyć na wcześniej wytyczoną ścieżkę.

- Cholernie boli mnie głowa. Możesz być cicho, gdy pójde się zdrzemnąć? - burknął Thom.

Teraz już widziałam wyraźnie, że siedzi okrakiem na płocie. Już nieraz to przerabialiśmy; w tej chwili bez specjalnego wysiłku mogłam go pchnąć na jedną lub drugą stronę. Rose śmiało podnosiła głowę - zachwycona, gotowa na spotkanie ze swoim chłopakiem, tym, którego kochała, którego najchętniej by zastrzeliła. Dobrze wiedziałam, co powiedzieć, by spełnić jej życzenie: Jasne, złotko, utnij sobie drzemkę, ale czy potem mógłbyś się pofatygować do tatusia i poprosić o zwrot swoich jaj? Bo będzie ci potrzebne przynajmniej jedno, jeżeli masz zmajstrować tego dzieciaka wartego fortunę.

To bez wątpienia przesądziłoby sprawę. I na pierwszy rzut oka było widać, że Thom o niczym innym nie marzy. Takie słowa oznaczały

z mojej strony przyzwolenie. A nawet więcej. Zaproszenie. Rose Mae także tego chciała - chciała się wreszcie wyrwać z mojego snu o Jimie w zielonym lesie i zaistnieć w teraźniejszości. Chciała, żebym zaatakowała Thoma werbalnie, bo wówczas on by się zrewanżował atakiem fizycznym. Pragnęła, bym wreszcie przyznała, że znam jej sekretny plan.

Oboje z Thomem znaleźliśmy się w zawieszaniu. Oboje czekaliśmy.

Ostatecznie nie powiedziałam ani słowa. Pomyślałam: To moja ostatnia szansa na życie w roli Ro Grandee. Przypomniałam sobie, jak cudownie Thom potrafił się bawić z synkami brata, i chciałam, żeby tych ostatnich sześć tygodni przeciągnęło się w nieskończoność. Zagryzłam więc mocno wargi i tylko skinęłam głową.

On jednak stał nieporuszony. Zwiesił ręce po bokach, a jego palce wciąż się zakrzywiały, jakby nie mogły się doczekać, kiedy będą wreszcie mogły się zwinąć w pięści.

- Będę cicho jak myszka - wyszeptalam słodko.

Serce waliło mi w piersi ze zdwojoną siłą, by dotlenić każdy zakątek organizmu, pomimo mojego płytkiego oddechu. Lepki pot pokrywał teraz już całe moje ciało. Thom wciąż nie ruszał się z miejsca, świdrował mnie wzrokiem, a ja drżałam na całym ciele i z lękiem czekałam na jego reakcję. W końcu skinął głową.

- No, dobrze. - W głosie Thoma zabrzmiała rezygnacja, nawet poczucie klęski, ale sam fakt, że się odezwał, uznałam za zezwolenie na swobodniejszy oddech. - Teraz po prostu potrzebuję spokoju.

Raz jeszcze skinęłam głową, milcząc jak zakłęta, i Thom się odwrócił, żeby odejść. Ledwo ujrzałam tył jego głowy, ogarnęła mnie słabość. Czułam się tak, jakby ktoś przemielił mnie przez maszynkę, a ostatnich czterdzieści sekund ciągnęło się przez dobrą godzinę. Moje palce były niczym z galarety - bałam się, że zaraz upuszczę butelkę z colą, więc odstawiłam ją na stół. Ręce jednak strasznie mi się trzęsły, a do tego musiałam źle ocenić odległość, bo nagle usłyszałam huk szkła uderzającego o drewno podłogi. W ciszy naszego salonu ów dźwięk poniósł się echem głośnie jak wystrzał.

Thom błyskawicznie obrócił się na pięcie. Uznał, że celowo trzasnęłam butelką o blat. Na jego twarzy ujrzałam ohydny wyraz ulgi. Raptownie rzucił się w moją stronę w bardzo określonym celu.

Poczułam gwałtowny wyrzut adrenaliny. Poderwałam się z sofy i, chwytając butelkę z podłogi, zaczęłam uciekać. Nie zdołałam pokonać nawet dwóch metrów, gdy złapał mnie za włosy. Wepchnął rękę głęboko, niemal do skóry, a potem z całej siły zacisnął palce. Pociągnął mnie ku sobie, wyrywając z korzeniami tysiące włosów. Zdaje się, że wtedy krzyknęłam.

Moje stopy straciły kontakt z podłożem, ciało bezwładnie poleciało w stronę pięści, która wylądowała tuż przy kręgosłupie. Plecy wygięły mi się w łuk pod dziwnym kątem. Powietrze zostało wypchnięte z moich płuc - zostało wypchnięte nawet z moich żył. Świat wokół nabrał ciemnoczerwonej barwy, podczas gdy ja dyndałam nad podłogą niczym worek treningowy, zawieszony za włosy. Thom wyprowadzał kolejne szybkie ciosy, które spadały na moje biodra, brzuch, boki. Walili tak mocno, że impet mojego wahadłowo wychylającego się ciała zachwiał jego równowagę i Thom musiał postąpić krok w moją stronę. Wtedy dotknęłam stopami ziemi, ale nie mogłam na nich pewnie stanąć, i wciąż czułam na głowie rękę wyszarpującą włosy

Jednak atak szału powoli mijał. Wiedziałam, że jeszcze chwila, a bicie ustanie. Problem w tym, że nadal trzymałam w dłoni butelkę z colą i znowu byłam na Ranczu Cadillaców, szukałam matki i pamiętałam, jak dobrze wykonać baseballowy zamach. Ten szklany, obły kształt w moich oczach zmienił się nagle w broń. I wówczas z całą siłą trzasnęłam Thoma w twarz małą zieloną butelką. W jego oczach ujrzałam zdumienie, które niemal natychmiast przeszło w niedowierzanie. Z obu dziurek nosa trysnęła mu krew i w tej samej chwili jego oczy stały się dzikie i zwierzęce. Teraz stojący przede mną facet w ogóle nie przypominał mojego męża.

Znowu szarpał mnie za włosy, wyrywając kolejne pasma. Wrzasnęłam. Potrząsał mną tak silnie, że grzechotały wszystkie kości. Znowu mnie tłukł, butelka wypadła mi z ręki, a on wciąż wyprowadzał ciosy,

aż straciłam wszelkie poczucie czasu i własnego ja. Pozostał już tylko ten facet i jego ciężkie pięści.

Wtedy chyba mną rzucił. Przez chwilę zawisłam w przyjemnie chłodnym powietrzu, ale potem wyrosła przede mną ściana, która brutalnie przerwała mój lot. Osunęłam się po niej na podłogę.

Natychmiast podbiegł i wymierzył mi kopniaka. Zawinęłam się wokół jego stopy ciężkiej niczym kowalski młot. Poczułam ostry ból w boku, jakby na czubku buta znajdowało się rozżarzone do białości ostrze. Paliło mnie w piersiach. Nie mogłam oddychać. Zdałam sobie sprawę, że już nie krzyczę, ale wydaję z siebie jakieś ptasie poświsty. Próbuję zaczerpnąć oddechu, ale bez skutku.

Kopnął mnie w ramię; głowa mi odskoczyła, uderzyła o ścianę i zaczęłam spadać w ciemną, pozbawioną powietrza otchłań, gdzie czekała mała, zagubiona istota, obolała, która nie miała ochoty dłużej grać w tę grę, a chciała jedynie, żeby zjawiała się jej matka i ją stąd zabrała.

„Niech to on zginie”, powiedziała wróżbiarka. Wyczytała moją przyszłość z kart, a ja wszystko zawałam. Przekazała mi jeszcze jakąś inną wiadomość, to było coś ważnego i pilnego, poza tym miałam się modlić do świętej Cecylii, ale teraz nie mogłam przypomnieć sobie szczegółów, dobiegał do mnie jedynie głos Thoma, który mówił:

- Do diabła, Ro!... Ro? Jasna cholera.

Nie byłam w stanie się odezwać, mogłam wydawać z siebie jedynie te okropne ptasie poświsty. Rozpoznałam ów odgłos. Odgłos bezdechu. Przynależał do mglistego świata, gdzie ból przypominał małe kocięta Ignące do mojego ciała. Czułam ich miękkie, ciepłe futerka na plecach, żebrach, biodrach i brzuchu - wszędzie tam, gdzie dotarły pięści. Kocięta leżały także na mojej głowie i na ramieniu, które otulały niczym etola.

- Ro?!

Wołał do mnie z wielkiej oddali. W jego głosie nie pobrzmiwała już złość. Za chwilę przesunie pacami po moim ciele, sprawdzając, czy nie ma połamanych kości. Będzie chciał całować obolałe miejsca i będzie patrzył na mnie wzrokiem proszącym o wybaczenie.

Nie miałam siły odpowiedzieć na wołanie. Nie mogłam nawet powiedzieć, że tym razem wcale go nie sprowokowałam, że nie zgodziłam się na udział w tej grze. Dzisiejszego wieczoru działał solo, więc cała odpowiedzialność spadała tylko na niego. Usłyszałam też szept Rose Mae Lolley. Od początku ostrzegała, że przepowiednia odnosiła się do mnie. Przypomniała zasadzkę w Wildcat Bluff. Wtedy na moment przejęła we władanie moje ręce i gdyby miała półtorej sekundy więcej, gdyby mogła staranniej wycelować, nie leżałybyśmy tutaj niezdolne do zaczerpnięcia oddechu. Wściekała się na mnie za słabość. Za to, że tak bardzo nawaliłam. Próbowałam pozostać w wąwozie, przeobrazić się w Rose Mae, zrobić wszystko od nowa, przyznać sama przed sobą, że wróżba była dla mnie, wybrać życie, zabić męża. Próbowałam, ale mi się nie udało. Zapadłam w ciemność.

Kiedy się obudziłam, poczułam zapach środków dezynfekcyjnych i jogurtu.

- Witamy wśród żywych - powiedziała jakaś kobieta. Znałam ten głos. A jeszcze lepiej znałam ten truskawkowo-waniliowy oddech.

- Spadłam ze schodów - oznajmiłam najbardziej zniechęconej przeze mnie pielęgniarkę. Moje słowa zabrzmiały chropawo, mechanicznie.

Usłyszałam zniecierpliwione cmoknięcie i zdołałam uchylić powieki. Ujrzałam lawendowy mundurek chirurgiczny i pełne współczucia oczy, znajdujące się niebezpiecznie blisko mojej twarzy. Dobiegło mnie popiskiwanie i tykanie jakichś maszyn.

- Mogła pani umrzeć - oświadczyła pielęgniarka. - On staje się coraz brutalniejszy. Już nieraz o mało pani nie zabił, ale teraz prawie mu się udało. Powinna pani wyrazić zgodę na powiadomienie policji.

Próbowałam skinąć głową, ale ból był zbyt przejmujący, więc wyszeptałam jedynie:

- Okej. Proszę im powiedzieć, żeby aresztowali schody
Rozdęła nozdrza.

- Tak nie wygląda miłość, pani Grandee. Złamane żebro przebiło płuco. Doszło do kolapsu. Ma pani wybity bark i pokrwawioną głowę.

Poślubiła pani klatkę schodową, która jest zbyt wielka i agresywna. Następnym razem przywiozą tutaj panią w plastikowym worku. Proszę mi wierzyć, wówczas policja z pewnością się zjawi, ale dla pani będzie już za późno.

- Wiem.

- I pani się na to zgadza? - Teraz sprawiała wrażenie autentycznie wkurzonej. - Pozwoli się zabić?

Nie odpowiedziałam. Powieki łagodnie opadły mi na oczy. Byłam teraz Rose Mae, Rose Mae była mną i nie zamierzałam tego zmieniać.

Godzinę później zjawił się Thom z kolorowym bukietem polnych kwiatów w dłoni. Miał spuchnięty nos i na ten widok ogarnęło mnie poczucie dzikiej satysfakcji. Posłał mi przepaszające spojrzenie niesforne psa, gotowy dopieszczać teraz swoją Ro, jakby to ona wciąż leżała w tym łóżku. A powinien lepiej orientować się w sytuacji. Byliśmy małżeństwem od pięciu lat. Zupełnie nie pojmowałam, jak może patrzeć na moje bezwładne ciało i nie widzieć, że gradem ciosów uśmiercił swoją kobietę. Teraz byłam na powrót Rose Mae Lolley, która tylko czekała, by wyrwać się na wolność.

- Cześć, skarbie - powiedział.

- Cześć tobie. - Mój głos był kruchy, metaliczny. Zupełnie nie pasował do tej kobiety, którą widziałam oczami wyobraźni. Thom uznał moją fizyczną słabość za przyzwolenie. Odłożył kwiaty i usiadł na krześle, stojącym przy szpitalnym łóżku.

„Nigdy nie przestanę cię kochać”, powiedział Jim Beverly. Powtarzał to tysiące razy. W głowie skryształizował mi się plan, na który natychmiast przystałam, tak jak przystałam na to, by Thom ujął moją bezwładną rękę. Spojrzał na mnie, podczas gdy ja wbijałam wzrok w biały sufit.

- Chcesz, żebym włączył mecz? - zapytał.

- Okej.

Chwycił pilota, puścił moją dłoń, którą szybko wsunęłam pod kołdrę i zacisnęłam na drugiej dłoni. Thom ściszył dźwięk, podczas gdy ja rozmyślałam o tym, jak wolno toczy się czas i jak niewiele zmienia.

Nie minęło nawet dziesięć lat od dnia, w którym Jim po raz ostatni powiedział, że nigdy nie przestanie mnie kochać. I nadal wierzyłam w te słowa. Thom odwrócił się od telewizora i uśmiechnął niepewnie. Ja też się uśmiechnęłam - szeroko, promiennie - i jednocześnie spostrzegłam, że Thom odruchowo zaciska dłoń.

- Podają ci morfinę, co?

Nie odpowiedziałam. Bo tak naprawdę uśmiechałam się do Jima Beverly'ego. Odnajdę go. Przypomnę, co powtarzał.

- Będziemy działać zgodnie z naszym planem - powiedział Thom. Wciąż miał niepewną, niemal pokorną minę.

- Tak, tak - odparłam zdawkowym tonem, nie bardzo świadoma, o jakim planie właściwie mówił. Ja miałam własny. Jim Beverly obiecał mi dawno temu, że zabije każdego, kto spróbuje mnie jeszcze kiedykolwiek skrzywdzić.

- Porozmawiamy od tym, gdy odstawię morfinę - zdecydował Thom i znowu zaczął oglądać telewizję.

Nie mieliśmy o czym rozmawiać. Albo on, albo ja. Teraz wybór był dla mnie oczywisty. Odszukam Jima Beverly'ego i sprawdzę, czy jego obietnica jest nadal aktualna.

CZEŚĆ DRUGA

**DZIEWCZYNA
POZOSTAWIONA
W WIEŻY**

Amarillo, Teksas, 1997

Rozdział 7

Przez trzy dni leżałam w szpitalnym łóżku płasko na plecach, praktycznie w bezruchu, jedynie naciskałam specjalny guzik, by wprowadzić do krwiobiegu morfinę, gdy tylko licznik maszyny dozującej spadał do zera i mogłam sobie zaaplikować kolejną dawkę. Morfina wpływała do mojego organizmu przez wenflon, ale ilekroć naduszałam przycisk, wydawało mi się, że widzę jak narkotyk spada z góry w postaci kojąco białych, lodowatych soplek, które mnie wzmacniały, a jednocześnie otulały niczym koc. Leżałam pod nim nieruchoma, zahibernowana; istota, której zatrzymano tętno, czekająca na reanimację.

Na długo zanim licznik schodził do zera, ból się wyostrzał, a wraz z nim wyostrzała się moja świadomość. W tych chwilach cierpienia i jasności umysłu wiele mnie kosztowało utrzymanie ciała w bezruchu. Chciałam zerwać się z łóżka, wyskoczyć do holu, zbić szkło gabloty, w której tkwiła siekiera przeciwpożarowa, chwycić za drewniany trzonek i porąbać na kawałki krzepkie ciało Thoma, a potem przebić ścianę szpitalnego pokoju i rozpląnąć się w powietrzu niczym drobna, niedoceniana pogańska boginka. Marzyłam o cudownym głuchym odgłosie ostrza wbijającego się w ciało, widoku kawałków poszarpanego mięsa.

Musiałam jednak oszczędzać swój organizm, bo na razie samo oddychanie wywoływało ból. Bieganie i rąbanie siekierą - do diabła, nawet przyjęcie wyprostowanej postawy było absolutnie poza zasięgiem moich możliwości. Zwinięta wpół wlokłam się tylko do toalety i z powrotem. Nie zdołałabym załatwić Thoma - nie ze względów sentymentalnych czy słabości charakteru jak w Wildcat Bluff - ale dlatego, że nie miałam w sobie dość pary. Nawet cała i zdrowa przy wzroście metr pięćdziesiąt dwa nie mogłabym otwarcie go zaatakować. Czekalam więc i gdy tylko maszyna na to pozwalała, pompowałam sobie w żyły morfinę, by trzymać się w ryzach.

Podczas gdy leżałam unieruchomiona przez ból i narkotyk, moje myśli nieustannie krążyły wokół jednego tematu: jak odszukać Jima Beverly'ego?

Nie zastanawiałam się, dlaczego chcę go odnaleźć. Bo doskonale to wiedziałam i rozkoszowałam się swoją mroczną wiedzą, kpiąc jednocześnie z nieszczęsnej Ro Grandee. Ona jeszcze próbowała otaczać mnie swoimi mackami - omotać niewidzialną pajęczyną desperackiej czułości wobec Thoma i powstrzymać od działań, które zamierzałam podjąć. Ale to w końcu Ro - drugiego dnia pobytu w szpitalu - spróbowała się pozbyć tego faceta z naszego życia.

Otępiąła od leków patrzyłam beznamiętnie na szerokie, oddalające się plecy Thoma. W czasie lunchu złożył mi wizytę, teraz musiał wracać do pracy. Szczątki Ro opłakiwały go na tyle, na ile pozwalały jej resztki energii. I nagle usłyszałam, że z moich własnych ust wydobywają się słowa.

- Czas zakończyć nasze małżeństwo, Thom.

Powiedziałam to miękkim głosem Ro, dość cicho, by sam mógł zdecydować, czy chce usłyszeć moje przesłanie, czy nie.

Znalazł się przy mnie w niecałą sekundę, nachylił, oparł wielkie dłonie o poduszkę po obu stronach mojej głowy, naciskając na materac z taką siłą, że kark odchylił mi się do tyłu i musiałam patrzeć mu prosto w twarz. Jeden kącik ust miał opuszczony, jakby właśnie dostał wylewu, a oczy tak zapadnięte, że nie mogłam w nich dojrzeć własnego odbicia.

- Nigdy więcej o czymś podobnym nawet nie pomyślisz - wysyczał. Oderwał jedną dłoń od poduszki, zacisnął ją na mojej szyi i nachylił się jeszcze bardziej, tak że teraz wraz z jego oddechem dobiegał mnie zapach kawy i mleka. - Jesteśmy mężem i żoną. Szybciej cię, kurwa, wykończę, niż pozwolę odejść.

Odepchnął się od poduszki i mojej szyi, po czym przeszedł przez pokój długimi krokami. Karty matki jasno pokazały, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Albo on, albo ja. Pewnego dnia, już całkiem niedługo, nie zapanuje nad swoją furią i mnie zabije. Jeżeli znowu

wcielę się w Ro Grandee, to zostanę przy nim, będę słodko paplać i wynajdować usprawiedliwienia dla nas obojga, aż w końcu zginę.

Słuchałam gniewnych kroków oddalających się korytarzem, a gdy w końcu ucichły, powiedziałam:

- Musisz przeżyć, skarbie.

Była to jasna, głośna deklaracja złożona sobie samej i tej części Ro, która jeszcze pozostała.

Potem patrzyłam na zmieniające się cyfry na liczniku, odmierzające sączący się czas. Kiedy pokazało się zero, nacisnęłam guzik. Przez kilka następnych godzin morfina pozwoliła mi upchnąć ten bałagan, jakim było moje małżeństwo, do pudła i wcisnąć w odległe zakamarki mózgu niczym puzzle, które wtyka się w kąt strychu, bo nie ma się ochoty układać ich do końca. Za to w kółko, z uczuciem tęsknoty, powtarzałam w myślach jedno pytanie. Jak odnaleźć Jima? Nie wybiegałam w swoich rozważaniach ani o krok dalej. Nie zastanawiałam się, jakim człowiekiem jest teraz Jim, jakimi metodami przekonać go do podjęcia działania lub jak zdoła fizycznie zniszczyć Thoma, wyższego o dziesięć centymetrów i cięższego o dziesięć kilogramów od tego Jima, którego po raz ostatni widziałam.

Nie myślałam nawet o tym, co zrobię, gdy już będzie po wszystkim i czy związę się tak czy inaczej z Jimem. Jakoś sobie nie wyobrażałam nas obojga biegnących pod ręce w stronę bladego słońca wschodzącego w pochmurny poranek. Bo tutaj chodziło o określony wybór, a nie romans. Jim był narzędziem, podobnym do rewolweru dziadunia, więc z pewnością znajdę sposób, by go nakierować na cel, kiedy nadejdzie właściwa pora. Broń i mężczyźni - tym zawsze umiałam się najlepiej posługiwać w życiu. Jak na razie broń mnie zawiodła.

Koncentrowałam się więc na sposobie wytropienia chłopaka, który zniknął i tak starannie zatarł po sobie ślady, że nawet pełna poświęcenia matka i cała policja stanowa nie zdołały go odnaleźć. Jim opuścił mnie na zawsze pod koniec maturalnej klasy, w tygodniu, w którym formalnie rzecz biorąc, tymczasowo ze sobą zerwaliśmy. Od owej nocy, gdy wraz z Jimem piliśmy kradzioną whiskey, próbując zrozumieć, co

tak bardzo pociąga w niej mojego ojca, odmawiałam z nim wszelkich kontaktów, jeżeli choćby pociągnął łyk alkoholu. Nie tylko nie chciałam być wówczas jego dziewczyną, ale nawet się nie godziłam na przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu.

Takie okresy wykorzystywał na hulanki, które w Alabamie należały mu się niejako z urzędu, skoro był najlepszym rozgrywającym, prawdziwą gwiazdą drużyny futbolowej. Podejrzewam, że wtedy także bzykał swoją porcję dziewczyn, ale nigdy o to nie pytałam. Pijący Jim nie był tym Jimem, którego pożałowałam, i w takie dni nie należał do mnie.

Swojej ostatniej nocy w Fruiton okropnie się upił na pomeczowej imprezie. Ja wówczas siedziałam w domu i udawałam grzeczną, cichą myszkę, żeby nie rozwścieczyć tatusia. Spodziewałam się, że za dwa, trzy dni Jim stanie w moim progu z zawadiacko przekrzywioną głową i powie: „Hej, Rose-Pop”, jak gdyby nigdy nic się nie stało. A ja odpowiem: „Hej tobie” i będę robić gniewne miny, aż Jim z głupawym wyrazem twarzy zacznie kopać czubkiem trampka w ziemi i mruknie: „Do diabła, Rose, trochę mnie poniosło. Zejdź z tego ganku, daj się zabrać na colę. Albo na piwo imbirowe. Lub kakao. Jakiś bardzo słodki napój najlepiej wyrazi, że bardzo mi przykro”. Ja wówczas potrząsnę głową z miłością pomieszaną z irytacją, zejdem, chwycę go za rękę i będzie po wszystkim. Znowu - jak dawnej - staniemy się nierozłączną parą.

Tymczasem tuż po północy Jim wjechał swoim jeepem w przydrożny ślup, po czym odszedł z miejsca wypadku, zostawiając za sobą wyraźny ślad: pianę z piwa i głębokie odciski stóp, prowadzące do autostrady. Paru przejezdnych widziało, jak próbował złapać stopa - stał z kciukiem skierowanym w stronę przeciwną do naszego miasteczka. I zniknął. Dokonał cudownej, magicznej sztuczki - przede wszystkim moim kosztem.

Nie mogłam zrozumieć, co się stało. Chodziłam po korytarzach Fruiton High niczym wyciągnięty z ziemi kret - nagi, ślepy, niepojmujący otaczającego świata. A potem wyszło na jaw, że Jim miał oblać maturalną klasę i stracić uniwersyteckie stypendium. Został niemal bez niczego, a na dodatek odszedł ode mnie - jedynej istoty, której

mógł być pewien, jedynej, która do niego należała. To było niewybaczalne. Dzień po moich osiemnastych urodzinach zrobiłam to samo, co Jim - tyle, że nie skorzystałam z autostopu, ale greyhounda. Tak czy owak, również zniknęłam i nikt nigdy mnie nie odnalazł.

Gdy leżałam w cudownym świetle o krajobrazie uformowanym przez morfinę, i szukałam ścieżki prowadzącej do Jima, nagle dotarło do mnie, że jednak ktoś zdołał mnie wytropić. Moja matka.

Nasze spotkanie na lotnisku nie było jedynie odrażającym zbiegiem okoliczności. Przyjechała do Amarillo tylko dlatego, że ja tutaj mieszkalam. Przyjechała, żeby mnie obejrzeć. Zapewne siedziała w kawiarni naprzeciwko salonu Grand Guns i obserwowała, jak sprzedaję broń Joego, odwołując się do sutenerskich sztuczek. Lub parkowała na mojej ulicy i, kryjąc się w wynajętym samochodzie, patrzyła, jak przekopuję ogródek. Niewykluczone, że od lat pielgrzymowała do Amarillo. Teraz nie sposób to stwierdzić. Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości: wiedziała, że jestem w tym mieście na długo przed naszym spotkaniem na lotnisku. Ranczo Cadillaców było tego najlepszym dowodem. Zostawiła tam dla mnie wiadomość, zanim nasze spojrzenia skrzyżowały się w terminalu lotniska.

Naprawdę cię kochałam, Rose. Módl się do świętej Cecylii!

Zostawiła tę inwokację do ulubionej świętej i przesłanie mające uciszyć jej wyrzuty sumienia w miejscu, którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy bym nie odwiedziła. Ale przyjeżdżając do Amarillo, dała drobną szansę któremuś z pomniejszych świętych na zorganizowanie przypadkowego spotkania, a także doprowadzenie mnie do graffiti. Zapewne ów święty tkwił u mojego boku, delikatnie szarpał mnie za ramię, żebym w odpowiednim czasie trafiła na lotnisko i zdążyła spotkać matkę, zanim mnie ponownie porzuciła.

Teraz jednak tylko jedno miało znaczenie - jak zdołała mnie odnaleźć. Bo jeżeli ja zostałam wytropiona, to znaczy, że miałam szansę odszukać Jima Beverly'ego.

Dziura w płucu przebitym przez złamane żebro powoli się zasklepiała. Zostałam odłączona od swojego wspianiałego dozownika morfiny

i rozpoczęłam nowy, o wiele mniej intensywny romans z percocetem. Wciąż czułam się marnie, ale mogłam już oddychać, więc zostałam wypisana ze szpitala.

Thom wiozł mnie do domu obłożoną poduszkami i bardzo delikatnie brał wszystkie zakręty. Gdy już dojechaliśmy na miejsce, podał mi ramię: oparłam się na nim jak na drążku baletowym, kiedy przechodziliśmy od samochodu do sypialni. Przeczłapałam przez hol niczym sterana życiem staruszka, starając się nie urazić żadnego z bolących miejsc. Miałam teraz tak mało sprawnie funkcjonujących części ciała, że musiałam akceptować uprzejme gesty Thoma.

Pomógł mi wyciągnąć się na łóżku, przetrzepał poduszki i ułożył je wysoko, żebym mogła oglądać telewizję, jeżeli będę miała na to ochotę. Podał mi pilota, książkę, którą czytałam, zanim wylądowałam w szpitalu, a także kubek chłodnej wody z kranu do popicia kolejnej pigułki. Wyciągnął rękę i chciał odgarnąć mi włosy z twarzy, ale coś w moim spojrzeniu go powstrzymało. Cofnął dłoń. Mądre posunięcie.

- Zadzwońię do taty, powiem, że jeszcze nie jesteś w najlepszej formie. Kelsey weźmie twoje zmiany w tym tygodniu - powiedział słodkim głosem. Traktował mnie jak łatwo tłukący się przedmiot, a więc zupełnie inaczej, niż się traktuje coś, co samemu można roztrzaskać.

Leżałam w naszym wspólnym łóżku i czułam się jak wydrążona w środku kłoda, w której mogą się zalęgnąć pająki i wiewiórki. Ale lgnęła do mnie jedynie Gretel - kładła się przy moich łydkach, emanowała kojącym ciepłem i była wierną współtowarzyszką rozlicznych drzemek. Co rano Thom przynosił mi gorącą owsiankę i jajecnicę, a wieczorami serwował zupę z puszki z krakersami oraz plasterki melona. Jedzenie dla rekonwalescentów z percocetem na deser. Jadłam to wszystko, nawet nie próbując wyczuć smaku; z każdą długą sekundą moje ciało zdrowiało, natomiast umysł koncentrował się na jednej myśli: jakim cudem mojej matce udało się mnie odnaleźć, chociaż z premedytacją postanowiłam zostać na zawsze zaginiona?

Kiedy Thom kładł się spać, leżeliśmy po swoich stronach łóżka, oboje sztywno na plecach. Moja oziębłość była równie skuteczną barierą między nami jak purytańska bariera z poduszek. Ale przed upływem czwartej nocy wydobrałam na tyle, że ból mnie nie obudził, gdy się obracałam na boki. A kiedy spałam, Ro Grandee podstępnie mnie podeszła - zaczęła poszukiwać męża i jego ciepła. Przygarnął ją od razu do siebie - jak zwykle. Obudziliśmy się twarzą w twarz, splątani w uścisku. Natychmiast się od niego odsunęłam, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem. Nie próbował protestować.

W tych dniach ze strony Thoma nie groziło mi niebezpieczeństwo. Był nadal zawstydzony i potulny, ociekał słodyczą i delikatnie obchodził się z moim ciałem, swoją ulubioną zabawką. Dbał o to, by jak najszybciej się wygoiło i było gotowe do następnych ostrych gier. O tak, teraz w jego obecności czułam się bezpieczna; obecnie to Ro Grandee stanowiła największe zagrożenie.

Znalazłam się z powrotem w jej domu, pod jej błękitną jak ocean koldrą, miałam na sobie jej półprzezroczyste peniuary, w kuchni stała porcelana w wybranym przez nią wzorze, a powietrze w łazience było permanentnie skażone delikatnym zapachem jej lekkich perfum. Przez lata żyłam w jej - jakże dobrze mi znanej - skórce, aż w końcu stałam się nią i zostałam pozbawiona wszelkiego wyboru. Ale jeżeli teraz pozwolę, by zawładnęła mną na nowo, będzie to równoznaczne z samobójstwem, a więc śmiertelnym grzechem. Leki, które w szpitalu pozwalały mi nad sobą zapanować, obecnie usypiały moją czujność na terytorium Ro. Czułam, jak powoli na mnie wpełza, zaczyna mnie porastać niczym trujący grzyb. Do tego nie mogłam dopuścić.

Kiedy Thom przyniósł mi śniadanie na tacy, oddałam mu percocet i powiedziałam:

- Czy mógłbyś mi przynieść dwa... nie, trzy ibuprofeny? I do tego wielki kubek kawy?

Wypiłam kawę do ostatniej kropli i zjadłam jajka z serem do ostatniego kęsa. Thom poszedł do pracy, a wówczas poczułam, że się budzę, budzę się naprawdę, jakby resztki pigułki wziętej poprzedniego

wieczoru zostały wyplukane z moich żył i zastąpione przez kofeinę. Przede wszystkim zdałam sobie sprawę, że jestem cuchnąca, pokryta woskowatym potem. Moje włosy były tłuste i bez życia. Zwlokłam się z łóżka, stanęłam pod prysznicem i szorowałam się tak mocno, jakbym zamierzała zetrzeć z siebie skórę. Rozkręciłam kran z gorącą wodą. Kiedy wyszłam, byłam czerwona pod blednącymi sińcami.

Otworzyłam drzwi szafy i ujrzałam kloszowe spódniczki Ro - wszystkie w wiosennych kolorach. Do tego słodkie baleriny z kokardkami, sprzączkami oraz haftowane w stokrotki i obcisłe, lekkie sweterki, wszystkie z długimi rękawami. Zamknęłam szafę z trzaskiem. Te ubrania wydały mi się nagle odrażające, jakby je uszyto z ludzkiej skóry. Podeszłam do komody i wygrzebałam z dna szuflady wysłużony T-shirt oraz parę starych lewisów, które normalnie nosiłam tylko podczas generalnych porządków.

Dżinsy były jasnoniebieskie, bardzo sprane i dlatego wyjątkowo miękkie, nieurazające posiniaczonych miejsc. Ze sposobu, w jaki na mnie leżały, wywnioskowałam, że solidnie wychudłam. Choć z każdym rozciągnięciem mięśni czułam ból w piersi, byłam jednak gotowa do działania. A raczej prawie byłam - przeszkadzały mi mokre, ciężkie włosy, boleśnie obciążające poharataną skórę głowy. Wysuszyłam je strumieniem chłodnego powietrza i spłotłam w warkocz. Chociaż był bardzo luźny, miałam wrażenie, że został przyczepiony do mojej głowy ostrymi hakami. Przerzuciłam go przez ramię; sięgał poniżej piersi - ciężki i obcy.

Nie chciałam, żeby mnie dotykał. Nie chciałam mieć kontaktu z czymkolwiek, co należało do Ro, a długie włosy, które mój mąż tak kochał, stanowiły kwintesencję jej paskudnego stylu.

Pomaszerowałam do kuchni i z bloku noży, stojącego na blacie, wyszarpnęłam nożyce do rozcinięcia drobiu. Byłam pewna, że odetnę warkocz jednym, zamasztywym ciachnięciem, ale okazał się zbyt gruby. Musiałam nieźle się namęczyć i piłować włosy ostrzami, zanim w końcu ześliznął mi się po plecach i spadł na podłogę. Moja głowa stała się nagle tak cudownie lekka, że aż mnie oszołomiło.

Spleciony warkocz przypominał długie, błyszczące zwierzę, zwinęte u mych stóp. Miał prawie czterdzieści centymetrów długości i był tak gruby, że nie objęłabym go dłonią. Popatrzyłam na niego bez cienia żalu, bez żadnych emocji. W moich oczach był jedynie ciemną linią, na której Thom z pewnością już nigdy mnie nie powiesi.

Chwyciłam warkocz i wróciłam do łazienki. Chyba chciałam go wyrzucić do kosza, ale pochwyciłam własne odbicie w lustrze i stanęłam jak wryta. Byłam co najmniej pięć kilo za chuda i bledsza od płótna. Urzęnięte włosy zwisały poszarpanymi pasmami, dłuższymi z prawej niż z lewej strony. W moim spojrzeniu czaiło się czyste szaleństwo. Po raz pierwszy raz od wielu lat stałam twarzą w twarz z Rose Mae Lolley. Nawet miałam na sobie jej ubrania, tak sprane i znoszone, że równie dobrze mogłyby zostać wyciągnięte z kościelnego pudła z darami. Byłam zmrożona emocjonalnie, drapieżna, co uwidoczniło się na mojej twarzy. Całą swoją postawą wyrażałam: nie spodziewajcie się po mnie niczego dobrego.

Przez lata Rose Mae Lolley pojawiała się tylko w krótkich przełyśkach - jak ostatnio w Wildcat Bluff. Nie miałam jednak wątpliwości, że twarz, którą miałam przed sobą w lustrze, była twarzą, jaką zobaczył Jim Beverly, gdy się upiliśmy i biegaliśmy po lesie, łamiąc gałęzie paproci i krzewów niczym małe kosteczki. Thom również znał tę twarz. Odbiła się w jego oczach tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy w Duff's Diner, gdzie smażyłam jajka sadzone i ziemniaki z peklowaną wołowiną. Naplułam do kakao jego dziewczyny, bo w innym wypadku musiałabym poparzyć jej twarz wrzącą kawą. Wiedział, na kogo się decyduje, podobnie jak ja. Co nie zmienia faktu, że Rose Mae tylko okazjonalnie i na krótką chwilę wychylała się ze swojej wygodnej kryjówki.

Teraz w lustrze byłam równie brzydka i opalizująca, jak wyciągnięty za skorupy krab pustelnik; tak samo wystawiona na działanie żywiołów. Jeszcze nigdy przedtem ani nigdy potem nie czułam się równie boleśnie obnażona.

Kiedy Jim mnie opuścił, miałam wrażenie, że zdarł ze mnie skórę i zabrał ze sobą na autostradę. Nawet powietrze paliło mnie żywym

ogniem. Snułam się po korytarzach szkoły odurzona wściekłością i poczuciem niewyobrażalnej straty. Nauka przestała mnie interesować. Gdy rozdano końcowe testy, przesiadywałam nad nimi bezmyślnie, nawet nie unosząc ołówka. Byłam istotą z żywym mięsem na wierzchu, oślepianą słońcem. W dniu immatrykulacji zostałam w domu, wiedziałam, że zawałam szkołę, ale wcale mnie to nie obchodziło. W domu przesiadywałam też całe lato, jakbym odbywała karę więzienia.

Myślałam, że Jim się odezwie w moje urodziny. Tylko ta myśl trzymała mnie na powierzchni. On zadzwoni. Wyjawi mi - i tylko mnie - gdzie się znajduje. Powie, że jedynie czekał, aż skończę osiemnaście lat, by nie poszukiwały nas żadne władze.

Nadszedł dzień moich urodzin, telefon nie zadzwonił. A potem ojciec mnie pobił za ciężką zbrodnię: wyjście do kuchni bez słowa, gdy wydawało mu się, że może będzie miał ochotę coś mi powiedzieć. Trzasnął mnie pięścią w nerki. Leżałam na podłodze i wreszcie zrozumiałam, że Jim mnie nie ocali. Jeżeli zostanę w Fruiton, tak właśnie będzie wyglądać moje życie. Nie czekało mnie nic lepszego. Spod pięści mojego ojca nie wyjdzie wartościowa, zreformowana dziewczyna.

Spakowałam torbę i przedrzemałam kilka godzin, do otwarcia dworca autobusowego. Tatuś leżał spity na kanapie, jego bose stopy zwisały z krawędzi niczym u psa i podrygiwały, jakby gonił króliki czy może niegrzeczne córki. Miałam trochę zaoszczędzonych pieniędzy, ale zdecydowałam, że zadam ojcu ostateczny cios i zabiorę dziewięć dolców z portfela oraz uswięconego „dwudziestaka na whiskey”, którego trzymał na nocnej szafce, żeby go ratował w nagłej potrzebie.

Opróżniłam też lodówkę - wzięłam potrawkę z tuńczykiem i opakowanie makaronu z serem. Tylko gdy zabraknie mu żarcia do mikrofalówki, zorientuje się, że mnie nie ma. To, co było w lodówce, mogło mu wystarczyć na parę dni. Chciałam, żeby wcześniej połapał się w sytuacji.

Nad kanapą, na której zalegał ojciec, wisiał obraz przedstawiający statki w porcie. Należał do mojej matki. Gdy byłam mała, roilałam sobie,

że mama wniknęła do obrazu, wsiadła na jeden ze statków i odpłynęła do pięknego miejsca, a ja pewnego dnia będę mogła za nią podążyć jak Lucy i Edmund, którzy przez wymalowane fale oceanu powrócili do Narnii. Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że matka opuściła nas z rozmysłem i po prostu wyszła przez frontowe drzwi. Postanowiłam pójść w jej ślady.

Spojrzałam na obraz, na ciemnoniebieskie fale wiszące nad głową ojca. Przyszedł mi na myśl kanister z benzyną stojący w garażowej szopie - wyobraziłam sobie chlupoczący odgłos, jaki z siebie wyda, gdy go podniosę i przytargam do tego pokoju. Był przynajmniej do połowy pełny, ponieważ tatuś nigdy nie tankował kosiarki. W tej godzinie przedświt w naszym małym, ceglany domku panował chłód. Ognisko wydawało się całkiem na miejscu.

Jednak zamiast do szopy, poszłam do sypialni ojca i ukradłam mu broń. Wzięłam kolta dziadunia dla własnej ochrony, ale także by ukarać tatusia, bo to była jedyna pamiątka, jaka pozostała mu po dziadku. Zabrałam też dwa nowsze pistolety z myślą, że je sprzedam; uznałam, że to należy mi się. Chętnie podwinęłabym i sztucer na jelenie, ale niestety nie mieścił się w mojej torbie.

Na koniec wyjęłam z pudełka z zabawkami wyłysiały pędzelek. Chwyciłam kubek z kuchni, weszłam do ogródka sąsiadów i nabrałam hojną porcję psiego gówna, wyciekającego z septycznego zbiornika. Wróciłam z tym wszystkim do pokoju i na obrazie wymalowałam „Pa, palancie”. Statki i doki były w różnych odcieniach brązu, a wzburzone morze niemal granatowe, więc napis nie rzucał się w oczy. Ciekawiło mnie, jak długo ojciec będzie kręcił się po domu - skacowany, krztuszący się od smrodu - obwąchiwał buty i kłął w żywy kamień, zanim odkryje mój pożegnalny liścik.

Wziąwszy pod uwagę fakt, że leżał zalany do nieprzytomności, że miałam odbitą nerkę i dwa naładowane pistolety, a do tego byłam rozjechana psychicznie, miał dużo szczęścia, że nic więcej nie zrobiłam. Gdyby wówczas się obudził, gdyby choć uniósł powiekę, bez wątpienia zobaczyłby twarz, która teraz wзираła na mnie z lustra. A gdyby

powiedział jakieś złe słowo, to jedno jest pewne - tak pewne, jak to, że Bóg stworzył niebo i ziemię - podziurawiłabym go kulami.

Wyciągnęłam rękę, po czym z niedowierzaniem dotknęłam lustra. Dziewczyna po drugiej stronie zrobiła to samo i nasze dłonie się zetknęły koniuszkami palców. Lustro nie kłamało, pokazywało prawdziwy obraz. Uświadomiło mi, że ją - mnie - zbyt łatwo rozszyfrować. Potrzebowałam kamuflażu.

Ze słodkiej, pastelowej torebki Ro wygrzebałam klucze do buicka. Wciąż ściskając w rękę warkocz, pojechałam do centrum, do miejsca o nazwie „Artisan - Salon Fryzjerski i Spa”. Wiedziałam, że Charlotte zostawia u nich niezłą fortunę za szorowanie pięt i pokrywanie siwych odrostów. Moja noga nigdy wcześniej tam nie powstała. Oszczędna Ro podcinała rozdwojone końcówki w tandetnej budzie za jedyne osiem dolców, a pedikiur robiła sobie sama w domu. Nie było mnie stać na salon Artisan, ale jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, bym zrozumiała, że fałszywy uśmiech i odrobina błyszczycy na ustach nie ukryją nawet połowy moich grzechów. A więc do diabła z kosztami; Thom był mi to winien - to i wiele, wiele więcej. Do jasnej cholery, cała rodzina Grandeech miała u mnie dług. Okrążałam niewielkie kwartały Amarillo, aż w końcu znalazłam miejsce parkingowe, które mogło pomieścić mojego wiekowego gruchota.

Weszłam do ultramodnej recepcji. Siedziała tam jedynie platynowa, wyniosła blondynka, czekając na odświeżenie białych tipsów. Na mój widok wstrzymała oddech i szybko odwróciła głowę. Jedna wymanikiurowana dłoń odruchowo dotknęła jasnych loków, jakby kobieta się obawiała, że to, co mi się przytrafiło, może być zaraźliwe.

Ignorując ją całkowicie, zwróciłam się do młodego człowieka usadowionego za zielonym kontuarem.

- Czy przyjmujecie klientki z ulicy?

Podniósł wzrok i usta już mu się układały w słowo „nie”, ale na mój widok jego wargi zastygły w bezruchu, układając się w całusny dzióbek. Wciąż miałam przy sobie warkocz, owinięty wokół nadgarstka; teraz go odwinęłam i pozwoliłam, by zwisnął swobodnie.

Mężczyzna wypuścił gwałtownie powietrze z płuc, aż po recepcji poniósł się głośny świst.

- Co też najlepszego zrobiłaś, skarbie? - Zdawał się szczerze przeżony.

- Przyszedł mi do głowy kiepski pomysł.

- Oj, rzeczywiście - zgodził się ze mną skwapliwie.

Przywykłam do tego, że mężczyźni się na mnie gapią, ale zdecydowanie nie takim wzrokiem. Poczułam, jak marszczy mi się czoło, a powieki zaczynają mrugać gwałtownie.

- Ostatnio rzadko wychodzę z domu. Nie miałam... - Przełknęłam nadmiar śliny tak głośno, że zabrzmiało to jak siorbnięcie, po czym znowu otworzyłam usta. - Mój mąż zmarł. Całkiem niedawno.

Ledwo wypowiedziałam te słowa, musiałam bardzo ze sobą walczyć, żeby nie uśmiechnąć się promiennie, co w zaistniałej sytuacji byłoby raczej nie na miejscu.

Przez tydzień spędzony w łóżku wcale nie układałam słodkich, disneyowskich piosenek o świecie, w którym nie ma już Thoma Grandeeego. Koncentrowałam się tylko na jednym problemie: jak odnaleźć Jima. Testowanie wdowieństwa na tym opalonym recepcjoniście o wyglądzie młodego bożka miało na celu głośne wyartykułowanie prawdziwej przyczyny, dla której postanowiłam odszukać swoją utraconą miłość. Brawura tego posunięcia sprawiła mi nieklamana, grzeszną przyjemność. To było potwierdzenie decyzji podjętej dawno temu, na lotnisku. Może nawet nie przeze mnie, lecz przez jakieś inne siły.

- Bez wątpienia mamy tu do czynienia z nagłym przypadkiem - zawyrokował recepcjonista. Jego orzechowe oczy były duże i dość okrągłe, ale o opadających kącikach, sprawiających, że wyglądał na bardziej zasmuconego, niż był w istocie. - Zaraz sprawdzę, co mogę dla ciebie zrobić, złotko.

- Rxy, dzisiaj naprawdę mi się spieszy... - wtrąciła blondynka, posyłając mi krzywe spojrzenie spod rzęs. W taki sposób mógłby patrzeć na bezdomnego łachmaniarza lub bezpańskiego psa doskonale

odżywiony człowiek, posilający się właśnie wytworną kanapką z zimną jagnięciną.

- Faye zajmie się tobą za pięć minut, Sheilo. Może nawet za cztery - zapewnił Roxy. Po czym zwrócił się w moją stronę i oznajmił, zapewne głównie na użytek blondynki: - Natomiast twój przypadek, moja droga, jest absolutnie ponad siły Faye. Czegoś podobnego z pewnością by nie udźwignęła. Zdecydowanie przekroczyłaś granicę, pozostawiając krainę Faye daleko za sobą. Teraz tylko Peter może ci pomóc. Sprawdzę, czy jest wolny

Blondynka uniosła wysoko brwi, po czym zlustrowała mnie od stóp do głów; w oczywisty sposób próbowała odgadnąć, dlaczego Rexy uznał, że zasługuję na podobny przywilej. Odwzajemniłam jej spojrzenie - dolna warga drżała mi lekko, a oczy stały się wielkie i żalodne, jak u tych sierot, które prezentowano na plakatach organizacji charytatywnych. Kobieta pierwsza zrejterowała i spuściła powieki. Chwyliła ilustrowany magazyn ze stolika i przysunęła go do twarzy, odgradzając się ode mnie wysokim murem, którego nie mogłabym przeskoczyć. „Architectural Digest”. Charlotte Grandee prenumerowała ten szpannerski miesięcznik. Nagle dotarło do mnie, że blondynka najprawdopodobniej zna Charlotte. Bez wątpienia należały do tego samego gatunku, no i ostatecznie było to spa mojej teściowej.

Wcale się tym jednak nie przejęłam. W tej chwili w niczym nie przypominałam uroczej Ro Grandee ze ślubnego zdjęcia, stojącego w domu Charlotte, a młody bożek szczęśliwie nie poprosił mnie o podanie nazwiska. Gdybym jednak choć szepnęła „Grandee”, ta blondynka bez wątpienia zadzwoniłaby do mojej teściowej, jak tylko zniknęłabym z jej pola widzenia. Byłaby zachwycona, donosząc Charlotte, że jej wywodząca się z alabamskiej hołoty synowa wdarła się do Artisan, biorąc recepcjonistę na litość - podając się za świeżo upieczoną wdowę. Prawdę powiedziawszy, to mógł być niezły ubaw, ale wolałam nie kusić losu: lepiej, żeby matka Thoma nie usłyszała o fikcyjnym uśmierceniu jej pierworodnego, zanim tej fikcji nie zmienię w rzeczywistość.

Rexy zjawił się z powrotem w recepcji i kiwnął na mnie dłonią.

- Chodź ze mną, skarbie.

Blondynka sapnęła ze złością, a Rexy wyszczerzył do niej w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

- Faye przyjdzie po ciebie za parę sekund, Sheilo. Obiecała.

Podążyłam za nim przez łukowate wejście do długiego, ciemnozielonego holu, oświetlonego ściennymi kinkietami. Po obu stronach znajdowały się drzwi, niektóre zamknięte, opatrzone napisami w rodzaju: „Ciii... trwa masaż!” lub „Sala Aromaterapii”.

- Przykro mi z powodu... - zaczęłam szeptem.

- Sheili? - wszedł mi w słowo Rexy. - E, tam. Farbowane blondyny po czterdziestce o wiele bardziej potrzebują nas niż my ich, wierzy mi, złotko. Jej wygląd to w sześćdziesięciu procentach szpachlówka.

Parsknęłam śmiechem, myśląc jednocześnie o tym, jak miło plotkować z ludźmi, pochodzącymi z tego samego świata. Jak miło obgadywać outsiderów. I nagle do mnie dotarło, że właśnie w taki sposób odnalazła mnie matka. Popytała wśród ludzi, którzy czuli z nią powinowactwo.

Fruition to w gruncie rzeczy mała dziura, więc jeżeli choć jedna osoba widziała, jak o świcie zasuwam z torbą na przystanek greyhoundów - umykam od resztek mojego dotychczasowego życia - to wkrótce dowiedziało się o tym całe miasto. Odpowiedni ludzie, zagadnięci przez moją matkę, z największą ochotą udzieliliby jej wyczerpujących informacji.

Przeszłam z Reksym na sam koniec holu i znalazłam się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, pomalowanym za to na ciemniejszy zielony kolor. Znajdowała się tutaj błyszcząca umywalka oraz wysmukły, fryzjerski fotel. Rexy przedstawił mnie niskiemu, szczupłemu mężczyźnie, który wydawał się zbyt młody jak na mistrza grzebienia i nożyczek.

- Oto Peter. Zostawiam cię w jego kompetentnych rękach.

Peter odznaczał się przede wszystkim artystyczną szopą włosów w rozmaitych odcieniach złota. Ale kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że ma również siatkę drobnych zmarszczek wokół oczu i dwie

bruzdy wzdłuż kącików ust, a więc w rzeczywistości musiał być dobrze po trzydziestce.

Spojrzał na mnie, pocmokał z zafascynowaniem, po czym rzucił w stronę oddalających się pleców Rexy'ego.

- Wcale nie przesadziłeś.

Zaczął obchodzić mnie dookoła, a potem chwycił za warkocz, który trzymałam na wysokości pasa. Uniósł go, nie wyjmując mi z ręki, i oszacował wagę. Wypuścił warkocz równie niespodziewanie, jak chwycił, po czym dotknął poszarpanych końców moich włosów, muskając mnie przy tym palcami po policzku. Odruchowo nachyliłam się w jego stronę, niczym beznamiętny kot złąkniony pieszczot.

- Biedactwo - odezwał się Peter. - Czego sobie życzysz?

Zatkało mnie, bo po prostu nie miałam pojęcia. Wiedziałam jedynie, czego nie chciałam.

- Nie mogę tak wyglądać - odparłam.

- Rzeczywiście. W Ameryce to niedopuszczalne - zgodził się ze mną niezwykle uroczystym tonem, co mnie rozśmieszyło.

Potem wskazał na umywalkę. Usiadłam, odchyliłam się do tyłu, oparłam o chłodny rant, a Peter zaczął myć to, co pozostało mi na głowie. Jego palce energicznie masowały obolałą skórę głowy.

- Więc nie chcesz wyglądać tak jak teraz. To mało precyzyjna wskazówka, nie sądzisz? - oznajmił Peter, sięgając po butelkę z odżywką. - Może więc mi powiesz, jak według siebie wyglądasz, a ja zrobię coś dokładnie odwrotnego.

- Odarta ze skóry - mruknęłam.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Mówiłem o włosach.

- Są beznadziejne. Wyrażają gniew.

- Tak... są nieco nastroszone - przyznał z uśmiechem. A potem wzruszył ramionami i oświadczył z niezachwianą pewnością siebie: - Cokolwiek nawyczyniałaś, jestem w stanie to naprawić.

Uwierzyłam mu bez zastrzeżeń. Tym swoim niskim, uwodzicielskim głosem, mógł powiedzieć wszystko i większość ludzi, by mu

uwierzyła. Zaczął wcierać w moje włosy gęsty krem o zapachu gardenii; z lubością zamknęłam oczy i pograżyłam się we własnych myślach.

A więc matka mieszkała w Kalifornii. Teraz w moich wyobrażeniach to było jej terytorium: oczyma duszy widziałam, jak przemieszcza się po całym stanie i uszczelnia granice, żeby nic tam nie mogło przeniknąć z jej poprzedniego życia. Chociaż mnie tropiła, z pewnością nie zawitała z powrotem w Fruiton. Już wyprawa do Teksasu - leżącego w połowie drogi między Kalifornią a Alabamą - musiała być dla niej ciężkim przeżyciem. A więc na pewno zadzwoniła do jakichś ludzi z naszego miasteczka. Ludzi jej pokroju, z jej plemienia. Co prawda katolicy to rzadka nacja na Południu, za to od beznadziejnych matek roilo się w każdym miejscu na świecie.

Jedna z nich musiała rozpuścić język, powiedzieć, że wsiadłam do jednego z greyhoundów. W każdym gównianym miasteczku, w którym się zatrzymywałam, pracowałam jako kelnerka w knajpie leżącej nieopodal przystanku autobusowego. Matka mnie wytropiła, śledząc trasę greyhoundów i w taki oto sposób trafiła w końcu do Amarillo. I w tym celu wcale nie musiała się ruszać ze swojego terytorium.

W taki sam sposób odnajdę Jima. Podzwonię po ludziach, z którymi chodziłam do szkoły, a oni chętnie ze mną pogadają, bo byłam jedną z nich. Powiedzą mi o wiele więcej niż przedtem policji czy rodzicom. Bo gdyby się wygadali przed gliniarzami lub starymi, w swoim pojęciu zdradziliby Jima, który najwyraźniej nie chciał zostać odnaleziony. W moim wypadku takie poczucie im nie groziło.

- Teraz się przespacerujemy - dobiegł mnie głos Petera.

Drgnęłam gwałtownie i otworzyłam oczy Wstałam; Peter udrapował ręczniki na moich ramionach, a potem okrył je jeszcze gładkim, czarnym poncho. Gdy prowadził mnie na drugi koniec sali, przerzuciłam warkocz przez rękę i zaczęłam poszukiwać w torebce długopisu oraz kawałka papieru. Musiałam sporządzić listę osób z Fruiton, które chętnie poplotkują, podziela się informacjami.

Peter usadził mnie na fryzjerskim fotelu. Skóra była miękka niczym masło, siedzenie objęło mój tyłek delikatnie jak najczulszy

kochanek, a oparcie przebijało wygodą wszystkie poduszki leżące na moim łóżku. Charlotte Grandee przywykła do zatapiańcia swoich kościstych pośladków w podobnych fotelach. Dzięki Artisanowi pozna- wałam styl życia, jaki ona uznawała za z góry jej należny. Rozsiadłam się wygodnie i zrobiłam taką minę, jakbym się urodziła w tym komfor- towym fotelu i nigdy się z niego nie ruszała.

Peter wziął do ręki cienkie, srebrzyste nożyczki, a potem zaczął raz jeszcze obchodzić mnie dookoła i studiować moją twarz pod różnymi kątami.

Ja tymczasem położyłam świstek papieru na torebce i napisałam na górze OSTATNIA IMPREZA. Jako pierwszą umieściłam na liście Missy Carver, ponieważ balanga odbywała się u niej w domu. Jej matka była rozwódką, bez przerwy chodziła na randki, więc Missy zazwy- czaj spraszala wszystkich do siebie.

- Jestem gotowy. A ty? - zapytał Peter. W jego tonie pobrzmiwała lekko lubieżna nuta, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że moja osza- lamiająca uroda jest kusząca, jednak on jest na tyle zdeklarowanym ge- jem, że nie stanowi żadnego zagrożenia.

- Do diabła, pewnie, że jestem.

Bogate mężatki płaciły między innymi za taki bezpieczny flirt, dzięki któremu nabierały przekonania, że wciąż jeszcze są seksowne.

- Nic nie zasugerujesz? Za chwilę wprawię w ruch swoje nożycz- ki, skarbie. Czy jesteś gotowa powiedzieć: Zaszalej, Peterze, uczyni za mnie boginię?

- Brzmi fantastycznie - uznałam. - Szczególnie ten kawałek o bo- gini.

Peter wziął się do pracy. Ostrza nożyczek tarły o siebie z chrzęstem przypominającym cykanie świerszczy. Nie patrzyłam na to, co robi. W ogóle na niego nie patrzyłam, on zaś najwyraźniej uznał, że skoń- czyłam z grzecznościowymi rozmowami, bo pozostał milczący

Poniżej Missy zaczęłam wpisywać zawodników drużyny futbolo- wej, którzy chodzili do naszej klasy. Oni z pewnością byli na tej im- prezie. Z wymienieniem ich nie miałam najmniejszych problemów:

Rob Shay, Chuck Presley, Benny Garrison, Car Kaylor, Lawly Price. W tamtych czasach zawsze zwracaliśmy się do zawodników pełnym imieniem i nazwiskiem, jakby byli gwiazdami rocka, a nie chłopakami, których znaliśmy od podstawówki.

Podniosłam wzrok, wygrzebując z pamięci kolejne nazwiska i moje spojrzenie przypadkowo spotkało się w lustrze ze spojrzeniem Petera.

- Potencjalni boyfriendzi? - zapytał natychmiast, zerkając na mój spis.

- Lista gości - odparłam. - Organizuję przyjęcie.

- Mnóstwo chłopaków. To coś w sam raz dla mnie - zauważył, żartobliwie poruszając brwiami.

Z rozmysłem odwróciłam wzrok. Z przypomnieniem sobie imion dziewczyn szło mi o wiele gorzej. W szkole nie miałam żadnej przyjaciółki. Do diabła, nie miałam jej do dzisiaj. Zaprzyjaźnianie się z kobietami nie weszło mi w krew. Częściowo wynikało to z faktu, że niemal cała moja garderoba pochodziła z dorocznej zbiórki charytatywnej kościoła baptystów. Wymuskane panny rozpoznawały swoje dawne ubrania, a niektóre z nich były na tyle wredne, że publicznie witały się z nimi wylewnie jak ze starymi przyjaciółmi. Gdybym nie była dziewczyną pierwszego rozgrywającego, żadna z nich w życiu nie otworzyłaby do mnie ust. Zresztą tak naprawdę nie potrzebowałam dziewczyn. Uroda była dla mnie przepustką do świata facetów, oni jednak nigdy nie uważali, że należę do ICH plemienia.

Peter przyglądał mi się uważnie, gdy dodawałam do listy nazwiska dziewczyn, z którymi prowadzał się Jim Beverly, gdy zrywaliśmy ze sobą na krótką chwilę, co następowało dwa lub trzy razy do roku. Pisałam szybko, choć moja dłoń z trudem się zmuszała do stawiania liter. Nazwiska wszystkich siedmiu pańien pamiętałam doskonale, bo kiedy przez tych kilka dni były z Jimem, nieustannie powtarzałam pod nosem: Mam nadzieję, że zginiesz pod kołami samochodu, Dawno Sutton. Mam nadzieję, że pożrą cię niedźwiedzie, Louiso Graham. Mam nadzieję, że zginiesz pod kołami samochodu, Clarice Lukey, a potem zostaniesz pożarta przez niedźwiedzie.

- Wciąż zdecydowana przewaga mężczyzn - zauważył Peter. - I czemu nie? Ostatecznie wianuszek facetów lepiej podziela na twoją cerę niż jakikolwiek produkt, który bym w nią wklepał.

Uniósł zawadiacko brew, jednak mnie nie było równie łatwo oczarować, jak odwiedzające go regularnie Charlotty czy Sheile.

- Przestań prosię - powiedziałam najłagodniej jak umiałam.

- Wybacz. Jestem koszmarem - powiedział, ale jego ton nie był przeproszający, lecz pełen samozachwytu. Zebrał pasmo włosów z mojego czoła i upiął na czubku głowy - Twoje usta mówią „przestań”, ale twoje oczy zdradzają, że już prawie się we mnie zakochałaś. Wyraźnie widzę, że należysz do dziewczyn, które lubią niegrzecznych chłopców.

Ledwo wspomniał o niegrzecznych chłopcach, a nasze oczy ponownie spotkały się w lustrze. Ale teraz patrzyłam tak, jakbym mierzyła do niego ze sztucera, obserwowała jego przystojną twarz przez soczewkę celownika. Nie należałam do tego gatunku, co Charlotte, i w tym momencie Peter wreszcie to zrozumiał.

- Złotko, nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo - powiedziałam dobitnie, by każde słowo dobrze do niego dotarło.

Widziałam, że zaczyna pojmować, z kim naprawdę ma do czynienia, i zrzuca maskę hiperczarusa. Odkoczył ode mnie, jakby wąż go ukąsił. A potem odkaslnął, wzruszył ramionami i znowu zajął się moimi włosami. Dokończyłam swoją listę w ciszy, w której jednak nie było wrogości. Poczułam się wreszcie swobodnie - po raz pierwszy od chwili, gdy Sheila zlustrowała mnie wzrokiem wrednej zdziry.

Kiedy Peter w końcu odezwał się ponownie, w jego głosie nie było już żadnych uwodzicielskich tonów Porzucił pozę hollywoodzkiego geja-flirciarza, za to stał się bardziej ludzki i ciepły

- Co zamierzasz zrobić z tym długim warkoczem ze swoich włosów?

- Sama nie wiem. - Schowałam listę i długopis z powrotem do torebki. - Może linę okrętową?

- Są dziewczycze?

- Dziewicze? - Uśmiechnęłam się, po czym odparłam: - Przez pięć lat byłam mężatką, a więc z pewnością widziały to i owo.

Peter zaśmiał się pod nosem.

- Uff, co za ulga, że moje włosy nie mogą mówić. Ale żarty na bok. Tak naprawdę chodziło mi o to, czy używałaś jakichś preparatów chemicznych do ich prostowania lub kręcenia? Czy je farbowałaś?

- Nie. Z takim kolorem przyszłam na świat.

Odłożył nożyczki.

- Mogę? - zapytał.

Podalałam mu warkocz. Uniósł go, powąchał, a potem powiedział:

- Nikt w twoim domu nie pali. Inaczej natychmiast bym to wyczuł, bo tego zapachu nie można wywabić z włosów. Twój warkocz ma w obwodzie dobre dwanaście centymetrów, a same włosy są niebywale zdrowe. Z pewnością jesz witaminy. Czy pijesz? Zażywasz narkotyki?

- Masz na myśli coś poza moim drobnym uzależnieniem od heroiny? - spytałam wyniosłym tonem, który go rozśmieszył.

- Nie pytam ze wścibstwa. Tak grube i długie włosy, w cudownym kolorze i do tego dziewicze są warte sporo pieniędzy.

Natychmiast wyprostowałam się w fotelu.

- Jak sporo?

- Kilka ładnych setek. - Oddał mi warkocz i rozpuścił upięte wcześniej pasmo, które od razu opadło mi na oczy. - A więc niedawno straciłaś męża?

Skinęłam głową, a w duchu dodałam: bardzo niedawno, za kilka dni z pewnością będę już wdową.

- Zakładam, że twoja sytuacja finansowa nieco się zmieniła? - powiedział Peter, a ja szybko odwróciłam wzrok. - Wspominam o tym tylko dlatego, że wśród moich rozlicznych talentów perukarstwo zajmuje bardzo poczesne miejsce. Robię peruki na specjalne zamówienia. Są wyjątkowe, absolutnie z górnej półki. Peruka zrobiona z twoich włosów będzie kosztowała parę tysięcy. Za surowiec jestem gotów ci zapłacić sześć stów. Natychmiast. Do ręki.

Odwróciłam się i tym razem spojrzałam mu bezpośrednio w oczy.

- Sześć stów? Czy to uczciwa cena?

Skinął głową.

- Chodziłem do katolickiej szkoły Tam mnie nauczyli, że ludzie, którzy oszukują drobne wdowy o wielkich, smutnych oczach, idą prosto do piekła. To całkiem uczciwa cena, wziąwszy pod uwagę, że dla mnie włosy są jedynie tworzywem - jak glina dla rzeźbiarza. Peruka osiąga bardzo wysoką cenę przede wszystkim dzięki mojej pracy. Efekt finalny to prawdziwe dzieło sztuki. Jakaś bogata, łysiejąca brunetka z Amarillo będzie zachwycona, gdy dostanie do ręki to, co stworzę z warkocza, który trzymasz teraz w dłoni.

- Sześć setek - powtórzyłam w zamyśleniu. Za takie pieniądze mogłabym zatelefonować do wielu znajomych z Fruiton. A jak już zlokalizuję Jima, starczy mi jeszcze na bilet do niego - przynajmniej autobusowy

- Dorzucę na dodatek cenę tego strzyżenia, a to całkiem niebagatelna kwota.

Mimo to wciąż czułam wewnętrzny opór. Dłoń odruchowo zacisnęła mi się na warkoczu, gdy pomyślałam, że jakaś bogata, obca kobieta będzie miała na głowie moje włosy podczas partii brydża rozgrywanej z Charlotte i na przykład z tym babskiem, które tak paskudnie potraktowało mnie w recepcji. Wspomniana przez Petera brunetka zapewne zareagowałaby z lekceważącą wyższością, gdybym się ośmieliła skalać swoją obecnością takie miejsce jak to spa i niewykluczone, że nosiłaby wówczas moje królewskie ekstresy.

- Przemysł to jeszcze, skar... - Peter ugryzł się w język i uśmiechnął przepaszająco. - Po prostu to przemysł, droga przyjaciółko.

Odłożył nożyczki i chwycił suszarkę. Do modelowania fryzury używał okrągłej szczotki, przyprawiając mnie o istnie katusze. Zamknęłam oczy i zacisnęłam ręce na warkoczu. Obolała skóra głowy jakoś będzie musiała znieść te tortury. Moja matka, prawdziwa piękność, niemal co noc kładła się do łóżka z różowymi gąbkowymi wałkami na głowie, skłonna cierpieć dla urody. Ale to się działo dawno temu, zanim uciekła do Kalifornii, zapuściła włosy i zaczęła się ubierać jak

Cyganka. Teraz ja zmieniłam fryzurę, co jednak wcale nie upodobniło mnie do matki. Bo wciąż tkwiłam w Amarillo, walczyłam o życie i nadal byłam gotowa znosić ból w zamian za piękny wygląd.

Suszarka zamilkła. Peter obrócił fotel, a wówczas w lustrze ujrzałam nieznaną kobietę. Miała włosy cięte w prostą linię, ostro, skośnie opadające do końca twarzy. Ta fryzura była zbyt geometryczna jak na Ro Grandee i zbyt wyrafinowana jak na Rose Mae. Dotknęłam palcami tyłu głowy i wyczułam perfekcyjne cieniowanie. Moje oczy wydawały się teraz dużo większe, kości policzkowe - wyższe i wyraźniej zarysowane.

- Dziękuję - wyszeptalam, wgapiając się we własne odbicie.

Wyglądałam o wiele bardziej elegancko niż z długimi włosami, ale jednocześnie młodziej, jakby Peter odjął mi co najmniej pięć lat życia. I krzyżyk im na drogę, pomyślała kobieta z lustra.

- Dziękuję - powtórzyłam. Gdybym wypowiedziała te słowa jeszcze dziesięć razy, to wcale nie byłoby za wiele.

- Jestem po prostu genialny - rzucił od niechcienia Peter. - Włosy są ważne. Dobra fryzura nadaje właściwy kształt twarzy, natychmiast poprawia kobiecie nastrój. Pomyśl tylko, jak bardzo twój warkocz mógłby uszczęśliwić kolejną mieszkankę Amarillo, która na życiowej loterii wyciągnęła złowróżbny los z napisem „Rak”.

Te słowa zmieniły moje wyobrażenie o kobiecie w peruce na głowie. Teraz wyglądała jak ja dzisiejszego ranka - blada, wymizerowana, oszalała z gniewu i przerażenia. Nie grała w brydża. Siedziała w szpitalnej poczekalni, garściami traciła łamliwe, pocienione włosy i miała gdzieś, czy ktoś pozwala hołocie mojego pokroju wdzierać się do jej ekskluzywnego country klubu.

Mimo to wciąż zaciskałam palce na warkoczku. Jeżeli wzięłabym pieniądze od Petera, możliwość wyjazdu, ucieczki z Teksasu, stałaby się bardziej realna. Wahałam się, ale tym razem nie ponosiła za to winy bezwolna Ro Grandee. Chodziło o coś zupełnie innego.

Oczyma duszy widziałam siebie wędrującą pośród gajów cytrynowych, wdychając powietrze przesycone zapachem oceanu, cieszącą

się nową fryzurą. Na lotnisku matka powiedziała „Proszę bardzo”, wyraźnie mnie do siebie zapraszając.

To była jednak wyjątkowo zwodnicza wizja. Jeżeli miałam ruszyć w podróż, to tylko dlatego, żeby odnaleźć Jima Beverly'ego - walczyć o swoje życie, a nie od niego uciekać. Otworzyłam oczy i spojrzałam na tę nową, elegancką kobietę wyzierającą na mnie z lustra: oczy koloru lawendy, mlecznobiała cera, pełne wargi wygięte jak u kupidyna. „Czy pamiętasz?”, zapytałabym Jimmy'ego. „Pamiętasz, co mi obiecałeś?”. Rozciągnęłam usta w uśmiechu i moje lustrzane odbicie również odpowiedziało uśmiechem - uwodzicielskim, pełnym tajemnych znaczeń, który każdemu mężczyźnie natychmiast odświeżyłby pamięć.

Wyobraźnia podsunęła mi kolejny obraz. Sceneria uległa zmianie. Szłam ku Jimowi wielkomięską ulicą, potem czerwoną, gliniastą drogą, aż w końcu zanurzyłam się w soczyście zielonym lesie - takim samym, jaki zaanektowaliśmy dla siebie w Alabamie. Jim mógł się znajdować w dowolnym zakątku kraju. Nic nie wskazywało, że zamieszkał w Kalifornii. Moje palce przestały się zaciskać na warkocz. Wyciągnęłam go w stronę Petera.

- Właściwie nie mam co z nim zrobić - przyznałam.

Peter położył warkocz na toalecie pod lustrem. Wstałam z fotela; ostre koniuszki mojej nowej fryzury przyjemnie połaskotały mnie po policzku. Podobało mi się, że gdy pochylałam głowę, włosy zasłaniały mi oczy. Zerknęłam przez ich zasłonę na Petera, który tymczasem wyjął z portfela sześć nowiutkich, szeleszczących studolarówek.

Przyjęłam pieniądze.

W drodze do głównego holu wśliznęłam się do pustej sali masażu i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Wyciągnęłam kosmetyczkę i szybko się umalowałam, jak przed lekcjami w toalecie Fruiton High, w czasach gdy mój ojciec utrzymywał, że jestem za młoda na makijaż i rzucał się na mnie z pięściami, ilekroć dostrzegł ślady tuszu na rzęsach. Zerknęłam szybko w lustro. Smoliste oczy i bladoróżowe, błyszczące usta. Dziewczyna Jima Beverly'ego.

W recepcji Sheila wciąż czekała na swoją kolej. Weszłam tam śmiałym, swingowym krokiem. Teraz miałam gdzieś, czy mnie rozpozna. Kołysała nerwowo stopą i piorunowała wzrokiem Rexy'ego, który tłumaczył z anielską cierpliwością:

- Faye poprzysięgła na wszystkie świętości, że przyjmie cię najdalej za dwie minuty A nawet niecałe dwie. Za minutę. Kilkanaście sekund. Zanim się obej...

Urwał gwałtownie na mój widok. I on, i Sheila wybałuszyli oczy - Rexy teatralnie, ale ze szczerym zachwytem, ona - z wściekłością, jakby ją spotkał najgorszy afront.

- Moje włosy odzyskały życie - oznajmiłam radośnie.

Rexy obrzucił mnie chłodnym, profesjonalnym spojrzeniem.

- I wyglądają wspaniale - oświadczył.

- Dziękuję - uśmiechnęłam się szeroko.

Mówił szczerze. Było to słychać w jego tonie i widać w pełnym nieklamanej złości wzroku Sheili. Wyglądała tak, jakby miała za moment przeskoczyć przez stos czasopism leżących na niskim stoliku i rozerwać mnie gołymi rękami na kawałki, nie bacząc na fakt, że zrujnuje przy tym swój francuski manikiur. Odwróciłam się w jej stronę i wyszczerzyłam zęby w promiennym uśmiechu, a potem uniosłam wysoko głowę i wyminęłam Sheilę dumnym krokiem, myśląc przy tym: Nic dziwnego, że się nie dorobiłam żadnych przyjaciółek.

Chociaż tak beznadziejny brak przyjaciół nie był wyłącznie moją winą, pomyślałam, gdy wsiadłam do podarowanego mi z łaski krowiastego buicka i ruszyłam w stronę domu sfinansowanego przez Joego. Tkwiłam w matni, osaczona przez Grandeech. To oni tłamsili moje życie jak owa szorstka, różowa pianka izolująca nasze poddasze, zapobiegająca ucieczce powietrza schłodzonego przez klimatyzator. Ja miałam jedynie swoją Grubą Gretel, która była jednak zbyt kochana i nierozgarnięta, żeby spamiętać moje sekrety, więc nigdy by ich nie zdradziła, nawet gdyby nagle została pobłogosławiona darem mowy. Natomiast pani Fancy w ogóle nie mogłam brać pod uwagę, ponieważ tak naprawdę nie była MOJĄ przyjaciółką.

Pani Fancy zaprzyjaźniła się z Ro Grandee z przyczyn, których do tej pory nie umiałam pojąć. Nigdy nie pytała, co się ze mną działo, gdy nagle znikalam powalona tajemniczymi infekcjami wirusowymi, na które nie zapadał nikt inny w okolicy. Oczywiście, doskonale wiedziała, co w trawie piszczy. Ostatecznie nie była głupia. Po prostu została zaprogramowana na niedostrzeganie podobnych spraw, niemniej przez swoje zaniechanie stała się cichą współniczką konfabulacji Ro, z którymi ja postanowiłam wreszcie skończyć. Zamierzałam odnaleźć swoją dawną miłość, żeby pogwałcić szóste przykazanie. A na deser złamać jeszcze piąte. Subtelna pani Fancy z pewnością by tego nie zaprobowała.

Nie byłam dość zapobiegliwa, gdy chodziło o przyjaźń, nie zadbałam również o pieniądze. Nie opracowałam strategii odwrotu. Powinnam do tej pory zgromadzić sekretny kapitał, od lat składając dolar do dolara, cent do centa. Moja matka tak robiła. W dzieciństwie nieraz widziałam, jak napełniała butelkę po markowym szamponie tanim zamiennikiem, a różnicę w cenie deponowała w swoim banku - kwiecistym czółenku rezydującym w szafie na najwyższej półce.

- To nasz wspólny sekret, Rose - powtarzała.

Już w wieku siedmiu lat doskonale rozumiałam, że gdyby tatuś dowiedział się o pieniądzach, natychmiast by zniknęły. Pozostały więc naszym wspólnym sekretem, choć w końcu się okazało, że nie były NASZYM WSPÓLNYM funduszem. Ten należał wyłącznie do mojej matki, pomnażała go po to, żeby mnie porzucić. Czasami wyciągała z czółenka pięć dolarów i zabierała małą Rose Mae do lodziarni Baskin-Robbins. Czekoladowe gałki wydawały się dużo słodsze, gdy miały posmak kradzionego owocu, poza tym - chociaż wówczas tego nie wiedziałam - cena jakiegokolwiek przyjemności fundowanej mi przez matkę była wielokrotnie wyższa od nominalnej. Każdy wydany na mnie dolar oznaczał dodatkowy dzień spędzony w naszym domu, oddalenie od magicznej sumy, potrzebnej do ucieczki. Ciekawe, jaka kwota była wystarczająca, żeby matka mogła odejść, a jednocześnie nie dość wysoka na pokrycie i mojego wyjazdu? Ilekroć się nad tym

zastanawiałam, w końcu dochodziłam do wniosku, że ciężko ustalić przelicznik walutowy dla trzydziestu srebrników.

Tak czy owak, jedno nie ulegało wątpliwości: to było więcej niż suma, którą aktualnie dysponowałam. Miałam co prawda dwie pary kwiecistych balerinek, ale ich noski były puste. Nigdy sztucznie nie pompowałam rachunków za sprawunki i nie składałam po kryjomu różnicy. Nie robiłam tego z rozmysłem, ponieważ pod żadnym względem nie chciałam się upodobnić do matki. No i przy okazji uwalniałam Ro od wszelkich dylematów - pozbawiałam realnej możliwości odejścia od męża.

Pochwyciłam swoje odbicie w lusterku wstecznym i przez moment podziwiałam kosztowną, a przy tym darmową fryzurę. Pieprzyć czterdzieści centów różnicy w cenie szamponów; podobne strzyżenie było warte mnóstwo pieniędzy plus napiwek. Z doświadczenia wiedziałam jedno: Thom jest obecnie tak przepelniony poczuciem winy za przebite płuco, że bez protestu pokryje koszt fryzjera. Zatrzymałam się więc przy najbliższym bankomacie i wypłaciłam sto dwadzieścia dolców, po czym dołożyłam sześć dwudziestek do dziewiczych setek Petera.

W domu rozebrałam się do naga i przez dłuższą chwilę stałam przed otwartą szafą, zanim zdołałam się zmusić do włożenia jednej z powiewnych spódniczek Ro i kolorystycznie dobranego, obcisłego sweterka. Jej ciuchy zdawały się żyć własnym życiem, za każdym ruchem ocierały się nieprzyjemnie o moje ciało. Z trudem to znosiłam - podobnie jak myśl, że od wyjścia ze szpitala Ro jeszcze nigdy nie była tak blisko mnie. Wzdragając się, przeszłam do łazienki i ulubionymi perfumami Thoma skropiłam szyję oraz nadgarstki, podczas gdy delikatne ubrania Ro paskudnie drażniły mi skórę.

W tym scenicznym kostiumie przeszłam do kuchni, żeby przygotować kolację. Z drewnianego bloku wyciągnęłam największy nóż i zaczęłam kroić pomidory. Kiedy już posiekałam cały ich koszyk, zabrałam się do ogórków. Szykowałam tyle sałatki, że wystarczyłoby dla całej armii, ale po prostu nie byłam w stanie odłożyć noża. Tylko dłoń

dzierżąca solidny, drewniany trzonek i krótko ostrzyżone włosy zdawały się prawdziwie moimi częściami ciała.

Kończyłam się rozprawiać z drugą cebulą, gdy usłyszałam pisk opon bronco na podjeździe. Huknęły drzwi samochodu, a dziesięć sekund później nasze frontowe otworzyły się z trzaskiem. Nie ruszyłam się ze swojego miejsca w kuchni, nie przerwałam krojenia cebuli w równą, drobną kostkę. Kiedy Thom wpadł do środka, odwróciłam się w jego stronę. Trzymałam nóż zwrócony czubkiem do ziemi, pozornie całkiem nonszalancko, jednak w istocie tak zaciskałam na nim palce, że aż mi zdrętwiały.

- Gdzie, do cholery, się po... - urwał gwałtownie i wbił wzrok w moją fryzurę. - Obciąłeś włosy.

- Podoba ci się? - odezwałam się drżącym głosem Ro.

- Obciąłeś włosy? - powtórzył. Teraz było to pytanie. Oddychał szybko i ciężko, jego nozdrza rozdymały się wojowniczo.

Bardzo się postarałam, żeby tym razem mój głos zabrzmiał równo i naturalnie.

- Potrzebowałam zmiany.

Obróciłam się powoli na pięcie, prezentując przed Thomem swoją fryzurę w pełnej krasie. Wciąż jednak trzymałam w ręku nóż i walczyłam z mrowieniem w palcach, wywołanym przez odcięcie krążenia.

- Dzwoniłem do ciebie pięć razy - oznajmił, podczas gdy się obracałam. - Cały pieprzony dzień strawiłem na spotkaniach z dostawcami; z jednego nawet wyszedłem, żeby do ciebie zatelefonować, a podczas następnego wciąż zachodziłem w głowę, co się z tobą dzieje.

- No więc jak? Podoba ci się? - zapytałam raz jeszcze, dotykając palcami kosmyka przy lewym policzku.

Skierował wzrok w moją stronę, ale tak naprawdę wcale na mnie nie patrzył.

- Do kurwy nędzy, nigdy nie powinnaś tak znikać nie wiadomo gdzie.

- Thomie Grandee - ton mojego głosu był teraz niemal idealny, żartobliwie surowy, zakrawający na oburzenie, ale pod pełną kontrolą.

Nadal ciuchy Ro przyprawiały mnie o dyskomfort, ale o ile dobrze znałam Thoma, nie miały one pozostać na mnie już długo. - Byłbyś kompletnie do niczego w roli detektywa. Gdzie według ciebie spędziłam dzisiejszy dzień?

Zacisnął wargi i parsknął przez nos niczym rozjuszony byk.

- Najwyraźniej u fryzjera. Co jednak wcale ...

- Nie u byle jakiego fryzjera - przerwałam mu w pół zdania. - Ta fryzura pochodzi ze spa w centrum miasta i kosztowała sto dolarów.

To go otrzeźwiło i wreszcie skoncentrował na mnie wzrok. Niemalże słyszałam, jak obracają się trybiki w jego głowie.

- Sto dolców?

Potaknęłam.

- Plus napiwek. Poza tym, nigdy wcześniej nie miałam krótkich włosów, więc natychmiast przestań zrzedzić nie wiadomo z jakiego powodu i powiedz, co o tym sądzisz.

Doskonale.

- Jasna cholera - mruknął, ale w jego tonie nie było już złości. - Sto dolarów?

- Zielonych i amerykańskich - odparłam. - Ostrzygłam się w tym salonie, do którego zawsze chodzi twoja matka.

Czerwona fala wściekłości, na której się unosił od chwili, gdy wpadł do domu, zaczęła opadać. Niedbałym ruchem odłożyłam nóż, chociaż moje zbolałe palce z niechęcią oderwały się od trzonka.

- Potrzebowałam czegoś na poprawę nastroju, skarbie - dorzuciłam. - Ostatnio byłam trochę zdołowana.

- Zauważyłem - mruknął.

Ruszyłam ku niemu przez kuchnię powolnym krokiem, uwodzielsko kołysząc biodrami. Jednocześnie chwyciłam brzeg obcisłego sweterka Ro i ściągnęłam go przez głowę. Natychmiast odzyskałam swobodę oddechu, za to Thoma wyraźnie przytknęło.

- Kiedy przez cały dzień nie mogłem się do ciebie dodzwonić, pomyślałem... - zaczął tracić język w gębie, mimo że nie zawracałam sobie głowy zdejmowaniem biustonosza.

Doskonale wiedziałam, co sobie pomyślał. Była to jakaś wersja re-frenu „Kim on jest” podrasowana myślą, że od niego odeszłam. Wpadł do domu gotowy mnie tropić do upadłego, a tymczasem zastał żonę podniesioną z łoża boleści, zarumienioną, pachnącą jak bukietek frezji, szykującą dla niego kolację. Ostatecznie jedyną karą za jego ostatni niechlubny wyczyn była nedorzecznie kosztowna nowa fryzura - a więc zupełny drobiazg, który w istocie mógł uznać za ofiarowany mu prezent.

Zatrzymałam się na środku kuchni - rozpięłam suwak spódnicy i pozwoliłam, żeby opadła na ziemię, po czym gwałtownym kopniakiem posłałam ją w kąt. Posunęła gładko po dobrze wypastowanej podłodze.

Mierzył mnie pilnie wzrokiem, kiedy szłam w jego stronę, po czym powiedział:

- Nigdy nie przepadałem za krótkimi włosami, ale ty wyglądasz przepięknie. Do diabła, wyglądałbyś przepięknie nawet ogolona na лыso, ale ta fryzura jest super.

- Taka właśnie być powinna, skoro kosztowała sto dolców - odparłam.

- Sto dolców plus napiwek.

- Plus napiwek - potwierdziłam i wsunęłam się w jego ramiona.

Przyciągnął mnie do siebie ostrożnie, żeby nie urazić mojego pobijanego ciała. Ja natomiast wessałam jego dolną wargę i ugryzłam - mocno, tak że musiało zabołeć. I od razu poczułam się lepiej. Przejechałam z całej siły paznokciami po plecach Thoma, zostawiając krwawe zadrapania na skórze, a potem położyłam dłonie płasko na jego piersi i odepchnęłam się tak mocno i gwałtownie, że nie zdążył zareagować. Wyrwałam się z jego objęć. Próbował mnie złapać, ale się odwróciłam i naga pognałam do holu. Oczywiście podążył za mną, bo zawsze za mną podążał.

Przystanąłam przy drzwiach sypialni i pozwoliłam się złapać. Znowu go pocałowałam i ponownie brutalnie. Uniósł mnie w górę - zadyndałam nogami - i przeszedł przez próg. Rzucił mną z całej

siły; przez chwilę frunęłam w przyjemnie chłodnym powietrzu, by po chwili wylądować na materacu. Thom doskoczył do mnie; objęłam go mocno nogami, zaparłam się piętami o jego tyłek i pociągnęłam ku sobie, a potem mocno wbiłam zęby w jego ramię. Rzucił się, odruchowo próbował wyrwać, ale wbiłam pięty jeszcze mocniej w jego pośladki, ograniczając możliwość ruchu.

Przeturlaliśmy się na środek materaca. Znalazłam się na górze i zaczęłam ujeżdżać Thoma jak kuca. Kiedy osiągnęłam orgazm, miałam wrażenie, że rozpada się we mnie gruba tafla szkła i przepelniają mnie świetliste odłamki pobrzękujące przy każdym ruchu niczym ostre dzwoneczki. Potem nadeszła kolej na Thoma; pracowałam nad nim tak energicznie, że padł bezwładnie z na wpół przymkniętymi oczami - wypompowany, bezkontaktowy.

Uznał nasz seks za cudowny akt - prosty, nieniosący żadnych ukrytych znaczeń. I niemal natychmiast zapadł w sen. Nie miał pojęcia, że to początek długiego pożegnania. Ja tymczasem leżałam obok i wykrzywiałam usta w złym uśmiechu. Miałam wrażenie, że to szeroka szrama w mojej twarzy, z której na całą swoją długość wypada język, chłodzony przez powietrze o posmaku potu i piżma.

Od tamtej pory, ilekroć szłam z Thomem do łóżka, żegnałam się z nim w identyczny sposób. A kiedy zdarzało mu się wyprowadzić cios, przypominałam sobie, jak ostateczne będzie to pożegnanie.

Rozdział 8

Nazajutrz, gdy tylko Thom wyszedł do pracy, zebrałam wszystkie powiewne spódnice Ro, jej delikatne, obcisłe sweterki oraz obszywane koronką bluzeczki i wsadziłam do pralki. Dodałam czerwony barwnik do tkanin, a potem ustawiłam najwyższy cykl prania. Gotowanie. Dodatkowe wirowanie. Włączyłam pralkę i pozostawiłam ciuchy Ro na zatracenie, a sama poszłam do pani Fancy w lewisach i znoszonym T-shircie, które miałam na sobie w spa.

Uniosłam rękę, żeby zapukać, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie. Pani Fancy pisnęła cicho i odskoczyła do tyłu. W tej samej chwili Ro bez wątpienia także by odskoczyła, jak lustrzane odbicie swojej przyjaciółki, ja natomiast nawet nie drgnęłam. Opuściłam powoli rękę i czekałam. Pani Fancy przycisnęła palce do piersi, odetchnęła głęboko, a potem zasłoniła dłonią usta. Oczy jej się zaświeciły, ramiona zatrzęsły, nie ulegało wątpliwości, że dostała napadu śmiechu.

- Wielkie nieba, Ro, nieomal przyprawiłaś mnie o zawał - powiedziała, gdy już doszła do siebie. - A twoje włosy! W ogóle cię nie poznałam. Pięknie wyglądasz w tej krótkiej fryzurze.

Od ponad tygodnia nie przychodziłam na kawę, jednak pani Fancy ani słowem się nie zająknęła na ten temat. Nie zadała żadnego pytania. Nigdy ich nie zadawała. To czyniło z niej idealną przyjaciółkę dla Ro Grandee, mnie natomiast zaczęło teraz złościć. Złościć na tyle, że nie miałam już skrupułów, by ją bezpardonowo wykorzystać. Czy wręcz okraść.

- Wychodzi pani? - zapytałam.

- Wybieram się do kościoła na spotkanie klubu czytelniczego. Czy... - urwała i uważnym spojrzeniem zlustrowała moją twarz. - Czy czegoś ci potrzeba?

- Chciałabym skorzystać z telefonu.

- O! Twój się zepsuł?

Zza framugi drzwi wyjrzała w stronę mojego domu z miną zatroskanej sowy, mrużącej oczy w porannym słońcu.

- Nie. Muszę odbyć kilka rozmów międzymiastowych. Naturalnie za nie zapłacę, po prostu nie chcę, żeby Thom się o nich dowiedział.

- Planujesz niespodziankę?

- O, tak - w moim tonie zabrzmiała triumfalna nuta. - Planuję wielką niespodziankę.

Postąpiła do tyłu i ściągnęła cienkie, rzadkie brwi.

- Wejdz, proszę - powiedziała.

Objęła mnie w pasie ręką o cienkiej jak bibuła skórze i pociągnęła za próg. Stanęliśmy w wyłożonym parkietem mikroskopijnym westybulu i wówczas pani Fancy skierowała zatroskany wzrok na mój strój.

- Zrobiłaś wielkie wiosenne pranie?

Pokręciłam głową i, choć rozpięła mnie dzika satysfakcja, zmusiłam się do przybrania żalosego tonu.

- Do pralki z moimi ubraniami przypadkowo się zaplątały bożonarodzeniowe skarpety.

- Och, skarbie! I co ty teraz poczniesz?!

Machnęłam lekceważąco ręką.

- Przy kościele metodystów działa niezłe zaopatrzoney second-hand. Z pewnością uda mi się tam coś tanio kupić.

- Ten sklep jest prowadzony przez bandę niedomytych hippisów. W ich ubraniach z pewnością aż roi się od wszy - zawyrokowała pani Fancy.

- Starannie je wypiorę - rzuciłam pospiesznie. Zaczynała mnie ogarniać niecierpliwość. - Czy mogę skorzystać z telefonu w czasie, gdy będzie pani na spotkaniu klubu czytelniczego? - Położyłam silny akcent na dwóch ostatnich słowach, by jej przypomnieć, że powinna się teraz znajdować w zupełnie innym miejscu.

- Będziesz musiała użyć silnego środka dezynfekcyjnego, oczywiście bezpiecznego dla kolorów - ciągnęła jak gdyby nigdy nic pani Fancy. - Jaja wszy wyjątkowo trudno wytępić.

- Pani Fancy, wiem jak bardzo...

Chwyciła mnie raptownie za rękę. Jej oczy rozjaśniły się radośnie, gdy oznajmiła:

- Jesteśmy identycznej budowy. Z pewnością znajdę w szafie rzeczy, które będą leżały na tobie jak ulał!

Oniemiałam. To kompletnie niedorzeczne! Oczami duszy już widziałam, jak wchodzę do salonu Grand Guns odziana w jeden ze staromodnych spodniów powypychanych na pupie, a do tego w sweterku z trójwymiarowymi, cekinowymi scenkami rodzajowymi, przedstawiającymi jesienny las lub śniegowe bałwanki.

Moja mina musiała zdradzić myśli, bo staruszka wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Nie te, które teraz noszę, głuptasie! Z dawnych lat zachowałam trochę ulubionych ubrań. Będziesz wyglądać przesłodko w rubaszkach z początku lat siedemdziesiątych i sukienkach mini w stylu Mary Quant. Teraz często widuję dziewczęta w twoim wieku noszące takie stroje. W butikach nazywają je „szlachetnymi oryginałami”, ale tylko po to, żeby nieprzyzwoicie podbić cenę.

Rozprawiała o modzie z niezwykłym zapałem; zanosilo się na to, że będzie nadawać tak długo, aż zrobię się zbyt zwiędła i za stara na mini.

- Z największą przyjemnością przymierzę pani ubrania - oświadczyłam pospiesznie, po czym zdecydowanym ruchem ściągnęłam T-shirt przez głowę. Pani Fancy natychmiast zamilkła. Wpatrywała się w powoli blaknące wzory - oliwkowe, żółte, bladoniebieskie - pokrywające moje piersi i brzuch.

Po chwili odwróciła wzrok i odruchowo uniosła dłoń do gardła. Podejrzywałam, że zaraz śpiewnie wyrecytuje przepis na idealną galaretkę owocową lub wygłosi instrukcję usuwania plam po winie z dywanu - uraczy mnie jakąś genialną, domową poradą, byle tylko uciec od brzydkiej opowieści wypisanej na mojej skórze.

Ale pani Fancy powiedziała jedynie:

- Odsuń się od okna, bo przyprowadzisz listonosza o nagły skok ciśnienia.

Przeszła przez salon i znalazła się w holu prowadzącym do pozostałych pomieszczeń. Ruszyłam za nią, ubrana tylko w dżinsy i biustonosz, gniewnie ściskając w rękę T-shirt zmięty w ciasną kulę.

- Jak tak dalej pójdzie, nie zdąży pani na spotkanie klubu - zauważyłam.

- Już ty się tym nie kłopotcz - odparła i wkroczyła do pokoju gościnnego. Za nią wpadł Phil, a ja za Philem. Kot wskoczył na kwiecistą kapę łóżka i zamiauczał głośno, wyczuwając napięcie, które tak subtelnie ignorowała pani Fancy.

Otworzyła szafę i zaczęła przesuwać wieszaki.

- Z ostatnich piętnastu lat nie zachowałam wielu ubrań. Mniej więcej wtedy kolana skazały mnie na paskudne buty i przestałam zawracać sobie głowę ładnym wyglądem. Poza tym moda w latach osiemdziesiątych upodabniała kobiety do przerośniętych krewetek, czyste paskudztwo. Za to w latach siedemdziesiątych ubrania były rozkosznie radosne. Tylko spójrz na te kolory! Z szalonych lat sześćdziesiątych też zachowałam sporo pięknych sukienek.

Przesunęła kilka kolejnych wieszaków, aż doszła do rzędu bluzek w soczystych barwach. Wyjęła luźną, błękitną koszulę w stylu lorda Byrona, ale coś w wyrazie mojej twarzy sprawiło, że przycisnęła ją do piersi.

- Zmieniłaś się, Ro.

A więc staruszka okazała się o wiele bardziej spostrzegawcza od ślubnego męża Ro Grandee, który nie połapał się w sytuacji, nawet gdy uprawialiśmy seks. Za to należały jej się dodatkowe punkty.

Spięłam się w sobie i bardziej z oportunistą niż na użytek pani Fancy przybrałam minę Ro - zatrzepotałam rzęsami i podkreśliłam natężenie uśmiechu. Ale gdy na dodatek moje ciało wygięło się w pozę typową dla grzecznej, katolickiej dziewczynki, natychmiast zrozumiałam, że popełniam poważny błąd. Ro oznaczała dla mnie samobójstwo, a wejście w jej skórę było równie upojne i śmiertelne jak pierwszy mach papierosa po kilku dniach abstynencji. Jeżeli będę nadal tak postępować, popadnę z powrotem w nałóg i nie będzie już dla mnie ratunku.

Jednak przez tę krótką chwilę patrzenia na świat oczami Ro przypomniałam sobie, dlaczego kochałam panią Fancy. Zauważyłam, że nawiedzające ją regularnie uczucia pozostawiły trwale linie na jej twarzy: skóra zapamiętała wszystkie emocje. Teraz staruszka zmrużyła oczy, a głębokie bruzdy wzdłuż ust znacznie się pogłębiły. Ten grymas był permanentnie wpisany w jej rysy, więc musiał się pojawiać miliony razy, zanim się jeszcze poznałyśmy. Wyrażał troskę pomieszaną z taką miłością i gotowością do rozgrzeszenia, że bez wątpienia w oryginał był przeznaczony dla jej dzieci. W tej chwili patrzyła na mnie w taki sam sposób.

Pospiesznie zrzuciłam z siebie skórę Ro i powiedziałam:

- Chętnie przymierzę tę koszulę.

Zdjęła bluzkę z wieszaka i wyciągnęła w moją stronę, ale wciąż nie wypuszczała jej z ręki. Stałyśmy więc połączone ową koszulą niczym pępowiną - każda z nas trzymała jeden rękaw.

Pani Fancy bacznie zlustrowała moją twarz.

- Odchodzisz od męża, Ro - zawyrokowała.

Mówiła cichym głosem, jednak w jej tonie pobrzmiwała radosna satysfakcja.

- Czy to wygląda tak, jakbym się zbroiła do odejścia? - Wielkie nieba, co za fatalna odzywka. - To znaczy, chciałam powiedzieć, że przecież jeszcze nie pakuję walizek.

Na szczęście pani Fancy była daleka od myśli o broni i nie dotarła do niej dwuznaczność moich słów. Wciąż zaciskając palce na koszuli, spytała:

- Kim jest ta osoba, do której chcesz zadzwonić w tajemnicy przed mężem? Czy to ktoś, do kogo mogłabyś pojechać, gdy go opuścisz?

- Wcale go nie opuszczam - zaprzeczyłam, ale w okrągłych oczach pani Fancy wciąż widziałam błysk nadziei, jak u rudzika na wiosnę. - Na razie rozważam różne opcje, to wszystko. - Patrząc na reakcję staruszki, poczułam wstyd, że tak paskudnie zamierzałam ją wykorzystać. Teraz jednak nic już nie mogło mnie powstrzymać, dlatego

skłamałam. Wcześniej nie planowałam tego kłamstwa. Po prostu tekst, który kiedyś usłyszałam podczas programu Opry, wychynął niespodziewanie z mojej pamięci i nagle znalazł się na języku, więc wystarczyło tylko otworzyć usta i pozwolić, żeby słowa same wypłynęły. - Chcę porozmawiać z paroma osobami z Alabamy, z ludźmi, którzy mnie znali, zanim spotkałam Thoma. Chcę sobie przypomnieć, jaka byłam w przeszłości.

Staruszka spojrzała na mnie spod zwężonych powiek.

- To mi pachnie bełkotem jakiego psychologa.

Najwyraźniej pani Fancy nie považała psychologii. Zapewne nie považała także Opry.

- Nie stać mnie na wizyty u psychoterapeuty - dorzuciłam szybko. - Zamieniłam natomiast parę słów z... moim pastorem.

Pastor z prezbiteriańskiego kościoła Grandeech miał galaretowatą, tłustą szyję i farbował sobie włosy na czarno, co wyglądało tak, jakby wcierał w nie tandetne czernidło do butów. W jego biurze śmierdziało tuńczykiem i czosnkowym Sosem Ranczerskim, a dziesięcina wpłacana przez Joego i Charlotte składała się na lwią część jego pensji. W każdą niedzielę recytował przypochlebne kazania mające tylko jeden cel: nakłonienie co bogatszych wiernych do hojnych datków. Pijany wiejski głupek wypierdziałby z siebie lepszą poradę, niż mógł wygłosić ten palant.

Wiedziałam, że moje słowa nie uspokoiły do końca pani Fancy, ponieważ zapytała:

- Jesteś pewna, że twój pastor nie rozmawiał z jakimś psychologiem? - Wciąż mocno zaciskała dłoń na rękawie bluzki. - Cóż, przynajmniej to sługa Boży, nie szarlatan. Bo osobiście ani trochę nie wierzę w te bzdury, które wygadywał Freud. Musiał być zboczony! Ostatecznie tylko zboczeniec mógł utrzymywać, że kobiety chciałyby być wyposażone w penisy. Ja w każdym razie nigdy nie słyszałam o takiej kobiecie. A jedyny penis, którego pożądałam, był jak Bóg przykazal przytwierdzony do pana Fancy'ego, dzięki czemu mogłam mieć z niego dobry pożytek.

Parsknęłam śmiechem. W ciągu zaledwie paru minut pani Fancy zdołała dwukrotnie wprowadzić mnie w zdumienie. I wcale nie wydawała się zażenowana, wręcz przeciwnie - zadowolona! W kąciku jej ust igrał przebiegły uśmieszek. Pochyliła się i spojrzała mi prosto w oczy.

- Moje małżeństwo było bardzo udane, Ro. Pod każdym względem. Dlatego nie mam powodów do wstydu. I tego samego bardzo pragnęłabym dla ciebie. - Odgarnęła mi kosmyk włosów z policzka i założyła za ucho. - Odejdź od niego. Jeszcze dzisiaj. Mój kościół współpracuje z grupą ludzi, którzy cię ukryją. Prowadzą schronisko dla kobiet... znajdujących się w twoim położeniu.

- W moim położeniu, hm? - rzuciłam kwaśno, potrząsając głową, sceptycznie nastawiona do samego pomysłu, jak i subtelnego ujęcia problemu przez panią Fancy w chwili, gdy moje siniaki były tak otwarcie wystawione na widok publiczny. Głęboko wciągnęłam powietrze nosem: poczułam zapach talku, środka antymolowego i dochodzący z kuchni aromat ciasta, pieczonego poprzedniego dnia. To było terytorium pani Fancy i aż do dzisiaj byłam pewna, że jest tutaj miejsce jedynie dla Ro Grandee.

W moim domu rodzinnym kuchnia niepodzielnie należała do matki. Zdradzał to zapach wanilii i cynamonu, podobnie jak pomarańczowy zapach mydła oznajmiał, że również łazienka to jej terytorium. Duży pokój natomiast należał do ojca. Śmierdziało w nim piwem, solą i potem wyciskany przez złość, jaka ogarnia niektórych facetów, gdy na ekranie telewizora ich ulubiona drużyna baseballowa dostaje solidne cięgi. Do ojca należała także sypialnia oraz hol, po którym krążył maniakalnie w kiepskie noce, pociągając nieustannie z butelki. Mój pokój należał do mnie, więc oczywiście wydawał mi się całkiem pozbawiony zapachu.

Tuż przed zniknięciem matka weszła do swojej kuchni i do brązowej papierowej torebki włożyła mój szkolny lunch: kanapkę z masłem orzechowym i galaretką owocową, oraz kiść czerwonych winogron. A powinna była zapakować kawał udźca baraniego, plasterki

kiwi, kostki sera Feta czy jakieś inne, równie dziwaczne jedzenie, którego nigdy wcześniej nie widziałam, i w ten sposób mnie przygotować na swoje odejście.

Tymczasem dała mi to samo co zwykle, i pożegnała mnie tym samym szybkim pocałunkiem, a ja w szkole zjadłam swoją kanapkę oraz winogrona, po czym starannie złożyłam torebkę i przyniosłam do domu, żeby mogła być wykorzystana następnego dnia. Bo w owym czasie niezachwianie wierzyłam, że nazajutrz dostanę identyczny lunch i nigdy w życiu bym nie pomyślała, że przeznaczenie postanowiło inaczej.

Może matka też się udała do jakiegoś schroniska. Ostatecznie była kobietą w - jak to ujęła pani Fancy - „moim położeniu”. Nic mi jednak nie było na ten temat wiadomo. Matka się wyrwała z fatalnego małżeństwa, ale nie zabrała mnie ze sobą, nie pokazała mi drogi. Nie pozostawiła choćby drobnego śladu, okruszków, za którymi mogłabym podążać. Obdarowała mnie jedynie zamięłowaniem do świątych, do dobrych ksiązek i do mężczyzn o szybkich pięściach.

Raptownie tak mnie ścisnęło w gardle, że nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Przyszedłam do pani Fancy, bo chciałam ją okraść, ale teraz w mojej głowie pojawiła się nowa zlepka pojęciowa - przyszedłam ją okraść, żeby pojechać do Kalifornii. Tak chciało przeznaczenie. To się nagle stało dla mnie absolutnie oczywiste, jakby matka potajemnie obdarowała mnie czymś jeszcze: swoją zdolnością do przepowiadania przyszłości i to tak rozwiniętą, że nie potrzebowałam nawet żadnych kart.

Próbowałam zachować niewzruszony wyraz twarzy, żeby pani Fancy nic nie mogła z niej wyczytać. Muszę zapomnieć o Kalifornii, nakazywałam sobie w duchu. Nie ma przecież najmniejszych dowodów na to, że tam właśnie odnajdę Jima Beverly'ego.

Pani Fancy cierpliwie czekała na moją reakcję.

- Żadne schronisko dla kobiet nie przyjmie Gretel - odezwałam się w końcu.

- Mój syn chętnie ją weźmie. Ma ogród otoczony wysokim płotem i bardzo samotnego owczarka alzackiego - odpowiedziała pani

Fancy bez chwili namysłu, jakby już lata temu przemyślała całą sprawę i była z góry przygotowana na logiczne zabicie wszelkich kontrargumentów.

Spuściłam wzrok i oznajmiłam ostrym, chropawym głosem:

- Chciałabym jedynie skorzystać z pani telefonu.

Najwyraźniej miała ochotę dalej drążyć temat, jednak trafnie odczytała wymowę mojej zaciętej miny, bo ograniczyła się do czterech słów.

- Najpierw przymierz tę bluzkę.

Ubrałam się szybko i odwróciłam w stronę lustra wiszącego nad staromodną toaletką. Koszula była z miękkiej bawełny, długa, ale zebrana gumką w pasie, co ładnie podkreślało moją figurę. Przy szyi ściągana na troczek i ozdobiona żółtą wstążką, na końcach rękawów miała haftowane kwiaty. Należała do stylu, który można by określić mianem hippisowskiego konserwatyzmu. Moja matka zostawiła w Fruiton pełną szafę podobnych ubrań.

Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i wówczas do mnie dotarło, że układ moich kości policzkowych ma niewiele wspólnego z nową fryzurą - zawdzięczam go matce, podobnie jak pełne wargi o lekko opuszczonych kącikach i ostro zarysowane linie obojczyków. Zaczęłam mrugać gwałtownie, aż obraz matczynego sobowtóra niemal się zamazał. Choć prawdę powiedziawszy, był i tak o niebo lepszy od wizerunku Ro. Matka przynajmniej wyszła żywa ze swojego małżeństwa, a więc dokonała tego, do czego Ro Grandee była całkowicie niezdolna.

- Koszula jest świetna. Dziękuję - mruknęłam.

Pani Fancy powróciła do buszowania pomiędzy wieszakami - wyciągała bluzki o kloszowych rękawach i dopasowane w pasie koszulówki w stylu disco, które rzucała w stos na łóżko. Po chwili dołożyła do nich kilka par haftowanych dżinsów-dzwonów i trzy sukienki mini w geometryczne wzory, typowe dla końca lat sześćdziesiątych.

- A co z butami? - zapytała.

- Butów mam pod dostatkiem - odparłam błyskawicznie, żeby zniechęcić panią Fancy do grzebania w starych pudłach, bo to ostatnia

rzecz, jakiej sobie życzyłam. Jedno z nich od razu wydałoby się mojej sąsiadce zbyt ciężkie, a na domiar złego zagrzechotałoby wrzucenymi luzem pociskami. Odruchowo spojrzałam na karton, w którym leżał rewolwer dziadunia. Szybko się zmusiłam do odwrócenia wzroku, ale wcześniej zdążyłam jeszcze zauważyć, że kilka pudeł w tym samym rzędzie jest wysuniętych parę centymetrów do przodu, ponieważ właśnie za nie wcisnęłam książkę z biblioteki matki.

Pani Fancy jednak niczego nie zauważyła. Wpatrywała się w karton, skrywający jej własne sekrety, znajdujący się po przeciwnej stronie szafy. Stała ze spuszczoną głową, lekko nachylona w stronę pudła. Nie bardzo chciałam, żeby się na nim skupiała, ponieważ zamierzałam je splądrować. Powiedziałam więc pospiesznie:

- Pomogłaby mi pani zanieść te ubrania do domu? Przy okazji mogłybyśmy napić się kawy...

Próbowałam w ten sposób odciągnąć staruszkę od kartonów, ale ona się nie poruszyła. A kiedy w końcu ponownie się odezwała, jej głos był cichy i tak zduszony, że zabrzmiał wręcz obco.

- Wiesz, moja córka, Janine, miała jeszcze jedno dziecko... Na długo przedtem, zanim urodziła maleńkiego Richarda. Wiele lat temu. Miała dziecko z tym podłym człowiekiem, o którym ci opowiadałam.

Tyle zdołałam już odgadnąć. Odgadałam również, że doszło do jakiejś tragedii. W pudle pani Fancy znajdowały się jedynie pamiątki z wczesnego niemowlęstwa - mikroskopijne buciki oraz kosmyk włosów - i nic poza tym. Nie było pierwszych prób stawiania koślawych literek, nie było dziecięcych baletek czy zasuszonego kwiatowego kotyliona z balu maturalnego. Jeżeli moja matka zapakowała jakieś souveniry z dzieciństwa Rose Mae, jej zbiór kończył się na woreczku mlecznych zębów, przypominających ziarnka kukurydzy, i pięćdziesięciu streszczeniu powiastki o Beezus i Ramonie.

- Nie, nic o tym nie wiem - odparłam.

Tymczasem staruszka przeszła w drugi koniec pokoju. Odkręciła żaluzje i wyjrzała przez okno, wychodzące na tylny ogródek. Nasze bungalowy nazywano „pierwszymi domami”, ale w sąsiedztwie

mieszkało o wiele więcej emerytów niż młodych małżeństw. Były to więc raczej „domy ostatnie”. Tuż pod oknami znajdował się pas gładko wyrównanej ziemi, idealny do ustawienia huśtawek. Pani Fancy zainstalowała tam basenik dla ptaków, otoczony rabatką z bratkami. Stojąc odwrócona do mnie plecami, powiedziała:

- To z powodu ciąży Janine wyszła za mąż tak młodo, kiedy praktycznie sama była jeszcze dzieckiem. Ivy przyszła na świat za wcześnie. Biedne maleństwo. Moje dwa nieszczone maleństwa.

Jej głos był już normalny i na tyle silny, że słyszałam ją wyraźnie, mimo że stała zwrócona do mnie tyłem. Teraz pani Fancy artykułowała każde słowo z niezwykłą precyzją, jakby została poproszona o wygłoszenie mowy w Klubie Rotariańskim i właśnie ćwiczyła swoje wystąpienie przed lustrem.

- Płuca dziecka nie funkcjonowały prawidłowo, ale maleńka bardzo dzielnie walczyła. Miała zwyczaj mocno zawijać rączkę wokół mojego małego palca. To właśnie dlatego Janine nazwała ją Ivy*. Jej córeczka od pierwszego dnia życia miała niezwykle silny chwytny odruch.

Pani Fancy urwała. Ramiona jej drżały, a oddech stał się dużo cięższy. W zaistniałej sytuacji Ro bez wątpienia by podeszła i objęła starsuszkę, poklepując ją uspokajająco po ramieniu i uciszając kojącymi pomrukami, ja jednak nie ruszyłam się z miejsca, bo przeczuwałam, że zaraz mogę usłyszeć użyteczne dla mnie informacje, i niemal się nienawidziłam za własną bezdusność i wyrachowanie.

Po dłuższej chwili pani Fancy podjęła wątek.

- Ivy przeżyła cztery miesiące. Janine myślała, że już nic nie zagraża małej. Wszyscy tak sądziliśmy. Aż tu pewnej nocy Ivy przestała oddychać. Umarła we śnie. Do dziś nie wiadomo, dlaczego. Tak się niekiedy zdarza w wypadku niemowląt.

Mimo to Janine nie zostawiła tego podłego człowieka, czego ja zupełnie nie mogłam pojąć. Wydała się za niego tylko z powodu Ivy,

* ivy (ang.) - bluszcz (przyp. tłum.)

a przecież Ivy już odeszła z tego świata. On był gorszy od diabła; oświadczyłam, że to jego pięści walnie się przyczyniły do przedwczesnych narodzin dziecka. Jednak ku mojemu oszołomieniu Janine go nie porzuciła. Teraz patrzę na ciebie: nie masz dzieci, które wiązałyby cię z mężem, a jednak wciąż stoisz u jego boku. Tkwisz w tym związku od lat, więc muszą się też zdarzać upojne chwile. A reszta zapewne stała się rutyną, którą już uznałaś za normę, i uwierzyłaś, że tak właśnie wygląda prawdziwe życie. Nie dostrzegasz, że ono może i powinno wyglądać inaczej. - Pani Fancy odwróciła się w moją stronę i wówczas zauważyłam, że co prawda miała zaczerwienione oczy, ale nie płakała. - Ro, uwierz mi, można żyć całkiem inaczej.

Patrzyłam na staruszkę w milczeniu, ponieważ zupełnie nie wiedziałam, co na to powiedzieć.

- W czasie ciąży moja Janine zmieniła fryzurę: obcięła i mocno wycieniowała włosy, które wcześniej były idealnie równe na całej długości. Przybrała też sporo na wadze - miała obwisły brzuch i grube uda.

Po śmierci córki co prawda nie odeszła od tego łotra, ale zaczęła zapuszczać włosy i powoli się odchudzała - dzień w dzień chodziła na długie spacery, jadła coraz więcej sałatek. Aż pewnego dnia spojrzała w lustro i - jak sądzę - zobaczyła siebie z przeszłości. Te same długie włosy. Ten sam płaski brzuch. Nagle znowu była dziewczyną sprzed owego wieczoru, gdy po zabawie tanecznej popełniła głupstwo na tylnym siedzeniu samochodu tego niegodziwca. - Staruszka głęboko westchnęła, zapatrzona w rabatę z bratkami. - I wówczas od niego odeszła.

- Pani Fancy - odezwałam się, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. A kiedy spojrzała mi w oczy, oznajmiłam: - To, co pani właśnie powiedziała, w niczym nie przypomina bełkotu psychologa. Opisała pani zachowanie podyktowane zdrowym rozsądkiem. Ja próbuję zrobić to samo. Przypomnieć sobie, jaka byłam przed poznaniem Thoma, a potem zmienić się na powrót w tamtą dziewczynę.

Moje obecne słowa chyba lepiej przemówiły do pani Fancy niż wyjaśnienie zapożyczone od Opry, ponieważ powiedziała:

- No, dobrze. Jeżeli korzystanie z mojego telefonu mogłoby ci w tym pomóc, przychodź tutaj i korzystaj z niego do woli. Gdyby mnie nie było, użyj zapasowego klucza, który ode mnie dostałaś. I pamiętaj, że gdy tylko będziesz na to gotowa, natychmiast cię zawiozę do schroniska prowadzonego przez członków mojego Kościoła.

Odwróciła się i energicznie ruszyła ku drzwiom. Widać było, że jak najszybciej chce wyjść z pokoju, w którym chowała pudło z pamiątkami po Ivy. W którym wypowiadała jej imię.

- Jeżeli miałyby pani ochotę pojechać jednak na to spotkanie klubu czytelniczego, proszę się mną nie krępować.

Pani Fancy zerknęła na zegarek, skinęła potakująco głową.

- Obecnie omawiamy *Modlitwę za Owena*. Dużo tam rozważań o Bogu, ale też sporo sprośnych scen. - Staruszka uśmiechnęła się lekko. - Zdążę na drugą połowę spotkania. A ty tutaj zostań, przejrzyj jeszcze raz szafę. I bierz wszystko, co mogłoby ci się przydać.

Wyszła i zostawiła mnie sam na sam z pudłem, w którym leżał ukryty legalnie wydany i nigdzie niewykorzystywany akt urodzenia. Na dodatek byłam niemal pewna, że wśród pamiątek po zmarłym dziecku widziałam również kartę Ubezpieczenia Społecznego - niezalaminowany dokument, lekko wytarty na brzegach.

Mając akt urodzenia i ową kartę, mogłabym uzyskać nowe prawo jazdy. Ivy Wheeler. To imię pasowało do mojej obecnej fryzury i może nawet do leżących tutaj ubrań. Mogłabym się nim posługiwać w podróży, nie pozostawiając po sobie śladów. Gdyby Thom ruszył w pościg, nie znalazłby żadnych prowadzących do mnie tropów. A kiedy już odnalazłabym Jima Beverly'ego, a następnie jakieś nieszczęście spotkałoby mojego męża, policja nie zdołałaby mnie wysledzić.

Najpierw jednak z wewnętrznej kieszonki torebki wyjęłam rulonik banknotów i wsunęłam do kartonu, który w myślach już nazywałam swoim - do tego, w którym spokojnie spoczywał rewolwer dziadunia. Banknoty nasiąkną zapachem smaru do broni, ale ostatecznie tak właśnie pachniały wszystkie pieniądze znajdujące się w kasach sklepów Joego.

Następnie z innego stosu wyciągnęłam sekretne pudło pani Fancy i przeniosłam je na łóżko, stawiając obok sterty bluzek. Phil, denerwującym zwyczajem kotów, już rozłożył się na bluzkach, oblepiając je swoją sierścią.

Właśnie wyciągałam rękę, żeby zdjąć z kartonu wieczko, gdy nagle ogarnęły mnie skrupuły. Pani Fancy z wyjątkową tkliwością odgarnęła mi włosy z twarzy, a potem, chociaż nie patrzyła na moje siniaki, to bez wątplenia pod ich wpływem opowiedziała mi historię swojej córki. Zaczęłam się nagle zastanawiać, czy to pudło rzeczywiście należało do pani Fancy. Może było własnością Janine - pamiątką zbyt bolesną, żeby trzymać ją blisko siebie, a jednocześnie zbyt cenną, żeby pozbyć się jej na zawsze. Bardzo chciałam wierzyć, że moje przypuszczenie jest słuszne. Janine mogłabym okraść bez cienia wyrzutów sumienia.

Odwróciłam się od zamkniętego pudła w stronę telefonu. Postanowiłam odłożyć w czasie płądrowanie cudzych pamiątek i zająć się czymś łatwiejszym - podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer biura numerów. Po zgłoszeniu się telefonistki, powiedziałam:

- Fruiton w stanie Alabama.
- Nazwisko abonenta? - zapytała telefonistka znudzonym tonem.

Podaliśmy pierwsze lepsze, jakie przyszło mi do głowy, usłyszałam stukot klawiszy, po czym się dowiedziałam, że w Fruiton nie mieszka żaden Lawly Price. Podaliśmy następne. Od Presleyów aż się roziło w moim rodzinnym miasteczku, ale nie było wśród nich nikogo o imieniu Charles czy choćby inicjale C. A więc chłopcy z drużyny rozpierzchli się po świecie.

- A czy ma pani w spisie nazwisko Shay? - zapytałam telefonistkę, która ewidentnie miała mnie już po dziurki w nosie. - Rob lub Robert Shay?

- Nie, szanowna pani. Czy to wszystko?
- Nie, nie wszystko. Proszę jeszcze poszukać Carsona Kaylora.
- Wśród abonentów Fruiton widnieje niejaki C. Kaylor.
- Wobec tego proszę łączyć.

Car odebrał już po drugim dzwonku. Miał zaspany głos, jakbym go obudziła. Odchrząknął, wydał z siebie krótkie, urwane „Ha”, a następnie długie, wznoszące się pytająco „loooooo?”. Ten akcent - istna kwintesencja Alabamy - natychmiast zmył ze mnie cukierkową powłokę, w jaką oblekła mnie pani Fancy. Znowu byłam Rose Mae Lolley, najpiękniejszą dziewczyną w Fruiton High, zdolną urabiać chłopaków pokroju Cara Kaylora równie łatwo jak wosk.

- Car! Przysięgam, że twój głos poznałabym wszędzie na świecie - zaszczębiotałam i dwoma palcami zrzuciłam wieczko z kartonu pani Fancy

Zapadła krótka chwila ciszy, po czym usłyszałam:

- Piekło i szatani! Czyżby Rose-Pop Lolley?

- Trafiony zatopiony za pierwszym strzałem - odparłam, a po plecach przebiegł mi lekki dreszcz. Nikt poza Jimem nie nazywał mnie „Rose-Pop”. - Właśnie sobie leżałam, rozmyślałam o dawnych znajomych i pomyślałam, że spróbuję cię odnaleźć.

Małżeństwo z facetem tak zazdrosnym jak Thom zdusiło moje zdolności do flirtu. Teraz, rozmawiając z Carem, czułam jak na nowo rozwijam skrzydła, przypominam sobie wszystkie dawne sztuczki.

Złożony we czworo akt urodzenia leżał na samym wierzchu. Wyjęłam go zdecydowanym ruchem, odłożyłam na bok i zajrzałam w głąb pudła. Grzechotka. Kawałek różowej bawełny - może odcięty z kocyka, w który owinięto małą w szpitalu? Miękki, pluszowy królik z dzwoneczkiem zaszytym w brzuchu.

Podczas gdy Car nadawał o swojej pracy montażysty paneli podłogowych w dziale usługowym Home Depot, grzebałam wytrwale w pudle, wciąż jednak nie mogłam znaleźć karty Ubezpieczenia Społecznego. Car tymczasem przeszedł do wychwalania fantastycznego pakietu świadczeń socjalnych, oferowanego przez jego pracodawcę, ja zaś doszłam do wniosku, że czas wybić go z opowieści o dniu dzisiejszym. Przerwałam mu więc w pół słowa i zapytałam o dziewczynę, z którą się prowadził w licealnych czasach, a jednocześnie zachodziłam w głowę, jak przemyślnie wprowadzić do naszej rozmowy wątek Jima.

Okazało się, że wcale nie muszę kombinować. Zniknięcie miejscowej gwiazdy futbolu było najbardziej sensacyjnym wydarzeniem w życiu naszego rocznika. Car sam poruszył ten temat.

Wciąż przerzucałam zawartość pudła w poszukiwaniu karty, a jednocześnie wydawałam z siebie pełne zainteresowania i zachwyty pomruki, które skutecznie zachęcają facetów do ciągnięcia wątku. Car tylko mgliście pamiętał spotkanie z firmem w ostatni wieczór jego pobytu w Fruiton, natomiast zdecydowanie potwierdził, że Jim był na imprezie u Missy Carver.

- Szczerze powiedziawszy, Rose, nawaliłem się wtedy jak stodoła. Ale zdaje mi się, że Jim przyszedł z Robem Shayem i z Jenny.

- Nie pamiętam żadnej Jenny.

Złapałam się na tym, że wyjęłam rękę z kartonu i uwodzicielsko nawijałam na palec kosmyk włosów, jakby Car mógł widzieć, co robię. Szybko opuściłam dłoń i wyciągnęłam z pudła króliczka, bo mi zaciemniał obraz. Poniżej znalazłam mały albumik z różową grzechotką na okładce. Wiedziałam, że gdy go otworzę, ujrzę pięknie wykaliografowaną datę urodzin Ivy, a do tego jej wagę i wzrost. Na następnej stronie zapewne zobaczę opis dnia, w którym pierwszy raz Ivy się uśmiechnęła, czy samodzielnie przewróciła na brzusek. Reszta kartek była już pusta.

- Na pewno pamiętasz, tylko w tej chwili nie kojarzysz. Blondynka o twarzy prosiaczka. Uroczego prosiaczka - dorzucił skwapliwie Car. - Jim też nieźle się zalał u Missy. I na tym nie zakończył tankowania. Pamiętam, że w jego rozbitym jeepie znaleźli mnóstwo otwartych puszek po piwie. A do ciebie nigdy się nie odezwał?

- Nie - rzuciłam sucho.

Kiedy ostatni raz widziano Jima Beverly'ego, stał na poboczu autostrady i kierował kciuk w stronę przeciwną do tej, w której przebywałam.

- Gdybyś była MOJĄ dziewczyną, to zanimbym się zmył, przynajmniej bym do ciebie zadzwonił - zapewnił Car. - Ale zaraz... Czy wy w tamtym czasie właśnie ze sobą nie zerwaliście?

Z zupełnie irracjonalnych przyczyn uwaga Cara doprowadziła mnie do szewskiej pasji. Chwyciłam Album Malucha i wyrzuciłam z pudła o wiele energiczniej, niż powinnam. Nadal nie widziałam karty ubezpieczenia i to tylko pogłębiło moją złość.

- Za dzień lub dwa zeszlibyśmy się z powrotem - zapewniłam, pilnie bacząc, by do mojego głosu nie wdarła się nuta złości.

- Ale pewnie dlatego, Rose Mae, Jim do ciebie nie zadzwonił. Bo ze sobą zerwaliście - powtórzył Car takim tonem, jakim się wyjaśnia najprostsze pojęcia niegramotnym ćwokom. Gdyby w tej chwili znajdował się pod ręką, natychmiast trzasnęłabym go w głowę. W czasach liceum miał mięsiste, okrągłe policzki już wówczas wykazujące tendencję opadającą, która obiecywała w przyszłości obwisłość buldogowatych fafli. Wyobraziłam sobie żywo, jaki rozległby się dźwięk, gdyby moja dłoń silnie o nie piasnęła.

- Zawsze z nim zrywałam, kiedy sobie popił - przypominałam, siłując się na spokój.

Car parsknął śmiechem.

- Rety, to musiałaś dawać mu kopa co najmniej trzy, cztery razy w roku. A wiesz, że Rob Shay wymyślił dla ciebie ksywkę? Nazywał cię „Rozkoszным Hitlerem”, bo byłaś strasznie seksowna, ale robiłaś Jimowi istne piekło, jeśli choć oblizal puszkę po piwie.

- A, Rob! Ten osioł - rzuciłam z udawaną żartobliwością. Tak naprawdę zawsze lubiłam Roba Shaya, ale wciąż unosiłam się na fali wściekłości, co wprawiało mój głos w nerwowe tremolo. Nie mogłam się też powstrzymać i nie dodać: - Ja i Jim zawsze wracaliśmy do siebie, Car. To, że ze sobą chwilowo zerwaliśmy, nie miało żadnego znaczenia.

- Miało o tyle, że nie chciało mu się do ciebie zadzwonić, zanim się zmył - upierał się Car w duchu tak nieublaganej logiki, że teraz już nie miałam ochoty poprzestać na spoliczkowaniu - najchętniej posunęłabym się do duszenia. - A co u ciebie? - zapytał przymilnym, uwodzicielskim tonem. - Czy pozostałaś panną? I czy wciąż jesteś taka cudna? Bo było z ciebie prawdziwe чудо, Rose Mae.

- Nieee. Strasznie się roztyłam i zostałam lesbijką - palnęłam. -
Trzymaj się, Car.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, oddychałam tak ciężko, jakbym od-
stawiła sprint po piaszczystych wydmach.

Dwoma palcami uniosłam w górę akt urodzenia. Oficjalny doku-
ment. W pełni legalny Dokument, który wiele znaczył w świecie znaj-
dującym się po drugiej stronie zamkniętych drzwi mojego domu. Gdy-
bym tylko mogła znaleźć kartę ubezpieczenia idącą z nim w parze!

Nagle dotarło do mnie, jak bardzo byłam krótkowzroczna i ograni-
czona w swoim rozumowaniu. Przecież jeżeli przywłaszczę sobie ten
akt urodzenia i numer ubezpieczenia, nie będę już musiała szukać Ji-
ma Beverly'ego. Oczywiście tego wniosku nie zgłosiłam. Oczwistość tego
wniosku mnie oszołomiła. Z nowym nazwiskiem, nowym legalnym dowodem tożsamości odej-
mującym mi cztery lata życia, mogę naprawdę stać się inną osobą, któ-
rej Thomowi Grandeeemu nigdy nie uda się odnaleźć.

- Ivy Wheeler - powiedziałam głośno.

Nie znałam jeszcze tej kobiety, ale byłam pewna, że miała wło-
sy obcięte w ostrą, skośną linię i nigdy nie nosiła balerinek. Prawdzi-
wą Ivy i mnie łączyły przynajmniej dwie rzeczy. Obie pochodziłyśmy
z Południa, a nasi ojcowie byli ohydnymi dupkami. Uniosłam z łóż-
ka króliczka i pokołysałam nim w przód i w tył, słuchając dzwonecz-
ka brzęczącego w pluszowym brzuchu. Ivy mieszkała w jakimś obcym
mi, pełnym zieleni miejscu, pośród łagodnych wzgórz owiewanych
chłodną bryzą, obrośniętych figowcami i drzewkami cytrynowymi.

Do diabła, to była Kalifornia. Znowu Kalifornia. Potrząsnęłam kró-
likiem gwałtownie, ze złością, ale w odpowiedzi usłyszałam jedynie
słodki dźwięk dzwoneczka, stłumiony przez plusz. Jedno z pewnością
odróżniało mnie od Ivy: miała matkę, która nigdy by jej nie porzuci-
ła. Nawet po śmierci dziecka Janine nie mogła się zdobyć na odejście
od faceta, który spłodził jej córeczkę, na opuszczenie domu, w którym
Ivy oddychała, kwiliła, spała.

- To dopiero niezwykle zjawisko - mruknęłam, wpatrując się
w króliczka. Miał kremowy, poważny w wyrazie pyszczek, nie należał

do królików zdolnych pojąć sarkazm. Odrzuciłam go więc z powrotem na łóżko i wróciłam do poszukiwania karty ubezpieczenia. Pieprzyć Kalifornię. Jeżeli przeobrażę się w Ivy, będę mogła jechać, gdziekolwiek zechcę. A Thom niech sobie ściga swoją Ro, wiedziony wściekłością i żądzą krwi. Biedak nigdy jej nie wytropi, ponieważ ja pogrzebię ją pierwsza. I dzięki temu on będzie mógł dalej żyć sobie w Teksasie, tyle że beze mnie, za to jego wielkie serce nadal będzie biło w szerokiej piersi.

Tego najbardziej pragnęła Ro Grandee: żeby Thom pozostał na tym świecie, pośród żywych.

Ledwo sobie uświadomiłam to jej wielkie pragnienie, natychmiast zrozumiałam, skąd się wzięło. Ro chciała mieć do czego wracać.

Raptownie wyciągnęłam ręce z pudła, jakby mnie poparzyło. Jak długo wytrwam w samotności? Po zniknięciu Jima na każdym przystanku w drodze z Alabamy do Teksasu znajdowałam sobie jakiegoś faceta. Wszyscy byli patentowanymi draniami, oferującymi jazdę na krawędzi życia i śmierci, bo sami na niej nieustannie balansowali. Zmieniałam ich równie często co miejsca pobytu, ale nigdy się nie nauczyłam, jak dokonywać korzystnego handlu wymiennego. Thom był najlepszy z nich wszystkich i jedyny, którego kochałam od czasów Jima.

Teraz miałam w zanadrzu jedynie kilkaset dolarów i starego kolta dziadunia. Szybko zostanę bez grosza przy duszy, zżerana przez poczucie kompletnego osamotnienia w jakiejś dziurze zabitej dechami, bezskutecznie walcząc o poczucie bezpieczeństwa. Zbliżałam się już do trzydziestki i to się nie zmieni, bez względu na to, co będzie głosić dowód tożsamości wystawiony na nazwisko Ivy.

Ile minie czasu, zanim pewnej mrocznej nocy zatęsknię za demonym, którego poznałam tak dobrze, pozwolę, by zawładnęła mną Ro Grandee i poszła do niego zadzwonić? Ona natychmiast by mu zdradziła, gdzie się ukryłam. Powiedziałyby: „Przyjedź po mnie, Thom”, i w jego rękach pozostawiła decyzję, co z tym fantem zrobić. Wróżbiarka ostrzegała, że z tego małżeństwa nie ma łatwej ucieczki, że będę musiała wybierać - on albo ja.

Na razie jednak sprawa była bezprzedmiotowa, bo nie mogłam znaleźć tej cholernej karty Wrzuciłam wszystko z powrotem do pudła. Okradanie pani Fancy, szczególnie po tym, jak okazała mi dziś tak wiele ciepła i dobroci, wydawało się niewybaczalnym grzechem. Po prostu przede wszystkim muszę odszukać Jima. Zamknęłam pudło i wstałam, żeby odłożyć je na miejsce. Nie zauważyłam jednak, że Phil chwilę wcześniej zeskoczył z łóżka - ledwo dałam krok, wplątał mi się między nogi. Nie chcąc go rozdeptać, wychyliłam się gwałtownie do przodu, wieczko spadło z kartonu, a jego zawartość wleciała łukiem w powietrze.

Buciki uderzyły głucho o podłogę. Akt urodzenia poszybował koślawo w bok, niczym marnie skonstruowany, papierowy samolocik. Srebrny kubeczek oddzielił się od łyżeczki i toczył po deskach, póki nie zatrzymała go ściana. Grzechotka i króliczek z dzwoneczkiem w brzuchu upadły obok siebie z cichym brzękiem. Wszystko znalazło się na podłodze w sekundę, najwyżej dwie. Z jednym wyjątkiem. Karta Ubezpieczenia Społecznego, wcześniej ukryta w Albumie Malucha, wysliznęła się spomiędzy kartek i powoli sfruwała w dół, miękko falując w przód i w tył, niczym skrzydło ćmy.

Zanim opadła, zdążyłam pomyśleć „rzut monetą”.

Rzuciłam się na kolana i zaczęłam zbierać rozsypane pamiątki, jednak przez cały czas nie spuszczałam wzroku z karty. Wylądowała zadrukowaną stroną do góry Zamarłam w pół gestu. Przypomniałam sobie dzień spotkania z matką na lotnisku: w chwili, gdy skrzyżowały się nasze spojrzenia, miała ochotę natychmiast brać nogi za pas, ale wtedy rozsypały się karty tarota i spadły na ziemię kolorami do dołu - wszystkie, z wyjątkiem jednej.

I właśnie ta jedna karta kazała matce zostać. Nie dowiedziałam się, co przedstawiała, ale jej przesłanie wpłynęło na postępowanie matki, a także na moje życie. Teraz karta Ivy upadła zadrukowaną stroną do góry. Może to też był jakiś ważny znak.

Zbliżyłam się do dokumentu na kolanach i obrzuciłam uważnym spojrzeniem. Kiedy wcześniej miałam w rękach akt urodzenia,

prześliznęłam jedynie wzrokiem po imieniu „Ivy” i po dacie urodzenia, skupiłam się natomiast na wpisie „Janine Fancy Wheeler”. Teraz, patrząc na kartę Ubezpieczenia Społecznego, natychmiast dojrzałam istotne dla mnie przesłanie. Przesłanie jasne i oczywiste, nieskrywające się pod postacią płonących wież czy skrzyżowanych mieczy. Pomiędzy niebieskimi i czerwonymi ozdobnikami, znajdowało się dziewięć grubych, czarnych cyfr, a pod nimi trzy słowa wybite prostą czcionką równie ciemnym tuszem: Ivy Rose Wheeler.

Janine nazwała swoją córeczkę Ivy ROSE.

Zostawiłam kartę tam, gdzie leżała, sięgnęłam natomiast po mały plastikowy woreczek. Otworzyłam go i delikatnie wyjęłam ze środka kosmyk niemowlęcych włosów, spiętych różową klamerką o bardzo gęstych zębach, zdolnych utrzymać cienkie pasemko. Włosy były ciemne, ale ostatecznie wiele dzieci rodzi się z kruczoczarnymi włosami, które potem jaśnieją pod wpływem słońca, bądź całkiem wypadają, ustępując miejsca włosom brązowym, rudym lub blond.

Jednak kosmyk, który miałam w ręku, wyglądał inaczej. Był głębokiej czekoladowej barwy, błyszczący niczym futro norki. Pochyliłam głowę, aż końcówki włosów opadły mi na twarz, i przytknęłam do nich kosmyk Ivy. Stopiły się w jedno, tak identycznej były barwy.

Pół godziny wcześniej pani Fancy zatknęła mi czule włosy za ucho i gładziła je palcami, gdy opowiadała, że chciałaby dla mnie o wiele lepszego życia.

- Jasna cholera! - rzuciłam w stronę najbliższej ściany.

Zapakowałam resztę rzeczy Ivy z rewerencją, na jaką zasługiwały. Włożyłam kosmyk z powrotem do woreczka i starannie usunęłam z niego powietrze. Sprawdziłam, czy na srebrnym kubeczku nie ma żadnych wgnieceń. Odłożyłam na bok akt urodzenia i kartę Ubezpieczenia Społecznego, po czym wsunęłam pudło na swoje miejsce.

Dokumenty schowałam do własnej torebki. Jutro pojedę do Wydziału Komunikacji i wyrobię prawo jazdy dla Ivy. Muszę tylko znaleźć jakichś mieszkających w Amarillo Wheelerów i ukraść im pocztowe przesyłki reklamowe, żeby posłużyły za dowód miejsca zamieszkania.

W ten sposób popełnię poważne przestępstwo, jednak dopiero moje pierwsze, ponieważ zabranie tych dokumentów z domu pani Fancy nie będzie kradzieżą. Staruszka powiedziała: „Bierz wszystko, co mogłoby ci się przydać”, a teraz najbardziej potrzebowałam tożsamości Ivy Rose.

Jednak zanim zrobię z niej dobry użytek, muszę się cholernie postarać, żeby Ro Grandee nie miała już do czego wracać.

Z nowym prawem jazdy będę mogła podróżować niczym duch. Znajdę Jima, przypomnę mu, jaka jest prawdziwa Rose Mae, i nakłonię go, by spalił za mnie wszystkie mosty. Gdy Thom zniknie, a jego miejsce zajmie Jim, zyskam szansę odrodzenia się na nowo jako lepsza, sympatyczniejsza kobieta. Jeżeli nie będzie do czego wracać, wraz z Jimem odzyskamy wreszcie wolność.

Rozdział 9

Znalazłam go, chociaż zajęło mi to dziesięć długich dni.

Każdej nocy odgrywałam przed Thomem własną wersję Szeherazady - pokazywałam, jak się rznąć na tysiąc i jeden sposobów, co uwalniało go od napięcia po powrocie z pracy w Grand Guns. Mnie samą też rozluźniał ten niekończący się maraton brutalnego seksu, po którym padałam równie wyczerpana jak po pobiciu, jednak ani w dziesiątej części nie tak obolała. Thom raz mnie uderzył, ale to było tylko niedbałe plaśnięcie z backhandu. Innego dnia, po konfrontacji ze swoim ojcem, pchnął mnie z całej siły na ścianę. Jednak te drobne utarczki trudno nawet uznać za warte wzmianki; dobiegały końca, zanim się na dobre rozpoczęły

Thom ani razu nie wpadł w aż taką złość, by spełnić przepowiednię tarotowej wróżby i mnie wykończyć, ja zaś nie wściekłam się na tyle, żeby zaprawić jego owsiankę udrażniaczem do rur, po czym butnie, w poczuciu dobrze spełnionej zemsty, powędrować za kratki. Wraz z zachodem słońca przenosiliśmy codzienne frustracje na materac w małżeńskiej sypialni i dobrze dawaliśmy sobie w kość. Dzięki tym nocom zyskiwałam kolejne dni, które wykorzystywałam na tropienie Jima ze słuchawką telefonu pani Fancy przy uchu.

Dziesiątego dnia wiedziałam już dokładnie, gdzie się podziewał.

- Zmieniłaś się - zauważył Thom tego samego wieczoru, po zapadnięciu ciemności.

Leżeliśmy obok siebie na łóżku, przedzieleni jedynie kilkoma centymetrami chłodnego powietrza, osuszającego pot na mojej skórze. Jakieś dwie minuty po tym, gdy wrzasnęłam na całe gardło i stoczyłam się z Thoma, Gruba Gretel, ze swoim nienagannym wyczuciem czasu, wskoczyła na łóżko i ułożyła się przy moich nogach. Pochrapywanie kochanej psiny i bijące od niej ciepło już prawie ukołysały mnie do

snu, ale na dźwięk podejrzenie beznamiętnego głosu Thoma, oczy rozwarły mi się szeroko i zadrżały wszystkie zakończenia nerwowe.

- Mam po prostu nową fryzurę - odparłam. - I kilka nowych bluzek.

- Zmieniłaś się tutaj - oznajmił Thom i dla ilustracji swojej tezy trzasnął ręką w dzielący nas skrawek materaca.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Noc w noc, Ro. Nawet jak na nas to sporo.

- Czyżbyś narzekał? - spytałam pełnym niedowierzania tonem, unosząc się lekko na łokciu.

Wydał z siebie krótkie, niskie parsknięcie. W tych ciemnościach nie widziałam, czy to wyraz rozbawienia, czy sarkazmu.

- Nie. Ale ta pozycja, gdy byłaś do mnie tyłem...

- Odwróconej Kowbojki? - mruknęłam i rozłożyłam się płasko na plecach.

- Właśnie ta - potwierdził, a ja w tej samej chwili wykrzyknęłam „Wista wio!”, siląc się na nutę frywolności.

Thom jednak mówił dalej, jakbym w ogóle się nie odezwała.

- Wcześniej tego nie lubiłaś. A ostatnio na dodatek robisz te różne rzeczy zębami, wymyślnie zaciskasz nogi. To coś zupełnie nowego.

Teraz już wyraźnie widziałam, dokąd to wszystko zmierza. Kiedy żona wprowadza nowe sztuczki w łóżku, pewien typ mężczyzny zaczyna się zastanawiać, gdzie się ich nauczyła. Przewróciłam się na bok, żeby na niego spojrzeć. Moje oczy przywykły już do mroku. W poświacie księżycy, wpadającej przez cienką firankę, widziałam na tle okna rzymski profil, ale było zbyt ciemno, bym dostrzegła wyraz twarzy Thoma. Nie musiałam go jednak widzieć, bo i bez tego wiedziałam, jaka myśl krąży mu po głowie. *Kim on jest.*

Nawet wyrażone w najbardziej zawołowanej formie, to było zawsze najgroźniejsze pytanie. Najgorszy omen. Teraz stało się tym groźniejsze, że w odpowiedzi nie mogłam już szczerze wygłaszać niekończących się zapewnień Ro o małżeńskiej wierności. Obecnie

prawdziwa odpowiedź musiałaby brzmieć: Nazywa się Jim Beverly i za cztery dni, gdy razem z tatusiem wybierzesz się na targi broni do Houston, ja pojedę do Chicago, gdzie będę się do upadłego pieprzyć z Jimem, aż w końcu przypomni sobie wszystkie swoje obietnice. I wówczas go odbije.

„Odbiję” było słowem jak najbardziej trafnym, ponieważ Jim żył w grzechu z pewną dziewczyną z Fruiton. Nazywała się Arlene Fleet i nawet do głowy mi nie przyszło, by umieścić ją na swojej liście, mimo że dobrze pamiętałam tę chudą, ciemnoooką mysz. Jim nigdy oficjalnie z nią nie kręcił, chociaż wieść gminna niosła, że Arlene rozkłada nogi przed wszystkimi zawodnikami drużyny futbolowej i połową męskiej populacji hrabstwa na dodatek. Ja jednak zapamiętałam ją z zupełnie innego powodu - była jedyną osobą z Fruiton High, która kiedykolwiek podejrzewała mnie o skłonność do kradzieży.

Najprawdopodobniej widziała, jak podprowadziłam czekoladowe ciastko jej ładnej kuzynce, Clarice. Clarice była długonogą blondynką o skórze koloru miodu i z NIAJ Jim Beverly rzeczywiście się umawiał podczas jednego z naszych rozstań. Ilekroć patrzyłam na Clarice, dochodziłam do wniosku, że jej uśmiech jest głupawy, zbyt szeroki, zbyt biały i zbyt przymiłny - innymi słowy w moich oczach wyglądała na owoc miłostnego związku labradora z kanibalem. Mimo to wielu chłopaków na nią leciało - wliczając w to mojego.

Podprowadzenie tego ciastka było zbrodnią bez ofiar, ponieważ nigdy w życiu nie widziałam, żeby Clarice tknęła jakiś deser. Zamierzałam podłożyć czekoladowy wypiek do smutnej, papierowej torby tego nieszczęsnego dzieciaka, któremu matka - maniaczka zdrowego żywienia - pakowała codziennie na lunch chleb orkiszowy z masłem orzechowym i jogurt domowej roboty, śmierdzący jak niemowlęce rzygi.

Przeszłam obok stolika swoim sennym, podwodnym krokiem i ukryłam ciastko w dłoni. A gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam wpastrzone we mnie wielkie oczy Arlene Fleet - czarne, błyszczące, zwierzęce. Od tamtego dnia miałam wrażenie, że ta dziewczucha snuje się po kątach każdego pomieszczenia, w którym się znalazłam, i wodzi za mną

tym samym rozgorączkowanym, oskarżycielskim spojrzeniem. Jednak nie przemknęło mi nawet przez myśl, aby wpisać ją na swoją listę, ponieważ zupełnie nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że cokolwiek mogłoby łączyć taką miernotę jak Arlene Fleet z moim gwiazdorem futbolu. Tymczasem teraz on należał do niej. Co jednak już nie potrwa długo. Jeżeli dzięki tłustym potrawom i wyuzdanemu seksowi zdołam utrzymać Thoma w ryzach przez następne cztery dni - do jego wyjazdu na targi w Houston - wybiorę się do Chicago i odbiję Jima z rąk Arlene.

- Kotku - odezwałam się. - Skarbie. To naturalne, że ostatnio jest inaczej. Przecież odstawiłam pigułki.

Thom odwrócił się w moją stronę. Teraz księżyc oświetlał tył jego głowy i zmieniał blond włosy w pozłocistą aureolę. Twarz Thoma pogrążyła się w całkowitej ciemności, za to na moją padał blade blask. Oczy zapewne rozbłysły mi w mroku - jak u dzikiego kota - i ów świetlny refleks nie pozwalał Thomowi odczytać ich wyrazu.

- Myślałem o tym - odparł z wolna. - I doszedłem do wniosku, że z tego powodu kobieta powinna stać się bardziej... uczuciowa.

Parsknęłam głośnym śmiechem, ostrzejszym, niż zamierzałam.

- Mamy robić dziecko tak, jak pokazują w telewizji? Powoli? Pod koldrą? Marzysz o misjonarskiej pozycji, Thom? Jeżeli chcesz, mogę się wpatrywać w ciebie rzewnym wzrokiem i gdy mnie ujeżdżasz, rozmyślać o pampersach. Czy tego właśnie sobie życzysz?

- O nie, wielkie dzięki. Nawet tak nie mów. Po prostu myślałem, że będziesz chciała, byśmy poczęli dziecko w bardziej romantyczny sposób.

- Nie mam nastroju do romantyzmu. Czuję, jak budzą się we mnie... pierwotne instynkty

- To nawet ślepy by zauważył, Kowbojko - mruknął, a po tonie jego głosu rozpoznałam, że uśmiecha się pod nosem.

- Dla ciebie Odwrócona Kowbojko, koleś - odparłam, siląc się na uśmiech.

- Czysty „National Geographic”. Uprawiamy dziki seks, ponieważ tak ci każe pierwotny instynkt.

- Jasne - odparłam z pełnym przekonaniem, bo ostatecznie nie było niczego bardziej pierwotnego od dążenia do przetrwania. Natomiast prokreacja w naszym wypadku w ogóle nie wchodziła w grę. Ivy Wheeler, dumna posiadaczka prawa jazdy wydanego przez prześwietny stan Teksas, ledwo usiadła za kółkiem, ruszyła w stronę Kliniki Planowania Rodziny. Uciekając się do oszustwa w postaci fałszywego dowodu tożsamości, zaopatrzyłam się w pigułki antykoncepcyjne, których koszt nie obciąży polisy ubezpieczeniowej Thoma. Ich trzymiesięczny zapas leżał teraz ukryty pod umywalką, w pudełku po tamponach, które niestosownie dzielił ze świecą wotywną i różańcem, wyciąganym przeze mnie co rano do odmówienia modlitwy pokutnej za połknięcie kolejnej pigułki.

- Jasne - powtórzyłam. - Jesteśmy parą lampartów płodzących małe lamparciątka. Rekinami mającymi wydać na świat kolejne stado rekinów.

- Jeżeli chcesz to robić jak lamparcie rekiny, jestem do twoich usług - rzucił Thom już lekkim tonem, jednak minęło dobre pół minuty, zanim się z powrotem położył.

Kim on jest zostało chwilowo oddalone, ale nie zniknęło na dobre. Thom tęsknił do swojej Ro; do tej kobiety, której słodki szczebiot mógł się w każdej chwili przerodzić w zjadliwą ironię; która go roztkliwiała swoją uległością, by za chwilę przyprawić o atak wściekłości. Nie zamierzałam stać się na powrót tamtą kobietą. Nie mogłam sobie pozwolić, aby Ro mną zawładnęła choćby na pół minuty. Problem w tym, że niespodziewanie powrócił ulubiony refren Thoma, a to oznaczało, że nie pozostało mi już wiele czasu.

Poszukiwania Jima trwały zbyt długo. Jednak niewiele mogłam na to poradzić - byłam zdana jedynie na informacje od ludzi z mojego dawnego świata, głównie chłopaków z drużyny futbolowej. Bo bardzo szybko się przekonałam, że nie ma sensu dzwonić do dziewczyn, szczególnie tych, z którymi Jim kiedykolwiek się prowadzał. Dobitnie sobie to uświadomiłam, gdy zdołałam dotrzeć do Dawny Sutton.

Dawna pracowała obecnie w opiece społecznej w Bostonie i zakończyła ze mną rozmowę po czterdziestu sekundach, oświadczając:

- Owszem, pamiętam twojego zaginionego chłopaka, tego zasranego sukinsyna. Mam nadzieję, że zdechł już dawno temu i teraz smaży się w najgłębszych czeluściach piekła. Gdy zaś chodzi o ciebie, nie przypominam sobie, żebyś przez wszystkie lata szkoły zamieniła ze mną więcej niż dziesięć słów. Tymczasem mam tutaj niemowlę na heroinowym głodzie, które dziś rano ktoś wrzucił do śmietnika, i muszę jak najszybciej znaleźć dla niego dom. Więc możesz sobie wsadzić gdzieś tę gadkę o „starych dobrych czasach”.

Po czym trzasnęła słuchawką.

Żadna z dziewczyn, z którymi kręcił Jim, nie miała powodu, by potraktować mnie w bardziej przyjazny sposób, dlatego postanowiłam trzymać się tych, co zawsze mieli do mnie słabość.

Po kilku dniach bezowocnych rozmów z chłopakami obecnymi wraz z Jimem na balandze u Missy, udało mi się złapać Buda Freemana, dawniej czołowego linebackera szkolnej drużyny, obecnie dumnego małżonka Clarice Lukey, która - sądząc po odgłosach dochodzących z ich domu - urodziła mu z tysiąc wściekłych bachorów. Nikt, z kim do tej pory rozmawiałam, nie miał pojęcia, gdzie Jim spędził te kilka godzin, które upłynęły od czasu, gdy wyszedł od Missy do chwili, gdy rozbił swojego jeepa. Dowiedziałam się tego dopiero od Buda. Wędrując aleją wspomnień i przekrzykując dzikie wrzaski spłodzonej przez siebie hordy, rzucił tę informację w przelocie, niemalże od niechcenia.

Według Buda w noc swojego zniknięcia Jim pojechał z Arlene Fleet na Lipsmack Hill. Nagle zabrakło mi powietrza. Lipsmack Hill. Z Arlene Fleet. Doskonale wiedziałam, że na Lipsmack Hill jeździło się tylko z jednego, jedyne go powodu. Ostatecznie to właśnie na szczycie tamtego wzgórza, rozłożeni na piknikowym kocu, straciliśmy z Jimem niewinność.

Zapytałam Buda o numer telefonu Arlene, na co prychnął kpiąco:

- Nie zechce z tobą gadać. Niemal dziesięć lat temu wyniosła się z Alabamy i od tamtej pory nie widzieliśmy nawet czubka jej nosa.

- Chyba żartujesz - rzuciłam. I w tej samej chwili powróciło do mnie pewne wspomnienie. W czasie jednego z naszych rozstań banda cheerleaderek, chcąc mi dopiec do żywego, oświadczyła grupowo, że widziały Arlene w futbolowej kurtce Jima. Dodały jeszcze, że Jim prowadzi się z Arlene po korytarzach szkoły w czułych objęciach. Rzuciłam wówczas lekkim tonem: „Zapewne z litości”, ale było tak, jakby ktoś mi wymierzył spiczastym łokciem silnego kuksańca w nerki. Ponieważ jednak kilka dni później znowu zeszedliśmy się z Jimem, całą historię natychmiast puściłam w niepamięć.

- Wiesz może, gdzie mieszka? - spytałam Buda.

- W Chicago. I nie chce mieć nic wspólnego z nikim z naszych stron. Mówię ci, Rose Mae, ona do szczętu sfiksowała.

- Chcesz powiedzieć, że siedzi u czubków?

Wbrew pozorom to pytanie wcale nie było od rzeczy. Matka Arlene spędziła niejedne „wakacje” w szpitalu psychiatrycznym w Deer Park.

Bud zarechotał cicho.

- Aż tak to chyba nie. Co nie zmienia faktu, że jej kompletnie odbiło. W ogóle nie odwiedza matki. Od lat nie rozmawiała z Clarice przez telefon dłużej niż przez minutę, a przecież w szkolnych latach były praktycznie nierozłączne. Wtedy nawet na kilka sekund nie mogłam mieć Clar tylko dla siebie.

Przyjmowałam te rewelacje w milczeniu. Ostatecznie sama związałam z Alabamą w takim tempie, jakby cały stan ogarnęły płomienie, a z rodzonym ojcem nie rozmawiałam od ponad dekady. Toteż dla mnie zachowanie Arlene z powodzeniem mieściło się w standardach normalności.

- Wyszła za mąż? - zapytałam. I natychmiast przypomniałam sobie coś jeszcze. Kiedyś osobiście, na własne oczy, widziałam Arlene razem z Jimem w kinie.

Bud powiedział, że wciąż jest panną - uczy angielskiego w jakimś wielkim stanowym college'u w centrum Chicago - ale ma facecika na stałe, który jest na tyle u niej zadomowiony, że bez żenady odbiera telefon. Natomiast sama Arlene nigdy ani słowem się nie zająknęła

na jego temat. Jakby w ogóle nie istniał. Nie wiadomo więc, kto zacz. A nawet jak ma na imię.

Musiałam przetrwać uzyskane informacje. W noc zniknięcia Jima Arlene była z nim na Lipsmack Hill. W szkole przez wiele miesięcy laziła za mną krok w krok, śledziła mnie... jak to się zdarza zazdrośnym rywalkom. Nosiła kurtkę Jima. Widziałam ich razem w kinie. Arlene uciekła z Alabamy tak samo jak Jim, a potem ja - gdy tylko stało się to możliwe. Teraz mieszkała na drugim końcu kraju z jakimś tajemniczym mężczyzną. Nigdy nie przyjeżdżała do domu. I nikomu z rodziny nie pisnęła ani słowem o swoim facecie.

Kiedy już się rozłączyłam z Budem, uderzyła mnie jeszcze jedna myśl: Arlene i ja byliśmy dokładnie w tym samym typie. Inne dziewczyny, z którymi umawiał się Jim, różniły się ode mnie jak dzień od nocy: były wysokimi blondynkami lub równie wysokimi rudzielcami. Tylko Arlene miała ciemne włosy, była niska i bardzo drobna niczym moja kserokopia, tyle że wyblakła, o rozmazanych konturach, jakby odbita na zdezelowanej maszynie.

Ponownie podniosłam słuchawkę telefonu pani Fancy i wystukałam 411.

- Chicago, Illinois - rzuciłam po zgłoszeniu się telefonistki. - Potrzebny mi adres i numer telefonu Arlene Fleet. Przez dwa „e”.

Mówisz, masz. To było dziecinnie proste. Arlene powinna na zawsze odciąć się od rodziny, zmienić nazwisko, przybrać nową tożsamość, wykonać ten sam manewr, co ja przed laty - ten sam, który wkrótce zamierzałam powtórzyć. Wybrałam jej numer. Odebrała po trzech dzwoneczkach.

- Halo0000?

Czysta, prowincjonalna Alabama. Niemal dziesięć lat w Chicago, a akcent Arlene Fleet w ogóle nie uległ zmianie.

- Halo0000? - powtórzyła. Brzmiała dokładnie jak ja, zanim w moim gardle zagnieździły się teksańskie zgłoski.

W tle usłyszałam męski głos, zadający jakieś pytanie z drugiego końca pokoju. Był głęboki, niski, nie miał w sobie niczego chłopięcego.

Wyteżyłam słuch. Niewykluczone, że to Jim. Starszy, rozrośnięty, o dużo szerszej piersi; mogłam sobie wyobrazić, że teraz miałby taki tembr głosu. Ale na jego podstawie nie umiałam zdecydować, czy to mój gwiazdor futbolu. Dopiero po gorączkowej reakcji Arlene nabrałam tej pewności. Natychmiast go uciszyła nerwowym sykiem. Po czym znacznie głośniejsz, z lęklwym zatroskaniem, rzuciła w słuchawkę:

- Kto mówi? Kto mówi?!

A więc teraz Jim należał do niej. I choć upłynęło tak wiele lat, wciąż go ukrywała.

- Wykręciłam zły numer, przepraszam - odparłam, siląc się na dymną barwę głosu i czysto jankeską wymowę. Zabrzmiało to mniej więcej tak, jakby gadał jakiś Muppet dotknięty ciężką chrypą, ale zadziałało.

- Nie ma za co - odpowiedziała ze zbyt wyraźną ulgą i nieco zbyt szybko odłożyła słuchawkę.

Ja natomiast triumfowałam. Dobrze wiedziałam, dlaczego Jim związał się z Arlene: ponieważ przypominała mu o mnie. W czasach licealnych jej uroda znajdowała się w fazie embrionalnej. Ale gdyby nabrała trochę ciała, wyhodowała większe cycki i nauczyła się uśmiechać, byłybyśmy nawet całkiem do siebie podobne. Ogarnęło mnie podniecenie. Jim Beverly nigdy nie zapomniał o Rose Mae. W uszach dźwięczał mu mój głos, ilekroć słyszał charakterystyczny, gęsty akcent Arlene; pod palcami czuł moją skórę, ilekroć brał w ramiona jej filigranowe, blade ciało. Żył z moim cieniem, ale teraz mógł dostać z powrotem swoją prawdziwą Rose-Pop. Pojadę więc do Chicago i zapukam do ich drzwi. A kiedy w progu stanie Jim Beverly, odbiję go Arlene. Tak po prostu.

Te cztery dni, które pozostały do wyjazdu Thoma na targi broni, były chyba najcięższe w moim życiu. Thom widział, że coś się święci, wyczuwał, że napędza mnie jakaś głęboko ukryta, przyprawiająca o euforię intencja. Nie miał pojęcia, co się za tym kryje, ale jedno go był pewien: bardzo mu się to wszystko nie podobało. Ja tymczasem brałam wszelkie możliwe zmiany w Grand Guns. Zaaranżowałam

wspólną kolację z Margie i Larrym, a nawet ochoczo zaoferowałam, że wspólnie z Thomem wysprzątam garaż jego matce. Wymyślałam mnóstwo aktywności, byle Thom nie miał czasu na rozmyślania, i nieustannie otaczałam się ludźmi, aby nie mógł rozerwać mnie na strzępy i zobaczyć, że w moim sercu wyryte jest nowe imię.

W poranek jego wyjazdu do Houston czułam się jak podczas końcowego odliczania przed wystrzeleniem w kosmos. Gdy brał prysznic, wymknęłam się na dwór z nożem ostrym jak brzytwa i przecięłam kabel telefoniczny. A kiedy Thom wyszedł z łazienki, wycierając włosy ręcznikiem, stałam ze słuchawką telefonu w ręku i piorunowałam ją wzrokiem.

- Nie ma sygnału - mówiąc to, nie odwróciłam się w stronę Thoma, tylko raz po raz uderzałam palcem w widelki i gniewnie wydymałam usta.

On naturalnie musiał osobiście zbadać sprawę. Kilka razy potrząsnął słuchawką, a gdy już się upewnił, że naprawdę jest głucha, zaczął kląć siarczyście. Podeszłam i w kojącym geście położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Daj spokój, skarbie, bo się spóźnisz na samolot. Zawiozę cię na lotnisko, a potem z najbliższej budki telefonicznej ściągnę kogoś do naprawy.

- Jak tylko wylądujemy, zadzwonię do ciebie do sklepu.

- Dzisiaj nie pracuję - odparłam.

Posłał mi przeciągłe, beznamiętne spojrzenie. Ogarnął mnie strach; widziałam, że w jego głowie zaczęło się obracać niebezpiecznie dużo trybików.

Podczas jazdy na lotnisko musiałam się bardzo starać, żeby utrzymać ręce spokojnie na kierownicy, nie wiercić się i nie podrygiwać. Wbijalam wzrok w jezdnię przede mną, podczas gdy samochód systematycznie pokonywał ostatnie kilometry dzielące mnie od chwili wolności.

- Kotku, oczy błyszczą ci jak w gorączce. Czy przypadkiem nie jesteś chora? - spytał nagle Thom.

- Nic mi nie dolega.
- Jesteś dziwnie cicha.
- Nic mi nie dolega - powtórzyłam z naciskiem, po czym szybko skręciłam na parking przy stacji benzynowej, otworzyłam drzwi i zwróciłam całe śniadanie.

- Właśnie widzę, w jak świetnej jesteś formie - rzucił sarkastycznie Thom.

Zbyłam jego uwagę machnięciem dłoni i ponownie się porzygałam.

Kiedy w końcu się wyprostowałam, patrzył na mnie z miną, w której zatroskanie mieszało się z „a nie mówiłem”.

- Chcesz, żebym został z tobą w domu?

To było czysto kurtuazyjne pytanie, bo tylko katastrofa na miarę jednej z dziesięciu plag egipskich mogła nakłonić Joego do zwolnienia syna z tego wyjazdu. Leciutkie torsje żony podczas jazdy na lotnisko z pewnością do tej kategorii się nie zaliczały. Mimo to praktycznie wrzasnęłam:

- Na Boga, w żadnym razie!

Zareagowałam zbyt szybko i zbyt gwałtownie. Thom natychmiast napęczniał z gniewu.

- Zdaje się, że już nie możesz się doczekać wyjazdu męża z miasta.

Jego całe ciało stężało niczym pięść zaciśnięta do ciosu.

Westchnęłam żałośnie i powiedziałam:

- Żadna kobieta nie chce, żeby jej mężczyzna patrzył, jak wymiotuje. Nic skuteczniej nie zabija aury tajemniczości.

Westchnęłam raz jeszcze, próbując się wcielić w rolę omdlewającego łabędzia. Powinam wypaść wiarygodnie, wziąwszy pod uwagę, jak bardzo byłam spięta i jak bardzo zgęstniała atmosfera w samochodzie.

- Ale JEŚLI jesteś chora... - Thom położył silny nacisk na „jeśli”. „Kim on jest” wśliznęło się do naszego auta - jedyne pytanie, które mogło nakłonić Thoma do olania Joego i pozostania w domu.

Widziałam, że nadciąga fatum: przepowiednia tarota musiała się wypełnić. Pozostała tylko nadzieja, że zdołam ją odwlec w czasie,

jakoś wepchnąć Thoma na pokład samolotu, a potem pojechać po Jima i odgrodzić się nim od męża.

- Może wcale nie jestem chora? Może to coś zupełnie innego - rzuciłam desperacko. - Ostatecznie bardzo usilnie nad tym pracowaliśmy.

Przez chwilę nie wiedział, o czym mówię, ale w końcu zaskoczył i ściągnął brwi.

- Tak szybko?

- Czemu nie? - Walczyłam jak lwica. - Mogliśmy się wstrzelić za pierwszym podejściem.

- To naprawdę możliwe? - zapytał z powątpiewaniem, ale zauważyłam, że nieznacznie rozluźnia ramiona. Natychmiast porzuciłam pozę omdlewającej cierpiętnicy na rzecz kwitnącej entuzjastki przy nadziei.

- Jasne! Według Larry'ego sperma Grandeech ma tak niesamowitą moc, że zapylił Margie czystym przypadkiem, jak nieopatrznie podeszła, gdy stał pod wiatr i rozmyślał o Cindy Crawford. Może ty też tak masz.

Oczy mu rozbłysły i machinalnie się pochylił, żeby mnie pocałować. Szybko zakryłam usta dłonią.

- Fuj, nie rób tego, skarbie. Potrzebuję gumy do żucia - powiedziałam, a Thom wybuchnął całkiem szczerym śmiechem.

Dwie godziny po tym, jak odleciał razem z Joem na południe Teksasu, siedziałam w samolocie do Chicago i ponownie rzygałam, tym razem w papierową, woskowaną torebkę. Szczęśliwie w sąsiednim fotelu siedziała czyjaś zaprawiona w bojach babcia, która poklepywała mnie pokrzepiająco po plecach i powtarzała: „No już, wyrzuć to z siebie, skarbie. Od razu poczujesz się lepiej”, po czym kazała mi wypić butelkę wody gazowanej.

Pociąg z lotniska dowiózł mnie do stacji w samym centrum Chicago. Po wyjściu z dworca znalazłam się pośród wysokich stalowych konstrukcji, wyrastających bezpośrednio z betonu. Ulice, proste jak pod linijkę, dzieliły zabudowę na idealnie równe kwartały. Miałam ze

sobą mapę miasta, na której wcześniej wyznaczyłam trasę do domu Arlene Fleet. Maszerowałam energicznie, wymachując dużą makramową torbę. Poza rzeczami, tradycyjnie znajdującymi się w damskich torebkach, miałam w niej ubranie na zmianę, puszkę gazu pieprzowego, pochodzącą z działu środków samoobronnych Grand Guns, oraz bilet, w którym widniało czarno na białym, że niejaka Ivy Rose Wheeler leci nazajutrz rejsem powrotnym do Teksasu.

Siłą nawyku uśmiechałam się do zmierzających z naprzeciwka przechodniów, ale ich spojrzenia ześlizgiwały się na boki, jakby moja skóra była powleczonea smarem. I każdy zdawał się czymś bardzo zaaferowany - zarówno mężczyzna rozmawiający przez komórkę, jak stadko ładnych dziewczyn w dżinsach czy chuda kobieta, która niemal staranowała mnie dużą teczką. Wszyscy z determinacją dążyli do jakiegoś celu równym, nieprzerwanym strumieniem - niczym mrówki.

Przywodzili na myśl mechanizm pięknej maszynerii: kółka się obracały i zahaczały zimnymi zębami o inne kółka - obojętnie, beznamiętnie. W niczym nie przypominało to małych miasteczek Alabamy, gdzie miejscowe gazety zamieszczały sążnisty reportaż, jeżeli tylko czyjaś matka głośniej pierdnęła w kościele.

Nawet w stosunkowo dużym Amarillo nie mogłam liczyć na anonimowość. Do diabła, byłam przecież synową Joego Grandeeego, który w pięciokrotnym powiększeniu widniał aż na trzech ogromnych billboardach - w uśmiechu szczyrzył zęby niczym opos i niańczył w objęciach piękną strzelbę. Nad jego głową widniały wielkie litery: WSZYSCY ZNACIE JOEGO!, a przez jego pierś biegł napis: GRAND GUNS. WSPANIAŁA BROŃ DLA WSPANIAŁYCH MĘŻCZYZN. Wyolbrzymione oczy Joego zdawały się bacznie mnie śledzić, ilekroć przejeżdżałam obok jednej z tych koszmarnych reklam.

Chodząc po mieście, szczególnie w towarzystwie Thoma, także czułam się osaczona i śledzona spojrzeniami ludzi, z których większość rzeczywiście znała Joego. Natomiast Arlene przez dziesięć lat udawało się skutecznie ukrywać w Chicago. Poczułam, jak gdzieś

w moich trzewiach rodzi się brzydkie uczucie, i ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że to zazdrość. Gdyby w liceum ktoś mi powiedział, że pewnego dnia będę przechodzić obok pięćdziesięciopiętrowego wieżowca, drząc z zimna w koszuli z lat siedemdziesiątych i szczerze zazdrościć Arlene Fleet - uśmieiałabym się do rozpuku.

W czasach szkolnych Arlene była przeraźliwie chudym stworzeniem, przemykającym niepostrzeżenie pod ścianami, płochliwym jak mysz. W dzieciństwie zdarzało mi się zazdrościć nawet sierotom głodującym w najodleglejszych zakątkach Chin, ale nigdy nie ogarniało mnie to uczucie na myśl o życiu Arlene Fleet. Jej rodzicielka raz po raz lądowała w psychiatryku, a matka kompletna wariatka to coś nawet gorszego od matki, która postanowiła się ulotnić.

A potem Arlene przyjechała do tego obcego miasta i pozwoliła, by ją wchłonęło, uczyniło nierozpoznawalną. Nagle dotarło do mnie, że chwilowo ja także tkwię anonimowo w brzuchu tego molocha. Nikt na świecie nie miał pojęcia, gdzie obecnie się podziewa żona Thoma Grandeeego. Gdyby przejechał mnie samochód, fałszywa tożsamość Ivy zaprowadziłaby wszystkich donikąd. Na ten jeden dzień, ponad tysiąc kilometrów od domu, ja także zapadłam w niebyt.

Wyznaczona trasa wyprowadziła mnie z usianego drapaczami chmur, biznesowego centrum Chicago. Teraz ulice były mniej zatłoczone, a wysmukłe stalowe budowle ustąpiły miejsca kawiarniom i greckim restauracjom. Na papierze droga do domu Arlene wydawała się zdecydowanie krótsza. Coraz bardziej żałowałam, że nie poświęciłam czasu na opracowanie alternatywnej trasy autobusowej. Chłód chodnika przenikał przez cienkie podeszwy należących do Ro Grandee balerinek, aż w końcu miałam wrażenie, że stąпам po ostrych szpilkach.

Przystanęłam przed wypożyczalnią wideo, żeby raz jeszcze przestudiować mapę. Wypożyczalnia była wielkości przeciętnej szafy, a w jej witrynie widniał przedpotopowy plakat reklamujący *Flashdance* - fdm, który wszedł na ekrany, kiedy byłam jeszcze nastolatką. Oszołomiona, zdezorientowana wpatrzyłam się w reklamę; nagle ogarnęło

mnie wrażenie, że wędrówka w stronę domu Arlene przenosi mnie do czasów szkoły, getrów i spiralnej trwałej.

Obok, na chodniku, siedział chudy koleś, wytatuowany w co najmniej piętnastu widocznych miejscach.

- To tylko zasłona dymna - powiedział, wskazując na plakat, chociaż nikt go o nic nie pytał. - Mają tam wielkie zaplecze pełne pornosów.

Chłopak siedział obok dużego koca, który sięgał końcem aż w głębi zaufka. Spoglądając na mnie, uniósł pytająco brwi i machnął ręką w stronę najrozmaitszych przedmiotów, rozłożonych na kocu.

- Widzisz coś, co ci się podoba, lalczko?

A więc najwyraźniej koc był sklepową ladą, a to, co się na nim znajdowało - asortymentem na sprzedaż.

Natychmiast rzuciła mi się w oczy para podniszczonych, wiązanych kowbojek. Dumnie górowały nad podróżkami torebek Coacha i skrawkami jedwabiu, udającymi apaszki Hermesa. Wydawały się swojskie. Nawet haczyki, o które zaczepiało się sznurowadła, połyskiwały ciepłą, złocisto-brązową barwą. Do tego buty były w moim rozmiarze. Dostrzegałam wyblakły numer wybity na wewnętrznej stronie języka.

Poczułam do nich wyjątkowy pociąg, tym większy, że zziębnięte stopy przyprawiały mnie o katusze. Jedyne botki, znajdujące się w mojej szafie, miały podeszwę grubości papieru i do tego niskie, cienkie jak włos obcasiki. Spoczywały w szafie obok delikatnych sandałków z cienkich paseczków i balerinek z kokardkami, stanowiących idealne uzupełnienie zwiewnej, zdevastowanej garderoby Ro Grandee.

Natomiast Ivy Wheeler jest kobietą w wiązanych kowbojkach, zdecydowałam w duchu. Ostatecznie, któż mógł wiedzieć o tym lepiej ode mnie? To przecież ja właśnie się uczyłam, jak być Ivy Wheeler - istotą wolną, pozbawioną korzeni, anonimową w wielkim mieście.

Kucnęłam przy kocu. Na kartoniku, opartym o spiczasty czubek buta, widniał nabazgrany odręcznie symbol dolara, a obok liczba czterdzieści. Zbyt dużo. Wskazałam palcem na cenę i oświadczyłam wytatuowanemu chłopakowi:

- Jeżeli będą na mnie dobre, zapłacę połowę.

Obrzucił uważnym wzrokiem moją sznurkową torbę i sprane dżin-sy, szacując możliwości finansowe klientki. Spuściłam głowę i wbiłam tęskne spojrzenie w kowbojki Ivy.

Ponieważ chłopak milczał, zaczęłam się podnosić. Dopiero wówczas się odezwał.

- Wezmę dwudziestaka. Ale jak nie będą pasować, to już nie mój problem.

Większość gotówki trzymałam w majtkach, w foliowym woreczku, ale trzy dwudziestki powkładałam gdzie indziej, pozawijane w ciasne ruloniki, żeby wyglądały na jedyną gotówkę, jaką mam przy sobie. Postanowiłam wyjąć te dwadzieścia dolców, które wepchnęłam do stani-ka, i przypawić kolesia o drobny zawrót głowy. Tak dla zabawy. Wyciągałam zwitek bardzo powoli.

Wytrzymał niewzruszony niemal do finału, ale w końcu odrucho-wo powędrował wzrokiem w stronę moich cyczków. Szybko odwrócił spojrzenie, zdążyłam go jednak przyłapać na gorącym uczynku. Unio-słam wysoko brew, on zaś uśmiechnął się do mnie szeroko, zniekształ-cając gwiazdę wytatuowaną na policzku niebieskim tuszem, i przez tę jedną sekundę byliśmy przyjaciółmi.

Niczym gadzią skórę strząsnęłam z nóg baleriny na chodnik i wło-żyłam kowbojki. Leżały idealnie, jakby przez rok nosiła je dziewczy-na o takich samych stopach jak moje, i uformowała je specjalnie dla mnie. Na potrzeby tej chwili. Kiedy odchodziłam, chłopak z tatuażami już ustawiał moje balerinki na kocu, żeby sprzedać innej kobiecie spragnionej odmiany w życiu.

Przyspieszyłam kroku. Wypożyczalnia pornosów uświadomiła mi jedno: Arlene nie mieszkała w najlepszej dzielnicy na świecie. Nad ulice nadciągał mrok, na szczęście nie czekała mnie już długa dro-ga. W tej chwili Jim Beverly znajdował się góra półtora kilometra ode mnie i być może akurat zasiadał z Arlene do obiadu. Wyobraziłam so-bie, jak muska palcami jej ciemne włosy, wspominając moje, bardziej jedwabiste w dotyku.

Słońce zaszło na dobre, zanim znalazłam właściwą kamienicę. Zobaczyłam nazwisko Arlene przy jednym z przycisków domofonu: Fleet - 4B. Nacisnęłam guzik poniżej. Nikt się nie zgłosił, więc zsunęłam palec o oczko w dół. Tym razem odezwał się męski głos.

- Taak?

Arlene wciąż wymawiała samogłoski jak rdzenna mieszkanka Alabamy, mogłam więc bez trudu się pod nią podszyć.

- Tu Arlene Fleet spod 4B. Zapomniałam klucza.

Natychmiast rozległ się brzęczyk zwalniający blokadę zamka. Weszłam do środka. W kamienicy nie było windy, a na drzwiach, znajdujących się obok schodów, widniał numer IB. Gdy już się wdrapałam na trzecie piętro, sapiałam niczym kowalski miech, a serce waliło mi jak młotem, zarówno z powodu wspinaczki po stopniach, jak i perspektywy ponownego spotkania z Jimem. Przystanąłam i zaczęłam nasłuchiwać.

Arlene była w domu. Miotła się za drzwiami z tabliczką 4B i coś wykrzykiwała. Nie znajdowała się tam sama. W jej jazgot wdzierał się chwilami głęboki, męski głos, który wcześniej dobiegł mnie przez telefon. Grube, solidne ściany starej kamienicy nie pozwalały dosłyszeć poszczególnych słów, ale nie ulegało wątpliwości, że oboje są wzburzeni. Przycisnęłam ucho do drzwi i chwilę później drewno zadrgało, jakby coś z drugiej strony silnie o nie uderzyło, po czym sprężyste się od nich odbiło. Arlene? Oczami wyobraźni ujrzałam, jak jej filigranowe ciało pada na dzielące nas drewno.

Czyżby Jim ją bił? Mój Jim tylko raz był wobec mnie brutalny: owej nocy, kiedy oboje się upiliśmy niemal do nieprzytomności, a potem się siłowaliśmy w naszym lesie pośród bujnej zieleni. Jeżeli ją bił, to oznaczało tylko jedno - zaczął pić.

Męski głos przycichł, stał się prawie niesłyszalny, za to Arlene weszła na tak wysokie, ogłuszające obroty, że przywodziła na myśl rozwścieczoną papugę. Przywarłam mocniej do drzwi. Mężczyzna wypowiadał słowa z twardym, jankeskim akcentem, ale był mocno wkurzony, no i lata w Chicago mogły zniekształcić jego wcześniejszą wymowę.

Teraz wcale nie byłam pewna, czy powinnam zapukać. Jeżeli Jim pił, nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Z drugiej strony, wprost nie mogłam uwierzyć, że walące serce - ten niesamowity galop w pierśsi przyciśniętej do drewna - nie załatwiło sprawy za mnie. Zresztą niewykluczone, że tych dwoje jednak mnie usłyszało, ponieważ drzwi otworzyły się z impetem, a ja wylądowałam na tyłku. Teraz miałam przed oczami płócienne spodnie zaprasowane na idealny kant.

Zacząłam umykać w tył na czworaka niczym krab. Zauważyłam dłonie mężczyzny: były koloru kawy i wtedy dotarło do mnie, że to nie Jim. Uniosłam wzrok. Stał przede mną bardzo wysoki, czarnoskóry facet o szerokich barach i wąskiej talii. Był niesamowicie przystojny, pod względem urody Jim nie dorastał mu do pięt. Miał wydatny prosty nos, wysokie, ostro zarysowane kości policzkowe i pełne usta. Jedno nie ulegało wątpliwości: był zdecydowanie za piękny dla pieprzonej Arlene Fleet. Niezdarnie poderwałam się na nogi. Facet zdecydowanie górował nade mną wzrostem, ale i tak miałam ochotę rzucić się na niego i strzaskać mu twarz na miazgę za to, że się okazał niewłaściwym mężczyzną.

- Co do cho... - zaczął i ruszył w moją stronę. Był strasznie wielki. Nerwowo wygrzebałam z torebki pojemnik z gazem pieprzowym. Wycelowałam, nadusiłam na przycisk i... nic. Facet jednak się zatrzymał i wytrzeszczył oczy. Naciskałam i naciskałam, sikacz wciąż nie działał, a tymczasem ten koleś miał czelność stać tak sobie w najlepsze i nie być Jimem. Nie być nawet ani trochę podobny do Jima. Przejechałam pół kraju i wydałam większość pieniędzy tylko po to, żeby odkryć, jak bardzo się myliłam. Nadusiłam silniej; chciałam zobaczyć, jak facet trze piekące oczy, a potem doskoczyć do niego i razem z Arlene niemiłosiernie skopać mu tyłek. Moje kowbojki miały stalowe noski.

- Słyszałam twój krzyk - zwróciłam się do Arlene głosem bez tchu.

- Prrr - wtrącił facet i uniół ręce w górę. - Opanuj się.

Mówiłam dalej, całkowicie go ignorując:

- Walnij go tam, gdzie boli najbardziej, a kiedy padnie - uciekniemy

Nadusiłam przycisk raz jeszcze, ale nie poleciała ani odrobina gazu. Nerwowo potrząsnęłam małym pojemnikiem.

Arlene nawet na mnie nie spojrzała. Była skupiona na swoim facecie i nadal do niego nadawała, jakbym nie stała obok i nie naciskała pompki pieprzowego spreju w nadziei, że osłepię jej koleśia. On co prawda trzymał ręce cały czas w górze, ale odwrócił się w stronę swojej dziewczyny i coś do niej powiedział, praktycznie nie zwracając na mnie uwagi.

Gdy patrzyłam na mowę ich ciała, poziom adrenaliny zaczął mi opadać. A więc to był tajemniczy mężczyzna Arlene. Mężczyzna, na którym najwyraźniej jej zależało. Ukrywała go przed rodziną, ponieważ miał na sumieniu straszną zbrodnię: nie był biały To wszystko. Co prawda rzucał swoją dziewczyną o drzwi, ale co tam, w wypadku jej rodziny to wzbudziłoby zdecydowanie mniejsze obiekcje niż kolor jego skóry

Natomiast Jima tu nie było. Nigdy.

W końcu przystojniak spojrział na mnie i oznajmił:

- Właśnie wychodziłem.

- Lepiej spadaj i to szybko - rzuciłam. Przestałam już naciskać na pompkę, ale wciąż trzymałam wylot spreju skierowany w jego twarz. Teraz też zauważyłam, na czym polegał problem. Nie zwolniłam blokady zabezpieczającej.

- Chciał tylko pomóc ci się podnieść - wtrąciła Arlene.

Ominął mnie szerokim łukiem, wciąż trzymając ręce w górze, a potem się odwrócił i zaczął zbiegać po schodach. Arlene rzuciła się za nim, ale stanęłam jej na drodze. Nawet jeżeli Jima nigdy tu nie było, wiedziałam od Buda, że Arlene jako ostatnia mieszkanka Fruiton widziała mojego chłopaka tej nocy, gdy zniknął. Toteż nie zamierzałam jej odpuścić. Nie ma mowy. Zastawiłam dostęp do schodów i zauważyłam rezolutnie:

- Niemal wszyscy z nich to ostatnie sukinsyny.

Gniewne kroki jej faceta zdążyły już ucichnąć, więc opuściłam rękę z gazem. Arlene Fleet odwróciła się w moją stronę raptownie i po

raz pierwszy miałam okazję uważnie się jej przyjrzeć. Może jednak ten koleś nie był dla niej zbyt przystojny. Jej dawna chudość przerodziła się w wiotką smukłość, twarz straciła zacięty, drapieźny wyraz, a złość zaróżowiła wysokie, blade policzki. Miała idealną cerę, jedynie pośrodku czoła, pomiędzy brwiami widniała pionowa zmarszczka, którą moja matka nazywała „zmarszczką sekutnicy”.

Arlene spojrzała na mnie uważnie i jeszcze mocniej ściągnęła brwi.

- Rose?

Dopiero teraz mnie rozpoznała. Wcześniej nie miała pojęcia, kim jestem. Gdyby uciekła do Chicago wraz z Jimem, nawet jeżeli później porzuciłaby go dla tego czarnoskórego przystojniaka, poznałaby mnie natychmiast. Kobiety nie zapominają swoich rywalek. Nie zmienia to jednak faktu, że coś zaszło między nią a moim gwiazdorem futbolu w Alabamie. Bo dzieciaki z Fruiton High jeździły na Lipsmack Hill tylko w jednym celu. Już miałam ją o to zapytać, ale mnie uprzedziła - swoją złość na faceta postanowiła teraz wyładować na mnie.

- Nie widziałam cię od dziesięciu lat. Nie wiedziałam, czy jeszcze żyjesz, czy może umarłaś i, szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodziło. A ty teraz stoisz pod moimi drzwiami i ewidentnie podsłuchujesz mnie i mojego chłopaka?! - Wykrzykiwała jeszcze jakieś nonsensy; z niewiadomego powodu ubzdurała sobie, że wypełniam idiotyczną misję zleconą przez jej rodzinę i chcę ją zaciągnąć z powrotem do Alabamy. - Jak, do cholery, w ogóle mnie znalazłaś? Co tu robisz? Czego ode mnie chcesz?!

Przywołałam na usta najśłodszy uśmiech, na jaki mogłam się zdobyć. Potrzebowałam dobrego tekstu na wejście. Tekstu, który by sprawił, że podejmie ze mną rozmowę - takiego, jak powiastka o pastozrze, dzięki której zmiękczyła panią Fancy Problem w tym, że bardzo niewiele wiedziałam o Arlene Fleet. Tylko tyle, że uchodziła za kogoś w rodzaju miejscowej kurwy, a jej matka była wariatką. Nie miałam pojęcia, czym można zjednać sobie dziwkę, ale podejrzewałam, że niewiele zdziałam, wtrącając do rozmowy Chrystusa. Może Oprah

i psychoterapia, odstręczające panią Fancy, przemówią do dziecka psychicznie chorej kobiety.

- Okej, Arlene. Widzę, że nie lubisz się bawić w kurtuazję. W porządku. To długa historia, ale jeżeli chcesz skróconej wersji, nadającej się do wygłoszenia na schodach, mogę się streścić. Między mną a moją terapeutką doszło do poważnej różnicy zdań i w rezultacie wybrałam się w duchową podróż. Gratuluje. Jesteś jej kolejnym etapem.

Nie chwyciła przynęty z psychoterapią. Uciszyła mnie gestem dłoni, po czym powiedziała:

- Jeżeli to coś w rodzaju programu Dwunastu Kroków, zadośćuczynienia za krzywdy czy jak to się tam nazywa, okej, przebaczam ci. A teraz muszę złapać Burra.

- Przebaczasz mi? Ale za co?

Kompletnie oniemiałam. To przecież nie ja śledziłam ją w szkole. Nie ja pojechałam na Lipsmack Hill, żeby po kryjomu bzykać się z jej chłopakiem. Zaczęłyśmy wykonywać jakiś dziwaczny taniec: ona próbowała mnie obejść, a ja wciąż zastawiałam dostęp do schodów.

Postanowiłam zmienić taktykę. Słyszałam, jak facet rzucił nią o drzwi, niewykluczone więc, że stała się romantyczką w stylu Ro Grandee.

- Poczekaj, Arlene. Daj mi chwilę. Przepraszam. Zachowałam się nonszalancko, a naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Robię jedynie to, co ty teraz. Próbuję dogonić mężczyznę, który odszedł.

Przystanąła i spojrzała na mnie z lękiem.

- Bez względu na to, o co chodzi, z pewnością nie ma to ze mną nic wspólnego.

Po raz pierwszy od chwili, gdy otworzyły się drzwi, zastygła w bezruchu i pilnie wsłuchiwała się w moje słowa. Postanowiłam kuć żelazo póki gorące.

- Właśnie, że ma, chociaż tylko pośrednio. Widzisz, według mojej terapeutki wiąże się z beznadziejnymi facetami, ponieważ podświadomie takich szukam. A nie dlatego, że wszyscy faceci są z natury beznadziejni. Wybieram najgorszych dupków, bo uważam, że na nic

lepszego nie zasługuję, bla, bla, bla, to masochizm, bla, bla, bla, niska samoocena. Wiesz przecież, jak gadają ci szamani.

- Nie, nie wiem - odparła Arlene z naciskiem.

- Mając taką matkę? Daj spokój! - To było celne trafienie, aż cofnęła się o krok. Szłam więc dalej za ciosem. - Tak czy inaczej, uważam, że moja terapeutka nie ma racji. Zrewidowałam historię swoich romantycznych uwikłań, szukając w pamięci faceta, który nie był dupkiem. Wysłałam z prostego założenia: gdybym znalazła choć jednego, to by oznaczało, że moja szamanka się myli, problem nie leży we mnie, ale w mężczyznach. I udało mi się. Przypomniałam sobie o takim chłopaku. A ty musisz mi pomóc go odnaleźć.

- Odnaleźć?

Teraz cofała się już na dobre, ja zaś energicznie ruszyłam za nią, bo lęk w jej oczach się pogłębił, co oznaczało, że dobrze widziała, dokąd zmierza ta rozmowa. A więc tak kompletnie to się jednak nie pomyliłam. Arlene coś wiedziała. Podążałam za nią krok w krok w jakimś dziwnym tańcu, którego rytm sama narzuciłam, chociaż jej stopy poruszały się przede mną. Byłam teraz bardzo blisko, jak nacierający drapieżca, obezwładniałam ją czystą, zwierzęcą siłą woli.

- Muszę odnaleźć Jima Beverly'ego.

To nazwisko wyskoczyło z moich ust i potoczyło się w dół po schodach, a jego brzmienie całkowicie odmieniło Arlene. Nagle stała się na powrót tą samą odrażającą kreaturą, która łąziła za mną krok w krok po liceum i śledziła jastrzębim wzrokiem, usiłując przyłapać na kradzieży. Ramiona jej się zapadły, a twarz zbladła, przybierając barwę gotowanego kurczaka. Oczy się rozszerzyły. W gardle zagulgotało. Zdjął ją paniczny strach, jakby miała alergię na to nazwisko, a składające się na nie sylaby wysysały powietrze z jej płuc. Dusily.

Minęły może dwie sekundy, po czym Arlene rzuciła się dziko do tyłu, wpadła do mieszkania i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Zdążyłam tylko usłyszeć szcęk zasuwu i chrzęst łańcucha.

- Arlene?! - dysząc ciężko, zapukałam.

Zero reakcji. Zastukałam głośniejsze.

- Arlene? Nie bądź śmieszna. Zajmę ci najwyżej pięć minut! - wykrzyknęłam. Moja stopa w nowym bucie ze stalowym noskiem wystrzeliła do przodu i z całej siły kopnęła w drewno. Z satysfakcją usłyszałam głośny, gniewny trzask.

Ale w odpowiedzi dobiegł mnie jedynie huk jakiejś odrażającej muzyki.

Arlene wiedziała. Wiedziała, dokąd pojechał Jim i dlaczego, jednak ta informacja kryła się za zamkniętymi drzwiami mieszkania 4B.

Na które teraz mogłam tylko bezsilnie patrzeć.

Rozdział 10

Nazajutrz rano zacząłam się na Arlene przed salą wykładową, w której prowadziła zajęcia. Czas na zasadzkę. Tutaj, w miejscu pracy, nie zdoła się zamknąć przede mną na trzy spusty. Nie będzie też życzyła sobie żadnych scen, ja natomiast byłam gotowa odstawić na dziedzińcu college'u istną operę tragiczną, łącznie z rwaniem włosów z głowy i potępieńczym wyciem, jeżeli dzięki temu miałabym osiągnąć cel.

Oparłam się o ścianę, skrzyżowałam nogi w kostkach, siląc się na wygląd kobiety zrelaksowanej i w pełni panującej nad sytuacją. Zanim Arlene wyszła z sali - ze spuszczoną głową, pogrążona w myślach - bolały mnie ramiona, a kolana drżały z wysiłku potrzebnego do utrzymania takiej pozy.

- Cześć, Arlene - rzuciłam lekko.

Otrząsnęła się i wytrzeszczyła oczy.

- Jak mnie znalazłaś? - To był bardziej mysz pisk niż ludzki głos.

- Podali mi twój rozkład zajęć w dziekanacie Wydziału Filologicznego.

- Nie, nie. Skąd wiedziałaś, że tu pracuję, skąd znałaś mój adres? Skąd w ogóle przyszło ci do głowy, żeby szukać mnie w Chicago?

Wcześniej trzymała miękkie, skórzany plecak jak aktówkę; teraz przesunęła go do przodu, tak że stanowił zaporę między nami.

- A! O to ci chodzi. Rozmawiałam z Budem.

- Budem Freemanem? - spytała z niedowierzaniem. - Mężem mojej kuzynki Clarice?

Skinęłam głową, ona zaś odwróciła się ode mnie bez słowa i ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Wyszła za drzwi, zaczęła przecinać dziedziniec.

Oderwałam się od ściany i pospieszyłam za nią. Jeszcze nie biegła, ale niewiele już brakowało. Niezrażona, potruchtałam jej śladem.

Byłam spokojna. Przed nami rozciągał się trawnik dziedzińca, dokąd mogłaby uciec?

- Poczekaj, Arlene. Chcę tylko poznać odpowiedź na kilka pytań, a potem, przysięgam, już nigdy w życiu nie będę ci zawracać głowy.

Wtedy zaczęła biec, autentycznie zwiewać przede mną, jakbym była krwiożerczą bestią, która wypelzła spod łóżka i próbowała wgrzyźć się w jej trzewia. Więc ja też puściłam się biegiem, wykrzykując:

- Zadzwoiłam do twojej kuzynki, Clarice, ale nie było jej w domu i ostatecznie zamieniłam kilka słów z Budem. Powiedział, że rozmawiałaś z Jimem Beverlym tej nocy, gdy rozbił swojego jeepa.

Arlene tak raptownie stanęła w miejscu, że wpadłam na nią z impetem. Imię mojego licealnego chłopaka miało na nią jakiś magiczny wpływ. Jakby pewnego dnia została zahipnotyzowana i teraz słowa „Jim Beverly” podrywały ją nerwowo do góry, wywołując atak paniki. Stałyśmy naprzeciwko siebie, dwie kobiety niemal identycznego wzrostu. Arlene oddychała ciężko, jakbyśmy przebiegły maraton, a nie przetruchtały kilka metrów w leniwym tempie.

- Nie ROZMAWIAŁAM z nim. - Zaakcentowała znacząco słowo „rozmawiałam”, przysunęłam się więc do niej jeszcze bliżej, gotowa naciskać do skutku.

- Ale go widziałaś? - Chwyciłam ją za ramię, chciałam sprawić, żeby na mnie spojrzała. - Gdzie? Co wtedy robił?

Szarpnęła się tak gwałtownie, że niemal straciłam równowagę.

- Nie mam pojęcia. I nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Wreszcie ją zmusiłam do spojrzenia mi w oczy. Zrobiłam to czystą siłą woli, obracając jego nazwisko w myślach niczym talizman. Tak bardzo wyteżałam umysł, że chyba coś zdołała z niego wyczytać, bo usta jej zadrżały i niechętnie skierowała na mnie wzrok. Wówczas powiedziałam:

- Nie wierzę ci. Wiem, że się z nim spotkałaś.

Przesunęła językiem po wargach, jakby zamierzała coś powiedzieć. Umknęła spojrzeniem w bok, potem znów je na mnie przeniosła. I nagle wykonała szybki półobrót, szarpnęła się i zdołała wyrwać ramię

z mojego uchwytu. Ruszyła przed siebie tak szaleńczym sprintem, że dosłownie wyskoczyła z butów. Zostawiła je na trawie, w pobliżu czterech dębów, a potem jeszcze odrzuciła plecak.

Stałam z rozdziawionymi ustami i patrzyłam, jak Arlene Fleette podskakuje i chwytą się najniższej gałęzi wielkiego drzewa, po czym bosko zaczyna się na nie wspinać - zręcznie niczym małpa.

- Arlene? Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknęłam, gdy już odzyskałam mowę.

Nie odpowiedziała, tylko wdrapywała się na kolejne gałęzie, aż w końcu znalazła się tak wysoko, że gdyby straciła równowagę i spadła, pogruchotałaby sobie wszystkie kości.

- Arlene, nie bądź śmieszna! - wrzasnęłam. - Zejdz z tego drzewa!

Dookoła zaczął się gromadzić wianuszek studentek wyczuwających nadciągający dramat, ale Arlene nas ignorowała. Wcisnęła swoje drobne pośladki w rozwidlenie gałęzi i siedziała zupełnie niewzruszona. Skierowała twarz w stronę wiatru - długie, ciemne włosy powiewały za jej plecami - i patrzyła nieruchomo w przestrzeń rozciągającą się poza campusem.

Podjęłam na nowo swoje wrzaski:

- Nie możesz w nieskończoność tkwić na tym drzewie! W końcu będziesz musiała zejść i ze mną porozmawiać! - Zero reakcji. Nerwowo rozglądałam się za jakimś nowym pomysłem i nagle mój wzrok padł na mokasyny leżące w trawie. - Jeżeli zaraz nie zejdziesz, zabiorę ci buty!

Jedna z obserwujących całą scenkę dziewczyn posłała mi mordercze spojrzenie.

- Nie ma mowy. Nie zabierzesz jej butów - oświadczyła zapalczywie i chwyciła mokasyny, zanim zdążyłam po nie sięgnąć, a jej przyjaciółka na wszelki wypadek zaopiekowała się także plecakiem Arlene. Po czym z miną urażonej dumy usunęły się na bok, drapieźnie strzegąc swoich trofeów jak dwa anioły zemsty, poznaczone trądzikiem.

Arlene tymczasem pozostała na gałęzi; siedziała nieruchoma i nieobecna duchem niczym katatoniczka. Sprawiała takie wrażenie, jakby przestał istnieć dla niej świat, a ja razem z nim.

- Och, skończ z tym pieprzonym zenem, Arlene! Zwlecz na dół swój tyłek i powiedz mi, gdzie jest Jim!

Za moimi plecami jedna z dziewczyn skonstatowała mądrym głosem:

- O! Problem z chłopakiem.

A jej przyjaciółka na to:

- Chyba są bliźniczkami, no nie? Facet bzykał bliźniaczki?!

Okręciłam się na pięcie i warknęłam ze złością:

- W ogóle nie jesteśmy do siebie podobne.

A właściwie to wykrzyczałam.

Dziewczyny spojrzały po sobie nerwowo, po czym się odwróciły i zaczęły oddalać. Usłyszałam jeszcze, jak jedna mówi do drugiej:

- Jeeezu, co on im zrobił, że są w takim stanie?

- Mnie, do kurwy nędzy, nie zrobił nic złego! - wrzasnęłam za nimi. Przyspieszyły kroku, ale jedna z nich spojrzała jeszcze na mnie przez ramię szeroko rozwartymi oczami. Nagle dotarło do mnie, że gdyby ktoś ją poprosił o wskazanie wariatki na tym obrazku, miałyby poważne problemy z wyborem pomiędzy mną a Arlene Fleet.

Dziewczyny były już zbyt daleko, żeby mnie usłyszeć, mimo to do rzuciłam:

- I jej też nic złego nie zrobił.

Ale już w chwili, gdy wypowiadałam te słowa, wiedziałam, że to nieprawda.

Zadarłam głowę i spojrzałam na Arlene, siedzącą na swojej grzędzie. Miałam zamiar złapać ją w potrzask, zagrozić, że odstawię jakąś szaloną scenę, a tymczasem ona zdecydowanie mnie przebiła. Jej reakcja na wzmiankę o Jimie była natychmiastowa i mogłam ją określić tylko jednym słowem: przerażenie. Z pewnością wiedziała sporo na temat Jima Beverly'ego - zdaje się, że bez porównania więcej ode mnie.

Coś między nimi zaszło, a teraz na dźwięk jego imienia Arlene była bliska cwałowania nago po dziedzińcu i wyśpiewywania *Gloria*. Dopiero w tym momencie - kiedy jej drżące ciało znajdowało się w koronie drzewa, a umysł odpłynął do krainy szczęśliwości, ja zaś osaczyłam ją

jak oszalały, spieniony pies gończy - dotarło do mnie, że te dwa fakty muszą być ze sobą ściśle powiązane.

- Co takiego on ci zrobił? - zapytałam, jednak zbyt cicho, żeby Arlene mogła mnie usłyszeć, nawet gdyby w tej sekundzie zdecydowała się powrócić do swojego ciała. Nagle tak bardzo zakręciło mi się w głowie, że dla zachowania równowagi musiałam się oprzeć dłonią o szeroki pień dębu. Wyrzygałam wszystko, co ostatnio zjadłam. Ogarnęło mnie potworne zmęczenie. Ostatniej nocy niewiele spałam. Zbliżały się końcowe egzaminy i uczelniana biblioteka była czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rozłożyłam się tam obozem na skrzypiącej, winylowej ławce obok jasnowłosej dziewczyny, która usiłowała zgłębić tajniki inżynierii, używając podręcznika jako poduszki.

Odepchnęłam się od drzewa i zaczęłam oddalać, pozostawiając Arlene Fleet w spokoju - jeśli chce, niech siedzi na tym drzewie aż do ponownego nadejścia Chrystusa. Mogłam zostać w Chicago, zaczajając się na nią pod krzakami i w ciemnych uliczkach, ale i tak by mi nie powiedziała, gdzie jest Jim lub co takiego paskudnego między nimi zaszło.

Opuściłam campus i ruszyłam w powrotną drogę tymi samymi obojętnymi ulicami, którymi wędrowałam poprzedniego dnia. Wtedy czułam się wolna i swobodna. Teraz poczucie anonimowości i wyobcowania wprawiły mnie w takie przerażenie, że zachciało mi się płakać. To nie były moje ulice. Jedyna osoba, którą znałam w tym mieście, tkwiła w związku podobnym do mojego, a na dodatek mnie nienawidziła.

Cokolwiek Jim jej zrobił, musiało to być naprawdę straszne. Wiedziałam, że Jim był zdolny do najgorszych rzeczy. Był zdolny do wszystkiego. Doskonale wyczuwałam tę ciemną stronę jego osobowości, jak potwór rozpoznający drugiego potwora. Rewerencja, z jaką dotykał moich sińców. Bury kot z przetrąconym karkiem. Widziałam tylko mroczne przebliski, ogarniały mnie nieokreślone przecucia, ale zło istniało naprawdę, inaczej nie przyjechałabym do Chicago, żeby odzyskać Jima. Potrzebowałam skutecznej broni i najpierw pomyślałam

O rewolwerze, a zaraz potem o Jimie Beverlym. To samo powinno dać mi wiele do myślenia.

Nie miałam sił na dalszą wędrówkę: byłam zbyt zmęczona i obołała. Przeszłam na drugą stronę ulicy i złapałam autobus jadący na wschód, z powrotem do dziadowskiej dzielnicy Arlene. Zajęłam miejsce z przodu, na jednym z kalekich, pokrzywionych na boki siedzeń i oparłam czoło o chłodny, srebrzysty pręt.

Jim był dla mnie zawsze niesamowicie dobry. Ale już wtedy wiedziałam - tak jak wiedziałam to teraz - że trzymał mnie z daleka od ciemnych stron swojego życia. Do diabła, trzymał mnie z daleka niemal od wszystkiego, co składało się na jego życie. Piątkowe wieczory, po futbolowym meczu, spędzaliśmy we własnym towarzystwie. Szliśmy do Krispy Kreme, gdzie migotał neon z napisem ŚWIEŻE PĄCZKI. Brałam kawę i pączka, on - kawę i sześć pączków i siedzieliśmy tam tylko we dwoje. Włosy Jima były wilgotne po prysznicu, gładziłam ręką tył jego głowy: aksamitną, sprężystą szczecinę, jakże przyjemną w dotyku.

Nie przychodzili tam chłopcy z drużyny, ani ich dziewczyny. To była beznadziejna kafejka w obskurnej okolicy, ze stolikami w morskim kolorze i siedziskami barwy dyni. Wyglądało to tak, jakby wystrój wewnątrz oddano w ręce dotkniętego demencją i lekkim daltonizmem fana drużyny Auburn. Oprócz nas przesiadywali tutaj miejscowi menele, a także wieczni włóczędzy, którzy ściągali z pobliskiego przystanku greyhoundów, oraz skromna populacja ćpunów z Fruiton High. Ćpuny uwielbiały się gapić na stojącą za kontuarem maszynę do pączków, wypływającą z siebie świeże wypieki. A my obserwowaliśmy, jak oni się gapią. Byliśmy jedynymi trzeźwymi dziećmiakami w tym budynku, w tej okolicy, a może nawet w całym cholernym miasteczku. Wszyscy nasi znajomi złopali w tym czasie tanie piwo w domu Missy Carver.

W piątkowe wieczory poza sezonem futbolowym rodzice Jima zasiadali naprzeciwko siebie w nowiusieńkiej restauracji Olive Garden, gdzie w milczeniu pochłaniali kurczaka po parmeńsku i niezliczone ilości paluszków grissini. Pamiętam, że pewnego razu siedzieliśmy

w obskurnej kafejce ponad godzinę, czekając aż jego rodzice wreszcie skończą kolację. O dziewiątej zajechaliśmy pod dom Jima, żeby sprawdzić, czy wrócili. Na podjeździe nie było samochodu ojca, co oznaczało, że postanowili pójść na późny seans do kina. Mieliśmy więc dom tylko dla siebie na następne półtorej godziny i mogliśmy przejść do konkretów.

- Czas na randkę dla dorosłych - powiedziałam, po czym ściągnęłam sukienkę, pochodzącą z kościelnych darów, i rzuciłam ją na podłogę. Pod spodem, zamiast stanika, miałam prześliczny, koronkowy gorsecik, który należał kiedyś do kogoś innego. Był poplamiony na plecach, ale Jim koncentrował się na moim froncie.

- Założę się, że po kurczaku twój tata zapytał: „Hej, Laura, chcesz iść na coś do kina? Czy wolałabyś wrócić do domu i robić, no wiesz co?”.

- Przestań! - Jim zaśmiewał się głośno, biorąc mnie w ramiona czule jak zwykle.

A ja na to, przedrzeźniając egzaltowanie skromny ton głosu jego matki:

- Chodźmy do kina, proszę! Zanim to razem zrobimy, chcę przez parę godzin pooglądać tego przystojnego Clinta Eastwooda!

- To nie najlepszy moment na naśladowanie mojej matki. - Jim już rozpinał koronkowy gorset. - A przy okazji, nigdy więcej nie pozwolę ci wybrać filmu, Rose-Pop!

Jego palce zaczęły powoli, delikatnie przesuwając się po sinych śladach o wzorze odzwierciedlającym bieżnik podeszwy ciężkich butów. Siniaki układały się w łańcuch, który biegł od żeber, poprzez biodro aż do połowy uda. Jim powiedział mi kiedyś, że w tych ciemnych miejscach moje ciało jest rozpalone jak w gorączce. Gdy wodził po mnie dłońmi, udawałam sama przed sobą, że chciał wymazać z mojej skóry te fioletowo-zielone znamiona, ale w gruncie rzeczy dobrze wiedziałam, o co chodzi. One po prostu go podniecały.

Byliśmy wtedy w maturalnej klasie. Tamtego roku seks nabrał dla mnie innego wymiaru. Przestał być czymś, co robiłam głównie dla

Jima, ponieważ go kochałam, lubiłam jego zapach, poczucie bliskości i to całowanie na początku. Tamtego roku moje ciało wreszcie pojęło wszystko, czego Jim się na mnie uczył na swoim skrzypiącym, piętrowym łóżku - zarówno na dolnej, jak i na górnej pryczy. Wówczas wiedział już doskonale, gdzie mnie dotykać i jak się poruszać między moimi nogami, żeby sprawić mi przyjemność, ale wcześniej czy później jego dłonie i usta powracały do tych miejsc, gdzie byłam posiniaczona, poraniona, pogruchotana.

Sam nigdy mnie nie uderzył. A nawet pewnego razu, na trawniku przed naszym domem, rzucił się z pięściami na mojego ojca, wykrzykując, że ma trzymać ręce ode mnie z daleka. Potrzebowałam czułości i dobroci i Jim mi je dawał. Ostrą szkołę jazdy w postaci lewych sierpowych i prawych prostych dostawałam od tatusia - potajemnie, w zaciszu czterech ścian. A co potajemnie dostawał czy dawał Jim? Od kogo i komu?

Dotarło do mnie, że wiedziała to Arlene Fleet. A także Dawna Sutton. Przez telefon powiedziała: „mam nadzieję, że smaży się w najgłębszych czeluściach piekła”. To dość ekstremalna reakcja na trzy randki w czasach szkoły średniej, o ile nie zaszło między nimi coś wyjątkowo paskudnego.

Wygrzebałam z torby notes i długopis, po czym zaczęłam pisać list do Arlene. Próbowałam sobie przypomnieć wszystko, co jej powiedziałam, żeby utrzymać się w charakterze. Po części były to przeprosiny, ale przede wszystkim chciałam powiedzieć, że poszukam informacji gdzie indziej. Zapewniłam, że nie będę jej już więcej niepokoić, bo przynajmniej tyle byłam jej winna. Złożyłam kartkę, na wierzchu napisałam „Arlene”. Zostawię list pod drzwiami mieszkania, bo i tak byłam już spóźniona - i to pod wieloma względami.

Nie zgodziłam się, gdy pani Fancy chciała mnie zabrać do schroniska prowadzonego przez jej kościół. Nie mogłam. Łatwiej byłoby mi się wyleczyć z trądu niż z Ro Grandee. Wiedziałam, że gdy poczuje się samotna i przerażona, Ro zaprowadzi mnie z powrotem do Thoma. Musiałam zniweczyć tę opcję, musiałam zetrzeć Thoma z powierzchni

ziemi. W szpitalu, potem w domu, gdy unicestwiałam swoją dawną garderobę, a nawet podczas wczorajszej, naznaczonej torsjami podróży przez pół kraju, nie chciałam się zastanawiać, jak to będzie, kiedy Thom już zniknie z mojego życia i zostanę sam na sam z Jimem.

Nie chciałam o tym myśleć, ponieważ w gruncie rzeczy znalazłam odpowiedź. Tak naprawdę nic się nie zmieni. Zawsze, zanim się pozbyłam któregoś z moich beznadziejnych facetów, cholernie starannie pilnowałam, żeby w kolejce czekał już następny. Dokładnie taki sam. Jim stanowił kwintesencję każdego mężczyzny, który się pojawiał w moim życiu, zaczynając od tatusia, a na obecnym mężu kończąc. Nie pojmowałam istoty tego fenomenu, póki Arlene nie wdrapała się na drzewo i nie uświadomiła mi prostej prawdy: pozostanie u boku Thoma było równoznaczne z samobójstwem, a Jim to Thom - tyle że w innej skórze. Radykalna eliminacja Thoma nie była równoznaczna z eliminacją mojego pociągu do określonego typu mężczyzn.

Dokonałam przeglądu aktywów. Praktycznie zostałam bez pieniędzy. Nie znałam tego miasta, nie było w nim ani jednej przyjaznej mi duszy. Najwartościowsze przedmioty w mojej torbie to: fałszywe świadectwo tożsamości, puszka gazu pieprzowego i bilet powrotny do Amarillo. Jeżeli miałam rzucić się do ucieczki, Chicago nie mogło stanowić linii startu.

Poza tym w Amarillo pozostało zbyt wiele rzeczy, których nie wolno mi było zostawić. Mój pies. Rewolwer dziadunia. Dokumenty Rose Mae Lolley i karta bankomatowa, dająca nieograniczony dostęp do wspólnego konta. O czwartej dzisiejszego popołudnia rozpoczynała się moja zmiana w Grand Guns i jeżeli się tam nie pojawię, ktoś usłużny w alarmistycznym tonie zaraz doniesie Thomowi, że jego Ro zaginęła w akcji.

Zostawiłam liścik pod drzwiami Arlene, a potem pojechałam na lotnisko i złapałam samolot do domu.

Co innego, do cholery, mogłam w tej sytuacji zrobić?

Rozdział 11

Co prawda spóźniona piętnaście minut, jednak się stawiałam na swoją zmianę w Grand Guns. Pod nieobecność rodziny Grandeech interesu doglądali Derek i James.

- A! Oto i nasza księżniczka - rzucił Derek na mój widok i wymownie spojrzął na zegar.

Derek miał w sobie coś z dupka.

We flagowym salonie Joego akcesoria do broni leżały na stołach zajmujących środek sali, natomiast najcenniejszy asortyment znajdował się pod kluczem. Strzelby, ustawione pionowo, mieściły się w przeszklonych szafkach okalających trzy ściany, rewolwery zaś były wyeksponowane w gablotach o szklanych blatach, które zmontowano w podkowę. Pomiędzy szafkami a gablotami biegła szeroka aleja - miejsce pracy sprzedawców. Po prawej stronie, w pobliżu drzwi prowadzących na zaplecze, znajdowała się kasa. Kiedy weszłam do salonu, siedział przy niej James. On nie poczęstował mnie żadnym kąśliwym tekstem; szybko sporządził raport kasowy, podpisał go i wrócił do pracy na sali.

Wsunęłam się na swój stółek i próbowałam stwarzać wrażenie pochłoniętej pracą, ale ukradkiem raz po raz spoglądałam na telefon. Lada moment zadzwoni Thom, żeby sprawdzić, czy tkwię na posterunku. Podczas powrotnego lotu przepowiadałam sobie w głowie kwestie, które zamierzałam wygłosić. Chciałam sprawiać wrażenie znużonej i trochę stęsknionej, a więc rozmawiać z nim mniej więcej tak jak zwykle. Po pracy zamierzałam zajechać pod bank i wyczyścić nasz rachunek, a potem się ulotnić. Gdy Thom wylądował jutro w Amarillo, będę miała nad nim dwudziestoczwierogodzinną przewagę czasową.

Minęła godzina, a on się nie odezwał, co było bardzo nietypowe. Ostatecznie doskonale znał mój grafik. Minęło kolejne pół godziny

i już rozważałam, czy nie zadzwonić do niego do hotelu, gdy dobiegł mnie trzask drzwi wejściowych na zapleczu.

- Łap drugą skrzynię! - rozległ się wrzask Joego.

- Już ją wziąłem - odpowiedział głos, który bez wątplenia należał do Thoma.

Na ten dźwięk coś wyssało mi z płuc powietrze i wypchnęło przez usta z głośnym szustem. A jednocześnie nie pozwoliło zaczerpnąć nowego oddechu. Thom i Joe mieli wrócić dopiero nazajutrz. Rozpaczliwie, niczym ryba wyrzucona z wody, chwyciłam kilka łyków powietrza i spróbowałam rozluźnić ramiona. Thom pojawił się w drzwiach prowadzących z zaplecza. Każdym zmysłem wyczuwałam jego obecność. Stojąc za moimi plecami, powiedział:

- Witaj, kotku.

Okręciłam się na stołku. Staralam się przybrać wygląd zaskoczonej i uradowanej zarazem. Ale jak tylko na niego spojrzałam - zamarłam. Thom uległ przemianie. To aż nadto rzucało się w oczy. Poczęstowałam go uśmiechem z repertuaru Ro, a on w odpowiedzi także rozciągnął usta, jednak jego oczy pozostały matowe i bez wyrazu.

- Myślałam, że wróćcie jutro - zaszczębiotałam.

Thom nie podszedł bliżej, nie dotknął mnie, nie pocałował, co też nie zwiastowało niczego dobrego.

- Już nie mogłem się doczekać, kiedy cię zobaczę - odparł, ale w jego tonie nie było cienia gorliwości.

Dzielił nas teraz jakiś metr chłodnego powietrza, które w szybkim tempie coraz bardziej lodowaciało. Poderwałam się ze stołka, podszłam, uniosłam twarz. Pochylił się i cmoknął mnie w usta. Jego wargi były twarde i miały zupełnie inny smak niż wargi Thoma, jakby po kryjomu żuł kmin i cierpką tamaryndę. Odwróciłam się, żeby wrócić na swoje miejsce, a wówczas klepnął mnie po tyłku. Mocno. Aż zaszczępowało.

- Oto moja dziewczynka - mruknął.

W tej samej chwili w drzwiach za plecami Thoma pojawił się Joe.

- Pomóż mi znieść ten majdan z samochodu - polecił.

Thom skinął głową. Potarł usta dłonią, którą dał mi klapsa, a potem się odwrócił i zniknął na zapleczu.

W języku Joego „pomóż mi” oznaczało: Idź i zdejmij majdan z piczupa, podczas gdy ja wrzucę ten monstualny, prawdziwie męski pęk kluczy do szuflady przy kasie, przy okazji otrę się o cycki twojej żony, a potem posadzę tyłek na swoim stołku.

- Pomóżcie Thomowi w rozładunku - zawołał Joe do obu sprzedawców. - My z Ro mamy tu wszystko pod kontrolą.

James i Derek zniknęli na zapleczu, a ja i Joe zajęliśmy swoje miejsca - on przy drzwiach, ja za kasą.

- Co się stało, że tak szybko wróciliście? - zapytałam i robiłam przy tym, co mogłam, by przypadkiem nie okazać paniki.

- Niech mnie szlag, jeśli wiem - odparł Joe. - Thom przez całe rano uwijał się jak obłąkany derwisz, po czym oznajmił, że już wszystko załatwił i wraca do domu. A ja mogę lecieć z nim, albo zostać, mój wybór.

Joe też był odmieniony Nie tak bardzo jak Thom, ale jednak zachowywał się inaczej niż zwykle. Przez lata marzyłam, żeby przestał wlepić swoje lubieżne gały w mój tyłek, problem w tym, że teraz dla odmiany wgąpił się w mój brzuch. Kilka razy znacząco poruszył brwiami, po czym powiedział:

- A może ty mi powiesz, dlaczego wróciliśmy?

- Nie mam pojęcia.

Nie odrywając wzroku od mojego brzucha, znowu wprawił brwi w ruch.

- Myślałem, że przyjechaliśmy tak szybko do domu, bo czeka nas tu dobra nowina.

- Wspaniale. A jaka?

Kompletnie zbaraniał. Był tak bardzo zdumiony, że wreszcie przeniósł spojrzenie na moją twarz. Ja natomiast byłam zdziwiona, że wie, jak tam trafić.

- W drodze do Houston Thom mi powiedział, że TY masz dla mnie dobre wieści i przekażesz je zaraz po naszym powrocie.

Po raz kolejny zaczął pożerać oczami mój brzuch, uśmiechnął się triumfalnie i nagle przypomniałam sobie o torsjach w drodze na lotnisko. Wtedy zasugerowałam Thomowi, że może jestem w ciąży, bo za wszelką cenę chciałam go wepchnąć do samolotu.

- Nie mam żadnych wieści dla ciebie. - Położyłam silny akcent na dwóch ostatnich słowach.

Thom wsunął głowę przez drzwi.

- Gdzie mam położyć pudło z broszurami? W szafce na akta?

Patrzył jedynie na ojca, nawet nie zerknął w moją stronę i znowu poczułam bijącą od niego obcość.

- Nieee, postaw przy moim biurku - zadysponował Joe. Po czym dorzucił: - Twoja żona mówi, że nie ma dla mnie żadnych wieści.

Thom wreszcie na mnie spojrział, a ja poczułam lodowate ciarki na plecach - tak niesamowity mróz bił z jego oczu.

- Jestem pewien, że wkrótce będzie miała - odparł. - W samolocie, w drodze do domu, kiedy się dziwiłeś, że jestem taki milczący? Cały czas się zastanawiałem, jak będzie wyglądało dziecko.

- Będzie miała nos Grandeech - autorytatywnie zawyrokował Joe.
- Jak obaj synowie Larry'ego.

- Albo i nie - rzucił znacząco Thom. Okręcił się na pięcie i wrócił na zaplecze.

Natomiast Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie jestem w ciąży - warknęłam.

- Ale Thom powiedział...

- Myliłam się, Joe. Czy możemy wreszcie zostawić ten temat?

Na mniej więcej pół minuty zapadła cisza, którą w końcu przerwał mój teść.

- Uważam, że powinnaś iść do lekarza od kobiecych spraw, Ro. Sprawdzić, czy u ciebie wszystko działa jak trzeba.

Raptownie obróciłam się w jego stronę.

- Wielkie nieba! Dopiero podjęliśmy pierwsze próby. - Ogarnęła mnie wściekłość, że w ogóle się przed nim tłumaczę. - Bądź uprzejmy nie wtykać nosa w moje majtki, Joe.

Miałam ochotę powiedzieć dużo więcej i ostrzej, ale z Thomem działo się coś naprawdę niedobrego, więc w tej chwili nie mogłam sobie pozwolić na awanturę z jego ojcem.

- Myślisz, że to wina Thoma, he? - Joe powiódł dłonią dokoła po szafkach z bronią i zarechotał pod nosem. - A to dopiero! Mężczyzna z rodu Grandeech strzelający ślepakami!

- Nie boję się o Thoma - powiedziałam najchłodniejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. W rzeczywistości tak bardzo się bałam, że ciało odmawiało mi posłuszeństwa.

- Ani ja - rzucił Joe pojednawczo. - Za to ty mnie martwisz. Ostatecznie pochodzisz z katolickiej rodziny. Powinnaś iść do doktora.

Odruchowo zwęziłam oczy i wbrew rozsądkowi podjęłam wątek.

- Nie wydaje mi się, żeby ginekolog mógł mnie wyleczyć z katolicyzmu. Szczerze powiedziawszy, obawiam się, że tej przypadłości nie da się wykryć nawet za pomocą wziernika.

Joe uśmiechnął się pobłaźliwie i niezrażony drażył temat.

- Jedynaczka w katolickiej rodzinie? Jak na mój rozum to oznacza, że w tych sprawach z twoją mamą nie wszystko było w porządku. Możesz mieć to po niej.

Poderwałam się, rozwścieczona, ale w tej samej chwili Thom wyłonił się z zaplecza. Zerknął na ojca, który siedział rozwalony na swoim stołku niczym pasza, potem na mnie, stojącą w bojowej pozycji, z rękami zaciśniętymi w pięści, i zapytał:

- Co mnie ominęło?

- Twój tata wykazuje zbyt daleko posunięte zainteresowanie moją katolicką waginą - wyszczałam, piorunując Joego wzrokiem.

- Tak? - rzucił Thom niskim głosem, przywodzącym na myśl uderzenie dzwonu na trwogę. Jego zachowanie, tak bardzo nietypowe, natychmiast ostudziło moje wojownicze zapędy wobec teścia, do którego teraz zwrócił się mój mąż.

- Tato, może pójdziesz sprawdzić, czy poustawialiśmy wszystko jak należy?

Taka odzywka była także zupełnie niepodobna do mojego Thoma.

foe spoglądał to na mnie, to na syna, wyraźnie zdezorientowany, jakby nagle do niego też dotarło, że dzieje się coś dziwnego. W końcu skinął głową i powiedział:

- Chodźmy więc, pokażę ci, jak to ma wyglądać.

- Derek i James ci pomogą. Chcę zamienić parę słów z żoną. Jeszcze nie zdążyłem się z nią porządnie przywitać.

Joe się nadąsał, ale wyszedł. Thom natomiast nie ruszył się z miejsca. Oparł się ramieniem o framugę, skrzyżował stopy.

- No więc, co porabiała twoja katolicka wagina, gdy mnie tu nie było, Ro?

Dobór słów był typowy dla Thoma, toteż powinien się rozluźnić. Problem w tym, że ton głosu brzmiał całkiem obco i groźnie.

Spojrzałam na niego czujnym wzrokiem.

- Trzymałam ją w majtkach, jak zwykle.

- Czy telefon jest już naprawiony? - To pytanie było tak nasycone podtekstem, że krew zaczęła we mnie zastygać.

- Monter ma przyjść jutro rano.

- U-hm. Wiesz, Ro, zabawna historia z tym telefonem. Ja już wiem, co się z nim stało.

- Naprawdę? - Przełknęłam zalegający w moim gardle kamień. Przełknęłam zbyt głośno. Nagle poczułam ulgę na myśl, że w sklepie jest Joe i dwóch sprzedawców. Nie chciałam zostać sam na sam z tym kimś, kto stał teraz przede mną.

Skinął głową.

- Martwiłem się o ciebie, dziecinko. Sama w nocy, z zepsutym telefonem. Dlatego zadzwoniłem z Houston do Larry'ego, poprosiłem, żeby sprawdził, co się dzieje. Stwierdził, że linia została przecięta. Naumyślnie. Ciekawe, kto mógł to zrobić.

Intonacja nie wskazywała na pytanie, mimo to pospieszyłam z odpowiedzią.

- Może jakieś dzieciaki? Okoliczne nastolatki? - Mój głos zawirował nerwowo.

Odruchowo przycisnęłam dłoń do czoła. W tej chwili nienawidziłam Larry'ego Grandeeego jak jeszcze nigdy przedtem w moim życiu. Ten pieprzony sukinsyn musiał być zachwycony, gdy dostał polecenie szpiegowania szwagierki.

- Larry powiedział też, że nie było cię w domu - ciągnął Thom.
- A! - jęknęłam słabo. - Miałam różne sprawy do załatwienia.
- Taaa, dlatego poprosiłem, żeby wpadł do ciebie raz jeszcze. Późną porą.

- A! - powtórzyłam.

- Zeszłej nocy nie wróciłaś do domu, Ro.

Kim on jest?

Poczułam, że zalewa mnie rumieniec: głęboki, gorący, równoznaczny z wyznaniem winy. Stojący przede mną facet w pełni nad sobą panował, mimo to cały czas miałam wrażenie, że lada chwila może trzasnąć mnie pięścią w twarz i przebić się do mózgu. Jeszcze nigdy nie patrzył na mnie tak zimnym wzrokiem. I tak spokojnym.

Nie wrzał w nim gniew. Doszło do fundamentalnej zmiany. Thom nabral niezachwianego przekonania, że go zdradziłam. Dodał do siebie moje dziwne zachowanie przez ostatnich dziesięć dni, nowe sztuczki w sypialni, nieobecność w domu ubiegłej nocy i doszedł do nieuniknionego wniosku. W rezultacie postanowił raz na zawsze zakończyć tę grę, nie bacząc na fakt, że nie będzie w niej żadnych zwycięzców.

Z męża Ro Grandee opadła powłoka i nagle miałam przed sobą to, co pod nią egzystowało. Pośrodku salonu Grand Guns stanęłam oko w oko z wisielcem z karty tarota - mężczyzną o twarzy, na której malował się błogi spokój. Tylko dwa razy zagrał mu nieznacznie mięsień zuchwy, ale poza tym twarz pozostała nieruchoma jak u trupa, w którego oczach widziałam własną śmierć.

- Chcę, żebyś zaraz zawiozła mnie do domu - powiedział. - Tę sprawę powinniśmy omówić na osobności. Tylko we dwoje.

- Do końca zmiany pozostały mi jeszcze dwie godziny, skarbie - odparłam, przybierając postawę grzecznej dziewczynki, tak charakterystyczną dla Ro. W zaistniałej sytuacji mogłam się w nią wcielać do

woli, nie stanowiło to już dla mnie najmniejszego zagrożenia. Patrząc teraz na Thoma, doskonale wiedziałam, że Ro nie będzie miała do czego wracać.

Ten stojący przede mną facet tylko pod jednym względem przypominał mojego męża: nie wiedział, na kogo patrzy. Wyczuwał, że coś się zmieniło, gdy leżałam w szpitalu, i potem, kiedy poszukiwałam Jima, ale nigdy nie pojął, że jego Ro już nie ma. To był mój atut, który musiałam rozegrać jak najlepiej, dlatego uśmiechnęłam się do niego niewinnym uśmiechem Ro Grandee.

- James i Derek poradzą sobie bez ciebie - zapewnił Thom.

- Lepiej będzie, jak poczekam do przyścia Janine. Spóźniłam się dzisiaj parę minut i temu palantowi, Derekowi, bardzo się to nie spodobało.

Nie mogłam wsiąść razem z Thomem do samochodu. Jeżeli odjechałabym z nim sam na sam, nie dożyłabym rana.

Wzruszył ramionami, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Był bezduszny, zimny, naznaczony mroczną intencją.

- Derek jakoś to przeżyje. Łap swoją torebkę.

Podszedł i zacisnął dłoń na moim nadgarstku, jakby zakuwał mnie w kajdany.

- Thom! - Joe nagle wrzasnął z zaplecza. Na odgłos tego krzyku aż podskoczyłam, za to Thom ani drgnął.

Nie zareagował też w żaden inny sposób. Mierzyliśmy się wzrokiem. Thom uważał, że ma do czynienia z sytuacją waż-mysz, ale tak naprawdę było to spotkanie dwóch węży. Nie zamierzałam tanio sprzedać skóry.

- Lepiej idź i sprawdź, czego chce od ciebie tato - powiedziałam. I szybko dorzuciłam: - SKARBIE.

W tej samej chwili Joe stanął w drzwiach.

- Thom, chłopcze, rusz swój tyłek na zaplecze. Nie mogę znaleźć tego mausera.

Stojący przede mną facet powoli odwrócił głowę w stronę drzwi. Moc Joego wciąż działała, nawet na tego stwora, który odpowiedział:

- Okej. Zaraz go poszukam. Ale potem razem z Ro już się urwimy. Jestem zmęczony, no i chciałbym zabrać moją dziewczynkę na kolację.

- Jasne. - Joe wzruszył ramionami. - Derek twierdzi, że dziś leniwy dzień.

Thom z powrotem spojrzał mi w twarz i rozciągnął usta w uśmiechu. Rozgrywaliśmy skomplikowaną partię szachów i on właśnie zagroził mojemu królowi. Przyświecał mu tylko jeden cel: zostać ze mną sam na sam. Natomiast ja nie mogłam do tego dopuścić. Nie miałam szans na wygraną w bezpośrednim starciu. Był o wiele większy i silniejszy ode mnie. Broń w pewien sposób wyrównałaby szanse, a dookoła nie brakowało broni, problem w tym, że Thom był doskonałym strzelcem - może nawet lepszym ode mnie. On albo ja. Jeżeli zdoła mnie wepchnąć do samochodu, uzbrojoną czy nie, będzie to mój koniec.

- Fantastyczny pomysł - zareagowałam z typowym dla Ro entuzjazmem. - Moglibyśmy pójść do Rollo na szczypcę krabów. - To była ulubiona potrawa mojego teścia. - Miałbyś ochotę iść z nami, Joe?

Joe wahał się przez moment, wyraźnie go kusiło, żeby powiedzieć „tak”, ale ostatecznie mój wybieg spalił na panewce.

- Mam zbyt dużo pracy. Poza tym wy, dzieci, musicie popracować nad specjalnym projektem, o którym wcześniej mówiliśmy. - Znowu perwersyjnie poruszył brwiami i wbił znaczące spojrzenie w mój brzuch. - No, rusz się, Thom.

- Zaraz przyjdę.

Uśmiechnęłam się słodko, jakbym zupełnie nie przeczuwała, co się święci. Jednak Thom, chodzący na polowania od szóstego roku życia, bez pudła potrafił wyczuć wiszący w powietrzu strach. Podejrzewał, że jeżeli opuści salę, natychmiast czmychnę jak spłoszona łania. I miał cholerną rację.

- Daj mi swoje kluczyki - zarządził. - Wyjmę torby z auta ojca i przeniosę do buicka, jak tylko znajdę ten pistolet.

Szach.

- Oczywiście, skarbie - odparłam bez wahania. Wygrzebałam kluczyki z torebki i wyciągnęłam w stronę Thoma. To go wyraźnie zbiło z pantalyku. Nie przypuszczał, że bez słowa protestu dam sobie odciąć drogę ucieczki. Ja tymczasem wciąż miałam przyklejony do twarzy słodki uśmiech Ro - zachwyconej, że skończy wcześniej pracę i pójdzie do restauracji na owoce morza.

Zacisnął palce na kluczykach. W jego oczach widziałam wahanie: nie mógł się połapać, jakiego ruchu z mojej strony nie zdołał przewidzieć.

- Synu! - niecierpliwie ponaglił Joe.

- W porządku - mruknął Thom. Odwrócił się i skierował na zaplecze.

Maska Ro opadła i roztrzaskała się o posadzkę. Nadszedł czas na zgranie mojego jedyne go atutu: ja wiedziałam, z kim mam do czynienia, on zaś nie miał pojęcia, że przeistoczyłam się na powrót w Rose Mae Lolley, która nie zamierzała iść na rzeź potulnie jak baranek.

Ledwo zniknął mi z oczu, wyciągnęłam z szuflady przy kasie monstrualny pęk kluczy Joego. Zanim buick stał się moją własnością, należał do Charlotte, więc oczywiście Grandee senior miał do niego kluczyki. Do diabła, miał nawet klucz do naszego pieprzonego domu. Po raz pierwszy fakt, że Joe wtykał swój nochal w każdy zakątek naszego życia, miał zadziałać na moją korzyść. Zacisnęłam dłoń na kluczach, żeby nie brzęczały, i śmignęłam na palcach w stronę drzwi.

Gdy je pchnęłam, zadźwięczał dzwonek.

- Witamy w Grand Guns! - wykrzyknęłam entuzjastycznie do pustych ścian. - Czym możemy dzisiaj służyć?

Wymknęłam się na dwór i ruszyłam sprintem przez parking, próbując jednocześnie odnaleźć kluczyk do buicka na przeładowanym breloku. Dopadłam do drzwiczek samochodu. Ręce miałam tak spoczone i drżące, że z trudem wsunęłam klucz w otwór zamka.

Kiedy w końcu go przekręciłam, wskoczyłam do środka i odpaliłam silnik. Z duszą na ramieniu rzuciłam okiem w stronę salonu. Frontowe drzwi nadal były zamknięte. Wrzuciłam bieg i nadepnęłam na pedał gazu.

Wyjeżdżając z parkingu, dojrzałam Thoma wychodzącego z zaplecza. Poruszał się spokojnie, powoli, z niewzruszoną miną patrzył na oddalającego się buicka. Wiedział, że nie mam dokąd uciec. Skręciłam w pierwszą lepszą przecznicę, żeby się uwolnić od jego spojrzenia. A potem pognałam w stronę domu.

Nie potrafiłam oszacować swojej przewagi czasowej. Kluczyki do pickupa Joego były w pęku, który porwałam z szuflady, co powinno zadziałać na moją korzyść. Joe zajmie Thomowi kilka cennych minut: będzie się kłótliwie dopytywał, dlaczego synowa umknęła jak płochliwa gazela, zabierając ze sobą wszystkie jego klucze. James mieszkał w pobliżu salonu i zazwyczaj przychodził do pracy na piechotę, a Derek był nieużytym dupkiem. Jeżeli Thom nie zdoła pożyczyć samochodu od któregoś z pracowników, będzie musiał poczekać, aż przyjedzie po niego Larry, albo aż Charlotte przywiezie zapasowe kluczyki Joego.

Pędziłam przed siebie niczym diabeł wcielony. Stracę wiele cennego czasu, zahaczając o dom, ale nie miałam innego wyjścia. Przede wszystkim musiałam zabrać Gretel. Thom w pierwszej kolejności skrzyłby jej kark tylko za to, że była istotą drogą mojemu sercu.

Ponieważ od wielu dni panowała piękna pogoda, zostawiłam psinę na dworze z potrójną racją żywnościową, żeby jej starczyło na trzydzieści godzin mojego pobytu w Chicago. To, że była na podwórku, powinno nieco przyspieszyć sprawę. Zostawiłam buicka z pracującym silnikiem i otwartymi drzwiami i pobiegłam przez trawnik do tylnej furtki. Gret przytruchtała powoli, machając ogonem, zachwycona moim widokiem. Ale jak zbliżyłam się do ogrodzenia, przystanęła zdezorientowana: wyczuła moje zdenerwowanie.

Otworzyłam bramkę na oścież.

- Na spacer? Idziemy na spacer? - próbowałam przybrać radosny ton głosu. Nawaliłam na całej linii, więc oczy mojej psiny pozostały zatroskane, na szczęście dobrze zrozumiała moje słowa. Wyszła przez furtkę i patrzyła na mnie, ciężko dysząc, ja tymczasem zdjęłam kluczyk do buicka z kółka, a pozostały pęk rzuciłam na trawnik.

Nie spakowałam żadnych swoich rzeczy. W ogóle nie weszłam do naszego małżeńskiego domu w kolorze akwamaryny. To mogło się okazać zbyt niebezpieczne. W zamian pognałam na ganek pani Fancy i zalomotałam do drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

Staruszki nie było, a moje klucze, łącznie z tym do frontowych drzwi sąsiadki, zabrał Thom. Dreptałam nerwowo po werandzie. Nie wiadomo, kiedy pani Fancy wróci, a ja powinnam się zbierać. Nie mogłam czekać. Gretel, warująca przy schodach, zapiszczała.

- Przejazdzka? Jedziemy na przejażdżkę! - Te słowa moja psina także знаła. Odwróciła się, potruchtała do buicka. Wskoczyła do środka przez otwarte drzwi i zajęła należne jej miejsce na fotelu pasażera.

Ja natomiast wyciągnęłam kostkę chodnikową z obrzeża frontowej rabaty pani Fancy i zabrałam ze sobą na ganek. Zamachnęłam się i trzasnęłam w jedną z szybek w drzwiach betonową kostką. Wylądowała z trzaskiem na parkiecie mikroskopijnego holu. Przed oczami mignęła mi żółtawa błyskawica: to Phil umykał w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki. Wsunęłam rękę przez dziurę i przekręciłam zamek.

Bieg do pokoju gościnnego, wyciągnięcie z pudła rewolweru dzia-
dunia oraz moich prawdziwych dokumentów kosztowało mnie dwie
minuty cennego czasu. Ale z bronią w ręku od razu poczułam się
lepiej. W ostatniej chwili chwyciłam również biblioteczną książkę
matki.

Pani Fancy powiedziała, że jej syn chętnie weźmie do siebie Gretel. Znała też schronisko, gotowe mnie przyjąć. Nie mogłam jednak czekać na staruszkę, poza tym instynkt mi podpowiadał, że to wszystko znajdowało się zbyt blisko. W tym mieście, ba!, w tym stanie nie było miejsca, w którym Thom Grandee nie zdołałby mnie odnaleźć. Już w tej chwili zmierzał w moją stronę. I będzie ku mnie podążał. Jak zawsze od owego dnia, gdy zobaczyłam go przez okno Duff s Diner, maszerującego zawadiacko, by objąć mnie w posiadanie. Teraz zmieniło się tylko jedno - powód, dla którego chciał mnie dopaść.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam ostro przed siebie, by znaleźć się jak najdalej od mojego akwamarynowego domu i wszystkich ulic, którymi mógłby podążać Thom w drodze z Grand Guns. Gret zawyła, domagając się, żebym otworzyła okno po stronie pasażera, jednak mój samochód dostatecznie rzucał się w oczy i bez jej wielkiego łba wywieszzonego na zewnątrz.

- Siedź cicho, Gruba Gretel!

Na tyle szybko, na ile starczyło mi odwagi, pędziłam w stronę międzystanowej czterdziestki. Na skrzyżowaniu zatrzymały mnie światła. Czterdziestka przecinała w poprzek cały kraj. Gdybym skręciła na zachód, zawiodłaby mnie do Kalifornii, gdzie matka czekała na swoją książkę.

Na lotnisku zaprosiła mnie do siebie. Od dłuższego czasu nie mogłam się uwolnić od pewnej wizji: Ivy Wheeler przechadza się wśród cytrynowych gajów i mieszka na wzgórzach owiewanych oceaniczną bryzą. Jest bezpieczna, odrodzona, nieobarczona mężem. Bez historii.

Powędrowałam spojrzeniem w stronę zachodu. Matka oferowała mi schronienie, ale w założeniu jej dom nigdy nie miał być moim. Chomikowała pieniądze w kwiecistym czółenku z myślą o tym, że mnie porzuci. Nigdy nie uwzględniała Rose Mae w swoich planach. Zapakowała mi lunch do brązowej torebki i zanim wyszłam do szkoły, rutynowo cmoknęła mnie w policzek na do widzenia. Po czym zniknęła, a ja po powrocie do domu odkryłam, że świat uległ całkowitemu obrażeniu.

Matka zdefiniowała się na nowo, odrodziła jako wróżbiarka, nie nauczyła mnie jednak, jak dokonać takiej przemiany. Ivy Wheeler to jedynie elegancka fryzura, kilka pożyczonych ciuchów i buty o stalowych noskach. Zwróciłam się ku zachodowi i rzuciłam „Pierdol się!” pod adresem matki.

Światła zmieniły się na zielone. Moje dłonie wykonały obrót kierownicą. Stopa nacisnęła na pedał gazu. Samochód ruszył z miejsca z wizgiem opon, pozostawiając ślady spalonej gumy na asfalcie. Oddalałam się od matki. Jechałam na wschód. Dobrze znałam głębokie

Południe. Tam mogłam się przycząić. Owszem, byłam przerażona. Ale jednocześnie za bardzo wkurzona, żeby poddać się jak na grzeczną dziewczynkę Thoma przystało i umrzeć.

Wracałam do rodzinnego domu.

Rozdział 12

Skierowałam buicka na wschód, a potem jechałam piętnaście godzin bez przerwy. Pędziłam z wiatrem, który zdawał się oddechem goniącego mnie wilka: był gorący, zionął odorem starego mięsa. Wzbudzał przerażenie.

Zjeżdżałam z autostrady tylko wtedy, gdy moje krowiaste auto potrzebowało kolejnego tankowania. Buick żłopał benzynę jak smok. Na tych postojach ja także doładowywałam akumulatory, wlewając w siebie kawę równie potężnej mocy co mieszanka pochłaniana przez mój samochód. Kupiłam dla Gretel kilka paczek suchej karmy, a dla siebie krakersy i słoik masła orzechowego. Jednak strach przyprawiał mnie o takie mdłości, że nie byłam w stanie wiele zjeść. Na początku pędziłam, wciskając gaz do dechy, ale po pewnym czasie zmusiłam się do wolniejszej jazdy i starałam się nie przekraczać limitu prędkości o więcej niż dziesięć kilometrów na godzinę. Nie bardzo wiedziałam, którym prawem jazdy powinnam się posłużyć, gdyby zatrzymała mnie drogówka. Nie chciałam się przeobrażać w Ivy zbyt blisko domu, ale nie życzyłam też sobie mandatu na nazwisko Rose Mae, bo w ten sposób zostawiałabym za sobą łatwy do wytopienia ślad.

Gret siedziała na fotelu pasażera, ale wciąż obwąchiwała mi włosy, wciskała mokry nos za ucho, czujna i zatroskana. Doprowadzała mnie tym do szaleństwa. Kiedy opuściliśmy terytorium Teksasu, uchyliłam jej okno. Natychmiast wysunęła na zewnątrz łeb i z głośnym sapaniem zachłystywała się powietrzem Arkansas, przesyconym zapachem modrzewiowych lasów i odchodów pancerników, które zaprzętały jej uwagę przez całą drogę aż do Tennessee. Tam wreszcie uspokoiła się na tyle, by zasnąć z wielkim łbem na moich kolanach i poznać mi dżinsy śliną cieknącą z fafli.

W chwili, gdy przekraczałam granice Alabamy, nie spałam od niemal trzydziestu godzin - o ile spaniem można nazwać niespokojną drzemkę na biblioteczej ławce w Chicago. Bolały mnie wszystkie stawy, męczył suchy kaszel szarpiący żebra, poznaczone bliznami po dawnych pęknięciach. Cała ta kofeina, którą wlewałam w siebie na pusty żołądek, sprawiła, że oczy wylazły mi z orbit. Miałam wrażenie, że linie na jezdni wymalował drogowiec pod dobrą datą. Moje widzenie peryferyjne spowijała mgła.

Jeszcze w Arkansas doszłam do wniosku, że jeżeli już mam uciekać, powinnam zajechać do Birmingham. Było to dostatecznie duże małe miasteczko, by się w nim zagubić. Mogłam tam sprzedać za gotówkę charakterystycznego buicka Grandeech jako Rose, opuścić zaś miasto jako Ivy i w ten sposób zatrzeć po sobie ślad. A potem mogłabym jechać do dowolnego miejsca w Stanach, nawet na sam kraniec Florydy, gdzie zostałabym kelnerką, serwowała drinki z limonką i kokosem, zainwestowała w japonki i czerwone bikini. Jeżeli rzeczywiście miałam uciekać.

Jednak ledwo przekroczyłam granice Alabamy, zmieniłam zdanie.

Na naszej drugiej randce powiedziałam Thomowi, że mój tato nie żyje. W owym czasie ojciec był tak bardzo dla mnie martwy, że nawet nie wydawało się to kłamstwem. Thom wiedział też, że matka opuściła mnie w dzieciństwie, więc Fruiton będzie drugim albo trzecim miejscem, w którym zacznie mnie poszukiwać. Najpierw bez wątpienia przeczesze Amarillo, potem jego uwagę zapewne przyciągnie Kingsville - miasteczko, w którym się poznaliśmy.

Jeżeli więc pojedę do Fruiton, zyskam na czasie i zdobędę przewagę własnego terenu. To bezwzględnie najlepszy wybór, skoro nie chcę uciekać. Idealnie się nadawał do zastawienia na Thoma pułapki.

Im dalej posuwałam się na wschód, tym bardziej rosła temperatura, a klimatyzacja w buicku była do dupy. Wjechałam więc do rodzinnego miasteczka ze wszystkimi spuszczoneymi szybami. Fruiton już pachniało jak każda nieduża miejscina w Alabamie: rozgrzanym asfaltem, starą fryturą i sosnowym lasem. W stojącym powietrzu unosił się

pyłek iglastych drzew, pokrywający każdą powierzchnię żółtą glazurą. Kiedy tutaj mieszkałam, nie zauważałam tej szczególnej właściwości powietrza, tak bardzo była dla mnie oczywista. Lecz przez te wszystkie lata zdążyłam zapomnieć, jakie to uczucie, gdy pył nieustannie zatyka nos.

Skierowałam się w stronę swojego dawnego domu. Gret już się obudziła, znowu wystawiła przez okno swój masywny łeb, a wszechobecny pył oblepiał jej wywieszony język. W buicku od lat nie działał magnetofon, pozostało mi więc tylko radio, z którego leciało gospel. W Fruiton jedyna muzyka radiowa do wyboru to gospel lub country; poza tym można było się jeszcze przełączyć na audycje, w których rozjuszeni faceci zajadłe perorowali na temat polityki lub Jezusa, względnie jednego i drugiego naraz.

Padalam ze zmęczenia. Musiałam mocno zaciskać obie dłonie na kierownicy, bo inaczej jechałabym zygzakiem. Po drodze minęłam Krispy Kreme, obskurną kafejkę, gdzie przesiedzieliśmy z Jimem setki godzin. Sąsiadowała z jadłodajnią Churchs Chicken, z którą solidarnie produkowała oleiste wyziewy przesycające powietrze. Patrząc na tę okolicę, miałam wrażenie, że doznaję *déjà vu*, co było kompletnym idiotyzmem.

Bo przecież to oczywiste, że wszystko wydawało mi się znajome, skoro przychodziłam tutaj mnóstwo razy. Tyle że od owego czasu minęło dziesięć lat i tam gdzie kiedyś stał drugstore* Bickela, widniała wielka apteka sieciowa, natomiast na ongiś niezabudowanej parceli znajdowała się stacja benzynowa z trzema bajeranckimi dystrybutorami. Te zmiany wystarczyły, żeby to miejsce wydało mi się znajome, ale i obce zarazem, jedynie mgliście podobne do jakichś dawno odwiedzanych okolic.

Kiedy ostatni raz znajdowałam się na tej drodze, zmierzałam w stronę przystanku greyhoundów. Wówczas, tak jak teraz, miałam na

* drugstore (ang.) - połączenie apteki ze sklepikiem, w którym można nabyć prasę, papierosy, kosmetyki, słodczyce, paczkowaną żywność czy napoje, (przyp. tłum.)

sobie cudze buty, podarowaną przez kogoś bluzkę i sprane levisy. Za to zapewne nie byłam aż tak zapocona i brudna.

Po kolejnych pięciu minutach minęłam wjazd na osiedle Lavalet, gdzie swego czasu mieszkał Jim. Kiedyś uważałam to miejsce za ucieleśnienie elegancji i luksusu - z basenem, małomiasteczkowym odpowiednikiem country klubu i kutą, pełną zawijasów nazwą osiedla, umieszczoną na niskim, ceglany murku przy wjeździe. Nie skręciłam w tamtą stronę. Postanowiłam jechać prosto do swojego dawnego sąsiedztwa. Jakoś nie miałam ochoty dzwonić do drzwi Jima, by zapytać jego matkę: I co, Carol, czy kiedykolwiek odezwał się do ciebie twój najmłodszy?... Nie? Nie zadzwonił nawet na Gwiazdkę?

Poza tym rodzina Beverlych zapewne już tu nie mieszkała. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby pozostać w domu, gdzie wszystko przypominało o ukochanej osobie, która pewnego dnia odeszła bez słowa i nie dała więcej znaku życia. Normalni ludzie uciekali od nieszczęścia, najszybciej jak mogli. Ci mniej zdrowi na umyśle zachowywali się jak mój ojciec. Tatko wychowywał mnie w domu, z którego związała jego żona, i pił, ile wlezie, bo dzięki temu miejsca ziejące pustką po nieobecnej kobiecie rozmywały mu się przed oczami. Czasami urzywał się tak bardzo, że musiał marszczyć czoło i mrużyć powieki, aby trafić mnie pięścią tam, gdzie zamierzał.

Istniała więc spora szansa, że o ile nie zapił się na śmierć, pozostał w tym samym domu także po moim odejściu. Teraz, kiedy znajdowałam się tak blisko ojca, ze zdumieniem stwierdziłam, że praktycznie nie zachowałam w pamięci jego wyglądu. Jedyni ludzie z przeszłości, których dobrze pamiętałam - przed oczami miałam ich ruchy, a w uszach dźwięczała mi kadencja ich głosów - a więc Jim Beverly i moja matka - niespodziewanie mnie opuścili.

Ojciec zachował się w moich wspomnieniach głównie jako cienisty kształt: niski, szeroki, o wielkich dłoniach. Obraz jego irlandzkich, kanciastych rysów i gniewnie ściągniętych brwi pochodził przede wszystkim ze zdjęć, a nie osobistego doświadczenia. Tym, co dla mnie

najsilniej wiązało się z ojcem, były twarde, szybkie pięści, kwaśny odór jacka danielsa i niski, burkliwy głos.

Tak czy owak, Thom nie miał pojęcia, że mój ojciec znajduje się wśród żywych; a już z pewnością nie przyszłoby mu do głowy, że to twardy i zajadły facet, który strzela lepiej niż wszyscy znani mi ludzie - nie wyłączając Thoma. Mój tato był takim samym sukinsynem jak Thom, ale miał wobec mnie dług. Nie istniała też groźba, całkiem realna w wypadku Jima Beverly'ego, że miałabym ochotę przy nim pozostać. Przyjemne wspomnienia związane z ojcem - przejażdżki na barana, strzelanie do celu, huśtanie na zawieszonych oponie - zostały unieważnione przez dziesięć lat, które z nim przeżyłam po odejściu matki. Jego pięści wybiły mi z głowy ochotę na wspólne wspominki o starych dobrych czasach. Był jedynie stalowymi zębami pułapki, ja natomiast miałam stanowić przynętę. Ruszając w pościg, Thom niewątpliwie zajrzy do książki telefonicznej Fruiton w poszukiwaniu jakichś Lolleyów. Nie będzie się jednak spodziewał, że drogę do zbiegłej żony zagrozi mu cudem zmartwychwstały ojciec, do tego dysponujący pokaznym arsenałem.

Kilometr za Lavalet przejechałam Bandeer Street i tym samym opuściłam tę lepszą stronę miasta, uosabianą przez przeszkloną galerię handlową i restauracje w stylu Olive Garden. Skręciłam w lewo za nędznym, długim barakiem, mieszczącym małe centrum handlowe, gdzie zachował się jeszcze sklep Armii Zbawienia i dziadowski market dyskontowy. Potem kolejny skręt w lewo i znalazłam się na swojej dawnej ulicy.

Wszystkie domy przy Pine Abbey były wytworami lat sześćdziesiątych: niskie sufity, jedna łazienka, kiszkowata kuchnia z wyposażeniem i meblami w kolorze pszenicznej żółci lub zieleni awokado. Budynki były parterowe i przysadziste, jakby im się zdawało, że stoją w Mobile Bay, krainie huraganów. Przejechałam kolejne dwa kilometry i zatrzymałam w miejscu, które w lepszej dzielnicy wymodelowano by na ślepy zaułek.

Ale nie tutaj. Pine Abbey urywała się nieoczekiwanie i przechodziła w wąską, piaszczystą drogę, zaczynającą się tuż przy krawężniku

i znikającą w głębi lasu. Tata woził mnie tą drogą w niedzielne popołudnia na sesje strzelania do celu.

Gałęzie, ocierające się o boki pickupa, obdrapywały lakier. Nie miało to jednak większego znaczenia. Tato kupował najgorsze rzęchy i za pomocą taśmy klejącej, śliny oraz gradu przekleństw utrzymywał je na chodzie. Jeździł nimi, póki nie wypadł silnik, potem sprzedawał na złom i nabywał kolejnego rzęcha.

Na końcu drogi znajdowała się spadzista łąka. Stawaliśmy w najniższym punkcie i ze względów bezpieczeństwa ustawialiśmy cele tak, by znajdowały się przed wzniesieniem. Strzelaliśmy do dwulitrowych butelek, wygrzebanych ze śmieci naszych pijących pepsi sąsiadów. My piliśmy tylko colę, a ojciec w życiu nie podziurawiłby kulami butelki po coli. Utrzymywał, że dla człowieka z Południa to niemal równoznaczne ze świętokradztwem.

Dla obciążenia tata napełniał butle wodą. Pociski przeszywały je na wylot i grzęzły w zboczu. Waliliśmy do naszych celów na zmianę, póki nie zostały z nich tylko smętne strzępy plastiku.

Kiedy pierwszy raz ojciec pozwolił mi strzelać z prawdziwej broni, miałam mniej więcej pięć lat. Popołudnie było słoneczne, a zapach whiskey, dobiegający od ojca, ledwo wyczuwalny Tato tryskał dobrym humorem. Przyglądał się, jak celuję z pistoleciku-wiatrówki, po czym powiedział:

- Rosie-Red, jak dla mnie jesteś gotowa na coś poważniejszego.

Załadował dwudziestkędwójkę i wyjaśnił, czym jest odrzut. Założył mi na uszy gąbkowe, pomarańczowe ochraniacze, a ja wycelowałam w butelkę po pepsi. Pewnie nacisnęłam na spust i broń podskoczyła mi w dłoni niczym żywy twór. Wydawała się potężna, mimo to podporządkowana mojej woli. Czułam wibrowanie wystrzału w całym ciele. Pociągnęłam za cyngiel raz, drugi, trzeci. Miałam wrażenie, że kule wyskakują gdzieś z czeluści mojego brzucha, przebiegają przez ramię, a dopiero potem wylatują przez lufę. Stałam pewnie na nogach i strzelałam, dopóki nie opróżniłam magazynka.

Tata podszedł lekko chwiejnym krokiem do butli i uniósł ją w górę. Z kilku dziur wyciekała woda.

- Jasny szlag, dziecinko, ale celnie przygrzałaś. Trafiłaś trzy, może nawet cztery razy - oznajmił z podziwem w głosie. - Gdybyś nie była taka śliczna, tobym żałował, żeś się nie urodziła chłopcem.

- A kto by tam chciał być chłopakiem - odparłam, charknęłam i splunęłam.

Ojciec wybuchnął śmiechem.

- Sokole Oko bez kuśki, ot kto!

Ja też zaczęłam się zaśmiewać, chociaż nie pojmowałam dowcipu. Wiedziałam jedynie, że to wspaniały dzień: mama w domu gotowała dla nas lasagne, a tatuś był ze mnie bardzo dumny.

Tutaj, na samym końcu Pine Abbey, jako ostatnia w rządzie stała czerwona, ceglana kostka, która była kiedyś moim domem. Dom naprzeciwko był jej lustrzanym odbiciem, różnił się tylko tym, że miał kremowe, a nie brązowe obramowanie okien, i rdzewiejącego volkswagena garbusa na podjeździe.

Podjazd przed moim domem był pusty. Może ojciec poszedł po rozum do głowy i wyprowadził się po tym, jak po kolei opuściła go żona i córka. A może rzeczywiście już nie żył.

Teraz, gdy w końcu tu przyjechałam, nie mogłam się nadziwić własnej głupocie: czy doprawdy wierzyłam, że po tylu latach zastanę ojca w tym samym domu, siedzącego w najlepszej na sofie? To równie niedorzeczne, co oczekiwanie, że w mojej dawnej sypialni zobaczę egzemplarz *Wodnikowego Wzgórza*, leżący na nocnej szafce grzbietem do góry, tak jak go zostawiłam przed dziesięciu laty, otwarty na stronie opisującej pierwsze spotkanie królików z generałem Woundwartem. A jednocześnie nie mogłam sobie wyobrazić ojca pakującego dobytek w skrzynie i wynajmującego wóz do przeprowadzek. Jeżeli żył, nie sądzię, by mieszkał gdzie indziej. Pusty podjazd mógł oznaczać tylko tyle, że pojechał do pracy, albo po sprzedaniu kolejnego rzęcha nie kupił jeszcze następnego.

Ciekawe, czyby mnie poznał. Ledwo to pomyślałam, wspomnienia i instynkt samozachowawczy kazały mi odruchowo napiąć mięśnie brzucha - szykować się na powitalny cios pięścią w trzewia. Poczułam,

że wzbiera we mnie pałący gniew. Do kurwy nędzy ojciec był mi coś winien i jeżeli tu jest, musi spłacić swój dług.

- Siedz grzecznie! - przykazałam Gretel. Wyłączyłam silnik i podciągnęłam wszystkie okna do połowy, żeby Gret nie mogła wyskoczyć, a jednocześnie miała zapewnioną cyrkulację powietrza.

Wysiadłam i z wysoko uniesioną głową ruszyłam przez wyłysiały trawnik. Oczy mnie piekły z braku snu. Mimo to maszerowałam buńczucznie przed siebie, jak dzieciak, który odpowiedział na wyzwanie kolegów i szedł zaklepać drzwi domu mającego złą sławę i nawiedzanego przez duchy Wskoczyłam na betonową płytę, służącą za ganek, i kompletnie opadłam z sił. Ten krótki, wojowniczy marsz mnie wykończył. Musiałam łapać płytkie, krótkie oddechy, bo tylko tak mogłam powstrzymać suchy, szarpiący kaszel, który się czaił gdzieś w dolnej partii płuc. Ominęłam wejściowe drzwi i przyklęknęłam przy otwartym oknie dużego pokoju. Przycisnęłam twarz do moskitiery i osłoniłam dłonią oczy od słońca, żeby dojrzeć, co się dzieje w środku.

Na podłodze siedziała mała dziewczynka. Miała jakieś osiem, góra dziewięć lat, a jej twarz okalały strąki ciemnych włosów. Poczula na sobie moje spojrzenie i uniosła duże, błyszczące oczy. Nie wydawała się ani zdziwiona, ani przestraszona moim widokiem. Przyłożyła palec do ust i powiedziała:

- Ciii, tatuś śpi.

Przez jedną szaloną chwilę pomyślałam, że spoglądam w przeszłość i widzę siebie z lat dzieciństwa, udzielającą przestrogi mojemu dorosłemu ja. O ile wierzyć filmom science fiction, gdybym jej teraz dotknęła, obie rozpląnęłybyśmy się w nicości, stanęły w płomieniach lub doprowadziły do eksplozji świata.

Zamrugałam gwałtownie i przycisnęłam dłoń do pulsującego bólem czoła. Rozejrzałam się po pokoju: zauważyłam, że jest zdecydowanie osadzony w terażniejszości i nie ma nic wspólnego z moim dawnym życiem. Nie rozpoznawałam żadnych sprzętów. Długa, pękata sofa w zielonym kolorze była ustawiona przy niewłaściwej ścianie. Nasza, brązowa w ciemnozłote kwiaty, stała pomiędzy dwoma

oknami - tym, przez które zaglądałam, i tamtym w głębi ganku. W pokoju znajdował się także zupełnie mi nieznany, niski stolik, a przy nim wysoki, winylowy fotel dziadunia oraz kartonowe pudła, używane do przewodządek. Na jednej z półek ażurowego regału stał wielki telewizor; właśnie leciała jakaś kreskówka z królikiem Bugsem, ale przy wyłączonym dźwięku. My mieliśmy znacznie mniejszy odbiornik i trzymaliśmy go na stoliku z oheblowanych desek.

Obok dziecka, porozrzucane po podłodze, leżały rozmaite stroje dla Barbie. Dziewczynka właśnie starała się wcisnąć długie nogi lalki w elastyczną, obcisłą sukienkę.

- Cześć - szepnęłam przez siatkę moskitiery.

Mała wciąż walczyła z sukienką, która się zaklinowała na rozłożystych biodrach Barbie.

- Nie wolno mi rozmawiać z obcymi - mruknęła.

- Ja nie jestem taka całkiem obca. Kiedy byłam w twoim wieku, mieszkalam w tym domu. Tutaj dorastałam.

Ta informacja wyraźnie ją zaintrygowała. Odłożyła do połowy ubraną lalkę, rezolutnie przekrzywiła głowę i podeszła do okna.

- Naprawdę? A jak masz na imię?

- Rose. Rose Mae.

Kiwnęła z aprobatą głową, jakbym właśnie zdała ważny test, po czym obwieściła:

- To ty zrobiłaś znaki.

- Znaki?

- Na ścianie. Tatuś okropnie się na nie wścieka. Wiem, że to ty, bo jest tam twoje imię.

- W tym domu, na ścianie są jakieś znaki i moje imię? - postanowiłam się upewnić, czy na pewno dobrze zrozumiałam. Dziewczynka potaknęła, a wówczas zapytałam: - Czy mogę je zobaczyć?

Przekrzywiła głowę w drugą stronę, usilnie coś rozważając.

- Musiałabyś wejść do środka - zauważyła w końcu.

- Owszem. Pozwolisz mi wejść i je obejrzeć?

Po chwili ponownej zadumy, wzruszyła ramionami i powiedziała:

- No, dobra. W końcu jest tam twoje imię.

Wstałam z kolan i podeszłam do frontowych drzwi. Dziewczynka otworzyła je przede mną i wówczas rozległ się skrzyp zawiasów, tak dobrze znajomy, że aż ścisnęło mnie w dołku.

Weszłam do środka. Wykładzina została wymieniona. Zniknęła ta z czasów mojej młodości - ciemnozłota, gdzieniegdzie tak wytarta, że widać było plastikową siatkę przyklejoną do podłogi. Jej miejsce zajęła nowoczesna, melanzowa, w odcieniach khaki, o pętelkowym splocie. Dziewczynka wskazała na frontową ścianę, przy której ongiś stała nasza sofa. Tę przestrzeń zajmowała teraz grubo ciosana komoda i trzy kolejne kartonowe pudła.

- Tatuś wszystko wymalował, jak się wprowadzaliśmy, ale one wciąż wyłażą na wierzch - poinformowała dziewczynka, wskazując na dwa słowa i grupę znaków na ścianie. - Tatuś mówi, że są jak duchy.

Znaki mieściły się w obrysie niewidzialnego prostokąta i znajdowały dokładnie w tym miejscu, gdzie kiedyś wisiał obraz ze statkami, należący do mojej matki. Wszystkie kreski były grube, wykonane wodoodpornym flamastrem. Gdyby obraz nadal tu wisiał, idealnie by przykrywał tę radosną twórczość.

Na górze ktoś wypisał drukowanymi literami moje imię: ROSE MAE. Poniżej znajdowały się poziome linie, biegnące przez całą szerokość i wysokość już nieistniejącego obrazu. Górne były w całości pokryte ptaszkami - znajdowało się tu tysiące tych znaczków, przypominających małe „v”.

Niektóre kłuły w oczy ostrą czernią, inne ledwo majaczyły, jakby dopiero walczyły o wynurzenie się na powierzchnię farby pokrywającej ścianę.

Spojrzałam na dziewczynkę.

- Te znaki zostały zrobione wodoodpornym mazakiem i dlatego zawsze przebiją przez farbę. Kiedyś nawet widziałam, jak przebiły przez tapetę. Twój tato musi przed malowaniem zagruntować ścianę specjalnym środkiem, który można dostać w Home Depot. Nazywa się Killz.

- Killz - powtórzyła dziewczynka. - Powiem mu.

Wyciągnęłam rękę i przyłożyłam dłoń do chłodnej ściany - czujnie, ostrożnie, jakby znaki zostały wypalone żywym ogniem i jeszcze dymyły. Zdawały się tajemnicze i niezrozumiałe, niczym splaszczony braille. Przesunęłam ręką w dół, licząc po drodze poziome linie.

Było ich dziewiętnaście. Ta na samej górze została pokryta ptaszkami tylko od jednej trzeciej długości. Zaczęłam je zliczać.

- Sto trzydzieści osiem w tym rzędzie - podsunęła usłużnie mała.
- Już dawno temu policzyłam.

Sprawdziłam. Miała rację. Sto trzydzieści osiem. Na niższych liniach znajdowało się jednak znacznie więcej ptaszków. Wypełniały każdą z linii, aż do ósmej od góry, gdzie nagle się urywały. Na ostatnich dziesięciu nie było już żadnych znaków.

- Myślę, że zrobiła je moja mama - mruknęłam.

A dziewczynka na to gawędziarskim tonem, jakbyśmy się przerzucały informacjami na temat matek:

- Moja mama pracuje w gabinecie doktora. I chodzi do szkoły, w której uczy się na pielęgniarkę.

- To fajna praca - odparłam machinalnie.

Matka wypisała moje imię i wyrysowała tę dziwną wyliczankę zaledwie metr od miejsca, gdzie stał ulubiony fotel ojca, zwrócony w stronę telewizora. Powietrze wokół mnie zaczęło gęstnieć, coraz trudniej przychodziło mi oddychać.

- Ja nie będę pielęgniarką - ciągnęła dziewczynka poufnym tonem. - Zostanę kosmonautką.

- To też fajny zawód - wykrztusiłam.

- Moja lalka Skipper ma mundurek pielęgniarki. Chcesz zobaczyć?

- Jasne - odparłam, usilnie ignorując nagle ściskanie w dołku. Oczy piekły mnie coraz silniej, a pole widzenia coraz bardziej się zawężało. Teraz spoglądałam na znaki przez tunel szarej mgły, natomiast linie na ścianie zdawały się migotać, jakby padał na nie odbłask świateł.

Dziewczynka podbiegła i podsunęła mi pod nos Skipper-pielęgniarkę.

- Super - powiedziałam, ruszając w stronę drzwi. - Ale muszę już iść.

To była prawda. Nie mogłabym ani chwili dłużej oddychać powietrzem tego pokoju.

- Pa! - pożegnała mnie mała.

Niemal biegiem dopadłam do drzwi. Zawiasy wydały z siebie diabelski chichot, jakby się ze mnie naśmiewały. Wyprysnęłam na trawnik, ogarnięta mdłościami, i zaczęłam się krztusić, lecz nie miałam czym wymiotować. Zaniósłam się za to tak szarpającym kaszlem, że aż rozboleło mnie gardło. Gretel wystawiła łeb przez półotwarte okno na tyle, na ile mogła, i głęboko przejęta, zaczęła wydawać z siebie ni to szczek, ni to wycie.

- Cicho, Gret - przykazałam, jak tylko zwalczyłam kaszel. Wciąż stałam zwinęta wpół, z rękami na kolanach i patrzyłam na rzadką trawę, przez którą przebijała czarna ziemia Alabamy, dokładnie tak, jak zapamiętałam. Matka nazywała nasz trawnik „trędowatym”. Minęło dziesięć lat, od kiedy po raz ostatni przeszłam po kępkach tej zbrzowiąłej trawy, a ona wciąż się znajdowała w identycznie oplakany m stanie. Przynajmniej to jedno się nie zmieniło.

Mój żołądek podrygiwał niczym wyciągnięty z wody pstrąg. Zwieśliłam głowę jeszcze niżej, próbowałam zaczerpnąć głębokiego oddechu. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że przed dom wyszedł sąsiad z naprzeciwka. Zdążył już zejść z ganku i stał na swoim równie liszajowatym trawniku. Spoglądał na mnie i Gret.

Był wychudłym, starym człowiekiem o wypukłych, jajowatych oczach i tak bardzo obwisłych dolnych powiekach, że aż obnażały spojówki i tworzyły pękate wory. Odniosłam wrażenie, że gdyby się schylił po gazetę rzuconą pod drzwi, oczy wyskoczyłyby mu z oczodołów i zawisły na strzępkach ciała jak na czułkach. Na czubku jego głowy widniała pokaźna łysina, okolona wianuszkami siwych, zmierzwiomych włosów.

Im dłużej patrzył w moją stronę, tym bardziej opadała mu szczęka.

- Rany Julek! - wykrzyknął w końcu.

Zerknęłam przez ramię. Ani żywej duszy. Stary wskazał na mnie palcem. Z jego wciąż rozdziawionych ust wytoczyła się strużka śliny, pociekła po brodzie i zawisła ciężką kroplą na brodzie. Znowu poczułam ostre ściskanie w dołku.

Tymczasem sąsiad ruszył w moją stronę krzywym, kaczkowatym biegiem. Potykał się, ale przyspieszał z każdym metrem. Rozwarł szeroko ramiona i rzucił się ku mnie niczym doczesne szczątki dawno zmarłego kochanka, wskrzeszone nagle do życia. Znowu coś wykrzyknął, ale tym razem jego słowa zostały zagłuszone przez ostrzegawcze ujadanie Gretel.

Zaczęłam się szybko cofać i wsunęłam rękę do torby. Moje palce najpierw natrafiły na portmonetkę, potem na szminkę. Tymczasem to śliniace się zombie wciąż mnie goniło: przebiegło przez jezdnię, chciało mnie objąć, a może zatopić zęby w mojej szyi. Gretel rzucała się na szybę, próbowała przepchnąć cielsko przez uchylone okno i zagrozić wrogowi do mnie drogę.

Staruch wyminął buicka, wskoczył na trawnik, na którym stałam. W tej samej chwili, jakby desperacja mogła czynić cuda, moje palce się zacisnęły na metalowym, chłodnym cylindrze, którego od początku szukałam. Tym razem pamiętałam, że należy zwolnić blokadę zabezpieczającą. Tuż zanim starzec-zombie pochwycił mnie w swoje wielkie dłonie, uniosłam pojemnik z gazem pieprzowym i nacisnęłam na spust.

Odskoczyłam w bok i szybko wycofałam się rakiem, żeby uniknąć obłoku gazu - zgodnie ze wskazówkami, których udzielił mi Thom, gdy dostałam ten sprej. Sąsiad stanął jak wryty, zamrugał gwałtownie i zaczął wrzeszczeć. Darł się niczym baba - rozdzierająco i piskliwie. Padł na ziemię, jak gdyby nagle jego kości wyparowały z ciała. Uniósł ręce, zaczął wściekle trzeć twarz. Przewrócił się na plecy i rył piętami ziemię przy akompaniamencie niskiego, gniewnego ujadania Gretel.

- Czy coś się panu stało? - zapytałam, wznosząc głos ponad szczekanie psa. I w tej samej chwili dotarło do mnie, że nie jest to pytanie adekwatne do sytuacji.

Puścił moje słowa mimo uszu i nadal wierzgał nogami niczym ustrzelony jelen. Jego wrzaski przeszły w przeciągłe wycie. Uznałam, że to twierdząca odpowiedź na moje pytanie.

- Niech się pan stąd nie rusza - przykazałam. I zaraz przycisnęłam dłoń do pulsującego bólem czoła. Co za idiotyczna odzywka. To przecież oczywiste, że facet się nie poderwie i nie pogna do Hardeego na kanapkę z kurczakiem. - To znaczy, proszę się trzymać. Wejdę do pańskiego domu i zadzwonię po pogotowie.

Najpierw jednak podeszłam do samochodu i pogładziłam Gret po głowie, żeby ją uspokoić.

- Wszystko dobrze - zapewniłam. - Już wszystko dobrze.

Dyszała, sapała i cała zjeżona groźnie się wpatrywała w leżącego mężczyznę. Do diabła, byłam pod wrażeniem. Kiedy między mną a Thomem dochodziło do awantury, chowała się pod łóżko i nie wychylała nosa, dopóki nie zapanował spokój. Tak samo zachowywała się podczas burzy, uważałam ją więc za straszego tchórza. Ale też nigdy wcześniej nie miałam okazji zaobserwować, jak zareaguje, gdy zostanie zaatakowana przez kogoś spoza jej stada.

- Co tu się, kurwa, wyprawia? - usłyszałam obcy, męski głos.

Odwróciłam się przez ramię. Na moim dawnym ganku stał facet z obnażonym torsem, ubrany jedynie w pasiaste spodnie od pizamy. Tuż za nim, w drzwiach domu, pojawiła się dziewczynka, z którą wcześniej rozmawiałam.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - powtórzył.

- Tatuś powiedział słowo na „k” - zauważyła mała z trwoźnym podziwem.

- Ten człowiek się na mnie rzucił - wyjaśniłam. Na widok kolejnego obcego Gretel znowu zaczęła się jeżyć, więc odwróciłam się w jej stronę i najbardziej kojącym głosem, na jaki mnie było stać, powiedziałam: - Spokojnie, psinko.

A potem zerknęłam w dół na leżącego sąsiada. Przestał wierzgać nogami, a jego wycie przeszło w jednostajny jęk. Brakowało mu powietrza. Krztusząc się, zaczerpnął głębokiego oddechu, a potem spróbował się podnieść, spoglądając na mnie poprzez przyciśnięte do twarzy palce.

- Jasny szlag, dziewczyno - mruknął.

I wtedy go rozpoznałam.

Oderwał ręce od jajowatych oczu. Białka miał wściekle amarantowe, niemal tak jarzeniowe w kolorze jak elastyczna sukienka Barbie. Z kącików oczu ciurkiem leciały mu łzy, a z nosa ciekły glutowate smarki. Jego chude, kruche ciało starego człowieka nie miało wiele wspólnego z obrazem, jaki utkwił mi w pamięci. Mimo to go rozpoznałam.

- Cześć, tato - rzuciłam.

- Jasny szlag - powtórzył ojciec. Ponownie przycisnął dłonie do oczu, pociągnął kilka razy nosem. - Wziąłem cię za twą matkę. Myślałem, żeś ty to Claire.

Facet w spodniach od piżamy zszedł bosy z ganku i ruszył przez trawnik, pilnie bacząc na to, gdzie stawia stopy.

- CN czy gaz pieprzowy? - zapytał, wskazując głową na pojemnik.

- Gaz pieprzowy - odparłam. Spojrzałam na sprej w swojej dłoni, jakbym się nie mogła nadziwić, że wciąż zaciskam na nim palce. Szybko przesunęłam dzwignię blokady w pozycję „zabezpieczony” i wrzuciłam puszkę do torebki.

- Łaska boska - zdecydował mężczyzna. Po czym zwrócił się do mojego ojca: - Masz w domu maaloX, Gene?

- Nie, Bill - wybełkotał chuderlawy cień mojego tatki i usiadł płasko na trawie. - Ale mam tums. Idź, weź sobie kilka, jeśli męczy cię pizza, co ją zjadłeś na lunch, i zupełnie się nie przejmuj, że ja tu siedzę i ślepnę.

Bill puścił te słowa mimo uszu. Spojrzał na mnie i powiedział:

- Pomóż mi go podnieść i zaprowadzić do domu, proszę.

- Za nic go, kurwa, nie dotknę - odparłam łagodnym tonem.

Ojciec był wrakiem. Doprowadził się do okropnego stanu. Szezeł. Ręce mu się trzęsły. Były chude i słabe. Nie miałyby najmniejszych szans w starciu z Thomem. Do diabła, obecnie nie miałyby żadnych szans nawet ze mną. Z największą ochotą bym go za to skopała, póki jeszcze leżał na ziemi.

- Dobra myśl. Poczekajmy, aż oślepniesz. Ciekawe, jak się będziesz wtedy czuł - zwróciłam się do ojca tym samym, nad wyraz łagodnym tonem. Jednocześnie ciężko dyszałam, a każdy oddech wywoływał ostre klucie w dole płuc.

- To przecież nie ma najmniejszego sensu - mruknął ojciec.

- Doskonale - odparłam, i to także było kompletnie bezsensowne.

- No dobrze! - odezwał się Bill zasadniczym tonem. Wszyscy - mała dziewczynka, ja i mój tatko - spojrzeliśmy karnie w jego stronę, jakby przywoływał do porządku wszystkich zgromadzonych na tym konającym trawniku. Miał zaokrąglony podbródek i pełne policzki, co nadawało mu młodzieńczy wygląd. Był barczysty, o szerokiej piersi porośniętej ciemnymi, kręconymi włoskami, ale tuż nad spodniami od piżamy widniały zaczątki opony piwnej. Wyminął mnie, pomógł ojcu podnieść się na nogi, po czym zawołał do swojej córki:

- Bunny? Leć, proszę, i wyjmij z apteczki maalox, a potem przynieś do pana Lolleya, dobrze?

- Um-kej - odparła dziewczynka i zniknęła.

Tymczasem Bill zarzucił sobie na szyję patyk, który kiedyś był silnie umięśnionym ramieniem, i zaczął prowadzić moje go ojca do domu stojącego po drugiej stronie ulicy

- Tylko przypadkiem nigdzie nie znikaj! - wykrzyknął do mnie ojciec na odchodne. Jego głos był wciąż bełkotliwy, jakby w gardle gulgotały mu smarki, które już się nie mogły doczekać, by dołączyć do pobratymców, wypływających przez nos. Bill wprawnym chwytem podsadził ojca na ganek. Kiedy przechodzili przez drzwi, ojciec raz jeszcze wrzasnął przez ramię: - Tylko nie znikaj! Nigdzie nie odjeżdżaj!

Roztrzęsiona i zasapana położyłam dłoń na głowie Gretel. Serce tak mi waliło w piersi, jakby chciało się wyrwać i pognać za ojcem.

Sterczałam na tym trawniku niczym tandetna figura ogrodowa. Świeciło na mnie gorące słońce Alabamy, ja jednak miałam wrażenie, że jestem bardziej rozpalona niż jego promienie. Oczy mnie piekły, jakbym samej sobie pstryknęła gazem w twarz. Przytknęłam do czoła dłoń - wydały mi się rozkosznie lodowate.

Bunny wybiegła z domu z promocyjną butlą maaloksu. Wypuściłam z samochodu Gretel i ruszyłam za dziewczynką, a moja psina, wciąż lekko zjeżona, karnie maszerowała ze mną noga w nogę - jak na musztrze. Drzwi domu stały otworem. Paliczki zaczęły mnie palić jeszcze żywszym ogniem.

Wraz z Gret weszliśmy do środka. Ledwo przekroczyłam próg, przeniosłam się w czasie o dziesięć lat wstecz. A może więcej. Poczulałam nagły zawrót głowy. Wyciągnęłam przed siebie ramię, żeby się o coś oprzeć. Złapać równowagę. Moja ręka wylądowała na wąskiej szafce, obok niebieskiego wazonu matki, w którym wciąż tkwiły plastikowe, teraz zakurzone tulipany. Szybko cofnęłam dłoń, jakby szafka została zrobiona z ludzkich kości, rozejrzałam się wokół i mimowolnie rozdziawiłam usta. To nie był nasz dawny dom, ale miał taki sam rozkład, a mój ojciec umeblował go identycznie jak w latach mojego dzieciństwa.

- Gdzie jesteś? - wrzasnął teraz z kuchni. - Gdzieś się podziała? - W jego głosie pobrzmiwała nuta desperacji, czy wręcz błagania.

Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa. Przez gęstą, szarą mgłę gapiłam się na meble i bibeloty ze swojej przeszłości. Wszystkie znajdujące się tu sprzęty i przedmioty miały dziesięć lat więcej niż wtedy, gdy patrzyłam na nie po raz ostatni, i to było widać. Na przykład brązowozłocista sofa zapadła się pośrodku, jakby w nieskończoność wykorzystywano ją w tak niecznych celach, że nie mogła już udźwignąć tego ciężaru i postanowiła się poddać.

- Bunny? - ponad krzyki ojca wzniósł się głos Billa. - Przynies maalox do kuchni, proszę.

Dziewczynka posłusznie wykonała polecenie,

fa natomiast nadal rozglądałam się po pokoju. Obraz matki, przedstawiający okręty w porcie, spłowił tak bardzo, że wyglądał na swoją

bladą fotokopię, ale wisiał na przypisanym mu przed laty miejscu, tuż nad sofą. W jego rogu widniała biaława plama. Ojciec musiał użyć niewłaściwego środka do usunięcia mojej pożegnalnej notki, wypisanej psim gównem. Fotel ojca był nadal skierowany w stronę telewizora, równie gruzłowaty i zniszczony jak sofa. Po drugiej stronie pokoju stał stolik z oheblowanych desek, a po obu jego stronach - matczyne regały na książki. Ojciec zrobił je dla niej tuż po ślubie, a matka zapelniła półki swoimi ulubionymi lekturami. Te, które lubiła mniej, ładowały w skrzynce, przechowywanej w szafie na płaszcze. Otworzyłam jej drzwiczki, teraz już bez końca wciągnięta w tę grę. W środku pachniało środkiem antymolowym oraz starym papierem. Powędrowałam wzrokiem w dół i - jakżeby inaczej - pod płaszcami ujrzałam dobrze mi znaną, drewnianą skrzynkę po whiskey, a w niej stosiki książek.

Ruszyłam w stronę regałów. Dywan, po którym szłam, kojarzył mi się z pokładem któregoś ze statków na obrazie - tak bardzo falował pod moimi stopami. Chwyciłam za jedną z półek, by wyprostować się do pionu. Matka ustawiała książki autorami, mieszając ze sobą te w twardych okładkach z broszurowymi wydaniem. Dlatego górna linia była poszarpana niczym byle jak wystrugane zęby halloweenowej dyni.

Powiodłam ręką po książkach z czwartej półki od dołu. Po dziewięciu tomach moje palce, zgodnie z oczekiwaniami, natrafiły na *Takie sobie bajeczki* Rudyarda Kiplinga. Było to eleganckie wydanie w czarnej, gładkiej okładce z tytułem wyciśniętym złotymi literami. Z kuchni dobiegł mnie ponownie krzyk ojca:

- Halo! Halo?... Tylko przypadkiem nie znikaj!

Odłożyłam książkę i podążyłam za jego głosem z niespokojną Gretel, drepczącą u mojego boku.

W kuchni Bill - wciąż bosy i ubrany jedynie w spodnie od piżamy - nachylił swojego pacjenta nad zlewem i przemywał mu oczy maalkoksem rozcieńczonym wodą. Skinął mi w milczeniu głową, przytrzymując jednocześnie kark ojca ręką. Ojciec trochę się szarpał, ale kiedy zobaczył, że weszłam, natychmiast się uspokoił.

- A, jesteś - mruknął. - Dobrze, że jesteś. Nie odchodź. Muszę ci wygłosić mowę. Mam ją na piśmie. Czekam na to już od dawna.

Całkowicie go zignorowałam, skupiając się wyłącznie na Billu.

- Skąd wiedziałeś, że tak należy postąpić? Zastosować maaloX?

- Byłem sanitariuszem w wojsku. W jednostkach lądowych.

- Dzięki Bogu, że nie odjechałaś - wykrztusił ojciec. Był tak bardzo nachylony, że niebieski T-shirt podjechał mu do góry. Pomiędzy brzegiem podkoszulki a dżinsami widniały dwa spiczaste kręgi. Obciążająca je skóra zdawała się papierowa; wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogły się przez nią przebić kości. Thom jedną ręką przełamałby mojego ojca na pół. Ten starzec był dla mnie całkiem bezużyteczny.

- Od dawna tu czekam, żeby wygłosić ci swoją mowę. Możesz mi ją podać? Leży tam ot... w tamtej szufladzie, spisana na kawałku papieru.

Głos miał wciąż bełkotliwy, w gardle nadal gulgotały mu smarki. Ledwo zrozumiałam, co powiedział.

- Jestem Bill Mantles. Przedstawiłbym ci obecnemu tu panu Lolleyowi, ale rozumiem, że już zdążyliście się poznać? - rzucił ironicznie eks-sanitariusz.

- Owszem, już kiedyś mieliśmy okazję się spotkać.

- Mogę pogłaskać twojego psa? - wtrąciła Bunny.

Siedziała na drugim końcu kuchni, przy wbudowanym w szafki stole, na dawnym krześle mojej matki. Przeszawiła je w drugą stronę, żeby obserwować poczynania swojego taty. Nie dostawała nogami do ziemi. Machała nimi w przód i w tył.

- Moja psina jest teraz trochę zdenerwowana - odparłam. - Poczekaj kilka chwil, aż ochłonie.

Bill wciąż przemyczał oczy mojego ojca, który z głową w zlewie w kółko powtarzał, że mam wyciągnąć jego przemowę z szuflady, bo musi mi ją przeczytać. Jego gruzłowate ramiona były poznaczone grubymi, fioletowymi żyłami. On także wyglądał na fotokopię samego siebie. Równie wyblakłą i bezwartościową jak obraz statków, wiszący w sąsiednim pokoju.

Staralam się puszczać słowa ojca mimo uszu. Niech pozostaną w tym zlewie i ściekną do kanalizacji razem z płynącą z kranu wodą.

- Wojsko prowadziło szkolenia na temat gazu pieprzowego? - spytałam Billa, wznosząc głos na tyle, by zagłuszyć ojca.

Bill skinął głową.

- Przeszedłem kurs neutralizowania skutków działania broni chemicznej.

- Tatusz brał udział w operacji Pustynna Burza - oznajmiła z dumą Bunny. Jej nogi śmigaly w przód i w tył, w przód i w tył, a szczebelkowe oparcie krzesła, na którym siedziała, blokowało dostęp do szuflady, o której otworzenie prosił mój ojciec.

Kątem oka musiał zauważyć, w którą stronę patrzę, ponieważ wykrzyknął:

- Tak, tak! To ta szuflada! Właśnie ta szuflada!

Ani drgnęłam. Tatko może iść do diabła z tą swoją przemową. Ma zresztą szansę na spotkanie z szatanem o wiele wcześniej, niżby sobie tego życzył, jeżeli tylko dłużej tu zabawię. Bo wtedy zjawi się Thom i wyprawi go do piekła.

- Wciąż pracujesz w jakimś zawodzie związanym z medycyną? - zwróciłam się do Billa lekkim, konwersacyjnym tonem, jakbyśmy prowadzili pogawędkę podczas parafialnej herbatki, a każde uderzenie serca nie niosło się echem wystrzału w mojej obolałej głowie.

Bill się zarumienił. Nie popatrzył mi w oczy, tylko nadal przemyczał twarz memu ojcu.

- Obecnie jestem bezrobotny - mruknął.

- Tatusz siedzi ze mną w domu - rzuciła szybko Bunny i posłała mi wojownicze spojrzenie. - On się mną opiekuje.

Mała tygrysyca, skonstatowałam w duchu. Na głos zaś powiedziałam:

- Jesteś prawdziwą szczęściarą. Ja bardzo żałuję, że kiedy byłam w twoim wieku, nie miałam takiego dobrego taty - Dziewczynka, wyraźnie udobruchana, spojrzała na mnie łaskawszym wzrokiem, a ja do-rzuciłam: - Żałuję, że teraz takiego nie mam.

To były moje pierwsze wypowiedziane tutaj słowa, które płynęły z głębi serca.

- Rose Mae? - ponownie odezwał się ojciec. - Nie przeczytasz mojej przemowy?

Nie zareagowałam. Bill zdjął rękę z karku ojca, ten jednak pozostał nachylony nad zlewem. Ociekał wodą.

- Okej, Gene - powiedział Bill. - Pociągnij teraz łyk maaloeksu, popłucz nim usta i wypluj. Zrób tak kilka razy. Potem trochę wypij. A jak tam twoje oczy? Czy... Zaraz, zaraz. Masz na imię Rose Mae?

Skinęłam głową.

- Rose Mae Lolley.

- Ta z napisu na mojej ścianie?!

Ojciec w końcu się wyprostował. Chwycił butlę z lekarstwem, zaczął z niej pociągać, dzięki czemu musiał się choć na chwilę zamknąć. Popłukał usta kilka razy maaloeksem, po czym ponownie się do mnie zwrócił.

- Bank dawno temu zajął nasz dom, a potem sprzedał Billowi. To było - ile? - sześć miesięcy temu, Bill? Bo przez długi czas dom stał pusty. Ten wynajmuję. Wprowadziłem się tutaj, żebym przez okno mógł wyglądać ciebie i Claire.

- Chwila moment - wtrącił Bill. - Coś ty powiedział?

- Bill chce wiedzieć, jak tam twoje oczy - podrzuciłam usługnie.

- Dobrze - odparł ojciec. Odwrócił się w stronę Billa i powtórzył:
- Dobrze.

Ale z nosa ojca wciąż ciekły smarki. Bill podał mu kawałek papierowego ręcznika, żeby mógł go wytrzeć, i przy okazji uniósł pytająco brwi.

- Powinieneś podziękować Billowi - pouczyłam.

- Dziękuję ci, Bill - posłusznie wyrecytował ojciec. Po czym ponownie na mnie spojrział. - Tylko popatrz, Rose Mae, wszystko jest tak, jak kiedyś.

- Czy mam rozumieć, że to ty byłeś poprzednim właścicielem mojego domu? - Bill postanowił wyklarować sytuację.

Ojciec jednak patrzył tylko na mnie i tylko do mnie kierował swoje słowa.

- Wiedziałem, że przyjedziesz. Kiedy tu siedzę, wciąż obserwuję stary dom. Włączam telewizor, żeby coś grało, ale cały czas patrzę przez okno, wypatruję ciebie i Claire.

- To chore, Gene - zauważył Bill.

Teraz, kiedy ojciec podniósł się znad zlewu, kuchnia wydała mi się zatłoczona. Było tutaj zbyt wiele serc, powietrze przesycalo zbyt dużo dwutlenku węgla. Moje pole widzenia ograniczyło się nagle do wielkości lepka od szpilki. Przy każdym oddechu moje płuca wydawały odgłos podobny do szelestu zeschniętych liści. Skoncentrowałam spojrzenie na Billu. Ojciec, stojący za jego plecami, sprawiał wrażenie chudego upiora, spowitego szarą mgłą.

- Jak nie jestem w robocie, to was wyglądam - powtórzył ojciec. - A mam teraz dobrą pracę, Rose Mae. W Home Depot.

- Podobno oferują tam rewelacyjne pakiety socjalne - odparłam odruchowo, bo niedawno od kogoś coś podobnego usłyszałam. Po czym zwróciłam się ku dziewczynce. - Masz na imię Bunny?

Wciąż siedziała na krześle i machała nogami - nie mogłam odebrać wzroku od tego wahadłowego ruchu. Zachichotała, jakby miała przed sobą najgłupszą istotę na świecie.

- Mam na imię Sharon.

Potrząsnęłam głową, skołowana, i zachwiałam się na nogach.

- Podaj mi moją przemowę z szuflady, dobrze, Sharon? - poprosił mój ojciec. A potem dodał: - Nie umiem się wysłowić, jak należy, dlatego spisałem wszystko, co muszę powiedzieć.

- O, nie, kurwa! Za nic nie będę tego słuchać! - powiedział ktoś głośno. Tak głośno, że w cichej kuchni zabrzmiało to jak wystrzał.

Tym kimś byłam ja.

- Myślę, że na nas już czas, Bunny - odezwał się Bill.

Sharon zeskoczyła z krzesła i podeszła do taty.

- Miło było cię poznać - powiedział Bill. - Wyjąwszy okoliczności. - Objął córkę ramieniem i wyprowadził z kuchni.

Teraz, gdy wyszli, nie miałam już wyboru - mogłam patrzeć tylko na ojca.

- Jak mam rozumieć, że „wszystko jest tak, jak kiedyś”? - zagałam.

- Przystąpiłem do programu, Rose. W styczniu dostałem odznakę za pięć lat w trzeźwości, ale utknąłem na dziewiątym kroku, bo czekam na ciebie i Claire. Proszę, posłuchaj mojej przemowy.

- Wszystko jest tak samo? Do najdrobniejszego szczegółu? - zapytałam.

Powietrze było rozrzedzone i gorące. Sapałam teraz głośniejsz niż Gretel. Wyszłam za Billem i Sharon do pokoju. Poruszałam się niepewnie, jakby nogi nie należały do mnie: zostały wypożyczone lub świeżo nabyte. Ojciec powlókł się moim śladem. Własne ciało wydawało mi się bezwładne niczym worek piasku, mimo to stanowczym krokiem podeszłam do sofy i wydzwignęłam się na poduchy. Chwyciłam za róg spłowiałego obrazu matki, zerwałam go z gwoźdźcia i zsunęłam na podłogę po ścianie, o którą sama się oparłam.

Bill był już z córką przy frontowych drzwiach, nagle jednak usłyszałam jego głos.

- Jasna cholera! To ty tak zabazgrałeś ścianę? I zrobiłeś to samo w moim domu?!

Zapewne miał na myśli moje imię, linie i czarne ptaszki. Ojciec je tutaj odtworzył; różniły się tylko tym, że były świeższe i ciemniejsze. Po prostu nigdy nie zostały zamalowane.

- Te w twoim domu zrobiła moja matka - poinformowałam.

- Te u ciebie zrobiła Claire - potwierdził ojciec w tej samej chwili.

- Zniszczyłeś moją cholerną ścianę - powiedział Bill, bardziej z rozżaleniem niż gniewem.

- To Claire - powtórzył dobitnie ojciec, po czym spojrzał na mnie ze szczerym zdumieniem. - Tyś wiedziała o tych znakach? Wiedziałaś, że ona wypisała twoje imię?

Próbowałam zliczyć ptaszki na pierwszej linii, chciałam się przekonać, czy rzeczywiście dokładnie odtworzył diagram. Powinno ich być

sto trzydzieści osiem. **Ale** linie zaczęły skakać, wymieniać się nawzajem miejscami. Ledwo doszłam do pięćdziesięciu, musiałam zacząć od nowa.

- Tę ścianę tutaj też kompletnie zniszczyłeś - zauważył Bill. - Bunny, musimy stąd natychmiast wyjść, zanim tatuś straci nad sobą panowanie.

Tym razem doszłam zaledwie do trzydziestu pięciu, zanim znaki się przesunęły, płatając mi kolejnego psikusa. Rozpoczęłam liczenie od nowa, ale teraz linie zaczęły się rozszerzać, a umieszczone na nich ptaszki zamieniać w rozlewające się kleksy.

- Rose Mae? - Ojciec wdrapał się za mną na sofę. - Nie wyglądasz najlepiej. Poczekaj, **Bill**.

Wszystkie linie w końcu się ze sobą zetknęły i cała ściana stała się czarna. Była to głęboka czerń, gęsta jak aksamit, która powoli spowiła cały otaczający mnie świat. **A** potem ja także się w nią zapadłam. I odpływałam.

Rozdział 13

Biegłam po zielonej trawie. Gorące słońce prażyło tak niemiłosiernie, że moje ciało topiło się niczym wosk. Obok mnie pędził święty Sebastian, krwawiący z setek dziur po strzałach, których drzewce podrygiwały w rytm biegu i coraz bardziej rozrywały mu skórę.

- Szybciej, proszę - polecił.

Spojrzałam za siebie i zobaczyłam nadciągającego Thoma. Sadził wielkimi, równymi susami, szybko niwelując dzielący nas dystans. Na jego twarzy malował się wyraz radości i nieprzejednania zarazem. Usta się uśmiechały, jednak oczy pozostały trupio zimne.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Sebastian i wskazał do tyłu, na Thoma, a wówczas drzewce strzał, wbitych w jego ramię, zakółysały się sprężyste. - Biegnij. Z pewnością wygramy.

Raz jeszcze zerknęłam przez ramię. Za Thomem cwałowały dziewczynki z mojej klasy, ubrane w T-shirty rozdane nam specjalnie na dzień sportu. Jeszcze dalej stała moja matka i dopingowała mnie do biegu. Wyglądała młodo i świeżo, upał jej się nie miał, ja natomiast byłam tak zgrzana, że aż parowałam.

- To tylko małe dziewczynki! - zauważyłam. Byłam oburzona na Sebastiana, że zwracał sobie głowę jakimś dziecięcym wyścigiem, podczas gdy Thom znajdował się coraz bliżej. Biegł lekko, niemal zawodniacko. W całym tym piekielnym krajobrazie był jedyną osobą mniej rozpaloną od mojej matki. Nie zdawał się nawet rozentuzjazmowany pościgiem. Zamiast rąk miał dwie siekiery.

Pędziłam i pędziłam, teraz już tak zmęczona, że zaczęłam się potykać. Thom nadciągał. Zawsze będzie podążał moim śladem.

- On wcale nie ściga CIEBIE - oznajmił Sebastian, gdy przecięliśmy taśmę na linii mety. Odciągnął mnie na bok. Thom przemknął jak burza, w ogóle nie zwracając na nas uwagi. Zerknęłam w dół

i zobaczyłam, że na idealnie płaskiej piersi mam taki sam T-shirt jak pozostałe dziewczynki. Thom mnie nie znał. Byłam dla niego kimś obcym. W tej samej chwili zjawiała się mama, uniosła mnie w górę i, wiwatując, zaczęła mną obracać dookoła, a wiew wprawionego w wir powietrza przyjemnie chłodził moją rozpaloną skórę - niczym balsam.

Kiedy mnie w końcu postawiła na ziemi, Sebastian w ciepłym geście położył mi dłoń na ramieniu. Teraz, w moich oczach, jego strzały przypominały długie ptasie pióra. Wyglądał podobnie do pani Językowej z opowiadki, którą wieczorem czytała mi mama, tyle że zamiast plisowanego czepeczka miał nad czołem aureolę. Tak właśnie go sobie wyobrażałam, kiedy mama go przyzywała w mojej intencji. Potem zupełnie o tym zapomniałam.

Odwróciliśmy się z Sebastianem i ruszyliśmy w stronę mojej podstawówki, zlokalizowanej na skraju lasu. Natknęliśmy się tam na Thoma. Stał w pobliżu klasowego autokaru i wpatrywał się w głęboki dół, zupełnie nieświadomy naszej obecności. Ten dół był pułapką i kiedy zajrzałam do środka, zobaczyłam, że zdołał mnie w nią pochwycić. Kucająca na dnie dziury Rose Mae Lolley wyciągnęła przed siebie rękę i wyrysowała palcem w ziemi pionową kreskę, znacząc w ten sposób upływ czasu, jak to robi większość więźniów.

- Teraz rozumiesz? - zapytał Sebastian.

Owszem. Zrozumiałam. Fruiton nie było pułapką na Thoma, ale na Rose. Przyjechałam do rodzinnego miasteczka, żeby ją tutaj złapać w potrzask. Zostawić za sobą. Bez niej ruszyć w dalszą drogę. Skinęłam głową, a Sebastian uśmiechnął się do mnie serdecznie.

- Chodźmy poszukać twojej mamy. Właśnie się rozpoczynają wyścigi w workach.

- Wcale nie jesteś przerażający - zauważyłam.

Jego obraz zmienił się w mojej głowie po odejściu matki. Dopiero kiedy zniknęła, zaczęłam o nim myśleć jak o niezagojonej ranie, ociekającej krwią zmorze, która za mną goniła, szczerząc zęby w upiornym uśmiechu.

- Co się dzieje, Rosie? - zapytał tato.
- On wcale nie był przerażający - odparłam, zirytowana, że muszę się powtarzać w chwili, gdy gardło pali mnie żywym ogniem.
- Ma wysoką gorączkę - zakomunikował inny mężczyzna. - Trzeba wlewać w nią dużo płynów.

Znałam ten głos. Bill. Bill Mantles, który mieszkał w moim dawnym domu po drugiej stronie ulicy

Uchyliłam powieki. Leżałam na swoim tapczanie z czasów dzieciństwa na zapadniętym materacu sprężynowym, lepkiem od mojego potu. Bill podciągnął mnie do pozycji półsiedzącej, a ojciec przytknął do mych ust kubek z letnią wodą. Z zamkniętymi oczami wypilałam tyle, ile zdołałam. Palce Billa wetknęły mi do ust kilka pigulek, suchych i twardych jak piękne, małe otoczaki, a potem ojciec znowu zalał moje usta wodą i otoczaki spłynęły do gardła.

- A teraz śpij - zalecił Bill.

Próbowałam powiedzieć, że nie mogę spać, bo nadciąga Thom. Przybywa, żeby zabić Rose Mae Lolley. Musiałam wstać i rozprawić się z nią pierwsza. Święty Sebastian pokazał mi jak.

Bill chwycił mnie za ramiona, położył z powrotem na materacu. Sprężyny rozstąpiły się pode mną niczym wody rzeki i ta rzeka mnie pochłonęła, wciągnęła pod powierzchnię, a potem poniosła wraz z nurtem poza świat Thoma, poza Teksas i jeszcze dalej, do cytrynowych gajów i chłodnej bryzy pachnącej słoną, morską wodą. Pograżyłam się we śnie, zwrócona twarzą w stronę zachodu. Usłyszałam, jak matka znowu mówi: Bardzo proszę, i nagle się poczułam mile widzianym gościem.

Kiedy otworzyłam oczy, przez okno wpadało miękkie, ciepłe światło słońca, zwiastujące nadejście późnego popołudnia. Bill zniknął, Gretel leżała rozwalona u mojego boku, chrapała i przebierała swoimi trzema łapami, goniąc we śnie króliki. Ojciec drzemał w starym, wiklinowym fotelu. W zwiotczalej dłoni trzymał kartkę papieru w niebieską linię - wymiętą, z urwanym rogiem. Opierał stopy o brzeg tapczanu. Miał na sobie wyszarzałe, sportowe skarpety, a w jednej z nich tak

wielką dziurę, że wyłaziła przez nią cała pięta - stwardniała i popękała niczym skóra nosorożca.

Znajdowałam się w pokoju, który wyglądał identycznie jak mój pokój z czasów dzieciństwa, i byłam przykryta swoją starą, białą koldrą. Drzewiczki szafy stały otworem: ujrzałam wszystkie ubrania, które tutaj zostawiłam, wiszące w równym rzędku. Na dnie szafy siedział sfilcowany, pluszowy lew. Dawno temu dałam mu na imię Growlfy. Na szafce nocnej stał mój stary kubek z zielonego szkła, a obok bursztynowa buteleczka z pigułkami.

Podparłam się na łokciu i ojciec natychmiast uniósł powieki.

- Jak długo? - zapytałam.

- Dwa dni.

Skinęłam głową.

- To nie tak najgorzej.

- Byłaś naprawdę bardzo chora.

Zdjął nogi z tapczanu. Usłyszałam starcze skrzywienie kolan. Miałam na sobie różową koszulę nocną przyozdobioną przy szyi kokardą. Należała do mojej matki i wydzieliała zmurszały zapach typowy dla starej bawełny. Pamiętałam matkę, jak w tej koszuli oraz ślicznej podomce stała przy kuchence i smażyła dla mnie jajka. Usiadłam na dobre i spuściłam nogi na podłogę.

- Dziecko, czyś oszalała? - zatrwożył się ojciec. - Kładź się natychmiast z powrotem.

- Muszę już się zbierać, tato. Nie mam wiele czasu. - Zaszleścił zmiętą kartką, odchrząknął. - Nie teraz - zaprotestowałam.

Wstałam. Nogi mi drżały, były jak z waty. Przeszłam przez hol do dużego pokoju, Gretel się zerwała i ruszyła za mną, pobrzękując identyfikatorami. Słyszałam, że ojciec też za nami idzie, żaloszny, wciąż ścisnąc w dłoni swoją przemowę.

Nie pofatygował się i nie zawiesił z powrotem obrazu. Linie i ptaszki odcinały się ostro od bieli ściany. Weszłam na kanapę, wpatrzyłam się w znaki, a potem w moje imię. Ojciec stanął przy poręczy kanapy i wlepił we mnie smętne oczy o obwisłych powiekach.

- To kalendarz! - powiedziałam.

Policzyłam ptaszki na drugiej linii od góry Trzysta sześćdziesiąt pięć. Wiedziałam, że będzie ich dokładnie tyle, zanim jeszcze zaczęłam liczyć. Każda linia reprezentowała rok. Każdy ptaszek - kolejny przeżyty dzień.

Matka odliczała dni dosłownie za plecami mojego ojca. Znaczyła upływ czasu, podobnie jak to czyni większość więźniów. Nie zaczęła jednak odliczania od daty ślubu, ale od dnia, w którym przyszedłam na świat. Na pierwszej linii odhaczyła dni, które upłynęły od moich narodzin do Nowego Roku. Pozostałe osiemnaście linii to kolejne lata, które musiała ścierpieć w naszym domu, żeby mnie doprowadzić do pełnoletności.

Pamiętam, że czasami stała przed obrazem i długo się w niego wpatrywała. W dzieciństwie nie mogłam zrozumieć, dlaczego się nie odwróci i w zamian nie poogląda telewizji. Później, gdy byłam nastolatką, uznałam, że to wpatrywanie się w statki było zachowaniem irytującym symbolicznym. Sztampowym omenem. Teraz jednak zaczęłam poważnie wątpić, czy matka w ogóle patrzyła wówczas na obraz. Może spoglądając na statki, tak naprawdę widziała jedynie odhaczone dni, które miała już za sobą, oraz puste linie, czekające na wypełnienie. Ten swoisty kalendarz świadczył o jednym: odeszła dziesięć lat wcześniej, niż pierwotnie założyła. Czyżby uznała, że zasłużyła na przedterminowe zwolnienie za dobre sprawowanie?

To mało prawdopodobne.

- Co się stało, tato? - spytałam. - Coś ty jej zrobił tego dnia, gdy zniknęła?

Ojciec pokręcił zdecydowanie głową.

- Wróciłem do domu jak zwykle, a jej już nie było.

Obróciłam się raptownie i spiorunowałam go wzrokiem z wyżyn kanapy, na której stałam.

- Gówno prawda!

- Przysięgam, Rosie. Przyszedłem do domu po robocie, a tyś siedziała przy stole i czekała na obiad. Siedziałaś już tak dwie godziny. Albo i lepiej.

Prawdę powiedziawszy, zapamiętałam tamto popołudnie dokładnie tak samo. Tato wrócił do domu przekonany, że zobaczy matkę, szykującą obiad. Jak co dzień. Ale tym razem było inaczej.

- Nie zamierzała odejść tamtego dnia. Coś musiało się wydarzyć.

Teraz już nie miałam co do tego cienia wątpliwości.

Zeszłam z kanapy. Ojciec wciąż ścisnął w garści pomietą kartkę i wpatrywał się we mnie spod obwisłych powiek. Żałośnie. Niemal błagalnie.

- Nie zamierzam wysłuchiwać tej przemowy, tato - powiedziałam tak łagodnym tonem, jakim do tej pory jeszcze się do niego nie zwracałam. - Chcesz mnie przeprosić? Wyraź swoją skruchę w inny sposób. Zrób mi kanapkę, umieram z głodu.

- Mam chleb tostowy i mielonkę - odparł natychmiast ze skwapliwością, która wzbudziła we mnie dziwne uczucie, pokrewne wstydomi i litości zarazem. - Może został też jeszcze plasterek żółtego sera.

- Cokolwiek dasz, będzie dobrze.

Okręcił się na pięcie i powędrował do kuchni. Natomiast ja i Gret ruszyłyśmy w przeciwnym kierunku, do małżeńskiej sypialni. Od razu zauważyłam leżącą na łóżku kapę o wzorze w herbaciane róże, należąca do matki. Wzdłuż prawego brzegu widniał łańcuszek dziur wypalonych papierosem, ale poza tym kapa wyglądała tak samo jak w czasach mojego dzieciństwa. Na nocnej szafce stała dobrze mi znana lampa, kupiona przez matkę na garażowej wyprzedaży. Teraz już byłam gotowa założyć się o wszystko, że jeżeli otworzę małą szufladkę, zobaczę kalendarzyk kieszonkowy matki circa 1977, przytulony do tubki zeskorpiałego balsamu o zapachu kwiatu pomarańczy. Cały ten cholerny dom był czymś na kształt sanktuarium ku pamięci rodziny, jaką nigdy nie byliśmy.

Jednak tutaj, w tej replice starego pokoju, z większą łatwością przyszło mi wywołać z pamięci również dobre chwile z przeszłości. Polowanie z tatą na synogarlice w sezonie łowieckim; strzelanie do celów, ustawionych przez niego równo, jak pod sznurek; dzielenie się cherioosami i rodzynekami z Leroyem, psem myśliwskim ojca.

Niedzielne msze z mamą, kiedy pozwalała mi wziąć w palce długą, drewnianą zapalną i przytknąć do wotywniej świecy. Dobre chwile, które jednak nigdy nie były udziałem całej naszej trójki. Pamiętałam czas mile spędzany z matką, czy mile spędzany z ojcem. Nie mogłam jednak przypomnieć sobie ani jednego radosnego wydarzenia, w którym uczestniczylibyśmy wszyscy razem, jako rodzina.

Wieczorami, kiedy leżałam w łóżku, po domu niesły się gniewne krzyki, a potem odgłosy pięści ojca, spadających na matkę. Słyszałam też uderzenia płaską dłońią, przypominające odległe echo wystrzału, oraz głucho dudnienie, gdy ciało matki obijało się o ściany. Wówczas wysuwałam się z pościeli i chowałam pod tapczanem jak Gretel podczas burzy, by w tej kryjówce przeczekać najgorsze.

Mimo to musieli razem, beze mnie, przeżywać też piękne chwile. Przecież ojciec mieszkał wciąż w domu umeblowanym według gustu matki, jakby nieustannie miał nadzieję, że ona wejdzie tu spacerowym krokiem, zdejmie swoje kwieciste czółenka i odłoży je na swoje miejsce do szafy, a potem padnie na łóżko, westchnie ze znużeniem i powie: Cóż za męczący dzień. Jak dobrze znaleźć się z powrotem w domu.

Otworzyłam szafę. Na górnej półce wciąż były jej buty, ustawione w równym rzędku. Tak jak kiedyś. Ojciec mówił prawdę. Gdy stracił dom, musiał pieczołowicie przenosić tutaj przedmiot po przedmiocie, żeby odtworzyć oryginał w idealnie niezmienionej postaci. W rzędzie siedmiu par butów widniała wyrwa - to tam swego czasu stały płócienne pantofelki w kwiatki, służące matce za skarbonkę. Obok ujrzałam jej adidasy i krótkie, czarne botki na niepogodę. To dziwne, że zrezygnowała z tego solidnego obuwia na rzecz wielobarwnych, tekstylnych czółenek o cieniutkiej podeszwie.

W dniu swego zniknięcia matka wysłała mnie do szkoły, ojciec zaś dużo wcześniej wyjechał do pracy. Mogła więc spokojnie rozważyć, w co się ubrać. Dlaczego dokonała akurat takiego wyboru? Szczególnie że te czółenka nosiła bardzo rzadko. I zapewne z tego względu chowała w jednym z nich pieniądze.

Kiedy odeszła, miałam osiem lat. Nie przyszło mi wówczas do głowy, żeby przeszukać jej szafę. Wzięłam się do tego teraz. Od razu zauważyłam, że brakowało bardzo niewielu rzeczy. W szafie było tylko parę wolnych wieszaków.

Wpatrzyłam się w pustą przestrzeń w rzędzie obuwia, niepokojącą niczym dziura po wyrwanym zębie. Zaczęłam naciskać na czubki butów, systematycznie, po kolei. Kiedy doszłam do czarnych botków, prawy się nie ugiął pod moimi palcami. Ściągnęłam go z półki, wetknęłam do środka rękę i wyjęłam pieniądze, wciąż zrolowane i ściągnięte różową gumką do włosów - tak jak zapamiętałam.

Rozwinęłam zwitek i zobaczyłam, że były w nim głównie jedno- oraz pięciodolarówki. Dokonałam szybkiego podsumowania. Osiemdziesiąt dwa dolary. Nie za dużo. W żadnym razie nie można tego nazwać fortuną, gromadzoną przez lata po to, by porzucić własne dziecko niczym gad, który pozostawia złożone jajo na pastwę losu. Matka musiała umykać z miasta w wielkim popłochu, skoro nawet nie wpadła do domu po owe grosze, zaoszczędzone z tak wielkim trudem.

Przez te wszystkie lata niesprawiedliwie ją osądzałam. Najwyraźniej zamierzała tu tkwić jeszcze bardzo długo. Chciała się dla mnie poświęcić. Dowodziły tego pieniądze i znaki na ścianie. Owego dnia jednak coś się wydarzyło i kazało jej uciekać na drugi koniec kraju dosłownie tak, jak stała. W butach, które akurat miała na nogach. I jeszcze jedno nie ulegało wątpliwości: do tego alarmującego wydarzenia nie doszło w naszym domu, bo wtedy wzięłaby przynajmniej swoje zaskórniaki.

Do diabła z Florydą. Nagle drinki z limonką i czerwone bikini zatraciły dla mnie swój nieodparty urok. Teraz przede wszystkim chciałam zrozumieć, a odpowiedź mogłam znaleźć jedynie w Kalifornii. Przypomniałam sobie, jak matka zapraszała mnie do siebie. Lepiej, żeby mówiła to szczerze, ponieważ teraz z pewnością wyląduję na jej progu.

A raczej wyląduje tam Ivy Wheeler, kimkolwiek była.

W moim śnie Thom gonął za Rose - z chłodną determinacją ścigał ją w palącym słońcu, niczym upierne wcielenie skunksa Pepe.

Bezblędnie odczytałam jego zamiary podczas naszego ostatniego spotkania w Grand Guns. Muszę zrobić wszystko, by było ono rzeczywiście ostatnie. Bo kolejnego już nie przeżyję, Thom natomiast pragnął go tak zażarcie, że nigdy nie przestanie mnie poszukiwać. Będzie wytrwale tropił swoją Rose, dlatego ona musi zostać pogrzebana w Fruiton.

Przekręciłam klucz w zamku, odcinając ojca od dostępu do jego własnej sypialni, ściągnęłam nocną koszulę i rzuciłam na podłogę. Wzięłam prysznic, a potem włożyłam jedną z bawełnianych spódnic Claire Lolley, a do tego dopasowany T-shirt z długimi rękawami. W garderobie matki, choć pochodziła sprzed dwudziestu lat, dominowały lekkie, miękkie tkaniny i długie rękawy - tak jak w mojej szafie w Teksasie.

Tuż za wiklinowym koszem na brudną bieliznę leżała niebieska, płócienna torba podróżna. Wyciągnęłam ją i przeniosłam na łóżko, a potem zaczęłam wypełniać ubraniami. Wybrałam dla siebie trochę hippisowskich spódnic i bluzek, a do tego dzinsowe dzwony - dwie pary z wyhaftowanymi, jaskrawymi kwiatami oraz jedną z kolorowymi latami, ponaszywany na chybił trafił. Potem sięgnęłam do szuflad w komodzie matki i dorzuciłam do torby kilka par skarpet oraz jakieś nocne koszule. Nie zdecydowałam się jednak na majtki. To byłaby zdecydowana przesada. Kupię sobie duży pakiet fig w najbliższym Wal-Martcie.

Kiedy uznałam, że mam już wszystko, czego potrzebuję, wyszłam z sypialni. Ojciec dreptał niespokojnie pod drzwiami. Miał w ręku kawałek papierowego ręcznika, a na nim kanapkę z mielonką. Chwyciłam chleb i zaczęłam żarłocznie pożerać. W drugiej dłoni ojciec trzymał swoją przemowę oraz bursztynową buteleczkę, która wcześniej stała na mojej szafce nocnej.

- Bill dostał te pigułki od znajomego. Powiedział, że musisz zjeść je wszystkie, do samego końca.

Skinęłam głową, cały czas zajadając kanapkę. Z każdym kęsem czułam się odrobinę lepiej. Gretel, zwabiona odgłosem żucia,

zeskoczyła z łóżka, usiadła u moich stóp i z niewysłowionym zachwytem wbijała wzrok w mielonkę. Odłamałam dla niej brzeg kanapki, a potem przyjrzałam się etykietce na opakowaniu lekarstwa. Nie znalazłam jego nazwy, ale kończyła się na „-cylina”, więc schowałam buteleczkę do kieszeni.

- Podziękuj Billowi w moim imieniu - poleciłam z pełnymi ustami. Przepchnęłam się w stronę wyjścia i wówczas ojciec zajączał:

- Rose? Rose Mae? Czy ty naprawdę w ogóle o mnie nie myślisz?

- Naprawdę - odparłam.

Otworzyłam frontowe drzwi i wyrzałam na Pine Abbey. Słońce już niemal zaszło. W kuchennym oknie domu naprzeciwko paliło się światło. Zapewne Bill, jego Bunny i pani Billowa właśnie zasiadali do kolacji.

Pewnego dnia moja matka wyszła z owego domu w swoich kwiecistych czółenkach na nogach. Nie planowała niczego poważniejszego niż zakupy w spożywczym lub modlitwa w kościele. Doszło jednak do jakiegoś niezwykłego zdarzenia i już więcej nie wróciła na łono rodziny.

- A ja w kółko o tobie myślę - wyznał ojciec.

Spojrzałam na niego przez ramię, skinęłam głową.

- Zawsze jest trudniej tym, co zostają. - Zamrugał gwałtownie oczami, zdezorientowany. - Zawsze jest lepiej być tą osobą, która odchodzi - dodałam gwoli wyjaśnienia i skierowałam się w stronę podjazdu, gdzie stał sfatygowany volkswagen garbus. Ojciec natychmiast ruszył moim śladem.

- Ja tylko chcę cię przeprosić. - Potrząsnął mi przed nosem swoim kawałkiem papieru. - To krok dziewiąty. Nie możesz mi na to pozwolić?

Pokręciłam głową i oddałam Gretel resztki kanapki. Rozstanie z Rose było równoznaczne z pozbyciem się buicka, nie mogłam jednak podróżować z moją psiną autobusem. Oczyma duszy już widziałam siebie stojącą na przystanku w ciemnych okularach, próbującą wszystkim wmówić, że mam psa przewodnika o trzech łapach, który ciągnie mnie w bok, zwala z nóg, a potem skacze do okienka i próbuje przez pleksiglas polizać po twarzy sprzedawcę biletów.

Poza tym podobna podróż byłaby zbyt kosztowna. Przecież musiałam przejechać wszczególnie całą Amerykę. Najkrótsza droga to międzystanowa czterdziestka, ale wiodła przez Teksas, a dokładnie przez Amarillo, dlatego wybór takiej trasy zakrawałby na szaleństwo. Nie ma mowy, by moje kruche ciało znalazło się w orbicie Thoma. Będę musiała jechać naokoło - skierować się na północ, a potem przeciąć Kansas i Nebraskę.

- Czy twój mały, pordzewiały samochód jest na chodzie? - zapytałam. A kiedy ojciec skinął głową, dorzuciłam: - Mogłabym go sobie wziąć?

Sięgnął do kieszeni, wyjął pobrzękujący zestaw kluczy, a potem wsunął swoje przeprosiny pod pachę i zdjął z kółka jeden z większych.

- Rosie, jeżeli pozwolisz mi to przeczytać raz, tylko raz, oddam ci swoje auto. - Wyciągnął w moją stronę rękę. W jednej trzymał kluczyk, w drugiej żałośnie wyszmelcowany kawałek papieru.

Wyciągnęłam mu go z dłoni.

- Wezmę te przeprosiny, okej? Napisałeś je dla mnie, teraz są moje. Możesz przejść do następnego kroku.

Wetknęłam kartkę do torebki i wyciągnęłam rękę po kluczyk. Ojciec się zawahał, zacisnął na nim palce.

- A co z Claire? Muszę to samo przeczytać Claire, jak wróci.

- Nie wróci. Przekażę jej twoje spisane przeprosiny, gdy znowu ją zobaczę.

- Znowu?! To tyś się z nią widziała?

- Tak, tato.

- Pytała o mnie?

Na tak postawione pytanie nie było dobrej odpowiedzi, więc w zamian powiedziałam:

- Teraz mieszka na zachodzie i chyba nieźle jej się wiedzie. Stawia karty.

- Jest w Vegas? - Najwyraźniej się przesłyszał i wziął moje „stawia karty” za „stawia na karty”. - Jakoś nie widzę Claire w kasynie. Przekażesz jej moją przemowę? - Przytaknęłam, a wówczas wręczył

mi kluczyk. - I dasz znać, jak ją przeczyta? Cobym wiedział, że dziewiąty krok mam już za sobą.

- To mogę zrobić - odparłam. - Ale pamiętaj, kiedy ktoś się tutaj zjawi i zacznie o mnie wypytywać, nic nie mów o tym garbusie. Nawet nie wspominaj, że cię odwiedziłam.

- Ktoś będzie cię szukał, Rose?

- Obawiam się, że tak. A ty nie widziałeś mnie na oczu, okej? - Skinął głową, ja zaś zajęłam miejsce za kierownicą. - Muszę pojechać do sklepu po kilka drobiazgów, ale wrócę zabrać Gretel, w porządku?

- Dowód rejestracyjny jest w schowku - poinformował.

Otworzyłam schowek i znalazłam dokument pod stertą starych map. Wygrzebałam z torebki długopis, ojciec przepisał na mnie samochód, wykorzystując dach auta jako blat, a potem oddał mi dowód.

- Tato, koniecznie musisz się pozbyć tego buicka. Porzuć go w lesie lub sprzedaj, jeżeli znasz kogoś, kto go kupi pod stołem. Oddaj na złom. Tylko pamiętaj, na lewo, nie może po tym pozostać jakikolwiek ślad w papierach. Ten samochód musi zniknąć, rozumiesz?

- Znam kogoś, kto weźmie go na części bez zadawania pytań - odparł.

Skinęłam głową. Jakoś wcale mnie to nie zdziwiło.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce garbusa. Rozległ się wystrzał przypominający fajerwerki, a potem dychawiczne odgłosy dotkniętego astmą silnika, który jednak pracował regularnie. Wrzuciłam wsteczny bieg i pozostawiłam ojca na podjeździe, teraz już z pustymi rękami.

Wpadłam do Wal-Martu po majtki i szczoteczkę do zębów. Kupiłam jeszcze dużą torbę karmy dla psów Purina Chow oraz kilka paczek rodzyneków i twardych precli.

Wsiadłam z powrotem do auta, ale nie wróciłam do ojca. W gruncie rzeczy nie pojechałam po bieliznę. Dobrze, że miałam już zakupy z głowy, ale tak naprawdę wyrwałam się z domu, ponieważ w takiej czy innej formie chciałam pożegnać Rose Mae Lolley. Nadszedł czas, by się z nią rozstać, tak jak wcześniej rozstałam się z Ro Grandee. Musiałam uwolnić się od wszystkiego, co kochała i kim była Rose. Zrobić

to szybko i nigdy więcej nie oglądać się wstecz. Podobnie jak moja matka, która - oprócz ubrań na grzbiecie i pantofelków na nogach - nie wzięła niczego, co wiązało się z jej przeszłością. Nawet mnie.

Moja mentalność katoliczki domagała się czegoś więcej niż zwykle postanowienie. Żądała rytuału lub strzelistego aktu, który symbolizowałby zmianę i nowy początek. Doświadczenia niemal mistycznego, jak chrzest w wodach rzeki czy transmutacja wina.

Łamiąc limity prędkości, pogałam w stronę dawnej podstawówki, ale okazało się, że ciągnący się za nią las - las mój i Jima - został wyrąbany, a na jego miejscu stało osiedle ciasno ustawionych, kwadratowych domków, pomalowanych na pastelowe kolory.

Zjechałam na pobocze.

Tutaj spoczywały relikty mojego dzieciństwa. Mgławicowi mali Jimowie i małe Rose Mae zapewne zakłócili sen mieszkańcom, przenikając przez ściany, bawiąc się po pokojach w chowanego i pokazując sobie intymne części ciała. O północy zaś pojawiały się doczesne szczątki czyjegoś kota i pomimo łebka przekreślonego na drugą stronę, biegały po tanich wykładzinach, próbując łowić fantomowe myszy.

Te tandetne bungalowy wydawały się równie nawiedzone jak domy w filmie *Poltergeisty* który oglądaliśmy z Jimem na wideo chyba z pięćdziesiąt razy

- Usunęliście las - wyszeptalam do różowych i błękitnych szescianów. - Ale ciała pozostały, prawda?

Rose, którą się stałam, narodziła się w tamtym lesie razem z Jimem, ale drzewa zniknęły. Na miejscu naszej polanki ktoś teraz trzymał telewizor, natomiast jeżynowe chaszczce zostały wytrute, wykarczowane i zwleczone na stos, gdzie szczyły w płomieniach. Włączyłam bieg, wyminęłam wjazd na osiedle. Potrzebne mi było miejsce mniej odmienione.

Ruszyłam w stronę Lipsmack Hill. Bez trudu odnalazłam niemal niewidoczny dukt, przecinający pobliski zagajnik. Było tu wąsko, ale garbus zmieścił się bez problemu, nie dorobił się nawet dodatkowych zadrapań. Zaparkowałam na trawiastej polanie. Gdybym się przeniosła

w czasie do 1985 roku, za parę godzin na tę polanę zaczęłyby zjeżdżać zakochane parki, żeby się obściskować w autach, których szyby wkrótce pokryłyby się parą. Ciekawe, czy w dzisiejszych czasach dzieciaki nadal przyjeżdżały się tu bzykać.

Otworzyłam schowek i przerzuciłam mapy w poszukiwaniu starej latarki, którą wcześniej zauważyłam. Przesunęłam guzik i ku mojemu zdziwieniu latarka się zapaliła.

Pomaszerowałam dobrze znaną ścieżką pośród drzew, prowadzącą na szczyt wzgórza Lipsmack. Pamiętałam drogę tak dobrze, że z powodzeniem obyłabym się bez światła, mimo że księżyc dopiero wschodził. Kiedy pierwszy raz szłam tędy z Jimem Beverlym, podświadomie zapamiętałam każdy centymetr ścieżki. Jim niósł szorstki, drapiący koc piknikowy, oboje byliśmy zbyt nieśmiali, przepelnieni nadzieją, stremowani, by prowadzić rozmowę. Moje stopy dokładnie pamiętały, gdzie należy stawiać kroki, omiatałam jednak drogę światłem latarki na wypadek leżących pośrodku kamieni lub dużych gałęzi.

Na szczycie wzgórza znajdował się pas soczystej trawy, kończący się stromym klifem, wiszącym nad wąwozem porośniętym kudzu. Usiadłam na skraju urwiska, zgasilałam latarkę i zaczęłam machać nogami jak wcześniej Bunny siedząca na krześle matki. Powoli moje oczy przywykały do mdłego blasku księżyca. Teraz już widziałam, jak poniżej moich stóp kudzu falowało w mroku niczym głębokie czarnozielone morze.

Matka stawiała karty Czy do tej pory już jej wyjawily, że zamierzam ruszyć na zachód? Te trzy, które odkryła na lotnisku, mówiły wiele o jej życiu, ale tylko dlatego, że życie moje i mojej matki były do siebie podobne na tysiąc niezauważalnych sposobów. Te karty odnosiły się więc i do mnie, a zgodnie z ich przesłaniem jedno z nas - ja albo Thom - musiało umrzeć.

W Wildcat Bluff odegrałam scenkę jak z filmu o kowbojach i Indianach, nie byłam jednak w stanie zastrzelić Thoma. Pojechałam do Chicago, udając sama przed sobą, że poszukuję zaginionej miłości, ponieważ dzięki temu mogłam się ludzić, że podejmuję jakieś działanie,

choć tak naprawdę tkwiłam biernie u boku męża, czekając, aż mnie zabije. Potem wróciłam do rodzinnego domu, do ojca, który okazał się wrakiem człowieka. Tatko i ja, to ci dopiero para. Przez moje życie przewinął się łańcuch okrutnych, buzujących agresją mężczyzn. Cofnęłam się do tego pierwszego, a on okazał się bezużyteczny. Żadne z nas nie miało dość siły, by się rozprawić z mrówkami faraona wędrującymi po kuchni, a co dopiero mówić o mężczyźnie postury mojego męża.

Byłam już zmęczona odwlekaniami wszystkiego w czasie. Jeżeli karty nie kłamały, jeżeli nie było ucieczki od alternatywy „Thom albo ja”, to niech mnie dane będzie przeżyć. Niech niedoszła zabójczyni, a zarazem ofiara Thoma szczęście pośród tego kudzu. Chciałam zabić w sobie tę gwałtowną, przepelnioną gniewem dziewczynę, którą wykreowała moja matka przez swoje tajemnicze zniknięcie. Tak jak już całkiem dawno temu zabiłam w sobie Ro.

Przyjechałam do Fruiton, żeby odprawić rytuał pożegnania. Nie zęgnałam się jednak z Jimem Beverlym. Ani nawet z tatą. To z Rosę musiałam się rozstać na zawsze. Tutaj ślad po niej powinien definitywnie się urywać. Już nigdy nie będę mogła wrócić do miasteczka Fruiton w stanie Alabama. Ale wciąż nie wiedziałam, jak powiedzieć do widzenia, jak zacząć od nowa, jak być kimś zupełnie innym. Jeżeli zrzucę z siebie skórę niedoszłej zabójczyni Thoma, kto, do diabła, wyłoni się na powierzchnię?

Z drugiej strony dawno temu byłam przecież kimś innym. Zanim odeszła moja matka, byłam zwyczajnym dzieckiem, może podobnym do Bunny, córki Billa. Wówczas nie przyjaźniłam się z Jimem Beverlym. Tamta dziewczynka nie miała w sobie niczego, co by go pociągało. Właściwie jej nie pamiętałam. Moja matka ją porzuciła, więc ja zrobiłam to samo, bo nie chciałam mieć nic wspólnego ze stworzeniem, którego nie jest w stanie kochać nawet ta, co je urodziła. Ja nie pamiętałam owej dziewczynki, ale z pewnością pamiętała ją moja matka, więc ona pomoże mi wszystko sobie przypomnieć. Jeżeli pozostawię tutaj Rose Mae Lolley, tak jak pozostawiłam Ro Grandee w Teksasie,

będę mogła rozpocząć życie od nowa. Poza tym, do kurwy nędzy, już niejedyn dupek próbował odnaleźć swoje prawdziwe ja w pieprzonej Kalifornii. Nie będę więc pionierką.

Zdjęłam z palca obrączkę i zaręczynowy pierścionek z brylantem. Małeńki kamień połyskiwał w słabym świetle księżyca. Wlepiłam oczy w falujące poniżej morze kudzu. Wyglądało tak, jakby mogło pomieścić tysiące sekretów. Zaciśnęłam dłoń na biżuterii i uniosłam rękę w górę, szykując się do rzutu. Widziałam już coś takiego wcześniej, w fdmach - brylant ciskany do wody z mostu lub pokładu okrętu; w głębię lasu z górskiej przełęczy, lub na jezdnię z przejeżdżającego samochodu. To był oczywisty znak ostatecznego zerwania z przeszłością.

Jednak nie zdołałam tego zrobić. Wzniesione ramię zamarło w bezruchu. Pragmatyczna strona mojego charakteru zaczęła szybko podliczać koszty żywności, benzyny, noclegów - choćby w najtańszych motelach. W drodze do Kalifornii musiałam robić postoje, spać w normalnym łóżku, żeby nie opaść z sił. W pełni wyzdrowieć. Przecież jeszcze dwa dni temu ledwo oddychałam. Nie dojdę do siebie bez pożywnego jedzenia, świeżych owoców, gorącej zupy A do tego potrzebowałam gotówki - szybkiej, pochodzącej z niewy kry walnego źródła. Mogłam ją uzyskać w każdym lombardzie za to, co teraz trzymałam w dłoni. Opuściłam ramię, chociaż bez odprawienia sakramentalnego rytuału moje postanowienie, że zostanę kimś innym, że zacznę wszystko od nowa, znacznie osłabnie. I zapewne mi się nie uda.

Już dawno nie byłam tak rozdarta, aż tu nagle, niczym dar niebios, od podnóża wzniesienia dobiegły mnie głosy. Wyteżyłam słuch. Przecież je znałam! To Arlene Fleet i jej facet o szybkich pięściach.

Czyżby mnie szukała? Próbowałam sobie przypomnieć treść notki, którą zostawiłam w Chicago. Niewykluczone, że wspomniałam o Fruiton. Arlene miała mi do opowiedzenia historię, historię tak straszną, że wołała uciec na drzewo, niż wywołać ją z pamięci. To, co zaszło między nią a Jimem, musiało ją boleśnie prześladować. Wiedziałam, jakie to uczucie. Być może przyjechała za mną do Alabamy, żeby powierzyć

mi swoją tajemnicę i w ten sposób odzyskać spokój. By powierzyć ją komukolwiek, kto będzie chciał słuchać.

Podniosłam się i wcisnęłam biżuterię do kieszeni. Jeżeli miałoby to pomóc Arlene, mogę odegrać przed nią rolę zranionej Rose, wciąż poszukującej swojego Jima. I przy okazji nakłonić ją do zwierzeń, choć już mniej więcej wiedziałam, czego się dowiem. Moja historia wyglądała podobnie. A różniące je detale nie miały większego znaczenia. Wysłucham wszystkiego uważnie, zdejmę ten ciężar z ramion Arlene, a potem porzucę gdzieś po drodze. I nigdy więcej nie pomyślę o Jimie Beverlym, nigdy więcej nie będę jego Rose Mae czy też Rose-Pop. Pojadę po moją kochaną psinę i jak najszybciej się stąd ewakuuję. Przecież musiałam dostarczyć na drugi koniec kraju odręcznie wypisane przeprosiny ojca i książkę, która już dawno temu powinna zostać zwrócona do biblioteki.

Głosy się wznosiły na coraz wyższe rejestry. Arlene i jej chłopak zaczęli batalię. Nagle przyszło mi do głowy, że jeżeli potrzebuję symbolicznego aktu, który przypieczętowałby moją transformację, oto nadarzała się ku temu doskonała okazja. Arlene znalazła sobie sukinsyna, który miał zastąpić tego, który zniknął, i teraz podawała mi go na tacy.

Oto najlepszy sposób ostatecznego pożegnania z Rose Mae: zbiegnę ze wzgórza i kopnę gównem faceta Arlene prosto w jaja, najsilniej jak zdołam. Potem ona i ja razem uciekniemy, a po drodze wysłucham jej opowieści.

Poczułam, jak usta rozciągają mi się w drapieżnym, wilczym uśmiechu. Ruszyłam w dół stromą ścieżką, gotowa do działania.

CZĘŚĆ TRZECIA

IVY W ZAWIESZENIU

Berkeley, Kalifornia, 1997

Rozdział 14

Moja matka mieszka gdzieś w tym mieście, może nawet przy ulicy, którą teraz jadę. Po obu stronach stoją smukłe, stiukowe budynki, wyrastające prosto ze wzgórz niczym kanciaste grzyby. Niewykłuczone, że właśnie w tej chwili matka idzie wąskim chodnikiem, wciśniętym pomiędzy domy, a parkujące wzdłuż krawężnika samochody.

Wraz z Gret dotarliśmy tutaj po czterech dniach spokojnej podróży. Najpierw pojechaliśmy na północ, do St. Louis, a potem skierowaliśmy się na zachód i zapuściliśmy w krainę kowbojów. Przez całą drogę mieliśmy popuszczane wszystkie szyby i pustyne powietrze wirowało w środku samochodu na podobieństwo niekończącego się cyklonu. Mierzwiło nasze włosy i usuwało z naszej skóry pozostałości Alabamy. Nie dotarłam nawet do połowy Nebraski, gdy bezpowrotnie wywiało mi z głowy wszystkie żale i wyrzuty sumienia. No może jeszcze tylko odzywało się w mnie nieśmiało uczucie skruchy w związku z nieszczęsnym chłopakiem Arlene Fleet. Okazał się przyzwoitym facetem, ale odkryłam to dopiero po tym, jak kopnęłam go w klejnoty rodowe tak mocno, że tylko cudem nie wypłynęły mu nosem. Arlene stanęła w jego obronie niczym miniaturowa tygrysica, ale jak już się uspokoiła, potwierdziła moje najgorsze podejrzenia dotyczące Jima Beverly'ego. Po czym dorzuciła to i owo na dodatek. W drodze nie roztrząsałam jednak tych rewelacji. Nie widziałam najmniejszego sensu. Jechałam do swojej zaginionej matki, u której chciałam odnaleźć odpowiedź na pytanie, które mnie nurtowało od ponad dwudziestu lat. W małym samochodzie nie było miejsca na żadne inne przemyślenia. Ani w czasie podróży przez prerię, ani teraz.

Pokonuję powoli kolejny kilometr ulicami Berkeley. Miejsce domów zajmują rozmaite sklepy. Matka może być jedną z klientek wędrujących od baru kawowego, przez butik z artykułami piśmiennymi

do salonu z futonami. Wziąwszy pod uwagę jej zamiłowanie do wielobarwnych i wielowarstwowych strojów, powinna się na pierwszy rzut oka wyróżniać z tłumu, jednak jej ekscentryczność zostaje przyćmiona przez białego chłopaka z blond dreadami, czarnoskórego faceta metr osiemdziesiąt, ubranego w czerwoną sukienkę, dziewczynę w turbanie tańczącą na rogu w rytm muzyki, której nikt oprócz niej nie słyszy.

Większość par, które tu widzę, także odbiega od konwencjonalnego szablonu. Mój wzrok przyciąga małeńka, fdigranowa Azjatka, która wspina się na palce i całuje czarnoskórego olbrzyma, potem dwie blondynki o szwedzkim typie urody, trzymające się za ręce, a na końcu szczupła, atrakcyjna Latynoska w okolicach pięćdziesiątki, zdecydowanie niemacierzyńskim gestem tuląca ramię napakowanego faceta o błyszczącej, wygolonej czaszce, młodszego od niej o co najmniej dwie dekady.

Moja matka jest gdzieś blisko, być może na wyciągnięcie ręki, ale dziwaczność wyglądu jest w tym mieście równoznaczna z barwami ochronnymi. Pomału zaczyna do mnie docierać, jak wielkiej przemianie musiała ulec prowincjonalna Claire Lolley z Alabamy, żeby wtopić się w tutejszą rzeczywistość. Jednak zdołała tego dokonać. Odnoszę wrażenie, że wyczuwam bicie jej serca, zsynchronizowane z pulsem tego miasta - nitkowatą, dziwną arytmia, która nie powinna funkcjonować, a jednak funkcjonuje zadziwiająco sprawnie.

Jestem pewna, że wytropię matkę. Ostatecznie kieruję się najbardziej pierwotnym impulsem. Nowo narodzone jagnięta, jeszcze ślepe i mokre od wód płodowych, natychmiast się kierują ku swoim matkom. Wiedzą, jak je odnaleźć. Ja też wiem. Może się wtapiać w tło do woli. Przedemną się nie ukryje. Już teraz tak pilnie się rozglądam za nią na boki, że mijam przecznicę prowadzącą do Zachodniej Filii Biblioteki Publicznej, i muszę się cofnąć.

Garbus dzielnie sobie radził z łagodnymi pagórkami Alabamy. Ma jednak problem z wjazdem pod strome wzgórze: muszę intensywnie naciskać na hamulec, inaczej auto zsunęłoby się w dół na łyśch oponach niczym sanie. Biblioteka mieści się w przysadzistym, ceglany

budynku, wciśniętym pomiędzy market z ekologiczną żywnością i stacją benzynową. Ma wąskie okna w stylu lat sześćdziesiątych podobnie jak biblioteka w Fruiton czy Amarillo. Odrobina swojskości w mieście poza tym tak niezwykłym i obcym, że czuję się tutaj jak na zupełnie innej planecie. Nigdzie w pobliżu biblioteki nie widzę parkingu. Przy chodniku stoją parkometry z minimalnym limitem czasowym ustawionym na dwie godziny.

Wycofuję. Po jakimś czasie dostrzegam kawałek wolnej przestrzeni po mieszkalnej stronie ulicy, gdzie nie obowiązują żadne limity. W tę przestrzeń nie wcisnęłaby się nawet najmniejsza honda, ale tak manewruję garbusem w przód i w tył, jakbym go wszywała w dziurę. Z powodzeniem.

Wysiadamy wraz z Gretel i kierujemy się ku bibliotece. Claire Lolley może się i zmieniała, ale z pewnością nie na tyle, żeby nie była dobrze znana w lokalnej filii. W dawnych czasach, w Fruiton, chodziłyśmy do biblioteki dwa, a nawet trzy razy w tygodniu.

Mijamy hinduską restaurację; w powietrzu unosi się ostry, korzenny zapach. Moja matka pachniała podobnie - imbirem i jakimiś przyprawami, których nie rozpoznałam. Gretel zadziera nos i zaczyna węszyć. Ja robię tak samo, gdy nagle zrównuje się ze mną jakiś bezdomny koleś. Biję od niego odór niemytego ciała i w całości wypełnia mi nozdrza.

Facet uśmiecha się szeroko, prezentując garnitur swoich zębów w liczbie góra dziesięciu. Każde z jego oczu spogląda w inną stronę, a spod szmaty, którą owiazał głowę, wymykają się zmierzwione warkoczyki. Gretel jeży się i warczy ostrzegawczo, koleś zaś się nachyla i radośnie wykrzykuje mi w twarz:

- Jesteś leeesbąąą!

Zatrzymuję się, przerażona, ale on już mi oznajmił, co miał do oznajmienia, i idzie dalej.

- To tylko nieszkodliwy świr - tłumaczę Gretel. Brzmienie mojego głosu działa na nią kojąco, mnie jednak nie uspokaja.

Bezdomny zrównuje teraz krok ze starszą panią w marynarskiej kurtce. Przekazuje jej to samo przesłanie. Kobieta się uśmiecha, sięga

do brązowej torby, którą niesie w dłoni, wyciąga kanapkę i wręcza koleśowi. On chwyta poczęstunek w przelocie i znowu spieszy przed siebie, bo koniecznie chce poinformować każdą kobietę, idącą tą ulicą, że ona również została zidentyfikowana jako „leeeesbaaa”.

- Wszystkie świry zjeżdżają na zachód - wyluszczam swojej psinie.

Jeżeli ktoś jest zbyt ekscentryczny na standardy Berkeley, to pozostaje mu już tylko rzucić się do morza jak leming i utonąć. Lub błyskawicznie wyhodować skrzela. Dla istot, które w tym mieście zostałyby uznane za zbyt dziwaczne, nie ma po prostu miejsca powyżej poziomu morza.

Przywiązuję Gret do stojaka na rowery przed schodami wiodącymi do biblioteki i zapewniam, że zaraz wrócę. W środku wita mnie dobrze znany zapach pleśni i zetłalego papieru. Za kontuarem pracuje dwoje bibliotekarzy, a po prawej widnieją niskie półki, na których stoją przestarzałe komputery. Krzesła i ławki są pokryte niebieskim, skrzypiącym winylem. Biblioteka jest ewidentnie niedofinansowana. Meble i sprzęt IT lata świetności mają dawno za sobą. Ale podobnie wyglądały biblioteki we wszystkich miastach, w których mieszkałam. Gdyby ten budynek zamienić miejscami z biblioteką w Amarillo, nikt nie zauważyłby różnicy. Przynajmniej dopóki by nie spojrzął na personel.

Bliżej mnie stoi bibliotekarka, młoda dziewczyna, więc automatycznie przenoszę spojrzenie na drugi koniec kontuaru, gdzie klientów obsługuje mężczyzna. Też jest młody, ma opadającą na czoło czuprynę i kolczyk w nosie. Jego oczy są niesamowicie czarne i błyszczące jak małe jeziora ropo-
ny naftowej.

Spogląda na mnie, gdy zatrzymuję się kilka kroków od lady, z książką matki wetkniętą pod pachę. Na mój widok prostuje ramiona i nachyla się nieznacznie, jakby niewidzialna ręka wycisnęła mu powietrze z piersi.

Na lotnisku matka powiedziała, że piękna kobieta jest jak nagie drzewko bożonarodzeniowe. Ten chłopak hojnie mnie obwiesza, gdy przesuwam wzrokiem od mojej twarzy, poprzez biust aż do bioder

i z powrotem. W jego rozszerzonych oczach dostrzegam rozmaite emocje, które osiadają na mnie w postaci maleńkich, ciężkich ornamentów. Oferuje mi nieśmiałość, książkową elokwencję i słodkie rozkosze w łóżku. Smoliste oczy spotykają się z moimi oczami. Łapię się na tym, że sama dokładam kilka ozdób, takich jak jego zręczne ręce i poczucie humoru.

Ro Grandee podeszłaby do niego, oparła się o kontuar, co rusz poprawiała włosy, może nawet dotknęłaby jego niesfornych kosmyków. Rozpalałaby go do białości i przy okazji wyciągała potrzebne informacje. Natomiast Rose Mae Lolley wskoczyłaby za ladę, złapała faceta za jaja i ścisnęła, póki nie puściłby farby. Waham się przez chwilę, a potem decyduję się na krok zupełnie do mnie niepodobny - podchodzę do dziewczyny.

Ma w sobie coś miękkiego i łagodnego, jak mleczne cielątko. Zza jej ucha wyfruwają wytatuowane niebieskie motyle, przecinają obojczyk i znikają pod dekoltem bluzki. Uśmiecham się otwarcie, najbardziej przyjaźnie, jak umiem i w powitalnym geście wyciągam przed siebie dłoń.

- Witaj, jestem Ivy. Ivy Rose Wheeler.

Ujmuje moją rękę i mówi:

- Alswan.

- Al... co?

Z uśmiechem na ustach wyjaśnia, że to jej imię. Alswan. A potem literuje je dla mnie, wyginając przy tym wdzięcznie smukłą szyję. Ma szopę bardzo długich, złoto-brązowych włosów, niesfornych, lekko zmierzwionych, jakby popołudnie upłynęło jej na uprawianiu radosnego, dzikiego seksu z Tarzanem, który przy okazji zabrał sobie na pamiątkę jej biustonosz.

Jest bez wątplenia ode mnie młodsza i chyba ładniejsza, czyli należy do ostatnich osób na ziemi, do których jedno z moich dawnych alter ego zwróciłoby się o pomoc. A więc pierwszy punkt dla mojego nowego ja. Spoglądam dziewczynie w oczy i mówię:

- Znalazłam należącą do was książkę. Na lotnisku.

Podaję powieść Stephena Kinga i Alswan odchyła okładkę, żeby sprawdzić pieczętkę.

- Fakt, to nasza. Dziękuję bardzo.

- Kobieta, która zapomniała ją zabrać, zostawiła coś w środku. Coś ważnego. Znaczy się cenniego - mówię, zacinając się na każdym słowie.

Nie wiem, jaką osobą okaże się Ivy Rose, ale jedno nie ulega wątpliwości: ona nie umie kłamać. Przynajmniej stojąc twarzą w twarz z kobietą. Może dlatego, że jako nastolatka wychowywałam się bez matki i nie miałam na kim potrenować. Kolejny kamyczek do wielkiej sterty, która już leży w ogródku Claire Lolley

- Muszę koniecznie skontaktować się z osobą, która wypożyczyła tę książkę.

Alswan marszczy brwi.

- Nie mogę udzielać informacji na temat naszych czytelników. Nigdy tego nie robimy.

- To zrozumiałe. - Kiwam potakująco głową. - Ale miałam nadzieję, że moglibyście się skontaktować z tą kobietą i powiedzieć, że pojawiłam się tutaj z książką. - Alswan spogląda na mnie z dużą dozą sceptycyzmu. Mimo to brnę dalej. - Ta rzecz, którą znalazłam? Nie da się jej łatwo zastąpić czymś innym. Z pewnością właścicielka chciała by ją odzyskać.

Usta Alswan układają się w dzióbek pruderyjnej bigotki, jakby pomimo seksownej fryzury i tatuaży budziła się w niej mentalność małomiasteczkowej bibliotekarki, takiej jak pani Blount z Fruiton, która zrobiła identyczną minę, kiedy przyłapała mnie na czytaniu D.H. Lawrence'a, gdy miałam trzynaście lat.

Alswan ewidentnie nie kupuje mojej bajeczki, jednak nie odprawia mnie z miejsca, tylko mówi:

- Zobaczę, co da się zrobić.

Podchodzi do monitora i odwraca go tak, żebyśmy nie mogła zobaczyć ekranu. Spoglądając raz po raz na książkę, którą ode mnie dostała, wklepuje numer wypisany na grzbiecie. Potem zerka kątem oka

na monitor, podczas gdy stary komputer z mozołem wyszukuje odpowiedź.

Nie widzę informacji, która wyskakuje na ekranie, ale na jej widok Alswan mruczy: „Ach!”, tonem sugerującym, że kojarzy osobę, która wypożyczyła książkę. Ta dziewczyna z pewnością zna moją matkę! Odwraca się i obrzuca mnie szybkim, taksującym spojrzeniem. Sprawia takie wrażenie, jakby chciała przeniknąć wzrokiem moje ubranie, ale z zupełnie innych powodów niż przed chwilą jej kolega z pracy. W oczach Alswan nie ma krztyny pożądania. Jest za to zaciekawienie i chyba także współczucie. Kiedy się do mnie odzywa, w jej głosie słychać dużo cieplejszą nutę.

- Jesteś jedną z dziewcząt Mirabelle! Dlaczego od razu nie mówiłaś?

- Mirabelle - powtarzam tak beznamiętnie, że może to uchodzić zarówno za pytanie, jak i stwierdzenie. O ile mi wiadomo, moja matka ma na imię Claire, ja zaś jestem jej jedyną córką. Niemniej, to imię pasuje do cygańskich ubrań oraz długich, puszczonej luźno włosów, no i jednym z pierwszych posunięć każdego zbiega jest zmiana imienia. Moje tętno przyspiesza.

- Tak, Mirabelle - potwierdza Alswan. - U niej w domu odbywają się spotkania naszego klubu czytelniczego. Poczekaj chwilę, dobrze? Zadzwoń i powiem, że tu jesteś.

- Okej. - Z trudem łapię oddech. Alswan patrzy na mnie z powagą. Dodaję szybko: - Powiedz, że przyjechała Ivy ROSE. Ta z lotniska. Powiedz, że to ja przyniosłam książkę.

- Głowa do góry! - Alswan uśmiecha się teraz tak serdecznie i zachęcająco, że aż robi mi się niedobrze. - Mirabelle z pewnością cię pamięta. To u niej normalne.

- Dzięki - rzucam cicho i zastanawiam się jednocześnie, co jest takie niby normalne u mojej matki. Gdzieś na dnie brzucha kielkują też wątpliwości, rozrastają się i wiją niczym wąsy winorośli, oplatają mi gardło. A co, jeżeli ta tajemnicza kobieta wcale nie jest moją matką? Jeżeli matka także ukradła tę książkę?

Alswan chwyta za słuchawkę, a ja odchodzę na parę kroków i zatrzymuję się przy stoliku, na którym widnieje tabliczka z napisem „Nasz klub czytelniczy poleca” oraz kilka książek, wyeksponowanych starannie przez jakąś pracowitą duszę. Biorę w rękę pierwszą lepszą powieść z brzegu, ale przez cały czas wytyżam słuch, żeby wiedzieć, co powie bibliotekarka.

- Mirabelle? Tu Alswan, z biblioteki.

Próbuję sprawiać wrażenie zupełnie niezainteresowanej przebiegiem telefonicznej rozmowy, mimo to dziewczyna wykręca się do mnie plecami i już nic nie udaje mi się usłyszeć.

Po minucie odwraca się przez ramię i lustruje mnie uważnym wzrokiem. Udaję, że bez reszty pochłania mnie książka, którą niańczyę w dłoniach, chociaż tak naprawdę nie umiałabym podać jej tytułu. Do diabła, nie dałabym nawet głowy, czy nie trzymam jej do góry nogami. Teraz dobiega mnie kilka słów Alswan.

- ...w okolicach metra pięćdziesiąt, to by się zgadzało... Ivy... tak, ciemne włosy.

Potem dziewczyna znowu odwraca się tyłem, a po pewnym czasie odkłada słuchawkę i zaczyna coś zapisywać na kartce. Wreszcie stawia kropkę i przyzywa mnie gestem dłoni.

- Mirabelle na ciebie czeka - komunikuje, a ja wypuszczam ustami powietrze z głośnym „szszszsz” i dopiero w tym momencie zdaję sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech. - Widzisz, mówiłam, że z pewnością cię zapamiętała! Mieszka niedaleko stąd, niecałe pięć minut piechotą. Zanotowałam na tej kartce jej telefon na wypadek, gdybyś jednak zablądziła.

Na kawałku papieru, który mi wręczyła, widnieje: Mirabelle Claire, pod spodem numer telefonu, a jeszcze niżej szczegółowe wskazówki, jak trafić na miejsce. Przebiegam je wzrokiem. Okazuje się, że od matki dzieli mnie teraz niecałe sześć przecznic.

Alswan mówi dalej:

- Mirabelle powiedziała, że za chwilę rozpoczyna seans, musisz więc poczekać na zewnątrz. Wyśle po ciebie Parkera... - Nagle się

zafrasowała. - Rety, nie pomyślałam. Czy nie przeszkadza ci mężczyzna?

- Czy nie przeszkadza mi mężczyzna, który co?

- No, wiesz. Tak ogólnie. - Teraz sprawia wrażenie zmieszanej. Patrę na nią, zdezorientowana. - Myślałam, że może stajesz się płochliwa w towarzystwie facetów.

Jakieś wspomnienie po Rose Mae Lolley daje natychmiast o sobie znać, bo szczerzę zęby w szerokim uśmiechu i odpowiadam znaczącym tonem:

- Nie, ani trochę nie staję się płochliwa.

- To świetnie! - uznaje Alswan i patrzy na mnie z dumą, jakbym była dwulatką, która właśnie dzielnie przełknęła odrobinę zielonego groszku. Po czym dodaje uspokajająco: - Zresztą to tylko Parker. - Macha lekceważąco ręką, dając jasno do zrozumienia, że owego Parkera praktycznie trudno nazwać mężczyzną, nie stanowi więc najmniejszego zagrożenia dla żadnej kobiety. Od razu wyobrażam sobie, że to gej albo dziewięćdziesięcioletni staruszek, ewentualnie karzeł pozbawiony obu rąk. A może po prostu Alswan miała na myśli fakt, że Parker jest już zajęty.

W tej samej chwili dociera do mnie, że Parker może być zajęty przez moją matkę. Skoro go wysyła, żeby czekał na mnie przed domem, muszą razem mieszkać. Niewykluczone nawet, że są małżeństwem. I mają dzieci. Ledwo to sobie uzmysławiam, zaczyna skręcać mnie w środku: oto moja matka od lat siedzi w Kalifornii i wychowuje gromadkę potomstwa, które lubi na tyle, że postanowiła go nie porzucać.

- Wszystko w porządku? - niepokoi się Alswan.

- Tak, tak. Przepraszam.

Mam wrażenie, że wpadłam do króliczej nory. Zbieram się do wyjścia, ale Alswan kładzie mi dłoń na ramieniu. Zamieram. Nigdy nie mogłam pojąć idei tych babskich wzajemnych uścisków, tego obcałowywania się po policzkach lub cmokania powietrza w ich pobliżu. Radosnego popiskiwania. Okazywania czułości. Ale Alswan wydaje się

bardzo szczerą i naturalną w swoim odruchu, a ja jestem tak zamroczona nienawiścią do owego Parkera i hipotetycznych dzieci mojej matki, że dotyk dziewczyny mnie nie drażni. W każdym razie nie za bardzo.

- Wszystko będzie dobrze - obiecuje Alswan. - Znam Mirabelle. Wystarczy, że podporządkujesz się zasadom, a zrobi dla ciebie wszystko, co w jej mocy. Absolutnie wszystko.

Kiwam z powagą głową, choć nie mam bladego pojęcia, o czym opowiada ta bibliotekarka. Jedna z dziewcząt Mirabelle. Czy przeszkadzają mi mężczyźni. Jakież zasady. Zaczynam się zastanawiać, czy moja matka nie zrzuciła z siebie cygańskich łańców i nie zajęła się prowadzeniem agencji towarzyskiej. Lub biura matrymonialnego dla lesbijek.

Gret siedzi przed biblioteką z nosem wyciągniętym w stronę drzwi, za którymi zniknęłam jej z oczu.

- Nie zapomniałam o tobie, głuptasie - zapewniam.

Odwiązuję smycz i ruszamy przed siebie noga w nogę. Wskazówki Alswan są tak przejrzyste, że wracam do garbusa po bagaż bez ryzyka, że się potem zgubię. Mogłabym podjechać tych kilka przecznic, ale moje dotychczasowe doświadczenia wskazują, że w tym mieście bardzo trudno zaparkować, zostawiam więc auto tam, gdzie stoi, wyciągam niebieską torbę i ruszam na piechotę.

Z każdym krokiem przyspieszam. Gret natomiast się ociąga. Tysiąc psów zostawiło swoje zapachowe wizytówki na wąskim pasie zieleni, ciągnącym się wzdłuż chodnika, i moja psina chce je teraz wszystkie odczytać. Cmokam zachęcająco, ciągnę ją za sobą. Jestem już blisko celu. Wkrótce zobaczę matkę - a przynajmniej jej dom i ewentualnego męża. Jeszcze tylko cztery przecznice. Jeszcze trzy. Teraz już prawie biegnę, a z każdym krokiem w mojej głowie rodzi się więcej pytań.

Alswan powiedziała, że matka zaraz rozpocznie seans. Zapewne miała na myśli, że jakaś nieszczęsna wyznawczyni - bądź wyznawca - idei New Age zapłaci za wróżbę ze sfatygowanych kart. Szybki marsz na miejsce oznacza, że będę musiała dłużej czekać przed domem

w towarzystwie niejakiego Parkera, ale po prostu nie jestem w stanie zwolnić. Czuję desperacką potrzebę jak najszybszego obejrzenia domu, w którym mieszka matka, i faceta, z którym dzieli ten dom. Nawet teraz, chociaż zostałam oficjalnie zaakceptowana, wciąż trudno mi uwierzyć, że ta Mirabelle to moja wróżbiarka z lotniska, kobieta, która mnie urodziła i opuściła bardzo dawno temu.

Po raz kolejny nie mogę się nadziwić, jak mały w gruncie rzeczy jest świat i jak trudno się w nim na dobre zagubić. Wystarczyło kilka telefonów i trafiłam do Arlene Fleet. Jedna książka z biblioteki doprowadziła mnie bezpośrednio do Claire Lolley, mimo że mieszkała na drugim końcu kraju i ukrywała się pod zmienionym nazwiskiem. Przeszywa mnie dreszcz, gdy zaczynam się zastanawiać, ile ja zostawiłam po sobie śladów. Szybko jednak porzucam tę myśl. Ostatecznie Thom Grandee szuka Rose Mae, a ona już przestała istnieć. Pozostała jedynie dziewczyna o imieniu Ivy Rose Wheeler, biegnąca ku swojej matce, od której teraz dzielą ją zaledwie dwie przecznice.

Pytania, które się narodziły w Alabamie, w Amarillo, i ostatnio w bibliotece niczym lawina popychają mnie do przodu, nadają przyspieszenia. Gret, sapiąc głośno, puszcza się radosnym truchtem na swoich trzech łapach, bo tylko tak może dotrzymać mi kroku.

Dochodzę do przecznicy, przy której mieszka matka. Realnie istniejące miejsce, właśnie je odnalazłam. Belgria, tak nazywa się ta ulica. Skręcam i idę szybko chodnikiem, wzrokiem poszukując Parkera, niegroźnego ąasi-mężczyzny, kochanka matki, który z jej polecenia ma na mnie czekać przed jedną z furtek.

Ale widzę jedynie młodą kobietę, stojącą naprzeciwko błękitnego niczym niebo domu, okolonego metalową siatką. Ja jestem na wysokości numeru 24, wobec tego dom błękitny to numer 30. Dom mojej matki. Zwalniam, Gret ciągnie mnie do przodu, ale chcę się przyjrzeć tej kobiecie, zanim ona zauważy moją obecność.

Nie patrzy w moją stronę. Cała jej uwaga koncentruje się na budynku. Widzę jej profil, długie włosy opadające na plecy. Jest na pół Azjatką, a na pół mieszkanką wszystkich pozostałych ras. Pochyla się

do przodu niczym suplikantka; linia jej ramion sugeruje desperację. Zaciska dłonie na metalowej siatce.

Podchodzę bliżej i wówczas dostrzegam, że kobieta rozmawia z mężczyzną, który stoi po drugiej stronie ogrodzenia przed wąskim, zadaszonym gankiem, biegnącym przez całą długość domu. To zapewne Parker.

Obrzucam go baczным spojrzeniem i już rozumiem, dlaczego Alswan uznała, że dziewczyna, która boi się facetów, nie poczuje zagrożenia. To wysoki, szczupły, bladej mężczyzna, o niedbalej postawie. Wprost bije od niego łagodność. Jest ubrany w płócienne spodnie, koszulkę z długimi rękawami i - Boże dopomóż - sandały. Ma atrakcyjną twarz o ostrych rysach, ale jego oczy o ciężkich powiekach oraz ogólne wyluzowanie sugerują, że gdyby znalazł pająka na ganku, włożyłby go delikatnie do kartonowego kubka i przeniósł do ogrodu. A potem wrzucił kubek do pojemnika na odpady przeznaczone do recyklingu.

U jego stóp leżą dwa skundlone labradory, czarne jak smoła, o kłapciatych uszach. Trzeci pies, mały terier bostoński, stoi na schodkach ganku w wojowniczej pozie. Jest najgroźniejszym stworzeniem w okolicach tego domu, a nawet nie sięga mi do kolan.

Zbliżam się wolnym krokiem i coraz uważniej przyglądam swojemu potencjalnemu ojczymowi. Jest młody. Bliższy wiekiem mnie niż mojej matce. Dużo bliższy. Mimowolnie się uśmiecham. Co ona, u diabła, robi z facetem, który mógłby z powodzeniem być jej... raptownie urywam tę myśl. Niewykluczone, że Parker JEST jej synem. Wygląda na Irlandczyka, ma wysokie kości policzkowe i wąską szczękę, a jego czaszka jest tak kanciasta, jakby miał w niej kilka kości więcej od przeciętnego śmiertelnika.

Teraz jestem już tak blisko, że słyszę, jak Parker wyjaśnia:

- To decyzja Mirabelle, Lilo.

Ma niski głos, równie łagodny jak jego postura. Mówi o niej Mirabelle, nie matka lub mama, ale niewykluczone, że w Kalifornii dzieci zwracają się do rodziców po imieniu. Gdy zaś chodzi o Claire Lolley, za pierwszym podejściem nie polubiła macierzyństwa na tyle, by

wytrwać na tej posadzcie. Może za drugim razem zatrzymała dziecko, ale porzuciła zwyczajowy tytuł.

- Proszę - mówi Lila łamiącym się głosem. - Teraz już będę robić wszystko, jak należy.

Mam wrażenie, że słucham zrozpaczonej, pełnej skruchy ośmiolatki. W tej samej chwili Gretel nagle spostrzega, że zbliżamy się do miejsca pełnego psów, więc pociąga mnie w przód i zaczyna w szaleńczym tempie merdać ogonem.

- Nie mogę ci pomóc - tłumaczy Parker i rozkłada ręce, jakby chciał wyrazić pokazać, że są puste. - Pozwól mi zadzwonić do Safe Harbour.

- Nie! - Lila sprzeciwia się gwałtownie. - Ja chcę Mirabelle!

Parker chwyta się za głowę. W każdym zamkniętym pomieszczeniu jego włosy zapewne wyglądają na ciemnobrązowe, ale słońce wydobywa z nich wiele czerwonych odcieni. Są długie, zebrane w kitkę, która sięga mu do ramion. Przyciska dłonie do skroni, jakby chwycił go atak migreny Gretel szarpie się na smyczy, sapiąc głośno.

Ten odgłos zwraca uwagę Parkera. Uśmiecha się na mój widok, unosi leniwie dłoń w geście powitania. Terier również wychwytuje ziajanie Gret i zaczyna ujadać, podrywając na nogi labradory Zaraz też cała sfera sunie falangą w stronę ogrodzenia, czekając i merdając ogonami. Gret ciągnie mnie do rogu, w którym zatrzymały się psy, i chwilę później cała czwórka przepycha nosy przez oka siatki, obwąchując się nawzajem.

Widząc cwałujące zwierzaki, kobieta się ogląda, by sprawdzić, co je tak zafrapowało. Dzięki temu mam okazję zobaczyć drugą połowę jej twarzy: są na niej fioletowoczarne siniaki z oliwkowymi obwódkami. Prawe oko jest całkiem zapuchnięte, natomiast drugie, o kształcie migdała, okalają gęste, teraz wilgotne rzęsy. Kiedy płaczą kobiety o jasnej skórze, takie jak ja, ich nosy czerwienieją, a na twarz występują brzydkie plamy. Twarz tej dziewczyny z nieuszkodzonej strony jest piękna mimo łez.

- Cześć - rzucam zakłopotana.

To dom mojej matki, ale obecność pobitej kobiety sprawia, że czuję się tu intruzem. Tymczasem Gretel zdążyła się już zaprzyjaźnić z resztą psów - wystarczyło kilka pociągnięć nosem i machnięć ogonem. Tak po prostu.

Lila wpatruje się we mnie oskarżycielsko swoim zdrowym okiem, po czym pyta:

- To ona zajmie moje miejsce? - Patrzy na mnie, ale jej słowa są skierowane do Parkera.

Parker marszczy brwi.

- Nie sądzę - odpowiada. Po czym zwraca się w moją stronę: - Ty chyba nie jesteś Ivy?

Lila gromi mnie gniewnym spojrzeniem.

- A dlaczego tak sądzisz? - zagaduję.

- Nie wyglądasz na... nie wyglądasz tak, jak cię opisała.

Uśmiecham się i rzucam prawie bez przekąsu:

- Może się zmieniłam od czasu, gdy widziała mnie po raz ostatni.

- Powodzenia - prycha Lila, patrząc mi w oczy. Oczywiście, życzy mi czegoś dokładnie odwrotnego. - Mam nadzieję, że jesteś chodzącym ideałem. Bo tutaj musisz być wzorem cnót.

Przestaje miętosić w rękach metalową siatkę, obraca się na pięcie i zaczyna oddalać.

- Lilo! Nie wracaj znowu do domu! - woła za nią Parker, podchodząc do ogrodzenia. - Pozwól, żebyśmy zadzwonił do Safe Harbour!

Nie odwracając się, Lila pokazuje mu środkowy palec i dalej marszeruje przed siebie. Ja natomiast ruszam w stronę furtki. Psy biegną wzdłuż siatki. Labradory raz po raz wyciągają przed siebie przednie łapy i wypinają zadki, zapytując Gretel w tym uniwersalnym psim języku, czy ma ochotę na zabawę. Oczywiście, że ma. Jedynie terier trzyma się z boku i podejrzliwie unosi raz jedną, raz drugą krzaczącą brew. Zatrzymuję się przed furtką. Parker nadal odprowadza Lilę wzrokiem. Z tyłu Lila też wygląda bardzo atrakcyjnie, ale ze sposobu, w jaki się porusza, jasno wynika, że siniaki na twarzy mają sporo towarzyszy na jej ciele.

Kiedy w końcu znika za rogiem, zwracam się do Parkera:

- Przykro mi, że przeszkodziłam.

Słyszając mój akcent, Parker z zaciekawieniem przekrzywia głowę.

- Skąd jesteś?

Czyżby nic o mnie nie wiedział? Przecież, do cholery, kobieta, z którą mieszka - nasza wspólna matka lub też jego stara żona - pochodzi z Alabamy.

- A jak sądzisz? - pytam.

- Nie wiem. Gdzieś z Południa. Z Wirginii?

- Jasne. Z Wirginii. Czemu nie? - odpowiadam jak ostatnia kretynka i piorunuję Parkera wzrokiem. On uśmiecha się serdecznie, całkowicie ignorując moją wrogość, więc zagajam z innej beczki: - A więc jesteś dla...

Nie bardzo wiem, jak ją nazwać. Moją matką? Wróżbiarką? Jakoś nie mogę się zdobyć, żeby mówić o niej per Mirabelle. W końcu decyduję się na zaimek - prostą, anonimową formę.

- Jesteś dla niej... kim właściwie?

- Dla kogo? Dla Lili?

Wskazuję kciukiem na dom, w ten sposób sugerując, którą osobę mam na myśli. Jednocześnie łapię się na tym, że nie jestem w stanie wypowiedzieć także słowa mąż czy - nie daj Boże - syn. Te pojęcia wydają mi się w tej chwili odrażające i nie chcę, by skałały moje usta. Ostatecznie pytam:

- Jesteś jej facetem?

W pierwszej chwili Parker dębieje, w drugiej - wybucha śmiechem.

- Mirabelle wynajmuje w moim domu mieszkanie.

- A! - Chyba nie udaje mi się ukryć zakłopotania. - Super. To zapewne korzystnie dla was obojga.

Tak bardzo się skoncentrowałam na ludziach, że nie obejrzałam uważnie domu. Teraz widzę, że ma dwoje wejściowych drzwi od frontu. W tych pośrodku jest na dole kłapa dla psów, drugie są usytuowane na końcu ganku, po prawej stronie, więc zapewne nie jest to klasyczny bliźniak. Raczej dom, w którym wyodrębniono mieszkanie

z niezależnym wejściem. Prawdopodobnie dla teściowej. W oknie znajdującym się obok prawych drzwi widnieje wygaszony neon przedstawiający otwartą dłoń. Biznesowy symbol mojej matki.

Glupio mi, że na podstawie wątych przesłanek wyciągnęłam tak wiele pochopnych wniosków i roznieciłam w sobie tyle złości.

- Czy ona jest mężatką?

- Nie - odpowiada Parker, lustrując mnie obojętnym wzrokiem. - Powiedziała, że masz długie włosy.

- Ostrzygłam się.

- I nie wspomniała o psie. A to tak, jakbyś się zjawiała z jednoróżcem u boku. Nikogo nie interesuje, czy będziesz miała na sobie bluzkę czerwoną, czy w jakimkolwiek innym kolorze. Ale pies o trzech łapach to coś, o czym się informuje na samym wstępie.

- Nie wiedziała, że mam psa - odpowiadam i zaraz sobie przypominam, że ten facet jest właścicielem posesji. - Czy mój pies stanowi jakiś problem?

- Jasne. Nienawidzę śmierdzieli - oznajmia ze śmiertelną powagą, podczas gdy jego kundle, obślinione z radości, ścigają się, który pierwszy dotknie nosem Grubej Gretel przez oka siatki. Nagle łapię się na tym, że szczerzę zęby w uśmiechu: co za szczęście, że ten facet nie okazał się jakimś moim krewnym czy powinowatym, co natychmiast uznałabym za obmierzłe. Parker odwzajemnia mój uśmiech, po czym wskazuje po kolei na labradory oraz teriera, i objaśnia:

- Buck, Miss Moogle i Cesar.

Wyciągam palec w kierunku mojej psiny.

- Gruba Gretel - przedstawiam.

Parker kuca, i zwraca się bezpośrednio do Gret, przeciskając palce przez siatkę, żeby mogła poznać jego zapach.

- Czy jesteś grzecznym psem? - To wcale nie jest retoryczne pytanie. Moja psina sapie mu figlarnie w twarz i merda jak szalona ogonem, a na jej pysku rysuje się szeroki uśmiech. - Tak, jesteś grzecznym pieskiem - uznaje Parker. - A więc w porządku. - Podnosi się. - Zapraszam. Wchodźcie.

Otwiera furtkę, a ja blokuje wejście najpierw swoją torbą, potem ciałem, żeby sfora Parkera nie wypadła na zewnątrz. Furtka zostaje zamknięta, a wówczas Gretel i pozostałe psy kręcą się dokoła siebie nawzajem, by nareszcie dokładnie się obwąchać.

- Spuść ją ze smyczy, bo zaraz się przewrócisz - doradza Parker.

Zwalniam karabińczyk i Gretel wyrывa do przodu, a za nią reszta psów, łącznie z wyniosłym terierem, który widocznie uznał, że ganianie wokół domu z nieznanym gościem to przyjemne odstępstwo od rutyny Tymczasem Parker chwyta moją torbę i przez niewielki trawnik idzie w stronę ganku, leniwie powłócząc nogami, w czym mi przypomina Shaggy'ego z filmu *Scooby-Doo*. Jednocześnie prowadzi ze mną rozmowę, raz po raz odwracając się przez ramię.

- Schody wiodące na piętro są w pomieszczeniu, gdzie Mirabelle stawia karty, nie mogłabyś więc się dostać do swojego pokoju, nie wprowadzając zamętu. Dlatego, przykro mi, musisz poczekać. Czy w związku z tym mogę cię czymś poczęstować? Wodą? Herbatą?

- Nie, dzięki - odpowiadam. Po czym pytam: - Czy ta kobieta, Lila, kiedyś tutaj mieszkała?

Na ganek prowadzą trzy stopnie, Parker przystaje na najniższym, zwraca się w moją stronę i smutnie potrząsa głową.

- Uhm.

- Mieszkała z Mirabelle? Przede mną?

- Nie bezpośrednio. Była trzecia... nie, czwarta przed tobą. Ale wciąż chce wrócić.

Stawia moją torbę na najwyższym schodku.

- Czwarta przede mną - powtarzam z wahaniem. Parker najwyraźniej nie ma pojęcia, że jestem córką Mirabelle. Uważa, że należę do grona następczyń Lili, ja natomiast zaczynam się domyślać, co to oznacza. Moja matka przyjmuje pod swój dach kobiety, które uciekły od koszmaru domowej przemocy. I robi to już rutynowo.

Trzy duże psy przemycają biegiem przez trawnik. Gretel bez trudu dotrzymuje labradorom kroku pomimo braku łapy. Tylko mały

przysadzisty terier ciągnie się w ogonie i, próbując nadążyć za resztą, ujada jak oszalały

- Czy Safe Harbour to schronisko dla kobiet? - pytam Parkera. Potakuje, więc zgaduję dalej. - Mirabelle tam pracuje? Prowadzi tutaj coś w rodzaju filii?

- Niiieeee. Safe Harbour oficjalnie nie pochwała jej - jak by to określić? - nieformalnej pomocy socjalnej? - Na ganku stoją dwa wiklinowe, wyściełane fotele, Parker jednak siada na schodku, obok mojej torby. Odchyła się do tyłu zrelaksowany i wyciąga przed siebie długie nogi. Jego wymięte, płócienne spodnie są zdecydowanie za krótkie. - Ale jedna z szefowych schroniska, niejaka Jane, po kryjomu dzwoni do Mirabelle, kiedy nie mają już wolnych łóżek. Lub w innych sytuacjach kryzysowych. Czasami też bywa odwrotnie. Przynajmniej trójka z... hmm... gości Mirabelle, nie wytrzymała tutejszych warunków, za to całkiem nieźle poradziła sobie w schronisku. Niestety, nie dotyczy to Lili.

- Ale Lila nie ma szans na powrót. - To z mojej strony nie jest pytanie, bo chyba już zdążyłam zorientować się w sytuacji. - Złamała jedną z reguł Mirabelle. - Parker kiwa głową, a ja dodaję: - Dziewczyna z biblioteki zapewniła, że wszystko świetnie się ułoży pod warunkiem, że będę przestrzegała zasad.

Teraz także przysiadam na schodku. Moja niebieska torba oddziela mnie od Parkera na podobieństwo pękatej przyzwoitki.

- Owszem - potwierdza Parker. - Lila wróciła do męża. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Mirabelle przyjęła kobietę po tym, jak skontaktowała się w takiej czy innej formie z mężem lub chłopakiem.

Podczas gdy mówi, wpatruję się w jego nogi. Nie lubię, jak facet nosi sandały. Buty z odkrytymi palcami uważam za niemęskie. Ale podobają mi się jego stopy. Są bardzo długie, wąskie i blade, niczym kły słonia.

- Czy dużo jest tych zasad? - dopytuję się dalej.

Parker patrzy na mnie zaskoczonym wzrokiem.

- Twój kierowca ci nie powiedział?

- Mój kierowca?

Potrząsa głową, zbity z tropu.

- Znalazłaś się daleko na zachód od domu, Wirginio. Stąd wnosząc, że przywiozła cię jakaś święta Cecylia?

Czuję, że wszystko we mnie zamiera.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Staram się zachować spokojny ton głosu i niewzruszony wyraz twarzy.

- Underground railroad*? - dorzuca Parker, jakby chciał mi przypomnieć oczywisty fakt.

- Underground railroad? Co masz na myśli? Dzielne poczynania Harriet Tubman?

- Uhm, coś w tym rodzaju. Tyle że święte Cecylie zajmują się kobietami w ciężkiej sytuacji życiowej. Mirabelle jest jedną z tych świętych.

- Mirabelle jest jedną ze świętych Cecylii - powtarzam odruchowo, szczęśliwie Parker nie zauważa, że właśnie się obróciłam w bezmyślne echo.

Kiwa głową.

- Od czasu do czasu mnie też się zdarza pełnić funkcję kierowcy. Mirabelle dostaje telefoniczną wiadomość, że w jakimś publicznym miejscu - bibliotece lub centrum handlowym - czeka pokrzywdzona kobieta. Ja ją odbieram i przewożę sto kilometrów dalej do podobnego miejsca. Nigdy nie wiem, kto był kierowcą przede mną, ani kto się zajmie moją podopieczną, kiedy ją zostawię. Dzięki temu nie istnieje możliwość wytropienia powiązania, ślad zostaje całkowicie zatarty. Osoby, które przyjmuje Mirabelle, albo pochodzą stąd i trafiają do niej przez Safe Harbour, albo zostają przetransportowane z drugiego końca kraju przez święte Cecylie. Skoro nie miałaś do czynienia z Cecyliami, jakim cudem się tu znalazłaś, Wirginio?

W zaistniałej sytuacji decyduję się powiedzieć prawdę.

* underground railroad - ogólnie rzecz biorąc, system przerzutu zbiegłych niewolników amerykańskich do północnych stanów i Kanady, oparty na sekretnej współpracy łańcucha ludzi dobrej woli (przyp. tłum.)

- Spotkałam Mirabelle na lotnisku. Wtedy mnie do siebie zaprosiła.

Parker ponownie kiwa głową i zapada między nami przyjazna cisza. Siedzę obok i udaję, że nic się nie dzieje, choć w rzeczywistości serce wali mi jak oszalałe. Kiedy byłam na Ranczu Cadillaców, uznałam przesłanie od matki za kompletnie pozbawione znaczenia, a nawet świadczące o braku serca. Tymczasem tak naprawdę zostawiła mi wskazówki, których tak bardzo oczekiwałam. Pod wyrażonym w czasie przeszłym wyznaniem miłości i oburzającym zaleceniem, bym się oddała modlitwie, widniał srebrny napis, który głosił: Superimpreza tylko w RODEO! Wówczas założyłam, że to robota gejów, miłujących pokój, teraz jednak zaczyna mnie nurtować, co by się stało, jakbym zadzwoniła do owego baru i zapytała o Cecylię. Czy bym usłyszała, że jeśli chcę, mogę zniknąć bez śladu?

W pierwszym odruchu czuję przyływ cieplejszych uczuć do matki, jednak zaraz uświadamiam sobie, że gdyby nie przypadkowe spotkanie na lotnisku, nigdy bym się nie dowiedziała o informacji pozostawionej na Ranczu Cadillaców. Co więcej - nawet jej odnalezienie w gęstwinie graffiti niewiele dało, ponieważ przesłanie było tak zawołowane, że niczego nie pojęłam. Bo tak naprawdę matka wcale nie napisała tych słów dla mnie. Zrobiła to dla siebie. Miały być balsamem łagodzącym jej wyrzuty sumienia: wskazała mi ścieżkę, a resztę pozostawiła w rękach losu.

Oddycham ciężko i głośno. Cisza zaczyna mnie irytować. Za to Parkerowi zdaje się zupełnie nie przeszkadzać. Rozparł się wygodnie na stopniach, zmrużył oczy i wykręcił twarz do słońca. Próbuje się otrząsnąć, złapać równowagę. Matka wykonała idiotyczny ruch. I co z tego? Wziąwszy pod uwagę dotychczasowy rozwój wydarzeń, w ogóle nie powinno mnie to dziwić.

W końcu odwracam się do Parkera i zagajam:

- A więc w twoim domu obowiązują reguły...
- Nie, nie - wchodzi mi w zdanie. - Dom rzeczywiście jest mój, ale reguły to domena Mirabelle. Nie należę do facetów, kierujących się nakazami czy zakazami.

To tak oczywiste, że odruchowo się uśmiecham, pomimo zżerającej mnie złości. Tradycyjnie odpowiada uśmiechem na uśmiech, jednak kiedy się odzywa, jego głos jest pełen powagi:

- Z pewnością Mirabelle wszystko ci wyłuszczy. Ale mogę ci od razu powiedzieć, że przez pierwsze siedem dni nie będzie ci wolno wychylić nosa z domu. Jedna z dziewczyn wyleciała za to, że wyszła na ganek.

Prycham kpiąco, ale szybko siłą się na miły ton głosu:

- Mirabelle to niezła jędza, co?

Parker wzrusza ramionami.

- Zasady są nieco hardcorowe. Ale ma to głęboki sens. Chłopak tej wywalonej dziewczyny szukał jej po całym Berkeley z kuszą do łowów podwodnych w rękę. - Parker spogląda na moją lewą dłoń. Nie mam bielszego paska na palcu, bo nigdy się nie opalam, ale w miejscu, gdzie nosiłam obrączkę, widnieje delikatne wgłębienie. Podwijam palce i przy okazji zerkam na rękę Parkera. Ani śladu obrączki. - Po tygodniu nawet najbardziej rozjuszony facet zaprzestaje poszukiwań - ciągnie tymczasem Parker. - A przynajmniej przestaje się miotać i spada prawdopodobieństwo, że zaatakuje w amoku.

Potakuję skinieniem głowy. W ciągu siedmiu dni złość rzeczywiście wyparowuje z mężczyzn. Gdybyż tylko Thom Grandee był wiedziony wściekłością! Nim jednak kieruje zupełnie inna namiętność: żądza mordu, która jest nieśmiertelna, więc upływ czasu niczego tu nie zmieni. Thom nie spocznie, póki nie wyśle mnie do piachu. Nagle przypominam sobie ten lodowaty wzrok, jakim patrzył na mnie w Grand Guns; wtedy spadły wreszcie wszystkie maski i pozostał tylko jakiś stwór podobny do gada - zimnokrwisty i obcy.

Napominam się w duchu, że on przecież szuka dziewczyny, która już nie istnieje. Mimo to odruchowo kładę dłoń na płóciennej torbie i naciskam, żeby poczuć kojące, twarde części broni dziadka.

- To rzeczywiście logiczne - przyznaje. - Jeszcze jakieś niezłomne zasady, o których powinnam wiedzieć?

Parker wzrusza ramionami.

- Nic nadzwyczajnego. Zakaz posiadania narkotyków czy broni, takie tam.

Dotykam rewolweru, więc mimowolnie się wzdragam, gdy słyszę, że broń jest artykułem zakazanym. Parker natychmiast to wychwytuje i unosi pytająco brwi.

- Mam części starego kolta - wyjawiam.

Parker prostuje się gwałtownie.

- Masz przy sobie broń?! - Wypowiada te słowa tonem przepelnionym kolosalnym niedowierzaniem - tonem, jakim ja mogłabym zadać komuś pytanie w stylu: Masz przy sobie gnijące szczątki węża?!

- Mam CZĘŚCI kolta - odpowiadam. - Części nie mogą strzelać.

Z formalnego punktu widzenia to prawda. Ale każdy, kto ma jako takie pojęcie o broni palnej, nie wyłączając mojej matki, mógłby w pół minuty złożyć z tych części rewolwer gotowy do strzału. Ten facet jednak w życiu nie dotykał broni - jestem tego tak pewna, że byłabym gotowa założyć się o wszystko. Otwieram torbę, żeby wyciągnąć kolta i dokonać prezentacji.

Oczy Parkera robią się okrągłe niczym spodki, gdy patrzy, jak rozwijam T-shirt, którym omotałam broń.

- Nie jestem pewien, czy Mirabelle się to spodoba. Nie jestem pewien, czy ja to zaakceptuję.

- Nie masz duszy strzelca, co? Widać to po twoich butach.

Spogląda na swoje stopy, a potem przenosi wzrok na znoszone kowbojki Ivy.

- Po moich butach?

- Tylko pacyfiści takie noszą. Widziałeś kiedyś żołnierza w sandałach?

Parska śmiechem.

- Okej, czy to, co masz na nogach, świadczy, że jesteś snajperką?

Patrzę mu prosto w oczy i mówię:

- O tak, moje kowbojki świadczą o tym, że jestem fantastyczna.

Jego ciamajdowatość nagle znika. Mam przed sobą szczupłego, sprężystego i pięknie umięśnionego faceta, który doskonale panuje nad

swoim ciałem. Pal lichy sandały, teraz siedzi obok mnie mężczyzna, którego Alswan z pewnością by nie zbyła lekceważącym machnięciem dłoni. Nachyla się ku mnie.

- Dlaczego ktoś chce zostać fantastycznym strzelcem? - Nie pyta tak sobie, żeby gadać, on naprawdę chce wiedzieć.

- Bo to świetna zabawa.

Kręci z powątpiewaniem głową.

- Jakoś nigdy nie ciągnęło mnie do zabawy, która polega na strzelaniu Bambi między oczy.

- Mnie też nie - odpowiadam szczerze. - Choć szczególnie przeciwko temu nie protestuję; mój ojciec polował, żeby zapewnić nam pożywienie. Chodziłam z nim na gołębie, ale sama nie strzelałam, natomiast kiedy chciał upolować królika lub sarnę, zostawałam w domu. Nie zjadłabym zwierzęcia, które jeszcze chwilę wcześniej było słodkim, żywym pluszakiem.

- A więc nigdy nie strzelałaś do żadnego żyjącego stworzenia?

Przypominam sobie Thoma Grandeeego, wynurzającego się ponad szczyt łagodnego wzniesienia na trasie biegowej w Wildcat Bluff, widzę jego rzymski nos na muszce rewolweru, mimo to patrzę Parkerowi prosto w oczy i bez mrugnięcia powieką oświadczam stanowczo;

- Oczywiście, że nie. - A więc, dzięki Bogu, nie zatraciłam umiejętności okłamywania facetów. - Poza tym, broń długa mnie nie nęci. Jestem dziewczyną, która kocha pistolety i strzelanie do celu. Gdy zaś chodzi o te części, rewolwer należał do mojego dziadka. To jedyne, co mi po nim pozostało.

- Broń jako pamiątka sentymentalna? Cóż za dziwactwo.

Wyciąga rękę i z powątpiewaniem dotyka rozmontowanej lufy.

- Owszem, to pamiątka sentymentalna.

Jego smukły palec przesuwają się tylko po metalu, który na dodatek trzymam przez T-shirt, a mimo to jakaś elektryczna iskra przesywa mi dłoń i przyprawia o przyjemne mrowienie.

- Może pewnego dnia, kiedy moja kwarantanna już dobiegnie końca, zabiorę cię na strzelnicę i pokażę, jak to się robi.

- Hm! - Dźwięk, który z siebie wydaje, jasno sugeruje, że uważa ten pomysł za absurdalny. Cofa rękę, ale po chwili pociera palcem o palec, jakby chciał dobrze zachować w pamięci fakturę gładkiej, chłodnej stali. Po czym dodaje: - Wszystko możliwe.

Otwierają się drzwi na końcu ganku. Oboje podskakujemy, niczym para dzieciaków przyłapana na zakazanej zabawie. Szybko owijam koltę T-shirtem i chowam z powrotem do torby, pod stare ubrania matki.

Na ganek wychodzi elegancka kobieta w średnim wieku i w kosztownych butach na nogach. Parker się podnosi i usuwa na bok, by ją przepuścić, mocno garbiąc przy tym ramiona. Flirt przy okazji rozmów o broni to terytorium, na którym od wieków czuję się swobodnie i pewnie. Gdy na nie wkroczyliśmy, ja zapomniałam o gniewie i zdernerwowaniu, Parker - o pozie safanduly. Teraz znowu wróciliśmy do punktu wyjścia.

Kobieta pozdrawia nas skinieniem głowy, omija moją torbę i schodzi ze schodów. Psy, do tej pory baraszkuje na tyłach domu, wybiegają z za rogu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Są obślinione i wyglądają tak, jakby się wytarzały w ziemi. Kobieta na ich widok spieszy do furtki, by przypadkiem nie spróbowały jej okazać nadmiernej czułości.

- Mam tak po prostu tam wejść? - Nie mogę opanować drżenia głosu.

- Spokojnie - zaleca z zachętą w głosie Parker. - Ona cię oczekuje. Wszystko będzie dobrze.

Mój wewnętrzny radar zawsze niezawodnie wychwytuje, czy facet jest mną zainteresowany; teraz Parker okazuje mi jedynie zwykłą, ludzką życzliwość, bez żadnych erotycznych podtekstów. Shaggy-Doo powrócił. Wyciąga do mnie rękę. Jego palce są zimne, ręka służy jedynie za podporę, to ja muszę wykazać inicjatywę - mocno chwycić i się podciągnąć. Kiedy już jestem na nogach, natychmiast odsuwa się ode mnie na krok. Ten facet ewidentnie miał do czynienia z wieloma kobietami, które - jak to ujęła Alswan - są płochliwe w towarzystwie mężczyzn. Kiwa głową na do widzenia i człapie ku środkowym drzwiom, prowadzącym do jego części domu.

Łapię torbę i skręcam w prawo. Staję przed drugimi drzwiami, waham się przez moment, unoszę dłoń, żeby zapukać, potem ją opuszczam. Prostuję ramiona. Ostatecznie teraz tutaj mieszkam. To dom mojej matki. Nie zamierzam wystawać przed progiem i załamywać rąk - jak Lila. Nie będę pukać, pytać, czy mogę wejść, pokornie czekać na audiencję. Zaciskam palce na gałce i przekręcam.

Nagle obok materializuje się Gretel, wciska przed moje nogi, nie chce, żebym weszła bez niej. Wchodzimy więc razem. Matka stoi pośrodku bardzo dużego pomieszczenia i czeka, aż zamknę za sobą drzwi.

Wygląda mniej więcej tak samo jak na lotnisku. Ma rozpuszczone włosy i jest spowita w szale. Spod kwiecistej spódnicy, z boku zawiązanej na supeł, wystaje druga, niebieska. W swoim wieku nie powinna mieć tak długich i równo przyciętych włosów. Niekorzystnie podkreślają te obszary twarzy, które zaczynają już lekko obwisać. Stawiam torbę na podłodze. Matka i ja spoglądamy na siebie w milczeniu. Coraz bardziej brakuje mi tchu.

- Przyjechałaś z psem - mówi w końcu. W jej tonie byłoby zapewne więcej entuzjazmu, gdybym przywiozła ze sobą wirusa ebola. - Jak straciła łapę?

Gret zaczyna obwąchiwać nieznane sobie wnętrze.

- Ja ją odstrzeliłam. - Matka patrzy na mnie z przerażeniem, więc dodaje szybko: - To był wypadek.

Przygląda mi się uważnie, potem potrząsa głową, a jej oczy coraz bardziej się rozszerzają.

- Miałam kiedyś identyczną bluzkę. - Dotykam wykończonego koronką brzegu jej starej, hippisowskiej koszuli. - I identyczne dzinsy, dokładnie takie... - urywa, dokonuje jakichś kalkulacji. - Zaraz, zaraz... to SA moje dzinsy.

- Owszem. - Wkładam palec pod luźny pasek, pociągam do przodu. Wprost nie mogę uwierzyć, że w taki sposób zaczęła naszą rozmowę. To budzi we mnie najgorsze instynkty. - Jestem szczuplejsza niż ty wówczas - oznajmiam.

- Cóż, ty nie urodziłaś dziecka - odcina się ostro.

- JA mam jeszcze na to czas - odbijam z woleja i piłka znówu łąduje w jej korcie.

Spoglądamy na siebie, zdumione własnym zachowaniem, aż wreszcie matka oświadcza:

- To absurdalne.

Rzeczywiście. Ma rację. Problem w tym, że każda niezobowiązująca, lekka rozmowa zabrzmiałaby w tej sytuacji niedorzecznie i wyprowadziła mnie z równowagi. Jeżeli matka zacznie mówić o pogodzie, chyba rzucę się na nią z pięściami. Nie możemy gawędzić o psach i dzinsach - to absolutnie wykluczone, wzięwszy pod uwagę naszą historię.

- A więc pojechałaś do Fruiton. Rozumiem, że nie tylko po to, aby zrobić nalot na moją szafę. Czy to było mądre? - pyta.

Gretel właśnie odkryła arkadowe przejście na drugim końcu pokoju i postanowiła zbadać, co się za nim kryje.

- Pewnie nie - przyznaję. Po czym, wiedzioną nieodpartą pokusą, dorzucam: - Tatko cię pozdrawia. - Oczy matki się zwięzają, ja zaś sięgam do tylnej kieszeni i wyjmuję wyszmelcowany kawałek papieru, teraz starannie złożony we czworo. Częściowo wyprasowałam go tyłkiem podczas tych wielu godzin spędzonych za kierownicą. - Przesyła ci liścik.

Matka patrzy na papier, a przez jej twarz przebiega cała gama emocji, jakbym najpierw wyczarowała królika z kapelusza, a teraz ten królik zaczął sikać na podłogę.

Wyciągam kartkę w jej stronę.

- Nie będę tego czytać - oświadcza tonem sugerującym, że już sam pomysł przekazania jej czegokolwiek uważa za uwłaczający.

Macham szeleszczącym papierem, ona jednak stoi jak wmurowana i najwyraźniej nie zamierza wziąć go do ręki. Wobec tego zaczynam się rozglądać, gdzie mogłabym położyć wypociny ojca. To bardzo duży pokój w kolorach oceanicznej plaży - pięćdziesięciu odcieniach błękitu, przelamanego tu i ówdzie piaskowym beżem. Za matką widnieje stół solidnych rozmiarów, a przy nim dwa krzesła ustawione

naprzeciwko siebie. Na blacie, pomiędzy dwoma zapalonymi świecami, leżą starannie złożone karty do tarota. Frontowa część tego pokoju jest czymś w rodzaju minisklepu. Przy oknach stoją ażurowe półki, a na nich biżuteria i albumowe wydania książek na sprzedaż. Tuż przed sobą mam drewniane schody o ciężkich, toczonych tralkach. Za schodami, pośrodku pokoju, pomiędzy strefą minisklepu a stołem, przy którym wróży matka, znajduje się mała sofa, w komplecie z podnóżkiem i niedużym fotelem o odchylanym oparciu. Wzdłuż przeciwległej ściany ciągną się regały, wypełnione po brzegi książkami. Podchodzę do nich i kładę kartkę obok kilku tomów, które na pierwszy rzut oka wydają się dziełami zebranymi fane Austin.

- Obiecałam, że przekażę ci ten list - oznajmiam. - Co z nim zrobisz, to już nie moja sprawa.

Nie wspominam o dziewiątym kroku, ani o tym, jak bardzo ojcu zależy, żeby poznała treść jego przeprosin. Jeżeli waha się, czy to zrobić, taka informacja natychmiast przeważałaby szalę na nie. Właśnie świadomość, jak bardzo ojciec chce, bym przeczytała ten list, sprawiła, że powstrzymywałam się od tego przez całe dni i noc, i kilka tysięcy kilometrów. A kiedy w końcu spojrzałam na treść, zakończyłam lekturę na nagłówku.

Podejrzewam, że w wypadku matki sprawy mają się nieco inaczej. Gdybym ja dostała list od Thoma Grandeeego, nawet po stu latach od tej chwili, już bym się na niego rzuciła. Małżeństwo to skomplikowany układ i wiadomość od ojca działa na matkę w jakiś podstępny sposób. Spod wielu warstw ubrania i zza kurtyny ciemnych włosów zaczyna się wyłaniać cień tej kobiety, która co noc kładła mnie do łóżka. Która szykowała mi kanapki z mielonką i podwójną musztardą, bo tak lubiłam najbardziej. Ta kobieta ukradkiem zerka teraz na kartkę od ojca.

- On ma się nie najgorzej - oznajmiam tonem sugerującym odpowiedź na pytanie, chociaż nikt mnie o nic nie pytał. - Dostał odznakę za pięć lat w trzeźwości. AA.

Unosi brwi, a potem przesuwa dłońią po czole, jakby fizycznie chciała usunąć z twarzy wyraz jakiegokolwiek zainteresowania. Widzę

jednak, że ilekroć odnoszę się do przeszłości, obraz mojej prawdziwej matki coraz bardziej się wyostrza.

Dokręcam więc mocniej śrubę.

- Widziałam, co było na ścianie pod obrazem ze statkami. Widziałam, że wypisałaś moje imię, widziałam znaki. - Po raz kolejny wytrącam ją z równowagi, ona jednak wciąż milczy. - Ja wiem, mamu - dodaję.

To ostatnie słowo to dla niej za dużo. Mnie ono też obezwładnia, to straszne, zniechęcające słowo, którego nie wypowiadałam od ponad dwudziestu lat. Teraz matka nie jest w stanie na mnie spojrzeć. Szybko łapie ustami powietrze.

- Co się wtedy wydarzyło? - pytam, ponieważ nadszedł na to czas. Żeby usłyszeć odpowiedź, przejechałam niemal przez cały kraj. Naturalnie, chcę się dowiedzieć jeszcze o wiele więcej: jak mnie odnalazła i od kiedy zaczęła szpiegować, skąd wystraszyła te święte Cecylie i co sobie wyobrażała, gdy na Ranczu Cadillaców zostawiła mi instrukcje praktycznie nie do odkodowania. Chcę też usłyszeć, która karta na lotnisku upadła kolorem do góry lub inaczej - dlaczego matka się wówczas zatrzymała w miejscu, mimo że najchętniej natychmiast by uciekła, co bezsprzecznie zdradzała mowa jej ciała. Ale oczywiście to pierwsze pytanie zaćmiewa wszystkie pozostałe.

Bo to ono mnie nurtowało przez cały czas podróży, kazało tworzyć w głowie fantastyczne scenariusze, godne najgłupszej opery mydlanej, mające wyjaśnić, czemu ta kobieta opuściła mnie tak nagle. Wyobrażałam sobie, że doznała urazu głowy i zapadła na amnezję, że była świadkiem mordu mafijnego, że została porwana. Ani razu nie wymyśliłam wersji, w którą byłabym gotowa uwierzyć, i teraz, gdy już tu jestem, chcę od matki tylko jednego: żeby mi podała powód, który mogłabym zrozumieć. Ponownie przejmuję inicjatywę.

- Kiedy opuszczając Fruiton, praktycznie niczego ze sobą nie zabrałaś. Nawet tych osiemdziesięciu dwóch dolarów, które znalazłam w starym, czarnym botku. Co się wydarzyło? Dlaczego wyjechałaś beze mnie?

Wbija wzrok w podłogę. Mija czas. Upływają kolejne minuty. Jedna po drugiej.

Gret wchodzi z powrotem do pokoju i natychmiast zwiesza ogon. Omija matkę szerokim łukiem, na ugiętych łapach. Siada przy mojej nodze i wygląda na mocno zatroskaną. Gruba Gretel, która miłośnie wylizalaby twarz Attyli i ochoczo pobawiła się frisbee z Kubą Rozpruwaczem, ta sama Gretel nie lubi mojej matki. Matka spod oka spogląda na moją psinę i natychmiast się orientuje, że niechęć jest obopólna.

Po chwili przyciska rękę do piersi, czystą siłą woli zmusza serce do zwolnienia rytmu. Bierze głęboki oddech, jakby właśnie miała rozpocząć ćwiczenia jogi. Potem jeszcze jeden. Kiedy w końcu przenosi na mnie wzrok, jej oczy są puste i błyszczące niczym szklane kulki do gry. Patrzy wprost na mnie i mówi beznamiętnym głosem:

- Tamtego dnia poszłam na mszę i zostałam nawiedzona przez świętą. Doświadczyłam czegoś... w rodzaju wizji. Usłyszałam, że muszę natychmiast wyjeżdżać.

To jest jak policzek. Przejechałam niemal pięć tysięcy kilometrów, żeby zadać jedno pytanie i usłyszeć rzetelną odpowiedź. Tymczasem zostaje uraczona jakąś beznadziejną metaforą. Do tej pory już zdołałam się zorientować, że musiała uzyskać pomoc od tych świętych Cecylii. Ale z pewnością nie dowiedziała się o ich istnieniu w rezultacie mistycznego objawienia. No i owa metafora nie wyjaśnia, do cholery, dlaczego pozwoliła się wywieźć bez dziecka.

- Czemu łziesz? - pytam.

Matka jednak dalej nadaje na identyczną nutę tym samym beznamiętnym, niemal znudzonym tonem:

- Kazała mi natychmiast ruszać w drogę i nigdy nie oglądać się za siebie. Powiedziała...

- Przestań kłamać, do kurwy nędzy! - przerywam jej bez pardonu.

Przyjmuje mój wybuch z idealną obojętnością. Teraz już całkowicie panuje nad sytuacją. Potrząsa lekko ramionami, jakby zrzucała z siebie kapek, i rusza w stronę schodów. Bierze moją torbę w rękę i mówi:

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

- Dlaczego wyjechałaś beze mnie? - naciskam.

Zaczyna wspinać się po stopniach, powoli, jakby dokuczały jej kolana, po czym rzuca przez ramię:

- Nikt z moich przyjaciół nie wie, że mam córkę, Rose Mae. Zachowaj dyskrecję, proszę. Nie chciałabym zostać zmuszona do udzielania wyjaśnień czy tłumaczenia się przed kimkolwiek.

Ruszam za nią, a za mną Gretel. Moja psina bardzo pilnuje, że-
bym przez cały czas odgradzała ją swoim ciałem od matki. Nie odzy-
wam się słowem. Nie mam teraz nic do powiedzenia. Nie pytam nawet,
czy jej przyjaciele nie będą się dziwić, że dzieli mieszkanie z jakąś ob-
cą kobietą. Nie pytam, bo znam odpowiedź. Tutaj zawsze jeden po-
kój zajmuje jakaś obca kobieta żywiąca nadzieję, że zdoła się wywikłać
z układu, który jest mariażem mieczy.

Matka wspina się z wolna po stopniach, tacha moją torbę i przy
okazji udziela mi objaśnień tonem znudzonego przewodnika wycie-
czek:

- Kuchnia znajduje się za tym przejściem. Jak poczujesz głód,
sięgnij do lodówki. Zazwyczaj przyrządzam gorącą kolację, chętnie
będę gotować dla dwóch osób, jeżeli zechcesz się do mnie przyłączyć.
Naprzeciwko kuchni, pod schodami, jest mała toaleta. - Dociera do
szczytu schodów, a mnie pozostaje tylko dalej za nią podążać. - Tam
jest moja sypialnia. - Wskazuje na zamknięte drzwi na końcu koryta-
rza. - Obok łazienka. A tutaj twój pokój.

Otwiera drzwi usytuowane dokładnie na wprost schodów. Tym ra-
zem wyraziła się precyzyjnie. To rzeczywiście JEST mój pokój. Wy-
pisz, wymaluj.

Wąski tapczanik i szafka z nocną lampką zostały umieszczone po
prawej stronie - dokładnie w tym samym rogu, który podobne sprzęty
zajmowały w moim pokoju z lat dzieciństwa. Toaletka stoi naprzeciw-
ko wygodnego fotela i podłogowej lampy, również tak samo jak w Fru-
iton. Matka pozostała na tyle wierna oryginałowi, że nawet postawiła
biurko i krzesło przy oknie, jakby osoba tu zamieszkująca miała odra-
biać lekcje w domu. Meble mają najprzeróżniejsze wykończenie - od

jasnego klonu, po ciemne drewno czereśniowe - a te w Fruiton były wszystkie białe, wiklinowe, niemniej ustawienie jest identyczne.

- Jasny szlag! - wrywa mi się mimo woli. - Zrobiłaś to celowo?

Unosi pytająco brwi. Nie ma pojęcia, o czym mówię. Być może ja też bym nie zaskoczyła, gdybym wcześniej nie pojechała do rodzinnego domu. Okazuje się, że oboje - i ona, i ojciec - żyją w sanktuariach, które wzniesli na pamiątkę życia, które sami albo zniszczyli, albo porzucili.

- Niech zgadnę - odzywam się znowu. - Święta, która ci się objawiła w tej „wizji”, to była Cecylia. - Tylko minimalnie rozszerza oczy, ale udaje mi się to wychwycić. Dlatego nie odpuszczam. - O, tak. Pojechałam na Ranczo Cadillaców. Widziałam twoje przesłanie. Gdybym poszła do RODEO!, gdybym się zgodziła na wasz system przerzutu, to w końcu właśnie tutaj bym wylądowała, prawda?

Stanowczo, chłodno kręci głową.

- Wykluczone. Nigdy nie trafiłabyś do miejsca w jakikolwiek sposób powiązanego z twoją przeszłością. Jestem ostatnią osobą, u której byś się znalazła.

- Bo to wbrew regułom, hm? Cóż, przyjechałam z własnej inicjatywy. Zasady Cecylii mnie nie dotyczą. Twoje własne również.

Patrzy na mnie zatroskana.

- Tak, chyba rzeczywiście cię nie dotyczą. Jednak Parker i moi pozostali przyjaciele uznają to za niezwykle. Proszę więc, byś wyświadczyła mi tę uprzejmość i przynajmniej udawała, że się stosujesz do reguł.

Jej formalny sposób wysławiania się zaczyna mnie męczyć.

- Jedną już złamałam. - Stawiam torbę na tapczanie i wyjaśniam: - Mam tutaj stary rewolwer dziadka i zamierzam go zatrzymać.

Ledwo wypowiadam te słowa, obojętność znika z jej twarzy, natomiast w oczach pojawia się błysk zachłanności. W końcu doszliśmy do kwestii, która ją od początku nurtowała. Tak bardzo chce wydobyc ode mnie pewne informacje, jak ja chciałam usłyszeć, co się wydarzyło tamtego dnia, gdy mnie porzuciła. Prostuje ramiona i przyciska dłoń do ust.

- Rewolwer dziadka? - powtarza stłumionym głosem i podchodzi krok bliżej. - Czy to... czy tak to rozwiązałaś?

- Co niby miałam rozwiązać?

Nie udzieliła mi odpowiedzi na najważniejsze pytanie, mam więc nadzieję, że w końcu będę mogła jej odplacić pięknym za nadobne. W tej chwili bardzo chce się czegoś ode mnie dowiedzieć. Z wielką ochotą posłucham, o co chodzi, żebym potem mogła ją bezpardono-wo spławić.

- Czy zamiast skorzystać z pomocy Cecylii, rozwiązałaś problem męża w inny sposób? Użyłaś do tego czterdziestki i pięćdziadka?

Kiedy wreszcie pojmuję, co jej chodzi po głowie, nie mogę się powstrzymać od szerokiego uśmiechu. Ogarnia mnie niemal ekstatyczna radość. Patrząc jej w oczy i oznajmiam całkiem szczerze:

- Mamo, czyś ty postradała zmysły? Nie zabiłam swojego męża!

Próbuje przełknąć ślinę, ale zaczyna się krztusić. Twarz jej się wykrzywia, ręce zaciskają w pięści; wpada w autentyczną furję.

- O, nie, Rose Mae! Tylko mi nie mów, że ten człowiek, którego poślubiłaś, wciąż chodzi po tej ziemi!

- Nie Rose, lecz Ivy - szczebioczę słodko. Jakże to rozkoszne uczucie: ona czegoś ode mnie chce, a ja jej tego nie mogę dać. - Teraz jestem Ivy Rose Wheeler. Ostatecznie, mam, to ty mi powiedziałaś, że muszę wybierać: albo on, albo ja. Dokonałam więc wyboru. Pogrzebałam Rose Mae.

Teraz ogarnia ją nowe uczucie, zupełnie innej kategorii niż niepo- hamowana złość. Jej skóra powleka się woskową bladeścią, oczy zaczynają błyszczeć jak w gorączce. Głos nabiera głębi, a każde dobitnie wypowiedziane słowo płynie wprost z przepony.

- Rose Mae, dziecko, jak mogłaś być tak bezmyślna i tu przyjechać? Powinnaś była skorzystać z systemu zorganizowanego przerzutu, na Boga. Czy doprawdy sądzisz, że można oszukać przeznaczenie? Że to takie proste? Teraz to zupełnie nieistotne, czy będziesz przestrzegać moich zasad, czy też całkiem je zignorujesz. Żaden ruch z twojej strony niczego nie zmieni, dopóki twój mąż pozostaje wśród żywych.

- Cofa się do wyjścia, kładzie rękę na gałce w drzwiach. - Między tobą i Thomem Grandeem sprawa w żadnym razie nie jest zakończona.

Jej słowa są złowieszczą przepowiednią, Eliaszową klątwą, która ściągnęła krwiożercze niedźwiedzie. Wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Pozostaje sama w bładniebieskim pokoju, który urządziła na wzór i podobieństwo mojego.

Rozdział 15

Zachowuję się jak rozzłoszczona pięciolatka: wstrzymuję oddech, aż stoję się tak sina na twarzy, że niemal zlewam się z błękitem ścian tego domu. Odymam się i milczę ostentacyjnie, tyle że nie mam już pięciu lat, lecz niemal trzydzieści, więc nie pękam po dziesięciu minutach, nie biegnę do matki i nie wyplakuję się jej w spódnice. Za to kręcę się cały czas po tym pomieszczeniu, w którym ona aktualnie przebywa, i dotykam wszystkich jej rzeczy.

Przez całe przedpołudnie przychodzą umówieni klienci - maniacy kryształów i egzaltowani wyznawcy New Age - by wysłuchać przepowiedni tarota. Ilekroć odzywa się gong przy drzwiach, matka prosi mnie w uprzejmej i bardzo oficjalnej formie, żebym zechciała iść do swojego pokoju. Wówczas, choć rozsadza mnie wściekłość, grzecznie maszeruję na górę, zamykam za sobą drzwi i w ciszy czytam powieść Barbary Kingsolver, którą wcześniej tutaj przyniosłam. A kiedy słyszę, że klient wychodzi, wsuwam zakładkę między strony i schodzę na dół, po czym uparcie i spektakularnie ignoruję matkę.

Ma mnóstwo klientów, którzy w większości są również jej przyjacielami. Wspinając się po schodach, słyszę serdeczne powitania, odgłosy cmokania i uścisków. Nikt nie jest zdziwiony widokiem mojego znikającego tyłka. Nikt nie jest zainteresowany zawarciem ze mną znajomości. Przypuszczam, że każdy chce się najpierw przekonać, czy nie wylecę stąd już po paru dniach. Nie ma sensu się zaprzyjaźniać z kolejną Lilą. Ponieważ mój pokój znajduje się dokładnie na wprost schodów, słyszę wyraźnie odgłosy dochodzące z dołu. Mogłabym zostawić drzwi uchylone i podsłuchiwać, ale bardziej mnie ciekawi treść czytanej powieści niż bzdurne wyroki losu wymyślane na oczekaniu przez matkę.

Gdy wychodzi klientka z jedenastej trzydzieści, matka włącza czerwony neon wyobrażający otwartą dłoń. Belgia to ruchliwa ulica.

Nie mija piętnaście minut, a już do drzwi dzwoni przygodny suplikant, pragnący poznać swoją przyszłość. Nie mam okazji obejrzeć tego klienta prosto z ulicy. Matka nie otworzy drzwi, dopóki nie zamknę się w swoim pokoju.

Może się obawia, że osoba właśnie naciskająca na guzik dzwonka okaże się moim mężem, który chce mnie zabić. Thom Grandee wchodzący do środka z kluczem francuskim w rękę? Cóż za idiotyczny pomysł. On ściga swoją Ro, a jej tutaj nie ma. Nie byłaby zresztą mile widzianym gościem w tym domu. No i gdyby Thom rzeczywiście poszukiwał mnie w Berkeley, z pewnością nie czekałby grzecznie na ganku.

Podczas naszego wspólnego lunchu, spożywanego w milczeniu, kolejny klient zostaje zwabiony przez neon. Jestem w połowie grzanki zapiekanej z serem, ale i tak zostaję relegowana do swojego pokoju. Słyszę, że matka otwiera drzwi, ale po krótkiej wymianie zdań szybko je zamyka i na parterze zapada cisza. A więc drugi przygodny klient z jakiegoś powodu nie przeszedł etapu kwalifikacyjnego.

Otwieram drzwi i widzę matkę idącą na górę z koszem świeżo wypranych ubrań. Mija mnie bez słowa i kieruje się do swojego pokoju. Ostentacyjnie zamyka za sobą drzwi, ale ja i tak przechodzę na koniec holu i pakuję się do środka. Stoi obok wielkiego łóżka, zwrócona do mnie twarzą. Rzuciła stertę kolorowych, bawełnianych strojów na kapę w oceanicznych barwach i teraz je składa. Kiedy wchodzi, zaciska wargi, ale nie każe mi się wynosić. W jej pokoju i w całym domu dominują błękitne odcienie. Jest dużo większy od mojego, ale nie tak widny, ponieważ w oknach wiszą ciężkie zasłony.

Podchodzę bliżej, staję po drugiej stronie łóżka. Na nocnym stoliku matka zebrała całkiem pokaźną menażerię z dmuchanego szkła. Zaczynam przebierać w przezroczystych figurkach, znudzona. Rekiny spoczywają obok fok, jagnięta tulą się do lwów: stworzyła tutaj istny raj. Chwytam brutalnie jednorożca i mocno pocieram palcem jego idiotyczną girlandę z niebieskich róż.

- Masz pecha, biedaku. Tutaj nie znajdziesz żadnych dziewic - oznajmiam współczująco.

- Ostrożnie, Rose. To jest bardzo delikatne - napomina mnie matka surowym, rodzicielskim tonem.

- Mam na imię Ivy - mówię do jednoroźca i kładę go na grzbiecie, jak gdyby był zdechlakiem, który właśnie wyciągnął kopyta.

Mirabelle jeszcze mocniej zaciska usta. Zostawia resztę bluzek, żeby się gniotły na łóżku, opuszcza pokój i schodzi na dół.

Natychmiast ruszam za nią.

Siada za stołem i zaczyna tasować karty. Przeprosiny wciąż leżą się na półce, starannie złożone we czworo, dokładnie naprzeciwko *Perswazji*. A tymczasem dałabym sobie głowę uciąć, że znajdowały się bliżej *Rozważnej i romantycznej*. Wątpię, czy matka przeczytała wypociny ojca, ale niewykluczone, że uniosła kartkę i odłożyła z powrotem w nieco innym miejscu, lub przynajmniej z niechęcią przesunęła ją palcem. Świadomość, że ta kartka tu leży, burzy jej spokój.

I dobrze.

Przechodzę na drugi koniec pokoju, zaczynam się bawić artykułami wystawionymi na sprzedaż w minisklepiku. Misa, pełna wypolerowanych kawałków różowego kwarcu, dzieli półkę z medalikami świętego Krzysztofa. Kryształowe kule, bez żadnego ironicznego podtekstu sąsiadują z ręcznie rzeźbionymi, drewnianymi różańcami. Są tu również wystawione talie tarota oraz podręczniki stawiania tych kart. Talie leżą obok wotywnych świec z niewyraźnymi wizerunkami świętych, wytrawionymi w szklanych rurkach, wypełnionych pachnącym woskiem.

Biorę w rękę świętego Judę i spoglądam na metkę. Dwadzieścia dolców to mocno wygórowana cena, no ale ostatecznie to MAGICZNE świece. Tak w każdym razie głosi naklejka. Na szkle, po przeciwnej stronie w stosunku do obrazka świętego, zostały wydrukowane słowa ni to modlitwy, ni zaklęcia. Odkładałam Judę, przebieram w pozostałych świecach i odnajduję całą grupę jego mniej znanych przyjaciół: Ekspedyta, Łucję, Dzieciątka z Atochy Wszyscy oni opuścili łono Kościoła i przeszli na stronę voodoo.

Mirabelle wciąż tasuje karty i przygląda mi się spod oka. Ja natomiast wybieram następną świecę. Święta Łucja. Zaklęcie na szkle ma

nakłonić świętą, by wyjawiała ukrytą prawdę lub zdemaskowała kłamcę. Demonstruję matce swoją jakże użyteczną zdobycz z wdziękiem Vanny White. Ostentacyjnie odwraca wzrok. Ja zaś wsuwam Łucję pod pachę i kontynuuję zakupy.

Właśnie zdecydowałam się na piękny różaniec z zielonych, ręcznie toczonych koralików, gdy znowu odzywa się dzwonek przy drzwiach. Przybył następny klient. Matka otwiera usta, żeby mnie odesłać na górę, ale do tej pory już przyswoiłam sobie dryl. Bez słowa ruszam do swojego pokoju. Odkładam na bok świecę i różaniec, zaczynam szukać zapalek. Znajduję je w szufladzie biurka - stare pudełko, zabrane z jakiegoś hotelu, wciśnięte za niebieską papeterię i garść długopisów. Po chwili się przekonuję, że nawet tusz w tych cholernych długopisach jest niebieski.

Przez cały dzień przestrzegam reguł. Nie wracam do męża. Nie ćpam. Do nikogo nie strzelam. Nie wysuwam nosa poza cztery ściany domu. Wypuszczam Gret na dwór kuchennymi drzwiami, żeby mogła się wysikać lub pobawić z pozostałymi psami, ale ani razu nie przekraczam przy tym progu.

Gretel spędza popołudnie w towarzystwie Bucka, Cesara i Miss Moogle, ale kiedy w zwyczajowej porze jej kolacji idę do kuchni, słyszę drapanie do drzwi. Wpuszczam do środka moją psinę i nachylam się, by podrapać ją za uszami. Dobiaża mnie silny zapach curry. A więc, korzystając z kłapy dla psów, wśliznęła się do Parkera, kiedy szykował sobie posiłek. Przykucam, głaszczę ją po głowie i pouczam z powagą:

- To bardzo niegrzecznie.

Sapie mi prosto w twarz; w jej oddechu także wyczuwam curry. A więc Parker zachęcał moją Gret do niecznych czynów.

Do swojej kolacji zasiadam w towarzystwie matki. Podaje zęba-cza smażonego w panierce z mąki kukurydzianej, podsmażane ziemniaki i zielony groszek suto oblany masłem. Fakt, po drodze pozbyła się akcentu, ale wciąż gotuje jak kobieta z Południa. Jemy kolację i boczymy się na siebie po dwóch stronach solidnego, drewnianego stołu,

okupującego środek niebiesko-kremowej kuchni. Jesteśmy w połowie posiłku, gdy dociera do mnie, że matka wcale nie próbuje podjąć rozmowy. Do tej pory naiwnie sądziłam, że to ja narzuciłam tę ciszę. Aż tu nagle się okazuje, że druga strona równie zawzięcie milczy. Natychmiast nabieram perwersyjnej ochoty na drobny słowny sparring.

- A więc, co tak naprawdę się wydarzyło tamtego dnia, gdy opuściłaś Fruiton? - pytam zdawkowym tonem, jakbym w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w ogóle nie poruszała tego tematu. No najwyżej z moją psiną lub szklanym jednoróżcem.

Matka zaciska usta, oczy jej się zwężają. Przekrzywia głowę i recytuje swoją irytującą śpiewkę, jakby odmawiała katechizm.

- Poszłam na mszę, a potem do spowiedzi. Modliłam się gorąco i zostałam wysłuchana. Objawiła mi się święta Cecylia, od niej usłyszałam...

Prycham kpiąco w sposób zupełnie nieprzystający damie - i robię to z pełnym rozmysłem. Po czym mówię:

- Cecylie. Liczba mnoga, mamo. To grupa aktywistów, nie świętych. Chcesz mi powiedzieć, że na tę przejażdżkę nie sprzedają biletów dla dzieci? Trzeba osiągnąć określony wzrost, żeby się załapać?

Patrzy na mnie gniewnie, ale nieco zmienia płytę.

- Modliłam się. Zostałam wysłuchana. I musiałam natychmiast ruszać w drogę.

Ta odpowiedź też wydaje się wyreżyserowana, wielokrotnie przećwiczona - jakby matka powtarzała w duchu te słowa od lat. Ale chyba nie dość często. Bo nawet sama nie wierzy w to, co mówi. Gdy jednak zmienia temat, w jej głosie pobrzmiwa już niezachwiana pewność.

- On wpadnie na twój trop. Przyjedzie tutaj i zabije cię w moim domu.

Wzruszam ramionami z wystudiowaną obojętnością.

- Wobec tego powinnaś się cieszyć, że masz podłogi z tekowego drewna. Łatwo się je zmywa.

Trzaska sztućcami o stół.

- Przestań.

Wreszcie zacznę pojmować, czemu przez cały dzień tak się na mnie wścieka. Chodziło o Thoma. Wydała mi polecenie, a ja bezcerebralnie je zlekceważyłam. Poprzednio do czegoś podobnego doszło wtedy, gdy miałam osiem lat i usłyszałam, że muszę posprzątać swój pokój. Ja jednak wolałam wleźć pod koc i poczytać od nowa *Pajęczynę Charlotty*. Kiedy matka weszła i zobaczyła, że jej nie posłuchałam, założyła mi szlaban. Teraz w pewnym sensie sytuacja się powtarza - też nie mogę się ruszyć z domu na krok.

Kończymy kolację i rozchodzimy się do łóżek, każda pogrążona we własnym gniewnym milczeniu.

Drugi i trzeci dzień przebiega mniej więcej tak samo. Każdego wieczoru, przy kolacji, odgrywam Bestię, obsadzając matkę w roli Pięknej: w kółko zadaję to samo pytanie, chcę wiedzieć, dlaczego odeszła beze mnie. Ona upiera się przy swojej wersji: objawiła jej się święta i kazała natychmiast samotnie opuścić miasto. Ilekroć to słyszę, jedzenie staje mi kością w gardle.

O poranku czwartego dnia adrenalina ze mnie opada. Trudno utrzymać się w stanie wrzenia przy tak strasznej monotonii, nieznośnej powtarzalności minut. Matka czeka przy stole na klienta, a ja znowu się kręcę po jej mikroskopijnym sklepiku. Teraz już praktycznie znam asortyment na pamięć. Podchodzę do żaluzji i wyglądam na ulicę.

Lila powróciła. Stoi przy furtce, w błagalnym geście zaciska ręce na ogrodzeniu i tęsknie patrzy na dom matki. Jestem tak niemilosierdzie znudzona, że może byłabym nawet skłonna się z nią zamienić.

- Odejdź od okna, Rose Mae - zarządza matka.
- IVY - rzucam przez ramię i nie ruszam się z miejsca.

Lila mnie zauważa, a przynajmniej dostrzega zarys mojej sylwetki.

- Mirabelle! - zaczyna zawodzić rozpaczliwie. - Mirabelle!

Słyszę, że matka wstaje od stołu. Porusza się bardzo szybko, w kilku krokach się ze mną zrównuje, łapie za sznurek i spuszcza żaluzje. Drewniane listwy klekoczą jak kastaniety Stoimy obok siebie, za cały widok służą nam maleńkie szparki w listwach, a mimo to wolimy wpatrywać się w owe szparki niż patrzeć na siebie nawzajem.

- Powinnaś wyjść i z nią porozmawiać - orzekam.
- Dlaczego? - pyta sucho. - Czyżbyś już nie potrzebowała pokoju?

Rozchyłam listwy palcem i znowu spoglądam przez okno. Widzę Parkera i ciągnącą za nim sforę rozbrykanych psów. Wśród nich kuśtyka Gretel. Parker ma na sobie wymiętą, bardzo spłowiła koszulę i czarne, bawełniane spodnie majtające się luźno wokół kostek niczym dół od piżamy. Ten facet powinien otrzymać oficjalny zakaz samodzielnego doboru odzieży. Idzie w stronę Lily tym swoim krokiem Shaggy'ego, mocno przygarbiony, by wydawać się niższy, niż jest w istocie, i trzyma ręce wyraźnie na widoku.

- Odejdź od okna - powtarza matka.
- Czy on pracuje?
- Kto? - pyta. A kiedy nie odpowiadam, także rozchyła listwy żaluzji i wygląda na zewnątrz. - Ach, tak. Parker wykłada antropologię w Berkeley City College. Ma nienormowany czas pracy.

Teraz obie obserwujemy Parkera. Zatrzymał się w pewnej odległości od ogrodzenia i prowadzi rozmowę z Lilą, która cały czas szlocha i żywo gestykułuje.

- Dlaczego o to pytasz? - odzywa się nagle matka ostrym głosem.
- Ze zwykłej ciekawości. Wydaje się miły. Parska śmiechem, ale zimnym, pozbawionym radości.
- Nie, Rose Mae. Wybij to sobie z głowy.
- IVY.
- Kiedy zjawi się ten człowiek, którego poślubiłaś, pożre Parkera żywcem.
- Powiedziałam jedynie, że wydaje się miły.
- No właśnie - kwituje znacząco.

Parker z powagą pochyla się w stronę Lily. Zapewne ponownie namawia ją na kontakt ze schroniskiem, ponieważ dziewczyna ze złością kręci głową.

- Nigdy nie znałam żadnego miłego faceta - ciągnę w zamyśleniu, głównie dlatego, że moje zainteresowanie Parkerem wyraźnie denerwuje matkę.

- Proszę, żebyś na nim nie eksperymentowała. Jego żona zmarła na raka piersi. Bardzo młodo, jeszcze przed trzydziestką. Byli w sobie szaleńczo zakochani. Straszna tragedia. Miał dość ciężkich przeżyć w życiu, nie potrzeba mu twoich problemów.

Lila się odwraca i niepocieszona odchodzi. Parker wciąż stoi przy siatce i coś za nią woła.

- Kiedy zmarła?

- Jakiś czas temu - odpowiada wymijająco matka.

- To znaczy ile? Rok? - Cisza. - Ponad dwa lata? - Nadal milczy. - Ponad trzy?

Parker odwraca się od ogrodzenia i wyprostowany na całą swoją imponującą wysokość rusza w moją stronę swobodnym, sprężystym krokiem. A więc Shaggy-Doo to kostium, tak często wykorzystywany, że ten facet może go wkładać i strząsać dosłownie w mgnieniu oka. Teraz jestem już naprawdę zaintrygowana, nie tylko dlatego, że drażnię tym matkę.

- Zmarła sześć lat temu. - W końcu, acz niechętnie, udziela mi odpowiedzi. - Ale czy byłoby to sześć miesięcy, czy sześć dekad, w niczym nie zmienia to twojej sytuacji, Rose Mae.

- Ivy - koryguję machinalnie.

Parker wymija schodki prowadzące na ganek. Wygląda na to, że idzie na tyły domu, a za nim biegną cztery rozochoczone psy. Po chwili całe towarzystwo znika z mojego pola widzenia.

- Tak czy owak, do niczego by ci się nie przydał. Od śmierci Ginny żyje w celibacie - matka postanawia zmienić taktykę. Prycham z niedowierzaniem, a wówczas dodaje: - W tym wypadku to eufemizm, Rose Mae.

- Co takiego? Celibat? - pytam, ale po chwili pojmuję, co miała na myśli. - Chcesz powiedzieć, że jest impotentem? - Milczy, co uznaję za potwierdzenie. - Jakże interesujące. Szczególnie to, matko moja, że akurat ty dysponujesz taką wiedzą.

- To mój dobry przyjaciel - oświadcza pruderyjnym tonem. - I mężczyzna zdecydowanie nie dla ciebie.

Odwracam się od okna i patrzę jej prosto w oczy.

- A dla kogo, Mirabelle? Dla kobiety takiej jak ty?

Matka cofa się, urażona i wraca do stołu.

- Nie bądź śmieszna! - rzuca jeszcze przez ramię.

- Ależ bynajmniej. Ostatecznie świetnie się dogadujecie, a on jest całkiem przystojny. Gdy zaś chodzi o to, co u niego nie działa, obecnie są już na to pigułki. Możecie więc...

- Rose Mae! Nie bądź wulgarna! - Siada za stołem i piorunuje mnie wzrokiem znad swoich kart. - Parker jest tak młody, że z powodzeniem mógłby być moim...

Urywa w pół zdania. A i tak słowo, którego nie wypowiedziała, wbija się w moje ciało jak nóż do papieru - cienki i niezwykle ostry prujący trzewia.

Przez chwilę obie w milczeniu gotujemy się z wściekłości. W końcu postanawiam zażyć ją z innej beczki.

- Co będzie, jeżeli złamię twoją zasadę i wyjdę z domu?

- Nie wystawiaj mnie na próbę.

- Mogłabym wyjść do tylnego ogródka, porzucić Gretel piłkę.

- Ależ oczywiście! - Jej złość, od kilku dni tłąca się pod powierzchnią, wreszcie znajduje ujście. - Tylko dlaczego do tylnego ogródka? Do diabła, wyjdź od frontu! Biegnij za Lilą, pochwal się chępliwie, że ty możesz paradować swobodnie po ulicach, podczas gdy jej tego nie wolno było robić. Rzuć to radośnie w twarz tej dziewczynie, ostatecznie nikt nie może ci w tym przeszkodzić. Tańcz i krzycz. Ściągnij na siebie powszechną uwagę. Czemu nie miałabyś ułatwić sprawy temu mężczyźnie, który wkrótce się tu zjawi? Pomóż mu. Koniecznie. Niech cię bez problemu odnajdzie i ukręci ci szyję jak kurczęciu.

Matka aż trzęsie się ze złości. Jestem zdumiona, bo w chwili wzburzenia znowu wychodzi z niej kobieta z Południa. Piorunujemy się nawzajem wzrokiem i nagle tę naładowaną elektrycznością, nieprzyjemną ciszę przerywa łagodny gong przy drzwiach.

Ten dźwięk jest bardzo nie na miejscu. Matka porusza się niespokojnie. Obie spoglądamy na okno: przez szczeliny w listwach żaluzji

sący się czerwone światło neonu. Nie został wyłączony i przyciągnął jakiegoś klienta z ulicy.

- Czy mam otworzyć? - szczebiocę słodko niczym stewardesa oferująca zziębniętemu pasażerowi koc. Stoję obok półek z artykułami sklepowymi, dość blisko wejścia. Doskakuję do drzwi i kładę rękę na gałce, głównie po to, żeby podrażnić matkę, która natychmiast podrywa się zza stołu.

- Nie, Rose Mae! - grzmi tonem pomniejszego biblijnego proroka.

- Na rany Chrystusa, Claire, czy doprawdy nie możesz przyjąć do wiadomości, że mam na imię Ivy?

Nie słucha. Rusza w moją stronę, chce mnie powstrzymać. Obracam się na pięcie i otwieram drzwi. Na oścież.

Na ganku stoi dwóch młodych wojskowych. Są bez mundurów, ale zdradza ich podgolona fryzura. Marynarka, może piechota morska. Jeden - niski, barczysty o zaciętej, płaskiej twarzy - na mój widok syczy przez zęby:

- Alleluja!

Drugi jest wysoki, chudy i wygląda na nieopierzonego wyrostka. Ma gładką cerę i szczenięczo ufne, brązowe oczy, które teraz wlepia w podłogę. Chwieje się lekko, jakby ganek falował pod jego stopami niczym pokład łodzi. Obaj mężczyźni obficie się pocą, wydzielając ostry zapach chmielu i tequili.

Ten o płaskiej twarzy próbuje wpakować się do środka.

- Jak masz na imię, złotko? - pyta.

Odchylam się do tyłu.

- Mam wrażenie, że pomyliliście domy.

Wysoki dzieciak wykrzywia usta w uśmiechu, który jest komicznie lubieżny. Przepycha się za kolegą i teraz obaj wypełniają szczelnie drzwi.

- Chcemy sobie powróżyć z ręki.

Kręcę głową i odpowiadam łagodnym tonem:

- Nie chłopcy, nie tego chcecie.

Temu o płaskiej twarzy wydaje się to zabawne. Prze jeszcze bardziej do przodu.

- Ty, złotko, możesz przepowiedzieć mi przyszłość - mówi do moich cycków, jakby wierzył, że one wiedzą, co go czeka.

Wysoki uśmiecha się jeszcze szerzej, jest pijany, ale nieszkodliwy. Natomiast jego kolega ponownie pcha się do przodu tak nachalnie, że aż się cofam. Od razu niweluje dzielący nas dystans i już znajduje się za progiem. Przyjaciel postępuje z nim krok w krok, ale on się nie liczy. Problem stanowi ten niski facet o byczym karku, który chwyta się teraz za krocze i wodzi oczami po moich piersiach, talii, biodrach. Znowu się cofam, gwałtownie, niemal potykając się o najniższy stopień schodów. Wskakuję na ten schodek, żeby nie paść jak długa. Wysoki wyrostek zamyka za sobą drzwi od środka.

Matka sunie przez pokój i odgradza mnie swoim drobnym ciałem od marynarzy.

- Rose Mae. Idź na górę.

Tym razem jej nie koryguję, tylko posłusznie wypełniam polecenie. Chcę ulotnić się jak najszybciej. Ogarnia mnie strach - tylko głupiec nie bałby się w tej sytuacji. Ale jednocześnie czuję podniecające mrowienie, adrenalina zaczyna krążyć w moich żyłach i już nie jestem znudzona. O, nie. Rose Mae Lolley odżywa na nowo. Wchodzę tyłem po schodach, oczy zaczynają mnie dziwnie palić, jakbym nagle dostała gorączki. Patrzę na niskiego kolesia, a mój drapieżny uśmiech wiele mu obiecuje, choć niekoniecznie to, czego on się spodziewa.

Matka wciąż stoi między nami, blokuje dostęp do schodów. Jest równie drobna jak ja. Ten facet góruje nad nią jak potężny, złowieszczy cień, niemniej jej słowa zatrzymują go w miejscu.

- Nie tak szybko, marynarzu. Za przyjemność trzeba zapłacić. Tymczasem usiądź przy stole. - Ogląda się przez ramię i widzi, że jeszcze nie dotarłam do podestu. - Rose. Idź. Na górę.

Odwracam się i wbiegam do pokoju. Rewolwer dziadunia leży w szufladzie nocnego stolika. Szybko go wyjmuję. Dobrze znany kształt idealnie wpasowuje się w moją dłoń i od razu nabieram pewności siebie. Wprawnie ładuję bębenek.

Szybko ściągam buty i zostaję w samych skarpetach. Niemal bezgłośnie wychodzę na podest. Z dołu dobiegają słowa matki.

- ...dwieście dolarów za pełną wróżbę.

Na lotnisku podała dużo niższą cenę, ale nikt z siedzących przy stole nie myśli teraz o tarocie. Matka udaje, że sprzedaje mój tyłek, choć tak naprawdę próbuje zyskać na czasie. Wiem, że to jedynie wybieg, ale i tak czuję się oburzona, że nie zażądała więcej.

Jestem już przy schodach, gdy Płaska Gęba mówi:

- Ja pierwszy, mamuśka.

Słyszę szelest banknotów, a potem znowu głos matki.

- Rose Mae zawoła, gdy będzie gotowa. Może tymczasem postawię wam karty.

Zaczynam skradać się w dół. Wysoki dzieciak wybucha nerwowym śmiechem, a Płaska Gęba rzuca od niechcenia:

- Czemu nie.

Jestem w połowie schodów i teraz już mogę zobaczyć, co się dzieje w pokoju. Dwaj marynarze siedzą przy stole, zwrócenie do mnie plecami. Matka siedzi naprzeciwko i tasuje karty. Nie zapaliła świec. Jest błada, a napięcie w okolicy ust jasno wskazuje, że boi się nawet bardziej ode mnie.

- Jak macie na imię? - pyta.

- John Smith - odpowiada twardziel.

- Jamie - mamrocze ten drugi, który nie stanowi problemu.

Teraz od parteru dzielą mnie jedynie cztery stopnie. Unoszę broń i biorę na muszkę tył głowy twardziela. Matka podnosi oczy znad kart i dostrzega mnie ponad jego ramieniem. Przez jej twarz przemyka wyraz ulgi. Odkrywa pierwszą kartę i mówi:

- Cóż, Johnie Smith, widzę syfdis.

Odkrywa następną.

- A teraz kiłę. Karty wyraźnie mówią, że czas, abyś przestał zadawać się z dziwkami.

- Ty suko! - warczy Płaska Gęba i szurając krzesłem, odsuwa się od stołu.

- Jestem gotowa, Johnie Smith - szczebioczę słodko.

Obraca się na pięcie i spogląda prosto w okrągłe, czarne ślepie rewolweru. Teraz ono przesłania mu wszystko inne. Ja jestem jedynie kolorowym, niewyraźnym kształtem, majaczącym w tle. Mogłabym zdjąć z siebie koszulę, a nawet by nie zauważył moich cycków.

Nagle ponownie odzywa się matka:

- Jamie, kim jest Gloria?

Jamie również wpatruje się w broń - z wybałuszonymi oczami i rozdziawioną gębą. Położył ręce płasko na stole, żebym widziała, że nic nie kombinuje i nie zareagowała zbyt nerwowo. Na dźwięk głosu matki zaczyna trzepotać powiekami, jakby się budził z głębokiego snu.

- Co takiego?

- Kim jest Gloria? - powtarza matka z niezwykłym spokojem.

- Moją małą siostrą - odpowiada, zdębiały.

- Czy twojej małej siostrze spodobałby się, że chodzisz na przepustki z kimś takim jak „John Smith”? A co by powiedziała, gdyby usłyszała, że w tak ohydny sposób wykorzystujesz młode, zagubione kobiety i zarazas się od nich paskudnymi chorobami? - Matka przemawia tonem typowym dla wszystkich matek i Jamie nie wie, gdzie oczy podziać. Nawet nie patrzy już na rewolwer, tylko wbija wzrok w podłogę.

- Skąd... skąd pani zna jej imię? - bełkoce.

- Jestem jasnowidzem, durniu. I właśnie zaczyna mi się objawiać numer jej telefonu... Widzę siódmkę. A także... szóstkę? Nie. Dziewiątkę.

Jamiemu aż dech zapiera z wrażenia, ja zaś oznajmiam, kierując moje słowa do twarziela:

- Myślę, że najwyższy czas, byście już stąd poszli, chłopcy.

John Smith wciąż wpatruje się w rewolwer, ale robi hardą minę.

- W porządku. Tylko oddajcie nasze pieniądze, suki.

Matka sięga po banknoty, ja jednak uśmiecham się słodko i komunikuję:

- Postawiła wam karty, skarbie. Dostaliście to, za co zapłaciliście.

Matka nieruchomieje.

John Smith nie jest już taki przerażony widokiem broni. Teraz wazy swoje szanse: jego krzepa i wyszkolenie wobec dzielącego nas dystansu; jego refleks i szybkość wobec mojej pewności ręki. Jak tak dalek pójdzie, może się poważnie przeliczyć. Bo nie ma pojęcia, kim naprawdę jest Rose Mae Lolley.

- Albo zostańcie - mówię głosem Rose i odwodzę kurek. Zgrzyt metalu przywołuje pełen zadowolenia uśmiech na jej usta. - Zostańcie, proszę. Zróbcie mi tę przyjemność.

Jadowitość tonu sprawia, że John Smith nagle kapituluje.

Ruszają do drzwi - twarżiel pierwszy, za nim Jamie powłóczący nogami, przepelniony wstydem. Wciąż zajmuję dogodne stanowisko strzeleckie na schodach i nie spuszczam z muszki podgolonej głowy Johna Smitha. Dopiero gdy obaj marynarze mnie wymijają i wychodzą gęsiego, opuszczam rękę. Jak tylko znikają za progiem, matka przebiega przez pokój i rygluje zasuwę. Opiera czoło o drzwi i ciężko odycha. Broń cięży mi w dłoni, lufa kieruje się ku podłodze. Przywodzę kurek z powrotem, metal trzaska o metal. Na ten dźwięk matka raptownie zwraca się w moją stronę.

- Kompletnie postradałaś zmysły? - rzuca ze złością.

Ja zaś niemal jednocześnie pytam:

- Co tu się właściwie wydarzyło?

- Podobne sytuacje nieraz się zdarzają. Ponad połowa neonów reklamujących usługi ezoteryczne to przykrywka dla burdeli. Kiedy ja otwieram drzwi, klienci natychmiast się orientują, że nie trafili do domu cielesnych uciech. Ale ty, w koszuli rozpiętej pod szyją, z włosami w artystycznym nieładzie - ty wyglądasz jak świeża brzoskwinia, która tylko czeka, by ją schrupać. Dlatego kiedy przed rozpoczęciem sensu mówię, żebyś poszła na górę, masz to zrobić, Rose Mae.

- Ivy - poprawiam, ale bez przekonania.

Matka mierzy mnie krytycznym wzrokiem: przesuwam spojrzeniem od stóp, poprzez rękę z bronią, aż po rozpalone policzki. Serce wali mi w piersi jak werble wzywające do boju.

- Ivy - prycha wreszcie kpiąco. - Cóż za wymysł. Jesteś tylko tym, kim jesteś - czyli Rose Mae. Dziewczyną z Alabamy.

Natychmiast nie pozostaje jej dłużna.

- Wobec tego w tym pokoju są jedynie kobiety nazwiskiem Lolley, CLAIRE.

- Widzę, że nic nie pojmujesz - strofuje mnie ostrym głosem. Podchodzi powoli, wspina się po trzech stopniach, kładzie dłoń na mojej dłoni, w której trzymam rewolwer. Zaciskam na nim palce i na chwilę obie zastygamy w bezruchu. - Tylko popatrz na siebie. Skoro jesteś taka bojowa, to dlaczego ten twój mąż wciąż jeszcze oddycha?

Kręcę głową. Nie znajduję odpowiedzi. Próbowałam go zabić, lecz zawiodłam. Nawet teraz, jeżeli na muszce zamiast głowy Johna Smitha znalazłaby się głowa mojego męża, ręka, w której trzymałam broń, nie byłaby aż tak niewzruszona. A gdyby potwór, którego widziałam w Grand Guns, obłókł się w dawny kostium Thoma, zjawił tutaj z kwiatami i powiedział: „Ro, kotku, wróć do domu”...

Już bym nie wróciła. Ale pokusa wciąż byłaby duża.

Im natarczywiej ręka matki napiera na moją dłoń, tym bardziej połużniam palce. W końcu pozwalam, żeby odebrała mi rewolwer. Odwraca się i odchodzi, a ja siadam na schodach.

- Co to ma być do cholery? - pyta nagle matka, patrząc na broń, którą z wprawą profesjonalistki rozkłada na szkielet i lufę.

- Jest zdezelowany

- Miałam na myśli was, wszystkie młode kobiety. - Zaczyna chodzić po pokoju i gniewnie gestykuluje, trzymając w każdym ręku jeden element rewolweru. - Córka mojej przyjaciółki regularnie się okalecza: nacina skórę w różnych miejscach, żeby - jak to ujmuje - zło, które się w niej gnieździ, miało ujście. A to jeszcze dziecko, dopiero rozpoczęła naukę w liceum. Jakie więc zło ma niby w sobie nosić? Połowa jej równie młodych koleżanek albo obsesyjnie pości, albo zmusza się do wymiotów po każdym posiłku. Przy tym te, które się głodzą, mówią: „Ja nigdy bym nie mogła się pociąć”, a te, które się kaleczą, głoszą z kolei: „Nigdy nie wyszłabym za człowieka, który podniósł na

mnie rękę", ale w gruncie *rzeczy* wszystkie robicie jedno i to samo. W idiotyczny sposób same się zabijacie.

Wciąż siedzę przygarbiona na jednym ze schodków, z rękami bezwładnie zwieszonymi po bokach. Po raz drugi nie jestem w stanie nic odpowiedzieć na jej przemowę. Jestem potwornie zmęczona. Tymczasem matka, płonąć świętym oburzeniem, prawi dalej tonem biblijnego Ezekiela.

- Moja dzisiejsza klientka z dziesiątej? Betty? Miałas okazję ją zobaczyć. Jeszcze nie skończyła dwudziestu pięciu lat, a już jest szersza od trzydrzwiowej szafy. Przyniosła ze sobą ciasteczka, jak powiedziała, dla mnie, i postawiła między nami talerz. Ani razu nie sięgnęła po całe ciastko, ale przez cały czas skubała po okruszku, niczym płochliwa mysz, aż w końcu zjadła niemal wszystko.

Potem spojrzała przez okno, wskazała palcem na Lilę, która akurat tragiczowała przy ogrodzeniu, i oznajmiła: „Nie mogę pojąć, czemu ona do niego wraca, skoro ją bije. Równie dobrze mogłaby własnoręcznie strzelić sobie w głowę". A tymczasem Betty nosi na sobie tyle tłuszczu, że ledwo może oddychać. Zabija sama siebie, podobnie jak córka mojej przyjaciółki za pomocą żyłek. Podobnie jak Lila. Podobnie jak... - wskazuje na mnie oskarżycielsko palcem, resztę dłoni zaciskając na lufie - ..podobnie jak ty

Opieram się o poręcz schodów i z trudem dźwigam w górę.

- Niczym się od nas nie różnisz - wyrokuje.

Kolejne parsknięcie jest z jej strony aroganckim zaprzeczeniem.

- Ja zasłużyłam sobie na nowe imię, Rose.

- Prooooooszę cię - jęczę. - Dlaczego w takim razie tak bardzo cię niepokoi ten pomięty kawałek papieru, który przywiozłam z Alabamy? - Z satysfakcją zauważam, że natychmiast wędruje spojrzeniem ku przeprosinom ojca. - Jedyna prawdziwa księżniczka zen w okolicy, a boi się przeczytać krótką notkę.

- Wcale się nie boję - odpowiada, ale w jej tonie nie ma już tak wielkiej dozy świętego oburzenia jak jeszcze przed chwilą.

Ponownie odzywa się gong przy drzwiach.

Zamieramy, ale niemal natychmiast matka wybucha śmiechem.

- To tylko Lisa, moja następna klientka. Jest umówiona na tę godzinę. Wyłączę neon, natomiast ty...

- Tak, tak. Wiem - przerywam jej w pół słowa i na drżących nogach idę do swojego pokoju. Przekraczam próg i odnoszę wrażenie, że wszystkie ściany przybliżyły się do siebie, kiedy byłam na dole. Dobrze znane ustawienie mebli zaczyna mnie irytować. Marzę, żeby się znaleźć w jakimś innym miejscu, gdzie będzie więcej powietrza. Kręcę się dookoła i zipię niczym Gretel.

Nie mogę tutaj zostać, bo ten pokój bardziej niż cokolwiek innego przypomina mi, że matka ma rację: mogę się przedstawiać jako Ivy, ale tak naprawdę jestem tylko tym, kim jestem. Problem w tym, że nie mogę też wyjść z domu. I nie z powodu jakichś reguł, ale dlatego, że w pobliżu wciąż może się kręcić dwóch rozjuszonych marynarzy. Nieustanne ostrzeżenia matki zaczynają do mnie przemawiać. Nie mogę więc opuścić domu, ale w tej chwili nie mogę też dłużej kisić się w tych ścianach.

Podchodzę do okna, znajdującego się nad biurkiem. Przesuwam zatrzask i ciągnę ramę w górę. Chodzi gładko jak po maśle. Tuż pod oknem widzę niewielki daszek. Łapię świecę ze świętą Łucją, różaniec oraz zapalki i po krześle wchodzę na biurko. Klękam. A potem przez otwarte okno wypelzam na zadaszenie.

Widok nie jest imponujący: kawałek trawnika i tył sąsiedniego domu. Niemniej mogę wreszcie swobodnie oddychać na tej krytej gontem pochyłości, owiewanej chłodną, słoną bryzą, a jednocześnie skąpanej w ciepłych promieniach słońca. Zadzieram głowę i spoglądam na błękitne niebo. Muszę się pomodlić, a to miejsce jest równie dobre jak każda inna świątynia.

Biorę w rękę świętą Łucję, zapalam knot, a potem ustawiam świecę w kącie wykusza, który zapewnia osłonę od wiatru. Zamykam oczy i zaczynam przesuwac paciorki różańca między palcami.

Odmawiam modlitwę i bardzo staram się nie myśleć o tym, że matka dokładnie trafiła w punkt. Bo bez względu na to, jak się teraz

oficjalnie nazywam, przywlokłam tutaj ze sobą i Rose Mae Lolley, i Ro Grandee. Na tym polega mój problem: nie chcę przyjąć do wiadomości, że one zawsze będą we mnie tkwiły. Ze zawsze będę każdą z nich. Nie mam jednak ochoty tego roztrząsać w tej chwili, bo natychmiast przypomina mi się Thom, więc wolę odłożyć poważne rozważania do jutra. Teraz przede wszystkim muszę się wyciszyć. Ukoić niespokojne serce. Odmawiam cały różaniec, zanim monotonia rytuału uspokaja mnie na tyle, że mogę otworzyć oczy.

Tymczasem na skrawku tylnego trawnika, który dostrzegam ze swojej perci, pojawił się Parker. Stoi zwrócony twarzą w moją stronę, z rękami uniesionymi do góry. Kompletnie znieruchomiały. Jeszcze nigdy nie widziałam żadnej ludzkiej istoty znajdującej się w stanie tak idealnego bezruchu. Nawet mój ojciec, zasadzający się na jelenia, w porównaniu z nim podskakiwał niczym pajac. Parker ma wciąż na sobie luźne czarne spodnie przypominające dół od pizamy, zdjął jednak koszulę. Na jego piersi widnieją kasztanowe włosy, a blada skóra opina świetnie zarysowane mięśnie.

W końcu jego ramiona się poruszają - bardzo, bardzo powoli. Następnie jego ciało zaczyna się niespiesznie wyginać w jakieś dziwaczne pozy; tak właśnie mógłby wyglądać owoc mariażu kung-fu z baletem. Walczy z cieniem. Jego ruchy są niewyobrażalnie wolne i tak kontrolowane, że po kilku minutach ciało Parkera pokrywa się potem. Zastyga ponownie w bezruchu, a potem znów wykonuje serię spowolnionych, wymagających niezwykle skupienia ruchów.

Zamiera po raz trzeci, tym razem na kilka minut. Jestem na adrenaliny kacu, przygnębiona troskami, stąd z wielką przyjemnością odrywam się od własnych myśli i patrzę na męskie ciało poruszające się z tak wyjątkową gracją. I to ciało o wspaniale umięśnionych ramionach i brzuchu.

Przez trawnik przebiegają psy. Labradory przyjaźnie się ocierają o nogi Parkera, ale teraz dla niego nie istnieją. Spogląda w głąb siebie i tymi niespiesznymi, śmiercionośnymi ruchami walczy z demonami, których nikt prócz niego nie widzi. Buck i Miss Moogles znikają

z mojego pola widzenia, ale Gretel się zatrzymuje, przekrzywia łeb i ze zdziwieniem wpatruje w Parkera.

Cesar także przystaje, on jednak wcale nie jest zainteresowany Parkerem. Strzyże uszami, w jego głowie zapala się żółte, ostrzegawcze światło. Rozgląda się dookoła, aż wreszcie zauważa, że siedzę na dachu. Wówczas żółte światło natychmiast przechodzi w czerwone i ten mały gnojek zaczyna wściekle ujadać.

Parker gubi koncentrację, terier wybił go z transu. Opuszcza ręce i podąża spojrzeniem za wzrokiem Cesara. Przyłapaną na swojej grzędzie, unoszę rękę w geście pozdrowienia. Parker śmieje się pod nosem i potrząsa głową. Doskonale wiem, co teraz myśli: zastanawia się, czy siedzenie na dachu jest równoznaczne z opuszczeniem domu, a więc złamaniem jednej z najważniejszych zasad. Parker nie chce, żebym skończyła jako kolejna Lila, wystająca pod furtką. Chętnie bym mu wszystko wyjaśniła, ale musiałabym krzyczeć, a tego wolałabym uniknąć. Mirabelle natychmiast by mnie usłyszała, a jej miałam dosyć jak na jeden dzień, dziękuję bardzo.

Odwracam się i na czworakach wdrapuję do okna. Przewieszona przez framugę, wypinając tyłek, sięgam do szuflady biurka. Wyciągam kartkę z błękitnej papeterii i jeden z długopisów, po czym piszę: „Wyszłam na dach się pomodlić”. Wycofuję się rakiem z pokoju, a po drodze chwytam jeszcze z blatu kamiennego kota, służącego za przycisk do papierów. Owijam liścik wokół przycisku, a potem delikatnie rzucając w dół. O mojej miłości do psów niechaj świadczy fakt, że nie wycelowałam w upierdliwego Cesara.

Cesar i Gret pierwsi dopadają do „przesyłki” i zaczynają ją obwąchiwać. Parker podchodzi niespiesznym krokiem, wsadza rękę pomiędzy ciekawskie nosy. Odwija papier, zdezorientowany wpatruje się w kota, po czym spogląda na dach. Kręcąc głową i piorunując go wzrokiem, sfrustrowana koniecznością zachowania milczenia. Zdmuchuję świecę i unoszę ją w górę, a drugą ręką wskazuję na kartkę, którą on potraktował jak opakowanie. Tymczasem moja pocziwa, nierozgarnięta Gret odchodzi, by dołączyć do Bucka i Miss Moogle, wciąż

nieświadoma, że jestem w pobliżu. Za to bystry, inteligentny Cesar nie spuszcza mnie z oka, bardziej urażony niż zaalarmowany faktem, że tkwię na dachu, a więc w miejscu, gdzie - jak doskonale mu wiadomo - ludzie nie mają czego szukać.

Wreszcie Parker pojmuje, o co chodzi. Czyta liścik i spogląda na mnie beznamytnie. W drugim ręku podrzuca lekko kamiennego kota, jakby szacował jego wagę. Unosi palec w geście oznaczającym „jedna chwila”, po czym znika w głębi domu.

Po paru minutach pojawia się znowu. Ma ze sobą niebieską kulke wielkości piłki tenisowej. Wyciągam ręce i wówczas rzuca ją szerokim łukiem w stronę dachu. Wpada mi dokładnie w dłonie niczym zaprogramowana.

Okazuje się, że to JEST piłka tenisowa, doprowadzona przez psie zęby do żalostnego stanu. Rozwijam niebieski papier, w który była zawinięta. To mój liścik, Parker dopisał do niego dwa słowa: „Ja też”.

Szczerzę głupio zębami w uśmiechu. Parker pytajaco unosi brwi. Domyślam się, co to ma znaczyć, i nagle się peszę. Nigdy nie robiłam czegoś takiego w obecności mężczyzny. A właściwie w obecności kogokolwiek, z wyjątkiem matki, kiedy byłam jeszcze mała. Mimo to kiwam potakująco głową. Parker wraca na swój skrawek trawnika, a ja biorę w rękę różaniec. On znowu wsłuchuje się w siebie i obraca powoli, rozważnie uderzając w pustkę. Patrząc na niego, przesuвам paciorki i po cichu wypowiadam dobrze znane słowa. Modlimy się razem, każde na swój własny sposób. Nadal jest skupiony, ale jednocześnie świadomy mojej obecności. On też jest teraz w moim modlitewnym kręgu, gdy odmawiam różaniec zestrojona każdym nerwem z jego ruchami. Ogarnia mnie dziwna tęsknota i już nie jestem pewna, o co właściwie się modlę. Może o powiew świeżości w życiu, o nowy początek, szansę cofnięcia się do czasów sprzed Thoma i dokonania lepszych wyborów.

To najdziwniejsza randka w moim życiu.

Kiedy kończę odmawiać drugi różaniec, słońce chyli się ku zachodowi. Temperatura opada, chłodne powietrze osusza ciało Parkera

z potu. Parker opuszcza ramiona, usatysfakcjonowany Unoszę dłoń, odpowiada mi tym samym - to milczące dobranoc. Jeszcze przez chwilę na siebie spoglądamy, po czym się rozstajemy

Nie rozwiązałam żadnego ze swoich problemów. Nie wiem, jak się wyzwolić na tyle, by stać się innym człowiekiem. Mimo to jestem po-krzepiona.

Wpełzam przez okno do środka pokoju. Była tu moja matka. Wdziąka, jak się modliłam na dachu, ale wycofała się bez słowa. Na nocnym stoliku stoi talerz. Gret leży obok tapczanu, całkowicie skoncentrowana na jedzeniu. Pieczeń rzymska, ziemniaki tłuczone ze śmietaną, marchewka i wielka szklanka pełna wina. Przebieram się do spania i dzielę stygnącym posiłkiem z moją psiną. Winem jej jednak nie częstuję. Wychyłam wszystko sama, do dna. Jest jeszcze wczesnie, ale wino mnie rozgrzewa i rozleniwia.

Wchodzę pod kołdrę i szybko odpływam. Przez kilka godzin śpię bezsennym snem, aż nagle rozlegają się dziwne dźwięki. Kiedy docierają do mnie po raz pierwszy, zaczynam śnić o małej, brązowej krówce. Ma piękny, słodki pyszczek i jest prowadzona w górę wzgórze, do zagrody, przez mężczyznę, którego twarzy nie widzę. Dźwięk, jaki z siebie wydaje zwierzę, jest przerażający, przepełniony rezygnacją. Oczy krowki są wielkie, brązowe, o długich rzęsach. Bardzo ludzkie. Wie, dokąd jest pędzona. Wie, dlaczego mężczyzna zamiast rąk ma dwie siekiery. Wspina się z nim na wzgórze, a jej zawodzenie wyraża głęboki smutek, bo koniec będzie bolesny i straszny. Racice stukają o ziemię, rytmicznie harmonizują z jękami, które są tak rozdzierające, że w końcu mnie budzą.

Okazuje się, że to rzeczywiste dźwięki: skowyt i głucho uderzenia dochodzące z parteru. Wzlatują w górę schodów, wślizgują się do mojego pokoju, jakby były posłańcem, którego mowy jednak nie rozumiem. Siadam, mrugam gwałtownie, pocieram twarz zdezorientowana. Gret, spięta, leży przy moich nogach, z uniesioną głową, nosem wyciągniętym w stronę drzwi.

Te odgłosy są tak nieludzkie i przeciągłe, że potrzebuję chwili, żeby zrozumieć, co się dzieje. Oprócz Gretel w tym domu nie ma żadnych innych zwierząt.

Wycie wydobywa się z ust mojej matki.

Rozdział 16

Wychodzę z pokoju, włączam lampę na podeście, a potem schodzę po schodach z niespokojną Gretel u boku. Zapalone świece na stole są jedynym źródłem światła na parterze - o ile nie liczyć bladej poświaty z podestu. Mija chwila, zanim moje oczy przywykają do mroku i dostrzegam matkę. Klęczy obok regałów, kołysze się zgodnie z jakimś wewnętrznym rytmem i wydaje z siebie przerażające dźwięki. Przy ruchu w przód pochyla się tak nisko, że głośno uderza czołem o twarde drewno podłogi.

Jej skowyt jest tak przeciągły, jakby zamierzała wycisnąć powietrze z płuc do ostatniej cząsteczki i już nigdy więcej nie zaczerpnąć oddechu. Nie słyszałam odgłosu wyrażającego równie wielkie cierpienie i poczucie zdrady od dnia, gdy postrzeliłam niefortunnie Gretel w Wildcat Bluff.

Moja psina pilnie nasłuchuje, spięta i zmartwiona. Warczy cicho - te gardłowe dźwięki wplatają się w zawodzenie matki, która znowu bije głową o podłogę. Rozlega się głuchy odgłos przypominający pojedyncze uderzenie w bęben.

- Mamo?

Skowyt natychmiast się urywa. Gret także cichnie. Matka się prostuje, bierze głęboki oddech i odwraca ku mnie głowę. W poświacie padającej z podestu jej oczy pobłyskują krwistą czerwienią. Plakała tak spazmatycznie, że popękały jej drobne naczynka. Na mój widok wykrzywia twarz w grymasie furii, zaciska powieki, otwiera usta, po czym szybko zamyka, jakby próbowała stłumić ziewnięcie.

- Pierwszym słowem, jakie wypowiedziałaś, Rose Mae, było „tato” - mówi zduszonym głosem. Przystaję u stóp schodów. Niemal cała długość pokoju dzieli mnie od miejsca, gdzie klęczy matka, sprawiająca teraz wrażenie istoty gotowej kąsać. - Powtarzałaś je tysiąc

razy dziennie. A jeszcze zanim zaczęłaś mówić, jak cierpiałaś na kolękę i krzyczałaś wniebogłosey, wystarczyło, że wziął cię na ręce, pokołysał, powiedział kilka słów, a natychmiast się uspokajałaś. Sam dźwięk jego głosu działał na ciebie kojąco. - Wędrując aleją wspomnień, wyprzedziła mnie o kilka długości. Przecieram dłonią twarz, muszę szybko do niej doszlusować. - A wiesz, jakie było twoje drugie słowo? - pyta oskarżycielskim tonem.

Teraz dopiero dostrzegam, że matka klęczy pośrodku masy białych drobin, jakby się obsypała ryżem - niczym świeżo poślubiona oblubienica.

- Nie - odpowiadam.

Znowu uderza głową o podłogę. I po raz kolejny się podnosi.

- Pies. Pies, pies, pies, pies powtarzałaś w kółko, ilekroć ten pieprzony kundel twojego ojca znajdował się w pokoju. A ja lubię koty, a nie psy, wiedziałaś o tym? Przepadam za kotami. TY miałaś na nie alergię - rzuca z irracjonalną pretensją w głosie. - Wkrótce nauczyłaś się wymawiać imię tego pieprzonego psa. Leroy. Następne było „ciastko”. A właściwie „ciako”, bo nie umiałaś wypowiedzieć razem „s” i „t”. Potem ptak. - Jej głos wznosi się o oktawę w piszczącą parodię dziecięcego świergotu. - Ptak! Ptak! Po ptaku przyszła kolej na „nie”. To było twoje absolutnie ukochane słowo. Założę się, że do dziś pozostaje ukochane.

Jej głos jest schrypnięty od płaczu, trudno ją zrozumieć, ale w końcu zaczynam pojmować, do czego zmierza ten monolog.

- A kiedy nauczyłam się wymawiać „mama”?

- Po „nie”. Po „ciastko”, Rose Mae. - Te słowa są dla niej tak gorzkie, że praktycznie je z siebie wypluwa. - Po imieniu pieprzonego psa. - Trze oczy niczym małe, rozespiane dziecko. - Od urodzenia byłaś córeczką tatusia. Uwielbiałaś, gdy cię nosił na barana. Nawet kiedy był pijany jak bela. Myślałam czasami: upadnie, rozbije jej głowę, ciekawe, czy wtedy też będzie taka nim zachwycona. Zawsze się śmiałaś, kiedy się z tobą bawił. Dał ci pistolet-wiatrówkę. Miałaś wtedy trzy lata. Kto daje broń takiemu maluchowi? Twój tata, ot kto. Tata, który nigdy przenigdy nie podniósł na ciebie ręki. Nigdy. Ani razu.

Patrzę na matkę beznamiętnie. Nie zamierzam kłamać na jej użytek.

- Przyznaj, że cię nie bił - nalega. A ja milczę. - Przyznaj, że tego nie robił - upiera się przy swoim. - Miał słabość do jacka danielsa, jeszcze zanim zaszłam w ciążę, ale dopiero jak się urodziłaś, zaczął się na mnie wyżywać. Zawsze bił tylko mnie.

- Kiedy z nami mieszkałaś... - zaczynam, ale mi przerywa.

- Ciebie nosił na barana.

Pozornie zmieniam kurs, ale w zasadzie ciągnę ten sam temat.

- No, ale za długo się z nami nie namieszkałaś.

Białe drobiny wokół niej to nie ryż oblubienicy. To mikroskopijne strzępki papieru. Na półce przed powieściami Austen nie leży już żadna kartka. Matka uklękała i zanosila się spazmatycznym płaczem w szczątkach listu ojca.

- Zanim odeszłam... - mówi. I milknie.

Przechodzę przez pokój i kucam jakiś metr od matki, poza zasięgiem rąk, ale w takiej odległości, że wyraźnie widzę jej twarz.

- Niewiele mam wspomnień z tamtych czasów, Claire - mój głos jest spokojny i zimny. - Opowiadasz o nich tak, jakby dla mnie była to sielanka. Cudowny, magiczny okres. Powiem ci, co ja pamiętam. Pamiętam, że chowałam się pod tapczanem - wsuwałam się jak najgłębiej i przyciskałam plecami do ściany, bo słyszałam, jak ojciec cię bije. Słyszałam twój płacz.

Matka kiwa głową.

- Tak. Tak. Był okropnym mężem. Najgorszym z możliwych. Ale ty kochałaś swojego tatę.

Patrzę na nią ze szczerym niedowierzaniem. Czy doprawdy niczego nie pojmuje?

- Oczywiście, że go kochałam. Miałam osiem lat. Kochałam go także rok później, kiedy wybił mi bark. Był jedynym ojcem, jakiego znałam. Nie miałam pojęcia, że w ogóle bywają inni ojcowie.

Matka chce, żebym go zapamiętała jako wspaniałego rodzica, bo na takiego z czasem promowała go w swoich wspomnieniach. Ja jednak

mam zupełnie inny ogląd sytuacji. To tak jak ze świętym Sebastianem. Kiedy byłam mała, w moich wyobrażeniach święty przebity strzałami przypominał przemiałą panią Językową. Potem, po odejściu matki, zaczął mi się jawić jako okrwawiony ludzki strzęp szczerzący zęby w upiornym uśmiechu. Na mój obraz ojca nakłada się dziesięć lat, spędzonych tylko we dwoje, bez matki, która mnie porzuciła i skazała na jego łaskę i nielaskę.

Matka zbiera garść papierowych molekuł, na które poszarpała list ojca, i wyciąga dłoń w moją stronę.

- To było do ciebie, nie do mnie. Zawsze chodziło tylko o ciebie.

Wciąż milczę, więc rzuca we mnie strzępkami papieru. Wznoszą się w powietrze i sfruwają w dół kaskadą niczym radosne konfetti. Ręka opada, dłoń jednak pozostaje otwarta, jakby matka mnie o coś błagała. Kilka drobin przywarło do jej dłoni.

- I co z tego? - W końcu się odzywam. - List był do mnie? W związku z tym ty przestajesz być królową balu?

Patrzy na mnie zdezorientowana.

- Nie, nie, tylko... - Potrząsa głową, próbuje uporządkować myśli.

- Muszę mieć pewność, że kiedy cię przeprosza za te wszystkie akty przemocy, mówi o okresie, kiedy mnie już nie było.

- Okej. Jeżeli to ci poprawi samopoczucie, w porządku. Mogę to potwierdzić.

Wzdycha ciężko, zaciska dłoń i kładzie na piersi. Jakby otrzymała ode mnie prezent - muszelkę lub kamyczek - dar cenny, bliski sercu.

Nachyla się w moją stronę.

- Zawsze byłaś córeczką tatusia, Rose. Mimo to, przysięgam, przysięgam na wszystko, że tysiące razy chciałam po ciebie przyjechać. Ale potem przypominałam sobie, na kim ci naprawdę zależało. Twoim pierwszym słowem było „tata”. „Mama” pojawiła się dopiero po psie.

Rozchyła palce, strzepuje z dłoni resztki papierowych drobin. Teraz jest już w miarę spokojna, choć jej oczy zdradzają, że emocje nie do końca opadły

- Sądziłam nawet, że beze mnie będzie wam lepiej. Ja i on... nigdy nie powinniśmy zostać małżeństwem. Zatruliśmy siebie nawzajem jak najbardziej zjadliwa trucizna, ale ciebie bardzo kochał. Nawet teraz tylko ty jesteś dla niego ważna. To jasno wynikało z jego listu.

W jej głosie wyczuwam niezdrawą, głęboko zakorzenioną zazdrość. Odeszła od faceta ponad dwadzieścia lat temu, a to uczucie wciąż jeszcze nie umarło.

Matka nigdy się przede mną otwarcie nie wytłumaczy, ale wreszcie poznałam tajemnicę, którą chciałam odkryć tak bardzo, że w tym celu pojechałam na drugi koniec kraju. W końcu uzyskałam odpowiedź na najważniejsze pytanie: okazała się prosta, oczywista i brzydka. Na taki wątek nigdy bym nie wpadła, gdy konstruowałam scenariusze godne opery mydlanej, w których oś dramatu stanowiły porwania, amnezja, a przede wszystkim okoliczności rozgrzeszające matkę. Prawda wygląda zupełnie inaczej i jest bardziej banalna. Matka próbowała przy mnie wytrwać. Świadczy o tym kalendarz wyrysowany na ścianie. Odeszła pod wpływem impulsu, dosłownie tak jak stała. Nic ze sobą nie wzięła, ponieważ w swoim mniemaniu na nic nie zasługiwała. Co nie zmienia faktu, że istota tajemnicy sprowadza się do jednego: została mnie, bo nie dość mocno mnie kochała.

Przeżywam drobny wstrząs, gdy nagle uzmysławiam sobie, że niemal ją rozumiem. Ostatecznie jestem jej nieodrodną córką. Ja zawsze patrzyłam na inne kobiety jak na konkurencję. Próbuję sobie wyobrazić, co bym czuła, gdybym urodziła dziewczynkę i mój mężczyzna kochałby ją bardziej niż mnie. Wydałabym na świat najgroźniejszą rywalkę i potem musiała żyć z nią pod jednym dachem.

Oto rozwiązanie całej zagadki.

Wstaję. Muszę się fizycznie oddalić od matki, potrzebuję przestrzeni. Podchodzę do stołu; na blacie, pomiędzy dwoma zapalonymi świecami, leży starannie złożona talia jej sfatygowanych kart.

- Kiedy mnie odszukałaś? - pytam.

Spogląda zdezorientowanym wzrokiem, potrzebuje prawie minuty, żeby się przestawić na inne tory i odpowiedzieć.

- Osiem lat temu wynajęłam prywatnego detektywa. - Słowa z trudem przechodzą jej przez gardło. - Odnalazł cię w Catahoula, gdzie pracowałaś jako kelnerka i mieszkalaś z tym mechanikiem.

- Steve-0 - podpowiadam, a ona macha lekceważąco ręką, sugerując, że ta postać jest w gruncie rzeczy bez znaczenia. Ma rację. Biorę w rękę karty, odwracam obrazkami do góry, rozpościeram jak wachlarz.

- Zrobił dużo zdjęć. Doszłam do wniosku, że wybrałaś takiego mężczyznę, bo nie dość szybko odeszłam. Bo przez zbyt wiele lat patrzyłaś na moje małżeństwo - głos jej się łamie. - I wtedy żalowałam, że nie odeszłam wcześniej.

- Szalenie to pokrzepiające, mamó.

Nie mam pojęcia, co oznaczają te karty - miecze, buławy, konie o mądrych oczach, dziewice zakute w łańcuchy - ale strona wizualna zachwyca urodą. Nawet słowa wypisane na dole, słowa niezwykle jak „Temperancja” czy „Hierofant”, są pięknie, śmiało wykaligrafowane, pełne ozdobników i spiralnych zawijasów.

- Naprawdę cię kochałam, Rose - powtarza to, co wymalowała sprejem na Ranczu Cadillaców. Używa czasu przeszłego nie dlatego, że już mnie nie kocha, jak wcześniej sądziłam. Chce przez to powiedzieć, że choć odeszła, to szczerze mnie kochała.

W talii odnajduję wisielca z paszczą wilka na głowie. Przysuwam kartę do świecy, by lepiej jej się przyjrzeć. Patrząc na przepelnioną spokojem twarz mężczyzny, na ręce złożone w modlitewnym geście, dochodzę do wniosku, że jej wierzę.

Kochała mnie, a mimo to opuściła. Dokonała wyboru, który zrujnował jej życie. Od lat podróżowała po kraju, żeby mnie szpiegować. Nie zdobyła się jednak na odwagę i nigdy do mnie nie podeszła. Ciekawe w ilu miejscach, które często odwiedzałam, pozostawiła swoje ułomne przesłania. Zapewne usiała całe Amarillo mętnymi instrukcjami, mogącymi mnie doprowadzić do świętych Cecylii. Może nawet wryła je pod stolikiem w mojej ulubionej kawiarni lub wplotła w graffiti pokrywające ściany toalety w knajpce, do której wraz z Thomem często chodziliśmy na pikantne skrzydełka z piwem.

Ukrywała skrętnie te wskazówki, ponieważ wiedziała, że jeżeli skorzystam ze zorganizowanego systemu przerzutu, już nigdy się nie znajdę w pobliżu jakiegokolwiek osoby lub miejsca w taki czy inny sposób powiązanego z moją przeszłością.

Odkładałam kartę z wisielcem na bok, obrazkiem do góry, i zaczęłam przeglądać talię w poszukiwaniu płonącej wieży. Aha, jest. Oto porzucona dziewczyna, skazana na wieczne wyczekiwanie w oknie, z którego już buchają kłęby dymu. Kładę ją obok wisielca. Matka mieszka samotnie w wynajmowanym mieszkaniu, gdzie jedno z pomieszczeń musi jej się wydawać niezagojoną raną, czarną dziurą ziejącą pośrodku domu. To pomieszczenie jest i zawsze było moim pokojem - nawet wtedy, gdy sypiały w nim inne dziewczyny. Od lat matka wypełniała to miejsce różnymi nieszczęsnymi Lilami, ale to nie ułatwiało sprawy. Owe Lile, nawet te, które w końcu zdołały uciec, odzyskać wolność, rozwieść się, ocalić życie, nawet te, które co do joty przestrzegały reguł - były dla niej źródłem zawodu. Tylko dlatego, że nie były kimś innym - nie były mną.

- Wiem, że mnie kochałaś, mammo.

Nie dodaję „ale nie dość mocno”. Nie ma takiej potrzeby. Matka do tej pory poznała swoje ułomności. Fakt, że nie kochała mnie tak, jak powinna, jest prawdą w zasadniczy sposób definiującą jej życie. Prawdą, która ją zniszczyła.

Uzyskałam swoją odpowiedź, która skądinąd mogłaby stanowić podręcznikowy przykład wiedzy mało satysfakcjonującej. Mimo to wewnętrzny spokój, który osiągnęłam, modląc się razem z Parkerem, znowu powraca. Złość ze mnie wycieka, powoli acz nieubłaganie niczym powietrze z przebitej opony. W zwolnionej przestrzeni rodzi się pragmatyczny ogląd mojej obecnej sytuacji: powinnam stąd uciekać.

Teraz brakuje tylko jednej karty spośród tych, z których matka mi wróżyła. Znowu przeszukuję talię i odnajduję dwójkę mieczy. Unoszę do góry, pokazuję matce.

- Nie - protestuje od razu. - Musisz zostać.

Kładę dwójkę mieczy na swoje miejsce, obok moich pozostałych kart. Mogę do znużenia wmawiać matce i sobie samej, że zmieniłam się w Ivy, ale nie jestem w stanie wpłynąć na percepcję Thoma. On nie ma pojęcia, że cały czas przechodziłam metamorfozę. Dlatego matka tak bardzo się wściekła, kiedy usłyszała, że Thom wciąż chodzi po świecie. Widziała w swoim życiu dostatecznie wielu przerażających facetów, by dostrzec okrucieństwo cechujące moją mężczyznę. Thom nie spocznie, póki mnie nie odnajdzie. Bo dla Thoma na zawsze pozostanę jego Ro - z naciskiem na „jego”. Dopuszczałam się zdrady, więc nie może pozwolić, żeby uszło mi to płazem. A kara za takie przestępstwo jest tylko jedna: śmierć.

Matka wciąż kręci głową w geście zdecydowanego zaprzeczenia. Zaczynam więc tłumaczyć:

- Dobrze wiesz, że nie mogę przebywać w pobliżu jakiegokolwiek osoby mającej choćby najluźniejszy związek z moją przeszłością. Pozostawiłam po drodze zbyt wiele śladów. A przecież ciebie, na miłość boską, odnalazłam jedynie na podstawie książki z biblioteki! Jeżeli zostaną tutaj dostatecznie długo, on wytropi mnie i zjawi się w tym domu w chwili dogodnej dla siebie i na swoich własnych warunkach. Nie daruje mi. Zabije.

W talii dostrzegam kartę przedstawiającą dziewczynę z długimi, ciemnymi włosami, rozwianymi przez wiatr. Z włosami Cyganki. Patrzę uważniej. Na głowie dziewczyna ma koronkową przepaskę, która zasłania jej oczy. Przed sobą, jedną ręką dzierży wąski miecz. W drugiej dłoni trzyma staromodną wagę z szalkami.

Na jednej można by położyć zużyta dziesięciocentówkę, na drugiej - wróżbę mojej matki. Lub: na jednej - wszystkie dziewczyny, ocalone przez Claire Lolley, na drugiej - tę, którą porzuciła przed wielu laty. Szale nigdy by się nie zrównały. Wiedzą o tym istoty znajdujące się w tym pokoju - no może oprócz mojej zżeranej niepokojem psiny, która obserwuje wszystko z bezpiecznej pozycji u stóp schodów.

Kładę czwartą kartę nad trzema wcześniej wybranymi i odwracam się od stołu. Podchodzę bliżej do matki, siadam na małej sofie.

Gret truchta przez pokój, wskakuje na sąsiednią poduchę. Potem zaczyna się do mnie tulić, próbuje wcisnąć całe swoje wielorybie cielsko na moje kolana. Odpycham ją lekko, pozwalam, żeby położyła mi na nogach głowę.

Niemal odruchowo drapię moją psinę za uszami. Jest zmartwiona panującą w pokoju atmosferą. W powietrzu wciąż jest gęsto od emocji, których źródłem jednak nie jestem ja, lecz moja matka. Przyjeżdżając tutaj, chciałam zadać tysiące różnych pytań, ale w świetle odpowiedzi, którą w końcu poznałam, nie mają już one żadnego znaczenia.

W zasadzie załatwiłam wszystko, co miałam tutaj załatwić. Została tylko jeszcze jedna sprawa. Na myśl o niej czuję mrowienie pośrodku pleców, czy raczej coś w rodzaju przykrego swędzenia, do którego nie sposób sięgnąć ręką i podrapać. Ojciec. Obiecałam, że go poinformuję, gdy matka przeczyta notkę. Teraz już to zrobiła.

Ale chodzi też o coś więcej.

Volkswagen garbus. Thom nadciąga. A samochód mojego ojca jest cholernie wyraźnym śladem, zaparkowanym zaledwie kilka przecznic dalej. Mam nadzieję, że stary buick Grandeech dawno temu został skasowany, a jego anonimowe bebechy rozproszone po całej Alabamie, jednak muszę się upewnić. Thom sądzi, że mój ojciec zmarł dawno temu, tymczasem nazwisko Eugene Lolley widnieje jak byk w cienkiej książce telefonicznej Fruiton, i każdy, kto tam zajrzy, bez trudu je odnajdzie.

Myślę, że od początku przydzieliłam ojcu rolę kanarka w kopalni. Tutaj, w Kalifornii, osiągnęłam wszystko, co chciałam. Zanim wyjadę, muszę się dowiedzieć, czy Thom wpadł na mój trop i na jaką przewagę czasową mogę liczyć.

Ruszam do kuchni po bezprzewodowy telefon. Po drodze zdmuchuję świece palące się na stole. Z knotów unosi się dym, wypełnia pokój swoim zapachem. Matka, wciąż siedząca na podłodze, czujnie obserwuje każdy mój ruch. Wracam z telefonem, kieruję się w stronę sofy, jednak Gretel zdążyła już rozłożyć się tam na całą swoją długość

i szerokość, więc przysiadam na skraju fotela, po czym wystukuję jak-że zaprzyjaźniony numer 411.

W słuchawce rozlega się mechaniczny głos telefonistki.

- Miasto i stan, proszę.

- Fruiton, Alabama - mówię. - Nazwisko abonenta: Eugene Lolley.

Matka się prostuje i napina ramiona; telefonistka o obojętnym głosie - może to automat? - podaje numer ojca.

Na Wschodnim Wybrzeżu dochodzi czwarta nad ranem. Ojciec powinien być w domu, we własnym łóżku. Postanawiam zadzwonić.

Po dziesięciu dzwonek nikt nie odpowiada. Wstaję, wędruję w stronę minisklepu. Matka wciąż nie spuszcza mnie z oczu, które są teraz nieruchome i zimne jak oczy węża. Kołysze się także niczym wąż: obejmuje mocno rękami górną część ciała wznoszącą się ponad splecionymi nogami.

Po dwudziestu dzwonek podchodzę do stołu. Ojciec nie odbiera, nie odzywa się żadna automatyczna sekretarka, nie mogę więc zostawić informacji. Trzydzieści dzwonek. Trzydzieści pięć. Czterdzieści.

Przerywam połączenie. Nic z tego nie rozumiem. Widziałam się z ojcem niewiele ponad tydzień temu, gdzie do diabła mógł się podziewać o tej porze?

Ponownie dzwonię pod 411 i tym razem proszę o numer Billa Mantlesa, sąsiada ojca z naprzeciwka.

- Kim jest Bill Mantles? - chce wiedzieć matka. Ignoruję jej pytanie, natomiast Gret popiskuje, zaniepokojona napięciem wyczuwalnym w głosie matki.

Odbiera kobieta. Dorosła, nie Bunny. Sprawia wrażenie rozespanej i rozdrażnionej.

- Czy zastałam Billa? - Odpowiada mi milczenie typowe dla kobiet w pewnych sytuacjach. Rozespanie zniknęło, pogłębiło się natomiast rozdrażnienie.

- Kto mówi?

- Jestem znajomą Billa. Ja... - urywam, bo nagle dociera do mnie, że ojciec był również znajomym tych ludzi.

- Jaką znajomą? - dopytuje kobieta.

Zaczynam od początku.

- Bardzo przepraszam, że panią obudziłam, ale to naprawdę ważna sprawa. Czy mogłabym rozmawiać z Billem? - Jedną z lekcji, które wyciągnęłam z dzisiejszego wieczoru, jest to, że nie powinnam przybierać aroganckiego tonu.

- Czy my się znamy? - Kobieta nie rewanżuje mi się podobną kurtuazją.

- Nie miałyśmy okazji się spotkać. Państwa sąsiad z naprzeciwnika, Eugene Lolley? Jestem jego... - Czując na sobie wzrok matki, nie potrafię znaleźć słowa, które trafnie definiowałoby moją relację z ojcem. Bo jego córką nie byłam już od wielu lat. Biorę głęboki oddech i mówię: - Nazywam się Rose Mae Lolley.

- Ach!... Ach! - Przy drugim okrzyku jej głos wznosi się o oktawę wyżej i pulsuje zdenerwowaniem. - Już proszę Billa do telefonu. - Najwyraźniej jest jej przykro, że z początku potraktowała mnie tak ostro. Podejrzanie przykro. Słyszę, jak zwraca się do męża: - Bill, skarbie, obudź się... Bill? - Potem przykrywa słuchawkę dłonią lub odkłada na bok, ponieważ dociera do mnie jedynie szmer gorączkowej rozmowy.

Czekam, aż Bill podejdzie do telefonu. Ale już wiem, co usłyszę. Przystaję krążyć po pokoju i obracam się ku matce. Na widok mojej twarzy podnosi się z ziemi i podchodzi. Mnie natomiast zaczynają ogarniać mdłości.

- Rose Mae? - w słuchawce rozlega się głos Billa. - Bardzo mi przykro. Nie mogłem się z tobą skontaktować, nie zostawiłaś żadnych namiarów.

- Jak? Po prostu powiedz, jak to się stało.

- Napad rabunkowy.

- Gówno prawda. Przecież nie to w gruncie rzeczy masz na myśli.

- Ależ tak, Rose Mae - Bill zapewnia łagodnym tonem. W jego głosie pobrzmiwają ciepłe nuty, które - o ile pamiętam - zawsze się pojawiały, gdy rozmawiał z Bunny.

- Co się stało? - syczy matka.

Chcę jej powiedzieć, ale nie zamierzam używać zwrotu „napad rabunkowy”. To kłamstwo, kompletna bzdura. Która na dodatek jest zbyt łagodna dla ucha. Wolę, żeby matka usłyszała wersję bliższą prawdy.

- Mój tato został pobity na śmierć - mówię i w ten sposób jednocześnie koryguję Billa.

Matka gwałtownie zgina się w pół, ale jej twarz pozostaje niezmienną. Wygląda to tak, jakby niewidzialna pięść wymierzyła jej gwałtowny cios, a ona przyjęła go ze stoickim spokojem niczym spartanka.

- Ktoś katował go tak długo, aż zabił. - Czuję na policzkach gorącą wilgoć, ale muszę przetrzeć twarz ręką, by się zorientować, że płaczę.

Milczenie Billa jest równoznaczne z potwierdzeniem.

W końcu mówi:

- A więc już słyszałaś. Naprawdę szalenie mi przykro. Sam nie mogłem w to uwierzyć.

Nic na to nie odpowiadam. Gwałtownie chwytam ustami powietrze, robię wszystko, co mogę, by nie zwymiotować. Matka odwraca się w stronę stołu i wpatruje w cztery karty, które ułożyłam obrazkami do góry. Widzę, jak zaczynają trząść się jej ramiona.

Ciszę wypełnia głos Billa.

- Widziałem go wcześniej owego feralnego wieczoru, pił u Chica.

Znam to miejsce. Lokalny bar, dziesięć przecznic od domu ojca, w oknie barwny neon reklamujący piwo.

- Próbowałem go stamtąd wyciągnąć, ale był już solidnie pijany i bardzo rozdrażniony. Zostawiłem go więc w spokoju. Miał przy sobie sporo gotówki, podejrzewam, że nie ja jeden to zauważyłem. Ruszył na piechotę do domu kilka godzin po mnie. Ktoś - może kilku „ktośiów” - szło za nim od baru. Potraktowali go wyjątkowo ostro. Uderzył głową o krawężnik i doznał pęknięcia czaszki. Był twardym starsuszką, ale obeszli się z nim zbyt brutalnie.

Bill opowiada, a mnie stają przed oczami wielkie dłonie mojego męża. Ojca nie pobili anonimowy bandyta. Zrobił to Thom. Dotarł do taty, a teraz tata nie żyje. I ja jestem temu winna. Wiedziałam, że wcześniej czy później Thom się zjawi w Fruiton. Wiedziałam, że

odnajdzie ojca i spróbuje go wybadać. Powinnam przewidzieć, że był zbyt rozjuszony, aby morderstwo zarezerwować wyłącznie dla mnie - w ramach psychopatycznie rozumianej wierności małżeńskiej. Zalewa mnie poczucie winy, a jednocześnie brzydko daje o sobie znać instynkt samozachowawczy. Co ojciec wyjawiał pod razami Thoma? Jakich udzielił informacji, zanim Thom pomógł krawężnikowi poderwać się w górę i zbyt mocno zderzyć z głową ojca?

Volkswagen garbus.

- Kiedy? - chcę wiedzieć. Matka spogląda na mnie przez ramię. Wciąż drży na całym ciele, ale jej zaczerwienione oczy są suche jak pieprz.

- Dwa dni temu - odpowiada Bill. - Zidentyfikowałem ciało, ale rozumiem, że zechcesz tutaj przyjechać. Trzeba dopełnić wielu formal...

- Dwa dni - powtarzam na użytek matki, która kwituje informację skinieniem głowy. - Bill, w tej chwili nie mogę dłużej rozmawiać. Przepraszam.

Rozłączam się, rzucam słuchawkę na podłogę i biegnę do części sklepowej, a potem opadam na kolana i rzygam do misy wypełnionej drewnianymi, ręcznie toczonymi koralikami. Kiedy mój żołądek jest już całkiem pusty, siadam na tyłku i ocieram dłonią usta.

Thom Grandee był w Fruiton dwa dni temu. Jest coraz bliżej i działa o wiele szybciej, niż przypuszczałam.

- Musimy zadzwonić na policję - decyduję.

Matka spogląda na mnie beznamiętnie. Podniosła cztery karty, które wyjęłam z talii, i trzyma je teraz w dłoni niczym mały wachlarzyk. Ale właściwie do których gliniarzy powinnam się zwrócić? Do tych z Amarillo? I co miałabym powiedzieć? Ze rozwiążą sprawę pobicia ze skutkiem śmiertelnym, do którego doszło kilka stanów dalej, jeżeli przycisną jedną z najbardziej wpływowych rodzin w mieście? Czy raczej powinnam zaalarmować gliniarzy z Fruiton? Nie bardzo sobie jednak wyobrażam, jak miałabym im wyjaśnić, kim właściwie jestem i skąd wiem, że pewien człowiek z Teksasu skatował miejscowego

pijaczka. Thom bez wątpienia już wrócił do domu, a Joe, Charlotte i Larry - równie pozbawiony jaj i lojalny jak wysterylizowany kundel - zapewnią mu żelazne alibi na dowolny dzień. Jedyne skutecznym, jaki najprawdopodobniej bym osiągnęła, to doprowadzenie Thoma na swój ślad.

- Powinam zadzwonić na policję? - pytam.

- Mnie nigdy nie pomogli - mówi matka. - Muszę się zastanowić nad sytuacją.

Tak mocno ściska w rękę karty, że jej palce bieleją niczym cienka porcelana.

Słyszę, że na górze zegar bije na pierwszą. Minęła godzina duchów, a ja tracę czas. Muszę się stąd zbierać i to szybko.

Matka przemyka obok mnie i otwiera frontowe drzwi. Gret zaczyna się gramolić z sofy na podłogę, ale nakazuje jej: „Zostań!”. Nie chcę, żeby moja psina wybiegła w ciemną noc, gdy Thom może być już blisko. Na dworze panuje mgła, wiatr ciągnie po podłodze niczym zimny opar. Unosi spódnice matki, wirują wokół jej łydek. Teraz bardziej wygląda na Cygankę niż na moją matkę.

- Jestem pewna, że uda nam się znaleźć sensowne wyjście z sytuacji - mówi zdecydowanym tonem i wkłada karty tarota do przedniej kieszeni bluzki.

Tyle że mój ojciec nie żyje, więc nie ma już żadnych „nas”. No i nadciąga Thom, więc o żadnym sensownym wyjściu z sytuacji nie ma co marzyć.

Matka bierze głęboki oddech i staje na palcach, jakby próg był trampoliną na basenie. Przez chwilę balansuje ciałem, zaciskając dłonie na kłamce. Potem rzuca się do przodu i zamyka za sobą drzwi.

Muszę się spakować. Jeszcze tej nocy przejechać kilkaset kilometrów wzdłuż wybrzeża Kalifornii, a rano wymienić samochód na inny. U podnóża schodów zaczynam się zastanawiać, jakie jeszcze ślady, łatwe do wytropienia przez Thoma, mogłam za sobą pozostawić.

Serce we mnie zamiera. Zawracam, pędzę do telefonu, który zostawiłam na podłodze, i wystukuję numer, dobrze znany mi od lat.

Odzywa się automatyczna sekretarka pani Fancy. Słyszę cichy głos staruszki, mówiącej miękko na nagraniu: Nie mogę w tej chwili podejść do telefonu...

Przerywam połączenie. Nieobecność mojej sąsiadki w domu o tej porze jest jeszcze bardziej zatrważająca niż nieobecność ojca; kluby czytelnicze czy komitety parafialne nie organizują zebrań przed świtem.

Mimowolnie zaczynam się kiwać w tył i w przód. To wszystko moja wina. Ojciec zainkasował ciosy, przeznaczone dla mnie, i to go zaabiło. Jeżeli Thom per procura pobił kruchą panią Fancy... Nie jestem w stanie znieść tej myśli.

Znowu dzwonię do biura numerów. Jak tak dalej pójdzie, za same telefony pod 411 matka zapłaci dwadzieścia dolarów. Prawie wybucham śmiechem, kiedy uświadamiam sobie, jak absurdalna jest troska o wysokość rachunku telefonicznego w sytuacji, gdy pani Fancy nie podnosi słuchawki, a Thom w zawrotnym tempie podąża jeszcze ciepłym śladem, z krwią mojego ojca na rękach, pragnący mojej śmierci.

Telefonistka podaje mi numer jedyne go syna mojej przyjaciółki, który mieszka w Amarillo. Wystukuję numer Darena Fancy'ego; odbiera po czwartym sygnale.

- Halo? - Jest zaspany i rozeźlony.

- Bardzo przepraszam, że dzwonię o tej porze. Jestem przyjaciółką pani Fancy, nie mogę się z nią skontaktować, bardzo się niepokoję i...

- Proszę się nie martwić - wchodzi mi w słowo. - Wszystko w porządku. Mama jest u mnie. Cała i zdrowa.

W końcu mogę swobodnie odetchnąć.

- Jest u pana?

- Owszem. Było do niej włamanie i potem nie czuła się bezpiecznie, zdana tylko na własne siły

- Jak cudownie! - wykrzykuję i po drugiej stronie słuchawki zapada pełna konsternacji cisza. - To znaczy, nie mam na myśli włamania, oczywiście, tylko fakt, że mama jest u pana.

A więc niewykluczone, że wybijając szybko w domu pani Fancy, ocaliłam jej życie. Paplam dalej jak najęta:

- To sąsiedztwo zdecydowanie schodzi na psy.

- Mnie pani nie musi tego mówić. Dwa włamania w jednym tygodniu to doprawdy nie żarty.

Już miałam się pożegnać, ale ta ostatnia informacja mnie elektryzuje.

- Dwa?!

- Za pierwszym razem wybili tylko szybę. Podejrzewam, że ktoś ich spłoszył - Daren podaje własną interpretację mojej drobnej zbrodni. - Ale kiedy powrócili, doszczętnie zdemolowali dom. Zaskórniaki mamy to było dla nich za mało. Choć zupełnie nie pojmuję, czego się spodziewali po starszej pani, utrzymującej się jedynie z emerytury po mężu. W każdym razie podźgali nożami materace, wybebeszyli fotele i sofy, potłukli wszystkie naczynia, porwali na strzępy każdą sztukę ubrania. Mama nie mogłaby zostać u siebie, nawet gdybym jej na to pozwolił.

Kolejny wyczyn Thoma. Tym razem skatował dom. Muszę założyć, że u pani Fancy odnalazł mój notes z zapiskami. Poznał nazwisko swojego widmowego rywala. Jim Beverly. Gorączkowo próbuję sobie przypomnieć, czy w notesie mógł znaleźć jakieś informacje, które skierowałyby go na zachód, do Kalifornii. W moje milczenie wdzierają się głos Darena:

- Czy zechciałaby pani zadzwonić później? Mama śpi. Zresztą jak my wszyscy.

- Oczywiście, proszę mi wybaczyć. Przepraszam. Bardzo gorąco przepraszam.

Moje przeprosiny odnoszą się do czegoś o wiele poważniejszego niż fakt, że wyrwałam go ze snu, ale syn pani Fancy naturalnie nie może tego wiedzieć.

Rozłączam się i zostawiam telefon na podłodze, tam gdzie leżał. Muszę ruszać w drogę. Natychmiast stąd wyjechać.

Biegnę na górę, zaczynam wyjmować ubrania z szuflad komody i wpychać na chybił trafił do starej, płóciennej torby. Działam w pośpiechu. Po pierwsze - chcę zaraz się wynieść; po drugie - nie myśleć

O tym, jak moja przyjaciółka, tak ceniąca niezależność, straciła dom i jak przyczyniłam się do śmierci własnego ojca. Zabiłam mężczyznę, który kiedyś nosił mnie na barana, a którego praktycznie nie pamiętałam; zabiłam skurwysyna, który wychowywał mnie przy użyciu ciężkich pięści; zabiłam smutnego, żalosego starca, którego poznałam niewiele ponad tydzień temu. To ja doprowadziłam Thoma do nich wszystkich naraz.

Podbiegam do szafy, zaczynam zdzierać ubrania z wieszaków i pakuję się z coraz większym trudem, bo obraz rozmazuje mi się przed oczami. Znowu, nie wiedzieć kiedy, zaczęłam płakać. Gret drepcze za mną tam i z powrotem po pokoju, zdenerwowana moim zdławionym szlochem.

Kiedy już jestem spakowana, chwytam torbę za uszy i pędzę na dół, a za mną moja psina. Jej smycz wisi przy drzwiach, łapię ją w przelocie. Gret nieśmiało merda ogonem. Wie, że dzieje się coś złego, a jednocześnie spacer kojarzy jej się zawsze z przyjemnością.

Już mam zahaczyć karabińczyk o obrożę, gdy uświadamiam sobie, że nie zabrałam czegoś bardzo ważnego. Nie mam rewolweru dziadka. Nie mogę wyjechać bez broni. Nie w sytuacji, gdy niemal czuję na karku gorący oddech Thoma.

Próbuję odtworzyć sekwencję wydarzeń. Trzymałam kolta w szufladzie nocnego stolika... po wyjściu marynarzy matka wyjęła mi go z ręki. Nie mam pojęcia, co z nim potem zrobiła. Torba wysuwa mi się z dłoni, uderza głucho o podłogę. Obok upada smycz.

Mogłabym rozebrać dom do samych fundamentów, a i tak nie znaleźć swojego rewolweru. Praktycznie nie znam matki, dlatego nie wiem, gdzie co może chować.

- Zostań! - nakazuję Gretel po raz drugi tej nocy.

Otwieram frontowe drzwi i wbijam wzrok w ciemność, rozciągającą się poza zasięgiem światła lampy, która pali się nad wejściem do Parkera. Nie mogę tu siedzieć i grzecznie czekać na powrót matki - warować niczym moja słodka psina. Wychodzę na ganek. Chwilę nasłuchuję. Potem wymykam się przez furtkę, zamykam ją za sobą

starannie. Matka nie mogła odejść daleko, ale nie mam pojęcia, w którą stronę się udała. Może jedynie spaceruje po okolicy, chce się przewietrzyć, uporządkować myśli. Maszeruję szybko wzdłuż ulicy - od latarni do latarni. O tej godzinie mam cały chodnik tylko dla siebie.

- Mirabelle! - wołam. Potem jeszcze głośniej: - Mirabelle?! Mirabelle!

Przyspieszam kroku. Gdzieś niedaleko otwiera się okno i jakiś facet drze się na całe gardło:

- Cicho tam!

Mam go gdzieś. Nadal wykrzykuję jej imię i to w coraz wyższych rejestrach. Teraz już biegnę. Potem skręcam w kolejną ulicę. Nie wiem kiedy zamiast „Mirabelle!” zaczynam wołać „Mamo!”.

Już kiedyś coś takiego przeżyłam, wyruszyłam w podobną pielgrzymkę. Pierwszego wieczoru, w dniu, gdy zniknęła matka, ojciec przyszedł do domu, a ja siedziałam przy stole, czekając na obiad. Potem czekaliśmy oboje, jednak posiłek się nie pojawiał.

Zapytałam wówczas:

- Mamy zadzwonić na policję?

- Ona nie zaginęła - oświadczył ojciec. - Po prostu odeszła.

I przestał czekać, a w zamian zaczął pić. Ja jeszcze przez kilka godzin siedziałam na krześle ze szczebelkowym oparciem, w przekonaniu, że mama się zjawi i położy mnie spać. Gdybym sama się położyła, mama by nie wróciła, ale jeżeli zostanę w kuchni, będzie musiała wreszcie przyjść i wysłać mnie do łóżka. Krzesło było twarde, padałam ze zmęczenia, tata się spił i zasnął na sofie. W końcu wyszłam z domu i zaczęłam szukać mamy, chodziłam tam i z powrotem po naszej ulicy i nawoływałam ją cicho, żeby nie obudzić taty. Płakałam rozpaczliwie, słowo „mama” w moich ustach zmieniło się w przeciągłe, żalobne zawodzenie.

Nadciągał świt, gdy w końcu wróciłam do domu, wyczerpana i schrypnięta. Ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi. Mimo to cichy szcęk zapadki wydał mi się ogłuszający, ostateczny i bezlitosny. Ojciec chrapał na sofie; w ogóle się nie zorientował, że mnie nie było.

Teraz znowu nawołuję matkę, tyle że dużo głośniej. Wyszedłam już z mieszkalnej okolicy, więc nikt nie każe mi się uciszyć, nikt nie wzywa policji. Mijam zamknięte sklepy i biura. Po chwili spostrzegam, że znajduję się przed biblioteką.

Jest tam moja matka. Stoi po drugiej stronie ulicy, zwrócona do mnie plecami i prowadzi rozmowę z automatu telefonicznego - jednego z trzech wiszących na ścianie. Pada na nią światło lampy palącej się nad wejściem do biblioteki.

- Mamo! - krzyczę i rzucam się ku niej sprintem. - Mamo!

Odwraca się, nie przerywając rozmowy, i unosi palec w geście oznaczającym „czekaj chwilę”. Gdy dobiegam do schodów, odkłada słuchawkę. Kiwa mi głową, jakby się ze mną uprzejmie witała, i mówi:

- Musiałam zadzwonić, Rose. Przestań krzyczeć. Jest środek nocy, nie powinnaś w ogóle wychodzić z domu.

W ostrym świetle lampy jej przekrwione oczy zdają się szkarłatne, ale zdumiewająco spokojne. Tego spokoju nie zburzył nawet widok córki biegnącej ulicą, nawołującej w panice, zapłakanej, z policzkami w smugach rozmazanego tuszu do rzęs.

Chwytałam matkę za ramiona.

- Muszę zyskać przewagę nad Thomem. Muszę pojechać do miejsca, w którym się mnie nie spodziewa, a potem go tam zwabić i zastrzelić.

- Doskonały plan. Tym bardziej że w przeszłości świetnie się sprawdził w twoim wykonaniu - rzuca z takim sarkazmem, że aż wykrzywia jej usta.

- Pozwoliłam, żeby zabił mojego ojca.

- Uspokój się, Rose Mae. Przestań się tak szarpać. - Matka obejmuje mnie ramieniem, kieruje w stronę ulicy, a potem ciągnie za sobą, poza światło lampy wiszącej nad wejściem do biblioteki. - Co się stało, to się nie odstanie. Współczuję ci z powodu straty ojca, bo widzę, że ciężko ci z tego powodu, ale i tak lada moment zabiłaby go własna wątroba. - Wzrusza ramionami, chłodna i do bólu pragmatyczna.

- Gdzie jest moja broń? - pytam, kiedy prowadzi mnie ulicą. - Muszę mieć swój rewolwer.

Matka zdecydowanie kręci głową. Wolną ręką wyjmuje karty z kieszeni. Na wierzchu talii widnieje wisielec.

- Pomyliłam się, Rose Mae. To zwodnicza karta, błędnie odczytałam jej przesłanie.

Raptownie przystaję.

- Niech to jasny szlag! - wrzeszczę, odwołując się do ulubionego przekleństwa taty. - Gdzie jest moja broń?!

- Szszszsz - ucisza mnie, wciąż niewzruszenie spokojna. - Tylko spójrz na siebie, Rose Mae, rozpaczasz po ojcu, mimo że traktował cię źle. Swojemu mężowi też powinnaś okazać litość. Jeżeli bardzo chcesz, możesz dostać rewolwer z powrotem i zastawić tę swoją pułapkę. Ale jeśli drgnie ci ręka, zawahasz się o moment za długo, ten człowiek cię zabije. Gdyby zaś twój plan się jednak powiódł, już nigdy nie doszłaś byś po tym do siebie. Wierz mi.

Nagle zdaję sobie sprawę, że matka kieruje mnie w stronę swojego domu, ostatniego miejsca na ziemi, w którym chciałabym się teraz znaleźć. No ale jest tam moja psina, moja torba i broń, wciśnięta w jakąś tajemną skrytkę. Matka spogląda mi prosto w twarz.

- Doskonale wiem, jak to jest, gdy zrobi się coś nieodwracalnego - wyznaje.

Patrzę w jej przekrwione oczy i po raz kolejny widzę, że mam przed sobą kobietę, która złamała sobie życie. Nie chcę podzielić jej losu.

- Nie wiem, jak mam postąpić - skarżę się cienkim głosem, niczym mała dziewczynka.

Kiwa ze zrozumieniem głową i zmusza mnie do szybszego marszu.

- Jedno jest pewne, nie możesz uciekać na własną rękę. Zostawisz za sobą zbyt wiele tropów i nie możesz go zabić. To by cię zniszczyło. Zmieniło w kobietę, którą z pewnością nie chciałabyś być.

- Co więc mi pozostało? Nie chcę też umierać. Thom niedługo się zjawi. A ja nie mam pojęcia, co powinnam zrobić.

- Ty? Nic. - Skręcamy w ulicę Belgria. Matka uśmiecha się pokrępiająco. - Zdołałam wszystko pomyślnie załatwić. Powinnam to

zrobić już dawno temu, gdy pierwszy raz przyjechałam do Amarillo i zobaczyłam, kogo poślubiłaś.

Co rusz pociągam nosem, zaczyna mnie boleć głowa.

- Nie musisz go zabijać, kochanie - ciągnie matka takim tonem, jakim się przemawia do paroletnich szkrabów. Przechodzimy obok ulicznej latarni i wówczas zauważam, że twarz matki się wygładziła i pomimo przekrwionych oczu wygląda dziesięć lat młodziej. - Poszłam do tego automatu, żeby się skontaktować ze świętymi Cecyliami. Zgodnie z zasadami nie mogłam zadzwonić z domu, bo zostawiłabym możliwy do wytopienia ślad.

Dochodzimy do domu. Matka zamyka za mną furtkę. Jej szczęć przywodzi mi na myśl trzask więziennej bramy. Mimo to pozwalam matce zaciągnąć się na ganek, a potem za próg, gdzie moja psina waruje przy smyczy.

Natychmiast te wszystkie pieprzone błękity napierają na mnie ze zdwojoną siłą. Nie można się od nich uwolnić. Niebieska kuchnia, niebieska łazienka, niebieski salon, niebieska sypialnia matki. Nawet mój pokój jest zainfekowany błękitem. Chciałabym się natychmiast przenieść do miejsca, w którym króluje neutralna, kojąca biel.

Ale i tak, podtrzymywana przez matkę, grzecznie wchodzę po schodach na piętro, wsłuchując się w stanowczy ton jej głosu.

- Wszystko już uzgodnione, Rose Mae. Jutro, w okolicach północy, ktoś po ciebie przyjedzie. Zostaniesz przewieziona w bezpieczne miejsce. Będziesz podróżować różnymi samochodami prywatnymi, nie środkami transportu publicznego. Nikt nie zdoła wytropić tej trasy. Zaczyniesz wszystko od nowa. Nawet ja nie będę wiedzieć, gdzie jesteś.

Głos jej się załamuje na tych ostatnich słowach. Ponowna rozłąka ze mną będzie ją wiele kosztować. Na jej spokojnej twarzy pojawia się wyraz głębokiego smutku.

Ale może to właśnie jest sprawiedliwe, że musi się mnie wyrzec akurat teraz, gdy w końcu zdołała wypełnić tę ziejącą dziurę, jaką jest pokój na górze. W sanktuarium zagościła wreszcie właściwa święta, ale kiedy odjadę, znów pozostanie jedynie pusta skorupa. Zapewne to

właśnie zwiastowała czwarta karta, którą wyciągnęłam z talii, przedstawiająca dziewczynę o cygańskich włosach, z koronkową przepaską na oczach - dziewczynę, która trzymała miecz i wagę. Słowo, ozdobnie wykaligrafowane na dole tej karty, brzmiało „Sprawiedliwość”.

- A jeżeli Thom tutaj przyjedzie? - pytam zatrwożona. - Znajdzie cię i zabije, tak jak zabił tatę.

Jesteśmy już teraz w moim pokoju. Matka delikatnie, ale stanowczo naciska na moje ramię, zmusza, bym usiadła na tapczanie.

- Nic podobnego się nie zdarzy - uspokaja. Siada obok i poklepuje mnie po dłoni. - Przestań się zamartwiać, Rose. Powiedziałam przecież, że wszystko załatwione. Gdy już odjedziesz, zadzwonię na policję w Fruiton, Amarillo i do tutejszej jednostki. Zaalarmuję FBI i każdą inną agencję, jaka przyjdzie mi do głowy. Opowiem, co twój mąż zrobił Eugene'owi. W najgorszym wypadku, Thom zostanie poddany serii przesłuchań. Zadbam o to, by wiedział, że to ja zawiadomiłam władze, że byłaś tutaj, ale wyjechałaś. Nie będzie mógł mnie skrzywdzić, bo w ten sposób potwierdziłby wszystkie zarzuty, które wysunę pod jego adresem. Prawdopodobnie zabicie twojego ojca ujdzie mu płazem, ale mnie nie będzie mógł tknąć.

Kiwam swoją obolałą głową i mówię:

- Zrobiłaś to dla mnie. Zadzwoniłaś do świętych Cecylii.

- Owszem. Wytrzymaj spokojnie do jutra do północy, a Rose Mae Lolley rzeczywiście zniknie na zawsze. I już nigdy nie będziesz musiała się martwić, że ten człowiek cię odnajdzie. Rozpoczniesz nowe życie. Staniesz się nową kobietą.

Jakże piękna perspektywa. Niczego innego bardziej w tej chwili nie pragnę.

Pozwalam, by mnie objęła. Ogarnia mnie straszne zmęczenie. Kładę głowę na ramieniu matki. Teraz jestem niczym wosk w jej rękach - zrobię wszystko, co mi każe, dam się uformować w dowolną postać.

Rozdział 17

Kiedy budzę się nazajutrz, już minęła pora lunchu. Dom wydaje się opustoszały. Panuje tu tak idealna cisza, że zaczynam się zastanawiać, czy matka znowu nie wyszła. Drzwi do jej sypialni są zamknięte na głucho.

W kuchni znajduję kawę przygotowaną do parzenia i krótką notkę.

„Mam migrenę. Odwołałam wszystkie dzisiejsze sesje. Nie włączaj neonu. Przyjadą po ciebie o północy. Nie wychodź z domu”.

Ostatnie zdanie podkreśliła. Kiwam posłusznie głową, jakby stała obok i czekała na odpowiedź. Za niecałe dwanaście godzin znajduję się poza zasięgiem Thoma. To trochę jak wyścigi samochodowe, tyle że ja jestem pasażerem, a kierowcą - matka. I ona na razie wygrywa z moim mężem. Nawet sam Sherlock Holmes nie zdołałby mnie odnaleźć w ciągu trzech dni, dysponując jedynie marką, modelem i może numerami rejestracyjnymi samochodu, który stoi zaparkowany nielegalnie na drugim końcu kraju. Szczególnie że ojciec zapewne skierował Thoma do Las Vegas, gdzie - jak sądził - jego Claire „stawiła na karty”.

Szybko uciekam od tego toku myślenia. Nie chcę sobie przypominać, w jakich okolicznościach ojciec mógł udzielić Thomowi informacji. Nie chcę też pamiętać o roli, jaką odegrałam w tych wydarzeniach. W tej chwili to ponad moje siły. Muszę teraz przebrnąć przez następne dwanaście godzin, a wszystko ulegnie zmianie. Nie wiem, jak dokładnie będzie to wyglądać; wiem jedynie, że stąd wyjadę, że przestanę być sobą i niemal pod każdym względem jestem z tego powodu zadowolona.

Słyszę, że Gretel drapie do frontowych drzwi, sygnalizuje, że musi wyjść, więc ją wypuszczam. Psy Parkera też są na dworze, ale surowo przywołuję Gret z powrotem, gdy tylko załatwia swoje potrzeby.

Nie mogę pozwolić, by biegła dookoła domu, wystawiona na widok publiczny. Wystarczy, że Thom kątem oka dostrzeże trzynogą psinę, a od razu będzie wiedział, gdzie szukać swojej Ro. Kiedy Gretel przemyka obok moich nóg do wnętrza domu, Parker otwiera furtkę. Ledwo wchodzi, opadają go labratory; zachwycone jego widokiem podskakują i merdają ogonami. Gdyby Parker zniknął im z oczu choćby na pięć minut, i tak by go witały niczym Chrystusa wjeżdżającego do Jeruzalem. Bo takie właśnie są psy.

Miss Moogle skacze i opiera się o przód jego koszuli, zostawiając odciski zabrudzonych łap.

- Moogle, zachowuj się jak dama - strofuje ją Parker, ale uśmiecha się szeroko i delikatnie stawia psie łapy na ziemi. Jest facetem, którym mogłabym się poważnie zainteresować, drażni moje zmysły.

Sądząc po tym, jak jest ubrany - w płócienne spodnie i pomiętą marynarkę - właśnie wraca z porannych zajęć w college'u. Jego włosy nie są związane: sięgają ramion, bardzo gęste i ciemne z rudawym połyskiem. Doskonale się komponują z kościstą, irlandzką twarzą.

Mam na sobie flanelową piżamę, jestem bosa, potargana i bez makijażu, mimo to uchylam szerzej drzwi i uśmiecham się promiennie.

Parker wchodzi na ganek, wymija swoje wejście, staje przede mną.

- Szósty dzień? - pyta.

- Uhm. Jeszcze nie mogę wychodzić. Ale żadna z zasad nie mówi, że ty nie możesz wejść - zauważam rezolutnie. Jestem idiotycznie zadowolona, że zanim zesłam na dół, porządnie wyszorowałam zęby

- Rzeczywiście - odpowiada po chwili.

Teraz już otwieram drzwi na oścież.

- Wobec tego zapraszam. Właśnie parzę kawę.

- W zasadzie wolę herbatę. - Zatrzymuje się pośrodku pokoju, rozgląda dokoła. - Gdzie Mirabelle?

- Chyba wyszła - oznajmiam, bardziej na swój niż jego użytek. Chciałabym sobie przypomnieć, jakie to uczucie, gdy jest się sam na sam z podobnym mężczyzną w pustym domu. Może nawet z tym konkretnym mężczyzną.

- Wyszła? - pyta z niedowierzaniem. Stoi w pobliżu sofy, ale nie wygląda na to, by zamierzał usiąść. W ogóle sprawia takie wrażenie, jakby zbierał się już do wyjścia, ja tymczasem bardzo chciałabym go zatrzymać. W jego obecności czas szybciej upływa.

- Tak sądzę. A może jest u siebie na górze?

- To bardziej prawdopodobne. Czy widziałaś kiedyś, żeby Mirabelle wychodziła z domu?

Nie dalej jak minionej nocy, konstatuję w duchu. Przypominam sobie jednak, że stała w progu i balansowała na palcach, zaciskając dłoni na gałce drzwi. A potem rzuciła się w ciemność, jakby skakała z urwiska w przepaść.

- Oczywiście, że widziałam - odpowiadam. - Przecież poznałam ją na lotnisku.

- No tak - Parker kiwa w zadumie głową. - Dwa, trzy razy do roku rzeczywiście wyjeżdża z miasta. Ale zanim wsiądzie do taksówki, połyka tyle ativanów, że zwaliłyby z nóg tabun dzikich koni.

- Chodzi do biblioteki - zauważam.

- Już nie. Ostatni raz była tam ponad trzy lata temu. Dziewczyna, która pracuje w lokalnej filii, zjawia się tu parę razy w tygodniu, żeby wymienić książki. Nawet spotkania klubu czytelniczego odbywają się w domu Mirabelle.

- A zakupy?

- Dostawy na telefon. Natomiast od ubiegłego roku ja przynoszę jej pocztę, bo przestała chodzić do skrzynki, choć wisi na furtce. Listy regularnie wylewały się na ulicę.

Wzruszam ramionami. Nie jestem jakoś szczególnie zainteresowana ewentualną agorafobią matki. W ogóle nie mam ochoty rozmawiać na jej temat. Złożyłam swoją przyszłość w jej rękach i czuję się nieswojo, bo wiem, że podskórnie wciąż czuję do niej wrogość.

- Cóż, w takim razie ja już... - Parker cichnie i rusza w stronę drzwi. Natychmiast blokuje mu drogę.

Kiedy modliliśmy się razem, ja na dachu, on na trawniku, walcząc z pustką, czułam się jak na randce. Myślę, że on też miał takie

wrażenie, ale wówczas nie mogliśmy odpowiednio się pożegnać. Poza tym nie będę miała więcej ku temu okazji. Jutro już mnie tu nie będzie.

Teraz znalazłam się zbyt blisko jak na poranną, sąsiedzką pogawędkę. Z tej odległości wygląda starzej: dostrzegam drobne zmarszczki wokół oczu. Raczej bliżej mu do trzydziestki niż do trzydziestki. Chwytam jego twarz w dłonie. Parker mi na to pozwala, ale pozostaje bierny. Ciągnę go w dół, wspinam się na palce i zaczynam całować.

Nadal stoi w bezruchu; nie zacisnął jednak ust, więc rozumiem, że nie jest przeciwny temu, co robię. To dziwny pocałunek, niezwykle statyczny i... sterylny. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z mężczyzną, który gdzieś w ciemnych zakamarkach podświadomości nie szykował się do zadania mi bólu. Pocałunek z niebezpiecznym facetem ma swoją temperaturę, przyprawia o gorączkę, jest jak słodki, zakazany owoc.

Natomiast pocałunek z Parkerem jest chłodny i niewinny. Pachnie mydłem i miętową pastą do zębów. Przywodzi na myśl zimną wodę z krynicy. Jest przyjemnym ugaszeniem pragnienia, niczym więcej.

Odrywam się od niego, patrzę mu w oczy, są w kolorze niespotykanej bladej błękitu. Parker spogląda na mnie spokojnie, niemal obojętnie, jakby teraz, gdy ma już to z głowy, mógł odejść i się rozejrzeć za smaczniejszym kąskiem.

- To było miłe - przyznaję, cofając się o krok. - Cieszę się, że to zrobiliśmy.

Wcale nie kłamię. Teraz z mniejszym żalem będę odjeżdżał.

Na jego ustach pojawia się dziwny uśmiech, którego znaczenia nie potrafię odczytać.

- Bardzo proszę - mówi.

- Bardzo proszę? - powtarzam, zdezorientowana. Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Czy ma to być zaproszenie do powtórki? Mało prawdopodobne. Drażni mnie to tajemnicze echo słów matki z lotniska. Jej także nie podziękowałam.

- Owszem - odpowiada. - Bardzo proszę. - Rozciąga usta coraz szerzej i nagle rozumiem, co kryje się za tym uśmiechem. Parker jest wkurzony

- To była z twojej strony działalność charytatywna? Sąsiadka uprzejmość? - Ja też już się wkurzam. - Uważasz, że powinnam ci podziękować?

Przez chwilę wydaje się na tyle zezłoszczony, by rzeczywiście odpowiedzieć na moje pytania, lecz natychmiast się rozluźnia.

- Nie uważam, że należą mi się podziękowania. Ale... tak, pocałunek był prezentem dla ciebie. - Teraz ja znajduję się na granicy wybuchu, natomiast nie umiem już odczytać emocji Parkera. Nie jest to złość, nie jest też obojętność. - To będzie dla mnie.

Zbliża się, ale tak wolno, że mam czas go uderzyć, odwrócić się lub powiedzieć nie, jednak nic podobnego nie robię. Lubię się całować, gdy jestem wściekła. Pozwalam, by objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie tak blisko, że nawet przez ubranie czuję wyraźnie, jak bardzo jest rozpalony. Tym razem osobą, którą całuję, nie jest już Shaggy-Doo.

Znowu nie odczuwam mrocznego zagrożenia, a mimo to aż zapiera mi dech. Całowałam się już bardziej szaleńczo, jednak zaczynam rozumieć, jak bardzo jestem spragniona. Ten stan trwa od bardzo dawna, bo też od bardzo dawna przebywam w pustynnej krainie i pełzam w prochu. Parker przyciąga mnie jeszcze bliżej, czuję znajome mrowienie w brzuchu. Obejmuje rękami mój tyłek, unosi mnie w górę i nagle nie znam cudowniejszego uczucia od tego, które teraz przeżywam. Kiedy człowiek żyje na pustyni, niczego tak bardzo nie potrzebuje jak łyka ożywczej wody.

Pocałunek staje się coraz bardziej namiętny i wszystkie myśli uciekają mi z głowy. Wsuwam palce w jego gęste włosy. Są dłuższe od moich. Drugą dłoń wciskam pomiędzy nasze ciała - Parker jest nabrzmiały i na mnie gotowy

Odrywa usta od moich ust.

- Nie - mówi i cofa się tak gwałtownie, że nogami uderza o brzeg sofy i podcięty, pada na poduchy. Ja nadal stoję, gdzie stałam, z ustami

otwartymi i dłonią zwieszoną na tej wysokości, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się penis Parkera bynajmniej nie dotknięty impotencją. Z palców drugiej ręki zwisają jego trzy kasztanowe włosy.

W tej chwili jestem tak zarumieniona, że moje zażenowanie nie może już bardziej zabarwić mi policzków.

- Jesteśmy dorosłymi ludźmi, Parker - zauważam.

To mogło być cholernie wspaniałe pożegnanie.

Wskazuje na mnie palcem i mówi:

- Owszem, jesteś dorosła, ale przy okazji również zamężna. - Z cichym poświstem, przez zęby wypuszcza powietrze, pochyla się do przodu, opiera ręce na kolanach. - Nie tego chcę od ciebie. Wybacz.

Kiedy podnosi wzrok, w jego oczach jest tyle smutku, że nie mogę się na niego gniewać, ani nawet odczuwać wstydu. Moja matka, która najwyraźniej nie ma najmniejszych problemów z oszukiwaniem kobiet, powiedziała, że jest impotentem. Chciała, żebym zostawiła Parkera w spokoju; wyskoczyła z tą impotencją, kiedy nie uwierzyłam, że żyje w celibacie. Teraz widzę, że tak musi być w istocie - Parker po śmierci żony najwyraźniej postanowił zachować celibat. Czuję się okropnie, jakbym barbarzyńsko wtargnęła w jego prywatną przestrzeń, zbeczczyła jakąś świętość. Z drugiej strony, przecież tak naprawdę nie ma dla mnie żadnego znaczenia, czy facet, u którego matka wynajmuje mieszkanie, zerżnie mnie pośrodku stołu do tajemnych wróżb, czy do końca swoich dni będzie odstawiał jedynie taniec kung-fu, nie dotykając niczego poza powietrzem - niczym mnich. Mnie przecież tu już nie będzie.

- Czy jestem do niej podobna? - pytam najłagodniejszym tonem, na jaki mogę się zdobyć. - Do twojej żony?

- Do Ginny? Boże uchwaj. Ani odrobinę. - Czuję się nieco urażona tymi słowami i musi to zdradzać moja mina, bo Parker szybko dodaje: - Ale to akurat dobrze. Kiedyś gdy widziałem kobietę, a miała nos i dwoje oczu, myślałem: Ginny też miała oczy i nos.

- Pojmuję. Nie musimy o tym rozmawiać. Bardzo cię przepraszam. Chciałam tylko, abys wiedział, że gdybyśmy się posunęli dalej, zdecydowanie wyszłoby mi to na zdrowie.

- Uhm. Podobnie jak sałatka ze świeżych warzyw.

Zaskoczona, wybucham śmiechem. Podchodzę, siadam obok na sofie, ale zachowuję między nami bezpieczny, półmetrowy dystans.

- Nie myślałam o sałatce.

- A właśnie że tak - Parker odpowiada z uśmiechem, ale w jego głosie słychać poważną nutę. Odwraca się i patrzy mi w oczy - Nie chcę znowu robić za świeże warzywo, Ivy.

Słowo „znowu” natychmiast przykuwa moją uwagę.

- Coś takiego już się zdarzyło?

- Jasne. Czy zdajesz sobie sprawę, ile dziewczyn - kobiet - przewinęło się przez pokój Mirabelle? Ponad trzydzieści od czasu, gdy rozpoczęła działalność. Dwadzieścia dwie od śmierci Ginny. Nie jesteś pierwszą sąsiadką, która próbuje mnie uwieść.

- O, nie wątpię - rzucam zgryźliwie. - Ostatecznie tobie żadna nie mogłaby się oprzeć.

- Nie bądź wredna. - Szczerzy zęby w uśmiechu. - Było ich pięć, może sześć, w zależności od tego, co rozumiemy przez „uwieść”. Dwie z nich, gdy jeszcze żyła Ginny - dziwaczne doświadczenie. Ginny traktowała całą sprawę z humorem. Współczuła tym kobietom, no i wiedziała, że dla mnie nikt prócz niej się nie liczy. Kolejne pojawiły się długo po śmierci żony. Randki mnie nie pociągały, ale brakowało mi kobiecego towarzystwa, jak to mawiają.

- Dlaczego więc odmówiłeś? Im, nie mnie.

- O, sypiałem z nimi.

No, proszę. Okazuje się, że moja matka potrafi kłamać bardzo przekonująco i wyrafinowanie. Na tę myśl aż unoszę brwi ze zdumienia i podziwu. Parker natomiast musi sądzić, że to reakcja na jego słowa, bo nieco defensywnym tonem dodaje:

- Nie ze wszystkimi.

- A z iloma? - przypieram go do muru.

- Dwoma, trzema. Pierwsza właściwie wcale mnie nie pociągała, ale była fatalnie rozbita. Przypuszczam, że bardziej chciała dopiec mężowi, niż rzeczywiście przespać się z jakimś facetem. - Macha ręką.

- Ale potem pojawiła się ta piegowata blondynka o bardzo długich nogach. Ładna, zabawna i strasznie stuknięta. Od ponad dwóch lat nie dotykałem kobiety. A, do diabła, nie jestem święty. Cała sprawa trwała około tygodnia. Potem wróciła do męża i wtedy postanowiłem, że więcej tego nie zrobię.

- Ale zrobiłeś.

- U-hm - przyznaje ze skruchą. - Wiesz przecież, jak wygląda Lila, prawda? Trudno znaleźć choć jednego faceta, który by się nie skusił.

- Lila - powtarzam. Wcale nie jestem zdziwiona. Nawet zapłakana i z uszkodzoną twarzą zachwycała urodą. Rzeczywiście, jedynie święty mógłby się jej oprzeć, gdyby podeszła na wyciągnięcie ręki, powiedziała „proszę” i zatrzepotała tymi swoimi długimi, gęstymi rzęsami.

- Tylko raz - ciągnie Parker. - Myślę, że chciała zobaczyć, jak to jest z miłym facetem. Jakimkolwiek miłym facetem. Dla mnie natomiast było to niczym zabieg higieniczny. Po wszystkim ogarnął mnie smutek. Uświadomiłem sobie tylko, jak bardzo tęsknię za Ginny.

Między nami mogłoby się narodzić coś naprawdę pięknego, ale po dzisiejszej nocy nie wolno mi będzie wracać do miejsc, które odwiedziłam w przeszłości. Wiązałoby się to ze zbyt dużym ryzykiem. Mogę więc mieć jedynie nadzieję, że dzięki temu pocałunkowi poznałam coś lepszego i w odróżnieniu od Lili potrafię to docenić i zapamiętać.

- Zostawmy ten temat - mówię. - Dostarczyliśmy sobie przyjemnych przeżyć, podziękowaliśmy nawzajem i tyle.

Podrywam się na nogi, ale Parker łapie mnie za rękę i pociąga z powrotem na sofę. Teraz dystans między nami zdecydowanie się zmniejszył.

- Jeszcze nie skończyłem. Jeżeli chcesz odbyć jazdę próbną z miłym facetem, najpierw się rozwiedz, a potem znajdź sobie takiego. Zastanów się, czy w ogóle odpowiadają ci sympatyczni faceci, ale nie próbuj mnie całować, póki nie uznasz, że akurat mnie lubisz w szczególności.

Doskwiera mi samotność, Ivy. A ty mi się podobasz, podoba mi się też to, że potrafisz mnie zaskakiwać w zabawny sposób. Jeżeli twoje

małżeństwo dobiegnie końca, chętnie pewnego dnia posiedzę z tobą na dachu. Ale nie chcę niczego zaczynać w obecnej sytuacji, kiedy się ukrywasz i formalnie nadal jesteś zajęta. Nie chcę być dla ciebie świeżym warzywem.

Kiwam głową ze zrozumieniem. Nie dość, że to miłe słowa, to jeszcze opisują sceny, w których z rozkoszą wzięłabym udział. Też posiedziałabym na dachu z Parkerem - i nie tylko na dachu. Ale nie wolno mi o tym myśleć. Bo tylko jeszcze trudniej przyjdzie mi się żegnać z tym miejscem.

- Ale to był niezły pocałunek, co? - zagajam.

Uśmiecha się szeroko.

- Cholernie fantastyczny - przyznaje.

- A więc pax - postanawiam i wstaję z sofy.

Tym razem mnie nie zatrzymuje.

- Pax - odpowiada i też się podnosi. Idzie do wyjścia, a Gretel depcze mu po piętach i wpatruje się w niego miłośniczym naczelną grupie.

Kiedy otwiera drzwi, mówię:

- Do widzenia, Parkerze.

Wraz z moją psiną patrzymy, jak odchodzi. Ten mężczyzna to naprawdę przyjemny widok dla oczu.

Potem dzień ciągnie się jak flaki z olejem. Gretel wyczuwa mój niepokój, co rusz chce wychodzić na dwór. Nie może pojąć, czemu za każdym razem niemal natychmiast przywołuję ją do domu. Chodzi za mną krok w krok i popiskuje z tak nieszczęśliwą miną, że w końcu zamykam ją w pokoju.

Matka się nie pojawia. Pewnie chce sobie oszczędzić scen pożegnania. Mnie także jest to na rękę. Kiedy przybędzie wysłannik świętych Cecylii, chcę, żeby matka otworzyła drzwi w milczeniu, a potem przekazała mnie w cudze ręce niczym pakunek. Bez łez. Bez czułych objęć.

Jestem już gotowa do drogi. Wcześniej się przepakowałam - wszystkie moje ubrania, teraz starannie poskładane, znajdują się

w starej, niebieskiej torbie, która stoi przy drzwiach. Około szóstej zjadam grzanekę i pomarańczę. Słyszę ruch w sypialni matki, więc idę do siebie. Gretel przeciska się obok moich nóg i zbiega na dół. Zamykam za nią drzwi. Zamierzam skulić się w fotelu i przed wyjazdem dokończyć powieść Barbary Kingsolver. Tak spędzę ostatnie godziny w tym domu. Słyszę, że moja psina i matka krzątają się na dole.

Matka wchodzi na górę około wpół do dwunastej. Za nią pędzi Gretel, pobrzękując identyfikatorami. To wydarzenie bez precedensu.

Przed wejściem matka grzecznościowo puka do drzwi. Ma podkrążone oczy. W rękę trzyma kubek z jakimś gorącym płynem; widzę unoszącą się parę. Gret stoi przy jej nodze i wciska nos w kieszeń matki. To również bezprecedensowa sytuacja.

Matka dostrzega zdziwienie na mojej twarzy i wyjaśnia:

- Zdążyliśmy się zaprzyjaźnić.
- Doprawdy? - Nie mogę uwolnić się od sceptycyzmu.

- Nie. Ale włożyłam do kieszeni kawałek żółtego sera, a dla psa to niemal równoznaczne z przyjaźnią. - Wyciąga kostkę cheddara i moja psina delikatnie bierze ser w zęby. Wbrew samej sobie uśmiecham się szeroko na widok tych obustronnych ustępstw.

- Czy coś jadłaś? - dopytuje się matka. Potwierdzam. - To dobrze. A jak u ciebie z chorobą morską?

- Jak u mnie z czym?

- Przypuszczam, że zostaniesz przetransportowana łodzią. Nikt mi naturalnie tego nie powiedział, ale zasugerowano, byś zażyła dramaminę. - Podchodzi i wręcza mi kubek. Napój pachnie miodem i rumiankiem. Potem wyjmuje z kieszeni słoiczek z lekiem na chorobę lokomocyjną i wytrząsa dwie tabletki na rękę.

Prostuję się w fotelu, polykam lekarstwo i popijam gorącą herbatą. Pomimo miodu jest dość paskudna. Odstawiam kubek na stół.

- Mogę poczekać z tobą? - pyta matka oficjalnym tonem. Kiwam przyzwalająco głową, więc przysiadła na brzegu tapczanu. Ser już zapewne się skończył, bo Gretel się do niej nie przyłącza, tylko rozkłada na chodniku przed komodą.

Mijają minuty, cisza staje się coraz bardziej krępująca. Decyduję się ją przerwać.

- Mam zdjąć pościel?

- Po co?

- Żeby można było rozłożyć świeże prześcieradła dla następnej dziewczyny.

- Hmm! - matka na to. Nie umiałabym określić natury tego dźwięku - czy to śmiech, czy chrząknięcie? - poza tym, że wyraża zdecydowane zaprzeczenie.

- Czy doprawdy sądzisz, Rose Mae, że tu jeszcze kiedykolwiek zamieszka ktoś inny?

Zupełnie nie wiem, jak na to zareagować.

- Nie mogę zostać - mówię w końcu. Matka kwituje to milczeniem, więc dorzucam z emfazą: - To ty cały czas powtarzałaś, że mój mąż się tutaj zjawi. Muszę uciekać.

- Ten temat już przedyskutowaliśmy - odpowiada niemal znużonym tonem. Ale w jej oczach, które zdają się dwa razy większe niż dotychczas, czai się jakieś przerażające widmo.

To jedyny mój rodzic, który jeszcze pozostał przy życiu, myślę, ale od tej konstatacji zaczyna mnie mdlić i dostaję zawrotu głowy, więc nie zapuszczam się w dalsze rozważania. Najchętniej poprosiłabym matkę, żeby wyszła, ale ona ma prawo tu przebywać, ma prawo przekazać mi w inne ręce. Gdybyśmy swego czasu byli dobrą rodziną, taką jaką opisują w powieściach, w końcu komuś by mnie oddała. Stałaby u boku mojego trzeźwego, wyrozumiałego ojca w kościele, gdzie brałabym ślub z człowiekiem o wiele lepszym od Thoma Grandeeego, a kiedy ksiądz by zapytał: „Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie?“, tato by odpowiedział: „Ja i jej matka“.

Nie mieliśmy szans, by stać się taką rodziną. Ale mama w końcu się o mnie zatroszczyła: zadzwoniła do ludzi dobrej woli, gotowych mi pomóc. Dała mojemu psu kawałek sera. Chyba zrozumiała, że nie ścierpię żadnego łzawego, czułego pożegnania, więc w zamian zaparzyła mi herbaty.

Biorę w rękę kubek i przytykam do warg - tylko w ten sposób mogę się jej odwzajemnić. Pociągam herbatę drobnymi łykami, płyn jest zbyt gorący, żeby pić go duszkiem. Parzy gardło. Od razu staje mi przed oczami Thom Grandee, wychylający jednym haustem niemal wrzące kakao, przyprawione moją śliną. Coś natychmiast ściska mnie w gardle, nie mogę przełknąć ani kropli więcej. Odstawiam na bok prawie pusty kubek.

Upływają kolejne sekundy, zdają się pulsować jak bijące serce. Nasłuchuję dzwonka do drzwi. Nadal lekko kręci mi się w głowie. Powinnam była więcej zjeść. Matka podrywa się gwałtownie z tapczanu, i wszystko wokół zaczyna szybciej wirować. Słyszę, jak w jej sypialni zegar wybija pierwszą dla szklanej menażerii. Święta Cecylia się spóźnia.

- Wszystko w porządku, Rose Mae? - Głos matki dobiega do mnie z wielkiej oddali.

- Nie wiem.

- Niewykluczone, że to reakcja alergiczna - sugeruje. - Czy kiedykolwiek wcześniej zażywałaś dramaminę?

Kręcę głową i cały pokój zaczyna falować, jakby się unosił na wodzie.

- Może wobec tego powinnaś wziąć benadryl. - Podchodzi do mnie z różową tabletką w dłoni. Zażywam ją i popijam resztkami stygnącej herbaty. Są gorzkie, ale i tak je przetykam.

Matka wyjmuje kubek z moich ociężałych palców. Siada na tapczanie. Upływa kolejna minuta, a może kilka minut. Czas uległ dziwnej przemianie. Nie jestem w stanie stwierdzić, jak dawno temu zażyłam różową pigułkę. Spoglądam na swoją psinę. Widzę wokół niej różaną poświatę. To świetlista emanacja jej nieziemskiej dobroci - tak osłepiająca, że przyćmiewa lampę.

- Jesteś dobrym pieskiem - mówię, ale z moich ust płynie bełkot, potykający się o samogłoski. Nie odrywam oczu od psa chrapiącego na dywaniku. - Gret - wołam. Zero reakcji. - Gretel? Grubasie? Psinko?

Chrapie dalej.

Moje oczy są teraz dwiema ołowianymi kulkami. Obracają się i zaczynają zatapiać w czaszce, gdy próbuję spojrzeć na matkę.

Tymczasem ona mnie obserwuje z chłodnym zainteresowaniem klinicysty.

Wstaję z fotela, ale podłoga umyka mi spod nóg niczym pokład łodzi unoszącej się na fali. A przecież wiem, że nie jestem na żadnym pokładzie.

- Mamo! - krzyczę tak głośno, jakby była w zupełnie innej czasoprzestrzeni. Natychmiast się teleportuje, staje u mego boku, podtrzymuje ramieniem. Jej skóra jest nadzwyczaj gładka i chłodna.

- Nakarmiłaś moją psinę serem - rzucam oskarżycielskim tonem. Chcę dodać „to bezprecedensowe”, ale ten wyraz ma zbyt wiele sylab, w których grzęźnie mi język. Gong przy drzwiach ciągle milczy - Nie zadzwoniłaś do świętych Cecylii.

- Oczywiście, że nie, kochanie - przyznaje matka.

Kładzie mnie na plecach na drewnianej podłodze, która jest równie gładka i chłodna jak nieludzka skóra matki. A na dodatek te deski przyciągają mnie do siebie jakąś niezwykłą mocą. Nie mogę się podnieść.

- Gret! - wołam ponownie, ale Gret dalej chrapie w najlepsze.

Powinnaś się była zorientować. Wcześniej połapać w sytuacji. Przecież nie dalej jak dzisiaj dokonałam odkrycia, które powinno mi otworzyć oczy.

- Fiut Parkera funkcjonuje bez zarzutu, a ty potrafisz fenomenalnie kłamać. Jak najęta.

Nie wiem, ile z tego zrozumiała. W moich uszach był to jedynie ciąg bełkotliwych samogłosek.

- Spij teraz, kochanie. Przecież wiesz, że nie mogłam dopuścić, byś wyjechała.

Pochyliła się nade mną niczym złowieszczy cień, czuję dotyk jej szklistych rąk. Przewraca mnie na bok i wygina w literę S. A potem zdejmuje buty, kładzie się obok i opiera o mnie stopami. Jestem tak ociężała i bezwolna, że nie mogę uciec od tych stóp.

Tymczasem one zaczynają mnie popychać w stronę tapczanu. Sunę gładko po śliskim drewnie. Patrzę teraz na pokój pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, więc mam wrażenie, że zjeżdżam po ścianie. Poniżej widzę ciemną przestrzeń pod tapczanem. To czarny dół, w którym matka mnie uwięzi, i z którego już nigdy nie zdołam zbiec. Muszę zostać, by wypełnić ziejącą dziurę pośrodku jej domu. Stopy matki spychają mnie coraz niżej. Ten pokój to pułapka, taka sama, jaką pokazał mi święty Sebastian, tyle że to nie Thom Grandee mnie w nią pochwyił, lecz moja własna matka.

Przestaje do mnie docierać światło lampy. Na domiar złego nieubłagane stopy spychają na mnie cielsko Gretel, nafaszerowanej środkami nasennymi.

Teraz wokół mnie panuje taka ciemność, że nie wiem, czy moje oczy są otwarte czy zamknięte. Teraz już w ogóle nic nie wiem.

Po wieczności, spędzonej w otchłani mroku, zaczynam jednak pojmować, co się dzieje. Wcale nie tkwię w żadnej dziurze. Mam pięć lat i leżę pod własnym tapczanem. Dociskam plecy do ściany. Czuję zapach psiej sierści, słyszę głośnie sapanie. To Leroy wpelzł tutaj za mną. Oboje się ukrywamy. Słyszę tatę: tata jest okropnie rozzłoszczony. Jego krzyki przywodzą na myśl szalejącą burzę.

Niekiedy, oprócz huku gromów, dobiega mnie głos mamy. To gniewny syk, prowokacyjny, zaczepny. Wiem, że za chwilę usłyszę też inne odgłosy, chociaż bardzo tego nie chcę. Uciwnie grzmiący krzyk, a wtedy w ruch pójda pięści i spadną na mamę, przemówią do niej dobitniej niż słowa. Rano, smażąc dla mnie jajka, będzie się poruszała bardzo, bardzo powoli. Niewykluczone też, że tato znowu zabierze mamie za karę twarz i nałoży maskę potwora, czarno-siną, niemal pozbawioną oczu. I wtedy z mamą nie wyjdziemy na dwór. Po południu, w ramach przeprosin, tata przyniesie dużo różności ze sklepu, a mama, człapiąc po kuchni, zamieni te różności w obiad.

- Ivy! - nagle rozlega się głos świętej Cecylii.
- Szszsz - uciszam ją szybko. Mam pięć lat i muszę się zachowywać jak myszka. Mama potrafi fenomenalnie kłamać i dlatego święta

Cecylia nie zna mojego prawdziwego imienia. I nie zabierze mnie na łódź, która odpływa do Narnii.

- Rose Mae! - teraz woła do mnie święty Sebastian. Jego trudniej zignorować, bo dzięki niemu wygrałam wyścig. Mocno obejmuję się rękami. Czuję miękkość własnych piersi, wyjątkowo dużych, wzięwszy pod uwagę moją drobną posturę. Może i dociskam się plecami do ściany, ale Sebastian już nie uwierzy, że mam pięć lat.

- Rose Mae! - woła znowu święty i dźwięk tego imienia przypomina mi, kim naprawdę jestem. Z pewnością nie należę do istot, które do spółki z psem ukrywają się pod tapczanem, zanoszą płaczem i czekają, aż ktoś przyjdzie i naprawi świat. Dawno temu stałam się dorosłą kobietą i mogę bez trudu powstrzymać ojca, szczególnie teraz, gdy już nie żyje.

Słabymi dłońmi próbuję odepchnąć swoją psinę, ale nie daję rady. Tłusta Gretel przypomina mur nie do sforsowania.

- Tędy... - gdzieś nad głową dźwięczy głos Sebastiana. Wykręcącam szyję i widzę, że u stóp tapczanu majaczy jaśniejsza szarość. To światło mglistego poranka. Czołgam się w dół, pozostawiając z boku chrapiącą Gret. Wkrótce jestem już poza tapczanem, w pobliżu drzwi. Wstaję na nogi, ale podłoga jest tak pochyła, że muszę się oprzeć o ścianę. Teraz srebrne światło poranka zdaje się oslepiające, a w powietrzu unosi się mnóstwo tęczowych pryzmatów.

Na dole tata ciągle się piekli. Nie pojmuję, jak może się tak złościć, skoro do domu wpada tyle pięknego światła. Skradam się sprytnie wzdłuż ściany, starając się stąpać bezgłośnie w ciężkich kowbojkach Ivy. Powstrzymam ojca, zanim podniesie rękę na mamę. Co prawda zostawiłam rewolwer w pudle u pani Fancy, mimo to zdołam wpłynąć na tatę, bo jestem jego ulubienicą. Tak powiedziała mama, i tym razem chyba mówiła prawdę, choć Bóg i święty Sebastian wiedzą, że moja matka potrafi kłamać jak najęta. Tak czy inaczej powstrzymam ojca. W najgorszym wypadku trzasnę go swoją olbrzymią głową, która waży z tysiąc kilogramów i kiwa się niczym gigantyczna maczuga na wiotkiej szyi, miękkiej jak szklarski kit. Chwytam się poręczy i zsuwam po

schodach - stopień po stopniu. Na dole frontowe drzwi wibrują w rozdygotanej futrynie.

Czuję się silna i groźna, jak wtedy, gdy przyszli tu marynarze. Odwracam się, by spojrzeć w głąb pokoju - tam, gdzie stoi matka. Opiera się o kant stołu i uśmiecha prowokacyjnie, chępliwie. Widać, że jest bardzo z siebie zadowolona. Ojciec góruje nad nią wzrostem, wydaje się dwa razy wyższy niż w moich wspomnieniach.

Ma jasne, pszeniczne włosy.

Więc to nie jest mój tata.

Ani któryś z marynarzy

A jednak znam tego człowieka. Matka zauważa moją obecność i na jej twarzy zamiast chępliwości pojawia się wyraz przerażenia. Usta układają się w słowa: „Nie, wielki Boże, nie!”, a wówczas mężczyzna, który nie jest ani moim tatą, ani marynarzem, odwraca ku mnie twarz. Jego martwe oczy ozywają na mój widok. To Thom. Przybył, żeby mnie zabić. Rozchyła wargi w upiornym uśmiechu, obnażając niezwykle białe zęby.

- A oto i moja dziewczynka!

Swoją wielką dłonią odpycha matkę, nawet na nią nie patrząc. Odpycha tak silnie, że mama przelatuje przez stół i znika. Zostaję więc sam na sam z Thomem, który rusza w moją stronę, zaciskając i prostując palce. Obracam się szybko na pięcie - wszystko wokół zaczyna wirować w niezwykłym pędzie - otwieram drzwi i wytaczam się na zewnątrz, na ganek, który huśta się w górę i w dół jak platforma w lunaparku.

Promienie słońca rażą mnie w oczy. Nieopodal furtki stoi Lila i miętosi w rękach metalową siatkę. Na mój widok jej pełne wargi układają się w wielkie O.

- Uciekaj - mówię. W moich uszach to słowo zdaje się potężnym rykiem, ale w istocie jest niewiele głośniejsze od szeptu. Lila zamiera z otwartymi ustami, ja także nie mogę się poderwać do ucieczki.

Staczam się z ganku i ląduję pośrodku gliniastej rabaty z daliami. Zaczynam się czołgać przed siebie najszybciej, jak mogę. Jest wczesny

poranek, a Lila ma na twarzy mnóstwo świeżutkich siniaków. Jej oczy stają się wielkie i okrągłe z przerażenia; wiem, co musi czuć ta dziewczyna, gdy widzi Thoma za moimi plecami.

Przewracam się na bok, żeby sprawdzić, jaki dystans nas dzieli. Thom stoi na skraju ganku i wydaje się pięćdziesiąt razy wyższy, niż był kiedyś. Zaczynam pełznąć tyłem niczym krab.

- Zadzwoń do ciebie - mówię do Thoma. - Moja cholerna matka powiedziała ci, gdzie mnie znaleźć.

Potakuję skinieniem głowy w milczeniu. Czas na wrzaski minął. Na jego twarzy maluje się kamienny spokój, bo teraz ma mnie tuż przed sobą, a ja jestem tak słaba, że mogę jedynie ślamazarnie pełznąć do tyłu. Uderzam głową o siatkę, ale furtka jest daleko z boku, zresztą i tak nie zdołałabym się dźwignąć na nogi i przez nią umknąć.

- Twoi oboje rodzice okazali się nad wyraz pomocni - oznajmia Thom z morderczym uśmiechem na ustach. Zwija dłonie w pięści i zeskakuje lekko na kwiaty, które zmiażdżyłam, gdy się czołgałam. - Zakończmy to wreszcie, co, Ro? - proponuje niezobowiązującym tonem.

- Dzwonię na policję! - drze się Lila, coraz silniej zaciskając ręce na ogrodzeniu. Ręce, w których nie ma telefonu. Thom całkowicie ją ignoruje. Teraz tylko jedno się dla niego liczy: to, że wreszcie będzie się mógł do mnie dostać. Dwoma długimi susami pokonuje dzielący nas pas trawnika.

Nagle ogarnia mnie wielki spokój. Tutaj wreszcie wszystko się rozstrzygnie. Nasza historia dobiegnie końca. Od finału dzielą nas jedynie sekundy. Ale zanim opadnie kurtyna, muszę jeszcze coś potwierdzić.

- Ta karta - zagajam i Thom się zatrzymuje, jakby autentycznie chciał poznać moje ostatnie słowa. - Ta, która upadła na lotnisku obrazkiem do góry. Dobrze odgadłam, prawda? To była Sprawiedliwość.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, kotku - odpowiada Thom i ponownie rusza w moją stronę. Jego dłonie już sięgają mojej szyi. Ale ja wcale nie mówiłam do niego.

To pytanie było skierowane do matki, która stoi z rewolwerem dziadka w dłoni i celuje w potylicę Thoma.

- Owszem - odpowiada i pociąga za spust.

Twarz Thoma znika. Jego czoło, rzymski nos, który zawsze tak lubiłam, i czubek czaszki raptownie wybuchają jaskrawym kolorem. Rozwierają się niczym pęk wielkiego kwiatu. Zostaje skąpana w czerwieni - tuż przed tym, nim zaciskam powieki, a nawet nim dobiega mnie huk wystrzału i przeciągły krzyk Lili.

Odpełzam dobry metr na bok i dopiero wtedy ośmielam się otworzyć oczy. Na szczęście, na całe szczęście, Thom wylądował na brzuchu. Otwór w tyle jego głowy jest niewielki i wygląda nawet całkiem schludnie. Lila wciąż wrzeszczy spazmatycznie, ale teraz te rozdzierające dźwięki układają się w wyraźne słowa.

- Mirabelle! Nie! Mirabelle!

Na twarzy Lili dostrzegam ciemne kropki; w tle jej krzyków narasta wycie syren.

Na ganku kręcą się niespokojnie psy. Cesar ujada niczym oszalały, dokładając się do nieprzyjemnej kakofonii dźwięków. Przeczolguję się do przodu i przysuwam usta do ucha Thoma.

- Skarbie? - szepczę. - Skarbie? - Nie ma żadnej odpowiedzi. Nie ma już mojego męża.

- Ucisz się, Lilo - zarządza tymczasem matka. Po czym dorzuca o wiele ostrzej: - Zamknij się, psie!

Lila natychmiast wypełnia polecenie, jednak Cesar jest nie do powstrzymania. Spoglądam na matkę, bo tysiąc razy bardziej wolę patrzeć na nią niż na Thoma. Matka wznosi głos ponad ujadanie teriera.

- Nie mogłam pozwolić, byś odeszła, Rose Mae.

- Za to teraz ty będziesz musiała odejść.

- Och, wobec tego wszystko w porządku. Już do tego przywykłam.

Wycie syren staje się ogłuszające. Dobiega mnie też odgłos biegnących stóp. Na ulicy zaczynają się gromadzić zszokowani sąsiedzi po ubierani w szlafroki.

Do furtki za moimi plecami dopada dwoje policjantów - mężczyzna i kobieta. On krzyczy:

- Rzuć broń! Natychmiast rzuć broń!

Ona natomiast zwraca się chyba do mnie:

- Czy jest pani ranna? Proszę pani? Czy została pani postrzelona?

Matka trzyma kolta lufą do dołu, zagrażając jedynie rabacie, którą i tak wcześniej zrujnowałam. Pośrodku zdeptanej ziemi widzę wyraźny odcisk buta Thoma.

- Już dobrze - mówi matka do stojącego za mną policjanta. - Już po wszystkim.

Ostrożnie odkłada rewolwer na skraj ganku, a wówczas policjant wpada przez furtkę, łapie matkę za ramię, odwraca i skuwa jej niegodziwe ręce. Policjantka przyklęka u mojego boku.

- Czy to pani krew? - pyta. Zaczyna mnie obmacywać.

- Muszę jechać do szpitala - jęczę.

- Czy to pani krew? - W jej tonie pojawia się nuta paniki.

- Sądzę, że mama nafaszerowała mnie środkami nasennymi.

Policjantka kładzie dłoń na moim ramieniu i uparcie powtarza swoje:

- Czy to pani krew?!

Ze zdziwieniem unoszę rękę do twarzy. Gdy ją odrywam, jest usmarowana czerwoną mazią.

- Nie - odpowiadam policjantce. - Ja przeżyłam.

Nikt nie jest tym faktem bardziej zdumiony ode mnie.

Epilog

Wysiadam z wagonu metra, drzwi zamykają się za mną ze świstem. Szybko opanowałam system BART* i nauczyłam się z niego korzystać. O wiele lepiej przemieszczać się tutaj pociągami, niż ryzykować utratę miejsca parkingowego, które w końcu wywalczyłam dla garbusa na ulicy Belgria. Maszeruję do domu matki w kalifornijskim słońcu, zamglonym dzisiejszego poranka. Słone powietrze owiewa przejmującym chłodem moje odkryte ramiona i stopy. Kowbojki Ivy zostały zarekwirowane i w oddzielnych, plastikowych workach spoczywają w jakimś magazynie dowodów rzeczowych. Kupiłam sobie w zamian parę płaskich sandałów o grubych podszewkach.

Z naprzeciwka nadchodzi miejscowy herold specjalizujący się w okrzyku „leeesbaaa”; spod szmaty, którą okręcił sobie głowę, sterczą na wszystkie strony zmierzwiłone warkoczyki. Ten koleś jest trwałym dopełnieniem lokalnego kolorytu i zaczęłam go darzyć dziwnie ciepłym uczuciem.

- Hej Walter! - wołam.

Sęka coś pod nosem, ale dziś nie ma dla mnie żadnego wyraźnego przekazu. Gdy go mijam, przystaje, rozpina rozporek i sika na róże pani Delgado. W ogóle mnie to nie wzrusza. W Berkeley panuje przekonanie, że każdy musi gdzieś się wysikać, a ja z każdym dniem coraz bardziej upodobniam się do tubylców.

Być może Walter pozostawia wiadomość dla Gretel w jedynym języku, który moja psina potrafi odczytać. Później wyprowadzę ją na spacer i zabiorę ze sobą lunch, na który złożą się same miękkie,

* BART - Bay Area Rapid Transit - system połączeń kolejowych w obszarze metropolitalnym San Francisco, obejmujący dodatkowo dwa inne hrabstwa: Alameda i Contra Costa (przyp. tłum.)

niewymagające żucia przekąski - kanapka z masłem orzechowym, budyń, banan - na wypadek, gdyby Walter wciąż kręcił się po okolicy.

Dochodzę do siatki okalającej dom. Na całej jej długości od strony ulicy leżą bukiety kwiatów - co najmniej siedem lub osiem - w różnych stadiach agonii. Wygląda to na hołd składany zmarłemu, jednak nie sądzę, by te kwiaty były przeznaczone dla Thoma. Pojawiają się mniej więcej dwa razy w tygodniu. Pozostawiam je na miejscu, dopóki nie zaczynają butwieć. Dopiero wtedy wyrzucam, zwalniając miejsce dla kolejnych wiązanek.

Parker siedzi na schodach ganku w otoczeniu psów. Macha ręką, gdy przechodzę przez furtkę, a cała sfora się zrywa, by zgotować mi czule powitanie. Szarżę prowadzi oczywiście moja Gretel. Brodzę pośród zwierzaków, poklepuję łby i gładzę uszy. Nawet Cesar, łaskawca, zdecydował, że będzie się cieszył na mój widok. W końcu ja także przysiadam na schodkach, psy zaś usadawiają się pomiędzy mną a Parkerem na podobieństwo włochatych przyzwoitek.

Kiedy leżałam w szpitalu, Parker był moim pierwszym i jedynym gościem. Zapadłam w sen jeszcze w karetce, zmogły mnie silne leki nasenne i przeciwłękowe, które matka dostawała na receptę. A gdy otworzyłam oczy, ujrzałam Parkera - stał przy łóżku z zatroskaną miną i bukietem stokrotek.

- A więc Rose, nie Ivy? - zagaił.

- Jedno i drugie to roślina - odparłam, ziewając szeroko. - Okazałam się jednak kwiatem. Więc następnym razem przynieś mi czekoladki.

Kąciaki jego ust leniwie podjechały w górę. Ja także się uśmiechnęłam i pomyślałam: Nie teraz. Może nawet nieprędko. Ale z pewnością będzie jeszcze kolejny raz. Z zadowoleniem przyjęłam wiadomość, że Parkera ominęła krwawa jatka, która się rozegrała na jego trawniku. Nim wrócił z zajęć w college'u, wszystko zdążyło się ograniczyć do żółtej taśmy, kilku rdzawych plam i technika kryminalistycznego, który wyjaśnił Parkerowi, co się stało i gdzie mnie szukać.

- Jak ona się miewa? - pyta teraz Parker.

- Dobrze - zapewniam. - Więzienie to nie najgorsze miejsce dla osoby cierpiącej na agorafobię. Nie trzeba nigdzie wychodzić, prawda?

Minęło sporo czasu, niemal tydzień, zanim pozwolono mi usiąść na plastikowym krzeselku i obejrzeć matkę przez szybę z pleksiglasu. Powiedziała swojemu prawnikowi, żeby nie zawracał sobie głowy i nie wnioskował o zwolnienie za kaucją.

- Przekazałaś, że przyjdę do niej w środę?

Potakuję skinieniem głowy.

- Spotkałyśmy się dzisiaj z adwokatem. Wciąż omawia szczegóły z prokuratorem, ale wyjaśnił, jak to mniej więcej będzie wyglądało. Mama zdecydowała się na ugodę.

- Zabójstwo drugiego stopnia - Parker gwizdże przez zęby. - To sporo lat odsiadki.

Wzruszam ramionami. Matka opuszcza mnie ponownie, ale tym razem żadna z nas nie ma nic przeciwko temu. Ona sądzi, że w ten sposób rachunek między nami się wyrównuje. Ja mam na ten temat nieco odmienne zdanie.

Zwracam się do Parkera i wyjaśniam:

- Wszystko jej jedno, ile to będzie trwało, pod warunkiem, że zostanie osadzona w zakładzie położonym nieopodal, byśmy wszyscy mogli ją często odwiedzać. Żadna ze stron nie dąży do rozprawy. Prokurator - bo w przypadku, gdy ofiara nie jest... najbardziej przykładowym obywatelem, przysięgli mogliby uniewinnić oskarżoną. My natomiast nie chcemy, żeby na wokandzie pojawił się zarzut zabójstwa pierwszego stopnia. Z przysięgłymi ostatecznie nigdy nic nie wiadomo.

- Nie sądzę, żeby oskarżeniu udało się przeforsować pierwszy stopień - wyrokuje Parker.

Potrząsam głową, bo nie mam takiej niezachwianej pewności. Troje sąsiadów zgodnie zeznało, że moja matka przyłożyła Thomowi pistolet do potylicy, jakby dokonywała egzekucji. Większość świadków się zbiegła już po oddaniu strzału, więc nie miała wiele do powiedzenia. Jedynie Lila, mała lojalna kłamczucha była na tyle blisko, by

stwierdzić, że Thom stanowił bezpośrednie zagrożenie dla mojego życia, niestety przeszarżowała w swoich zeznaniach. Thom, który wyłonił się z jej opowieści, miotał się w szale po trawniku, głosił wszem wobec, że przyjechał mnie zabić, a do tego wymachiwał nożem, który tajemniczo wyparował.

Adwokat powiedział, że bardzo pomocne okazały się akta medyczne z Amarillo. Moje nemezis z oddziału ratunkowego, pielęgniarka, której oddech zawsze pachniał jogurtem, była więcej niż uszczęśliwiona, mogąc złożyć zeznania. Problem w tym, że przy Thomie nie znaleziono żadnej broni, a według świadków jedynie zmierzał w moją stronę powolnym krokiem. Matka nie wezwała go, by się zatrzymał, i nacisnęła spust bez ostrzeżenia. Nawet Lila nie wpadła na to, by zeznać inaczej.

Jednak najbardziej obciążający był zupełnie inny fakt. Jakiś nadgorliwy gliniarz postanowił sprawdzić billingi i odkrył, że w noc poprzedzającą feralne wydarzenie ktoś zadzwonił do Thoma z płatnego telefonu, wiszącego przy wejściu do Zachodniej Filii Biblioteki Publicznej w Berkeley. Na jednej z ćwierćdolarówek, wydobytych z owego automatu, znaleziono idealny odcisk kciuka matki. Prokurator utrzymuje, że to świadczy o premedytacji i jego opinię mogliby podzielić przysięgli. Adwokat woli nie podejmować ryzyka. W Kalifornii wciąż obowiązuje kara śmierci.

Prokurator, naturalnie, nie wie, że mama nigdy nie zamierzała zabić Thoma Grandeeego. Nie wie o tym również jej prawnik. Ponieważ nigdy na ten temat nie wspomniała słowem, wnioskuje, że w jej opinii ja również nie orientuję się w sytuacji.

W rzeczywistości od razu zdołałam ją przejrzeć. Gdyby naprawdę chciała zastrzelić Thoma Grandeeego, zrobiłaby to na długo przed tym, nim usłyszałam ich kłótnię. Tymczasem ledwo Thom stanął pod drzwiami, wystukała 911 i ukryła telefon pod krzesłem przysuniętym do stołu.

Faktem jest, że mama planowała morderstwo, tyle że nie mojego męża. Zabicie Thoma nic jej nie dawało. Gdyby zginął, wcale nie

miałaby gwarancji, że pozostanę w jej domu. Postanowiła więc, że tej nocy to ona da się zabić.

Adwokat odtworzył mi nagranie zarejestrowane po połączeniu z numerem alarmowym. Wynika z niego jasno, że matka prowokowała Thoma. Opowiadała mu, że zostałam wywieziona w nieznaną na prywatnym jachcie, chełpiła się, że dzięki jej poczynaniom Thom nigdy nie zdoła mnie odnaleźć. Bardzo się pilnowała, by kilka razy wymienić jego imię i nazwisko, raz nawet zwróciła się do niego słowami: „Thomie Grandee z Amarillo w Teksasie”. Wskazywała na swojego zabójcę, zanim jeszcze popełnił zbrodnię, na wypadek, gdyby się ulotnił przed przyjazdem policji. Nagranie kończy się w chwili, gdy schodzę na dół. Po tym, jak matka została pchnięta przez Thoma i przeokoziółkowała przez stół, upadła tak niefortunnie, że przypadkiem przerwała połączenie.

Tak czy inaczej to, co zaplanowała, jest dla mnie jasne jak słońce: Thom resztę swoich dni spędza za kratami; ja jestem wolna i bezpieczna; a ona nie musi patrzeć, jak odchodzę.

Popeliła jednak bardzo poważny błąd - nie przewidziała, że mój mąż tak błyskawicznie dotrze do Kalifornii. Powinna była zaaplikować mi większą dawkę leków. Wówczas nie ocknęłabym się w nieodpowiednim momencie i nie wkroczyła na scenę, zanim Thom zdążył się dopuścić zbrodni.

Parker macha mi dłonią przed nosem.

- Dokąd odpłynęłaś? - pyta.

Mrugam gwałtownie, potrząsam głową.

- Właśnie doszłam do wniosku, że chętnie posadziłabym drzewko cytrynowe na tyłach domu.

Wybuchła śmiechem.

- Bardzo proszę. Ale serdecznie wątpię, czy przetrwa, podlewane tak olbrzymią ilością uryny, jakiej ta sfóra z pewnością mu nie pozwoli.

Adwokat matki nie może się nadziwić, że nadal chcę mieszkać w tym domu po tym, czego byłam świadkiem. Nie wie, biedaczek, że

od zawsze żyłam pod jednym dachem z jakimś żywym wcieleniem przemocy. Mogę więc spać spokojnie, skoro teraz tylko jej duch snuje się po ogródku. Poza tym przynajmniej tyle mogę ofiarować matce - świadomość, że krzątam się po jej domu, trwale wypełniam tę ziejącą dziurę, jaką był pusty pokój.

Choć tak naprawdę przeniosłam się do jej sypialni. Jest dużo przestronniejsza i wyposażona w podsufitowy wiatrak, a matce nie będzie do niczego potrzebna jeszcze przez wiele, wiele lat. W przyszłym tygodniu zakryję meble pokrowcami i wymaluję ściany na ciepły, żółty kolor. Nie mogę już dłużej ścierpieć tych błękitów.

Dopóki matka będzie wierzyć, że spędzam bezpiecznie nocę na tapczanie, który przyszykowała dla mnie przed laty, nic nie zakłóci jej spokoju w więzieniu. W cichości ducha postanowiłam, że zapewnię jej ten spokój, ponieważ w mojej opinii rachunek między nami wcale nie jest wyrównany. Jedna z szal wagi, którą trzyma w dłoni Cyganka z koronkową przepaską na oczach, gwałtownie się wychyliła. I teraz to ja mam dług wobec mamy.

- Wskoczmy gdzieś na kolację? - proponuje Parker.

- Jutro, dobrze? Dzisiejszego wieczoru mam jeszcze coś do załatwienia.

- Oczywiście. Prawdę powiedziawszy, na mnie również czekają obowiązki. Powinienem się zabrać do sprawdzania prac semestralnych.

Z wolna zaczyna się podnosić.

- Zrobisz coś dla mnie? - pytam.

- Jasne.

- Mógłbyś zgasić dzisiaj światło na ganku? - Posyła mi przeciągłe spojrzenie. - I zablokować klapę, jak już cała twoja ekipa znajdzie się w środku?

- Jasne - powtarza i znika za swoimi drzwiami.

Ja zostaję na schodkach. Z każdą chwilą robi się ciemniej i chłodniej. Idę po kurtkę i przy okazji zamykam Gretel na noc w domu. Nie chcę, żeby po ogrodzie wałęsały się jakieś psy, gdy Lila przyjdzie złożyć kolejny bukiet.

Po kilku godzinach Parker znowu wychodzi na ganek. Trzyma w rękę płaską miskę pełną brązowego ryżu z krewetkami i smażonymi warzywami. Siada obok mnie i mówi:

- Mogę poczuwać razem z tobą?

- Oczywiście. - A więc się domyślił, jaki jest cel mojej misji. Pozostaje mi tylko nadzieja, że nie ma nic przeciwko moim planom. Najlepiej zapytać go wprost. - Nie będzie ci to przeszkadzać? Ostatecznie to jest twój dom, a wzięwszy pod uwagę ostatnie wydarzenia...

- Myślę, że wpadłaś na doskonały pomysł - oznajmia i wręcza mi miskę z ryżem, w który wtyka pałeczki. To ci dopiero optymista. Wciąż do niego nie dociera, że pochodzę z cholерnej Alabamy. Unoszę znacząco brew i oddaję mu te patyki, a wówczas Parker wyciąga z kieszeni kurtki awaryjny widelec. Po chwili łapię się na tym, że pochłanianiam zachłannie jedzenie - rety, ten facet naprawdę umie gotować - i wkrótce odstawiam na bok pustą miskę. Potem w milczeniu czekamy razem na rozwój wydarzeń. Obecność Parkera mnie pokrzepia; gdzie za naszymi plecami czai się perspektywa szczęścia. Czuję się doskonale w jego towarzystwie. Jednocześnie wiem, że to czuwanie nie potrwa już długo.

Tuż po północy dobiega nas odgłos niepewnych kroków. Parker siedzi nieporuszony, ja natomiast wstaję i cicho ruszam przez trawnik, żeby spotkać się z Lilą przy furcie.

Dziewczyna pojawia się w kręgu ostrego światła pobliskiej latarni. Staje przy siatce i wpatruje się w dom tęsknym wzrokiem niczym Mojżesz wyglądający Ziemi Obiecanej. Lewą rękę ma na temblaku, w prawej trzyma duże naręcze tulipanów.

Dostrzega moją sylwetkę, wylaniającą się z mroku, kiedy jestem zaledwie parę metrów od furty. Nie widziałyśmy się od dnia strzelaniny.

- Cześć - rzucam pogodnie.

Lila się rumieni, zawstydzona.

- Słyszałam, że jesteś jej córką - mówi. - Tą prawdziwą.

- Uhm. Do mnie doszły podobne słuchy.

- Powinnam się domyślić. Jesteście do siebie podobne. Macie takie same usta.

- Powiedziałam Mirabelle o kwiatach, Lilo. Tulipany należą do jej ulubionych.

Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale moje słowa sprawiają Lili przyjemność, więc ja też jestem zadowolona. Powoli się uczę, jak oszukiwać kobiety. Czy może raczej dziewczyny - ona nie może mieć więcej jak jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Linia jej podbródka ma wciąż jeszcze dziecięcą miękkość.

- Zimno dziś na dworze - zauważam. - A twój dom to nie najlepsze miejsce na ziemi. Może więc wejdiesz ze mną do środka.

- Nie wolno mi.

- Mirabelle nie ma w domu. I szybko tutaj nie wróci.

- Tak, wiem. - Oczy Lili napęcznieją się łzami. - Gotowała mi zupę. Nikt nigdy nie był dla mnie taki dobry jak ona. Kompletnie nawaliłam. Ale Mirabelle traktowała mnie tak miło: w ogóle nie przyszło mi do głowy, że nie da mi szansy na poprawę. Zawiodłam ją.

- Rzeczywiście. Zawiodłaś. Ale Mirabelle, nie mnie. - Nie potrafię zinterpretować wyrazu jej twarzy. - Musisz odejść od męża, a twój pokój stoi pusty. - Dziewczyna nadal milczy. - Postaram się być dla ciebie miła. Umiem też ugotować zupę - dorzucam żartobliwie. - Wciąż zero reakcji, ani cienia uśmiechu. - Okej. Może nie dzisiaj. Ale pokój będzie czekał, rozumiesz? Tak długo, jak uznasz za stosowne. Ja nie jestem Mirabelle i nie szukam stadka zagubionych owieczek. Ten pokój należy do ciebie. Możesz zająć go w każdej chwili. Są tam świeże prześcieradła i puste szuflady w komodzie na twoje ubrania.

Umyka wzrokiem, to objaw nieśmiałości, jakby nie wiedziała, co należy w takiej sytuacji powiedzieć. Ruszam w stronę domu. Parker już poszedł do siebie. Kiedy docieram do ganku, słyszę skrzyp zamkniętej furtki. Odwracam się, uśmiecham i czekam przy schodkach na Lilę. Razem, ramię w ramię, wkraczamy do środka.

- Jestem skonana - wyznaje.

- W takim razie śmigaj na górę. Moje ciuchy są w dawnej sypialni Mirabelle. Wybierz sobie coś do spania. Co tylko zechcesz. Jutro zastanowimy się nad przyszłością.

Lila się waha, ale tylko przez moment, po czym zaczyna wspinać się po schodach. Ciekawe, czy bardzo będzie rozczarowana, gdy zobaczy, że poprzestawiałam meble.

Stoję na dole, pośrodku pokoju, który wciąż jest pokojem matki. Zdjęłam neon z okna, ale muszę się jeszcze pozbyć asortymentu sklepowego. Może to wszystko spakuję i gdzieś upchnę, a może zorganizuję wielką mistyczną wyprzedaż garażową. W każdym razie jeszcze w tym tygodniu z pewnością wstawię tu wielką kanapę, pomaluję kuchnię na czerwono, kupię telewizor i radio, by przełamać tę buddyjską ciszę. I wtedy to już będzie moje mieszkanie. Na razie nie poczyniłam żadnych innych planów. Na rozmyślania o przyszłości przyjdzie czas nazajutrz, tak jak powiedziałam Lili.

Idę na górę i przebieram się w czysty T-shirt. Po tylu latach małżeństwa dziwnie się czuję, leżąc samotnie w tak olbrzymim łóżku. Matka ma miękką, bardzo przyjemną koldrę, przywołuję więc do siebie Gretel i pozwalam jej zagrzebać się w pościeli. Jestem teraz jak mała dziewczynka, która zakradła się do łóżka mamy i to na dodatek z psem u boku, co zawsze było surowo zakazane. Leroy mógł wskakiwać na mój tapczan, ale w żadnym wypadku nie mogłam wpuszczać go pod koldrę.

Po drugiej stronie holu Lila śpi na dziecięcym tapczanie i nic złego jej już nie grozi. Przynajmniej na razie. Przynajmniej tej nocy.

Ciekawe, kim się obie staniemy, gdy w końcu dojrzejemy do dorosłości?